

Samuel Butler

DROGA CZŁOWIECZA

*A wiemy, że tym,
którzy miłują Boga,
wszystko pomaga ku dobremu.*

Rzym. 8, 28.

Spis treści

ROZDZIAŁ I
ROZDZIAŁ II
ROZDZIAŁ III
ROZDZIAŁ IV
ROZDZIAŁ V
ROZDZIAŁ VI
ROZDZIAŁ VII
ROZDZIAŁ VIII
ROZDZIAŁ IX
ROZDZIAŁ X
ROZDZIAŁ XI
ROZDZIAŁ XII
ROZDZIAŁ XIII
ROZDZIAŁ XIV
ROZDZIAŁ XV
ROZDZIAŁ XVI
ROZDZIAŁ XVII
ROZDZIAŁ XVIII
ROZDZIAŁ XIX
ROZDZIAŁ XX
ROZDZIAŁ XXI
ROZDZIAŁ XXII
ROZDZIAŁ XXIII
ROZDZIAŁ XXIV
ROZDZIAŁ XXV
ROZDZIAŁ XXVI
ROZDZIAŁ XXVII
ROZDZIAŁ XXVIII
ROZDZIAŁ XXIX
ROZDZIAŁ XXX
ROZDZIAŁ XXXI
ROZDZIAŁ XXXII
ROZDZIAŁ XXXIII
ROZDZIAŁ XXXIV
ROZDZIAŁ XXXV
ROZDZIAŁ XXXVI
ROZDZIAŁ XXXVII
ROZDZIAŁ XXXVIII
ROZDZIAŁ XXXIX
ROZDZIAŁ XL
ROZDZIAŁ XLI
ROZDZIAŁ XLII
ROZDZIAŁ XLIII

ROZDZIAŁ XLIV
ROZDZIAŁ XLV
ROZDZIAŁ XLVII
ROZDZIAŁ XLVIII
ROZDZIAŁ XLIX
ROZDZIAŁ L
ROZDZIAŁ LI
ROZDZIAŁ LII
ROZDZIAŁ LIII
ROZDZIAŁ LIV
ROZDZIAŁ LV
ROZDZIAŁ LVI
ROZDZIAŁ LVII
ROZDZIAŁ LVIII
ROZDZIAŁ LX
ROZDZIAŁ LXI
ROZDZIAŁ LXII
ROZDZIAŁ LXIII
ROZDZIAŁ LXIV
ROZDZIAŁ LXV
ROZDZIAŁ LXVI
ROZDZIAŁ LXVII
ROZDZIAŁ LXVIII
ROZDZIAŁ LXIX
ROZDZIAŁ LXX
ROZDZIAŁ LXXI
ROZDZIAŁ LXXII
ROZDZIAŁ LXXIII
ROZDZIAŁ LXXIV
ROZDZIAŁ LXXV
ROZDZIAŁ LXXVI
ROZDZIAŁ LXXVII
ROZDZIAŁ LXXVIII
ROZDZIAŁ LXXIX
ROZDZIAŁ LXXX
ROZDZIAŁ LXXXI
ROZDZIAŁ LXXXII
ROZDZIAŁ LXXXIII
ROZDZIAŁ LXXXIV
ROZDZIAŁ LXXXV
ROZDZIAŁ LXXXVI

ROZDZIAŁ I

Z lat mego dzieciństwa, a zbiegło się ono z samym początkiem stulecia, utkwił mi w pamięci obraz starca, który w spodniach do kolan i wełnianych pończochach kuśtykał, pomagając sobie laską, po naszym miasteczku. W roku 1807 miał już chyba dobrze pod osiemdziesiątkę, a mam wrażenie, że wcześniejszych wspomnień o nim mieć nie mogę, bo urodziłem się w roku 1802. Kosmyki siwych, rzadkich włosów zwisały mu koło uszu, był przygarbiony, stapał niepewnie na wiotkich nogach, ale zachował czerstwość i cieszył się wielkim poważaniem naszego małego świątka w Paleham. Nazywał się Pontifex.

Wieść głosiła, że żona sprawowała nad nim władzę absolutną. Opowiadał mi ktoś, że wniosła mu ponoć trochę pieniędzy w posagu, ale nie mogło ich być dużo. Ta wysoka, barczysta niewiasta (słyszałem na własne uszy, jak mój ojciec dość złośliwie wyrażał się o jej wyglądzie) zawzięła się na zawarcie związku małżeńskiego z panem Pontifexem, a było to wtedy, kiedy był młody i zbyt gołębiego serca, by zdobyć się na odmowę kobiecie, która obdarzyła go miłym afektem. Pożycie tej pary okazało się zresztą wcale szczęśliwe, bo pan Pontifex miał usposobienie łatwe i szybko nauczył się sztuki cierpliwej uległości wobec burzliwych nastrojów swej małżonki.

Pontifex z zawodu był stolarzem, a przez jakiś czas pełnił także obowiązki pisarza parafialnego, ale za mojej pamięci był już tak dobrze sytuowany, że nie potrzebował dłużej zarabiać na chleb własnymi rękami. Za młodu nauczył się malować. Nie twierdzę, że malował dobrze, ale przecież to było naprawdę zdumiewające, że malował aż tak dobrze, jak dawał tego dowody. Mój ojciec przeniósł się do Paleham w roku 1797 i z biegiem czasu nabył wiele rysunków starego pana Pontifexa, które nieodmiennie były poświęcone tematyce lokalnej, a były wypracowane z taką drobiazgową starannością i jednocześnie z tak naturalną prostotą, że mogły uchodzić za robotę jakiegoś dobrego mistrza starej szkoły angielskiej. Pamiętam je dobrze, wisiały w gabinecie mego ojca na plebanii, oprawione i oszklone, nasycone, jak wszystko w tym pokoju, zielenią, której użyczały im zwoje bluszczu oplatającego okna. Zastanawia mnie, na czym będzie polegać istota procesu, w którego konsekwencji utracą swój obecny byt i przestaną istnieć jako rysunki, w jakie kształty się przeobrażą w kolejnych etapach swej egzystencji. Sukcesy malarskie bynajmniej nie zaspokoily ambicji artystycznych pana Pontifexa.

Własnoręcznie zbudował organy dla miejscowego kościoła, a drugie, mniejsze, dla własnego domowego użytku. Umiejętność gry na organach posiadał mniej więcej w takim samym stopniu jak umiejętność rysowania, to znaczy podług kryteriów zawodowych grał niezbyt świetnie, ale z całą pewnością dużo lepiej, niż można się było po nim spodziewać. Za moich młodych lat bardzo lubiłem muzykę, a pan Pontifex od czasu, kiedy odkrył moje muzyczne upodobania, zaczął wyróżniać mnie sympatią.

Można byłoby sądzić, że trzymając jednocześnie tyle srok za ogon Pontifex nie mógł zrobić żadnej kariery, a jednak było całkiem inaczej. Ojciec jego wynajmował się jeszcze do pracy na dniówki, a on sam rozpoczął życie z kapitałem, który składał się z oleju w głowie i dobrego zdrowia. Obecnie na dziedzińcu u pana Pontifexa można było zobaczyć wcale pokaźny zapasik drewna, a z każdego kąta posesji aż pachniało solidną, kojącą zasobnością.

Pod koniec osiemnastego stulecia, na kilka lat zanim mój ojciec sprowadził się do Paleham, Pontifex nabył małe gospodarstwo, coś około dziewięćdziesięciu akrów, co znacznie poprawiło jego sytuację życiową. Razem z gospodarstwem wszedł w posiadanie domostwa staroświeckiego, ale wygodnego, z przyjemnym ogrodem kwiatowym i ładnym sadem. Warsztat

stolarski przeniesiono do oficyny, wchodzącej niegdyś w skład zabudowań klasztornych, których resztek można dziś jeszcze domyślać się w tak zwanym Opackim Gródku. Dom mieszkalny, spowity w kapryfolium i pnące róże, był ozdobą miasteczka, a porządek, który panował wewnątrz, był równie wzorowy, jak strojna była jego szata zewnętrzna. Wieść głosiła, że pani Pontifex dla swego reprezentacyjnego łoża używała tylko krochmalonej bielizny pościelowej, czemu skłonny jestem dać wiarę.

Jakże świetnie pamiętam to wszystko — jej salonik, w połowie wypełniony organami zbudowanymi przez męża, przesycony zapachem jabłek, które opadły z *pyrus japonica*, rosnącej tuż koło domu, obraz premiowanego wołu nad kominkiem, namalowany przez samego pana Pontifexa, malowaną na szkle sylwetką mężczyzny śpieszącego podczas nocnej śnieżycy, aby oświetlić drogę dyliżansu, także pędzła pana Pontifexa; staruszka i starowinkę przepowiadających pogodę, pasterza i pasterkę z porcelany. W dzbankach pierzaste kwitnące trawy, z pawimi piórami wśród nich dla kontrastu, i czarki wypełnione płatkami różanymi wysuszonymi solą morską. Wszystko to dawno już przestało istnieć i stało się wspomnieniem wyblakłym, a przecież dla mnie do dziś pełnym aromatu.

A jej kuchnia! — dalej w głębi widać było fragment otchłannej piwnicy, a w niej grę migotliwych refleksów odbitych od białych taflí konwi wypełnionych mlekiem po brzegi lub ramion i twarzy dziewczuchy zbierającej śmietaną. Wreszcie jej składzik, gdzie wśród wielu skarbów przechowywała swą sławną „maść na zajady”, stanowiącą jeden ze szczególnych powodów jej chwały; słoiczek tej maści raz w roku ofiarowywała temu, komu chciała okazać szczególne względy. Wypisała na nią przepis i na rok lub dwa przed śmiercią dała go mojej matce, ale nie potrafiliśmy nigdy zrobić jej tak, jak ona umiała ją przyrządzić. Kiedy byliśmy jeszcze dziećmi, przesyłała wyrazy uszanowania mojej matce z prośbą, by nam pozwoliła pójść do niej na herbatę. Raczyła nas wtedy wspaniale. A co do jej usposobienia, to chyba nigdy w życiu nie spotkaliśmy równie miłej starszej pani, i cokolwiek pan Pontifex od niej znosił, my nie mieliśmy żadnego powodu do skargi. A potem pan Pontifex grał na organach, a my z rozdziawionymi ustami skupialiśmy się wokół i uważaliśmy go za najwspanialszego i najmądrzejszego człowieka na świecie, z wyjątkiem oczywiście naszego taty.

Pani Pontifex nie miała poczucia humoru, przynajmniej nie mogę sobie przypomnieć niczego, co by na to wskazywało, ale pan Pontifex nosił w sobie skarby wesołości, których, sądząc z jego powierzchowności, trudno się było domyślić.. Przypominam sobie, jak ojciec posłał mnie pewnego razu do jego warsztatu po trochę kleju i akurat trafiłem na moment, kiedy stary Pontifex łajał swego małego czeladnika. Trzymał chłopca — wyrostka o twarzy zdecydowanie głupkowatej — za ucho i mówił: „Co, znowu zawieruszony? Ach, ty głowo do pozłoty!” (Mam wrażenie, że określenie „zawieruszony” odnosiło się do samego chłopaka, bo uchodził za bardzo roztrzepanego i dlatego pan Pontifex zwracał się do niego używając tej swoistej terminologii.) „Słuchaj uważnie, Jim — perorował — niektórzy czeladnicy są głupi od urodzenia, i ty jesteś jednym z nich, inni głupieją dopiero później, i ty też do nich należysz, bo urodziłeś się głupi i zdążyłeś znacznie powiększyć swą schedę. Niektórych (i tu nadszedł moment kulminacyjny, w czasie którego głowa i ucho chłopca zostały wprawione w ruch wahadłowy) faszeruje się głupotą, ale ciebie, jeżeli taka będzie wola boska, to ominie, mój chłopcze, bo ja z ciebie głupotę wypatroszę, choćbym czyniąc to zmuszony był sprawiać ci tęgie lanie.” Nie stwierdziłem, żeby staruszek sprawiał chłopcu lanie lub posuwał się do czegoś więcej ponad udaną groźbę, bo w rzeczywistości rozumieli się wzajemnie doskonale. Innym razem słyszałem, jak wołał do miejscowego szczurołapa: „Chodź no tu, ty Połówka!” — co, jak się później dowiedziałem, miało być zręczną aluzją do regularności, z jaką ów szczurołap bywał przez połowę tygodnia pijany. Ale dość już tych błahostek. Twarz mego ojca roz- jaśniała się na

samą wzmiankę o starym Pontifexie.

— Powiadam ci, Edwardzie — powtarzał mi często — stary Pontifex był nie tylko zdolnym człowiekiem, ale jednym z najzdolniejszych ludzi, jakich miałem sposobność spotkać w życiu.

Byłem zbyt młody, by znieść coś podobnego bez sprzeciwu.

— Ależ, drogi ojciec — odparłem — czegoż on takiego dokonał? Malował jako tako, ale czy zdołałby, nawet gdyby na głowie stanął, dokazać tego, aby choć jeden z jego obrazów został przyjęty na doroczną wystawę Akademii Królewskiej? Zbudował organy i umiał na jednych zagrać menueta ze *Samsona*, a na drugich marsza ze *Scypiona*. Był dobrym stolarzem i niezgorszym kawalarzem. Staruszek był istotnie woale sympatyczny, ale dlaczego przypisywać mu większe talenty niż te, które posiadał?

— Mój chłopcze — odpowiedział ojciec — nie wolno ci ferować wyroków na podstawie oderwanych dzieł, trzeba ludzi oceniać na podstawie dzieł w związku ze środowiskiem. Czy sądzisz, że obraz Giotta lub Filippa Lippi dostałby się dziś na wystawę Akademii? Czy choćby jeden z tych fresków, które oglądaliśmy razem w Padwie, miałby bodaj najmniejszą szansę na przyjęcie, gdyby go teraz posłano na wystawę? Gdzież tam, ci panowie z Akademii byłiby tak oburzeni, że nawet nie zadaliby sobie trudu napisania do biednego Giotta, żeby zabrał to swoje malowidło. Ba — ciągnął dalej coraz bardziej zaperzony — gdyby staremu Pontifexowi dać te same szanse, które miał Cromwell, dokonałby tego samego co Cromwell, i zrobiłby to lepiej. Gdyby miał szanse Giotta, dokonałby tego samego co Giotto, i wcale nie gorzej. Tak się jednak złożyło, że był tylko stolarzem w małym miasteczku, ale ośmielę się twierdzić, że nie sfuszerował ani jednej roboty w ciągu całego swojego życia.

— Ale przecież — odparłem — nie można sądzić ludzi stosując metodę tak licznych „gdyby”. Gdyby stary Pontifex żył w czasach, w których żył Giotto, nie jest wykluczone, że byłby drugim Giotto, ale nie żył w tamtych czasach.

— Powiadam ci, Edwardzie — mówił dalej ojciec, a głos jego nabrał pewnej surowości — nie należy sądzić ludzi wedle ich czynów, ale wedle tego, co w naszym przekonaniu potrafiliby dokonać. Jeżeli zatem ktoś w muzyce albo w malarstwie, albo choćby w codziennym życiu dokonał tyle, by wzbudzić we mnie przekonanie, że mogę mu zaufać w razie potrzeby, to osiągnął już dość dużo. I dlatego będę go oceniać nie wedle tego, co namalował na płótnie, ani wedle konkretnych czynów, które — że się tak wyrażę — nałożył na płótno swego życia, ale wedle tego, co czuł i do czego dążył. Jeżeli zdołał mnie przekonać, że ukochał to samo, co i ja uważam za godne miłości, nie żądam niczego więcej. Choć, być może, jego składnia była bardzo niedoskonała, przecież rozumiałem go, bo on i ja byliśmy *en rapport* ! . Powtarzam, Edwardzie, stary Pontifex był nie tylko człowiekiem utalentowanym, ale jednym z najbardziej utalentowanych ludzi, jakich znałem.

Trudno było na to cokolwiek odpowiedzieć i siostry spojrzały na mnie w milczeniu. Tak się zawsze składało, że kiedy nie zgadzałem się z ojcem, patrzyły na mnie i nic nie mówiły.

— Gadaj sobie o jego udanym synalku — zagrział ojciec, którego niezgorzej podenerwowałem — butów nie jest godzien oczyścić swemu ojcu. Zarabia tysiące funtów rocznie, a jego ojciec u schyłku życia miał pewnie na cały rok nie więcej jak trzy tysiące szylingów. Zapewne, robi karierę. Ale jego ojciec, który krzątał się po Paleham w popielatych wełnianych pończochach, kapeluszu z szerokim rondem i tym swoim brązowym surducie o jaskółczych połach, wart był stu takich Jerzych Pontifexów, mimo jego karet i koni, tonów i fumów, które stroi.

A jednak — dodał — Jerzy Pontifex bynajmniej nie jest głupcem. — I tak dotarliśmy do drugiego pokolenia rodziny Pontifexów, i teraz nim się zajmujemy.

ROZDZIAŁ II

pan Pontifex ożenił się w roku 1750, ale przez pierwsze piętnaście lat małżonka nie obdarzyła go potomkiem. Po upływie tego okresu miasteczko z nieopisanym zdumieniem stwierdziło u pani Pontifex objawy, które nieomylnie wskazywały na zamiar ofiarowania mężowi dziedzica lub dziedziczki. Już przed wielu laty jej przypadek uznany został za beznadziejny, i kiedy doktor, zapytany o znaczenie pewnych symptomatów, wyjaśnił pacjentce ich przyczynę, zbesztala go bez ogródek, że plecie głupstwa. Odmówiła uścibienia nawet najmarniejszej pieluszki w przewidywaniu czekającego ją położu i gdyby nie sąsiedzi, którzy lepiej od niej samej zorientowali się w jej stanie i — nie mówiąc jej słowa — pomyśleli o wszy- stkim zawczasu, byłaby zupełnie nie przygotowana. Może bała się Nemezis, choć z całą pewnością nie wiedziała, co to takiego jest Nemezis. A może lękała się, że doktor pomylił się i ludzie będą się z niej śmieli. Cokolwiek było przyczyną negacji faktu tak oczywistego, niezaprzeczalnie odmawiała mu swego uznania, aż pewnej śnieżnej nocy styczniowej poprzez wyboiste drogi wiejskie posłano z wielkim pośpiechem po doktora. Kiedy zjawił się na miejscu, nie jeden, lecz dwóch pacjentów potrzebowało jego pomocy, bo urodził się chłopiec, któremu we właściwym czasie nadano imię Jerzy na cześć panującego wówczas suwerena.

Jestem święcie przekonany, że charakter Jerzego Pontifexa był niemal bez reszty dziedzictwem po tej starszej upartej pani, jego matce — matce, która, choć nikogo na świecie nie kochała z wyjątkiem swego męża (i to na swój specjalny sposób), była jednak jak najczulej przywiązana do nieoczekiwanej pociechy swego podeszłego już wieku. Okazywała to zresztą nader powściągliwie.

Z dzieciaka wyrósł chłopiec silny, o żywym spojrzeniu, niezwykle bystry, choć, być może, trochę przesadnie rozmiłowany w wiedzy książkowej. W domu otoczony był serdecznością, więc kochał swą matkę i ojca tak bardzo, jak z natury skłonny był kochać każdego, ale poza nimi nie kochał nikogo. Posiadał zdrowo i mocno ugruntowane poczucie *meum*, a definicję *tuum* tak kruchą, jak tylko mógł sobie na to pozwolić. Rozwijał się przebywając dużo na wolnym powietrzu w jednej z najlepiej położonych i najzdrowszych miejscowości Anglii, a jego młode ciało pławiło się do syta w swobodzie i ruchu, bo w owych czasach umysły dzieci nie były tak przeciążone jak dziś. Nie jest wykluczone, że w tym tkwi przyczyna owej zachłanności, z jaką chciał się uczyć. W wieku sześciu czy siedmiu lat czytał, pisał i rachował tak dobrze jak żaden z jego rówieśników w miasteczku. Mój ojciec został pastorem w Paleham dopiero w latach późniejszych, i nie pamięta dzieciństwa Jerzego Pontifexa, ale sam słyszałem, jak sąsiedzi mu opowiadali, że uchodził on za chłopca niezwykle bystrego i ponad wiek rozwiniętego. Rodzice byli oczywiście dumni ze swego jedynaka, a matka uważała za rzecz zdecydowaną, że jej syn pewnego dnia zostanie zaliczony w poczet władców i prawodawców świata.

Ale mocne postanowienie, że naszemu synowi uda się wspiąć na szczyty powodzenia, tnie oznacza jeszcze, że mu się zapewniło szczęśliwy los w życiu. Mogło się zdarzyć, że Jerzy Pontifex zostałby wychowany na stolarza i zdobyłby powodzenie życiowe nie inaczej jak dziedzicząc po ojcu pozycję jednego z ostatnich wielmożów w Paleham, a mimo to osiągnąłby więcej, niż mu się w rzeczywistości udało, bo w moim przekonaniu trudno mówić o większym powodzeniu od tego, które przypadło w udziale państwu Pontifex. Zdarzyło się jednak, że około roku 1780, kiedy Jerzy miał lat piętnaście, siostra pani Pontifex, która wyszła za mąż za pana

Fairlie, przyjechała na krótką wizytę do Paleham. Pan Fairlie był wydawcą, przeważnie dzieł o treści religijnej, i posiadał własne przedsiębiorstwo na Paternoster Row. Wywindował się w życiu wysoko, a z nim wywindowała się jego żona. Stosunki między siostrami były przez jakiś czas nieco luźne i nie pamiętam dokładnie okoliczności, które sprawiły, że państwo Fairlie zjawili się jako goście w spokojnym, ale nadzwyczaj wygodnym domu siostry i szwagra. Dość na tym, że z takiego czy innego powodu do wizyty tej doszło, a małemu Jurkowi wkrótce udało się pozyskać względy wujka i ciotki. Bystry, inteligentny chłopiec o gładkim obejściu i krzepkiej budowie, syn szanowanych powszechnie rodziców, reprezentował sobą potencjalną wartość, której praktyczny człowiek interesu, potrzebujący wielu podwładnych, nie mógł przeoczyć. Zanim wizyta dobiegła końca, pan Fairlie zaproponował rodzicom chłopca przyjęcie go do własnego przedsiębiorstwa, zapewniając jednocześnie, że jeżeli na to zasłuży, nie będzie w przyszłości potrzebował żadnego innego protektora. Interes syna był zbyt drogi sercu pani Pontifex, by miała odrzucić tak nęcącą ofertę, a więc sprawę szybko uzgodniono i, mniej więcej w dwa tygodnie po odejździe państwa Fairlie, wyprawiono Jerzego dylizanssem do Londynu, a tam wyszli po niego wujostwo, z którymi według rodzinnego układu miał zamieszkać. Tak oto dla Jerzego Pontifexa zaczęło się nowe, wspaniałe życie. Ubierał się teraz znacznie staranniej, stosując się do wymagań mody z większą uwagą niż dotąd, a najdrobniejszego nalotu wiejskich nawyków — czy to w chodzie, czy wymowie — który przywiózł ze sobą z Paleham, pozbył się tak szybko i tak skrupulatnie, że niebawem można było przyjąć za pewnik, że urodził się i obracał wyłącznie w sferze ludzi, których określamy mianem wykształconych. Chłopiec przykładał się do pracy bardzo gorliwie, a dodatnia opinia, którą sobie wyrobił o nim pan Fairlie, znalazła pełne potwierdzenie, rzec można, z nadwyżką. Od czasu do czasu pan Fairlie posyłał go do Paleham na kilkudniowy wypoczynek i wkrótce rodzice spostrzegli, że ton i sposób wyrażania się syna są teraz zupełnie inne od tych, które wywiózł z Paleham. Byli z niego dumni i niebawem cofnęli się rozsądnie na właściwe im pozycje, rezygnując nawet z cienia rodzicielskiego nadzoru, który, prawdę mówiąc, był zupełnie zbędny. Nie pozostając im dłużny Jerzy odwzajemniał im się serdecznością i do końca życia zachował dla matki i ojca uczucie tak czulego przywiązania, jakie nie odezwało się w nim chyba nigdy więcej w stosunku do żadnego mężczyzny, kobiety lub dziecka.

Wizyty Jerzego w Paleham nigdy nie trwały długo, bo z Londynu było niespełna pięćdziesiąt mil i jeździło się dylizanssem bez przesiadania, a więc podróż nie była męcząca. Czasu bywało więc wtedy niewiele, dzięki czemu niepowszedniość odwiedzin nigdy ani dla młodego człowieka, ani dla jego rodziców nie zdażyła spłowieć. Jerzy rozkoszował się czystym powietrzem wiejskim i zielenią pól po szarzyźnie, do której nawykł na Paternoster Row, a wówczas, jak zresztą i dziś jeszcze, był to raczej wąski, ponury zaułek niż ulica w całym tego słowa znaczeniu. Niezależnie od przyjemności oglądania znajomych twarzy wiejskich gospodarzy i mieszkańców miasteczka lubił, kiedy jego oglądano i składano powinszowania, że wyrósł na młodzieńca tak przystojnego i tak obiecującego, bo z usposobienia nie należał do tych, którzy skłonni są swe talenty ukrywać pod korcem. Wieczorami nauczyciel, opłacany przez wuja, uczył go łaciny i greki. Zabrał się do nauki tych języków z zapałem i opanował je szybko i łatwo w takim stopniu, który inni chłopcy osiągają po całych latach nauki. Domyślam się, że właśnie dzięki swej wiedzy nabrał owej pewności siebie, która, świadomie czy nieświadomie z jego strony, była tak wyraźnie wyczuwalna. Dość na tym, że niebawem zaczął pozować na znawcę literatury, a stąd już całkiem gładko uznał się za znawcę sztuki, architektury, muzyki i w ogóle wszystkiego. Podobnie jak i jego ojciec doceniał wartość pieniądza, ale w przeciwieństwie do ojca więcej dbał o zachowanie zewnętrznych pozorów, a rzadziej zdobywał się na gest niewyrachowanej hojności. Nie wyrósł jeszcze z wieku chłopięcego, a już stał się małym, lecz w

każdym calu wytrawnym światowcem, który postępował przyzwoicie w pierwszym rządzie dlatego, bo tak dyktowały mu zasady, podniesione przez jego własne doświadczenie do rangi zasad, a nie głębokie przekonania, które u jego ojca były tak instynktowne, że nie potrafiły ich uzasadnić.

Ojciec Jerzego, jak wspominałem, podziwiał syna i nie wtrącał się w jego życie. Syn prześcignął go znacznie i ojciec w jakiś niewyraźny sposób zdawał sobie z tego sprawę. Po kilku latach, kiedy jedynak zjawiał się z wizytą w domu, wprowadził zwyczaj noszenia w jego obecności swego najlepszego ubrania i nie zamieniał go na zwyczajny przyodziewek, póki Jerzy nie wyjechał znowu do Londynu. Wydaje mi się, że stary pan Pontifex mimo całej swej dumy doznawał uczucia jakiegoś strachu przed synem, jak, gdyby przed czymś, czego nie potrafił bez reszty zrozumieć, lub przed istotą, która wbrew pozorom podobieństwa postępuje inaczej niż on. Pani Pontifex niczego podobnego nie przeżywała, dla niej syn był czystą i zupełną doskonałością. Widziała albo: wydawało się jej, że widzi, iż z rysów twarzy i charakteru podobny jest raczej do niej i jej rodziny niż do męża i jego rodziny, i cieszyło ją to niezmiernie.

Kiedy Jerzy miał coś około dwudziestu pięciu lat, wuj przyjął go do spółki na warunkach bardzo wspaniałomyślnych. Nie potrzebował zresztą żałować tego kroku. Młody człowiek wniósł zapas świeżych sił do firmy, która już wtedy wcale nie była słaba, i w wieku lat trzydziestu mógł zapisać na swe dobro okrągłą sumę tysiąca pięciuset funtów rocznego dochodu z tytułu udziału w zyskach. W dwa lata później ożenił się z panią o siedem lat młodszą, która wniosła mu okazały posag. Umarła W roku 1805, wydając na świat ostatnie dziecko, Aletę, a jej małżonek nie ożenił się powtórnie.

ROZDZIAŁ III

W pierwszych latach stulecia piątka drobnych dzieci, którym towarzyszyły dwie piastunki, zaczęła w regularnych okresach zjeżdżać w gościnę do Paleham. Nie trzeba dodawać, że było to wzrastające pokolenie Pontifexów, do którego oboje starsi państwo, ich dziadkowie, odnosili się z równym uszanowaniem, jak gdyby chodziło o dzieci królewskiego namiestnika w hrabstwie. Dzieciaki miały na imię: Eliza, Maria, Jan, Teobald (urodzony w roku 1802, a więc mój rówieśnik) oraz Aletea. Pan Pontifex zawsze przed imionami swych wnuków dodawał „panicz” i „panienka”, a omijało to tylko jedną Aleteę, która była jego ulubienicą. Sprzeciwić się wnukom było dla pana Pontifexa równym niepodobieństwem jak sprzeciwić się żonie. Nawet sama pani Pontifex zostawiała im tak daleko posuniętą swobodę, na jaką nie pozwoliłaby ani moim siostram, ani mnie, a darzyła nas szacunkiem tylko o jeden stopień mniejszym od swych wnuków. Obowiązywały ich jedynie dwie rygorystyczne reguły, których musiały przestrzegać: należało przed wejściem do domu porządnie wytrzeć buty oraz nie wolno było napompowywać zbyt dużo powietrza do męzowskich organów ani wykręcać piszczałek.

My, na naszej plebanii, niczego nie oczekiwaliśmy z takim utęsknieniem jak dorocznych wizyt małych Pontifexów. I nam dostawała się część panującej wtedy swobody. Szliśmy na herbatę do pani Pontifex i tam spotykaliśmy jej wnuki, a potem naszych małych przyjaciół zapraszało się na herbatę do nas, na plebanie — i w ogóle, jak uważaliśmy zgodnie, żyło się nam wspaniale. Ja beznadziejnie zakochałem się w Aletei, a prawdę mówiąc, wszyscy zakochaliśmy się we wszystkich, i w obecności naszych piastunek otwarcie i bez żadnego wstydu propagowaliśmy wielożeństwo oraz wzajemną wymianę żon i mężów. Było nam bardzo wesoło, ale to działo się tak dawno, że niewiele już pamiętam z wyjątkiem tego, że było nam naprawdę wesoło. Tylko jedno wspomnienie utkwilo na dobre w mej pamięci, jak Teobald pewnego dnia bił swą piastunkę i okropnie jej dokuczał, a kiedy ona zagroziła, że odejdzie, wykrzyknął:

— Nie pójdziesz, będę cię trzymał naumyślnie, żeby cię dręczyć.

Pewnego zimowego ranka, w roku 1811, kiedy ubieraliśmy się w naszym zacisznym dzieciennym pokoju, usłyszeliśmy bicie dzwonu kościelnego i powiedziano nam, że to za starą panią Pontifex. Powiedział nam o tym służący Jan i z ponurą niefrasobliwością wyjaśnił, że dzwonią dlatego, żeby przyszli ludzie i zabrali ją z domu. Dostała ataku paralizu, który spowodował niemal natychmiastową śmierć. Było to naprawdę wstrząsające, i to tym bardziej, że nasza piastunka zapewniła nas, że jeżeli Panu Bogu się spodoba i my też możemy jeszcze tego samego dnia zostać sparaliżowani i odstawieni prosto na sąd ostateczny. Dzień sądu ostatecznego, zgodnie z opinią osób najlepiej poinformowanych o tej sprawie, w żadnym przypadku nie będzie dłużej odraczany niż najwyżej na jakieś kilka lat, a wtedy cały świat zostanie spalony, a my zostaniemy skazani na wieczne męczarnie, jeżeli nie poprawimy się, i to tak znacznie, że w danej chwili nie było nawet cienia nadziei, byśmy zdołali tego dokazać. Wszystko to było tak dalece niepokojące, że rozbeczeliliśmy się i narobiliśmy wielkiego wrzasku, a piastunka dla własnego spokoju była zmuszona nas pocieszyć. Potem znowu płakaliśmy, ale bardziej powściągliwie, bo przypomnieliśmy sobie, że nie pójdziemy już więcej na herbatę z ciastkami do pani Pontifex.

W sam dzień pogrzebu przeżyliśmy jednak wielką emocję: stary pan Pontifex posłał każdemu mieszkańcowi miasteczka bochenek chleba za pensa, zgodnie ze zwyczajem, który na początku naszego wieku nie był rzadki, a z dawien dawna nazywał się — „strawne”. Nigdy nie słyszeliśmy o tym zwyczaju, a choć chlebek za pensa ze słyszenia nie był nam obcy,

zobaczyliśmy go wtedy po raz pierwszy. Co więcej, zostaliśmy obdarowani jako obywatele miasteczka i zrównani z dorosłymi, bo ojciec i matka oraz służba też dostali po bochenku, ale tylko po jednym. Nawet przez myśl nam nigdy nie przeszło, że jesteśmy obywatelami, a dodać trzeba, że chlebek był świeży, my zaś namiętnie lubiliśmy świeży chlebek, ale dostawaliśmy go rzadko, może nawet wcale, bo uważano, że nie wychodzi nam na zdrowie. W tym stanie rzeczy nasze uczucie żalu z powodu utraty starej przyjaciółki musiało stawić czoło zjednoczonym atakom naszych za- interesowań archeologicznych, naszych przywilejów obywatelskich i praw własności, przyjemności dla oka i smakowitości dla podniebienia; jakie reprezentował sobą mały chlebek, i wreszcie naszemu poczuciu znaczenia, którego źródłem stał się fakt, że pozostawaliśmy w zażyłych stosunkach z kimś, kto właśnie umarł. Dalsze dociekania doprowadziły nas do wniosku, że w istocie jest mało prawdopodobne, żeby którekolwiek z nas miała spotkać rychłą śmierć, a w tym stanie rzeczy świadomość, że to kogoś innego zabrano na cmentarz, okazała się wcale przyjemna. W jednej, chwili z krańcowej rozpaczyny wpadliśmy w krańcowe upojenie. Uświadomienie sobie faktu, że przez śmierć przyjaciół możemy odnieść korzyść, objawiło nam. niebo i ziemię w zupełnie nowym świetle, i obawiam, się, że przez pewien czas interesowaliśmy się zdrowiem każdego mieszkańca miasteczka, którego pozycja wskazywała na prawdopodobieństwo ponownego obdarowania nas żałobnym chlebkiem.

Były to czasy, w których wszystkie wielkie sprawy wydawały się nam bardzo odległe, i niezmiernie zdziwiliśmy się, kiedy dowiedzieliśmy się, że Napoleon. Bonaparte jest osobą naprawdę żyjącą. Uważaliśmy, że tak wielki człowiek mógł żyć tylko w bardzo dawnych czasach, a tymczasem był tu, ma ziemi, i to tak blisko, że niemal tuż za drzwiami naszego domu. W konsekwencji pogląd, że dzień sądu ostatecznego, jest, być może, bliższy, niż przypuszczaliśmy, nabrał znowu plastycznego wyrazu, ale piastunka uspokoiła nas, że teraz jest wszystko w najlepszym porządku, a ona dobrze na tym się zna. W owych czasach śnieg, leżał dłużej i głębszymi warstwami kładł się na łąkach; niż dziś, a w zimie wcale nierzadko przynoszono nam mleko ścięte lodem i prowadzono nas do kuchni, żeby nam je pokazać. Sądzę, że i dziś w niejednym zakątku naszego kraju są takie plebanie, do których nieraz w zimie przynoszą mleko pokryte warstewką lodu, a dzieci schodzą na dół i oglądają je z podziwem, ale ja, w Londynie, nie widuję nigdy zamrożonego mleka, i dlatego wydaje mi się, że zimy są teraz cieplejsze, niż bywały dawniej.

W jakiś rok po śmierci pani Pontifex pan Pontifex również odszedł na zawsze. Ojciec mój widział go na dzień przed śmiercią. Staruszek miał własną teorię o zachodach słońca i przy murku, okalającym ogródek warzywny, zbudował sobie dwa stopnie, na których stawał i przy dobrej pogodzie wpatrywał się w zachodzące słońce. Pewnego popołudnia ojciec wybrał się do niego w odwiedziny i zobaczył starca opartego o ogrodzenie i patrzącego w słońce poprzez pole przecięte ścieżką, którą ojciec szedł w jego kierunku. Słońce kryło się właśnie za horyzontem i ojciec usłyszał, jak pan Pontifex mówił: „Żegnaj, słońce, żegnaj, słońce!”, a z tonu i ruchów spostrzegł, że musiał czuć się już bardzo słabo. Zanim słońce zaszło następny raz, pan Pontifex już nie żył.

Nie było żałobnego chlebka. Niektórych wnuków pana Pontifexa przywieziono na pogrzeb, a my wnieśliśmy do nich w tej sprawie uroczysty protest, ale nie przyniosło to poważniejszego rezultatu. Starszy ode mnie o rok Jan Poratifex odniósł się z lekceważącą pogardą do chlebków za pensa i dał do zrozumienia, że dlatego wystąpiłem z takim roszczeniem, bo widocznie moich rodziców nie stać, żeby mi go kupili, co, jak mii się wydaje, skończyło się czymś w rodzaju bójki, z której on wyszedł pokonany, ale mogło być Właśnie przeciwnie. Pamiętam, że piastunka moich sióstr, bo ja już wyrastałem z piastunek, przekazała tę sprawę czynnikom kompetentnym i wszystkich nas spotkała jakaś sromotna kara, co raz na zawsze

wyleczyło nas ze złudzeń i przez długi czas na samo wspomnienie chlebków za pensa rumieniliśmy się ze wstydu po same uszy. Po tym zdarzeniu, choćby przyniesiono nam i tuzin chlebków, nie odważylibyśmy się nawet ich dotknąć.

Jerzy Pontifex wznosił pomnik ku czci swych rodziców, była to zwykła płyta wmurowana w palehamskim kościele z następującym epitafium:

NIEODŻAŁOWANEJ PAMIĘCI

JAN PONTIFEX

URODZONY 16 SIERPNIĄ 1727, ZMARŁ 8 LUTEGO 1812

ŻYŁ LAT 85

I ŻONA JEGO

RUT PONTIFEX

URODZONA 13 PAŹDZIERNIKA 1727, ZMARŁA 10 STYCZNIA 1811

ŻYŁA LAT 84

BYLI CISI I SKROMNI, ALE WZOROWI W WYPEŁNIANIU

SWYCH OBOWIĄZKÓW

RELIGIJNYCH, MORALNYCH I SPOŁECZNYCH.

POMNIK TEN WZNIÓŚŁ

ICH JEDYNY SYN

ROZDZIAŁ IV

Po kilku latach było Waterloo i pokój wiedeński. Wtedy Jerzy Pontifex wyjechał za granicę, zresztą potem powtarzał to dość często. Przypominam sobie, że po latach oglądałem w Battersby dziennik, który prowadził z okazji pierwszej z tych eskapad. Charakterystyczny dokument. Czytając czułem, że autor przed wyjazdem powziął decyzję zachwycania się tylko tymi rzeczami, dla których zachwyty był w jego przekonaniu aktem przynoszącym mu zaszczyt, oraz oglądania przyrody i sztuki przez okulary, które, przekazywane przez pokolenia kabotynów i pozerów, w końcu jemu dostały się w spadku. Oglądając Mont Blanc po raz pierwszy, pan Pontifex dostał ataku tradycyjnej ekstazy. „Nie potrafię wyrazić mych uczuć. Zabrakło mi tchu w piersi, a jednak kiedy stanąłem po raz pierwszy w obliczu Króla Gór, nie odważyłem się zaczerpnąć oddechu. Oczyma wyobraźni dojrzałem Geniusza, który wysoko, ponad strzelistymi pobratymcami, rozparł się na swym potężnym tronie i rzucił wyzwanie niebu i ziemi. Uczucia, które mną owładnęły, spowodowały, że stałem zdrętwiały i niemy i po pierwszym okrzyku nie wydałbym za skarby świata więcej głosu ze siebie, aż dopiero obfite łzy przyniosły mi ulgę. Z bólem oderwałem się od niezwykłego widowiska «mgłą dali zasnutego» (czułem się tak, jak gdyby ma dusza i me oczy uleciały ze mnie do niego).” Po dokładniejszym obejrzeniu widoków alpejskich ze wzniesień w okolicy Genewy, pomaszzerował w dół jakieś osiem czy dziewięć mil: „Mój umysł i moje serce były tak pełne wrażeń, że nie mogłem usiedzieć spokojnie, i dopiero w wysiłku fizycznym znalazłem jakieś odprężenie- dla mych uczuć.” Następnie dotarł do Chamonix, skąd w niedzielę wybrał się do Montanvert zobaczyć Mer de Glace. Tam wpisał do księgi pamiątkowej następujący utwór poetycki, który uznał — jak sam się wyraził.— za odpowiedni do „dnia i scenerii”:

*Panie, cuda Twej ręki widząc wokół siebie
Dusza ma korne dzięki posyła do Ciebie.
Te pustkowia posepne, ta głusza śmiertelna,
Tej śnieżnej piramidy biel nieskazitelna,
Turnie strzelistej kwieciem roześmiane hale
I ogromne jezioro w wiecznej zimie chwale
To Twoje dzieło, Boże. A gdy patrzę na nie
Zewsząd szept cichy słyszę, co Cię wielbi, Panie.*

Niektórym poetom po śmignięciu przez siedem czy osiem linijek nieuchronnie wiotczeją kolana. Z ostatnią zwrotką miał pan Pontifex niemało kłopotu i prawie każde słowo było wymazywane i co najmniej raz przepisywane. Ale księga pamiątkowa w Montanvert wymagała wyboru tej czy innej wersji. Biorąc utwór jako całość skłonny jestem przyznać Pontifexowi rację, że odpowiedni był do dnia, a nie chcąc być zbyt surowy dla Mer de Glace wolę powstrzymać się od opinii, czy był także odpowiedni do scenerii.

Pontifex udał się na Przełęcz Św. Bernarda i tam napisał znowu kilką wierszy, obawiam się, że, tym razem po łacinie. Postarał się też, by schronisko i jego otoczenie zrobiły na nim odpowiednie wrażenie: „Cała ta niezwykła podróż wydała mi się snem, a szczególnie jej finał: doskonałe towarzystwo, pełny komfort i wszelkie wygody wśród dzikich skał w krainie wiecznego śniegu. Myśl, że znajduję się w klasztorze i leżę w łóżku bądź co bądź samego Napoleona oraz że przebywam w najwyższej położonym, a zamieszkałym przez ludzi punkcie starego świata”, w miejscu, którego sława dotarła do każdego zakątka ziemi, spędzała mi przez pewien czas sen z oczu.” Dla przeciwstawienia przytoczę fragment listu napisanego do mnie rok

temu przez jego wnuka Ernesta, o którym czytelnik dowie się wkrótce nieco więcej szczegółów: „Udałem się na Przełęcz Św. Bernarda i widziałem psy.” Następnie znalazł się pan Pontifex we Włoszech i tu na widok obrazów i innych dzieł sztuki — tych przynajmniej, które wówczas były modne — ogarnął go utrzymany w dobrym tonie paroksyzm zachwytu. O galerii w pałacu Uffizi notuje: „Dziś przed południem spędziłem trzy godziny w galerii i doszedłem do wniosku, że gdybym spośród wszystkich skarbów, które widziałem we Włoszech, miał wybrać jedną salę, wskazałbym na tę w tutejszej galerii, która zwie się Trybuną. Zawiera w swych ścianach *Wenus Medycejską*, *Exploratora*, *Zapaśnika*, *Tańczącego Fauna* i pięknego *Apollina*. Ciężar gatunkowy tych dzieł przewyższa, i to dość znacznie, *Laokoona* i *Apollina Belwederskiego* w Rzymie. Poza tym znajduje się tu jeszcze *Święty Jan* Rafaela i wiele innych *chefs-d'oeuvre*, największych mistrzów świata.” Warto zestawzić słowotok pana Pontifexa z rapsodami naszych współczesnych krytyków. Nie tak dawno ogólnie poważany pisarz oznajmił światu, że rzeźba Michała Anioła zrobiła na nim takie wrażenie, iż czuł „ochotę krzyczeć wniebogłosy z zachwytu”. Zastanawiam się, czy odczuwałby również ów wewnętrzny przymus krzyczenia na widok autentycznego Michała Anioła, lecz zdyskwalifikowanego przez krytykę jako falsyfikat, lub na widok obiektu powszechnie uznanego za dzieło Michała Anioła, którego twórcą był w istocie ktoś zupełnie inny. Wydaje mi się, że pedantyczni kabotyni, którzy mają więcej pieniędzy niż rozumu, byli przed sześćdziesięciu czy siedemdziesięciu laty tacy sami jak dziś.

Zwróćcie uwagę, co pisze Mendelssohn o tej samej sali, na którą Pontifex z taką pewnością postawił stawkę, ryzykując reputacją arbitra smaku i kultury. On również czuje się niemniej pewny i zapisuje: „Potem poszedłem do Trybuny. Salka ta jest tak uroczo mała, że można ją przemierzyć w piętnastu krokach, a przecież zawiera w sobie ogrom sztuki. Znowu wyszukałem sobie mój ulubiony fotel, ustawiony pod rzeźbą *Niewolnika ostrzającego nóż* (L'Arrotino), a kiedy w nim zasiadłem, mogłem przez kilka godzin oddać się rozkosznej sjeście, bo w zasięgu mego wzroku miałem *Madonnę del Cardellino*, *Papieża Juliusza II*, *Portret kobiety* Rafaela, ponad nim uroczą *Świątą rodzinę* Perugina, *Wenus Medycejską* tak blisko, że mogłem jej dotknąć, a tylko nieco dalej *Wenus* Tycjana... Przestrzeń między nimi zajmują inne obrazy Rafaela, portret pędzla Tycjana, jakiś Dominichino itd., itd., a wszystko to jest zamknięte w obwodzie tak małego półkola, że pomieszczenie to z powodzeniem mogłoby być zwyczajnym pokojem. Jest to miejsce, gdzie człowiek czuje swą nicość i uczy się pokory.” Dla ludzi pokroju Mendelssohna ta sala jest za śliska na naukę pokory. Z reguły na jeden krok w jej kierunku, cofają się dwa kroki wstecz. Zastanawia mnie, jak wysoką notę postawił sobie Mendelssohn za siedzenie przez dwie godziny w tym fotelu. Zastanawiam się, ile razy musiał zerkać na zegarek, czy już te dwie godziny minęły. Ciekawy jestem, ile razy powiedział do siebie, że w istocie rzeczy, gdyby prawdzie stało się zadość, on jest taką samą znakomitością jak ci, których dzieła ma przed sobą; ile razy zastanawiał się, czy zwiedzające osoby rozpoznały, kim on jest, i czy podziwiają go za tak długie siedzenie w tym samym fotelu, i ile razy był zły, że ludzie przechodzą nie zwracając na niego uwagi. Nie jest bynajmniej wykluczone, że gdyby prawda wyszła na jaw, okazałoby się, że do tych dwóch godzin coś niecoś brakowało.

Powracając do pana Pontifexa, naprawdę nie wiem, czy na serio, czy nie na serio upodobał sobie owe, w jego mniemaniu, arcydzieła sztuki greckiej i włoskiej, dość na tym, że przywiózł sobie kilka kopii, które, jego zdaniem, nie mam co do tego żadnych wątpliwości, wytrzymywały najsurowsze porównanie z oryginałami. Dwie takie kopie dostały się Teobaldowi przy podziale ojcowskiego umeblowania i widywałem je często w Battersby przy okazji mych wizyt u Teobalda i jego żony. Jedną z nich była *Madonna*. Sassoferrata w niebieskim welonie rzucającym cień na połowę jej twarzy. Druga wiernie odtwarzała *Magdaleny* Carlo Dolci, kobietę o bardzo pięknych włosach, z marmurową wazą w rękach. Za moich młodych lat uważałem te

obrazy za piękne, ale później, w miarę jak odwiedzałem Battersby, zacząłem odnosić się do nich z coraz większą odrazą i doświadczałem uczucia że na odległość paruje od nich Jerzym Pontifexern.: W końcu odważyłem się dla eksperymentu skrytykować je, zresztą niezbyt surowo, ale zarówno Teobald, jak i jego żona w tej samej chwili zmobilizowali swe siły przeciwko mnie. Choć ani jedno, ani drugie nie darzyło swego ojca i teścia sympatią, to nie mogło być mowy o podawaniu w wątpliwość jego znawstwa i nieprzeciętnych zdolności ani o podważaniu jego autorytetu jako człowieka obdarzonego absolutnym smakiem w sprawach literatury i sztuki, a dziennik, który prowadził w czasie swej zagranicznej podróży, był przekonywującym tego dowodem. Przytoczę z niego jeszcze jeden fragment, po czym pozostawię go jego własnym losom i powrócę do mej opowieści. W czasie pobytu we

Florencji pan Pontifex zanotował: „Właśnie widziałem wielkiego księcia i jego rodzinę, jak przejeżdżali w poszóstnych pojazdach, co zwróciło niemal tak znikomą uwagę przechodniów, jak gdyby chodziło o mnie, który jestem zupełnie nieznany w tym mieście.” Nie wydaje mi się możliwe, żeby choć trochę wierzył, że jest zupełnie nieznany we Florencji lub w ogóle gdziekolwiek.

ROZDZIAŁ V

Powiada się nam, że Fortuna jest zmienną i ślepą karmicielką, która na chybił trafił obsypuje darami swe dzieci. Ciężką krzywdę jej wyrządzamy dając wiare takiemu oskarżeniu. Proszę, idźcie śladem człowieka od kolebki aż do grobu i zwróćcie uwagę, jak obeszła się z nim owa boginka. Kiedy już wreszcie umarł, stwierdzicie, że przeważnie łatwo można ją oczyścić z zarzutu niestałości, albowiem jeżeli grzeszy niestałością, to tylko w sprawach całkiem błahych. Jej rzekoma ślepotą jest zmyśloną bajką, umie ona wysledzić swych ulubieńców na długo, zanim zjawią się na świecie. Jesteśmy jak „dziś”, a nasi rodzice są naszym „wczoraj”, lecz mimo pięknej aury i nieskazitelnego błękitu rodzicielskiego nieba, bystre oko Fortuny potrafi dostrzec nadchodzącą burzę, a wtedy ze śmiechem lokuje swych wybrańców, dajmy na to, na jednej z londyńskich ulic, a tych, których postanowiła zgubić, w królewskim pałacu. Rzadko mięknie jej serce dla tych, dla których od początku była skąpą karmicielką, rzadko zupełnie zawodzi swe ulubione dzieci.

Czy Jerzy Pontifex był wybrańcem Fortuny, czy nim nie był? Zważywszy wszystkie pro i contra skłonny jestem przyznać, że nim nie był, ponieważ sam siebie za takiego nie uważał. Był zresztą zbyt religijny, by uznawać Fortunę za bóstwo, a brał, co mu dawała, nigdy jej za nic nie dziękując, ponieważ był niezłomnie przekonany, iż wszystko, do czego doszedł, to jego własna zasługa. Tak było istotnie, ale to ona sama umożliwiła mu te zdobycze.

„*Nos te, nos facimus, Fortuna, deam*” — wołał poeta. „My sami, Fortuno, czynimy cię boginią.” Racja, lecz staliśmy się istotami zdolnymi do zrobienia z niej bóstwa tylko dzięki temu, że sama o to się postarała. Poeta milczeniem zbywa kwestię, w jaki sposób „my” staliśmy się takimi, jakimi jesteśmy. A może pewni ludzie są niezależni od antecedensów i otaczającego ich środowiska i mają w sobie jakąś pierwotną siłę, niezawisłą od żadnej przyczyny. Zagadnienie to uważa się raczej za trudne i lepiej go unikać. Dość na tym, że Jerzy Pontifex nie uważał się za szczęśliwego, a człowiek, który nie uważa się za szczęśliwego, jest nieszczęśliwy.

Prawda, był bogaty, był powszechnie poważany i cieszył się doskonałym zdrowiem. Gdyby mniej jadł i mniej pił, dni jego żywota upłynęłyby bez najlżejszej niedyspozycji. Siła jego polegała może na tym, że wprowadzie wybijał się ponad przeciętność, ale nie za wysoko. Wyższość nad innymi to niebezpieczna skała i wielu zdolnych ludzi o nią się roztrzaskało. Szczęściarz, któremu w życiu wszystko się udaje, widzi w sam raz o tyle więcej od swych sąsiadów, patrzących na to samo, ile mu potrzeba, ale przecież nie o tyle za dużo, żeby stać się dla nich zagadką. Bezpieczniej jest wiedzieć za mało niż za dużo. W pierwszym przypadku ludzie nie poskapią nagany, natomiast do wezwania, by zdobyli się na wysiłek pójścia w ślady dużo mądrzejszych od siebie, odniosą się zawsze z odrazą. Najlepszym przykładem zdrowego rozsądku, jakim błysnął pan Pontifex w sprawach związanych z prowadzeniem swego przedsiębiorstwa, a żadnego lepszego przykładu nie potrafię dziś wskazać, jest dokonana z jego inicjatywy rewolucja, która przeobraziła styl ogłoszeń reklamujących dzieła wydawane przez wspomnianą firmę. Kiedy przystępował do interesu w charakterze udziałowca, ogłoszenia te brzmiały:

„Książki, które są stosownym podarunkiem w okresie świątecznym: *Ołtarzyk wiejskiego parafianina* — zawiera przepisy na każdy dzień, zapewniające chrześcijaninowi pokój i powodzenie w ciągu wszystkich dni jego żywota, a mianowicie, jak spędzać niedziele; które księgi Pisma świętego należy przeczytać w pierwszej kolejności; całkowity kurs wychowania; krótkie modlitwy dla wzmocnienia najwyższych cnót ozdabiających duszę; dyskurs na temat

Wieczerzy Pańskiej; wskazówki, jak utrzymać duszę w prawości podczas choroby — w dziele tym zawarte są wszystkie reguły, których znajomość jest potrzebna do zapewnienia sobie zbawienia wiecznego. Wydanie ósme, powiększone. Cena: dziesięć pensów.

Osobom, które nabywają dzieło, żeby je rozpowszechnić, udziela się opustu."

W kilka lat po przystąpieniu Pontifexa do spółki tekst ogłoszeń streszczał się do:

„*Ołtarzyk wiejskiego parafianina*, wyczerpujący podręcznik chrześcijańskiego kultu.

Cena: dziesięć pensów.

Nabywcom dzieła w celu bezinteresownego kolportażu udziela się rabatu."

Zaiste, był to milowy krok w kierunku nowoczesności i rzeczywiście nie lada inteligencję trzeba było posiadać, by dostrzec niedorzeczność starego tekstu wtedy, kiedy nikt inny tego nie widział!

Czy Jerzy Pontifex miał więc jakąś szczelinę w swym pancerzu? W moim przekonaniu polegała ona na tym, że zbyt szybko zrobił karierę. Wszystko niemal wskazuje na to, że umiejętność korzystania z wielkiego bogactwa zależna jest od elementarnego przygotowania, które otrzymuje się w spadku od poprzednich pokoleń. Większość ludzi znosi przeciwności, dawkowane stopniowo, z daleko większą pogodą niż wielkie bogactwo nabyte w okresie jednego życia. Niemniej jednak ludziom, którzy swe życiowe sukcesy wyłącznie sobie mają do zawdzięczenia, pewien rodzaj szczęścia z reguły towarzyszy do końca. Dopiero ich dzieci w pierwszym, a czasem w drugim pokoleniu, narażone są na poważniejsze niebezpieczeństwo, gdyż ród, podobnie jak jednostka, nie potrafi powtarzać swych najwyższych wzlotów ani uniknąć przyływów i odpływów powodzenia, i dlatego można przyjąć jako zasadę, że im wyżej wzbiło się jakieś pokolenie, tym większe wycieńczenie następuje w następnej generacji, a to trwa tak długo, dopóki czas nie odnowi nadwerężonych sił. Zdarza się więc często, że wnuk szczęśliwego wybrańca losu dochodzi do lepszych rezultatów w życiu niż jego syn, bo duch bojowy, który wiódł dziadka, leżał odłogiem w jego synu, aż wreszcie, wypoczęty i gotów do nowego wysiłku, odrodził się we wnuku.

Co więcej, człowiek, któremu wyjątkowo powiodło się w życiu, ma w sobie coś z hybrydy: jest jakimś nowym stworzeniem, które powstało z zespolenia obcych sobie elementów, a wiemy doskonale, że reprodukcja nienormalnie wybujałych odmian — rośliny lub zwierzęcia — jeśli nawet zdarzy się, że nie są absolutnie bezpłodne, wcale nie jest prawidłem i nie można na nią liczyć.

Bez wątpienia Pontifex zabłysnął w życiu bardzo szybko. Niewiele jeszcze lat pracował w firmie w charakterze udziałowca, gdy wuj a ciotka zmarli w odstępie kilku miesięcy. Okazało się wtedy, że został ich jedynym dziedzicem. Stał się więc nie tylko jedynym właścicielem przedsiębiorstwa, ale na dodatek odziedziczył majątek wartości trzydziestu tysięcy funtów, co na owe czasy było sumą bardzo poważną. Pieniądze płynęły mu drzwiami i oknami, a im szybciej płynęły, tym bardziej je lubił, choć — jak często powtarzał — nie cenił ich nigdy dla nich samych, ale wyłącznie jako środek do zabezpieczenia bytu swych kochanych dzieci.

A jednak człowiekowi, który bardzo lubi pieniądze, niełatwo przychodzi zdobyć się na gorące uczucia do swych dzieci. Z dziećmi i z majątkiem jest zupełnie tak samo jak z Panem Bogiem i mamoną. Lord Macaulay w jednym ze swych dzieł przeciwstawia radości, których mogą dostarczyć nam książki, przykrościom, na które narażeni jesteśmy ze strony naszych znajomych. „Platon — powiada — nigdy nie jest ponury. Cenvantes nigdy nie jest rozdrażniony. Cycero nie poczuje się nigdy dotknięty różnicą zdań na tematy polityczne. Bossueta nie zgorszy żadna herezja." Pozwolę sobie zauważyć, że nie zgadzam się z lordem Macaulay w ocenie niektórych wymieniomych przez niego autorów, ale nie można odmówić słuszności jego podstawowej tezie, że nie potrzebujemy psuć sobie krwi z powodu tych pisarzy w stopniu

większym, niż mamy na to ochotę, podczas gdy z naszymi przyjaciółmi mamy często o wiele trudniejszą przeprawę. Kropla w kroplę takich samych uczuć doznawał Jerzy Pontifex w stosunku do własnych dzieci i własnych pieniędzy. Jego pieniądze nigdy nie były nieposłuszne, nigdy nie hałasowały i nigdy nie śmieciły, nie brudziły obrusa w czasie posiłków i nie zostawiały za sobą nie zamkniętych drzwi. Dywidendy pana Pontifexa nigdy nie kłóciły się między sobą i nie potrzebował dręczyć się, że jego kapitały hipoteczne po dojściu do pełnoletności pozwolą sobie na ekstrawaganckie wybryki, narażając go na długi, które prędzej czy później będzie musiał spłacić z własnej kieszeni. W Janku odzywały się skłonności, które mąciły Jerzemu spokój po nocach, a Teobald, jego drugi syn, był leniuchem i nierzadko poważnie mijał się z prawdą. Gdyby jego dzieci wiedziały, jakie myśli nurtują ich ojca, odpowiedziałyby prawdopodobnie, że ojculek swoich pie->niędzy nigdy nie uderzył, natomiast im nie żałował tęgich razów. W stosunku do pieniędzy Pontifex nigdy nie był zniecierpliwiony ani rozdrażniony i prawdopodobnie dlatego jego współżycie z nimi układało się tak nienagannie.

Należy pamiętać, że na początku dziewiętnastego stulecia stosunki między rodzicami a dziećmi dalekie były od poprawnych. Typ okrutnego ojca, opisany przez Fieldinga, Richardsona, Smoletta i Sheridaną, znikł wprawdzie ze współczesnej literatury, podobnie jak znikły owe pierwotne ogłoszenia firmy „Fairlie i Pontifex” o *Ołtarzyku wiejskiego parafianina*, ale natarczywość, z jaką ten typ powtarzał się w literaturze, dowodzi, że był wierną kopią rzeczywistości. W powieściach Jane Austen rodzice przestali być już tak dzikimi bestiami, jakimi byli u jej prekursorów, ale przecież i ona przyglądała się rodzicom nieufnie, a przykre uczucie, że *le pere de famille est capable de tout*, jest wyraźnie wyczuwalne w większości dzieł tej autorki. W czasach elżbietańskich stosunki między rodzicami a dziećmi układały się na ogół lepiej. U Szekspira synowie i ojcowie żyją w przyjaźni, a zło osiągnęło najwyższe natężenie obrzydliwości dopiero po długim okresie istnienia purytanizmu, który przyswoił umysłom żydowskie ideały i wdrożył w ludzi przekonanie, że są to wzory godne naśladowania w codziennym życiu. A jakież przykłady mogli rodzajowi ludzkiemu ofiarować Abraham, Jefta i Jonadab, syn Rechabowy? Jakże łatwo przychodziło naśladować i powoływać się na te pierwowzory w czasach, w których znaczna większość rozsądnych ludzi uważała, że każda zgłoska Starego Testamentu pochodzi *verbatim* z ust Bożych. Co więcej, purytanizm pozbawił ludzi pewnych naturalnych rozrywek, peany zastąpił trenami i zapomniał o odwiecznej prawdzie, że niektórym małym wykroczeniom nie wolno odmawiać sankcji.

Nie jest wykluczone, że pan Pontifex był surowszym ojcem dla swych dzieci niż jego sąsiedzi, ale na pewno nie odbiegał znacznie od normalnego poziomu. Dwa albo trzy razy w tygodniu, a bywało i znacznie częściej, dawał synom lanie, ale w tamtych czasach ojcowie nieustannie prali swych męskich potomków.

Nie sztuka być lepszym, kiedy wszyscy wokół są lepsi, ale — na szczęście czy na nieszczęście — skutków nic nie wiąże z moralną winą lub niewinnością sprawcy są one, bez względu na to, co się stało, tylko następstwem określonego czynu i niczym więcej. Analogicznie, moralna wina lub niewinność sprawcy jest całkowicie niezależna od rezultatów jego czynu, a problem winy sprowadza się do odpowiedzi na pytanie, czy dostateczna ilość rozumnych ludzi, postawiona w takich samych okolicznościach jak sprawca, postąpiłaby tak samo jak on. W tamtych czasach powszechnie uważano, że przesadne oszczędzanie pasa nie wychodzi dzieciom na dobre, a z wyroku św. Pawła nieposłuszeństwo wobec rodziców znalazło się w fatalnym towarzystwie. Z tego wynikało zupełnie jasno, że jeżeli dzieci zrobiły coś takiego, co nie odpowiadało gustom pana Pontifexa, grzeszyły wobec ojca nieposłuszeństwem. W takim przypadku rozumny człowiek miał tylko jedną drogę do wyboru. Polegała ona na zdławieniu samowoli, kiedy dzieci były jeszcze zbyt małe, aby mogły stawić mu skuteczny opór. Jeżeli

jednak uda się „okiełznać” ich charaktery w dzieciństwie — pozwoliłem sobie użyć modnego wówczas wyrażenia — posłuszeństwo staje się ich drugą naturą i można spać spokojnie, że do czasu pełnoletności nie ośmielą się więcej wykroczyć przeciwko temu przykazaniu. Potem niech robią, co im się żywnie podoba, bo wtedy Pontifex potrafi już przed nimi się obronić, ale do tego czasu on i jego pieniądze zdane były na ich łaskę i niełaskę w stopniu znacznie większym, niż miał na to ochotę.

Jakże mało wiemy o naszych myślach, o naszych odruchach, a cóż dopiero o naszych refleksach psychicznych. A człowiek chlubi się, że jest istotą świadomą. Przechwalamy się, że różnimy się od wiatrów i fal, spadających kamieni i roślin, które rosną nie wiedząc w jakim celu, i od zwierząt wiecznie goniących za żerem, które — jak sobie pochlebiamy — muszą obejść się bez światła rozumu. A czy my dokładnie zdajemy sobie sprawę z sensu i motywów naszego postępowania? Widzę sporo racji w twierdzeniu, z którym ostatnio wystąpiono, że to raczej nasze bezwiedne odruchy i bezwiedne myśli urabiają nas i tych, którzy od nas pochodzą.

ROZDZIAŁ VI

Pan Pontifex nie bardzo przejmował się pobudkami swego postępowania, bo w tamtych czasach ludzie nie byli tak introspektywnie nastawieni jak dziś i brali życie bardziej na zdrowy rozum. Nie zakiełkował wówczas jeszcze ów plon gorliwych myślicieli, który dzięki zapobiegliwym zasiewom dra Arnolda — obecnie zbieramy, i każdy uważał, że wolno mu żyć, jak mu się podoba, tym bardziej, jeżeli nic nie wskazywało na to, żeby miało mu to wyjść na złe. Ale wówczas, jak i dziś, ludzie wiktali się czasem w, następstwa daleko załośniejsze od tych, które spodziewali się osiągnąć.

Podobnie jak inni majątni ludzie na początku naszego stulecia, Pontifex jadł i pił znacznie więcej, niż wymagało zachowanie dobrego zdrowia. Nawet jego wyjątkowo silny organizm był bezradny wobec długotrwałych okresów przejedzenia i — nazywając rzecz jej dzisiejszym imieniem — także i przepicia. Wątroba Pontifexa zawodziła więc raz po raz i siadał wtedy do śniadania z żółtymi obwódkami pod oczami, a dzieci wiedziały, że muszą się mieć na baczności. Słów, które głoszą, że „ojcowie jedli grona cierpkie, a synów zęby ścierpnęły”, nie można uznać za obowiązującą regułę. Zamożni rodzice dość rzadko jedzą „cierpkie grona”, a niebezpieczeństwo dla dzieci przeważnie polega na tym, że rodzice zjedli za dużo bardzo słodkich winogron.

Pozornie może wydawać się wielką niesprawiedliwością, że za przyjemności rodziców pokutują dzieci, ale młodzi muszą pamiętać, że przez wiele lat byli częścią swych rodziców, a tym samym w osobach ojca i matki przypadła im w udziale nie tyle jaka porcja przyjemności. Jeżeli teraz tego nie pamiętają, znaczy to tylko tyle, że znaleźli się w takim samym położeniu co ludzie, którzy cierpią na ból głowy po nocnym pijaństwie. Człowiek, którego boli głowa z tego powodu, wcale nie uważa siebie za kogoś innego od człowieka, który upił się, i nie twierdzi, że karę powinno ponieść jego „ja” z wczorajszej nocy, a nie jego „ja” z dzisiejszego poranka. Całkiem tak samo potomstwo nie ma żadnych - podstaw do skargi na ból głowy, którego się nabawiło poprzez swych rodziców, bo zachowanie tożsamości, choć, być może, nie tak rzucające się w oczy jak w pierwszym przypadku, jest niemniej realne. Naprawdę przykra sytuacja powstaje dopiero wtedy, kiedy dzieci pokutują za przyjemności zaznane przez rodziców już po przyjsciu ich na świat.

W takich czarnych dniach pan Pontifex widział cały świat w ponurych barwach i powtarzał sobie, że mimo tak wielkiej miłości, jaką darzy swe dzieci, nie okazują mu one nawet odrobiny serca. Ba, czy można kochać człowieka, który ma chorą wątrobę? „Przecież — podnosił głos mówiąc do samego siebie — to podła niewdzięczność! I taki cios spotyka jego, który był tak idealnym synem, zawsze posłusznym i szanującym swych rodziców, a nie kosztował ich nawet jednej setnej tego, co on z taką hojną rozrzutnością wydaje na swych synów i swe córki. Zawsze powtarza się ta sama historia — mówił do siebie — im więcej dzieciom się daje, tym więcej żądają i tym mniej dziękują. Zrobiłem wielki błąd, bo byłem za pobłażliwy, ale nie żałuję, choć uczyniłem dla nich więcej, niż do mnie należało. Jeżeli nie wypełniają swych obowiązków jak należy, jest to ostatecznie ich własna sprawa, z której zdadzą rachunek przed Bogiem. Ja przynajmniej mam czyste sumienie. A mogłem, gdybym tylko zechciał, drugi raz się ożenić i zostać ojcem, tym razem, być może, bardziej kochającej rodziny” itd., itd. Litował się nad sobą, że wychowanie dzieci tak dużo go kosztuje, lecz nie wiedział, że one za swe wychowanie płacą daleko wyższą cenę od niego, bo płacą za nie zdolnością łatwego i samodzielnego zarobienia na życie, a to powoduje, że przez wiele długich lat, nawet już po

osiągnięciu wieku, w którym, powinny być całkowicie samodzielne, ich egzystencja zależy od kaprysów ojca. Chłopiec po ukończeniu szkół ma odcięty odwrót i nie może zostać robotnikiem lub mechanikiem, a przecież to są jedyni ludzie w ścisłym tego słowa znaczeniu niezależni, z wyjątkiem oczywiście tych, którzy odziedziczyli duży majątek, oraz tych, którym już za młodu przygotowano bezpieczną drózkę życia. Pan Pontifex nie widział tego wszystkiego, a to, co widział, streszczało się do smutnego przeświadczenia, że wydawał na swe dzieci znacznie więcej, niż mogły go do tego zmusić obowiązujące ustawy, a w takim razie, czy można wymagać od niego czegoś więcej? Przecież mógł, gdyby tylko zechciał, oddać swych synów na praktykę do handlarza zieleniną. Możliwość takiego obrotu sprawy była jego ulubionym tematem, kiedy był w złym humorze. Prawda, nie oddał ich nigdy na praktykę do sklepiku warzywnego, ale chłopcy, wymieniając poglądy na to zagadnienie, dochodzili często do wniosku, że źle się stało, iż nie wykonał tego zamiaru.

Innym razem, kiedy jego samopoczucie było nie najlepsze, zdobywał nad nimi przewagę, drażniąc się z nimi figlarnie swoim testamentem. W wyobraźni wydziedziczał kolejno jedno po drugim i przeznaczał wszystkie swe pieniądze na budowę przytułków, aż w końcu czuł się zmuszony przywrócić je do łask, w pierwszym rzędzie w tym celu, żeby mieć przyjemność ponownego ich wydziedziczenia przy najbliższej okazji, kiedy znowu będzie wściekły.

Młodzi ludzie, podporządkowując swe postępowanie nadziejom na spadek po osobach żyjących, postępują bardzo nierozsądnie i muszą liczyć się z tym, że ostatecznie źle się to dla nich skończy. Z drugiej strony nieustanne żonglowanie i szantażowanie testamentami prowadzi do takich nadużyć i stało się narzędziem tak nieznośnej tortury, że gdybym miał władzę, ogłosiłbym ustawę, na mocy której każdy, kto dopuścił się tych przestępstw, zostałby pozbawiony na okres trzech miesięcy od daty ich popełnienia prawa do rozporządzania swym majątkiem mocą testamentu. Gdyby zaś zmarł właśnie w okresie zawieszenia jego prawa do ważnego oświadczenia swej ostatniej woli, sąd, który go skazał, powinien mieć prawo rozporządzania jego majątkiem według własnego uznania.

Pan Pontifex zapraszał obu chłopców do salonu.

— Kochany Janku, kochany Teobaldzie — tak zwykł przemawiać — spójrzcie na mnie. Kiedy wstępowałem w życie, mój cały kapitał składał się tylko z tego, co miałem na sobie i w czym ojciec i matka wysłali mnie do Londynu. Ojciec dał mi dziesięć szylingów, matka dołożyła pięć szylingów kieszonkowego i uważałem, że byli dla mnie nadzwyczajnie hojni. W ciągu całego mego życia nie zwróciłem się do ojca z prośbą nawet o jednego szylinga i nigdy nie dostałem od niego nic poza skromną sumką, którą zechciał mi wypłacać miesięcznie, dopóki nie zarobiłem mej pierwszej pensji. Ja torowałem sobie drogę w życiu bez niczyjej pomocy i tego samego oczekuję od mych dzieci. Wybijcie sobie raz na zawsze z głowy, że będę mordować się przez całe życie dla mocno wątpliwego zaszczytu, żeby ciężko zarobione przeze mnie pieniądze wydali zamiast mnie moi synowie. Jeżeli chcecie mieć pieniądze, musicie je zarobić sami, tak jak ja sam je zarobiłem, i daję wam uroczyste słowo honoru, że nie zostawię żadnemu z was złamanego pensa, jeżeli nie udowodnicie mi swym postępowaniem, że na to zasłużyliście. A w ogóle wydaje mi się, że dzisiejsza młodzież liczy na luksusy i wygody, o których za moich młodych lat nikomu się nie śniło. Sami pomyślcie, mój ojciec był tylko stolarzem, a ja posyłam was do szkół pry-watnych, co mnie kosztuje rocznie kilka ładnych setek, podczas gdy ja w waszym wieku musiałem harować za biurkiem w kantorze wuja Fairlie. Czegóż nie potrafiłbym dokonać, gdybym miał wtedy choćby połowę tych ułatwień, które wy macie? Gdybyście zostali książętami, ba, gdybyście zostali władcami nowych imperiów w nie odkrytych jeszcze krainach, śmiem twierdzić, że nawet wtedy, porównując moje i wasze możliwości, nie dokonalibyście jeszcze tego, czego ja dokonałem. Nie, to przechodzi wszelkie granice, przeprowadzę was przez

szkołę, dam wam wyższe wykształcenie, a potem musicie radzić sobie sami.

W ten sposób doprowadzał się stopniowo do stanu tak świętego oburzenia, że z miejsca dawał chłopcom lanie pod pierwszym lepszym pretekstem, który mu w danej chwili wpadł do głowy.

A jednak zważywszy, jak innym dzieciom się wiodło, małym Pontifexom dopisało wyjątkowe szczęście. W zestawieniu z nimi dzieciom powodziło się gorzej w dziesięciu rodzinach, a tylko w jednej miały się lepiej od nich. Jadły dobrze i zdrowo, spały w wygodnych łóżkach, w czasie choroby miały zapewnioną opiekę najlepszych lekarzy i otrzymały najlepsze wykształcenie, jakie można było zdobyć za pieniądze. Wszystko wskazuje na to, że brak świeżego powietrza nie posiada istotnego wpływu na szczęście dzieci z londyńskiej ulicy: bawią się i śpiewają, jak gdyby znajdowały się na szkockim wrzosowisku. Tak samo zresztą nie zdołają rozpoznać braku pobudzającej atmosfery intelektualnej, jeżeli nigdy jej nie zaznały. Nasza dziatwa posiada godną podziwu zdolność albo umierania, albo przystosowania się do otoczenia. A nawet jeżeli dzieci są nieszczęśliwe — bardzo nie- szczęśliwe — z nieopisaną łatwością można im przeszkodzić w wykryciu tego faktu albo wytłumaczyć, że jedyną jego przyczyną są ich własne grzechy.

Rodzicom, którzy pragną mieć spokojne życie, służę taką radą: powiedzcie swym dzieciom, że są bardzo - niegrzeczne, znacznie bardziej niegrzeczne od innych dzieci. Pokażcie im wśród swych znajomych jakieś wzory doskonałości i nie zapomnijcie wpoić w nie głębokiego przekonania o ich niższości. Możecie strzelać do nich z tyłu armat, że ich opór będzie daremny. Nazywa się to wpływem moralnym i umożliwi wam mydlenie im oczu, ile wasza dusza zapagnie. Uważają was za mędrców, a nie zdążyły jeszcze złapać was na tyłu kłamstwach, by powziąć podejrzenie, że nie jesteście wcale tak nieziemsko wrażliwi i skrupulatni na punkcie prawdy, jak to głosicie. Nie zdołały się również przekonać, że w istocie rzeczy jesteście wielkimi tchórzami i czmychniecie w popłochu, ledwo napotkacie z ich strony na wytrwały i zdecydowany opór. Kości są w waszym ręku, rzucacie je za siebie i za wasze dzieci. Dobierzcie je dokładnie, bez żadnych trudności potraficie przeszkodzić w porę, gdyby dzieciom przyszło do głowy je sprawdzić. Mówcie, im, jak bardzo jesteście pobłażliwi, podkreślajcie z naciskiem nieobliczalne dobrodziejstwo, które im wyświadczyliście, po pierwsze, dlatego, że w ogóle dzięki wam przyszły na świat, a po drugie, i co ważniejsze, że przyszły na świat jako wasze dzieci, a nie innych rodziców. Ile razy zdarzy się, że jesteście w złym humorze, powiedzcie im, że jego przyczyną jest wyłącznie wasza troska o ich dobro, wobec czego dla spokoju waszej skolataniej duszy musicie skończyć z dotychczasową delikatnością. Powtarzajcie aż do znudzenia, że chodzi tylko i wyłącznie o ich własne dobro. Jedyną strawą duchową waszych dzieci niech będą wypróbowane środki przeczyszczające w rodzaju *Opowiadań niedzielnych* nieboszczyka biskupa Winchestera. Macie w swym ręku wszystkie atuty, a jeśli nawet ich nie macie, możecie je zręcznie ukraść. Zagrajcie przeciwko nim w cokolwiek, byleby stanowczo, a znajdziecie się na czele rodzin szczęśliwych, zespolonych i bogobojnych, być może nawet w takim stopniu, jak to przypadło w udziale memu staremu przyjacielowi Jerzemu Pontifexowi. Zapewne, pewnego dnia waszym dzieciom uda się to wszystko zdemaskować, ale będzie już wtedy za późno, żeby im to mogło wyjść na dobre, a wam przysporzyć kłopotu.

Niektórzy satyrycy rozdierali szaty nad losem człowieka, bo rzekomo wszystkie przyjemności są wyłącznym przywilejem wczesnych lat naszych, a potem musimy patrzeć, jak te przyjemności błędą i giną, aż zostajemy wreszcie sam na sam ze smutkami zgrzybiałej starości.

Wydaje mi się, że młodość jest jak wiosna, ta przesadnie rozślawiona pora roku, rozkoszna, jeżeli traf zdarzy, że jest ładna, ale w praktyce niezmiennie rzadko bywa ładna i z reguły przynosi nam w darze przejmujące wiatry wschodnie, a nie przyjemny powiew rzeńskiego

wietrzyku. Jesień jest bardziej soczysta, co straciliśmy na kwiatach, zyskujemy na owocach. Dziewięćdziesięcioletni Fontenelle na pytanie, w którym okresie życia był najszczęśliwszy, odpowiedział, że wydaje mu się, iż" nigdy dotąd nie był szczęśliwszy, ale najlepsze swe lata przeżył przypuszczalnie między pięćdziesiątym piątym a siedemdziesiątym piątym rokiem życia. Dr Johnson również wyżej cenił przyjemności starości od uroków młodości. Zapewne, w starości śmierć często zagląda nam w oczy i jak miecz Damoklesa może spaść na nas w każdej chwili, ale w tym wieku dawno doszliśmy do przekonania, że w życiu więcej się boimy, niż cierpimy, i dawno upodobniliśmy się do ludzi, którzy mieszkając u podnóża Wezuwiusza godzą się z tym bez wielkiego niepokoju.

ROZDZIAŁ VII

Większość młodych ludzi, o których wspominałem w poprzednim rozdziale, można scharakteryzować w paru słowach. Dwie najstarsze dziewczynki, Eliza i Maria, ani naprawdę ładne, ani naprawdę brzydkie, były w każdym calu wzorowymi młodymi pannami, natomiast Aletea odznaczała się wyjątkową urodą oraz żywym i wrażliwym usposobieniem, które jaskrawo odbijało od charakterów jej sióstr i braci. Było w niej coś z dziadka, nie tylko w wyrazie twarzy, ale w zamiłowaniu do wesołości i żartu, z którego jej ojciec był całkowicie wyprany, choć jego rubaszna i dość ciężka wesołość, będąca jakąś imitacją humoru, zyskała mu u wielu osób opinię człowieka dowcipnego.

Jan wyrósł na przystojnego, dobrze ułożonego chłopca, o rysach za regularnych i za ładnie wyrzeźbionych. Ubierał się bardzo starannie, obojęcie miał nienaganne, a do książek przykładał się tak pilnie, że niebawem stał się ulubieńcem nauczycieli, ale jednocześnie był urodzonym dyplomata i cieszył się daleko mniejszą popularnością wśród kolegów. Ojciec, choć i jemu od czasu do czasu nie oszczędzał swych umoralniających kazań, był z syna, kiedy mu trochę lat przybyło, w pewnym sensie dumny. Co więcej, liczył, że wyrosnie z niego rasowy człowiek interesu, w którego rękach pozycja firmy będzie bezpieczna. Janek wiedział dobrze, jak ojca udobruchać, i już w stosunkowo młodym wieku dostąpił nie lada zaszczytu, bo ojciec darzył go takim zaufaniem, na jakie go było stać wobec ludzi.

Jego brat, Teobald, nie dorównywał mu pod żadnym względem, zdawał sobie zresztą z tego sprawę i całkowicie pogodził się ze swym losem. Nie był ani tak przystojny, ani tak dobrze ułożony jak jego starszy brat. Jako dziecko był niezwykle pobudliwy, ale teraz, skrepowany i nieśmiały, stał się, że się tak wyrażę, mizerakiem z ciała i ducha. Ustępował Jankowi w zamiłowaniu do porządku, nie umiał tak dbać o swoje interesy i nie posiadał jego zręczności w spełnianiu kaprysów ojca. Nie wydaje mi się, by potrafił pokochać kogokolwiek ze szczerego serca, ale przyznać trzeba, że w kręgu jego rodziny wszyscy dość zgodnie tłumili jego uczucia i nikt z jego najbliższych nie wyszedł mu naprzeciw, z wyjątkiem jednej Aletei, ale i ona była zbyt żywa i zbyt bystra jak na jego dość ślamazarne usposobienie. Zawsze był kozłem ofiarnym i nieraz sobie myślałem, że Teobald ma dwu ojców, z którymi musi się borykać — ojca i brata, a można było doliczyć się jeszcze trzeciego i czwartego „ojca” w osobach Elizy i Marii. Możliwe, że niewola nie ciążyła mu zbyt dotkliwie, i dlatego pogodził się ze swym jarzmem, ale tak czy owak był organicznie bojaźliwy, a twarda ręka ojca przykroiła go dokładnie na miarę pozornej niezakłóconej harmonii, w jakiej współżył z siostrami i bratem.

Pod jednym względem chłopcy byli dla ojca pożyteczni. Chodzi mi o to, że mógł ich wygrywać przeciwko sobie. Pieniądze na drobne wydatki wydzielał im obu jednakowo skąpo — i w związku z tą kwestią Teobaldowi przemawiał do sumienia, że prawa majątkowe jego starszego brata są absolutnie bezsporne, a natomiast wobec Janka podkreślał z całym naciskiem, że rodzina jest tak liczna i tak dużo go kosztuje, iż po jego śmierci mało co zostanie do podziału. Nie obchodziło go wcale, czy chłopcy konfrontują jego wypowiedzi między sobą, byle tylko nie działało się to w jego obecności. Teobald nigdy nie skarżył się za plecami ojca. Wątpię, czy istniał ktoś, kto znał Teobalda tak blisko jak ja — jakkolwiek wcale nie jestem pewny, czy tego człowieka można było znać blisko — zarówno wtedy, kiedy był jeszcze dzieckiem, jak potem w szkole oraz w Cambridge, ale niezmiernie rzadko mówił do mnie o swym ojcu, nawet za jego życia, a później nie słyszałem z jego ust nawet najmniejszej wzmianki na jego temat. W szkole nie odnoszono się do niego wprawdzie z tak otwartą niechęcią jak do jego brata, ale był

nierozgarnięty i nienaturalny w zachowaniu, więc nie zyskał sobie popularności.

Nie wyrósł jeszcze z dziecięcych sukienek, a już. postanowiono, że zostanie pastorem. Wypadało, żeby pan Pontifex, powszechnie znany wydawca książek religijnych, przynajmniej jednego ze swych synów poświęcił Kościołowi, co powinno firmie przysporzyć dochodów, a w każdym razie nie dopuścić do ich zmniejszenia. Wspomnieć również trzeba, że pan Pontifex był tak czy inaczej powiązany z biskupami i dostojnikami Kościoła, więc mógł liczyć, że dzięki jego wpływowi syn będzie miał ułatwiony dostęp do wyższych szczebli hierarchii kościelnej. Od wczesnego dzieciństwa nie ukrywano przed chłopcem jego przeznaczenia i uznano, że wobec jego zgody rzecz jest praktycznie przesądzona. Nie zaniebano przecież stworzyć mu pozorów swobody. Pan Pontifex zwykł był mówić, że jedyną słuszną drogą jest pozostawienie chłopcu swobodnej decyzji, a jego aż nazbyt silne poczucie sprawiedliwości nie pozwoli mu żywić do syna najmniejszej urazy, gdyby zechciał z tego prawa skorzystać. Odczuwał najwyższy wstęt — w tym miejscu podnosił głos — do zmuszania syna siłą do wyboru zawodu, którego nie lubił. Był daleki od wywierania choćby najmniejszego nacisku na syna w kwestii jego przyszłości, a cóż dopiero gdy w grę wchodzi tak święte powołanie jak stan duchowny. Przemawiał w takich słowach, kiedy w domu byli goście, a syn był obecny w pokoju. Mówił z gorącym przekonaniem, a jego różowy podbródek i łysina wyglądały nader dobrodusznie, więc nie można się dziwić, że słuchacze byli porwani. Zdaje mi się, że dwie albo trzy głowy rodzin z sąsiedztwa pozostawiły synom swobodę wyboru zawodu, i tak mi coś wygląda, że miały później poważne powody do żalowania tego kroku. Goście, widząc nieśmiałość Teobalda i stwierdzając, że ów imponujący pokaz troski o spełnienie jego życzeń nie robi na nim najmniejszego wrażenia, — mówili sobie po cichu, że chłopcu daleko do takiego ojca, i mieli go za ostatniego niedorajdę, któremu przydałoby się trochę iskry bożej i oleju w głowie, żeby należycie ocenił, co posiada.

Nikt równie mocno nie wierzył w słusność takiego postawienia sprawy jak sam chłopiec. Poczucie wewnętrznej niepokoju zamknęło mu usta, a było ono za głębokie i za trwałe, by mógł je sobie uświadomić i dzięki temu dojść ze sobą do ładu. Ogarniał go lęk na widok posępnej chmury, która wstępowała na ojcowskie oblicze przy najmniejszym oporze z jego strony. Prawdopodobnie chłopiec silniejszy od Teobalda nie brałby okrutnych gróźb i brutalnych szyderstw ojca *au serieux*, ale Teobald nie należał do silnych chłopców i święcie wierzył, że ojciec naprawdę gotów jest wprowadzić je w czyn. Oporem nigdy niczego nie wskórał, zresztą uległością też niczego nie osiągnął, z wyjątkiem tych przypadków, kiedy to, czego chciał, pokrywało się dokładnie z życzeniami ojca. Jeżeli w ogóle kiedykolwiek myślał o oporze, teraz już całkiem mu to przeszło, i w konsekwencji woła oporu, nigdy nie ćwiczona, obumarła tak doszczętnie, że nie pozostawiła po sobie nawet pragnienia protestu. Pozostała mdła aprobata osła kulącego się pod podwójnym brzemieniem. Nie jest wykluczone, że posiadał jakieś niejasne poczucie ideałów, które dla niego już przeminęły. Być może, że czasem marzyło mu się, że jest żołnierzem albo marynarzem w dalekich krainach, albo nawet synem zwykłego farmera karczującego lasy, lecz była w nim pustka, która przekreślała jakąkolwiek możliwość urzeczywistnienia marzeń, i dlatego płynął z tym jakimś swoim prądem, leniwym i — aż przykro powiedzieć — porządnie zamulonym.

Odnoszę wrażenie, że katechizm w znacznej mierze przyczynił się do nieszczęśliwych stosunków, jakie nawet dziś jeszcze, i to dość powszechnie, panują między rodzicami i dziećmi. Dzieło to zostało napisane z punktu widzenia rodziców, a jego twórca nie zadał sobie trudu przywołania do pomocy choćby kilkorga dzieci i na pewno nie był młody. Trudno mi uznać tę książkę za twórcę osoby darzącej dzieci prawdziwą miłością, mimo słów „moje dobre dziecko”, które, jeżeli pamięć mnie nie myli, raz jeden zostały wtłoczone w usta katechety, i koniec końców brzmią bardzo nieprzyjemnie. Lektura katechizmu pozostawia dzieci pod nieodpartym

wrażeniem, że chrzest nie dość starannie zmył zmazę grzechu pierworodnego, a świadomość, że się jest młodym, posiada cierpki posmak, wskazujący na mniej lub więcej wyraźny związek z samą istotą grzechu.

Gdyby kiedyś okazało się, że potrzebne jest nowe wydanie tego dzieła, z prawdziwą przyjemnością uzupełniłbym go ustępem, w którym z naciskiem wskazałbym, że człowiek ma obowiązek dążyć do każdej rozsądnej przyjemności, a unikać każdej przykrości, której można z honorem uniknąć. Chciałbym zobaczyć na własne oczy, jak się uczy dzieci, aby nigdy nie mówiły, że coś im się podoba wbrew temu, co naprawdę czują, a tylko dlatego, że z ust pewnej kategorii osób słyszą słowa zachwyty — oraz jak wielką głupotą jest twierdzić, że się wierzy w to czy tamto, jeżeli się z tego nic a nic nie rozumie. A gdyby ktoś chciał podnieść zarzut, że tak uzupełniony katechizm stanie się zbyt rozwlekły, skróciłbym wynurzenia na temat naszych obowiązków wobec bliźnich oraz sakramentów. W miejsce ustępu rozpoczynającego się od słów: „łaknę Pana Naszego, Ojca Niebieskiego”, zaprop... ale chyba lepiej będzie, jeżeli zajmę się losami Teobalda, a opracowanie nowej redakcji katechizmu pozostawię osobom bardziej ode mnie do tego powołanym.

ROZDZIAŁ VIII

Pan Pontifex mocno wziął sobie do serca, żeby jego syn, zanim zostanie duchownym, ukończył wyższe studia i uzyskał asystenturę na uniwersytecie. Asystentura z miejsca rozwiązywała sprawę utrzymania chłopca, a w przyszłości zapewniała mu otrzymanie parafii na wypadek, gdyby duchowni, przyjaciele ojca, zawiedli. Plan był realny, bo Teobald spisał się w szkole wcale nieźle, więc wysłano go do jednego z mniejszych zakładów naukowych w Cambridge i postarano się o najlepszych prywatnych profesorów do opieki nad jego nauką. Mniej więcej na rok przed ukończeniem przez niego studiów wprowadzono nowy system egzaminacyjny, dzięki któremu widoki młodego człowieka na uzyskanie asystentury znacznie wzrosły, bo — nie wchodząc, jak tam było naprawdę z talentami Teobalda — wykazywał on w każdym razie pewne uzdolnienia raczej do przedmiotów klasycznych niż matematycznych, a właśnie wtedy położono większy nacisk niż dotychczas na kierunek klasyczny.

Teobald rozsądnie zorientował się, że ma szanse zdobyć niezależność, jeżeli weźmie się do roboty, a myśl, że zwiąże się z uniwersytetem, bardzo go pociągała. Przyłożył się do nauki uczciwie i w rezultacie studia ukończył, a tym samym otrzymanie asystentury stało się według wszelkiego prawdopodobieństwa tylko kwestią czasu. Pontifex-senior był chwilowo z niego rzeczywiście zadowolony i zapowiedział synowi, że otrzyma w prezencie *Dziela*

wszystkie tego z uznanych pisarzy, którego sam wybierze. Młody człowiek wybrał Bacona i zgodnie z jego wolą zjawił się Bacon w dziesięciu pięknie oprawnych tomach.. Bliższe oględziny wykazały jednak, że egzemplarze były używane.. Teraz, kiedy był już po dyplomie, następną sprawę, z którą trzeba było zmierzyć się twarzą w twarz, były święcenia kapłańskie, a Teobald myślał o nich jak dotąd bardzo mało, właściwie poprzestał na, przyjęciu ich do wiadomości, jak gdyby chodziło o. coś, co jest samo przez się zrozumiałe i co pewnego dnia i tak niechybnie się stanie. Teraz już to nadeszło i piętrzyło się przed nim, oddalone zaledwie o kilka miesięcy, a więc ogarnęła go trwoga, bo nie było żadnej drogi wyjścia, jeżeli już raz przyjęło się. święcenia. Perspektywa zarówno bliskich, jak i odległych święceń była mu jednakowo niemiła i podjął nawet jakieś wstępne próby wydostania się z. matni, o czym można przekonać się z jego listów, pisanych na papierze o złoconych brzegach atramentem, dziś już wyblakłym, które jego syn Ernest znalazł porządnie związane tasiemką wśród papierów po ojcu. Nie zmieniłem ani słowa. A oto owe listy:

Kochany Ojcze! Z przykrością poruszam sprawę, która uchodziła za postanowioną, ale im mniej pozostaje czasu, tym więcej zaczynają trapić mnie wątpliwości, czy naprawdę nadaję się na duchownego. Proszę mnie źle nie rozumieć, z prawdziwą wdzięcznością mogę wyznać, że nie mam najmniejszych zastrzeżeń do Kościoła anglikańskiego i gotów jestem całym sercem podpisać się pod każdym z trzydziestu dziewięciu artykułów, które uznaję za *nec plus ultra* ludzkiej mądrości, a również Paley, moim zdaniem, nie posiada słabych stron, które mógłby wykorzystać przeciwnik. Jestem pewny jednak, że postąpiłbym wbrew Twoim życzeniom, Ojcze, gdybym ukrył przed Tobą, że nie czuję wewnętrznego powołania do poświęcenia się służbie Ewangelii, a przecież kiedy biskup będzie mi udzielać święceń kapłańskich, będę musiał powiedzieć, że takie powołanie odczuwam. Staram się zasłużyć na to uczucie, modłę się o nie żarliwie i czasem na poły mi się wydaje, że już się odezwało, ale wkrótce znowu się zaciera. Jakkolwiek nie czuję zdecydowanej niechęci do zostania pastorem i wierzę głęboko, że gdybym został duchownym, starałbym się z całych sił żyć dla chwały Bożej i dbać o sprawy Pana Naszego na ziemi, to jednak przenika mnie myśl, że potrzeba mi czegoś więcej, bym bez reszty

był godny zostać sługą Kościoła. Świadom jestem, jak wielkie wydatki poniosłeś na mnie, Ojcze, nawet jeżeli uwzględni się pomoc materialną, którą dzięki mej własnej pilności zdołałem uzyskać od szkoły, ale jednocześnie pamiętam, że Ojciec napominał mnie stale, bym szedł za głosem mego sumienia, a ono mówi mi, że zrobię źle, jeżeli zostanę pastorem. Może zresztą Bóg ześle mi jeszcze ową moc wewnętrzną, o którą, zapewniam Cię, Ojcze, modliłem się i modłę nieustannie, ale jeżeliby miał mi jej odmówić, czy nie byłoby wtedy dla mnie lepiej, gdybym rozejrzał się i spróbował czegoś innego?

Zdaję sobie sprawę, że zarówno Ojciec, jak i Janek jesteście przeciwni memu wejściu do firmy, i rzeczywiście o interesach nie mam pojęcia, ale czy nie ma dla mnie jakiegoś innego zajęcia? Całkiem nie po mojej myśli byłoby prosić Ojca o łożenie na moje utrzymanie w czasie moich studiów medycznych lub prawniczych, ale kiedy otrzymam asystenturę, co prawdopodobnie nastąpi już wkrótce, dołożę sił, żeby nie być dla Ojca ciężarem, a będę mógł sobie dorobić trochę pieniędzy pisaniami i korepetycjami. Wierzę, że Ojciec nie będzie miał do mnie pretensji o ten list, bo niczego tak bardzo nie pragnę, jak oszczędzić Mu nawet najmniejszej troski. Mam nadzieję, Ojcze, że zechcesz poświęcić trochę czasu i uwagi moim obecnym uczuciom, bo dyktuje mi je szacunek dla mego sumienia, szacunek, który przecież Ty sam we mnie wpoiliś. Proszę choćby o krótką, ale szybką odpowiedź. Mam nadzieję, że z przeziębieniem Ojca jest już lepiej. Ściskam Elizę i Marię. Twój kochający syn

Teobald Ponttiex

Kochany Teobaldzie! Potrafię wgłębić się w Twoje uczucia i nie mam zamiaru brać Ci za złe, że dałeś im wyraz. Jestem zdania, że to, co czujesz, jest słuszne i całkiem naturalne i powinieneś tak czuć, z wyjątkiem tylko tego, co dotyczy jednego zwrotu, którego niestosowność, jeżeli zechcesz się zastanowić, bez wątpienia rzuci Ci się w oczy, a nie chcąc do tej sprawy więcej powracać powiem krótko, że dotknął mnie on boleśnie. Nie wolno Ci było pisać, „nawet jeżeli uwzględni się pomoc materialną, którą dzięki mej pilności zdołałem uzyskać od szkoły”. Zwyczajna przyzwoitość nakazywała, że jeżeli mogłeś w jakikolwiek sposób ulżyć mi w ponoszeniu ciężarów na Twoje wykształcenie, pieniądze powinny, jak to zresztą miało miejsce, wrócić do mnie. Każde słowo Twego listu stanowi dla mnie przekonujący dowód, że o władnę Tobą chorobliwe przeczulenie, a to jest ulubiony fortel, przy pomocy którego szatan wodzi ludzi na pokuszenie, by wciągnąć ich w przepaść zagłady. Poniosłem, jak sam przyznajesz, bardzo wielkie wydatki, żeby dać Ci wykształcenie. Nie żałowałem niczego, żeby stworzyć Ci warunki, które z racji mego stanowiska w społeczeństwie uważam za odpowiednie dla mego syna, ale nie mogę obojętnie patrzeć, że chcesz te pieniądze wyrzucić w błoto i zacząć wszystko jeszcze raz od samego początku tylko dlatego, że nabiłeś sobie głowę nierozsądnymi skrupułami, które powinieneś zwalczać, bo krzywdzą zarówno Ciebie, jak i mnie.

Nie daj się unieść prądowi gorączkowej pogoni za nowością, która, jak zły jad, gubi w naszych czasach tyle osób obojga płci.

Oczywiście, święceń przyjmować nie musisz, nikt Cię do tego nie zmusza, masz całkowitą swobodę. Masz już dwadzieścia trzy lata i sam musisz wiedzieć, czego chcesz. Trzeba było tylko powiedzieć o tym wcześniej, zamiast bez najmniejszego sprzeciwu milczeć jak zaklęty przez tyle lat, w ciągu których poniosłem na Twoje wykształcenie tak wielkie wydatki, czego na pewno nie uczyniłbym, gdybym nie był zupełnie pewny, że jesteś zdecydowany na święcenia kapłańskie. Posiadam Twoje listy, w których dajesz wyraz niezłomnemu postanowieniu przyjęcia święceń, a Twój brat i siostry mogą dać świadectwo moim słowom, że nikt nie wywierał na Ciebie najmniejszej presji. Jesteś w błędzie co do własnych chęci i ulegasz nerwowej bojaźni, która, być może, jest całkiem naturalna, co nie przeszkadza jednak, że może okazać się brzemienna w najbardziej poważne konsekwencje dla Ciebie samego. Nie czuję się jeszcze

dobrze, a Twój list tak mnie zmartwił, że oczywiście wpłynęło to ujemnie na stan mego zdrowia. Niech Bóg natchnie Cię światłem rozumu. Twój kochający ojciec

J. Pontifex

Po otrzymaniu tego listu Teobald podźwignął się na duchu. „Ojciec — mówił sobie — powiada mi, że nie muszę przyjmować święceń, jeżeli nie mam ochoty.” Nie mam ochoty, a więc z tego wynika, że nie będę wyświęcony. Ale co znaczą owe słowa: „brzemienna w najbardziej poważne konsekwencje dla Ciebie samego”? Czy pod ich osłoną czai się groźba tak samo niepojęta jak one same? Czy zmierzają do wywołania wszystkich skutków groźby, choć na razie nie grożą?

Teobald znał ojca zbyt dobrze, by można uwierzyć, że źle zrozumiał, o co ojcu chodziło, ale ośmielił się posunąć swój sprzeciw już tak daleko i miał wielką ochotę uniknąć święceń, gdyby tylko to było możliwe, więc postanowił posunąć swą śmiałość jeszcze dalej. Napisał więc tak:

Kochany Ojcze! Piszesz.— za co Ci jestem wdzięczny z całego serca — że nikt nie będzie mnie zmuszać do przyjmowania święceń. Wiedziałem, że Ojciec nie będzie przymuszał mnie do stanu duchownego, jeżeli to wywołuje stanowczy sprzeciw mego sumienia. Postanowiłem więc, odstąpić od tego zamiaru. Jeżeli zechcesz, Ojcze, nadal dawać mi tyle, ile dajesz mi teraz, aż do czasu uzyskania asystentury, co powinno już wkrótce nastąpić, przestanę wówczas narażać Cię na dalsze wydatki. W sprawie wyboru mego przyszłego zawodu postanowię tak szybko, jak tylko to będzie możliwe, i natychmiast o tym napiszę. Twój kochający syn

Teobald Pontifex.

Pozostał jeszcze do przeczytania tylko jeden list, wysłany odwrotną pocztą. Celował zwięzłością.

Kochany Teobaldzie! List Twój otrzymałem. Daremnie staram się dociec, co Cię do niego skłoniło, lecz skutki Twego kroku widzę zupełnie jasno. Nie dostaniesz ode mnie ani pensa, dopóki się nie opamiętasz. Gdybyś zechciał jednak trwać w swym obłądnym uporze i brnąć w grzechach, przypominam Ci z wielką dla mnie ulgą, że mam jeszcze inne dzieci, na których mogę polegać, że ich postępowanie będzie źródłem mej dumy i radości. Twój kochający Cię i skłopotany ojciec

J. Pontifex.

Nie znam kolejnego ogniwa w łańcuchu wydarzeń, które nastąpiły po wymianie wyżej przytoczonej korespondencji, ale wszystko skończyło się bardzo pomyślnie. Może Teobald załamał się, a może wziął zewnętrzny szturchaniec, którym ojciec odepchnął go od siebie, za wewnętrzny głos, o który zanosił tak żarliwe modły, a muszę dodać, że posiadał niezachwianą wiarę w skuteczność modlitwy. W pewnych okolicznościach i ja też w nią wierzę. Tennyson. powiedział, że światu nawet się nie śni, ile zawdzięcza modlitwie, ale mądrze przemilczał czy dobrego, czy złego. Byłoby moim zdaniem dobrze, gdyby wreszcie naszemu światu zaczęło się śnić, jakie dary przynoszą ludziom pacierze, ba, niechby nawet na jawie, szeroko otwartymi oczami świat spojrzął na pewne fakty, które zawdzięczamy modlitwom. Ale jest to zagadnienie wręcz trudne. Skończyło się tak, że Teobald wkrótce po uzyskaniu dyplomu szczęśliwym zrządzeniem losu otrzymał asystenturę i w jesieni tego samego roku, a był to rok 1825, przyjął święcenia kapłańskie.

ROZDZIAŁ IX

Pan Allaby był rektorem w Crampsford, wiosce odległej o kilka mil od Cambridge. On także ukończył studia z całkiem przyzwoitym dyplomem, potem został asystentem na uniwersytecie, a po jakimś czasie objął stanowisko sługi bożego w jednej z uczelni za czterysta funtów rocznie i dom na mieszkanie. Jego osobisty majątek nie przynosił mu więcej jak dwieście funtów dochodu rocznie. Kiedy zrezygnował ze służby dla nauki, poślubił kobietę znacznie młodszą od siebie, a ona urodziła mu jedenaścioro dzieci, z których dziewięcioro, dwóch synów i siedem córek, cieszyło się życiem na ziemskim padole. Dwie najstarsze córki wyszły za mąż wcale nieźle, ale w czasach, które opisuję, pozostało jeszcze pięć niezamężnych panien w wieku od dwudziestu dwu do trzydziestu lat, a żaden z synów nie opuścił ojcowskich pieleszy. Było więc zupełnie jasne, że gdyby panu Allaby przydarzyło się, nie daj Boże, coś złego, jego rodzina znalazłaby się w opłakanych warunkach, czym państwo Allaby martwili się tak bardzo, jak rzecz sama w sobie na to zasługiwała. Czytelniku, czy znajdowałeś się kiedykolwiek w położeniu człowieka, którego, łagodnie mówiąc, niezbyt pokaźne dochody, z wyjątkiem jednych jedynych dwustu funtów rocznie, wygasną w chwili jego śmierci? A czy miałeś na domiar złego dwóch synów, których trzeba było jakoś w życiu urządzić, i jeszcze pięć niezamężnych córek, które z wdzięcznością przepelniającą twe serce wydałbyś za mąż, gdybyś oczywiście wiedział, jak tego dokazać? Przyjmując, że moralność jest czymś, co — w najogólniej- szym ujęciu — zapewnia człowiekowi spokój sumienia na stare lata, czyli krótko mówiąc, jeżeli nie jest najzwyczajszym oszustwem, to czy uwzględniając wyżej wymienione okoliczności możesz z ręką na sercu pochwalić się przed samym sobą, że wiodłeś życie moralne?

Co więcej, skłonny jestem założyć, że twoja żona jest tak dobrą kobietą, że ci nie obmierza, ani nie podupała tak bardzo na zdrowiu, by z samego dla niej współczucia odbiło się to ujemnie na twoim zdrowiu, zakładam dalej, że członkowie twojej rodziny wyrosli na dzielnych, sympatycznych i bardzo rozsądnych ludzi. Znam osobiście wielu starych ludzi, mężczyzn a kobiety, powszechnie uznanych za nieskazitelnie moralnych, chociaż żyją z partnerem, którego od lat nie kochają, albo posiadają córki, szpetne, niesympatyczne pannice, dla których nigdy nie zdołali *znaleźć* mężów, więc brzydzą się nimi, a one po kryjomu nie pozostają im dłużne, lub mają synów, których tępota czy lekkomyślne wybryki są dla nich nieustannym powodem zmartwienia i troski. Czy to moralne, że człowiek sam siebie naraża na takie katusze? Ktoś powinien nareszcie zrobić dla moralności to, co się przypisuje temu nadętemu hipokrycie Baconowi w dziedzinie nauki.

Wróćmy jednak do państwa Allaby. Pani Allaby mówiła zawsze o zamążpójściu swych dwu starszych córek takim tonem, jak gdyby była to najprostsza rzecz na świecie. Mówiła tak dlatego, bo słyszała, że tak mówią inne matki, ale w głębi duszy nie wiedziała, jak tego dokazała, a nawet nie była całkiem pewna, czy w istocie rzeczy była to jej zasługa. Zaczęło się od tego, że znalazł się pewien młody człowiek, na którym eksperymentalnie sprawdziła niektóre manewry, przeprowadzane uprzednio w wyobraźni nieskończoną ilość razy, i uznała, że nie zdały egzaminu w praktyce. Potem były całe tygodnie „galimatiasu”, to strachu, to nadziei i różnych miniaturowych zasadzek i forteli, które raz, okazywały się rozsądne, a kiedy indziej nierozsądne, i oto niespodziewanie młodzieniec spętany, ze strzałą w sercu, znalazł się u stóp jej córki. Uznała to wszystko za tak przypadkowe i szczęśliwe zrządzenie losu, że w jej przekonaniu istniała znikoma szansa, a być może nie było jej wcale, by zdołała powtórzyć to samo w przyszłości. A jednak powtórzyła jeszcze raz, a przy lucie szczęścia może potrafiłaby powtórzyć jeszcze

następny raz — ale pięć razy? To było tak okropne, że wołała trzy połogi od męczarni wydawania za mąż jednej córki.

A jednak nie było żadnej rady, ktoś musiał to zrobić, i od tej chwili biedna pani Allaby widziała w każdym młodym człowieku kandydata na przyszłego zięcia. Tatusie i mamusie pytają czasem młodych ludzi, czy „aby” mają uczciwe zamiary wobec ich: córek. Wydaje mi się, że to raczej młodzi mężczyźni, zanim przyjmą zaproszenie do domu, gdzie są jeszcze niezamężne córki, powinni zapytać tatę lub mamę, czy ich zamiary są „aby” uczciwe.

— Nie stać mnie na wikarego, moja droga — skonstatował pan Allaby w toku dyskusji, w której małżonkowie zastanawiali się, co dalej począć. — Byłoby najlepiej, gdybym mógł dostać jakiegoś młodego człowieka do pomocy na kilka godzin w niedzielę. Opędzimy ten wydatek gwineą tygodniowo, a w dodatku będzie można przebierać tak długo, aż trafi się coś odpowiedniego. — Wobec tego postanowiono, że stan zdrowia pana Allaby pogorszył się do tego- stopnia, iż potrzebna mu jest pomoc dla należytego wypełniania niedzielnych obowiązków.

Pani Allaby miała wielką przyjaciółką — niejaką panią Cowey, żonę sławnego pedagoga. Była to kobieta, jak to wówczas mówiono, o duszy na wskroś wzniosłej, trochę otyła, z sypiącą się bródką i bardzo rozgałęzionymi stosunkami wśród młodzieży uniwersyteckiej, szczególnie wśród tego jej odłamu, który skłaniał się do wstąpienia w szeregi ruchu ewangelicznego, sięgającego wówczas szczytu swego nasilenia. Przyjmowała raz w tygodniu, a modlitwa była organicznym punktem programu jej towarzyskich wieczorków. Była to kobieta nie tylko całkowicie oddana sprawom ducha, ale jednocześnie, jak zwykła podniesionym głosem oznajmiać entuzjazmem przepojona pani. Allaby, kobieta na wskroś światowa — i co za głowa, prawie męska, tyle w niej było rozumu! Pani Cowey także miała córki, ale jej zdaniem nie poszczęściło się jej tak jak pani Allaby, bo córki powychodziły za mąż i byłaby na starość sama i opuszczona, gdyby nie miała profesora.

Pani Cowey, ma się rozumieć, znała wszystkich bez wyjątku uniwersyteckich duchownych w stanie bezzennym i była jedyną spośród możliwych osób, które mogłyby skutecznie wesprzeć panią Allaby w wyszukaniu odpowiedniego kandydata na podporę dla jej męża. Z takich założeń wychodząc, wspomniana dama pewnego listopadowego poranka udała się do pani Cowey, żeby, jak to uzgodniono, po wczesnym obiedzie obie panie mogły spędzić razem całe popołudnie. Po obiedzie damy wycofały się do osobnego pokoju i zajęły się sprawami bieżącymi. Jaka tam była szermierka, jak obie damy przenikały siebie na wskroś i z jaką lojalnością obie udawały, że tak nie jest, z jak pieśczośliwą szlachetnością przedłużały wymianę zdań nad duchowymi przymiotami tego lub innego diakona, zastanawiając się nad pozostałymi „za” i „przeciw” dopiero po wyczerpującym przenicowaniu duchowych kwalifikacji kandydata — wszystko to zostawiam wyobraźni czytelnika. Pani Cowey tak przywykła do intrygowania na swój własny rachunek, że wołała intrygować dla kogoś niż w ogóle zrezygnować ze swych misternych kombinacji. Wiele matek zwracało się do niej w godzinie potrzeby i jeżeli były to kobiety o wzniosłych duszach, dawała z siebie wszystko, żeby im pomóc; jeżeli zatem małżeństwo młodego absolwenta nie zostało skojarzone wcześniej w niebie, skojarzono je według wszelkiego prawdopodobieństwa, a w każdym razie próbowano skojarzyć w salonie pani Cowey. Podczas tej wizyty wszyscy diakoni uniwersytetu, z którymi można było wiązać choćby najmniejszą nadzieję, zostali wyczerpująco omówieni, i w konkluzji pani Cowey oświadczyła, że nie stać jej, przynajmniej tego popołudnia, na nic lepszego jak na naszego przyjaciela Teobalda.

— Nie uważam go za specjalnie pociągającego młodzieńca, moja droga — rzekła pani Cowey — w dodatku jest tylko drugim synem, ale ostatecznie dostał asystenturę na uniwersytecie i można spodziewać się, że syn bądź co bądź takiego człowieka jak pan Pontifex,

syn właściciela tak znanej firmy wydawniczej, będzie miał bardzo dobrze zabezpieczoną przyszłość.

— Ależ tak, moja droga, tak — rozpromieniła się pogodnie pani Allaby — i ja tak myślę.

ROZDZIAŁ X

Pogawędka, jak wszystkie dobre rzeczy, musiała wreszcie się skończyć. Dnie były krótkie, a pani Allaby miała przed sobą sześć mil jazdy do Crampsford. Kiedy opatulila się i usiadła w bryczce, Jakub, faktotum jej męża, nie zauważył żadnej zmiany w jej wyglądzie i nawet nie podejrzewał, ile cudownych wizji wiezie razem ze swą panią do domu.

Profesor Cowey wydał kilka prac naukowych u ojca Teobalda i z tego względu pani Cowey wzięła Teobalda na swój pasek od samego początku jego uniwersyteckiej kariery. Miała go przez jakiś czas na oku i właśnie wtedy, kiedy, zdając sobie sprawę ze swej odpowiedzialności, była niemal zdecydowana wymazać go z listy młodych kawalerów, których należało zaopatrzyć w żony, bidula pani Allaby wzięła na odwagę i zaczęła szukać męża dla jednej ze swych córek. Wspomniana dama napisała więc zaraz do Teobalda z zaproszeniem do siebie, a list utrzymany był w tonie, który podrażnił jego ciekawość. Kiedy młodzian stawiał się w jej domu, poruszyła z miejsca sprawę stale pogarszającego się stanu zdrowia pana Allaby i w końcu po usunięciu trudności, które były jej własnym dziełem, zważywszy, jak bardzo jej na tym zależało, wspaniałomyślnie zgodziła się, że Teobald spędzi sześć kolejnych niedziel w Crampsford i przejmie na siebie połowę niedzielnych obowiązków kapłańskich pana Allaby, za co otrzymywać będzie po pół gwinei, bo pani Cowey bez miłosierdzia obciąła zwyczajową stawkę, a Teobald był mizerakiem, który nie potrafił się temu przeciwstawić.

Nieświadom zakusów na spokój swej duszy i oży- wiony wyłącznie intencją zarobienia trzech gwinei, a także, czego wcale nie wykluczam, zadziwienia mieszkańców Crampsford swą erudycją, Bogu 'ducha winien Teobald powędrował pewnego niedzielnego poranka, w pierwszych dniach grudnia, na plebanie — a działo się to w jakiejś kilka tygodni po wyświęceniu go na duchownego. Nabiedził się nie lada z kazaniem na temat geologii, która w owym czasie siała największy postrach wśród teologów. Udowodnił, że wartość geologii — był zbyt wspaniałomyślny, by roznieść ją w puch — polega jedynie na tym, że potwierdza w całej pełni historyczną ścisłość Mojżeszowej relacji o Stworzeniu, zawartej w księgach Genesis. Zjawiska, które na pierwszy rzut oka wydają się sprzeczne z tym twierdzeniem, zostały po prostu dobrane stronniczo i nie wytrzymują ścisłej krytyki. Było to utrzymane w doskonałym guście, a kiedy Teobald przeszedł na plebanie, gdzie w przerwie między nabożeństwami miał zjeść obiad, pan Allaby gorąco powinszował mu debiutu, a damy nie znalazły słów zachwyty.

Teobald nie miał zielonego pojęcia o kobietach. Jedynymi kobietami, z którymi się dotąd zetknął, były jego własne siostry — dwie z nich, jak już wiecie, stale nim komenderowały — oraz te ich nieliczne: koleżanki, które ojciec pozwolił im czasem zaprosić do Elmhurst. Wspomniane młode damy albo były tak nieśmiałe, że nie nawiązały nigdy z Teobaldem ani on z nimi najmniejszego kontaktu, albo, ciesząc się opinią inteligentnych, używały w rozmowie dowcipnych i ciętych powiedzonek. Teobald nigdy nie używał ani dowcipnych, ani ciętych powiedzonek i nie miał wcale ochoty, żeby ktokolwiek ich używał. Dodać trzeba, że rozmawiały o muzyce — a on niena- widzi! muzyki; o obrazach — a on nienawidził obrazów, o książkach — a on, z wyjątkiem klasyków, nienawidził książek. Zdarzało się, że żądano od niego, żeby z nimi tańczył, a on nie umiał tańczyć i nie pragnął się nauczyć.

Na herbatkach u pani Cowey bywało trochę młodych panien, którym Teobald został przedstawiony. Wprawdzie starał się być. sympatyczny, ale cóż z tego, kiedy zawsze wychodził pod wrażeniem., że mu się to nie udało. Panienki z kolekcji pani Cowey z całą pewnością nie należały do najbardziej fascynujących młodych istot, jakie można było spotkać na uniwersytecie,

i z czystym sumieniem możemy Teobalda uniewinnić z zarzutu, że nie zapłonął gorącym uczuciem do większości z nich. Jeżeli jednak, choćby na kilka minut, los zetknął go z jakąś ładną lub sympatyczną dziewczyną, wyróżniającą się ze wspomnianego grona, natychmiast mu ją odbijał ktoś bardziej śmiały od niego, a wtedy Teobald ulatniał się chyłkiem, doznając w stosunku do płci pięknej takich samych uczuć, jakich zapewne doznawał ów „niemocen nad sadzawką Bethsaida”.

Trudno mi powiedzieć, co zrobiłaby z niego naprawdę ładna dziewczyna, bo z wyroków przeznaczenia nigdy ładnej panny nie spotkał na swej drodze, a jedyny wyjątek stanowiła jego młodsza siostra Aletea, którą, gdyby nie była jego siostrą, być może, obdarzyłby sympatią. Z jego doświadczeń wynikało, że kobiety na nic dobrego nigdy mu się nie przydały, więc nie nawykł kojarzyć z płcią piękną jakichkolwiek przyjemnych wrażeń. Cóż z tego, że podobno istnieją w *Hamlecie* partie mające jakiś związek z kobietami, jeżeli z tego wydania dramatu, według którego on miał odegrać swoją rolę, zostały usunięte tak.

skrupulatnie, że przestał wierzyć w ich istnienie. Nie pocałował w życiu ani jednej kobiety poza swą siostrą i moimi siostrami, kiedy byliśmy jeszcze małymi dziećmi. A i te przeżycia zbladły w nim pod przemożnym wpływem owych pompatycznych, lodowatych pocałunków, które na wyraźne życzenie ojca musiał co rano i co wieczór wyciskać na jego policzku. Taki był zakres — a nie sądzę, bym mógł się mylić — doświadczeń Teobalda w dziedzinie całowania w tym okresie jego życia, który teraz opisuję. W tym stanie rzeczy Teobald zaczął odnosić się do kobiet z odrazą, niczym do tajemnych istot, które chodzą innymi ścieżkami i myślą innymi kategoriami niż on.

Rzecz zrozumiała, że mając zaplecze takich doświadczeń, Teobald poczuł się dość onieśmielony, kiedy znalazł się przy stole z pięcioma pannami rozplywającymi się z zachwytem nad jego osobą. Przypominam sobie, że jako mały chłopiec zostałem pewnego razu zaproszony na herbatkę do szkoły żeńskiej, w której jedna z moich sióstr była na pensji. Miałem wtedy jakieś dwanaście lat. W czasie podwieczorku wszystko szło dobrze, bo była obecna pani dyrektorka. Ale nadeszła chwila, że pani sobie poszła, i zostałem sam na sam z dziewczętami. Zaledwie dyrektorka zdążyła się odwrócić, dziewczynka, która była prymuską, a miała mniej więcej tyle lat co ja, podeszła do mnie, pokazała palcem i, wykrzywiając się paskudnie, rzekła z namaszczeniem: „Wstrętny chło-o-pak!” Potem wszystkie jej koleżanki przedefilowały kolejno przede mną powtarzając za tamtą ów gest i recytując wzdargliwą wymówkę, że jestem chłopcem. Przestraszyłem się nie na żarty. Zdaje się, że rozplakałem się, i wiele wody upłynęło, zanim mogłem spojrzeć na dziewczynkę bez wewnętrznej ochoty, by natychmiast zwać, gdzie pieprz rośnie.

Z początku Teobald czuł się tak samo, jak ja się czułem w szkole żeńskiej, ale panny Allaby nie powiedziały mu, że jest wstrętnym chło-o-pakiem, a ich tatuś i mamusia byli tak serdecznie wylewni i tak zręcznie przeprowadzili go przez zaułki konwersacji, że zanim obiad się skończył, Teobald doszedł do przekonania, że rodzinne grono państwa Allaby jest czarujące, i jednocześnie poczuł się ośrodkiem takiego zainteresowania, z jakim dotąd nigdy nie miał okazji się spotkać.

W miarę jak trwał obiad, Teobald nabierał animuszu. Wcale nie był nieokrzesany, jego akademicka erudycja uzyskała wysoką notę. A już naprawdę nie było w nim ani śladu tego, co uchodzi za sztuczność lub śmieszność. Na pannach wywarł równie korzystne wrażenie jak one na nim, lecz młode damy tyle samo wiedziały o mężczyznach co on o kobietach.

Zaledwie wyszedł, prysła harmonia panująca pod dachem tego domu, ponieważ rozpętała się gwałtowna burza wokół zagadnienia, która z pańien powinna zostać panią Pontifex.

— Moje kochane — rzekł ich ojciec widząc, że polubowne załatwienie sporu między

córkami jest mało prawdopodobne — odłóżcie sprawę do jutra i zagrajcie o niego' w karty. — Co powiedziawszy udał się do swego gabinetu, gdzie wypił wieczorną szklaneczkę whisky i zapalił fajkę.

ROZDZIAŁ XI

Następny dzionek zastał Teobalda w jego własnym pokoju nad odrabianiem lekcji z jednym ze swych uczniów, a panny Allaby, zebrane w sypialni najstarszej siostry przy grze w karty, w której stawką był Teobald.

Wygrała Krystyna, która zajmowała drugą pozycję w kolejce niezamężnych córek państwa Allaby. Panna liczyła sobie wtedy dwadzieścia siedem lat, a więc była o cztery lata starsza od Teobalda. Młodsze siostry z goryczą w sercu domagały się, żeby nie pozwolić Krystynie na taki eksperyment, bo w ogóle tracą okazję wyjścia za mąż, gdyż jest dużo od niego starsza, więc nie może mieć żadnych szans. Sama Krystyna jednak broniła twardo swego, co było u niej niezwykle, ponieważ z natury była uступliwa i łagodna. Matka uznała, że lepiej stanąć po jej stronie, więc dwie najniebezpieczniejsze córki wyprawiono w gościnę do znajomych mieszkających w przyzwoitej odległości, a w domu pozwolono zostać tylko tym panienkom, na których lojalności można było polegać. Bracia nawet nie podejrzewali, co się święci, i uwierzyli, że ojciec wziął sobie diakona do pomocy, bo naprawdę nie może dać sobie rady.

Siostry, które zostały w domu, dotrzymały danego słowa i pomagały Krystynie z całych sił, ponieważ — niezależnie od chęci dotrzymania elementarnych reguł uczciwej gry — doszły do wniosku, że im prędzej Teobald zostanie zdobyty, tym prędzej one mogą liczyć na następnego diakona, który — jeżeli los zdarzy — z kolei stanie się ich łupem. Zakrzętnięto się więc pospiesznie i dwie niepewne siostry wyekspe- diowano z domu jeszcze przed drugą wizytą Teobalda, która wypadała w następną niedzielę, a więc w tydzień po jego pierwszym występie.

Tym razem Teobald czuł się u swych przyjaciół — pani Allaby nalegała, żeby ich za takich uważał — niemal jak u siebie w domu. Jest matką — mówiła — więc wszyscy młodzi są jej bliscy, a najbliżsi jej sercu są ci, którzy wybrali kapłaństwo. Teobald wierzył każdemu jej słowu, gdyż od dzieciństwa zwykł był wierzyć w każde słowo swego ojca i wszystkich starszych od siebie. Przy obiedzie Krystyna siedziała obok niego i rozgrywała swą partię tak samo roztropnie jak tamtą, którą rozegrała w sypialnym pokoju swej siostry. Uśmiechała się, kiedy zwracał się do niej (uśmiech był jednym z jej atutów), wystroїła się w rozbrajająco dziecinne szatki niewinności i wystawiła w swym malutkim sklepiku wszystko, co miała na sprzedaż, ukazując swe towary w świetle, które w jej przekonaniu było najbardziej korzystne. Któż może ją za to winić? Teobald z całą pewnością nie przypominał ideału, o którym marzyła czytając wspólnie z siostrami Byrona w ich panińskim pokoiku na pięterku, ale był konkretnym faktem w zasięgu jej możliwości i w porównaniu do innych konkretnych faktów wcale nie najgorszym. Cóż innego mogła zrobić? Uciec? Nie miała odwagi. Wyjść za mąż za kogoś poniżej jej sfery i stać się hańbą rodziny? Nie miała odwagi. Zostać w domu i stać się starą panną, z której wszyscy podkpiwają? Nie, uniknie tego za wszelką cenę. A więc postępowała tak, jak można było po niej się spodziewać. Tonęła. Choć Teobald był tylko wątłą deską ratunku, rzuconą na wodę, ale mogła się go uchwycić, więc zdecydowała się i — uchwyciła się go mocno..

Droga prawdziwej miłości nigdy nie jest gładka, natomiast tym, którzy naprawdę chcą kogoś wyswatać, czasem wszystko idzie jak z płatka. W naszym przypadku można było skarżyć się tylko na to, że sprawa szła trochę za wolno. W roli, którą mu wyznaczono, Teobald wypadł lepiej, niż pani Cowey i pani Allaby przewidywały w swych najśmielszych marzeniach. Tajął w ciepłym ujmującym sposobu bycia Krystyny, podziwiał wysoki poziom moralny, który znać było w każdym jej słowie. Jej tkliwość dla siostr i rodziców, jej wieczna gotowość usłużenia każdemu w drobiazgach, których nikt nie miał ochoty wziąć na siebie, żywość jej usposobienia, wszystko

to musiało robić wrażenie nawet na tym, kto wprawdzie nie nawykł do uroków kobiecego towarzystwa, „ale był przecież ludzką istotą. Pochlebiał mu jej pełen rezerwy, a jednocześnie szczerzy podziw dla jego osoby. Wydawało mu się, że Krystyna widzi go w tak dobrym świetle i tak dobrze go rozumie, jak nikt dotąd nie potrafił go zrozumieć. Nie traktowała go z tak druzgoczącą pogardą jak ojciec, bracia i siostry, co więcej, sama prowokowała rozmowę i słuchała z uwagą wszystkiego, co mówił, a nawet całkiem niedwuznacznie zależało jej, żeby mówił więcej. Powiedział więc swemu koledze, że na pewno jest zakochany. Była to rzetelna prawda, bo wolał przebywać w towarzystwie panny Allaby niż w towarzystwie swych sióstr.

Wyżej wyliczone zalety jej osoby dopełniała jeszcze jedna, albowiem — jak fama głosiła — obdarzona była czymś, co miało być pięknym kontraltem. Był to rzeczywiście kontralt, bo górną granicę możliwości jej głosu stanowiło wysokie d, a jedyna wada jej głosu polegała na tym, że w dolnych rejestrach nie sięgał odpowiednio nisko. Ale w tamtych czasach za kontralt uważano również taki sopran, który nie potrafi wznieść się na wyżyny sopranu, i wcale nie wymagano, by posiadał te cechy, które my dziś uważamy za właściwe dla kontraltu. Ale za to śpiewała z uczuciem, które wynagradzało braki w skali i sile brzmienia jej głosu. Jej własnym dziełem była transkrypcja. *Aniołów zawsze płomiennych i jasnych* na niższą tonację, która lepiej odpowiadała jej wokalnemu możliwościom, a to — zdaniem pani Allaby — stanowiło dowód mistrzowskiego opanowania przez córkę zasad harmonii. Na tym wcale się nie skończyło, albowiem przy każdej pauzie dodawała wężyki pięknych arpeggiów od krańca do krańca klawiatury według zasad wpojonych jej przez guwernantkę. W ten sposób — tak sama wyjaśniała — aria, którą Haendel, jak to każdy czuje, przekazał potomności w formie trochę ciężkiej, stała się żywa i interesująca. Jej guwernantka była wyjątkowo utalentowaną artystką. Lekcje muzyki brata od sławnego dra Clarka z Cambridge i grywała uwerturę do *Atalanty* w transkrypcji Mazzinghiego. Ale tak czy inaczej trzeba było trochę czasu, żeby odwaga Teobalda dojrzała do oświadczyń. Wprawdzie dawał wyraźnie do poznania, że jest przekonany o swym gorącym afekcie, ale tymczasem mijały miesiące, w czasie których nadzieje na Teobalda były nadal tak bardzo realne, że pan Allaby nie ośmielił się dojść do wniosku, że mógłby doskonale obejść się bez pomocy, i z niepokojem zaczął obliczać, ile razy po pół gwinei musiał już wypłacić — a oświadczyń jak nie było, tak nie było. Pani Allaby zapewniała Teobalda, że Krystyna jest najlepszą z córek i dla mężczyzny, który się z nią ożeni, okaże się bezcennym skarbem. Teobald wtórował tym sentymentom bardzo gorąco, ale choć przychodził teraz na plebanią nawet dwa i trzy razy w tygodniu, nie licząc niedziel, nie oświadczał się o rękę Krystyny.

— Ona ma jeszcze wolne serce — rzekła pani Allaby pewnego razu — przynajmniej tak mi się wydaje. Nie z braku wielbicieli, o nie! miała ich nawet za dużo, ale ona jest za wybredna. Sądzę jednak, że nie oparłaby się jakiemuś wielkiemu i mądrym człowiekowi. — Tu spojrzała surowo na Teobalda, który spąsował, ale dni mijały, a on dalej się nie oświadczał.

Znowu innym razem wybrał sobie za powierniczkę panią Cowey i spodziewam się, że czytelnik domyśli się bez trudu, jakie sprawozdanie otrzymał o Krystynie, Pani Cowey zgodnie z zasadami taktyki spróbowała obudzić w nim zazdrość i napomknęła o możliwości istnienia rywala. Teobald był tym na serio, zresztą Bóg raczy wiedzieć, może nie na serio, bardzo poważnie zaniepokojony. Poczuł w piersi niewyraźne ukłucie, wywołane szpileczką zazdrości, i z dumą zaczął wierzyć, że nie tylko jest zakochany, ale że kocha do szaleństwa, bo inaczej nie byłby zdolny do tak szalonej zazdrości. Mimo to dni mijały, a on nie oświadczał się o rękę panny.

Państwo Allaby zachowywali się bardzo rozsądnie. Szli mu we wszystkim na rękę tak długo, aż praktycznie nie miał już odwrotu, choć pochlebiał sobie, że może się jeszcze cofnąć.

Teobald od sześciu miesięcy był już niemal codziennym gościem na plebanii, aż pewnego dnia całkiem przypadkowo zgadało się na temat, jak długo powinien trwać okres narzeczeństwa.

— Osobiście jestem przeciwny — zdeklarował się nieostrożnie Teobald — przewlekaniu się narzeczeństwa. A pan, proszę pana?

— Ja również — odparł pan Allaby zdecydowanym tonem — zresztą nie tylko narzeczeństwa, ale także i konkurów — i obdarzył go całkiem niedwuznacznym spojrzeniem, a Teobald, biedny Teobald, nawet nie mógł udać, że go nie rozumie. Wrócił co sił w nogach do Cambridge i pod strachem rozmowy z panem Allaby, która wisiała w powietrzu, skomponował list i wysłał go tego samego popołudnia przez umyślnego posłańca. Oto jego treść:

Najdroższa Panno Krystyno! Nie wiem, czy odgadła Pani uczucia, które od dawna do Pani żywię, uczucia, które starałem się, jak umiałem, zataić, bo obawiałem się narzucić Pani zobowiązania, które, gdyby zostały przez Panią przyjęte, nie byłyby tylko na dziś, ale widzę, że muszę poddać się wyrokowi losu, gdyż dalsze ukrywanie mych uczuć jest ponad moje siły. Kocham Panią gorąco, całym sercem i duszą i piszę te kilka słów z prośbą, żebyś została moją żoną, bo wiem, że nie zdołałbym ustnie wyrazić ogromu uczuć, które mam dla Pani.

Nie zamierzam grać przed Panią komedii, że ofiarowuję Jej serce, które nie знаło ani miłości, ani zawodu. Kochałem już i lata całe leczyłem się z bólu, który przeszył me serce, kiedy Ona odeszła z innym. Ale to już minęło i teraz jestem pełen radości, że spotkał mnie zawód, który kiedyś uważałem za ostateczną klęskę. Być może, że po tym wszystkim, co przeżyłem, nie potrafię już kochać prawdziwie gorąco, ale tym bardziej potrafię ocenić niezliczone uroki Twej osoby i tym więcej pragnę mieć Panią za żonę. Proszę o kilka słów odpowiedzi przez tego samego posłańca, bo pragnę wiedzieć, czy zostałem przyjęty. Jeżeli tak, przyjdę niezwłocznie rozmówić się w tej materii z państwem Allaby, których — niech mi wolno będzie wierzyć — będę mógł kiedyś nazywać ojcem i matką.

Jeżeli zgodzisz się Pani zostać moją żoną, to uważam za swój obowiązek uprzedzić Cię, że będziemy musieli czekać wiele lat, zanim nasz związek stanie się realny, bo będę mógł ożenić się dopiero wtedy, kiedy dostanę kolegiąlną parafię. Jeżeli zatem zechce Pani udzielić mi odpowiedzi odmownej, będzie to dla mnie bolesne, ale nie będę zaskoczony. Oddany na zawsze.

Teobald Pontifex

Taki był rezultat wykształcenia, które Teobald wyniósł ze szkół prywatnych i uniwersytetu! Tymczasem on sam uważał swój list za bardzo udany i wieszował sobie kunsztu, z jakim wymyślił historyjkę o starej miłości, za którą mógł skryć się bezpiecznie, gdyby Krystyna zechciała postawić mu zarzut, że jest dla niej zbyt chłodny.

Przytaczanie odpowiedzi Krystyny uważam za zbędne, bo oczywiście była pozytywna. Choć bez wątplenia Teobald nie na żarty bał się starego pana Allaby, to jednak sędzę, że decyzję oświadczenia się o rękę jego córki powziął tylko dlatego, że z konieczności termin ślubu musiał być bardzo odległy i mogło się zdarzyć jeszcze tysiące powodów uzasadniających zerwanie zaręczyn. Wprawdzie potępiał przewlekłe narzeczeństwo innych ludzi, ale bardzo wątpię, czy we własnym przypadku miał przeciwko temu jakiegokolwiek zastrzeżenia. Zakochani są jak zachód i wschód słońca — choć są to zjawiska codzienne, rzadko je dostrzegamy. Teobald udawał, że jest śmiertelnie zakochany, ale — pozwólcie, że użyję modnego dziś wulgaryzmu — było to „dęte”. Krystyna była zakochana ani mniej, ani więcej niż przynajmniej w dwudziestu przypadkach, które miała już poza sobą. Była jednak tak bardzo uczuciowa, że jeżeli ktoś wspominał w jej obecności samą nazwę Missolonghi, zalewała się natychmiast rzewnymi łzami. Kiedy pewnego razu Teobald przypadkowo zapomniał swej teczki, w której nosił niedzielne kazania, Krystyna spała z nią, przytuloną do łona, i była bardzo nieszczęśliwa, kiedy w następną niedzielę musiała mu ją zwrócić. Odnoszę wrażenie, że Teobaldowi na przespaniu się z Krystyną zależało nie

więcej niż na zeszłorocznym śniegu. No cóż, znalazłem młodego człowieka, który przez dwa tygodnie spał z łyżwami swej ukochanej i bardzo płakał, kiedy musiał się z nimi rozstać.

ROZDZIAŁ XII

Okres narzeczeństwa Teobalda upływał bardzo przyjemnie, ale w kantorze na Paternoster Row istniał pewien starszy, łysy pan o różowych policzkach, któremu trzeba było prędzej czy później otwarcie powiedzieć o zamiarach matrymonialnych syna, a Teobaldowi skóra cierpła na samą myśl, jak ów pan zechce ocenić jego obecne położenie. Na złodzieju czapka' gore, więc narzeczem, być może zbyt pochopnie, postanowili od razu przyznać się do wszystkiego. Krystyna pomogła Teobaldowi sklecić projekt listu, w którym zawarł wszystko, co w ich przekonaniu syn powinien napisać do ojca, i zaznaczył, że bardzo mu zależy na możliwie szybkim terminie ślubu. Nie mógł inaczej napisać, gdyż Krystyna wisiała mu nad głową, ale wiedział, że to i tak nie posiada najmniejszego znaczenia, ponieważ mógł bez pudła polegać na swym ojcu, że w niczym mu nie pomoże. Zakończył prośbę, żeby ojciec zechciał użyć wszelkich wpływów, którymi rozporządza, i pomógł mu dostać się do jakiejś parafii, gdyż na wakans w kolegium musiałby czekać całe lata, co przekreśliłoby szansę jego małżeństwa, bo on i narzeczoną mają tylko tyle, ile przynosi jego asystentura, którą, jak wiadomo, straci z chwilą ożenku.

W oczach ojca każdy bez wyjątku krok Teobalda zasługiwał na nagane, ale fakt, że w wieku dwudziestu czterech lat zamierza ożenić się z panną bez pensa przy duszy, starszą o cztery lata, stanowił wymarzoną okazję, którą starszy pan — mam pełne prawo tak go nazywać, bo miał wtedy co najmniej sześćdziesiątkę — wykorzystał z charakterystyczną skwapliwością.

Niewysłowione szaleństwo — pisał w odpowiedzi na list syna — Twej urojonej miłości do panny Allaby budzi mój najgłębszy niepokój. Choć zdaję sobie sprawę, że zakochani są ślepi, nie ośmielam się wątpić, że Twoja dama jest dobrze wychowaną i sympatyczną młodą osobą, która nie przyniosłaby ujmy naszej rodzinie, ale gdyby nawet jako moja przyszła synowa miała dziesięć razy tyle zalet, niż skłonny jestem uznać to za prawdopodobne, Wasze ubóstwo razem wzięte stanowi nieprzewyciężoną przeszkodę, która przekreśla możliwość Waszego małżeństwa. Oprócz Ciebie mam jeszcze czworo dzieci i moje wydatki nie pozwalają mi na odkładanie pieniędzy. W tym roku byty one wyjątkowo uciążliwe, bo musiałem dokupić dwa spore kawałki gruntu, które właśnie wystawiono na sprzedaż, a których kupno było nieodzowne, bo już od dawna zamierzałem w ten sposób uzupełnić mą posiadłość. Dałem Ci wykształcenie, nie licząc się z kosztami, dzięki czemu uzyskałeś pokaźny dochód w wieku, w którym wielu młodych ludzi musi jeszcze korzystać z pomocy. Stworzyłem Ci w życiu całkiem niezłe początki i teraz mam prawo żądać, żebyś przestał mi być ciężarem. Mówi się, że źle robią narzeczem, którzy za długo zwlekają ze ślubem, ale w Waszym przypadku wszystko wskazuje na to, że będziecie musieli czekać w nieskończoność. Wy tłumacz mi, jakie racje w Twoim przekonaniu powinny mnie skłonić do podjęcia starań o uzyskanie dla Ciebie parafii? Czy mam chodzić po ludziach i żebrać, żeby zapewnili egzystencję mojemu synowi tylko dlatego, że ubzdurał sobie małżeństwo bez jakichkolwiek podstaw materialnych po temu?

Nie chciałem Cię urazić tym listem, moje uczucia w stosunku do Ciebie są jak najdalej od tego zamiaru — w szczerych słowach mieści się często daleko więcej serdeczności niż w potoku pięknych słówek, które nie mają pokrycia. Oczywiście nie zapomniałem, że jesteś pełnoletni, i możesz robić, co Ci się podoba, ale jeżeli zechcesz oprzeć się na literze prawa i przejść do porządku dziennego nad tym, co czuje Twój ojciec, sądzę, że nie będziesz się czuł zaskoczony, gdy pewnego dnia stwierdzisz, iż ja również postanowiłem skorzystać z takiej samej swobody. Kochający Cię ojciec

J. Pontiiex

List ten znalazłem wśród korespondencji, której treść już przytoczyłem, a było tam jeszcze kilka innych listów, lecz nie widząc potrzeby zajmowania nimi miejsca w tej książce, wspomnę jedynie, że wszystkie utrzymane były w tym samym tonie, a w końcowym ustępie każdego z nich pojawiała się nieodmiennie mniej lub bardziej wyraźna zonglerka testamentem. W świetle faktu, że Teobald po śmierci ojca przez całe lata, w których utrzymywałem z nim kontakt, milczał na jego temat jak zakłęty, przechowanie owych listów i umieszczenie na nich etykiety: „Listy od mego Ojca”, miało swoistą wymowę i na pozór stwarzało jakąś zdrową, naturalną atmosferę.

Teobald nie pokazał tego listu ani Krystynie, ani, jak domyślam się niemal z całą pewnością, nikomu innemu. Był z natury skryty, a od wczesnego dzieciństwa nałożono mu tak silne hamulce, że nie był zdolny do szemrania i wierzgania w sprawach związanych z osobą ojca. Miał nieokreślone poczucie krzywdy; jednak nie potrafił jasno zdefiniować, na czym ta krzywda polega, po prostu przytłaczała go swoim brzemieniem dzień po dniu, odzywała się, kiedy budził się w nocy — i nie umiał odpowiedzieć sobie na pytanie, co to jest. Byłem chyba najbliższym jego przyjacielem, choć widywałem go właściwie mało, ponieważ nigdy zbyt długo nie mogłem wytrzymać w jego towarzystwie. Mówił, że nie ma we mnie szacunku, a ja uważałem, że posiadam bardzo dużo szacunku, ale tylko dla czegoś, co na szacunek zasługuje, i nie jeden raz myślałem sobie, że jego bogowie, którzy, jak mniemał, są ze złota, w rzeczywistości byli wykonani z dużo bardziej tandetnego metalu. Nigdy, jak o tym już wspomniałem, nie skarżył się na swego ojca, a jego inni przyjaciele, podobnie jak on sam, stateczni i przykładni zwolennicy ruchu ewangelicznego, byli głęboko przekonani, że każde nieposłuszeństwo wobec rodziców jest grzechem — tak, byli to w całym tego słowa znaczeniu solidni młodzieńcy, a solidnym młodzieńcom nie można powiedzieć prosto z mostu tego, co ma się na sercu. Krystyna, której Teobald powiedział o stanowczym sprzeciwie ojca, nie tając jednocześnie, jak długo będą musieli jeszcze czekać na zawarcie małżeństwa, ofiarowała się — nie potrafię powiedzieć jak dalece było to szczere — zwolnić go z danego jej słowa. Teobald nie skorzystał jednak z propozycji odzyskania wolności, „przynajmniej — tak się wtedy wyraził — na razie”. Krystyna i pani Allaby wiedziały doskonale, że potrafią nim odpowiednio pokierować, i na tej dość niedoskonałej zasadzie narzeczeństwo trwało nadal.

Dzięki zaręczynom i wspaniałomyślnej rezygnacji z możliwości odzyskania wolności Teobald natychmiast urósł we własnych oczach. Przy całej swej wewnętrznej miernocie był jednak bardzo zadowolony z siebie. Podziwiał siebie za swe uniwersyteckie honory, za czystość swego życia. (powiedziałem kiedyś o nim, że gdyby nie jego fatalne humory byłby tak nieskazitelny jak świeżo zniesione jajko), za nieposzlakowaną rzetelność w sprawach pieniężnych. Nie miał żadnych wątpliwości, że kiedy raz dostanie jakieś stanowisko kościelne, droga dalszych awansów w Kościele stać będzie przed nim otworem, i uważał za zupełnie prawdopodobne, że pewnego dnia zostanie biskupem, a Krystyna dawała wyraz swemu głębokiemu przekonaniu, że fakt ten nie podlega żadnej dyskusji.

Nie można się dziwić, że — jak przystało na córkę i przyszłą żonę duchownego — Krystyna dużo myślała o religii i uważała za rzecz postanowioną, że choć nie zostali wywyższeni na tym świecie, ich cnoty znajdą odpowiednie uznanie na tamtym. Jej poglądy religijne były absolutnie zgodne z poglądami Teobalda i nieraz rozmawiali ze sobą o chwale bożej, postanawiając służyć jej wspólnie z całym poświęceniem, kiedy Teobald dostanie się do jakiejś parafii i wezmą ślub. Była tak pewna świetnych rezultatów, mających wymknąć z tego w przyszłości, że czasem dziwiła się ślepotcie Opatrzności, która wbrew swym najżywoźniejszym interesom tak opieszale uśmiercała pastorów zawadzających Teobaldowi w otrzymaniu promocji.

W tamtych czasach wierzono z prostotą, której nie spotykam teraz u ludzi wykształconych, i to zarówno u mężczyzn, jak i kobiet. Takiemu Teobaldowi do głowy nigdy nie przyszło, że można mieć choćby najmniejsze wątpliwości co do jednoznacznej ścisłości każdej zgłoski wydrukowanej w Biblii. Ale cóż, nie spotkał się nigdy z książką, która by podważała ścisłość biblijnej wersji, ani nie spotkał nikogo, kto by w nią wątpił. Zapewne, geologia narobiła trochę strachu, ale nie było w tym nic poważnego. Jeżeli było powiedziane, że Bóg stworzył świat w sześć dni, to wynikało z tego, że stworzył go akurat w sześć dni, a nie w pięć albo w siedem. Jeżeli powiedziane było, że Bóg uśpił Adama i wyjął mu żebro, z którego stworzył kobietę, sprawa nie wymagała dalszych wyjaśnień. Ów Adam poszedł sobie spać do ogrodu, zupełnie tak samo jak Teobald, dajmy na to, do ogrodu probostwa w Crampsford, kiedy latem jest tak ślicznie, tylko że tamten ogród był większy i było w nim trochę obłaskawionych dzikich zwierząt. Potem Bóg podszedł do niego, zupełnie tak samo jak, dajmy na to, pan Allaby albo jego ojciec, i zręcznie, nie budząc go ze snu, wyjął mu jedno z żeber i tak cudownie wyleczył ranę, że po operacji nie pozostało ani śladu. Następnie Pan Bóg poszedł z żebrem prawdopodobnie do altanki i zrobił z niego młodą kobietę, ot, taką samutką jak Krystyna. Tak to wszystko się stało, sprawa jest wyjaśniona bez reszty i nie ma w niej ani cienia najmniejszych trudności. Czyż Bóg nie mógł wybrać takiego sposobu stworzenia człowieka, jeżeli taka była Jego wola, i czyż sam nie powiedział nam w Księdze przez siebie natchnionej, że tak tego dokonał?

Takie oto poglądy na kosmogonię Mojżeszową spotykało się na każdym kroku wśród przeciętnie wykształconych mężczyzn i kobiet pięćdziesiąt, czterdzieści, a nawet dwadzieścia lat temu. Z tych względów zwalczanie niedowiarstwa przedstawiało dla młodych, rzutkich duchownych stosunkowo skromne pole do popisu, a w tamtych czasach Kościół nie dojrzał jeszcze do tak rozległej działalności charytatywnej wśród ubogich w wielkich miastach, jaką rozwija w naszych czasach. Na tym polu, nie stawiając oporu ani nie kwapiąc się do współpracy, pozwolono urabiać sobie ręce po łokcie sukcesorom Wesleya. Praca misyjna w krajach pogańskich prowadzona była z jaką taką energią, lecz Teobald nie czuł misjonarskiego powołania. Krystyna często poddawała mu tę myśl, zapewniając go z zapałem, że czułaby się niewypowiedzianie szczęśliwa, gdyby mogła zostać żoną misjonarza i dzielić z nim niebezpieczeństwa. Może nawet zostaną męczennikami. Gdyby do tego doszło, z całą pewnością będą umęczeni jednocześnie, a męczeństwo, odległe w czasie i oglądane z perspektywy altany w ogrodzie przy plebanii, było bezbolesne. Śmierć męczeńska zapewni im chwalebny przyszłość na tamtym świecie, a co najmniej pośmiertną sławę na ziemi. Nadto jest całkiem możliwe, że cudownym zrządzeniem zostaną przywróceny do życia, bo męczennikom, jak wiemy, zdarzało się to dawniej wcale często. Teobald wszakże nie płonął takim zapałem religijnym jak Krystyna, a więc ona wystąpiła z kolei przeciwko Kościołowi katolickiemu, który jest wrogiem może nawet groźniejszym od samego pogaństwa. W walce z papizmem również będą mieli sporą szansę uwieńczenia swych skroni koroną męczeństwa. Wprawdzie Kościół katolicki zachowywał się w owych czasach na ogół spokojnie, nie miała jednak najmniejszych wątpliwości, że jest to cisza przed burzą, a jej przekonania w tej materii były daleko silniejsze, niż gdyby doszła do nich wyłącznie na podstawie argumentów rozumu.

— My dwoje, najdroższy Teobaldzie — mówiła podniesionym tonem — będziemy zawsze sobie wierni. Będziemy stać przy sobie mocno, będziemy zawsze wspierać się nawzajem, także i w godzinie śmierci. Może Pan Bóg w swym miłosierdziu nie dopuści, abyśmy zostali spaleni żywcem. Ale któż wie, jaka będzie wola Jego. O Panie (i podnosiła oczy modlitewnie ku niebu), oszczędź mego Teobalda, a przynajmniej dopuść, żeby tylko ucięto mu głowę.

— Najdroższa — odpowiadał Teobald poważnie — nie podniecajmy się niepotrzebnie. Kiedy nadejdzie godzina próby, staniemy do niej najlepiej przygotowani, jeżeli będziemy mogli

powiedzieć sobie, że wiedliśmy życie ciche i skromne, pełne samozaparć i poświęceń dla chwały bożej. Módlmy się, żeby Bogu spodobało się zesłać nam umiejętność modlitwy o takie właśnie życie.

— Najdroższy — wołała Krystyna — osuszając łzy, którymi zaszyły jej oczy — zawsze, zawsze masz rację. Będziemy ofiarni, czyści, prawi, uczciwi w słowach i czynach. — Mówiąc to złożyła ręce i wzniosła oczy ku niebiosom.

— Najdroższa — odparł jej ukochany — już teraz staraliśmy się urzeczywistnić te zasady w naszym życiu. Trzymaliśmy się zawsze jak najdalej od pospolitych pokus tego świata, więc czuwajmy i módlmy się, byśmy wytrwali w tym do końca.

Na niebie pokazał się księżyc, w altanie robiło się coraz chłodniej, więc odroczyli swe wzloty do bardziej sprzyjających okoliczności. Zdarzało się często, że Krystyna widziała siebie i Teobalda w sytuacji, w której, nie licząc się ze wzgardą wszelakiego stworzenia, dokonują jakiegoś wspaniałego dzieła dla chwały Zbawiciela. Nie ma przeciwności, której nie potrafi stawić czoła na drodze do tego celu. Ale w zakończeniu każdej takiej wizji pojawiała się nieodmiennie scenka koronacji, odbywającej się hen na wysokościach, w pozłocistych rejonach nieba: oto Syn Człowieczy we własnej osobie wieńczy jej skronie diademem, a zastępy aniołów i archaniołów spoglądają na nią z zazdrością i podziwem — nawet sam Teobald był z tej uroczystości wykluczony. Gdyby istniała istota w rodzaju Mammona Sprawiedliwości, Krystyna z całą pewnością zawarłaby z nią przyjaźń. Jej tatuś i mamusia są ludźmi z gruntu godnymi szacunku, a więc z biegiem czasu otrzymają niebiańskie mieszkania, w których będą sobie żyli bardzo wygodnie. Bez wątplenia otrzymają je także i jej siostry, być może także i jej bracia. Czują jednak bardzo wyraźnie, że dla niej samej z wyroków przeznaczenia coś wyższego było w pogotowiu i do jej świętych obowiązków należało nigdy nie tracić tego celu z oczu. Pierwszym krokiem w tym kierunku miało być małżeństwo z Teobaldem. Mimo porywów religijnego romantyzmu Krystyna była wcale pogodną i miłą dziewczyną i gdyby nie wyszła za mąż za duchownego, a wzięła sobie za męża rozsądnego, dajmy na to, restauratora, stałaby się z biegiem czasu doskonałą szefową i na pewno cieszyłaby się zasłużonym uznaniem wśród gości.

Tak płynęły narzeczeńskie lata Teobalda. Młoda para zdążyła wymienić wiele małych prezentów i przygotować sobie nawzajem niejedną miłą niespodziankę. Nigdy się nie sprzecali i żadne z nich nigdy nie flirtowało z kim innym: Pani Allaby i przyszłe szwagierki Teobalda po prostu go ubóstwiały, chociaż dopóki mógł pomagać panu Allaby, a nie brał za to teraz ani pensa, sprowadzenie następnego diakona i zagranie o niego w karty było wykluczone. Dwu siostrom udało się jednak zdobyć mężów jeszcze przed ślubem Krystyny i w obu przypadkach Teobald odegrał rolę słonia, którego na polowaniu wystawia się „na wabia”. W końcu z siedmiu panien Allaby zaledwie dwie siostry pozostały samotne.

Po upływie trzech albo czterech lat stary pan Pontifex przyzwyczał się do myśli, że Teobald jest zaręczony, i uznał to zdarzenie za fakt, który z racji przedawnienia korzysta z nabytych praw do tolerancji. Na wiosnę roku 1831, a więc po upływie przeszło pięciu lat od pierwszej wizyty Teobalda w Crampsford, nagle opróżniła się jedna z najlepszych parafii, wchodzących w skład kolegalnej fundacji, i wbrew wszelkim oczekiwaniom nie została z różnorodnych powodów przyjęta przez dwu starszych kolegów Teobalda. Z kolei zaproponowano ją jemu, więc, rzecz jasna, nie wahał się ani chwili, ponieważ przynosiła rocznie co najmniej pięćset funtów dochodu, niezależnie od przyzwoitego domu z ogrodem na mieszkanie. Stary pan Pontifex wystąpił znacznie hojniej, niż można było po nim się spodziewać, bo ustanowił na ich rzecz dożywocie w wysokości dziesięciu tysięcy funtów z prawem przeniesienia tej sumy na te ich dzieci, które sami wyznaczą. W lipcu 1831 Teobald i Krystyna zawarli związek małżeński.

ROZDZIAŁ XIII

Posypały się, jak zwyczaj nakazuje, stare buty do powozu, który wyruszył ze szczęśliwą parą sprzed domu rektora Allaby i na krańcach miasteczka skręcił za narożnik. Jeszcze przez kilkaset metrów widać było, jak pełznął wzdłuż jodłowego zagajnika, aż zupełnie znikł z oczu.

— Janie — rzekł pan Allaby do swego służącego — zamknij bramę — i wszedł do domu z westchnieniem, które wydawało się głosić światu: „Dokonałem i żyję.” Była to reakcja na wybuch entuzjastycznej wesołości, którą starszy pan wywołał swym kilkunastometrowym biegiem za powozem w zamiarze wrzucenia pantofla, co udało mu się całkiem prawidłowo.

Ale jakich uczuć doznawali Teobald i Krystyna, kiedy wyjechali z miasteczka i sunęli gładką drogą wzdłuż jodłowej szkółki? W takiej chwili mdleje nawet najodważniejsze serce, chyba że bije w piersi człowieka, który jest po uszy zakochany. Jeżeli młody człowiek, płynąc w dwójkę ze swą młodą żoną w małej łódce po wzburzonym morzu i cierpiąc wspólnie z nią na chorobę morską, potrafi trzymając głowę swej ukochanej w jej najgorszych chwilach znaleźć tyle szczęścia, że zapomina o własnej udreće, jest to nieomyślny znak prawdziwej miłości i jego sercu nie groziłoby żadne niebezpieczeństwo przy człapaniu powozem wzdłuż jodłowego lasku. Pozostali ludzie, a tak się nieszczęśliwie składa, że większość nowożeńców trzeba sklasyfikować jako „pozostałych ludzi”, przeżywają kwadrans lub pół godziny mniej lub bardziej ostrych mdłości. Ujmując rzecz w liczbach, skłonny jestem przyjąć, że na ulicach wiodących z kościoła Św. Jerzego doznano więcej cierpień psychicznych niż w celach więziennych w Newgate. Włosi znają dotknięcie „córci Śmierci” — *la figlia della Morte* — i nigdy chyba jej chłodna dłoń nie jest tak okropna jak w ciągu pierwszych trzydziestu minut, które mężczyzna musi spędzić sam na sam z kobietą dopiero co poślubioną i nigdy nie kochaną. „Córka Śmierci” nie oszczędziła Teobalda. Jak dotąd trzymał się bardzo dzielnie. Kiedy Krystyna skłonna była zwolnić go ze słowa, wytrwał na swym posterunku z wielkodusznością, którą niezmiernie się puszył. Od tamtej chwili powtarzał do samego siebie: „Co jak co, ale jestem człowiekiem honoru. Nie jestem...” itd., itd. Co prawda w chwili tego wielkodusznego odruchu do zapłaty — że się tak wyrażę — brzęczącą monetą było jeszcze bardzo daleko. Kiedy ojciec zgodził się na ich małżeństwo, sprawa zaczęła wyglądać poważnie, a kiedy nieoczekiwanie opróżniła się parafia i nasz narzeczony wyraził zgodę na jej objęcie, horyzont zachmurzył się jeszcze bardziej. Kiedy Krystyna wymieniła konkretny dzień — serce Teobalda omdlało mu w piersi. Byli już tak długo po słowie, że ich związek stał się w ich własnych oczach czymś zupełnie naturalnym, a perspektywa zmiany była mało zachęcająca. Wzajemne stosunki pomiędzy nimi, rozmyślał sobie, układały się przez wiele lat bez zarzutu, a więc dlaczego — właściwie dlaczego nie mieliby przetrwać na tych samych warunkach do końca swego życia? Ale nie miał żadnego wyjścia, podobnie jak owca, którą zapędzono do okólnika przy jatce rzeźnika, i podobnie jak owca czuł, że stawianie oporu nie ma żadnego sensu, więc go nie stawiał. Zachowywał się z prawdziwą godnością i wszyscy zgodnie uważali, że jest najszczęśliwszym z ludzi.

Teraz jednak — pozwólcie, że użyję innej metafory — usunięto mu spod nóg ostatnie oparcie i nieborak wraz ze swą ukochaną istotą zawisł w powietrzu. Istota miała teraz trzydzieści trzy lata i na tyle wyglądała, na dodatek splotała się, więc oczy i nos miała zaczerwienione. Na twarzy pana Allaby po udanym rzucie bukiem wypisane było: „Dokonałem i żyję”, natomiast z oblicza Teobalda, kiedy powóz wioził go drogą wzdłuż jodłowego lasku, można było bez trudu odczytać: „Dokonałem, ale nie mam zielonego pojęcia, jak długo jeszcze pożyję.” Z plebanii nie było tego widać. Dostrzec można było tylko czarno-żółtą sylwetę ekwipażu oraz podskakującą

głowę pocztyliona, która, gdy unosił się w strzemionach, wystawała na moment ponad przydrożnym żywoplotem.

Młoda para przez jakiś czas milczała: niech czytelnik sam spróbuje odgadnąć, jakich uczuć doświadczała przez pierwsze pół godziny, bo moje pióro nie jest zdolne ich opisać. Po upływie tego okresu Teobald z jakiegoś zapadłego kąta swej duszy wyszperał wniosek, że skoro są już po ślubie, to należy co żywo ich wzajemne stosunki ułożyć na takiej płaszczyźnie, jaka będzie obowiązywać między nimi w przyszłości. Gdyby ludzie, którzy znaleźli się w tarapatkach, decydowali się na to, co w pierwszej chwili narzuca się im jako jedyne rozsądne wyjście z sytuacji, na pewno następny krok przeszedłby im daleko łatwiej. Cóż więc, rozmyślał dalej Teobald, było w danej chwili pierwszym i podstawowym zagadnieniem i jaką postawę nakazywała sprawiedliwość zająć każdemu z nich z osobna wobec tego problemu? Było całkiem jasne, że pierwszy obiad miał być ich pierwszym wspólnym wystąpieniem w sferze małżeńskich obowiązków i radości. Niemniej oczywiste było, że Krystyna miała obowiązek go zadysponować, a on zjeść i zapłacić.

Przesłanki wiodące do tego wniosku oraz sam wniosek zaskoczyły Teobalda swą nieodpartą oczywistością na gościńcu do Newmarket, jakieś trzy i pół mili od Crampsford. Zjadł śniadanie wcześniej, ale zjadł mniej niż zwykle, bo apetyt mu nie dopisał. Z plebanii wyjechali w południe rezygnując ze ślubnego śniadania. Teobald lubił wcześniej siadać do obiadu i stwierdził, że zaczyna być głodny. Stąd do konkluzji, którą zreferowałem wam w poprzednim ustępie, było już bardzo blisko. Po kilku minutach zadumy przedłożył sprawę swej małżonce i — lody zostały przełamane.

Pani Teobaldowa nie była przygotowana na tak szybki awans w hierarchii społecznej. Po porannych przeżyciach jej nerwy, zresztą dość wężle, napięte były do ostatnich granic. Najchętniej skryłaby się pod ziemię. Zdawała sobie sprawę, że wygląda bądź co bądź trochę za staro jak na pannę młodą, która dopiero od kilku godzin była mężatką, i nie można się dziwić, że nie odpowiadało to jej pragnieniom.

Bała się gospodyni w hotelu, pokojówki, kelnera — słowem, bała się wszystkich i wszystkiego. Serce biło jej tak szybko, że głosu z siebie wydobyć nie mogła, a cóż dopiero mówić o piekle zamawiania obiadu w obcym hotelu i u obcej gospodyni. Błagała i dopraszała się pokornie, żeby ją z tego zwolnił. Jeżeli Teobald zgodzi się ten jedyny raz w życiu zadysponować, co ma być na obiad, ona zadysponuje go w każdym innym dniu i będzie dysponować codziennie w przyszłości.

Ale nieugięty Teobald nie pozwolił się zbyć tak absurdalnymi wykrętami. On jest teraz panem. Dwie godziny jeszcze nie minęły od chwili, w której Krystyna uroczyście przyrzekła, że będzie go szanować i słuchać we wszystkim, a już staje mu okoniem, i to w takiej drobnostce. Przyjemny uśmiech znikł z jego twarzy, a na obliczu pojawiła się chmura tak posepna, że nawet tak wytrawny śledziennik jak jego ojciec mógł mu jej pozazdrościć.

— Bzdury i brednie, kochana Krystyno! — wykrzyknął tupiąc w podłogę ekwipażu. — Do obowiązków żony należy zarządzić obiad dla męża, a ponieważ jesteś moją żoną, więc mam prawo oczekiwać od ciebie, że zarządzisz go dla mnie. — Bo Teobald był na wskroś logiczny.

Oblubienica zaczęła płakać i powiedziała mu, że jest niedobry, co wprawdzie Teobald pozostawił bez odpowiedzi, ale w jego sercu palpitowały kwestie, których nie dało się wyrazić w słowach. A więc taka spotyka go nagroda za sześć lat wiernej miłości? A więc tego doczekał się za to, że nie skorzystał z propozycji Krystyny i wytrwał przy danym jej słowie? A więc po cóż tyle rozprawiała o obowiązkach i duchowych aspiracjach, skoro już w dniu ślubu nie potrafi dostrzec, że pierwszym warunkiem posłuszeństwa wobec Pana Boga jest posłuszeństwo wobec niego? Zawróci do Crampsford. Poskarży się państwu Allaby. Nie miał wcale zamiaru zenić się z

Krystyną. Bogiem a prawdą, wcale się z nią nie ożenił. Był to tylko okropny sen. Powie... Ale w uszach słyszał głos: „nie możesz, nie możesz.”

— Naprawdę nie mogę? — jęknął biedak do samego siebie.

„nie — odpowiedział nieubłagany głos — NIE MOŻESZ, JESTEŚ ŻONATY.”

Skulił się w kącie powozu i po raz pierwszy odczuł na własnej skórze, jak niegodziwe jest angielskie prawo małżeńskie. Kupił sobie z dzieł Milтона jego prozę i przeczytał pamflet o rozwodzie. Chyba dostanie go w Newmarket.

Panna młoda siedziała w swoim kącie powozu, a pan młody dręczył się w swoim i bał się jej tak bardzo, jak tylko może bać się nowożeńiec.

W tej chwili dobiegł go z drugiego kąta słaby głosik:

— Kochany Teobaldzie, kochany Teobaldzie, przebacz mi, postąpiłam źle, bardzo źle. Nie gniewaj się na mnie, bardzo cię proszę, zadysponuję... — wybuch szlochów uwięził jej w gardle słowo „obiad”.

Na te słowa lżej zaczęło się robić Teobaldowi na sercu, lecz poprzestał na spojrzeniu, zresztą niezbyt przyjemnym.

. — Powiedz mi, proszę — ciągnął dalej głos — na co miałbyś ochotę, a powtórzę gospodyni, jak zajedziemy do Newmar... — następny wybuch łkań nie pozwolił jej na dokończenie ostatniego słowa.

Teobaldowi robiło się na sercu coraz lżej i lżej. A może ona mimo wszystko nie zamierza wodzić go za nos? W dodatku, czyż Krystynie nie udało się odwrócić jego uwagi od własnej osoby i skierować ją na oczekiwany obiad?

Przełknął trochę nagromadzonych w nim obaw i powiedział tonem jeszcze posępnym:

— Sądzę, że moglibyśmy zjeść pieczonego kurczaka w sosie chlebowym, młode kartofle i zielony groszek, a na deser może dostaniemy placek z czereśniami i trochę bitej śmietany.

Po kilku minutach przysunął się do niej, scałował jej łzy i wyraził przekonanie, że będzie dobrą żoną.

— Kochany Teobaldzie — zawołała w odpowiedzi — jesteś aniołem.

Teobald w to uwierzył i po dziesięciu minutach szczęśliwa para znalazła się w oberży w Newmarket.

Krystyna dzielnie wywiązała się z trudnego zadania. W sekrecie zaniósł gorące prośby do gospodyni, żeby jej Teobald nie musiał czekać ani minuty dłużej, niż jest to absolutnie konieczne. — Może jest jakaś gotowa zupa, pani Barber, zyskamy na tym dobre dziesięć minut, w czasie których kurczak będzie mógł się podrumienić.

Spójrzcie, ile sił wy dobyła z siebie w potrzebie! Prawdę mówiąc, głowa pękała jej z bólu i nie wiem, co by dała, żeby móc zostać sama.

Obiad udał się wspaniale. Półkwaterek hiszpańskiego wina podniósł Teobalda bardzo na duchu i zaczął wierzyć, że koniec końców jego perspektywy są całkiem znośne. Wygrał pierwszą bitwę, a to przysparza wielkiego autorytetu. I jak łatwo mu to przyszło! Właściwie dlaczego nigdy w taki sposób nie postępował ze swoimi siostrami? Pokaże im, jak tylko je zobaczy. Z czasem potrafi stawić czoło bratu, a na- wet ojcu. Tak upojeni winem i zwycięstwem budujemy zamki na lodzie.

Nie upłynął jeszcze miodowy miesiąc, a nie znalazłbyś w całej Anglii drugiej tak potulnej żony jak Krystyna. Zgodnie z przyjętym powiedzeniem, Teobald z miejsca urwał łeb hydrze. Była to bardzo mała hydra, w gruncie rzeczy niepozorny stworek, bo inaczej byłby się jej przestraszył, ale na widok jej lichutkiej postaci wyzwał ją na śmiertelny pojedynek i ociekającą krwią głowę swej ofiary zwycięskim gestem podsunął pod oczy żony.

Dziwne może się wydawać, że człowiek, którego scharakteryzowałem jako nieśmiałego i

dającego się łatwo osadzić na miejscu, już w pierwszym dniu małżeństwa okazał się tak tatarsko krwiożerczy. Być może, wynika to stąd, że za mało uwagi poświęciłem temu okresowi jego życia, w którym starał się o rękę Krystyny. Dostał wtedy wielu godności w swym kolegium, został tutorem, a w końcu awansował na młodszego dziekana. Wiem z własnego doświadczenia, że u każdego, kto przez przeciąg pięciu czy sześciu lat bez przerwy był członkiem ciała pedagogicznego na uniwersytecie, poczucie własnego znaczenia osiąga adekwatnie wysoki poziom. Co prawda zaledwie znalazł się w promieniu dziesięciu mil od domu swego ojca, padał na niego jakiś urok, ugięły się pod nim kolana, ulatywała jego wielkość i znowu czuł się jak wyrosnięte ponad wiek dziecko, które' wiecznie strofują; ale rzadko bywał w Elmhurst i zaledwie go opuścił, a już czary przestawały działać.

Znowu stawał się pracownikiem nauki i wychowawcą młodzieży, młodszym dziekanem swego kolegium, małżonkiem Krystyny i bóstwem kobiet z domu Allaby. Na podstawie całokształtu faktów można przyjąć, że gdyby Krystyna była kurą berberyjską, która nastroszeniem piór manifestuje każdy swój sprzeciw, Teobald bardzo szybko zszedłby ze swego piedestału. Jego żona nie była jednak kurą berberyjską, lecz bardzo zwyczajną kokoszką domową, obdarzoną w dodatku znacznie mniejszą porcją odwagi osobistej niż normalnie u kur spotykamy.

ROZDZIAŁ XIV

Miejscowość, w której Teobald był teraz proboszczem, nazywała się Battersby-On-The-Hill. Liczyła czterysta, a może pięćset mieszkańców rozproszonych na dość dużym obszarze, a byli to wyłącznie drobni właściciele ziemscy i robotnicy rolni. Plebania była wygodna, stała na szczycie wzgórza, skąd rozlegał się śliczny widok. Sąsiadów, mieszkających tu i tam w orbicie wzajemnych wizyt, było dość sporo, a z małymi wyjątkami byli to przeważnie duchowni i ich rodziny z sąsiednich miejscowości.

Przyjęli Pontifexów z otwartymi ramionami uznając ich za znakomity nabytek dla tamtejszych stron. Pan Pontifex — mówili — to nieprzeciętnie zdolny człowiek, to luminarz i chluba uniwersytetu zarówno w naukach klasycznych, jak i matematycznych, zaiste to umysł genialny, a mimo to człowiek pełen zdrowego rozsądku i praktycznego doświadczenia. Synowi tak wybitnego człowieka jak pan Pontifex, właściciel firmy wydawniczej, z całą pewnością dostanie się niebawem wielka fortuna. Ale, ale, czy to prawda, że ma podobno starszego brata? Tak, ma, ale będzie tego tyle, że dla Teobalda zostanie przyzwoity kąsek. Na pewno będą wydawać proszone obiady. A pani Pontifex, cóż to za czarująca kobieta, wprawdzie nie jest specjalnie ładna, ale za to jaki ma miły uśmiech i jaka jest żywa i ujmująca w zachowaniu.

A jak się kochają! Patrząc na nich człowiek zaczyna mieć wyobrażenie, jak ludzie kochali się za dawnych lat, bo na palcach jednej ręki policzyć można tak wzorowe małżeństwa w naszych zepsutych czasach; to takie piękne itp., itp. Takie komentarze wywoływali nasi przybysze wśród sąsiadów.

A o parafianach Teobalda rzecz można tyle, że farmerzy byli uprzejmi, zaś wyrobnicy wiejscy i ich żony uniżeni. Była wśród nich grupka odszczepieńców, spadek po niedbałym poprzedniku, ale pani Teobaldowa orzekła z dumą: „Sądzę, że można mieć zaufanie do Teobalda, że potrafi sobie z tym poradzić.” Kościół w Battersby w ówczesnej jego postaci był wyjątkowo interesującym zabytkiem stylu późnoromańskiego z niewielkimi fragmentami dodanymi w okresie wczesnoangielskim. Dziś powiedzielibyśmy, że znajdował się w bardzo złym stanie, jednak w tamtych czasach nieliczne kościoły znajdowały się w dobrym stanie. Wydaje mi się, że nic chyba lepiej nie charakteryzuje naszego pokolenia niż pasja, z jaką restaurujemy kościoły. Horacy zalecał odbudowę kościołów w rytmie ody:

*Delicta majorum immeritus lues,
Romane, donec templa refeceris Aedesque labentes deorum et Foeda nigro simulacra fumo.*

Niedobrze działo się z Rzymem w ciągu długich lat, które nastąpiły po złotym wieku Augustów, ale nie mam pojęcia, czy dlatego, że Rzym odbudowywał swe świątynie, czy dlatego, że ich nie odbudowywał. W okresie późniejszym, po Konstantynie, wszystkie legły w gruzach, ale mimo to Rzym do dziś zachował w świecie nie lada znaczenie.

Mogę poświadczyć, że już w kilka lat po osiedleniu się w Battersby Teobald znalazł szerokie pole popisu dla swej pożytecznej inicjatywy przebudowania tamtejszego kościoła i przeprowadził to znacznym kosztem, nie szczędząc na ten cel własnej kieszeni. Był swym własnym architektem, co bez wątplenia zaoszczędziło wydatków. Ale w tamtych czasach, mniej więcej około roku 1834, kiedy Teobald rozpoczął swe architektoniczne działania, nie rozumiano się na architekturze tak dobrze jak dziś, a więc efekt był gorszy, niż gdyby poczekał jakieś kilka lat.

Każde dzieło człowieka, czy to w dziedzinie literatury, czy muzyki, malarstwa czy

architektury, bądź w jakiegokolwiek innej dziedzinie twórczości jest zawsze portretem twórcy, i im bardziej stara się on

Póki nie odbudujesz świątyń, Rzymianinie, I posągów bóstw rzymskich osmalonych w dymie — Dopóty będziesz cierpiał, chociaż sam bez winy — Za przodków swoich grzechy i zbrodnicze czyny.

Horacy, oda 6, Ks. III Przekład Włodzimierza Lewika siebie zataić, tym wyraźniej odbija ono wbrew niemu samemu jego własny charakter. Być może, że tym samym wydaję wyrok na samego siebie za każdą stronicę tej książki, ale zdaję sobie jasno sprawę, że — chcąc czy nie chcąc — daję w niej dokładniejszy wizerunek mej własnej osoby niż tych wszystkich postaci, które ustawiam na mej powieściowej scenie przed oczami czytelnika. Bardzo mi jest przykro z tego powodu, lecz absolutnie nic na to nie poradzę, a mając niepłonną nadzieję, że Nemezis właściwie oceni mój piękny ukłon w jej stronę, dodam tylko tyle, że patrząc na kościół w Battersby w jego poprawionym kształcie odnosiłem zawsze nieodparte wrażenie, że był on tak świetnym portretem Teobalda, na jaki mógłby zdobyć się tylko prawdziwy mistrz dłuta lub pędzla.

Pamiętam moją wizytę u Teobalda w jakieś sześć lub siedem miesięcy po jego ślubie, kiedy stał jeszcze stary kościół. Poszedłem do kościoła i czułem się tak, jak czuł się Naaman, kiedy oczyszczony z trądu wrócił do swego pana i musiał dotrzymywać mu towarzystwa w pewnych sytuacjach. Owo przeżycie, a także tamtejsi ludzie zachowali w moich wspomnieniach daleko większą świeżość niż kazanie, które wtedy wygłosił Teobald. Jeszcze dziś mam w oczach mężczyzn w niebieskich kapotach, sięgających po pięty, i niejedną kobietę w szkarłatnym okryciu. Poczet tępych, ponurych wyrostków — woźniców od pługa, nieforemnych z kształtu, szpetnych na twarzy, bezdusznych, apatycznych, rasę tak bardzo przypominającą francuskich chłopów z czasów przedrewolucyjnych, znanych nam z opisu Carlyle'a, że skojarzenie to wywołuje wcale nieprzyjemne wrażenie — generację zlużowaną w naszych czasach przez pokolenie bardziej bystre, bardziej urodziwe, bardziej obiecujące, które odkryło, że ma prawo do szczęścia i może mieć go tyle, ile samo potrafi zdobyć, a także lepiej pojmuje, jakie drogi prowadzą do tego celu.

Wchodzą jeden za drugim ciężko i niezdarnie, w oparach oddechów, bo jest zima, z głośnym stukotem nakołkowanych butów. Przy wejściu obtupują z nich śnieg, a ja przez uchylone drzwi dostrzegam na moment skrawek posepnie ołowianego nieba i nagrobki otulone śniegiem. Trafiam jakoś na melodię, którą Haendel zespolił ze słowami: „Oto oracz blisko już, a ona usadawia się na dobre w mej głowie i nie znajduję sposobu, żeby ją z niej wypędzić. Jakże cudownie rozumiał Haendel tych ludzi!

Przechodząc koło ambony szurgają nogami na znak powitania dla Teobalda („Tutejsi ludzie są naprawdę dobrze ułożeni — szeptem mówi do mnie Krystyna — wiedzą dobrze, kto jest od nich lepszy.”) i siadają obok siebie na długiej ławie pod ścianą. Chór wspina się na galerię dźwigając instrumenty — wiolonczelę, klarnet i puzon. Widzę ich, a wkrótce także słyszę, bo przed nabożeństwem intonują hymn o nieokrzesej melodii, jakiś szczątek, o ile się nie mylę, litanii śpiewanej przed reformacją. Spotkałem się, tak mi się przynajmniej wydaje, z jej muzycznym praojcem w kościele SS. Giovanni a Paolo w Wenecji pięć lat temu. Potem znowu usłyszałem ją pośrodku Atlantyku w szarą, morską niedzielę czerwcową, kiedy nie ma ani wiatru, ani fal i emigranci wychodzą na pokład, a ich płaczliwy psalm rozchodzi się w powietrzu utkanym ze srebrnej mgły i biegnie po pustym morzu, które wzdychało tak długo, aż znużone umilkło. A można usłyszeć ów hymn jeszcze na ja- kimś pobożnym zebraniu metodystów wśród walijskich wzgórz, ale z kościołów znikł na zawsze. Gdybym był muzykiem, wykorzystałbym ów psalm jako temat do Adagio w Wesleyańskiej symfonii.

Nie ma już dziś klarnetu, wiolonczeli i puzonu, nie ma trójcy szalonych minstrelów, jakże żywo przypominających żalosne istoty z Ezekiela — skłóconych, a przecież nieskończenie patetycznych. Nie usłyszycie już siejącego postrach wśród dzieci stentora kowala wiejskiego, ryczącego jak byk na Basanie, nie usłyszycie śpiewnego cieśli, nie ma już krzepkiego pasterza z rudą czupryną, który grzmiał głośniejszy od innych, ale kiedy dochodzili do słów: „Pasterze wśród swych trzód mieszkając”, skromność wprawiała go w stan zakłopotania i zmuszała do milczenia, jak gdyby pito toast za jego zdrowie. Byli straceni i mieli przecucie nieszczęścia nawet wtedy, kiedy zobaczyłem ich po raz pierwszy, ale wówczas zostawiono jeszcze trochę swobody ich chórowi, więc wyśpiewywali wniebogłosy: „Grzesz-ne rę-ce przy-bi-ły go, przy-bi-ły go do krzy-ża”, lecz żaden opis nie jest w stanie oddać efektu, jaki to wywoływało. Kiedy byłem ostatni raz w kościele w Battersby, milutka dziewczyna w otoczeniu chóru dziatwy szkolnej grała na fisharmonii, a dzieci nabożnie śpiewały psalmy i pieśni kościelne, intonowały hymny stare i współczesne. Znikły wysokie ławy, a nawet usunięto galerię, gdzie dawniej stawali kościelni śpiewacy, ów przeklęty przedmiot, który wodził ludzi na pokuszenie, że można wspiąć się wyżej. Teobald był już wtedy stary, a Krystyna spoczywała pod cisami na kościelnym cmentarzu.

Ale późnym wieczorem zobaczyłem trzech radosnych starców wychodzących z kaplicy dysydentów, a byli to bez wątpienia moi starzy przyjaciele: kowal, cieśla i pasterz. Na ich twarzach malowało się niezwyčajne zadowolenie, więc pojąłem natychmiast, że śpiewali, na pewno bez starodawnego majestatu klarnetu, wiolonczeli i puzonu, ale jednak były to pieśni Syjonu, a nie pieśni zmanierowanego papiestwa.

ROZDZIAŁ XV

Hymn pochłonął moją uwagę, potem skończył się i miałem czas rozejrzeć się po kongregacji. Byli to przeważnie farmerzy — ludzie otyli, bardzo zamożni, którzy przyszli, niejeden z żoną i dziećmi, ze swych gospodarstw położonych na granicy parafii, odległych o jakieś dwie lub trzy mile. Nieprzejednani wrogowie papizmu i wszystkiego co papistowskie. Dobre, rozsądne chłopcy, nienawidzące teorii w każdej jej postaci, dla których zachowanie *status quo* jest najwyższym ideałem, choć, być może, z łezką w oku wspominają dawne czasy wojenne i uważają za krzywdę, że pogoda od nich nie zależy. Pragną, żeby ceny były wyższe, a płace niższe, ale najbardziej są ukontentowani, jeżeli zmiany w istniejącym porządku rzeczy następują możliwie wolno. Tolerują, a może nawet wielbią wszystko co swojskie i nienawidzą każdej nowinki. Gorszą się zarówno tym, że ktoś wątpi w religię chrześcijańską, jak i tym, że ją praktykuje.

— Cóż wspólnego ma Teobald ze swymi parafianami? — rzekła do mnie Krystyna o szarej godzinie korzystając z chwilowej nieobecności męża. — Wiem, że nie powinno się narzekać, ale nie mogę powstrzymać się, żeby nie powiedzieć, jak bardzo mnie martwi, że człowiek tej miary co Teobald został skazany na tafcie odludzie jak Battersby. Gdybyż to było przynajmniej Gaysbury, gdzie, jak panu wiadomo, mieszkają A i B, a także G oraz lord D, niedaleko stąd, może nie odczuwałabym tak silnie, że mieszkamy na takiej pustyni. Jedyna pociecha w tym — dodała weselej — że jak biskup znajdzie się w tych stronach, to na pewno zajędzie do nas, a gdybyśmy mieszkali w Gaysbury, to udałby się pewnie do lorda D.

Zdaje mi się, że dość już powiedziałem o miejscowości, w której z wyroków losu znalazł się Teobald, i o typie kobiety, z którą się ożenił. Kilka słów o jego trybie życia — mam jeszcze w oczach, jak brnie przez grząskie łąki i rozległe, rojące się od siewek płachty pastwisk do konającej żony wieśniaka. Znosi jej jedzenie i wino z własnego stołu, i to wcale nie skąpo, lecz bardzo hojnie. Następnie zgodnie ze swymi przekonaniem udziela jej tego, co on uważa za duchową pociechę.

— Boję się, proszę pana, że pójdę do piekła — cienko biadoli chora kobieta. — Zbaw mnie, wiekuisty Panie, zbaw mnie, nie dozwoł, żebym tam poszła. Nie wytrzymam tego, umrę ze strachu, na samą myśl oblewają mnie zimne poty.

— Pani Thompson — mówi Teobald poważnie — musisz wierzyć w ofiarę krwi Zbawiciela, tylko On może cię zbawić.

— Ale czy jesteś pewny, panie — mówi chora patrząc bacznie na niego — że On mi przebaczy, bo nie byłam dobrą kobietą, wiem o tym, że nie byłam, a gdyby Bóg zechciał powiedzieć „tak” swymi własnymi ustami, kiedy pytam się, czy moje grzechy są mi przebaczone...

— Ależ są ci przebaczone, pani Thompson — przerywa Teobald nieco szorstkim tonem, bo z tym samym tematem borykał się, już tyle razy, a dziś musi znosić paniczne nastroje nieszczęśliwej kobiety przez cały kwadrans. Pograża się, kładąc kres rozmowie, w modlitwach według „Wizytacji Chorych”, a to onieśmiela biedaczkę i wstrzymuje od manifestowania dalszych obaw co do jej przyszłego losu.

— Powiedz mi, panie — wykrzykuje chora żałośnie, widząc, że Teobald zabiera się do wyjścia — powiedz mi, że nie będzie sądu ostatecznego, że nie ma piekła! Mogę żyć bez nieba, ale nie mogę żyć z myślą o piekle. — Teobald jest bardzo wzbudzony.

— Pani Thompson — odpowiada podniosłym tonem — zaklinam cię, nie dopuszczaj do

siebie w takiej chwili nawet najmniejszych wątpliwości co do tych dwu kamieni węgielnych naszej wiary. Nie ma nic bardziej pewnego niż to, że wszyscy staniemy przed trybunałem. Chrystusa oraz że grzeszników pochłonie morze wiecznego ognia. Wątpiąc w to, sama gotujesz sobie zgubę.

Biedna kobieta, zdjęta panicznym strachem, wtuliła rozgorączkowaną głowę w koldrę, aż wreszcie łzy przyniosły jej ulgę.

— Niech pani się opanuje — mówi Teobald z ręką na klamce — moja pani Thompson, proszę się uspokoić. Niech pani wierzy memu słowu, że w dniu sądu ostatecznego wszystkie grzechy twoje zostaną zmyte w krwi Baranka Bożego. Tak, pani Thompson — woła z uniesieniem — choćby były jak szkarłat, staną się białe jako śnieg — i z cuchnącej atmosfery izby z największym pośpiechem wychodzi na świeże powietrze. Och, jaki jest zadowolony, że ma to już poza sobą!

Wraca do domu w przeświadczeniu, że dobrze spełnił swój obowiązek i udzielił pociechy religijnej konającemu grzesznikowi. Pełna admiracji małżonka oczekuje go na plebanii i wmawia mu, że nie było nigdy duchownego, który z takim poświęceniem dbałby o dobro powierzonej mu owczarni. Wierzy jej, bo posiada wrodzoną skłonność do wierzenia we wszystko, co mu się mówi, a któż zna istotne w tej materii fakty lepiej od jego własnej żony? Biedak! Zrobił wszystko, co leżało w jego mocy, ale czy mógł okazać pomoc rybie, którą wyjęto z wody? Zaniósł jedzenie i wino, ponieważ leżało to w granicach jego możliwości, pójdzie tam jeszcze raz i znowu zanieś trochę jedzenia i wina; dzień po dniu brnie więc wśród chmar siewek przez te same pola i przysłuchuje się atakom strachu, które on dzień po dniu tłumi, ale nie odwraca, aż wreszcie nadchodzi miłosierne osłabienie i nieszczęsna chora nie ma już sił troszczyć się o swą przyszłość, a wtedy Teobald jest zadowolony, bo jej duch odpoczywa w Jezusie.

ROZDZIAŁ XVI

Teobald nie lubi tej strony swego zawodu — w rzeczywistości nienawidzi jej — ale nie chce się do tego przyznać. Zwyczaj nie przyznawania się do pewnych rzeczy wobec samego siebie stał się jego żelazną zasadą. A jednak trapi go jakieś niewysłowione przeświadczenie, że życie byłoby przyjemniejsze, gdyby nie było chorych grzeszników albo gdyby przynajmniej odnosili się do perspektywy wiecznych tortur bardziej beznamiętnie. On nie czuje się w swoim żywiole. Tymczasem farmerzy są w swoim żywiole. Są zażywni, zdrowi, zadowoleni; między nimi a Teobaldem żłobi się głęboka przepaść. Wokół kącików jego ust zaczyna osiadać surowy i sztywny grymas, tak charakterystyczny, że gdyby nawet nie nosił czarnego surduta i białej krawatki, każde dziecko poznałoby w nim pastora.

Uważa, że spełnia swój obowiązek. Z każdym dniem jest o tym coraz bardziej przekonany, ale tych obowiązków ma bardzo mało. W istocie rzeczy trapi go przynębiający brak zajęcia. Nie pociąga go żaden ze sportów, nawet te, które czterdzieści lat temu kapłan mógł uprawiać bez zgorszenia opinii publicznej. Nie jeździ konno, nie poluje, nie łowi ryb ani — rzecz zrozumiała — nie gra w krykieta. Pracy naukowej, trzeba oddać mu tę sprawiedliwość, nigdy naprawdę nie lubił, a cóż mogłoby go skłonić do podjęcia studiów właśnie w Battersby? Nie czyta książek ani starych, ani nowych. Nie interesuje się ani sztuką, ani nauką, ani polityką i skwapliwie odwraca się tyłem, jeżeli w którejkolwiek z tych dziedzin zaczyna dziać się coś, z czym nie jest obeznany. Nie neguje, kazania sam sobie pisze, ale nawet jego własna żona uważa, że forte jej małżonka leży raczej w jego budującym trybie życia, które jest nieustającym aktem bezgranicznego poświęcenia, niż w jego oracjach z ambony. Po śniadaniu wycofuje się do swego gabinetu i wycina maleńkie skrawki z Biblii, które z nadzwyczajną starannością nalepia obok innych maleńkich skrawków; nazywa to tworzeniem harmonii Starego i Nowego Testamentu. Niezależnie od tych wycinków przepisuje pismem, wznosząc się na szczyty kaligrafii, wyjątki z Medego (jest to według opinii Teobalda jedyny człowiek, który właściwie pojął sens Księgi Objawienia), Patricka oraz innych teologów starej szkoły. Z surową dyscypliną pracuje nad tym codziennie przez pół godziny przed południem już od wielu lat, a wyniki tej mozolnej pracy są bez Wątpienia wartościowe. Minęło kilka lat — przesłuchuje swe dzieci z zadanych lekcji, a częste wrzaski, które codziennie wydostają się na zewnątrz gabinetu w czasie godzin lekcyjnych, głoszą swą swoistą obrzydliwą legendę o tym domu. Zabrał się również do kolekcjonowania *hortus siccus* i dzięki zabiegom jego ojca ukazała się w „Niedzielnym Magazynie” wzmianka, że on pierwszy znalazł w okolicy Battersby roślinę, której nazwy już nie pamiętam. Ten numer „Niedzielnego Magazynu”, oprawny w pąsowy safian, znajduje się zawsze na stoliku w salonie. Wałęsa się po ogrodzie, a kiedy usłyszy gdakanie kury, biegnie z informacją o tym zdarzeniu do Krystyny i natychmiast zaczyna polowanie na jajko.

Dwie siostry Allaby, które od czasu do czasu przyjeżdżały z wizytą do Krystyny, utrzymywały, że życie ich siostry i szwagra było idyllą doskonałą. Jakżeż szczęśliwą rękę miała Krystyna w swym wyborze — fikcja, że mogła wybierać, bardzo szybko zakorzeniła się między naszymi pannami — i jakże szczęśliwy jest Teobald mając Krystynę. Tak czy owak, Krystyna z pewnym lękiem odnosiła się do gry w karty w okresie siostrzanych wizyt, choć zazwyczaj lubiła, nawet dość namiętnie, usiąść do wista albo zagrać sobie jakąś inną partyjkę. Siostry jednak doskonale wiedziały, że nie należy powracać do tej drobnostki, bo nie zostaną więcej zaproszone do Battersby, a ogólnie rzecz biorąc opłacało się zdobyć na to poświęcenie w zamian za możliwość wizyt na plebanii. Choć Teobalda łatwo było wyprowadzić z równowagi, siostrom

Allaby nie dawał odczuć swych złych humorów.

Z natury zamknięty w sobie, z całą przyjemnością zamieszkałby na bezludnej wyspie, gdyby znalazł się tam ktoś, kto ugotowałby mu. obiad. W najskrytszym zakamarku swego serca wraz z Pope'em był przekonany, że „nic tak nie szkodzi ludzkości jak człowiek” — słowa mogły być inne, ale sens był ten sam — z tym zastrzeżeniem, że kobiety, być może z wyjątkiem Krystyny, są jeszcze gorsze. A jednak, kiedy przychodzili goście, zmieniał się. nie do poznania i prezentował im minę dużo lepszą niż spodziewano się za kulisami.

Bardzo skwapliwie wplatał do rozmowy nazwiska znakomitości literackich, z którymi miał sposobność zetknąć się w domu swego ojca, dzięki czemu wyrobił sobie opinię takiego znawcy literatury, że zaspokajało to ambicję nawet samej Krystyny.

Któż jest tak *integer vitae scelerisque purus* — pytano wokół — jak pan Pontifex z Battersby? Któż jest lepszy od niego do rady we wszystkich trudnościach administrowania parafią? Któż z tak świetnym rezultatem potrafi być doskonale pokornym chrześcijaninem i jednocześnie znakomitym światowcem? Nic nie przesadzam, tak ludzie o nim mówili. Mówili też, że doskonale zna się na interesach. Zapewne, jeżeli powiedział, że zapłaci wtedy a wtedy, gotówka była na stole w ściśle oznaczonym dniu, a to bardzo dużo mówi o człowieku. Wrodzona lekliwość czyniła go niezdolnym do oszukania kogokolwiek, jeżeli istniało choćby minimalne prawdopodobieństwo sprzeciwu lub rozgłosu, a z drugiej strony jego układne zachowanie się i jakaś surowość sylwetki osłaniały go bardzo skutecznie przed oszukańczymi zakusami ze strony innych. Nigdy nie mówił o pieniądzach i nieodmiennie zmieniał temat, jeżeli ktoś w rozmowie poruszył sprawy pieniężne. Niewysłowione oburzenie, które malowało się na jego twarzy na samą wzmiankę o ludzkich podłościach, było oczywistą gwarancją, że on sam nie jest podły. Dodać trzeba, że żadna z jego transakcji handlowych nie wykraczała nigdy poza ramy najzwyczajszych zapisków w książce rzeźnika i piekarza. Jego zamiłowania, o ile w ogóle je posiadał, były bardzo prymitywne. Miał dziewięćset funtów rocznie i dom, okolica była tania, a przez jakiś czas po ślubie nie miał dzieci, które obciążałyby jego budżet domowy. Któż więc był tak godny zazdrości, a jak z tego wynika tak godny szacunku jak Teobald?

A jednak odnoszę wrażenie, że mimo wszystko Krystyna była szczęśliwsza od swego męża. Nie musiała odwiedzać chorych parafian, a gospodarstwo domowe i prowadzenie rachunków dostarczało jej w sam raz tyle zajęć, ile pragnęła. Jej podstawowym obowiązkiem wobec męża, jak sama świetnie to określiła, było „kochać go, szanować i dbać o jego dobry humor”. Trzeba oddać jej sprawiedliwość, że zrobiła wszystko, co leżało w jej mocy, żeby wywiązać się z tego zadania. Może byłoby lepiej, gdyby nie zapewniała go tak często, że jest najlepszym i najmądrzejszym z ludzi, bo nikomu w jego malutkim światku nie śniło się powiedzieć mu coś przeciwnego, a więc bardzo prędko przestały go trapić w tej materii jakiegokolwiek wątpliwości. A co do jego usposobienia, to istotnie czasem stawał się bardzo gwałtowny, ale Krystyna była bardzo czujna i przy najbłahszym objawie zbliżającego się wyładowania starała się go udobruchać. Bardzo wcześnie odkryła, że jest to najprostszy sposób. Grom bardzo rzadko był dla niej przeznaczony. Na długo, zanim się pobraли, nawet ona zdołała poznać pewne jego nawyki i teraz wiedziała, jak długo trzeba ogień podsycać, bo tego potrzebuje, a kiedy należy umiejętnie go stłumić, i to tak, żeby najmniej dymiło.

W sprawach pieniężnych była chodzącą skrupulatnością. Teobald dawał jej raz na kwartał pewną kwotę z przeznaczeniem na ubranie, drobne wydatki, małe datki filantropijne i prezenty. W proporcji do swych dochodów na te dwie ostatnie pozycje nie żałowała pieniędzy; trzeba przyznać, że ubierała się bardzo oszczędnie, a wszystko, co jej zostawało, przeznaczała na prezenty i filantropię. Ach, ileż otuchy czerpał Teobald z przeświadczenia, że posiada żonę, na której może polegać, że nie ośmieli się nigdy wydać ani jednego pensa bez jego upoważnienia!

Nawet tak wielkie jej przymioty, jak uległość, doskonała zgodność jej opinii z każdym jego zdaniem na wszystkie możliwe tematy i nieustanne przyznawanie mu racji we wszystkim, cokolwiek przyszło mu do głowy powiedzieć lub zrobić, blady wobec faktu, że pod osłoną jej niezwyklej dokładności w sprawach pieniężnych czuł się silny i bezpieczny jak w warownym bastionie. Wraz z upływem lat zaczął więc swą małżonkę darzyć takim afektem, na jaki z natury było go stać wobec żywego stworzenia, i wieszował sobie, że wytrwał przy zaręczynach — oto był przykład cnoty, za którą teraz zbierał nagrodę. Nawet jeżeli Krystyna przekroczyła swój ryczałt o jakieś trzydzieści szylingów lub kilka funtów, Teobald otrzymywał zawsze szczegółowe wyjaśnienie, jak doszło do tego deficytu — czasem była to droższa suknia wieczorowa, która miała wystarczyć na długo, a czasem czyjeś niespodziewane małżeństwo, które zmusiło ją do tak eleganckiego prezentu ślubnego, że wydatek ten zachwiał równowagę kwartalnego budżetu. Zawsze jednak niedobór finansowy był splecony w następnym lub w następnych kwartałach, choćby nawet w grę wchodziło tylko dziesięć szylingów.

Wydaje mi się, że mniej więcej po dwudziestu latach małżeństwa Krystyna trochę zboczyła od ideału i przestała być w kwestiach pieniężnych tak skończoną doskonałością, jaką była na początku. Przez wiele kolejnych kwartałów dopuściła stopniowo do powstania takiej zaległości, że w końcu zaciągnęła chroniczną pożyczkę, coś w rodzaju domowego długu narodowego, wahającego się w granicach siedmiu do ośmiu funtów. Teobald od dłuższego czasu był wewnętrznie przekonany o konieczności kategorycznej interpelacji w tej sprawie, więc skorzystał z dobrej okazji i w dniu, w którym obchodzili swe srebrne wesele, poinformował Krystynę, że jej zadłużenie zostało spisane na straty, i nie zaniedbał ją prosić, by od tej chwili starała się zrównoważyć wydatki z dochodami. Ona, cała we łzach miłości i wdzięczności, zapewniła go, że jest najlepszym i najwspaniałomyślniejszym z ludzi, i do końca ich pożycia małżeńskiego nigdy więcej nie zalegała wobec niego nawet jednym szylingiem.

Krystyna nienawidziła zmian w każdej postaci tak samo serdecznie jak jej mąż. Ona i jej Teobald osiągnęli na tym świecie wszystko, czego można pragnąć, a więc w jakim celu ludzie chcą zmieniać świat, i to tym bardziej, jeżeli nikt nie może przewidzieć, czym to się skończy? Była głęboko przekonana, że religia już dawno osiągnęła kres swego rozwoju oraz że żaden rozsądny człowiek, który zechce rzecz poważnie w swym sercu rozważyć, nie potrafi wyobrazić sobie wyznania bardziej doskonałego od tego, którego wcieleniem jest Kościół anglikański. Nie miała najmniejszych wątpliwości, że pozycja żony pastora, będąc najwyższym zaszczytem, jakiego można na tym świecie dostąpić, ustępuje tylko pozycji, jaką zajmuje żona biskupa. Zważywszy wpływy teścia, wcale nie było wykluczone, że Teobald zostanie pewnego dnia biskupem, a wtedy... wtedy przychodziło jej do głowy, że dostrzega maleńką skazę w praktykach Kościoła anglikańskiego — skazę, która nie dotyczy doktryny, lecz ustroju tego Kościoła, który pod tym względem jest całkowicie błędny. Mam na myśli fakt, że żonie biskupa nie przysługują takie same honory jak samemu biskupowi.

Była to sprawka królowej Elżbiety, kobiety z gruntu złej, która odznaczała się nader podejrzanymi zasadami moralnymi i była w gruncie rzeczy papistką. Być może ludzie nie powinni oglądać się za doczesnymi zaszczytami, ale ostatecznie świat jest taki, jaki jest, i te aspekty życia nie są dla nich bez znaczenia, nie wchodząc w to, czy tak być powinno, czy nie. Wpływy Krystyny jako zwyczajnej pani Pontifex, żony, powiedzmy biskupa Winchestera, byłyby bez wątpienia znaczne. Indywidualność takiej miary jak ona na pewno nie pozostałaby w cieniu, gdyby znalazła dostatecznie świetne środowisko, w którym miałyby możliwość wywierania szerokiego wpływu. Ale jako lady Winchester — albo biskupowa — to brzmiałoby nawet dość ładnie... ba, czy może ktoś wątpić, że jej zdolność czynienia dobrze byłaby wtedy znacznie większa? Miało to również tę dobrą stronę, że jej córka, gdyby w przyszłości Bóg

obdarzył ją córką, nie byłaby biskupową, chyba że wyszłaby za mąż za biskupa, co w istocie było mało prawdopodobne. Takie myśli roily się w jej duszy, kiedy miała swe dobre dni. Kiedy indziej jednak, trzeba oddać jej sprawiedliwość, trapiły ją wątpliwości, czy we wszystkim jest tak oddana sprawom ducha i religii, jak być powinna. Nie spocznie, dopóki wszystko, co stoi na drodze jej zbawienia, nie zostanie pokonane, a sam szatan nie legnie zmiażdżony u jej stóp. Przy okazji tych refleksji przyszło jej kiedyś na myśl, że ma szansę zdobycia pewnej przewagi nad niektórymi znajomymi, jeżeli wyrzeknie się jedzenia czarnych puddingów, którymi po każdym zabiciu prosiaka w jej gospodarstwie zajadała się z wielkim smakiem. Postanowiła również zwrócić baczną uwagę, by nie podawano na jej stół drobiu, któremu ukręcono głowę, lecz wyłącznie taki, któremu poderżnięto gardło i pozwolono się wykrwawić. Św. Paweł i Kościół Jerozolimski z naciskiem domagali się przestrzegania tej reguły podkreślając, że nawet nawróceni poganie powinni wystrzegać się jedzenia stworzeń uduszonych i spożywania krwi, a zakaz ten został wygłoszony z tą samą surowością co potępienie zła, którego szkaradzieństwo nie mogło budzić najmniejszych wątpliwości. Należało więc w przyszłości wystrzegać się zakazanych potraw i sprawdzić, czy wynikną z tego jakieś godne uwagi rezultaty dla jej duszy. Wystrzegała się więc i była pewna, że już od tego dnia, w którym powzięła to postanowienie, stała się wewnętrznie silniejsza i czystsza, i pod każdym względem mniej przyziemna, niż czuła się dotąd. Teobald nie przykładał do tego tak wielkiej wagi, ale ponieważ ona dysponowała, co będzie na obiad, więc mogła zapobiec, żeby nie dostał kurczęcia, które zostało uduszone. Sprawa czarnych puddingów była stosunkowo prosta, ponieważ złożyło się tak szczęśliwie, że jako mały chłopiec zobaczył kiedyś, jak przyrządza się ten smakołyk, i od tego czasu czuł do tych puddingów nieprzezwyjęzyczny wstręt. Uznała, że wspomniane wyżej reguły powinny być przez ludzi bardziej powszechnie stosowane, niż miało to miejsce, i oto właśnie w tym przypadku lady Winchester mogłaby dokonać tego, o czym zwyczajna pani Pon-tifex nawet marzyć nie mogła, gdyż każda próba z jej strony z góry była skazana na sromotną porażkę.

W taki sposób szanowna para małżonków człapała sobie dalej z miesiąca na miesiąc i z roku na rok. Czytelnik, który posunął się w latach poza wiek średni i posiada znajomości wśród kleru, z pewnością przypomni sobie całe tuziny proboszczów i ich żon, którzy niczym nie różnili się od Teobalda i Krystyny. Na podstawie moich własnych wspomnień, obejmujących okres prawie osiemdziesięciu lat, to jest od czasu, kiedy jako dziecko bawiłem się w dzieciennym pokoiku na wikarówce, mogę zapewnić, że obraz życia wiejskiego pastora w Anglii lat temu pięćdziesiąt był raczej gorszy od tego, który tu odmalowałem. A jednak przyznaję, że takich ludzi dziś nie znajdzie się ze świecą. Tak zgodnej i ogólnie biorąc szczęśliwej pary nie ma dziś w całej Anglii. Jedno tylko zmartwienie kładło cień na pierwsze lata ich małżeństwa, a mam na myśli fakt, że żadne ich dziecko nie urodziło się żywe

ROZDZIAŁ XVII

Zbiegiem czasu i ten smutek został im odjęty. Na początku piątego roku ich pożycia małżeńskiego Krystyna szczęśliwie powiła syna. Było to dokładnie szóstego września 1835 roku.

Zawiadomiono o tym natychmiast starego pana Pon-tifexa, który przyjął wiadomość z prawdziwym zadowoleniem. Żona jego starszego syna Jana rodziła same córki i był poważnie zaniepokojony, że męskiej linii jego rodziny grozi wygaśnięcie. Dobre wiadomości, były więc podwójnie mile widziane, a radość, którą wywołały w Elmhurst, była wprost proporcjonalna do przygnębienia, jakie zapanowało na Woburn Square, gdzie mieszkali Janostwo Pontifexowie.

Dla nich psikus, który spletała kapryśna Fortuna, był tym bardziej dotkliwy, że nie mogli otwarcie dać odczuć swego niezadowolenia. Uradowany dziadek nie dbał jednak wcale o takie czy inne sentymenty rodziny Jana Pontifexa, chciał mieć wnuka i miał wnuka, i każdy musiał się z tym pogodzić. A teraz, skoro pani Teobaldowa znalazła się na dobrej drodze, pewno posypie się więcej wnuków, co jest nader pożądane, ponieważ dopiero wtedy będzie czuł się zupełnie pewny, kiedy chłopaków będzie co najmniej trzech.

Zadzwonił na lokaja.

— Gelstrap — rzekł uroczyście — chcę zejść do piwnicy.

Wtedy Gelstrap poszedł naprzód ze świecą, jego pan siedł za nim i w tej kolejności wkroczyli do tajemnego, sklepionego loszku, w którym stary pan przechowywał swe najprzedniejsze wina.

Minął wiele regałów, na których wino leżakowało w koszykach — było tam porto, rocznik 1803, tokaj cesarski z 1792, czerwone wino francuskie z 1800, białe hiszpańskie z 1812, ale minął je wszystkie oraz wiele innych, gdyż to nie one były celem, dla którego głowa rodziny Pontifexów zesłała do swego tajemnego loszku. W koszyku, który pozornie wydawał się pusty, po oświetleniu go pełnym światłem świecy, znajdowała się, jak się okazało, jedna niewielka buteleczka. Był to przedmiot poszukiwań pana Pontifexa.

Gelstrap często rozpamiętywał nad tą butelką. Umieścił ją tam pan Pontifex własnoręcznie jakieś dwanaście lat temu, kiedy wrócił z wizyty u swego przyjaciela, sławnego podróżnika dra Jonesa, a ponieważ nie było żadnej wywieszki na tym koszyku, więc nie było klucza, który mógł wyjaśnić istotę zawartości wspomnianej buteleczki. Nie jeden raz, kiedy pan wyszedł z domu i przypadkowo zostawił klucze, co mu się czasem zdarzało, Gelstrap poddawał tę butelkę wszelkim badaniom, na jakie śmiał się odważyć, ale była tak szczelnie zalakowana i opieczętowana, że był zupełnie odcięty od tej wiedzy, którą powitałby z największą przyjemnością — krótko mówiąc, nie mógł wymiarkować niczego.

Teraz był już o krok od wyjaśnienia tajemnicy. Ale niestety wydawało się, że przepadła ostatnia szansa uratowania dla siebie choćby jedyne go łyku zawartości, bo pan Pontifex wziął ją własnoręcznie i po dokładnym sprawdzeniu laku podniósł do światła. Uśmiechnął się i nie oddał mu koszyka z butelką.

Wtedy nastąpiła katastrofa. Potknął się o pusty kosz, potem słychać było łoskot upadku, brzęk tłuczonego szkła i w jednej chwili podłoga piwnicy pokryła się plamą płynu, który od tylu lat przechowywano z taką pieczołowitością.

Z właściwą sobie przytomnością umysłu pan Pontifex wykrztusił z siebie jednomiesięczne wypowiedzenie pracy dla Gelstrapa. Potem wstał i tupnął nogą zupełnie tak samo jak Teobald, kiedy Krystyna nie chciała zadysponować obiadu.

— To jest woda z Jordanu — krzyknął ze wściekłością — której strzegłem jak oka w

głowie na chrzest mego najstarszego wnuka. Niech cię diabli porwą, Gelstrap, jak mogłeś być tak piekielnie nieuważny i zostawić ten kosz, żeby płątał się pod nogami po całej piwnicy?

Dziwię się, że woda ze świętego potoku nie podniosła się na kształt góry z podłogi piwnicy, żeby udzielić mu admonicji. Pan Pontifex według relacji, jaką Gelstrap złożył później służbie, używał takich słów, że nieszczęśnikowi ciarki przeszły po plecach.

W chwili jednak kiedy usłyszał słowo „woda”, odnalazł natychmiast swój zwykły rozsądek i pomknął do spiżarni. Zanim pan Pontifex zdążył zauważyć jego nieobecność, już był z powrotem z małą gąbką i miednicą i zaczął zbierać z podłogi wodę z Jordanu, jak gdyby to były najzwyklejsze brudy.

— Przefiltruję ją, proszę pana — powiedział potulnie — będzie całkiem czysta.

Pan Pontifex dostrzegł w tej sugestii możliwość uratowania sytuacji, więc nie zwlekając przystąpiono do realizacji pomysłu Gelstrapa przy pomocy kawałka bibuły i lejka. W efekcie tej operacji stwierdzono, że udało się uratować połowę buteleczki, co uznano za ilość zupełnie wystarczającą.

Potem pan Pontifex odbył przygotowania do wizyty w Battersby. Zadysponował spore kosze naj- przedniej szych wiktuałów i sam wybrał spore kosze z przednimi trunkami. Mówię „przednimi”, a nie „najprzedniejszymi”, bo wprawdzie w pierwszym uniesieniu wybrał niektóre ze swych najprzedniejszych win, lecz po zastanowieniu doszedł do wniosku, że we wszystkim należy przestrzegać umiarkowania, i wobec tego, że zabierał ze sobą najprzedniejszą wodę z Jordanu, postanowił wysłać wyłącznie wina o klasę gorsze.

Zanim pojechał do Battersby, spędził kilka dni w Londynie, gdzie bywał teraz bardzo rzadko, miał już bowiem ponad siedemdziesiąt lat i w praktyce wycofał się z interesów. Rodzina Jana Pontifexa, która nie spuszczała go z oka, stwierdziła z popłochem, że odbył rozmowę w kancelarii swych doradców prawnych.

ROZDZIAŁ XVIII

Po raz pierwszy w życiu Teobald był przekonany, że zrobił coś dobrze i może bez wewnętrznej paniki oczekiwać spotkania z ojcem. Nie mylił się, starszy pan napisał do niego list, utrzymany w bardzo ciepłym tonie, w którym zawiadomił go, że chce być ojcem chrzestnym chłopca, ale, ba, przytoczę go w. całości, bo ukazuje autora w jego najwyższych wzlotach. Brzmi on tak:

Kochany Teobaldzie! Twój list zrobił mi prawdziwą przyjemność, i to tym bardziej, że już byłem przygotowany na najgorsze. Moje najserdeczniejsze powinszowania dla mej synowej i dla Ciebie. Od dawna przechowywałem flakonik wody z Jordanu na chrzest mego pierwszego wnuka, gdyby Bóg zechciał mnie nim obdarzyć. Dostałem ją od mego starego przyjaciela dra Jonesa. Zgodzisz się ze mną, że wprawdzie skuteczność sakramentu nie zależy od źródła, z którego pochodzi woda użyta do chrztu, ale *ceteris paribus* woda Jordanu zajmuje w naszych uczuciach specjalne miejsce, i tego lekceważyć nie można. Takie małe rzeczy jak ta nierzadko wywierają wpływ na całe życie dziecka.

Przywiozę mego własnego kucharza, któremu kazałem już przygotować wszystko, co potrzeba, na obiad w dniu chrzcin. Zaprosz tylu swych najlepszych sąsiadów, ilu pomieścisz przy stole. A propos, powiedziałem Leseurowi, żeby nie kupował homara. Najlepiej sam pojedź i kup go w Saltness (Battersby było położone jakieś dwanaście, a może czternaście mil od morza), bo nie dostaniesz lepszego, jak mi się wydaje, w całej Anglii.

Twój chłopiec dostanie coś ode mnie, kiedy skończy dwadzieścia jeden lat. Jeżeli Twój starszy brat w dalszym ciągu będzie miał tylko córki, postaram się w przyszłości zrobić jeszcze coś więcej, ale dźwigam na sobie bardzo wielkie ciężary, a bynajmniej nie powodzi mi się tak dobrze, jak może zbyt pochopnie sobie wyobrażasz. Twój kochający ojciec

J. Pontifex

W kilka dni później autor wyżej- przytoczonego listu we własnej osobie objawił się w jednokonnej dorożce, która przywiozła go z Gildenham odległego od Battersby o jakieś czternaście mil. Znajdował się w niej także Leseur, kucharz, na koźle obok woźnicy, i tyle koszy na dachu oraz utkanych po wszystkich kątach pojazdu, ile tylko zdołał pomieścić. Następnego dnia miał przyjechać Jan Pontifex ze swoimi, a także Eliza i Maria oraz Aletea, która na specjalną prośbę rodziców była matką chrzestną chłopca, bo pan Pontifex postanowił, że na radosnym spotkaniu rodzinnym nie może brakować nikogo. Wszyscy musieli się stawić i wszyscy musieli się cieszyć, a kto. nie zechciałby tego posłuchać, tym gorzej dla niego. Następnego dnia sprawca tego całego zamieszania został ochrzczony. Teobald chciał dać mu na imię Jerzy, po starym panu Pontifexie, ale rzecz dziwna pan Pontifex w ostatniej instancji uchylił ten wniosek na korzyść imienia Ernest. Imię to kojarzyło mu się z pewnym pokrewnym słowem, które wówczas zaczynało być modne, i sądził, że posiadanie takiego imienia, podobnie jak chrzest z wody Jordanu, może okazać się trwałym czynnikiem w ukształtowaniu się charakteru chłopca i mieć dobry wpływ w krytycznych okresach jego życia.

Zwrócono się do mnie z prośbą, żebym trzymał dziecko do chrztu w drugiej parze, a ja ucieszyłem się ze sposobności spotkania z Aleteą, której nie widziałem od kilku lat, choć korespondowałem z nią stale. Byliśmy przyjaciółmi od czasu, kiedy bawiliśmy się razem w piasku. Śmierć dziadka i babki rozluźniła wprawdzie jej więzy z Paleham, ale moje stosunki z Pontifexami były nadal bliskie, chodziłem bowiem do tej samej szkoły i do tego samego kolegium co Teobald, a ilekroć miałem sposobność spotkać Aleteę, podziwiałem ją coraz

bardziej, ponieważ była najlepszą, najmiłą, najweselszą, najbardziej uroczą i, w moim głębokim przekonaniu, także najprzystojniejszą kobietą ze wszystkich kobiet, które znałem. Wszyscy Pontifexowie są obdarzeni miłą powierzchownością; cała rodzina jest dość postawna i zgrabna, ale Aletea, nawet pod względem urody, zakwitła wśród nich jak kwiat, a innymi przymiotami, które składają się na urok kobiety, (była obdarzona tak niezwykle hojnie, że miało się wrażenie, jak gdyby jej jedynej dostał się cały kapitał wdzięku i urody przeznaczony dla wszystkich trzech sióstr — kapitał dostatecznie duży, by nie dać żadnej z nich powodu do skargi przy podziale. Słowem, patrząc na nią wydawało się, iż one odeszły z kwitkiem, a Aletea dostała wszystko.

Nie potrafię wyjaśnić, dlaczego nie zostaliśmy małżeństwem. Znaliśmy się nadzwyczaj dobrze — i to musi czytelnikowi wystarczyć. Łączyła nas sympatia i rozumieliśmy się doskonale. Wiedzieliśmy, że żadne z nas nigdy nie połączy się węzłem małżeńskim z kim innym. Prosiłem ją o rękę chyba kilkanaście razy. Nie powiem nic więcej ponad to, co już powiedziałem, ponieważ ten temat nie posiada żadnego związku z tokiem mego opowiadania. W ciągu ostatnich kilku lat jakieś przeszkody nie pozwoliły nam na spotkanie, ale — jak wspomniałem — pisywaliśmy do siebie stale. Oczywiście cieszyłem się ogromnie z tego spotkania. Miała wtedy trzydzieści lat, jednak uważałem, że jeszcze nigdy nie wyglądała tak ładnie.

Jej ojciec, rozumie się, był lwem tego zebrania, ale widząc, że jesteśmy bardzo potulni i damy się pożreć bez sprzeciwu, ryczał do nas, ale nie na nas. Cóż to był za świetny widok, gdy utykał serwetkę pod różowym starczym podbródkiem, rozpościerając ją na przestronnej płaszczyźnie kamizelki, a ostre światło świecznika, niczym gwiazda betlejemską, migotało wokół guza dobroci wystającego z jego łysej, starej głowy.

Zupa była żółwiowa, autentyczna. Starszy pan był rzeczywiście zadowolony i zaczął nawet manifestować swą satysfakcję. Gelstrap stał za krzesłem swego pana. Siedziałem obok żony Teobalda, po jej lewej ręce, na wprost jej teścia, a więc mogłem go swobodnie obserwować.

Mniej więcej przez pierwsze dziesięć minut, kiedy zajęci byliśmy zupą i podawaniem ryby, mógłbym prawdopodobnie pomyśleć sobie, gdybym oczywiście nie miał od dawna wyrobionej o nim opinii, że jest wspaniałym starszym panem i że jego dzieci powinny być z niego naprawdę dumne. Aż tu nagle w chwili, gdy zabrał się do sosu z homara, spurpurowiał, twarz jego przybrała wyraz najwyższego niesmaku, a dwa przelotne, lecz surowe spojrzenia pomknęły kolejno w kierunku dwu przeciwległych końców stołu, jedno do Teobalda, a drugie do Krystyny. Oni, biedne niewinne duszyczki, naturalnie zrozumieli, że stało się coś bardzo złego, a ja też to spostrzegłem, ale nie mogłem domyślić się, o co mu chodzi, aż doszedł mnie syk starca do ucha Krystyny:

— To jest najzwyczajniejszy homar, a do takiego sosu, jak każdy wie, nadaje się tylko *une femelle d'homard*. Jakiż będzie pożytek z tego — ciągnął — że dałem chłopcu na imię Ernest i że został ochrzczony wodą

Jordanu, jeżeli jego ojciec nie potrafi odróżnić samicy od samca homara?

Ja również się stropiłem, ponieważ zdałem sobie sprawę, że do tej chwili nie wiedziałem o istnieniu wśród homarów samic i samców, i jakoś niejasno wydawało mi się, że w sprawach małżeńskich są niby aniołowie w niebie i żywiolowa wyrastają ze skał i wodorostów morskich.

Zanim skończyliśmy drugie danie, pan Pontifex odzyskał dobry humor i od tej chwili aż do zakończenia wieczoru olśniewał nas wszystkich swoim blaskiem. Opowiedział nam szczegółowo historię wody Jordanu: że ją przywieziono w kamiennym naczyniu, że tych naczyń było kilka i że zawierały wodę Renu, Rodami, Łaby i Dunaju; ile miał z nimi kłopotu na komorze celnej i że mieli zrobić poncz używając do tego celu wody z największych rzek Europy; jak woda Jordanu miała powędrować do wazy i on, Pontifex, uratował ją od tego losu itd., itd,

— Ależ, cóż znowu, cóż znowu — ciągnął dalej — tego nie można było zrobić, jak się domyślacie, to był bardzo niestosowny pomysł, więc każdy z nas wziął sobie po małej buteleczce do domu, a poncz był bez niej dużo lepszy. Ja mego flakonika pewnego dnia o mały włos nie straciłem, bo, wyobraźcie sobie, przewróciłem się o kosz w piwnicy, kiedy zszedłem na dół, żeby zabrać go do Battersby, i byłby niechybnie się rozbił, lecz dzięki mej niezwyklej przytomności umysłu udało mi się go uratować! — A Gelstrap przez cały czas stał za jego krzesłem!

Nic już nie zdarzyło się więcej, co mogłoby wyprowadzić pana Pontifexa z równowagi, a więc wieczór, upłynął nam w przemiłym nastroju, i niejednen raz go wspominałem obserwując późniejsze koleje mego chrześniaka.

W kilka dni później byłem w Battersby i zastałem tam pana Pontifexa cierpiącego na atak wątroby i ogólnej depresji, co trafiało mu się coraz częściej. Starszy pan był w złym humorze i trudno było mu do godzić, nie mógł nic przełknąć, a apetyt zawodził go zupełnie. Krystyna usiłowała udobruchać go kawałkiem kruchutkiej baraniny.

— A, to świetny pomysł namawiać mnie do zjedzenia baraniny — zawołał gniewnie. — Zapominasz, kochana Krystyno, że masz do czynienia z żołądkiem w stanie zupełnej dezorganizacji — i odsunął talerz odymając się i marszcząc jak niegrzeczne, stare dziecko. Pisząc te słowa jestem bogatszy o moje późniejsze doświadczenia, więc, być może, powinienem dostrzec w tym zjawisku tylko ból neuralgiczny, który przenika świat w każdym okresie przejściowym. Wydaje mi się, że nie ma takiego liścia, który, usychając jesienią, nie traciłby zainteresowania dla soków, którymi się karmił, i który nieustannym szemraniem i narzekaniem nie stawiałby swego macierzystego drzewa w nieprzyjemnej sytuacji — przyroda na pewno znalazłaby jakiś mniej irytujący sposób wykonywania swych zadań, gdyby zechciała bardziej energicznie zabrać się do tej sprawy. Czy naprawdę pokolenia muszą zachodzić jedno na drugie? A właściwie dlaczego nie można tak załatwić tej kwestii, żeby rodzice składali nas w postaci jajeczek do małych czyściutkich komórek — zwinawszy każde z osobna w dziesięć lub dwadzieścia tysięcy funtów w banknotach Banku Anglii — i żebyśmy budzili się dopiero po jakimś czasie niczym potomstwo osy zwanej „nęk”, które stwierdza w tym momencie, że tatuś i mamusia nie tylko zatroszczyli się o pokaźne zapasy żywności, ale zostali zjedzeni przez wróble, na kilka tygodni zanim ich dzieci zaczęły żyć świadomie na własny rachunek.

Minęło jakieś półtora roku i odwróciła się szczęśliwa karta od Battersby, albowiem żona Jana Pontifexa powiła syna. Upłynął jeszcze jeden rok i Jerzy Pontifex we własnej osobie dostał ataku paraliżu, tak samo jak niegdyś jego matka, ale nie doczekał jej wieku. Kiedy otwarto jego ostatnią wolę, stwierdzono, że pierwotny zapis w wysokości dwudziestu tysięcy funtów na rzecz Teobalda (ponad kwotę, którą Teobald i Krystyna dostali od niego z okazji ich małżeństwa) został zmniejszony do siedemnastu tysięcy pięciuset funtów właśnie wtedy, kiedy pan Pontifex postanowił zostawić „coś” dla Ernesta. Okazało się teraz, że to „coś” wynosi dwa tysiące pięćset funtów. Kapitał miał być oddany pod nadzór kuratorom, którzy mieli obowiązek tak go ulokować, żeby dalej wzrastał. Reszta majątku dostała się Janowi Pontifexowi z tym jednak, że córki otrzymały po piętnaście tysięcy funtów, niezależnie od pięciu tysięcy funtów, które każda z nich odziedziczyła w spadku po matce. Jak widać, ojciec powiedział Teobaldowi szczerą prawdę, lecz nie całą prawdę. Czy syn miał prawo się skarżyć? Zapewne, ojciec postąpił wobec Teobalda okrutnie, wpajając w niego przekonanie, że on i jego rodzina mogą liczyć na jakieś korzyści i że spadnie na nich honor i chwała poważnego zapisu, podczas gdy w rzeczywistości przez cały czas wyjmowano mu pieniądze z jego własnej kieszeni. Z drugiej strony, jego ojciec na pewno był zdania, że Teobaldowi nigdy niczego nie obiecywał, a miał chyba prawo rozporządzać swym majątkiem, jak mu się żywnie podobało, więc jeżeli Teobald dał się ponieść niewczesnym nadziejom, to ostatecznie była to jego własna sprawa. Tak czy owak, ojciec był dla

niego bardzo hojny, a dwa tysiące pięćset funtów, które zabrał z części Teobalda, zapisał przecież jego własnemu synowi, więc ostatecznie wyszło na to samo.

Nikt nie może zaprzeczyć, że prawo stoi po stronie spadkodawcy, czytelnicy zgodzą się jednak ze mną, iż Teobald i Krystyna prawdopodobnie nie mieliby tak dodatniej opinii o obiedzie w dniu chrztu ich syna, gdyby znali wówczas wszystkie fakty. Pan Pon-tifex za swego życia wznosił pomnik dla uczczenia pamięci swej żony (była to płyta z urnami i cherubinami podobnymi do nieślubnych dzieci króla Jerzego IV oraz całą resztą stosowaną w takich przypadkach) i pozostawił pod epitafium żony wolne miejsce na pośmiertne wspomnienie o sobie. Nie mam pojęcia, czy autorem tekstu było któreś z jego dzieci, czy też może zwrócono się do kogoś z przyjaciół o pomoc w tej sprawie. Nie sądzę, żeby jego treść była świadomie ukartowaną kpina. Autor chciał pewnie dać wyraz całkiem prostemu przekonaniu, że dopiero w dniu sądu ostatecznego okaże się, jak dobrym człowiekiem był pan Pontifex, ale początkowo nie mogłem opędzić się myśli, że tkwi w tym jakiś podstęp.

Epitafium rozpoczyna się od informacji o datach urodzenia i śmierci zmarłego, następnie stwierdza fakt, że stał on przez wiele lat na czele firmy Fairlie & Pontifex i był stałym mieszkańcem parafii w Elmhurst. Końcowe linijki brzmią jak następuje:

TERAZ SPOCZYWA W OCZEKIWANIU RADOSNEGO ZMARTWYCHWSTANIA
W DNIU SĄDU OSTATECZNEGO,
A JAKIM BYŁ CZŁOWIEKIEM, W TYM DNIU SIĘ OKAŻE

ROZDZIAŁ XIX

Pozwolę sobie w międzyczasie zwrócić uwagę, że skoro żył prawie siedemdziesiąt trzy lata i był tak bogaty, kiedy umierał, to na pewno musiał żyć w całkiem przyzwoitej zgodzie ze swym otoczeniem. Słyszałem niejedną raz, jak mówiono o tym czy o tamtym człowieku, że jego życie było błagą. Życie żadnego człowieka nie może być absolutną błagą: dopóki żyje, jest ono w dziewięciu dziesiątych —

i to w najgorszym przypadku — prawdziwe. Życie Jerzego Pontifexa nie tylko trwało bardzo długo, ale los sprzyjał mu do końca. Czy to mało? Czy z faktu, że jesteśmy na tym świecie, nie wynika całkiem jasno, że naszym podstawowym obowiązkiem jest urządzić się tu możliwie najlepiej? A wobec tego, czy nie powinniśmy bacznie obserwować, które z naszych postępów, dokonanych *bona fide*, zapewniają nam perspektywę życia długiego i wygodnego i czy nie powinniśmy tymi doświadczeniami kierować się w naszym postępowaniu? Wszystkie zwierzęta, z wyjątkiem człowieka, wiedzą dobrze, że sens istnienia polega na radości życia, i cieszą się nim w takim stopniu, w jakim człowiek i inne okoliczności na to im pozwalają. Ten człowiek żył najlepiej, który w życiu zaznał najwięcej przyjemności, Bóg bez naszej pomocy postara się, byśmy nie mieli ich więcej, niż wyjdzie nam na dobre. Jeżeli więc można postawić panu Pontifexowi jakiś zarzut, to chyba tylko ten, że jadł i pił za dużo, narażając swą wątrobę na zbyt wielkie cierpienia, co, być może, skróciło mu życie o kilka lat.

Cnota ma sens tylko pod tym warunkiem, że można dzięki niej żyć długo i mieć do dyspozycji dostateczne środki egzystencji. Mówię to w szerokim znaczeniu i *exceptis excipiendis*. Psalmista ujmuje to tak: „Sprawiedliwemu nie braknie żadnego dobra.” Albo muszę to uznać za najzwyczajszą licencję poetycką, albo przyjąć konsekwentnie, że ten, kto nie posiada żadnego dobra, jest niesprawiedliwy. W cytowanych słowach jest zawarte także domniemanie, że w praktyce ten był naprawdę dobrym człowiekiem, kto dożył długiego wieku nigdy nie doznając braku żadnego dobra.

Panu Pontifexowi nigdy nie brakowało żadnego dobra, na którym mu zależało. Zapewne, może byłby szczęśliwszy, gdyby zależało mu na takich rzeczach, na jakich mu nie zależało, ale sedno sprawy leży w klauzuli: „gdyby mu zależało”. Wszyscy jesteśmy grzesznikami i nikt z nas nie dostąpił chwały tak wygodnego urzędnika się w życiu, na jakie stać go było bez wielkiego trudu, ale w omawianym przypadku panu Pontifexowi „nie zależało” i nie zyskałby wiele, gdyby posiadał to, czego wcale nie pragnął.

„Nie mieście mięsa świni przed ludzi” i nie przypochebiajcie się cnotcie, że jej rzeczywiste pochodzenie jest dla niej hańbiące, albowiem szkoda czasu i atłasu na dorabianie jej rodowodu, który pewni ludzie, pretendując do znawstwa koligacji w świecie ducha, wywodzą z gniazda całkiem jej obcego.

Cnota rodzi się z doświadczenia, co jest dobre dla ludzkiej egzystencji — i choć doświadczenie to nie jest nieomyślne, jest przecież najmniej omyślne ze wszystkiego, co posiadamy. Każdy system, który do swego istnienia wymaga mocniejszych założeń od tej prostej zasady, jest z całą pewnością tak chwiejny, że przewróci się, choćbyśmy ustawili go na nie wiem jakim piedestale.

Już dawno świat uznał za pewnik, że cnota i moralność dają człowiekowi najlepszą gwarancję spokojnego życia na ziemi. „Bądź cnotliwy — głosi elementarna reguła — a będziesz szczęśliwy.” Jeżeli oficjalnie uznana cnota często zawodzi pod tym względem, to dzieje się tak tylko dlatego, że w istocie rzeczy była podstępą odmianą grzechu, a jeżeli oficjalnie potępiony

grzech nie przynosi człowiekowi dotkliwej szkody na stare lata, to tylko dlatego, że nie był tak ciężki, za jaki uchodził. Na nasze nieszczęście, choć wszyscy zgadzamy się z podstawową tezą, że cnota prowadzi do szczęścia, a grzech do strapienia, to jednak nie jesteśmy tak jednomyślni co do szczegółów, to znaczy nie potrafimy odpowiedzieć, czy dane postępowanie, na przykład palenie tytoniu, zapewni nam szczęście, czy uwikła w nieszczęście.

Wyniki mych własnych, zresztą skąpych, obserwacji, które wam przedkładałam, wskazują, że brak dobroci i egoizm rodziców w stosunku do swych dzieci na ogół biorąc nie posiada ujemnych konsekwencji dla samych rodziców. Zdarza się wprawdzie, że ich postępowanie rzuca na życie dzieci przez całe lata ponury cień, ale oni sami nie doznają z tego powodu, najmniejszych przykrości. Wynika z tego, moim zdaniem, prosty wniosek, że jeżeli z powodu postępowania rodziców życie ich dzieci stało się w pewnym sensie nieznośnym koszmarem, to jest to stosunkowo błahy występki przeciwko moralności.

Przyznaję, że pan Pontifex nie miał szczególnie niezwykłego charakteru, ale zwyczajnym ludziom niezwykły charakter wcale nie jest potrzebny. Zupełnie wystarczy, jeżeli posiadamy taki sam moralny i umysłowy poziom jak „podstawowa” i „pośrednia” warstwa ludzi, czyli, inaczej mówiąc, poziom przeciętny.

Z samej istoty rzeczy wynika, że ludzie bogaci, którzy dożyli późnego wieku, nie mogli wybijać się ponad przeciętność. Najwięksi i najmądrzejsi z ludzi zawsze są osobnikami najbardziej przeciętnymi, to znaczy takimi, którzy najskuteczniej zdołali zachować „pośredni” umiar między nadmiarem cnoty i nadmiarem grzechu. Nie powiodłoby się im w życiu, gdyby było inaczej, a biorąc pod uwagę, jak wielu ludzi zupełnie zawodzi, sam fakt, że nie jest się gorszym od swych sąsiadów, jest już dostatecznym powodem do chluby. Homer opowiada nam o kimś, kto postawił sobie za zadanie *αιεν ἀριστεόειν και δειφορον έμεναν άλλων*, to znaczy zawsze wybijać się i stać wyżej od innych ludzi. Jakaż to musiała być niestrawna i niesympatyczna kreatura. Bohaterzy Homera z reguły kończą źle i nie mam żadnej wątpliwości, że i ten jegomość, kimkolwiek był, prędzej czy później również źle skończył.

Co więcej, bardzo wysoki poziom zakłada posiadanie rzadkich cnót, a rzadkie cnoty są jak rzadkie rośliny lub rzadkie zwierzęta, a więc są istotami, które nie zdołają ostać się na naszym świecie. Jeżeli cnota ma być użyteczna, musi, jak złoto, zostać stopiona z bardziej poślednim, ale za to bardziej wytrzymałym materiałem.

Ludzie przeciwstawiają cnotę i grzech, jak gdyby były to dwie różne rzeczy, które nie mają ze sobą nic wspólnego. W rzeczywistości jest całkiem inaczej. Nie ma użytecznej cnoty, która nie miałaby domieszki grzechu, i chyba nie ma grzechu, który nie zawierałby w sobie iskierki cnoty. Cnota i grzech są jak życie i śmierć, myśl i materia — są to pojęcia, które istnieją tylko dzięki temu, że swą treść zawdzięczają swoim przeciwieństwom. Absolutne życie zawiera w sobie śmierć, a trup pod wieloma względami jest żywy. Powiedziane także było: „Jeżeli będziesz patrzył na nieprawości nasze, Panie, któż się ostoï?”, z czego wynika, że nawet najwyższy ideał, jaki możemy sobie wyobrazić, skłonny jest do pójścia na taki kompromis z grzechem, który sankcjonuje pewne wykroczenia, o ile nie są zbyt ciężkie. Fakt, że grzech płaci haracz cnotie, jest powszechnie znany. Nazywamy to hipokryzją. Byłoby pożądanym znaleźć właściwe słowo dla zdefiniowania haraczu, który cnota nierzadko na rzecz grzechu płaci lub płacić powinna, gdyby zechciała zdobyć się na rozsądek.

Przyznaję, że pewni ludzie znajdują szczęście w posiadaniu wyższych zasad moralnych niż zasady ich bliźnich. Jeżeli jednak zechcą swe postępowanie podporządkować aspiracjom moralnym, to w takim razie muszą pogodzić się z faktem, że cnota, sama przez się, jest wystarczającą nagrodą, i nie wolno im narzekać, gdy przekonają się, iż wzniosła donkiszoteria jest kosztownym luksusem, za który nagrodę otrzymuje się w królestwie nie należącym do tego

świata. Nie powinni się też dziwić, że ośmieszają się próbując zapewnić sobie raj na ziemi i w niebie. Choć z pewnym niedowierzaniem odnosimy się do niektórych szczegółów ze sprawozdań o wspaniałym rozkwicie religii chrześcijańskiej na świecie, to przecież mimo to spora część nauki chrześcijańskiej pozostaje tak prawdziwa, jak gdybyśmy zgodzili się także i na owe detale. Nie możemy służyć Bogu i mamonie. Droga jest prosta, ale wąska jest brama prowadząca do tego, co w przekonaniu ludzi wierzących jest najbardziej godne posiadania, i nie ma sposobu na wyrażenie tego lepiej, niż uczyniła to Biblia. To dobrze, że są tacy, którzy tak właśnie rozumują, podobnie jak dobrze jest, że istnieją spekulanci, którzy puszczać się na ryzykowne machinacje handlowe parzą sobie na nich ręce — ale nie jest dobrze, jeżeli większość chce zejść z „pośredniej” i ubitej ścieżki.

Dla większości ludzi w rozmaitych okolicznościach przyjemność — widoczne, materialne powodzenie na tym świecie — jest najlepszym sprawdzianem cnoty. Postęp osiągnąć był zawsze na drodze przyjemności, a nie na drodze krańcowych cnót, a najbardziej cnotliwi ludzie skłaniali się bardziej do nieumiarkowania niż do ascezy. Wyrażając tę myśl metaforą ekonomiczną, konkurencja jest tak zjadła, a margines zysków został tak bardzo ograniczony, że cnota nie może pozwolić sobie na zlekceważenie, przy zachowaniu zasady „dobrej wiary”, jakiegokolwiek sposobności i musi z konieczności w pierwszym rzędzie kierować się aktualnymi możliwościami zysku w brzęczącej monecie, a nie różowymi perspektywami przyszłości. Z tych względów nie zlekceważy ona — jak zdarza się to pewnym osobom, które w innych dziedzinach wykazują roztropność i zmysł ekonomiczny — ważnej okoliczności, że mamy poważną szansę uniknąć zdemaskowania, a już w każdym razie umrzeć, zanim to nastąpi. Roztropna cnota oceni tę okoliczność właściwie i W sam raz na tyle, ile jest tego warta.

Tak czy inaczej, subiektywna przyjemność jest bardziej niezawodnym przewodnikiem od dyrektyw sprawiedliwości lub powinności. Bardzo trudno jest do- wiedzieć się, co sprawia nam przyjemność, ale nierzadko jeszcze trudniej jest zdefiniować sobie, co jest sprawiedliwe i co jest naszą powinnością, a. jeżeli źle je zrozumiemy, wpędzą nas w tak samo oślakane położenie jak nasze błędne wyobrażenie przyjemności. Kiedy ludzie sparzą się na dążeniu do przyjemności, stwierdzą, że się pomylili, i łatwiej ustalą na czym polega ich błąd, niż w przypadku kiedy poparzyli się wykonując fikcyjny obowiązek albo kierując się fałszywym wyobrażeniem sprawiedliwości. Diabła, który stroi się w anielskie piórka, potrafią odkryć tylko biegli o niezmiernie rzadko spotykanych kwalifikacjach, a ponieważ korzysta on z tego przebrania bardzo często, każdy kontakt z aniołem staje się bardzo niebezpieczny. Z tego wynika, że ludzie roztropni opowiadają się za przyjemnością, ponieważ jest ona wprawdzie bardziej zwyczajnym, ale jednocześnie bardziej godnym szacunku i ogólnie biorąc bardziej rzetelnym przewodnikiem.

Powracając do pana Pontifexa, nie dość, że żył długo i zamożnie, ale w dodatku zostawił po sobie liczne potomstwo, któremu — bez żadnego wyjątku — przekazał nie tylko swe charakterystyczne cechy fizyczne i duchowe, z dawką- modyfikacji na poziomie całkiem normalnym, ale także sporą porcję cech charakterystycznych, których nie. przekazuje się tak gładko — mam na myśli „cechy majątkowe”. Można powiedzieć, że nabył majątek nie kiwnąwszy nawet palcem, jak gdyby łaskawie przyzwalał, żeby pieniądze płynęły mu prosto do kieszeni, ale zastanówcie się — iluż ludziom płyną prosto w ręce, a oni je przepuszczają, a jeżeli nawet zdołają je schwycić na moment, nie potrafią tak się z nimi zespolić, by przekazać je swemu potomstwu. Pan Pontifex dokonał tego czynu. Utrzymał to, co zdobył — a pieniądze są jak dobra opinia o naszych zdolnościach, łatwiej przychodzi nam ją zdobyć niż utrzymać.

Zważywszy wszystkie jego cechy, mnie osobiście nic nie skłania do tak surowej oceny jego osoby, jaką miał o nim mój ojciec. Osądźcie go według bardzo surowych kryteriów, a okaże się, że był zerem. Osądźcie go według przeciętnych kryteriów, a nie znajdziecie w nim żadnej

poważnej skazy. Dałem wyraz temu przekonaniu ostatecznie i nieodwołalnie w poprzednim rozdziale i wcale nie mam zamiaru przerywać wątku opowiadania, żeby powtarzać to samo raz drugi. Idę dalej, nie troszcząc się o to, by zmieniać wyrok, jaki czytelnik skłonny był, być może zbyt pochopnie, wydać nie tylko na starego pana Pontifexa, ale także na Teobalda i Krystynę. A teraz wracam do mego opowiadania

ROZDZIAŁ XX

Przyjście na świat syna otworzyło Teobaldowi oczy na wiele rzeczy, z których do tego czasu zdawał sobie sprawę bardzo niewyraźnie. Nie miał dotąd najmniejszego wyobrażenia, na jakie przykrości naraża człowieka małe dziecko. Tak jakoś zawsze się składa, że dzieci przychodzą na świat całkiem nagle i przewracają wszystko do góry nogami: czy naprawdę nie mogą oszczędzić nam tak niemiłego zamieszania w porządku domowym? Żona również niezbyt szybko przysłała do siebie po połogu; słabowała całymi miesiącami, to także była przykreść, i w dodatku kosztowna, ponieważ wywierała niekorzystny wpływ na wysokość kwoty, którą Teobald lubił, jak się wyraził, odkładać ze swych bieżących dochodów na czarną godzinę, względnie na zabezpieczenie bytu dzieci, gdyby los zechciał go nimi obdarzyć. Teraz rodzina się powiększała, więc odkładanie pieniędzy tym bardziej było oczywistą koniecznością, a tymczasem dzieciak przeszkadzał mu w wykonywaniu tego postanowienia. Teoretycy mogą sobie twierdzić, ile im się podoba, że dzieci stanowią przedłużenie osobowości rodziców, ale z reguły łatwo można się przekonać, że ci, którzy głoszą takie poglądy, sami dzieci nie posiadają. Doświadczeni ojcowie rodzin znają się na tym lepiej.

W jakieś dwanaście miesięcy po urodzeniu się Ernesta przyszło na świat drugie dziecko, także chłopiec, któremu na chrzcie dano imię Józef, a w niespełna dwanaście miesięcy później Krystyna powiła dziewczynkę, którą ochrzczono imieniem Karolina. Na kilka miesięcy przed urodzeniem się dziewczynki Krystyna złożyła wizytę Janostwu Pontifexom w Londynie, a zdając sobie sprawę ze swego poważnego stanu, spędzała sporo czasu na wystawie obrazów w Królewskiej Akademii, oglądając różnorakie kobiece piękności, sportretowane przez akademików, ponieważ powzięła mocne postanowienie, że tym razem musi mieć córkę. Aletea ostrzegła ją, żeby tego nie robiła, ale ona postawiła na swoim, i koniec końców dziecko okazało się brzydkie, ale czy winą za ten rezultat można obciążyć obrazy — nie potrafię powiedzieć. Teobald nigdy nie lubił dzieci. Uciekał od nich zawsze, kiedy tylko mógł się na to zdobyć, a one uciekały od niego; właściwie dla czego — łaskotało mu koniec języka pytanie — dzieci nie przychodzą na świat dorosłe? Gdyby Krystyna potrafiła urodzić kilku dorosłych duchownych, już po kapłańskich święceniach, o umiarkowanych poglądach, lecz ze skłonnościami do doktryn ewangelicznych, osiadłych na wygodnych i dochodowych parafiach, słowem, takich, którzy pod każdym względem byłiby wiernymi odbitkami Teobalda — wtedy może miałoby to wszystko więcej sensu; albo gdyby ludzie mogli kupić w sklepie gotowe dzieci w wieku i płci, na jakie mają ochotę, zamiast zawsze płodzić je w domu i nieodmiennie zaczynać z nimi wszystko od samego początku — też byłoby lepiej, ale tak, jak to się odbywa, Teobaldowi nie podobało się wcale. Doświadczał zupełnie takich samych uczuć jak wówczas, kiedy zażądano od niego, żeby ożenił się z Krystyną; od dłuższego czasu powodziło mu się całkiem nieźle i byłby raczej za tym, żeby rzeczy pozostały nadal na tej samej płaszczyźnie. W kwestii swego małżeństwa zmuszony był jednak zachowywać pozory, ' że miał na nie ochotę; ale czasy zmieniły się i gdyby mu ono dziś nie odpowiadało, potrafiłby znaleźć całe setki nieposzlakowanych sposobów, by dać wyraz swej niechęci.

Może byłoby lepiej, gdyby Teobald za młodych lat bardziej buntował się przeciwko ojcu. Fakt, że tego nigdy nie robił, podsycił jego przekonanie, że powinien liczyć na absolutne posłuszeństwo swych dzieci. Może polegać na sobie — mawiał (to samo mówiła Krystyna) — że będzie bardziej względny, niż jego ojciec był dla niego samego; grozi mu raczej — powtarzał (to samo także powtarzała Krystyna) — że będzie zbyt pobłażliwy; musi strzec się tego jak ognia, bo

wśród.. wszystkich obowiązków na pierwszym miejscu należy postawić obowiązek wpojenia w dzieci posłuszeństwa wobec rodziców we wszystkich sprawach bez wyjątku.

Zdarzyło się nie tak dawno, że przeczytał o pewnym podróżniku, który, prowadząc odkrywcze badania gdzieś w dalekich zakątkach Arabii i Azji Mniejszej, trafił na wyjątkowo dzielną, roztropną, pracowitą, niewielką społeczność chrześcijańską — wszyscy jej członkowie bez wyjątku cieszyli się świetnym zdrowiem — a jak potem wyszło na jaw, byli to, w prostej linii potomkowie Jonadaba, syna Rechabowego. Wkrótce dwóch mężczyzn, ubranych wprawdzie po europejsku, lecz mówiących złym akcentem angielskim, a pochodzących, jak ich cera wskazywała, z całą pewnością ze Wschodu, zjawilo się po kweście w Battersby, głosząc, że są przedstawicielami wspomnianej społeczności. Mówili, że zbierają fundusze na propagowanie wśród swych współziomków angielskiego wariantu chrześcijańskiego wyznania. Wprawdzie okazali się oszustami, bo kiedy tłał im funta, a Krystyna dołożyła pięć szylingów ze swej prywatnej sakiewki, upili się w najbliższej miejscowości od Battersby, ale przecież ten fakt nie podważył prawdziwości relacji wschodniego podróżnika. A tacy Rzymianie zawdzięczali prawdopodobnie swą wielkość nieograniczonej władzy, jaką głowa rodziny sprawowała nad wszystkimi jej członkami. Byli i tacy Rzymianie, którzy nawet zabijali swe dzieci. To było trochę za daleko posunięte, ale ostatecznie Rzymianie nie byli chrześcijanami i nie wiedzieli, jak należy postępować. Praktyczny rezultat wspomnianych wyżej przesłanek polegał ma tym, że w umyśle Teobalda - a skoro w jego umyśle, to także i w umyśle Krystyny — powstało przekonanie, iż mają obowiązek wdrażania dzieci we właściwe im tryby już od samego niemowlęctwa. Należy zwracać baczną uwagę na pierwsze objawy uporu i wyrwać go z korzeniami, zanim urosną pędy. Teobald podchwycił gdzieś ową metaforę, choć była to drętwa żmija, i z czułością pieścił ją w sercu.

Ernest nie umiał jeszcze dobrze raczkować, a już nauczono go klęczeć; jeszcze nie umiał dobrze mówić, a już nauczono go seplenić modlitwę Pańską i główne prawdy wiary. Nigdy nie było za wcześnie na uczenie dziecka tych rzeczy. Jeżeli chłopak nie mógł utrzymać uwagi na wodzy lub zawodziła go pamięć, był to chwast, który rozpleniłby się szybko, gdyby nie wyrwano go natychmiast, a jedyny sposób wyrwania szkodliwego zzielska polegał na daniu dziecku batów albo na zamknięciu go w szafie, albo wreszcie na pozbawieniu go jakiejś małej dziecinnej radości. Przed ukończeniem trzech lat umiał już czytać i na swój sposób pisać. Nie miał jeszcze czterech lat, a już brał lekcje łaciny i umiał posługiwać się regułą trzech.

A dziecko z usposobienia było bardzo łatwe, przepadało za swoją niańką, malutkimi kociętami i pieskami, i za wszystkim, co skłonne było zdobyć się dla niego na tak wielką dobroć, że pozwalało mu się kochać. Kochał także swoją matkę, ale ojciec, jak Ernest sam zwierzył mi się, kiedy był już starszy, zawsze budził w nim tylko strach i niechęć. Krystyna nie protestowała wobec Teobalda przeciwko trudnym zadaniom, które ich syn musiał spełniać, ani przeciwko nieustannemu biciu, które ojciec uważał za konieczne w czasie każdej lekcji. Co więcej, kiedy z powodu nieobecności Teobalda sama musiała zająć się prowadzeniem lekcji, stwierdzała ku swemu zmartwieniu, że nie miała innego wyboru, i czyniła to samo niemniej skutecznie od samego Teobalda; ale przecież kochała swego syna, czego nie można powiedzieć o Teobaldzie, i dużo wody upłynęło, zanim zdołała w duszy swego pierwородnego doszczętnie zniszczyć uczucie do matki. Ale wytrwale do tego zmierzała.

ROZDZIAŁ XXI

Dziwne! przecież święcie wierzyła, że go kocha, i na pewno kochała go bardziej od swych innych dzieci. Podług niej, nie było na świecie drugich rodziców, którzy tak odmawialiby sobie wszystkiego i z takim poświęceniem zabiegaliby o najwyższe dobro swych dzieci jak Teobald i ona. Ernest miał przed sobą — była tego pewna — piękną przyszłość. Ten wzgląd powodował, że surowość była tym bardziej konieczna, żeby już od najmłodszych lat uchronić go od najmniejszej zmyzy zła. Nie mogła pofolgować takim marzeniom, na które, jak czytaliśmy w Biblii, pozwalała sobie każda matrona żydowska przed pojawieniem się Mesjasza, bo już było po przyjściu Mesjasza, ale wkrótce zapanuje Chrystus na ziemi, na pewno nie później jak w roku 1866, w którym Ernest będzie w odpowiednim wieku, a wtedy będzie potrzebny Eliasza we współczesnym wydaniu, żeby wieścić dobrą nowinę. Niebem świadczyć się może, że nigdy nie bala się męczeństwa, czy to dla siebie, czy dla Teobalda, i nie zasłoni przed nim swego syna, jeżeli trzeba będzie, żeby oddał swe życie dla umiłowanego Zbawiciela. Ach, nie! Gdyby Bóg zażądał od niej ofiary z jej pierworodnego, jak zażądał kiedyś od Abrahama, weźmie syna do Pigbury Beacon i zepchnie do — nie, na to nie potrafiłaby się zdobyć, ale to nie byłoby konieczne, przecież ktoś inny może ją w tym wyręczyć. Nie na darmo Ernest został ochrzczony wodą Jordanu. Ani ona, ani Teobald nie przyłożyli do tego ręki, nie zabiegali o to wcale. Kiedy trzeba było wody ze świętego strumienia dla świętego dzieciątka, znalazł się kanał i popłynęła nim przez łądy i morza aż do drzwi domu, w którym leżało niemowlę. Ależ to był cud! Cud! Cud! Teraz widziała to jak na dłoni. Jordan opuścił swe koryto i wpłynął do ich własnego domu. Wszelkie próby zaprzeczenia cudowności tego zjawiska są stratą czasu. Każdy cud wymaga takich czy innych środków. Różnica między wierzącym a niewierzącym polega na tym, że podczas gdy pierwszy potrafi dostrzec cudowność zdarzenia, ten drugi jest ślepy. Żydzi nie potrafili dostrzec cudu ani we wskrzeszeniu Łazarza, ani w nakarmieniu pięciu tysięcy. Janostwo Pontifexowie nie zdołali dostrzec cudu w zdarzeniu z wodą Jordanu. Istota cudu nie polega na tym, że nie wymaga on żadnych środków, lecz na posługiwaniu się pewnymi środkami w imię wielkiego celu, którego bez cudownej ingerencji nie można osiągnąć — a chyba nikt nie może wątpić, że dr Jones przywiózł wodę tylko dlatego, bo. był ku temu natchniony. Powie o tym Teobaldowi i zwróci na to uwagę... ale może będzie lepiej, jeżeli tego zaniecha. Kobiety mają głębsze i bardziej trafne wyczucie w takich sprawach od mężczyzn. Przecież to kobieta, a nie mężczyzna, była całkowicie wypełniona Bogiem z wszystkimi Jego boskimi atrybutami. Dlaczego nie przechowali resztek świętej wody, która została po chrzcie, z czcią, jaka się jej należała? Nigdy, przenigdy nie powinni byli jej wylewać, a jednak ją wylali. A może stało się lepiej, może zbyt pyszniliby się tą wodą, może stałaby się źródłem duchowego niebezpieczeństwa, owej duchowej pychy, grzechu ze wszystkich najgorszego, do którego czuła największą odrazę. A kanał, którym Jordan popłynął do Battersby, jest w istocie rzeczy tak samo bez znaczenia jak kraina, przez którą rzeka płynie w samej Palestynie. Bez wątplenia dr Jones był bardzo przyziemny, okropnie przyziemny. Tak samo przyziemny — nie mogła opędzić się od przykrego uczucia — był jej teść, choć w mniejszym stopniu. W sercu z całą pewnością był religijny i w miarę jak przybywało mu lat, coraz bardziej szukał pociechy w religii, ale nie zdołał oderwać się od pokus ziemskich prawdopodobnie aż do ostatnich kilku godzin przed śmiercią, podczas gdy ona i Teobald wszystko poświęcili dla Chrystusa. Oni odwrócili się od spraw doczesnych. Co do Teobalda, rzecz nie podlega żadnej dyskusji. Ona wprawdzie nie jest wolna od żądz i namiętności ziemskich, ale nie ma żadnej wątpliwości, że wzmogła się w niej łaska, od

czasu kiedy wyrzekła się jedzenia stworzeń uduszonych i spożywania krwi — było to jak obmycie się w wodach Jordanu po Abanie i Pharpharze, rzekach Damaszku. Jej syn nie dotknie nigdy uduszonego kurczęcia ani czarnego puddingu — jako matka na pewno potrafi tego przypilnować. Trzeba postarać się dla niego o koral z okolic Joppy — na tym wybrzeżu występują owady kora- lowe, a więc będzie można załatwić to bez wielkiego zachodu. Napisze w tej sprawie do dra Jonesa itp., itp. — i tak całymi godzinami, dzień po dniu, przez całe lata. Zapewne pani Teobaldowa, jak mogła i jak umiała, kochała swe dziecko gorąco, ale marzenia, które nawiedzały ją we śnie, były trzeźwą rzeczywistością w porównaniu do tych, które śniła na jawie.

Kiedy Ernest miał dwa lata, Teobald, jak już wspomniałem, zaczął uczyć go czytać. W dwa dni po rozpoczęciu nauki zaczął go bić.

— To było przykre - powiedział do Krystyny, lecz nie było innego wyjścia, więc bił. Dziecko było wątłe, blade i chorowite. Posyłali zatem stale po doktora, który zapisywał mu kalomel i proszki dra Jamesa. Wszystko to robiono z miłości, strachu, bojaźni, głupoty i niecierpliwości, W małych sprawach byli, głupi, a ten, kto w małym jest głupi, jest głupi także i w dużym..

Kiedy umarł stary pan Pontifex, wyszła na jaw drobna poprawka, której jednocześnie z zapisem dla Ernesta dokonał w swej ostatniej woli. Dość ciężko było się z tym pogodzić, tym bardziej że nie było sposobu wygarnięcia spadkodawcy prosto z mostu, iż nareszcie odetchnęli, bo już nigdy ich nie skrzywdzi. A co do samego chłopca, to każdy musi przyznać, że taki zapis okaże się dla niego jak najbardziej zgubny. Zapisanie skromniutkiego mająteczku jest chyba największą krzywdą, jaką można wyrządzić młodemu człowiekowi. Okaleczy to jego energię życiową, zabije jego chęć do pracy. Wielu młodych ludzi źle skończyło, bo z góry wiedzieli, że po dojściu do pełnoletności dostanie im się kilka tysięcy funtów. Można chyba polegać na nich, że nic bardziej nie leży im na sercu jak dobro ich syna, a przecież każdy zgodzi się, że smarkacz, który ma zaledwie dwadzieścia jeden lat, nie może lepiej od nich wiedzieć, co dobrze, a co źle służy jego interesom, a do tego jeszcze gdyby Jonadab, syn Rechabowy — a może w danej sytuacji prościej będzie od razu powiedzieć, że chodzi o Rechaba — otóż więc, gdyby Rechab zostawił swoim wnukom w testamencie przyzwoite zapisy, być może Jonadab nie dałby sobie tak łatwo rady ze swoimi dziećmi itd., itd.

— Moja droga — powiedział Teobald po omówieniu wspomnianej sprawy z Krystyną po raz dwudziesty — moja droga, jedynie praktyczne zajęcia mogą nas naprowadzić na właściwą drogę i pocieszyć w kłopotach. Pójdę do pani Thompson.

W takich dniach Teobald oznajmiał pani Thompson, że wszystkie grzechy zostały jej odpuszczone itd., a robił to trochę szybciej i trochę bardziej stanowczo niż zazwyczaj.

ROZDZIAŁ XXII

W latach, kiedy mój chrzestny syn oraz jego brat i siostra byli jeszcze małymi dziećmi, bywałem od czasu do czasu w Battersby i zostawałem tam na kilka dni. Nie mam pojęcia, dlaczego tam jeździłem, ponieważ moje stosunki z Teobaldem stawały się coraz bardziej luźne, ale często- człowiek dostaje się w karby rutyny, więc rzekoma przyjaźń między mną i Pontifexami trwała nadal, choć był to stan niewiele odbiegający od szczątkowej wegetacji. Mego chrześniaka lubiłem najbardziej ze wszystkich dzieci, choć brak mu było żywości właściwej dla wieku dziecięcego i tak bardzo przypominał słabowitego, o ziemistej cerze staruszka, że widok ten mnie raził. Dzieciaki gotowe były jednak do nawiązania ze mną przyjaznych stosunków.

Przypominam sobie, jak w czasie jednej z moich wizyt Ernest i jego brat plątali się wokół mnie z nareczkami zwędłych kwiatów, aż wreszcie złożyli mi je w darze. Postąpiłem, jak mniemam, zgodnie z ich oczekiwaniami: zapytałem się, czy jest tu gdzieś blisko sklep ze słodyczami. Odpowiedzieli, że jest, więc zacząłem szukać po kieszeniach, ale udało mi się znaleźć tylko dwa i pół pensa w drobnej monecie. Wręczyłem im te pensy, a malcy — jeden miał wtedy cztery, a drugi trzy lata — podreptali we dwójkę, ile mieli sił w słabych nóżkach. Niebawem wrócili, a Ernest powiedział:

— Nie możemy dostać słodyczy za te wszystkie pieniądze — wziąłem to za nagane, ale intencja okazała się inna — możemy dostać za to — pokazał jednego pensa — i za to — pokazał drugiego pensa — ale nie możemy dostać za wszystko — i dodał, pół pensa do dwóch pensów. Domyślałem się, że chcieli kupić ciastko za dwa pensy lub coś w tym rodzaju. Byłem rozbawiony, ale chciałem, żeby sami rozwickłali tę trudność, i byłem ciekawy, co dalej poczną.

Teraz Ernest powiedział;

— Czy możemy ci oddać to — pokazał pół pensa — a nie oddawać ci tego i tego? — pokazał pensy. Zgodziłem się, a oni odetchnęli z ulgą i zadowoleni poszli w sobie wiadomą stronę. Kilka prezentów w postaci dalszych pensów i skromnych zabawek dokonało dzieła podboju i zaczęli uważać mnie za swego powiernika.

Powiedzieli mi, jak mi się wydaje, o wiele więcej, niż powinienem był usłyszeć. Powiedzieli mi, że gdyby ich dziadzio żył dłużej, na pewno zostałby lordem, a wtedy tatuś byłby „czcigodnym” i „wielebnym”, ale teraz dziadzio jest w niebie i razem z babcią Allaby śpiewają śliczne pieśni Jezusowi Chrystusowi, który ich bardzo lubi; a kiedy Ernest był chory, mamusia mu powiedziała, żeby nie bał się śmierci, bo pójdzie prościutko do nieba, ale musi okazać skruchę, że tak nieuważnie odrabia lekcje i denerwuje swego kochanego tatusia, i musi przyrzec, że już nigdy, nigdy więcej tatuś nie będzie musiał denerwować się z jego powodu; a jak pójdzie do nieba, to spotka tam dziadzia i babcię Allaby i już na zawsze z nimi zostanie, a oni będą dla niego dobrzy i nauczą go ślicznych pieśni, dużo ładniejszych od tych, które teraz tak bardzo lubi, itd., itd.; on jednak nie chciał umierać i bardzo się cieszył, kiedy mu się polepszyło, bo w niebie nie ma małych kotków ani pierwiosnków, z których można robić pierwiosnkową herbatę.

Matka była wyraźnie rozczarowana swymi dziećmi.

— Żadne z moich dzieci nie jest geniuszem — powiedziała mi pewnego ranka przy śniadaniu — są wcale zdolne i dzięki metodom wychowawczym Teobalda są, jak na swój wiek, dobrze rozwinięte, ale nie ma w nich nic z geniuszu: geniusz jest czymś zupełnie innym, nieprawda?

Odpowiedziałem naturalnie, że „jest czymś zupełnie innym”, ale gdyby myśli me zostały wówczas obnażone w całej ich nagości, moja odpowiedź zabrzmiałaby tak: „Proszę mi zaraz dać

kawę i przestać pleść głupstwa." Nie mam pojęcia, co to jest geniusz, lecz na podstawie tego, jak potrafię go sobie jakoś wyobrazić, powiem krótko, że to słowo jest durne i należy je najspieszniej zostawić na wyłączny użytek naukowych i literackich *claqueurs*.

Nie wiem dokładnie, czego Krystyna spodziewała się po swych dzieciach, lecz nie trzeba mieć bujnej wyobraźni, żeby domyślić się, że chodziło jej mniej więcej o coś w tym rodzaju: „Wszystkie moje dzieci powinny być geniuszami, ponieważ są moje i Teobalda, i to bardzo niegrzecznie z ich strony, że nie są genialne; naturalnie nie mogą być tak dobre i zdolne, jak my z Teobaldem byliśmy za młodu — a jeżeli zdradzają objawy, że nam dorównują, to postępują bardzo niegrzecznie. Na szczęście jednak nie posiadają takich zalet, jak my mieliśmy, ale jednocześnie to jest okropne, że ich nie mają. A co do geniusza — istna awantura arabska — geniusz powinien wywijać intelektualne koziołki natychmiast po urodzeniu, tymczasem żadne z moich dzieci nie ma najmniejszych szans dostania się do gazety. Nie chcę, żeby moje dzieci były zarozumiałe — powinno im wystarczyć, że Teobald i ja mamy uzasadnione powody do dumy.”

Nie wiedziała biedna kobieta, że prawdziwa wielkość chodzi w niewidzialnym płaszczu, pod którego osłoną krąży wśród ludzi nie dostrzegana. Jeżeli ów płaszcz przez wiele lat nie osłania jej przed nią samą i przed wszystkimi ludźmi, wielkość rychło skurczy się do całkiem pospolitych wymiarów. Jakż jest więc — można zadać pytanie — pożytek z wielkości? Odpowiedź brzmi: będąc wielkim można lepiej zrozumieć wielkość innych, zarówno umarłych, jak i żywych, można wybrać sobie spośród nich towarzyszy i cieszyć się nimi, i rozumieć ich lepiej, kiedy dokonano się już wyboru; będąc wielkim można sprawić sobą przyjemność najlepszym ludziom i odrodzić się w tych, którzy się jeszcze nie urodzili. Zdawałoby się, że wielkość powinna poprzestać na tej konkretnej korzyści i zrezygnować z traktowania nas ostro podkutymi kopytami nawet w tym przypadku, kiedy przywdziewa kostium pokory.

Byłem tam w niedzielę i miałem sposobność obserwować, z jakim rygiorem uczono dzieciarnię, jak ma obchodzić sabat, czyli niedzielę. W niedzielę nie wolno było dzieciom bawić się w wycinanki ani dotykać pudełka z farbami, z czym na ich rozum dość trudno było się pogodzić, bo ich stryjcznemu rodzeństwu, dzieciom Jana Pontifexa, zabaw tych nie zakazywano. Dzieci stryja Jana mogły bawić się kolejką żelazną, a im, choć solennie przyrzekły, że pociągi kursować będą tylko według niedzielnej rozkładu, kazano wstrzymać cały ruch na kolei. Na jeden zaledwie przywilej posiadali zezwolenie — w niedzielę wieczór same mogły wybierać swe ulubione pieśni kościelne.

W godzinach wieczornych przyszły do salonu i w drodze nadzwyczajnej łaski miały zaśpiewać, a nie wyrecytować, niektóre ze swych pieśni, abym mógł posłuchać, jak ładnie je śpiewają. Ernest miał pierwszeństwo wyboru i wybrał pieśń o pewnych ludziach, którzy mają przyjść pod „drzewo zachodzącego słońca”. Nie jestem botanikiem i nie znam odmiany drzewa, które nazywa się „drzewem zachodzącego słońca”, lecz pierwsze słowa tej pieśni brzmiały: „Przyjdź, przyjdź, przyjdź; przyjdź pod drzewo słońca zachodzącego, bo dzień już minął i zgasł.” Melodia była dość ładna i Ernest wyraźnie ją lubił, bo przepadał za muzyką i miał miłą dziecienny głosik, którym z przyjemnością się posługiwał.

Chłopiec był bardzo spóźniony w wymawianiu niektórych spółgłosek i zamiast „przyjdź”, wymawiał „psyjdź, psyjdź, psyjdź”.

— Ernest — odezwał się Teobald z fotela pod kominkiem, w którym siedział z rękami skrzyżowanymi na piersiach — czy nie sądzisz, że byłoby lepiej, gdybyś zaczął, jak wszyscy ludzie, wymawiać „przyjdź” zamiast „psyjdź”?

— Ja mówię „psyjdź” — odpowiedział Ernest w przekonaniu, że powiedział „przyjdź”.

Teobald w niedzielne wieczory zawsze był w złym humorze. Możliwe, że duchowni są w takim samym stopniu znudzeni tym dniem jak ich bliźni, możliwe, że są zmęczeni, a może

jeszcze coś innego im dolega, dość na tym, że duchowni rzadko w niedzielne wieczory ukazują się w najlepszym świetle. Tego wieczoru zauważyłem pewne objawy, które wskazywały, że mój gospodarz jest zirygowany, i widać było, że poczuł się trochę dotknięty odwrotną repliką Ernesta: „Ja mówię psyjdz”, podczas gdy tatuś mu powiedział, że nie wymawia jak należy.

Teobald błyskawicznie zorientował się, że zaprzeczono jego słowom. Podniósł się z fotela i podszedł do fortepianu.

— Nie, Erneście, wcale tak nie mówisz — powiedział — mówisz całkiem inaczej, wymawiasz „psyjdz”, a nie „przyjdz”. Powtórz teraz za mną „przyjdz”, tak jak ja to robię.

— Psyjdz — z miejsca odpowiedział Ernest — już lepiej prawda? — Nie wątpię, że uważał, że było lepiej, ale się mylił.

— Słuchaj, Ernest, nie wkładasz w to żadnego wysiłku, nie starasz się w takim stopniu, jak powinieś. Już najwyższy czas, żebyś nauczył się wymawiać „przyjdz”. Przecież nawet Józio potrafi powiedzieć „przyjdz”, prawda Józiu?

— Tak, potrafię — odrzekł Józio i powiedział coś, co rzeczywiście bardzo przypominało „przyjdz”.

— Otóż właśnie, słyszałeś? — zwrócił się Teobald do Ernesta — nie ma w tym żadnej trudności, nawet cienia trudności. A teraz, masz chwilę czasu, zastanów się i powtórz za mną „przyjdz”.

Chłopczyk milczał przez kilka sekund i znowu powiedział „psyjdz”.

Roześmiałem się, ale Teobald zniecierpliwionym ruchem odwrócił się do mnie i powiedział:

— Nie śmieć się, proszę cię, chłopiec pomyśli, że to nie ma znaczenia, a to ma wielkie znaczenie. — A potem odwracając się do Ernesta rzekł: — Słuchaj, daję ci jeszcze jedną sposobność, jeżeli nie powiesz „przyjdz”, uznam, że jesteś uparty i niegrzeczny.

Widać było, że jest zły, a twarz Ernesta pokryła się chmurą jak twarz wyrostka, którego strofuje się, a on nie wie za co. Dziecko doskonale zdawało sobie sprawę, co teraz nastąpi, bało się — i oczywiście ponownie powiedziało „psyjdz”.

— Doskonale — powiedział ojciec chwytając gniewnie Ernesta za ramię — robiłem, co mogłem, żeby ci tego oszczędzić, ale skoro tak bardzo chcesz, żeby cię to spotkało, stanie się, jak sobie życzysz — i wywłócił z pokoju biednego nieszczęśnika, który zawczasu się rozplakał. Za kilka minut usłyszeliśmy krzyki dochodzące z jadalni, którą od salonu dzielił hall, i wiedzieliśmy, że Teobald bije syna.

— Kazałem mu położyć się do łóżka — rzekł Teobald, kiedy wrócił do salonu — a teraz, Krystyno, sądzę, że już czas zawołać służbę na pacierze — i zadzwonił na służbę tą samą ręką, która dopiero co skatowała syna.

ROZDZIAŁ XXIII

W szedł służący Wiliam i ustawił krzesła dla dziewcząt, a wkrótce zaczęli wchodzić kolejno: pierwsza weszła panna służąca Krystyny, potem kucharka, potem pokojówka, potem Wiliam i wreszcie stangret. Siedziałem na wprost nich i przyglądałem się ich twarzom, podczas gdy Teobald czytał rozdział z Biblii. Byli to mili ludzie, ale tak doskonałej bezmyślności nigdy dotąd nie widziałem na obliczu żadnej ludzkiej istoty.

Teobald rozpoczął od przeczytania kilku wersetów, kierując się w wyborze tekstu swym własnym systemem. Przy tej okazji wybrał ustęp z XV rozdziału Księgi Liczb. Nie mogłem dostrzec żadnego szczególnego związku tego ustępu z czymkolwiek, co się wtedy działo, ale duch, który przenikał ten rozdział, miał w sobie, jak mi się wydawało, tyle wspólnych cech z charakterem Teobalda, że po wysłuchaniu go mogłem lepiej zrozumieć, jak Teobald doszedł do tego, że myślał tak, jak myślał, i postępował tak, jak postępował,

Ustęp ten brzmi:

„Ale dusza, którą by z hardości co uczyniła, choć- by był obywatel, chocia gość (ponieważ przeciwko Panu sprzeciwny był), zginie z ludu swego.

Słowo bowiem Pańskie wzgardził i przykazanie jego zgwałcił: przetoż zgładzon będzie i poniesie nieprawość swoją.

I stało się, gdy byli synowie Izraelowi na puszczy, i znaleźli człowieka zbierającego drwa w dzień Sobotni.

Stawili go Mojżeszowi i Aaronowi i wszystkiemu zgromadzeniu.

Którzy zamknęli go w ciemnicy, nie wiedząc, co by z nim czynić mieli.

I rzekł Pan do Mojżesza: Śmiercią niech umrze ten człowiek: niech go kamieniami zabije wszystka rzesza za obozem.

I wywiódłszy go precz, zabili go kamieniami, i umarł, jako Pan przykazał. I rzekł Pan do Mojżesza:

Mów synom Izraelowym, i rzeczesz do nich, aby sobie poczynili bramy na rogach płaszców, przyprawivszy do nich sznurki z hiacyntu.

Na które gdy wejrzą, niech wspominają na wszystkie przykazania Pańskie, ani się niech nie udawają za myślami swemi, i za oczami po rozmaitych rzeczach cudzołożąc.

Ale raczej pamiętając na przykazanie Pańskie, niech je pełnią i niech będą świętymi Bogu swojemu.

Jam Pan wasz, którym was wywiódł z ziemie Egipskiej, abym był Bogiem waszym."

Teobald czytał wyżej przytoczone słowa, a ja bujałem myślami w obłokach i powracałem do pewnego malutkiego zdarzenia, które obserwowałem tego dnia po południu.

Kilka lat temu rój pszczół znalazł sobie przytułek pod dachówkami, którymi dom jest kryty, i tak się rozmnożył, że w lecie, kiedy okna są otwarte, całe ich gromady przylatują do salonu. Deseń tapety w salonie składa się z bukiecików czerwonych i białych róż i widziałem, jak wiele pszczół, w różnych porach dnia, przylatywało i próbowało dobrać się do nich pod wrażeniem, że są to prawdziwe kwiaty. Naprzód próbowały dobrać się do jednego bukieciku, potem próbowały dobrać się do następnego, a potem do następnego i znowu do następnego, aż wreszcie docierały do bukiecika pod samym sufitem, a wtedy schodziły w dół, z bukiecika na bukiecik tak samo, jak wchodziły w górę, aż dochodziły do kresu, którym jest oparcie kanapy. Wtedy pięły się z powrotem z bukiecika na bukiecik aż do sufitu i tak dalej, i tak dalej, aż znużyłem się patrzeniem na ich wędrówki. Kiedy myślałem o rodzinnych modlitwach,

powtarzanych co wieczór i co rano, z tygodnia na tydzień, z miesiąca na miesiąc, z roku na rok, nie mogłem oprzeć się wrażeniu, jak bardzo przypominają wędrówki, które pszczoły odbywają po ścianie, z dołu do góry i z góry na dół, nie podejrzewając, że można mieć wiele przeróżnych wyobrażeń skojarzonych, a nigdy beznadziejnie i na wieki nie osiąść wyobrażenia podstawowego.

Kiedy Teobald skończył czytać, uklękliśmy wszyscy, a Carlo Dolci i Sassoferrato spoglądały z góry na sfalowane morze grzbietów, a my ukryliśmy twarze w krzesłach. Zauważyłem, że Teobald modlił się, żebyśmy byli „prawdziwie uczciwi i posłuszni sumieniu w całym naszym postępowaniu”, i uśmiechnąłem się słysząc, że dodał „prawdziwie”. Wtedy znowu pomyślałem o pszczołach i doszedłem do wniosku, jak to dobrze się składa, przynajmniej dla Teobalda, że nasze modlitwy przeważnie nie wywołują nawet najsłabszego echa, które dawałoby nam choćby cień nadziei. Gdybym bowiem uważał, że istnieje choćby najmniejsza szansa, że zostanę wysłuchany, odmówiłbym pacierz na intencję, żeby możliwie szybko zjawił się ktoś, kto obszedłby się z nim tak samo, jak on obszedł się z Ernestem.

Potem powędrowałem sobie w myślach do owych kalkulacji, które ludzie robią na temat marnowania czasu, i zamyśliłem się nad tym, jak dużo moglibyśmy zyskać poświęcając tej sprawie dziesięć minut dziennie; pomyślałem sobie, że miałbym pewną dość bezpieczną propozycję w związku z ilością czasu, jaką poświęca się na modlitwę, która stałaby się znośną, gdyby połączyło się ją z rozmyślaniami na wspomniany temat, a wtedy usłyszałem, że Teobald zaczął odmawiać modlitwę dziękczynną do Pana Jezusa Chrystusa; i po kilku sekundach ceremonia dobiegła końca, a służba zaczęła wychodzić w takim samym porządku, jak wchodziła.

Zaledwie zostaliśmy sami w salonie, Krystyna, trochę zawstydzona zdarzeniem, którego byłem świadkiem, nieroztropnie powróciła do tego tematu i zaczęła usprawiedliwiać jego przebieg twierdząc, że jej serce krwawiło i Teobalda serce krwawiło, i jeszcze dużo innych rzeczy, ale przecież „nie było innego wyjścia”.

Przyjąłem to z takim chłodem, na jaki przyzwoiłość mi pozwalała, i milczałem przez resztę wieczoru, dając tym do zrozumienia, że potępiam scenę, która rozegrała się w moich oczach.

Następnego dnia miałem wracać do Londynu, lecz przed odjazdem powiedziałem, że chętnie wziąłbym ze sobą kilka świeżych jaj, więc Teobald zaprowadził mnie do domu pewnego robotnika, który mieszkał w miasteczku, niedaleko od plebanii, gdyż przypuszczano, że tam na pewno je dostanę. Tak się złożyło, że Ernestowi pozwolono pójść z nami. Wydaje mi się, że kury właśnie zaczęły się nieść, ale jaj było jeszcze mało i żonie gospodarza udało się znaleźć ich nie więcej niż siedem czy osiem, więc zawijaliśmy każde z osobna w papier, żebym cało dowiózł je do miasta.

Zabiegu tego dokonywaliśmy na ziemi tuż przed drzwiami domu i właśnie byliśmy w połowie zadania, kiedy mały synek gospodarza, chłopczyk mniej więcej w wieku Ernesta, nastąpił nóżką na jedno z zawiniętych w papier jaj i jajko się zgmiotło.

— Widzisz, Jacku — odezwała się jego matka — co zrobiłeś, stłukłeś takie ładne jajko i straciłam pensa. Emma, chodź no tu do mnie — zawołała na córkę — zabierz dziecko, jesteś dobrą dziewczynką.

Emma przyszła natychmiast i wyprowadziła malca z zagrożonego przez niego terenu.

— Tatusiu — zapytał Ernest, kiedy opuściliśmy zagrodę — dlaczego pani Heaton nie zbiła Jacka za to, że stłukł jajko?

Byłem dostatecznie złośliwy i posłałem ponury uśmiech Teobaldowi, a uśmiech ten równie wyraźnie, jak gdybym to ujął w słowa, dał mu do zrozumienia, że moim zdaniem Ernest trafił go wcale celnie.

Teobald poczerwieniał i widać było, że jest zły.

— Sądzę — odpowiedział pośpiesznie — że matka zbije go teraz, po naszym wyjściu.

Nie miałem zamiaru dłużej tego znosić i oświadczyłem, że bardzo w to wątpię, co położyło kres wymianie zdań na ten temat, jednak Teobald nigdy mi tego nie zapomniał i od tej pory rzadziej składałem wizyty w Battersby.

Po powrocie do domu dowiedzieliśmy się, że był listonosz i przyniósł pismo z nominacją Teobalda na wiejski dziekanat, wakujący od pewnego czasu po śmierci jednego z duchownych z sąsiedztwa, który sprawował tę godność przez wiele lat. Biskup napisał do Teobalda w bardzo ciepłych słowach i zapewnił go, że zalicza go do najzarliwiej pracujących i najgoręcej oddanych służbie bożej duchownych w swej diecezji. Krystyna była, rzecz prosta, wniebowzięta i dała mi do zrozumienia, że jest to dopiero zaliczka na znacznie wyższe dostojeństwa, które posypią się na Teobalda, skoro tylko ludzie lepiej poznają się na jego wartości.

Nie przewidywałem wówczas, że będę kiedyś, po wielu latach, tak blisko związany z moim chrześniakiem. Gdybym wówczas zdawał sobie z tego sprawę, prawdopodobnie patrzyłbym na niego innymi oczami. Tak jak rzeczy stały wówczas, wolałem trzymać się od niego z daleka, ponieważ nie mogłem mu ani pomóc, ani nawet zdradzić się, że jestem bezradny, a widok nieznośnych męczarni dziecka był mi przykry. Człowiek nie tylko powinien w miarę możliwości żyć według własnych upodobań, ale otaczać się tylko tym, co rozwija się swobodnie, a przynajmniej żyje jako tako wygodnie. Jeżeli nie zmuszają go wyjątkowe okoliczności do przelotnych odstępstw, człowiek powinien za wszelką cenę unikać nawet spojrzenia na to, co jest niedorozwinięte i zagłodzone, a tym bardziej nigdy nie jeść mięsa, które pochodzi ze zwierzęcia zajeżdżonego lub zagłodzonego albo dotkniętego chorobą. Nie powinien także brać do ust jarzyn, które nie urosły jak należy. Bo to wszystko krzyżuje się z - człowiekiem. Wszystko, z czym ludzie wchodzą w kontakt, krzyżuje się i zespala z nimi i w konsekwencji ludzie stają się lepsi albo gorsi, a im lepsze są rzeczy, z którymi się skrzyżowali, tym będą, według wszelkiego prawdopodobieństwa, żyć dłużej i szczęśliwiej. Wszystko, co istnieje na tym świecie, musi skrzyżować się, choćby w nieznacznym stopniu, z czymś obcym albo musi przestać istnieć — ale to, co jest święte, jak na przykład święci Giovanni Belliniego, krzyżowało się tylko z tym, co było dobre w przedmiotach, z którymi weszło w kontakt.

ROZDZIAŁ XXIV

Burza, której przebieg opisałem w poprzednim rozdziale, stanowi próbkę nawałnic, które przez wiele lat były w Battersby zjawiskiem całkiem codziennym. Fakt, że niebo było pogodne, nie posiadał żadnego znaczenia, bo w każdej chwili, jeżeli nie za kwadrans, to za pół godziny, mogło zasnuć się chmurami, a wtedy grzmoty i błyskawice zaskakiwały malców, zanim zdążyli zorientować się, że grozi im niebezpieczeństwo.

— A poza tym — powiedział Ernest, kiedy nie tak dawno poprosiłem go o trochę więcej wspomnień z jego lat dzieciennych, chcąc wykorzystać je w tej opowieści — uczyliśmy się hymnów pani Barbould; napisane były prozą, a jeden z nich, o lwie, zaczynał się od słów: „Przyjdź, a pokażę ci coś, co jest silne:

Lew jest silny; kiedy podnosi się ze swego legowiska, kiedy potrząsa swą grzywą, kiedy słyhać grzmot jego ryku, bydło w popłochu ucieka z pola, szukają kryjówek dzikie zwierzęta na pustyni, bo on jest bardzo straszny. Kiedy byłem trochę starszy, często tymi słowami mówiłem o ojcu do Józia i Karolinki, ale oni zawsze byli nastawieni bardzo dydaktycznie i pouczali mnie, że to niegrzecznie tak mówić o ojcu.

Jedną z głównych przyczyn, dlaczego ludzie żyjący pod jednym dachem z duchownym są tak nieszczęśliwi, jest fakt, że przebywa on tak dużo w domu albo bardzo blisko domu. Lekarz połowę swego czasu poświęca na wizyty u chorych, adwokat i kupiec mają swe biura poza domem, natomiast duchowny nie posiada określonego miejsca pracy, które, będąc związane z wykonywaniem zawodu, dawałoby gwarancję, że musi przebywać poza domem tyle a tyle godzin w określonym czasie. Wielkie dni nastawały dla nas, kiedy ojciec wybierał się na jeden dzień do Gildenham po zakupy. Kilka dobrych mil było od nas do tej miejscowości, więc zbierało się przeróżne sprawy na specjalnej liście, prowadzonej przez ojca, który w końcu uznawał, że warto poświęcić im dzień, i jechał załatwić wszystko za jednym zamachem. Ledwo zamknęły się za nim drzwi, lżej robiło się w powietrzu, ledwo zaskrzypiały, kiedy znowu wchodził do domu, a już prawo z jego kazuistycznymi kanonami: „Nie dotykaj, nie bierz do ust, nie ruszaj”, znowu zaczynało nad nami panować. Najgorsze było to, że nie mogłem nigdy zaufać ani Józiowi, ani Karolinie. Zdarzało się, że Uszli razem ze mną cały kawał i nagle zawracali z drogi albo że szli ze mną do końca, a wtedy sumienie zmuszało ich do przyznania się tatusiowi i mamusi. Lubili wprawdzie pędzić razem z zającem, ale tylko do pewnego punktu, bo instynktownie sprzyjali psom.

Wydaje mi się — ciągnął dalej — że w instytucji rodziny dotrwała do naszych czasów zasada, której wcieleniem, zresztą daleko bardziej logicznym, jest organizm kolonialny, ale organizm kolonialny, jak stwierdzono, jest postacią życia, która nie daje pogodzić się z wyższym szczeblem rozwoju. Ja osobiście postąpiłbym z rodziną ludzką tak, jak przyroda postąpiła z organizmem kolonialnym, krótko mówiąc, zarezerwowałbym ją wyłącznie dla ras na niskim szczeblu rozwoju, niezdolnych do osiągnięcia postępu. Jest całkiem pewne, że przyroda nie płonie do instytucji rodziny wrodzoną miłością. Niech pan zestawi różne postacie życia, a stwierdzi pan, że przypadki, w których rodzina występuje, stanowią śmieszoną mniejszość. Ryby wcale jej nie znają i powodzi im się wcale nieźle. Mrówki i pszczoły, których jest na świecie daleko więcej od ludzi, zakłuwają żądlami swych ojców na śmierć, uważając to za rzecz całkiem oczywistą, i nader okrutnie kaleczą dziewięć dziesiątych potomstwa, powierzonego ich pieczy, a mimo to wątpię, czy istnieją społeczności, które byłyby otoczone tak powszechnym szacunkiem. Niech pan weźmie taką kukułkę — czy jest ptak, którego lubilibyśmy bardziej od niej?

Spostrzegłem, że odbiega od swych wspomnień, i usiłowałem zawrócić go na ich ślad, ale nie było na to sposobu.

— Tylko ostatni głupiec — stwierdził — pamięta rzeczy, które zdarzyły się dawniej niż tydzień temu, chyba że zapamiętał je dlatego, ponieważ były przyjemne, lub chce swe wspomnienia w jakiś pożyteczny sposób wykorzystać.

Rozsądni ludzie już za życia uśmiercają w sobie większą część tego, co w nich musi umrzeć. Dla człowieka w wieku trzydziestu pięciu lat nieszczęśliwe dzieciństwo powinno być czymś tak obojętnym jak fakt, że nie urodził się księciem krwi. Może istotnie byłby bardziej szczęśliwy, gdyby dzieciństwo miał bardziej udane, ale gdyby nawet był dzieckiem szczęśliwym, czy może być pewny, że nie spotkałoby go wówczas coś takiego, za co już dawno musiałby zapłacić swym życiem? Gdybym miał urodzić się po raz drugi, chciałbym urodzić się w Battersby, z tego samego ojca i tej samej matki, jak już raz mi się zdarzyło, i nie zmieniałbym ani na jotę tego, co mnie w życiu spotkało.

Najbardziej komiczny epizod, który zdołałem zapamiętać z jego lat dzieciennych, zdarzył się, kiedy miał coś około siedmiu lat, a mianowicie oświadczył mi wtedy, że spodziewa się naturalnego dziecka. Zapytałem, jakie powody skłaniają go do takiego mniemania, a on mi wyjaśnił, że tatuś i mamusia zawsze mówili, że nie można mieć dzieci przed ślubem, i dopóki temu wierzył, nie miał zamiaru mieć dziecka, zanim dorośnie. Niedawno jednak czytał historię Anglii pióra pani Markham i trafił na takie słowa: „Jan z Gandawy miał dużo dzieci naturalnych”, więc spytał się swej wychowawczynie, co to jest dziecko naturalne — przecież chyba wszystkie dzieci są naturalne?

— Ależ mój malutki — odpowiedziała — dzieckiem naturalnym jest takie dziecko, które komuś urodzi się przed ślubem. Z tej przesłanki wynikał, jak się wydawało, całkiem logiczny wniosek, że skoro Jan z Gandawy miał dzieci, zanim się ożenił, on, Ernest Pontifex, także je mieć może, i dlatego będzie mi wdzięczny, jeżeli mu poradzę, jak powinien postąpić w tej sytuacji.

Zapytałem go, jak dawno dokonał tego odkrycia. Odpowiedział, że jakies dwa tygodnie temu i nie ma pojęcia, gdzie ma szukać tego dziecka, bo przecież może ono zjawić się w każdej chwili.

— Pan wie, proszę pana — oświadczył — że dzieci przychodzą tak niespodziewanie, idzie się wieczorem do łóżka, a następnego dnia rano ni stąd, ni zowąd mamy dziecko. Przecież ono może umrzeć z zimna, więc musimy go dobrze wypatrywać. Spodziewam się, że będzie to chłopiec.

— A powiedziałeś o tym swojej wychowawczynie?

— Tak, ale ona, proszę pana, mnie zbywa i wcale mi nie pomaga. Mówi, że ono przyjdzie dopiero za wiele lat i nie spodziewa się go teraz..

— Jesteś zupełnie pewny, że nie pomyliłeś się w tej całej sprawie?

— Na pewno nie, bo kilka dni temu była u nas z wizytą pani Burne i posłano po mnie, że chce mnie zobaczyć. A wtedy mamusia odsunęła mnie na długość ręki i powiedziała: „Niech pani powie, czy jest on dzieckiem pana Pontifexa, czy moim?” Naturalnie nie mogłaby tak powiedzieć, gdyby tatuś nie miał dzieci całkiem sam. Ja sobie myślałem, że panowie mają samych chłopców, a panie same dziewczynki, ale musi być inaczej, bo mamusia nie kazałaby pani Burne zgadywać. A pani Burne powiedziała: „Ależ oczywiście jest dzieckiem pana Pontifexa”, a ja nie mogłem zrozumieć, co miała na myśli mówiąc „oczywiście”. Musiałem mieć jednak rację, kiedy myślałem, że mąż ma samych chłopców, a żona same dziewczynki. Chciałbym, żeby pan mi to wszystko wytłumaczył.

Trudno mi było zadośćuczynić tej prośbie, więc zmieniłem temat rozmowy, ale przedtem uspokoilem chłopca, jak potrafiłem najlepiej.

ROZDZIAŁ XXV

Po trzech, a może czterech latach po urodzeniu się córki Krystyna wydała na świat jeszcze jedno dziecko. Od czasu swego zamążpójścia stała się bardzo wątpła i gnębiło ją przecucie, że nie przeżyje swego ostatniego połogu. W tym stanie rzeczy napisała niżej przytoczony list, który — jak zaznaczyła na kopercie — miał być doręczony jej synom, kiedy Ernest będzie miał szesnaście lat. List dotarł do niego znacznie później, ponieważ Krystyna żyła, a dziecko zmarło. Znaleziono go ze złamaną pieczęcią wśród papierów, które nieustannie i troskliwie porządkowała. Wskazuje to na fakt, jak domyślam się z przykrością, że Krystyna go przeczytała i uznała, iż zbyt dobrze o niej świadczy, żeby go zniszczyć, jakkolwiek okazja, której ów dokument zawdzięczał swe istnienie, już dawno przestała być aktualna. Brzmiał on jak następuje:

Battersby, 15 marca 1841

Moi kochani chłopcy! Kiedy ten list dostanie się do Waszych rąk, spróbujcie przywołać w pamięci matkę, którą straciliście w dzieciństwie i którą pewnie już całkiem zapomnieliście. Ty, Erneście, masz już teraz pięć lat, więc będziesz pamiętała ją lepiej, bo tak dużo, dużo razy uczyła Cię pacierza i pieśni nabożnych, tyle razy odrabiała z Tobą rachunki i tyle różnych bajek Ci opowiadała, a może i dlatego, że wspomnienia naszych szczęśliwych niedzielnych wieczorów jeszcze nie zatarty się w Twojej pamięci. A Ty, Józiu, choć masz dopiero cztery latka, może zapamiętałeś sobie choć trochę z tego wszystkiego. Moi kochani, najdrożsi chłopcy — przez wzgląd na matkę, która tak bardzo Was kochała, oraz przez wzgląd na Wasze własne szczęście — oby Was nigdy przenigdy nie opuściło — rozważcie dobrze, zachowajcie w pamięci i czytajcie czasem słowa Waszej matki, które mogła „po raz ostatni do Was skierować. Kiedy myślę o tym, że muszę Was, moich najbliższych, opuścić na zawsze, dwie sprawy spędzają mi sen z oczu: pierwsza z nich — to ból Waszego ojca (bo Wam, najdrożsi, brakować mnie będzie tylko przez jakiś czas, ale niebawem zapomnicie o stracie), a druga — to niezakłócona i trwała pomyślność mych dzieci. W pierwszym przypadku zdaję sobie sprawę, jak długotrwały i głęboki będzie ból Waszego ojca, i wiem także, że wzrok jego zwróci się ku dzieciom, ponieważ będą jedynym źródłem jego doczesnej pociechy. Zdacie sobie sprawę (jestem pewna, że to nastąpi), że poświęcił dla Was swe życie, że uczył Was i pracował nad Wami, żeby skierować Was ku wszystkiemu, co sprawiedliwe i dobre. Ach, musicie niezachwianie wierzyć, że jesteście jego jedyną pociechą. Niechaj ma w Was dzieci posłuszne, kochające i gorliwe w spełnianiu jego życzeń, bądźcie prawi, ofiarni i obowiązkowi. Oby nigdy nie musiał rumienić się ze wstydu albo martwić z powodu grzechów lub lekkomyślności tych, którzy mają w stosunku do niego tak ogromny dług wdzięczności i których najwyższym obowiązkiem jest dbać o jego szczęście. Nosicie nazwisko, którego nie wolno Wam skalać, macie ojca i dziadka, których musicie okazać się godni. Wasze dobre imię i powodzenie w życiu zależy przede wszystkim od Was samych, ale ani dobre imię, ani powodzenie nic nie znaczą wobec tego, że tylko od Was samych zależy, czy będziecie szczęśliwi na wieki. Choć wiecie, jak należy postępować, czekają na Was z zewnątrz zasady i pokusy, a im bliżej jesteście wieku męskiego, tym bardziej będziecie na nie narażeni. Z pomocą Bożą, ze słowem Bożym i z pokorą w sercach zdołacie wszystkiemu stawić czoło, ale jeżeli zaniedbacie zabiegać o łaskę Bożą i nie będziecie postępować zgodnie ze słowem Bożym, jeżeli nauczycie się polegać na sobie lub kierować się radami i przykładem otoczenia, grozi Wam niechybny upadek. Ach, „niechaj tylko Bóg będzie prawdą, a człowiek kłamstwem". Bóg powiada nam, że „nie możecie służyć Bogu i mamonie". Powiada nam, że ciasna jest brama,

która wiedzie do żywota wiecznego. Wielu jest takich, którzy pragną ją poszerzyć. Tacy ludzie powiedzą Wam, że pobłażliwość dla siebie w takich lub innych okolicznościach jest błahym przewinieniem — że takie czy inne ustępstwo na rzecz tego świata jest nie tylko przebaczone, ale nawet konieczne. Tak postępować nie wolno. Bóg setki razy Wam o tym mówi — weźcie Biblię i sami sprawdźcie, czy owe rady są uczciwe, a jeżeli są fałszywe, „nie zatrzymujcie się pośrodku między dwoma stronami”. Jeśli Bóg jest Panem, idźcie za Nim. Bądźcie silni i odważni, a On nigdy Was nie opuści, ani nigdy Was się nie zaprze. Pamiętajcie, że nie ma w Biblii jednego prawa dla bogatych, a drugiego dla ubogich, jednego dla wykształconych, a drugiego dla nieuków. Wszyscy obowiązani są żyć dla Boga i dla swych bliźnich, a nie dla siebie. Wszyscy muszą nade wszystko iść śladem Królestwa Bożego i Bożej sprawiedliwości, muszą zaprzeć się siebie, muszą być czysti, nieskalani i miłosierni w najpełniejszym i najszerszym znaczeniu — wszyscy „muszą zapomnieć o tym, co zostawili za sobą”, wszyscy „muszą przeć naprzód do celu, którego najwyższą nagrodą jest Boże powołanie”.

Dwie sprawy pragnę jeszcze poruszyć, dochowajcie sobie braterskiej wiary przez całe Wasze życie, kochajcie się, jak na braci przystało, niech brat dla brata będzie źródłem siły, rady i otuchy i niechaj Wasz wróg czuje, że ma Was obu przeciwko sobie, bo jesteście przyjaciółmi, którzy wytrwają przy sobie do ostatka. Bądźcie dobrzy i opiekujcie się Waszą małą siostrą. Pozbawiona matki i sióstr tym bardziej będzie potrzebowała braterskiej miłości, czułości i zaufania braci. Jestem przekonana, że tego będzie od Was oczekiwać, że będzie Was kochać i dbać, żeby Wam było dobrze na świecie. Nie zawiedźcie jej nadziei i pamiętajcie, że gdyby straciła ojca i nie wyszła za mąż, tym bardziej potrzebować będzie opieki. Waszej szczególnej opiece ją polecam. Ach, moje najdroższe dzieci, wszyscy troje, dochowajcie wiary sobie wzajem, Waszemu ojcu, Waszemu Bogu. Niech Was prowadzi, niech Wam błogosławi i niech sprawi, żebym w lepszym i szczęśliwszym świecie mogła znowu zobaczyć mych najbliższych.

Kochająca Was matka

Krysfyna *Pontiex*

Na podstawie własnych badań przekonałem się, że większość matek pisze takie listy tuż przed pościelą i że połowa z nich te listy skrzętnie przechowuje, czego przykładem była Krystyna.

ROZDZIAŁ XXVI

Wyżej przytoczony list dowodzi, że Krystynie o wiele bardziej zależało na wiecznej niż na doczesnej pomyślności jej synów. Można było spodziewać się, że w owym czasie zdążyła już wyszumieć się ze swych religijnych wzlotów, lecz, jak widać z jej listu, miała ich w zapasie jeszcze całe mnóstwo. Mnie osobiście wydaje się, że ludzie, którzy osiągnęli szczęście na ziemi, są lepsi i miłsi od ludzi nieszczęśliwych, i według wszelkiego prawdopodobieństwa, jeżeli kiedyś dojdzie do zmartwychwstania i sądu ostatecznego, w pierwszym rzędzie ludzie szczęśliwi zostaną uznani za godnych lokatorów niebiańskich rezydencji. Nie jest wykluczone, że Krystyna miała mgliste i podświadome przeczucie tej prawdy, i dlatego tak gorąco pragnęła zapewnić Teobaldowi doczesną pomyślność, ale kto wie, może była tak święcie przekonana, że jego powodzenie na tamtym świecie jest sprawą z góry przesądzoną, iż nie pozostawało nic innego do zrobienia, jak zabezpieczyć mu również pomyślność doczesną. On miał „mieć synów posłusznych, kochających, gorliwych w spełnianiu jego życzeń, prawych, ofiarnych i obowiązkowych” — oto zaiste różaniec cnót najbardziej dogadzających gustom rodziców. Oby nigdy nie musiał się rumienić ze wstydu z powodu lekkomyślności tych, „którzy mają w stosunku do niego tak wielki dług wdzięczności!” Ileż w tym było prawdziwej, matczynej troskliwości! Troskliwości w pierwszym rzędzie o to, żeby dzieci przypadkiem nie zechciały mieć własnych życzeń i własnych uczuć, ponieważ mogłoby to doprowadzić do wielu urojonych lub rzeczywistych komplikacji. W tym tkwi sedno sprawy; bez względu jednak na to, czy ten wniosek uznamy za prawdziwy, czy za fałszywy, mamy możność stwierdzić, że Krystyna dostatecznie przenikliwie oceniała obowiązki dzieci względem rodziców, a przeczuwając, że wywiązanie się z tego zadania z wynikiem dostatecznym będzie bardzo trudne, trapiła się poważnie, czy

Ernest i; Józio zdołają im podołać. Widać z jej listu jak na dłoni, że kiedy spoglądała na swe dzieci, rzekomo po raz ostatni, wzrok jej był pełen podejrzeń. Teobald był poza nawiasem wszelkich podejrzeń — że powinien poświęcić życie dla swych dzieci, to było tak płaskim banałem, że nie trzeba było o tym mówić.

Czy to było możliwe — pozwólcie, że postawię to pytanie — by dziecko, które zaledwie skończyło pięć lat, wychowane w atmosferze pacierza, pieśni nabożnych, rachunków i szczęśliwych wieczorów niedzielnych, nie mówiąc już o codziennych batach z powodu wspomnianych modlitw, które autorka listu dyskretnie przemilczała — czy było możliwe, żeby chłopiec, urabiany na taką modłę, mógł rozwijać się zdrowo i krzepko, nawet jeżeli zgodzimy się, że matka na swój sposób bardzo go kochała i czasem opowiadała mu bajki? Nie wątpię, że wszyscy czytelnicy zdołali dostrzec, iż gniew Boży zbiera się i spadnie wkrótce na głowę nieszczęśnika, którego skazano na dojrzewanie w cieniu takiego listu, jaki wyżej przytoczyłem.

Często myślałem sobie, że Kościół katolicki postępuje bardzo mądrze nie pozwalając duchownym na małżeństwo. Istotnie, w Anglii obserwuje się na porządku dziennym, że synowie duchownych są bardzo często niewydarzeni. Wyjaśnienie tego jest całkiem proste, ale tak często traci się je z oczu, więc proszę z góry o przebaczenie, że raz jeszcze je powtórzę.

Po księdzu oczekuje się, że będzie czymś w rodzaju „niedzieli” wśród powszednich ludzi. Nie przystoi mu wiele z tego, co jest dopuszczalne powszedniej klasie ludzi. Płaci mu się za to, że żyje według bardziej surowych zasad od innych ludzi. To jego *raison*

d'etre. Jeżeli jego parafianie są przekonani, że rzeczywiście spełnia to zadanie, znajduje wśród nich uznanie, ponieważ uważają jego osobę za swój osobisty wkład w *coś, co*, jak mgliście

sobie wyobrażają, jest świętością. Duchownego dlatego tak często nazywa się „wikariuszem” — jest on bowiem osobą, której dobroć jest przekazana i ma zastąpić dobroć tych, których powierzono jego pieczy. Rzecz prosta, jest panem swego domu w takim samym stopniu, w jakim jest nim każdy zwyczajny Anglik, i tak samo, jak każdy człowiek, po nienormalnym napięciu w życiu publicznym, popada w stan wyczerpania z chwilą, kiedy napięcie staje się zbędne. Jego dzieci są najbardziej bezbronnymi istotami spośród istot znajdujących się w jego bezpośrednim zasięgu i w dziewięciu na dziesięć przypadków na nich wyładowuje swą wzburzoną duszę.

Co więcej, duchowny nigdy nie może sobie pozwolić na spojrzenie faktom prosto w twarz. Z istoty jego zawodu wynika, że musi popierać tylko jedną stronę, a zatem nigdy nie może bezstronnie ocenić strony przeciwnej.

Zapominamy, że każdy kapłan, który żyje z parafii lub wikariatu, jest płatnym adwokatem i podobnie jak obrońca sądowy usiłuje przekonać przysięgłych o niewinności podsądnego. Słuchając jego słów musimy tak samo zawiesić wydanie wyroku, tak samo rozważyć wszystkie argumenty pełnomocnika strony przeciwnej, jak czyni to sędzia, który ma wydać wyrok w jakiejś sprawie. Dopóki nie znamy tych argumentów i dopóki nie potrafimy ich sami wysłowić w taki sposób, który nasi przeciwnicy uznają za właściwe ujęcie ich poglądów, dopóty nie mamy żadnego prawa twierdzić, że w ogóle posiadamy jakiegokolwiek własne zdanie o danej sprawie. Nieszczęście polega na tym, że prawo naszego kraju udziela głosu tylko jednej stronie.

Teobald i Krystyna nie stanowili wyjątku od reguły. Kiedy przybyli do Battersby, pragnęli gorąco spełnić co do joty wszystkie obowiązki związane z ich społeczną pozycją i poświęcić się czci i chwale bożej. Ale do obowiązków Teobalda należało widzieć cześć i chwałę bożą oczami Kościoła, który w ciągu trzystu lat swego istnienia nie dostrzegł żadnej racji do najmniejszej zmiany swych zapatrywań.

Śmiem wątpić, czy Teobald kiedykolwiek posunął się aż tak daleko, by zwątpić w mądrość swego Kościoła choćby w jednej jedynej kwestii. Jego węch był dostatecznie wrażliwy na wszelkie, nawet potencjonalne zło moralne. Krystyna też miała węch wyczulony i jest całkiem prawdopodobne, że gdyby którekolwiek z nich wpadło na pierwszy, jeszcze wąty ślad niedowiarstwa u siebie, zostałyby ono stłumione w zarodku równie stanowczo jak pierwsze objawy uporu u Ernesta, i wyobrażam sobie, że z większym powodzeniem. W każdym razie Teobald uważał siebie i był powszechnie uważany za człowieka o wyjątkowo prawym charakterze — i być może tak było. Ogół uznawał go za wcielenie tych cnót, dzięki którym ubodzy stają się godni szacunku, a bogaci są szanowani. Po upływie jakiegoś czasu zarówno on sam, jak i Krystyna nabrali świętego przekonania, nawet nie zdając sobie z tego sprawy, że każdy człowiek już za samą możliwość mieszkania z nimi pod jednym dachem powinien im być głęboko wdzięczny. Ich dzieci, ich służba, ich parafianie powinni czuć się szczęśliwi *ipso facto*, że są — „ich”. Nie ma innej drogi do szczęścia doczesnego i wiecznego jak ta, którą oni kroczą, nikt nie może być porządnym człowiekiem, jeżeli jego poglądy w jakiegokolwiek dziedzinie nie pokrywają się z ich poglądami, a ten, kto żąda zapłaty, która jest niewygodna dla Teobalda i Krystyny, grzeszy przeciwko zdrowemu rozsądkowi.

Tak oto doszło do tego, że ich dzieci były blade i wąte. Chorowały z tęsknoty za domem. Głodowały, ponieważ przekarmiano je niestrawnym pokarmem. Przyroda surowo obeszała się z dziećmi, ale oszczędziła Teobalda i Krystynę. Z jakiego powodu miała obejść się z nimi inaczej? Oni nie głodowali. Ludzie na tym świecie dzielą się na dwie klasy: tych, którzy grzeszą, i tych, przeciwko którym się grzeszy. Jeśli człowiek musi należeć do jednej z nich, lepiej jest należeć do pierwszej niż do drugiej.

ROZDZIAŁ XXVII

Nie będę podawał więcej szczegółów z lat dziecinnych mego bohatera. Niech czytelnikom wystarczy, że mozolnie torował sobie drogę z roku na rok i w wieku dwunastu lat umiał na pamięć podręczniki gramatyki łacińskiej i greckiej od pierwszej do ostatniej strony. Przeczytał większość tego, co napisali Wergiliusz, Horacy oraz Liwiusz, i nie mam pojęcia ile greckich dramatów, był biegły w matematyce, znał na wylot pierwsze cztery księgi Euklidesa i umiał nieźle po francusku. Nadszedł czas, żeby poszedł do szkoły, wobec czego miał do niej pójść, a była to szkoła pod kierownictwem sławnego luminarza dra Skinnera z Roughborough.

Teobald zawarł z drem Skinnerem luźną znajomość w Cambridge. Na każdym stanowisku, od swych lat chłopięcych, dr Skinner płonął i mienił się wielkimi przymiotami. Był to w całym tego słowa znaczeniu człowiek genialny. Wszyscy o tym wiedzieli, a utrzymywano również, że należy do tych nielicznych ludzi, do których słowo „geniusz” pasuje jak ulał. Czy nie uzyskał Bóg raczy wiedzieć ile stypendiów już na pierwszym roku studiów? Czyż nie zdobył najwyższych honorów uniwersyteckich w naukach ścisłych, Medalu Rektora i innych zaszczytów, których wyliczyć nie zdołam? Co więcej, był zdumiewającym mówcą. W Zjednoczonym Klubie Dyskusyjnym nie miał równego sobie rywala i — rzecz prosta — był jego prezesem. Jego charakter pod względem moralnym — słaba strona tylu geniuszów — był nieskazitelny. A jednak wszystkie jego liczne i wielkie przymioty razem wzięte, ba, nawet sama jego genialność, ustępowały w cień wobec owej cechy jego psychiki, którą biografowie dra Skinnera nazwali „prostodusznym i niemal dziecinnym zapałem”, a ów zapal można było dostrzec w dostojeństwie, z jakim mówił nawet o błahostkach. Nie potrzeba chyba dodawać, że w polityce trzymał z liberałami.

Z postaci nie był specjalnie ujmujący. Był średniego wzrostu, zażywny, o świdrujących szarych oczach, które ciskały błyskawice spod nawisu wielkich krzaczastych brwi, przejmując grozą każdego, kto stanął przed jego obliczem. A jednak właśnie w zewnętrznym wyglądzie, o ile w ogóle można poważnie mówić o jakimś defekcie jego osobowości, leżała słaba strona dra Skinnera. Za swych młodych lat był rudy, lecz zapalenie mózgu, na które zapadł po ukończeniu studiów, zmusiło go do ogolenia głowy. Kiedy powrócił do normalnego życia, zaczął nosić perukę, która okazała się znacznie mniej ruda od jego własnych włosów. Nie tylko nigdy nie przestał jej nosić, ale z roku na rok stawała się stopniowo coraz mniej ruda, a kiedy doszedł do czterdziestki, nie pozostało śladu po rudym kolorze i peruka nabrała barwy orzechowej.

Dr Skinner był jeszcze bardzo młodym człowiekiem, miał wówczas niewiele więcej ponad dwadzieścia pięć lat, kiedy opróżniło się stanowisko dyrektora szkoły klasycznej w Roughborough, na które z miejsca został powołany. Wyniki potwierdziły słuszność tego wyboru. Wychowankowie dra Skinnera wybijali się ponad normalny poziom na każdym uniwersytecie. Dr Skinner ukształtował ich umysły według szablonu swego własnego umysłu i nazaczył piętnem, którego w latach późniejszych nie dało się zatrzeć. Każdy, kto wyszedł z Roughborough, kimkolwiek później został, na pewno dał się poznać jako bogobojny, gorliwy chrześcijanin i wyznawca liberalnych, jeżeli nawet nie radykalnych poglądów politycznych. Oczywiście byli i tacy chłopcy, którzy nie potrafili ocenić piękna i wzniosłości charakteru dra Skinnera. Tacy chłopcy zdarzają się niestety w każdej szkole, dla nich dr Skinner miał całkiem słusznie ciężką rękę. Jego ręka była przeciwko nim, a ich ręka przeciwko niemu przez cały czas ich wzajemnego kontaktu. Nie dość, że go nie lubili, nienawidzili wszystkiego, co stanowiło istotę jego charakteru, i przez całe życie czuli głęboką odrazę do każdej rzeczy, która im

przypominała dra Skinnera. Tacy chłopcy stanowili jednak mniejszość, albowiem „duch miejsca” był Skinnerowski.

Pewnego razu dostąpiłem zaszczytu zagrania partii szachów z tym wielkim człowiekiem. Było to w okresie ferii Bożego Narodzenia, a pojechałem do Roughborough na kilka dni, żeby zobaczyć się z Aleteą Pontifex (w owym czasie tam mieszkała), do której miałem interes. Fakt, że zwrócił na mnie uwagę, był wielką uprzejmością z jego strony, bo jeżeli byłem jakąś gwiazdą literacką, to w każdym razie najmizerniejszej wielkości.

To prawda, że w przerwach, kiedy nie zajmowałem się interesami, pisałem bardzo dużo, poświęcając się niemal wyłącznie twórczości scenicznej, przeznaczonej dla tych teatrów, które hołdowały fantastyce i burlesce. Napisałem sporo utworów tego gatunku, pełnych dwuznaczników i żartobliwych piosenek, a najlepszą z moich sztuk teatralnych była moja bardzo osobista przeróbka pewnego fragmentu historii Anglii z okresu Reformacji, w której wprowadziłem na scenę Cranmera, Tomasza More'a, Henryka VIII, Katarzynę Aragońską, Tomasza Cromwella (za młodych jego lat znanego lepiej pod przydomkiem „Malleus Monachorum”) i wkomponowałem w akcję rozpasany taniec murzyński, który te osobistości odtńczyły. Udramatyzowałem *Pilgrim's Progress* w formie pantomimy na Boże Narodzenie i zrobiłem ważną scenę z Targowiska Próżności, w której głównymi postaciami byli Greatheart, Appollyon, Christiana, Mercy i Hopeful. Orkiestra grała wyjątki z najbardziej znanych utworów Haendla, jednak w rytmie znacznie zmienionym, a zresztą w ogóle nie bardzo trzymała się melodii, które przekazał nam Haendel. Greatheart był bardzo tęgi i miał czerwony nos. Ubrany był w luźny surdut i koszulę z potężnym żabotem zwisającym przez środek gorsu. Hopeful był takim łobuzem, na jakiego stać było moje pióro, ubrany był tak, jak w owej epoce ubierała się złota młodzież, a w ustach miał cygaro, które nieustannie mu gasło.

Strój Christiany był dość skąpy. W samej rzeczy utrzymywano, że kostium według pierwszego projektu inscenizatora byłby uznany za niedostateczny nawet przez lorda szambelana, ale nie o to idzie. Rzecz całkiem naturalna, że z tyloma nieczystymi sprawkami na sumieniu czułem się wielkim grzesznikiem, kiedy grałem partię szachów (których nie cierpię) z wielkim drem Skinnerem, historykiem Aten i wydawcą Demostenesa. W dodatku dr Skinner należał do kategorii ludzi, którzy chlubią się, że potrafią z punktu stworzyć nastrój, w którym każdy człowiek czuje się całkiem swobodnie, a ja przez cały wieczór siedziałem na samym brzeżku krzesła. Było to jednak normalne, bo w obliczu każdego dyrektora szkoły tracę pewność siebie.

Partia trwała długo i o wpół do dziesiątej, kiedy podano kolację, posiadaliśmy obaj jeszcze po kilka figur.

Niebieskiego. Podczas swej pielgrzymki trafia do miasta Va-nity (Próżność), gdzie Belzebub przy pomocy Apollyona urządził jarmark występków. Tam towarzysz Christiana, Wierny, zostaje spalony. Greatheart — Wielkoduszny, Mercy — Miłosierny i Hopeful — Ufny są postaciami z tej powieści. Christiana jest żoną bohatera. Dowcip autora polega na zrobieniu z tej ponurej sceny wesołej pantomimy.

— Co mój doktor zechce zjeść dziś na kolację? — zapytała pani Skinner srebrzystym głosem. Przez jakiś czas nie udzielał żadnej odpowiedzi, aż wreszcie tonem prawie nadludzko uroczystym rzekł:

— Nic — a potem: — Absolutnie nic.

Niebawem jednak ogarnęło mnie uczucie, że bliższy jestem chwili, w której wypełnią się dni wszystkich rzeczy, niż byłem kiedykolwiek w życiu. Zdawać by się mogło, że w pokoju pociemniało, bo oblicze dra Skinnera przybrało wyraz, który wskazywał, że zaraz zacznie mówić. Wyraz twarzy dra Skinnera stawał się coraz bardziej niezłomny, a w pokoju robiło się coraz ciemniej i ciemniej.

— Czekaj — dodał po długiej chwili, a ja poczułem, że nareszcie nastąpi kres niepewności, która z błyskawiczną szybkością stawała się coraz bardziej nie do zniesienia. — Czekaj, może wypiję szklanek zimnej wody i zjem kromeczkę chleba z masłem.

Kiedy wymawiał słowo „masło”, jego głos opadł do ledwo słyszalnego szeptu. Potem nastąpiło westchnienie jak gdyby ulgi, co oznaczało koniec sentencji, i tym razem ludzkość zdołała uniknąć ostatecznej katastrofy.

Jeszcze dziesięć minut solennego milczenia i partia dobiegła końca. Doktor powstał rażno z krzesła i usadowił się przy stole, na którym oczekiwała nas kolacja.

— Pani doktorowo — zawołał wesoło — cóż to za tajemnicze przedmioty spoczywają wśród ziemniaków?

— To są ostrygi, doktorze.

— Daj mi kilka i daj kilka naszemu gościowi.

I tak się to powtarzało, aż zjadł czubaty talerz ostryg, dobrze przyrumieniony eskalop cielecy, porcję ciasta z jabłkami i pajdę chleba z serem. Była to owa kromeczka chleba z masłem.

Potem zdjęto obrus, a na stole pojawiły się kielichy, w których sterczały łyżeczki, kilka cytryn i dzbanek wrzątku. Wtedy wielki człowiek rozprostował się. Twarz miał promienną.

— Czego się napijemy? — wykrzyknął tonem zachęty — koniaku z wodą? Nie! Dżinu z wodą. Dżin jest zdrowszym napojem.

A więc był dżin gorący i mocny.

Czy można mu się dziwić, albo inaczej, czy można mu nie współczuć? Czy dr Skinner nie był dyrektorem szkoły w Roughborough? Czy był kiedykolwiek czymś dłużnikiem? Czy zabrał komu wołu albo osła albo czy oszukał kogoś kiedykolwiek? Czy było słyhać choćby szmer powątpiewania o jego nieskazitelnym charakterze? Stał się człowiekiem bogatym, ale do majątku doszedł najszlachetniejszą ze szlachetnych dróg — drogą swych osiągnięć literackich. Napisał wiele pomnikowych dzieł naukowych, ale jeszcze wyżej wzbily się jego *Rozmyślenia nad listem i osobowością św. Judy*, które zapewniły mu miejsce wśród zastępu najbardziej popularnych teologów angielskich. Było to dzieło tak wyczerpujące, że ktokolwiek je nabył, nie potrzebował już nigdy więcej w życiu rozmyślać na ten temat, bo rzeczywiście wyczerpywało wszystkich, którzy mieli z nim jakikolwiek kontakt. Na tym dziele zarobił pięć tysięcy funtów, a zanim umrze, zarobi na nim prawdopodobnie drugie tyle. Człowiek, który dokonał tak wielkich rzeczy i chce zjeść kromkę chleba z masłem, ma chyba prawo uświetnić ogłoszenie tego faktu pewną pompą i ceremoniałem. Co więcej, wspomnianych słów nie należy brać dosłownie, lecz trzeba szukać w nich tego, co dr Skinner zwykł nazywać „głębokim i ukrytym znaczeniem”. Tych, którzy zadadzą sobie trud szukania tego znaczenia w najbliższych powiedzeniach dra Skinnera, nie ominie nagroda. Ich poszukiwania zostaną uwieńczone odkryciem, że „chleb z masłem” znaczy po Skinnerowsku „vol-au-vent - z ostrygami” i ciasto z jabłkiem, a woda w dosłownym tłumaczeniu znaczy „dżin na gorąco”.

Dziela dra Skinnera posiadały nie tylko wartość materialną; dzięki nim zapewnił sobie trwałe miejsce w literaturze. Prawdopodobnie (Gallion również wyobrażał sobie, że fundamentem jego sławy staną się jego traktaty przyrodnicze, o których dowiadujemy się z Seneki, że były kompilacją, i które, być może, zawierały całkowitą teorię ewolucji; ale wszystkie traktaty przepadły, a Gallion zawdzięcza swą nieśmiertelność powodom, których najmniej się spodziewał i które z całą pewnością najmniej pochlebilyby jego próżności. Stał się nieśmiertelny, bo zgoła nic go nie obchodził najpotężniejszy nurt, z jakim kiedykolwiek miał okazję się zetknąć (chciałbym, żeby ludzie, którzy poszukują dróg do nieśmiertelności, wzięli sobie tę lekcję do serca i przestali robić tyle hałasu z powodu ważnych nurtów); i tak samo, jeżeli dr Skinner będzie

nieśmiertelny, nastąpi to prawdopodobnie nie z tych powodów, które tak czule pieścił w swej wyobraźni.

Czy można się spodziewać, żeby w głowie takiego człowieka jak dr Skinner powstała myśl, że w istocie rzeczy ciągnie zyski z deprawowania młodzieży; że płaci mu się za to, żeby zawodowo z czarnego robił białe na oczach tych, którzy są zbyt młodzi i zbyt niedoświadczeni, żeby złapać go na oszustwie; że ukrywa przed wzrokiem młodzieży — dla której, jak sam głosił, miał być nauczycielem — decydujące przesłanki rozumowania, na które miała prawo w dobrej wierze liczyć, ponieważ tak nakazywała godność osobista każdego człowieka, który rozpowiadał o swej uczciwości; że jest narwańcem, na poły bufonem, na poły głupcem, którego ziemista twarz wątrobiarza oraz gęgająco-gulgoczący głos mógł przestraszyć bojaźliwego, ale który co prędzej wzięłby nogi za pas, gdyby spotkał się ze stanowczym oporem; że jego *Rozmyślenia nad św. Judą* od a do z były zwykłym plagiatem i szkoda byłoby czasu na okazanie im pogardy, gdyby nie fakt, że wielu ludzi naprawdę wierzyło, iż je uczciwie napisał. Pani Skinner potrafiłaby zapewne zmniejszyć go do właściwych wymiarów, gdyby uważała, że warto podjąć taką próbę, ale miała dość zajęcia przy gospodarstwie domowym i doglądaniu, żeby jej wychowankowie dobrze zjedli, a kiedy byli chorzy, żeby im niczego nie brakowało, z czego wywiązywała się zawsze z wielką starannością.

ROZDZIAŁ XXVIII

Do uszu Ernesta dochodziły ponure wieści o okropnym usposobieniu dra Skinnera i udrękach, które młodszy chłopcy cierpią ze strony starszych kolegów. Był niemal u kresu sił i czuł, że czekają go bardzo ciężkie chwile, jeżeli jego brzemię z jakiegokolwiek powodu stanie się jeszcze cięższe. Przy pożegnaniu z domem nie płakał, ale rozplakał się, kiedy mu powiedziano, że Roughborough jest już niedaleko. Razem z nim jechali ojciec i matka; z domu wyjechano własną bryczką, bo Roughborough nie miało jeszcze kolei, a było odległe od Battersby zaledwie o jakieś czterdzieści mil, więc był to najmniej uciążliwy sposób dostania się do tej miejscowości.

Matka widząc, że rozplakał się, domyśliła się komplementu pod własnym adresem i obsypała go pieszczotami. Powiedziała mu, że doskonale zdaje sobie sprawę, jak strasznie musi mu być smutno, że opuszcza tak szczęśliwy dom rodzinny i idzie między ludzi, którzy wprawdzie będą dla niego dobrzy, ale nigdy, przenigdy nie zdołają być tak dobrzy jak jego tatuś i mamusia; że w końcu ona sama, co powinien zrozumieć, jest jeszcze bardziej godna pożałowania, bo jej daleko ciężiej jest się z nim rozstawać niż jemu itd., a Ernest, kiedy usłyszał, że powodem jego łez miał być żal za domem, przyjął to wszystko w dobrej wierze i oszczędził sobie trudu dociekania prawdziwej przyczyny swego płaczu. Zanim dojechali do Roughborough, zebrał się w sobie i w momencie, kiedy znaleźli się przed domem dra Skinnera, był już jako tako spokojny.

Po przybyciu na miejsce zjedli obiad z doktorem i jego żoną, a potem pani Skinner oprowadziła Krystynę po sypialniach i pokazała jej, gdzie będzie sypiał jej ukochany synek.

Nie wchodząc w zagadnienie, jak mężczyźni zapatrują się na wartość naukowej analizy innych mężczyzn, można przyjąć z całą pewnością, że zdaniem kobiet, zajęciem, które przynosi najwięcej chluby rodzajowi niewieściemu, jest studiowanie drugiej kobiety, a więc Krystyna była zbyt pochłonięta panią Skinner, by poświęcać wiele uwagi czemukolwiek innemu. Śmiem twierdzić, że także pani Skinner oszacowała Krystynę dość dokładnie. Krystyna była oczarowana nową znajomą, co było u niej zjawiskiem całkiem normalnym, ponieważ uważała (w czym powinniśmy ją naśladować), że zawieranie znajomości daje efekty w pewnym sensie bardzo podobne do tych, które osiąga się przez krzyżowanie. Pani Skinner, jak sobie wyobrażam, widziała w życiu tak dużo Krystyn, że kontakt z tym egzemplarzem nie stwarzał specjalnie atrakcyjnych warunków do regeneracji jej osobowości. Wydaje mi się, że jej zdanie ściśle pokrywało się z opinią pewnego dyrektora szkoły, który ogłosił, że wszyscy rodzice są głupi, ale matki to wyjątkowe idiotki. Tak czy owak, rozplątywała się w uśmiechach i duserach, a Krystyna pochłaniała je łaskawie w przekonaniu, że są szczególnym wyróżnieniem jej osoby, na które prawdopodobnie żadna inna matka nie zdołałaby zasłużyć.

Tymczasem Teobald i Ernest siedzieli razem z drem Skinnerem w bibliotece, to jest w tym pokoju, w którym nowo przybyli chłopcy składali egzamin, a starsi przychodzili po naganę lub karę. Gdyby ściany tego pokoju mogły przemówić, wydałyby świadectwo o bezmiarze bezsensownego i chimerycznego okrucieństwa, którego przez tyle lat musiały być niemymi świadkami!

Dom dra Skinnera, jak każdy dom, posiadał swoisty zapach. W tym przypadku górował zapach juchtu, któremu była podporządkowana woń apteki. Pochodziła ona z małego laboratorium zajmującego kąt pokoju, które przez sam fakt swego istnienia, w połączeniu z częstym, nie w porę i bez sensu wplataniem do rozmowy takich słów, jak węglan, podsiarczan, fosforan i powinowactwo, stanowiło nawet dla sceptyka dostateczny dowód gruntownej wiedzy

dra Skinnera w dziedzinie chemii.

Na marginesie dodam, że dr Skinner liźnął po trochu nie tylko chemii, ale bardzo wielu najróżnorodniejszych przedmiotów. Był to człowiek, który posiadał mnóstwo błahych wiadomości, a każda z nich była niebezpieczna. Pamiętam, jak pewnego razu Aletea Pontifex z właściwą sobie zjadliwą ironią wyraziła się o drze Skinnerze, że przypomina jej Burbonów po ich powrocie z wygnania po bitwie pod Waterloo, z tym jednak, że on stanowi ich krańcowe przeciwieństwo, ponieważ oni ani niczego się nie nauczyli, ani niczego nie zapomnieli, natomiast on wszystkiego się nauczył i wszystko zapomniał. A to przywodzi mi na myśl jeszcze jedną z jej zjadliwych opinii o drze Skinnerze. Powiedziała mi pewnego dnia, że jest tak nieszkodliwy jak zmija i tak mądry jak gołąb.

Ale wróćmy do biblioteki; nad kominkiem wisiał średniej wielkości portret dra Skinnera pędzla starszego Pickersgilla, a warto zaznaczyć, że dr Skinner jeden z pierwszych poznał się na jego talencie i udzielił mu swego poparcia. W bibliotece wisiał tylko ten jeden obraz, natomiast w jadalni znajdowała się świetna kolekcja, którą doktor zgromadził z właściwym sobie smakiem wybornego znawcy. W latach późniejszych wzbogacił ją znacznie i kiedy nie tak dawno temu znalazła się na licytacji u Christiego, stwierdzono, że zawiera wiele najnowszych i najbardziej dojrzałych płócien Salomona Harta, O'Neila, Karola Landseera i tylu współczesnych akademików, że nie potrafię podać ich nazwisk z pamięci. Zebrano tam wtedy i wystawiono obok siebie wiele dzieł, które kiedyś budziły ogólne zainteresowanie na wystawach Akademii Królewskiej, a teraz budzą trochę ciekawości, co z nimi dalej się stanie. Osiągnięto ceny, które rozczarowały wykonawców testamentu, ale ostatecznie w tych sprawach bardzo dużo zależy od przypadku. Jakiś niesumienny publicysta obsmarował kolekcję w popularnym tygodniku. Co więcej, tuż przed sprzedażą zbiorów dra Skinnera odbyły się dwie duże licytacje, a więc nastrój był dość płochliwy i czuło się wyraźny opór przeciwko wysokim cenom, które ostatnio panowały na rynku.

Na bibliotecznym stole piętrzyła się góra książek. Między nimi tkwiły bezładnie powtykane manuskrypty, prawdopodobnie zadania chłopców i papiery egzaminacyjne, a wszystko w największym nieładzie. Niechlujstwo w połączeniu z atmosferą erudycji, które niepodzielnie panowały w tym pokoju, wywoływały nastrój głębokiej depresji. Teobald i Ernest zaraz za progiem potknęli się o wielką dziurę w dywanie, a kurz, który powstał z tego powodu, dowodził, że dużo wody upłynęło od czasu, kiedy ostatni raz trzepano go na powietrzu. Uważam za swój obowiązek wyjaśnić, że pani Skinner nie ponosiła za ten stan rzeczy żadnej odpowiedzialności, gdyż sprawcą tego wszystkiego był sam pan Skinner, który zapowiedział solennie, że nie wolno pod żadnym pozorem ruszać jego papierów, i ostrzegł, że najmniejsze wykroczenie przeciwko temu zakazowi natychmiast przypłaci życiem. Tuż przy oknie stała zielona klatka z turkawkami, których żalosne gruchanie pogłębiało nastrój melancholii. Ściany były zasłonięte półkami od podłogi do sufitu, a na każdej półce stały książki

W dwóch rzędach. To było okropne. Najwidoczniejsze wśród najwidoczniejszych na najwidoczniejszej półce stały wspianiale oprawne tomy z napisem na grzbiecie: Skinner — *Dziela*.

Chłopcy odznaczają się na ogół niepoprawną skłonnością do zbyt pośpiesznego wyciągania ostatecznych wniosków, więc Ernest święcie uwierzył, że dr Skinner przeczytał wszystkie książki; zgromadzone w jego potwornej bibliotece, i wyobrażał sobie, że będzie musiał nauczyć się ich na pamięć, jeżeli chce. wyjść na ludzi. Serce zamarło mu w piersi.

Kazano mu siedzieć na krześle pod ścianą, więc siedział, a tymczasem dr Skinner przemawiał do Teobalda na temat wydarzeń dnia. Przemawiał o sporze w sprawie Hampdena, który wówczas rozgorzał, rozprawiał uczenie na temat Praemunire. Potem mówił o rewolucji,

która właśnie wybuchła na Sycylii, i radował się, że papież nie zgodził się na przemarsz obcych wojsk przez papieskie posiadłości dla stłumienia buntu. Dr Skinner i inni nauczyciele prenumerowali wspólnie „Timesa”, a nasz doktor słowo w słowo recytował wstępne artykuły tego dziennika.

W tamtych czasach nie było jeszcze tanich gazet, więc Teobald prenumerował tylko „Spectatora”, ponieważ wtedy popierał politykę wigów. Oprócz tego raz w miesiącu dostawał „Gazetę Kościelną”, ale żadnych innych gazet nie widywał na oczy, był zatem zdumiony, jak łatwo i płynnie dr Skinner przenosił się z tematu na temat.

Od stanowiska, papieża w sprawie rewolucji sycylijskiej dr Skinner przeszedł oczywiście do reform, które jego świątobliwość wprowadził w swych posiadłościach, i zaśmiewał się z żarciku wydrukowanego w jednym z ostatnich numerów „Punchu”, że obecny papież powinien nazywać się Pio „Yes-Yes”, a nie Pio „No-No”, ponieważ, jak doktor wyjaśnił Teobaldowi, godzi się na wszystko, o co proszą go poddani. Wszystko, co przypominało kalambur, znajdowało natychmiast otwartą drogę do serca pana Skinnera.

Potem zajął się zagadnieniem samych reform. Zapoczątkowały one nową erę w historii chrześcijaństwa i będą posiadały tak doniosłe i tak daleko idące konsekwencje, że — uwaga! — mogą nawet doprowadzić do pojednania między Kościołem anglikańskim i Kościołem katolickim. Doktor Skinner ogłosił niedawno na ten temat rozprawę, w której zabłysnął znakomitą wiedzą, i zaatakował Kościół katolicki tak celnie, że nadzieja na pojednanie stała się bardzo nikła. Natarcie skierował na litery A. M. D. G., które zobaczył na zewnętrznej ścianie katolickiej kaplicy, a które znaczyły *Ad Mariam Dei Genetricem*. Czy można znaleźć przykład bardziej oburzającego bałwochwalstwa?

Ale a propos — zwrócono mi uwagę, że moja pamięć musiała spłatać mi figła, co rzeczywiście często mi się zdarza, i chyba pomyliłem się twierdząc, że do-ktor dostrzegł w *Ad Mariam Dei Genetricem* doskonałe akordy, które — jeżeli wolno tak się wyrazić — można zbudować na basie A.D.M.G., ponieważ jest to zła łacina i doktor na pewno dopełnił te inicjały akordami: *Ave Maria Dei Genetrix*. W materii łacińskiej składni i stylu dr Skinner miał na pewno rację, a mnie wywietrzała z głowy nawet ta odrobina łaciny, którą kiedyś posiadałem, i dlatego nie mam zamiaru kruszyć kopii w tej sprawie, ale mimo wszystko odnoszę wrażenie, że doktor powiedział *Ad Mariam Dei Genetricem*, a jeżeli tak było, to możemy być pewni, że jest to dostatecznie poprawna łacina, przynajmniej dla celów kanonicznych.

W owym czasie miejscowy ksiądz nie udzielił jeszcze odpowiedzi na wspomniany pamflet, więc dr Skinner triumfował, ale kiedy później odpowiedź ukazała się w druku, w której kapłan uroczyście zapewnił, że w literach A.M.D.G. nie ma żadnej niebezpiecznej intencji, ponieważ w istocie rzeczy znaczą one *Ad Majorem Dei Gloriam*, powszechnie uznano, że jakkolwiek żaden inteligentny Anglik nie da się nabrać na tak oczywisty wybieg — źle się stało, iż dr Skinner wybrał to miejsce dla swej szarży, bo pozwolił nieprzyjacielowi zostać panem placu boju. A jeżeli ktoś zostaje panem placu boju, widzowie zawsze skłonni są do żenującego domniemania, jakoby jego przeciwnik bał się stawić do decydującej rozgrywki.

Dr Skinner opowiadał Teobaldowi wyczerpująco o swej rozprawie, a ja domyślałem się, że szanowny pastor czuł się nie lepiej od Ernesta. Był znudzony, ponieważ w głębi serca nienawidził liberalizmu, choć wstydził się do tego przyznawać, i podawał się, jak już wspomniałem, za zwolennika wigów. Nie miał żadnej ochoty pojednać się z Kościołem katolickim, ale, przeciwnie, pragnął, żeby wszyscy katolicy nawrócili się na protestantyzm, i nie mógł pojąć, co powstrzymuje ich od tego kroku. Tymczasem doktor przemawiał w duchu tak rasowego liberalizmu i przerywał Teobaldowi tak stanowczo, kiedy usiłował wcisnąć swe dwa grosze, że zmuszony był dać za wygraną i pozostawić mu całkowicie wolną rękę, a do tego nie

był przyzwyczajony. Kiedy zastanawiał się, w jaki sposób mógłby położyć kres tej sytuacji, nastąpiła nieoczekiwana dywersja, bo panowie odkryli, że Ernest zaczął płakać — nie mam wątpliwości, że owładnęło nim przejmujące, choć niezdefiniowane uczucie nudy, która była ponad jego siły. Widać było wyraźnie, że jest bardzo zdenerwowany i znękany przeżyciami przedpołudnia. Pani Skinner, która w towarzystwie Krystyny weszła w tym momencie do pokoju, zaproponowała, żeby spędził popołudnie z panią Jay, ochmistrzynią, a z gronem swych przyszłych kolegów zawarł znajomość dopiero nazajutrz. Ojciec i matka pożegnali się z nim bardzo czule i chłopca oddano w ręce pani Jay.

Nauczyciele — może jest wśród was pedagog, który czyta tę książkę — bądźcie ostrożni! Kiedy zjawi się przed wami jakiś bardzo strwożony, zasmarkany smyk, którego tatuś przyprowadził za rękę do waszego gabinetu, a wy dławicie go taką pogardą, na jaką zasługuje, a potem przez całe lata obrzydzacie mu życie, pamiętajcie dobrze, że pod dokładnie taką samą postacią, jak ten właśnie chłopiec, stanie kiedyś przed waszym obliczem kronikarz waszego życia. Nie zapomnijcie, patrząc na nieszczęśliwą okruszynę o smutnych oczach, siedzącą na brzeżku krzesła pod ścianą waszego gabinetu, powtarzać sobie: „A może ten chłopiec jest tym, który — jeżeli nie będę miał się na bacności — powie pewnego dnia całemu światu, jakim byłem człowiekiem.” Gdyby choć dwu lub trzech pedagogów wyciągnęło z tej lekcji właściwe wnioski i zapisało je sobie w pamięci, uznałbym, że nie napisałem na próżno rozdziałów poświęconych tej sprawie.

ROZDZIAŁ XXIX

Wkrótce po rozstaniu się z matką i ojcem Ernest zasnął nad książką, którą dała mu pani Jay, i obudził się dopiero o zmierzchu. Potem usiadł na krześle na wprost kominka, na którym ogień przyjemnie buzował w szarą styczniową godzinę — i zadumał się. Czul się słabo, mdło, niepewnie i nie widział żadnej drogi wyjścia z nieprzeliczonych utrapień, które piętrzyły się przed nim. Może — mówił do siebie — tak się nawet zdarzyć, że umrze, a przecież śmierć nie tylko nie położy kresu jego zmartwieniom, lecz przysporzy mu nowych kłopotów, ponieważ w najlepszym razie pójdzie do dziadzia Pontifexa i babci Allaby, a choć z nimi łatwiej można było życie sobie ułożyć niż z tatusiem i mamusią, to jednak należało pamiętać, że nie byli ani tak dobrzy, ani tak niedostępni dla pokus ziemskich jak jego rodzice. W dodatku byli to ludzie dorośli, a specjalnie dziadek Pontifex, który w jego pojęciu był strasznie dorosły, a nie wiedział, dlaczego zawsze coś powstrzymywało go od kochania ludzi dorosłych — wyjątek stanowiło kilka osób ze służby, które były takie sympatyczne, że nie mógł sobie wyobrazić nikogo miłszego na świecie. Uważał również, że w niebie, jeżeli po śmierci tam się dostanie, będzie musiał i tak doprowadzić swą edukację do końca.

Tymczasem jego ojciec i matka trzęśli się na grząskich drogach, każde w swoim kącie powozu, i miętosili w sobie wiele takich spraw, które miały się zdarzyć, i takich, które nie miały się zdarzyć. Zmieniły się czasy od chwili, w której ostatni raz pokazałem ich czytelnikom, siedzących obok siebie w milczeniu w powozie, ale, pomijając ich wzajemny stosunek do siebie, oni sami zmienili się zdumiewająco mało. Kiedy byłem młody, przychodziło mi często na myśl, że nasz angielski modlitewnik popełnia błąd, domagając się od nas spowiedzi generalnej dwa razy w tygodniu w ciągu całego naszego życia, ponieważ nie bierze pod uwagę faktu, że w wieku siedemdziesięciu lat jesteśmy mniejszymi grzesznikami, niż byliśmy mając lat siedem. Zakładając, że powinniśmy, jak obrus, co najmniej raz w tygodniu pójść do prania, skłonny byłem mimo wszystko sądzić, że powinien nadejść dzień, w którym nie trzeba będzie nas płukać i wyżymać tak dokładnie. Teraz, kiedy lat mi przybyło, doszedłem do wniosku, że Kościół ocenił ludzkie możliwości w tym zakresie daleko lepiej ode mnie.

Małżonkowie nie odzywali się do siebie ani słowem i patrzyli na blednące światło dnia i nagie drzewa, na brunatne pola, z rozrzuconymi tu i ówdzie zagrodami wiejskimi wzdłuż drogi, i na deszcz, który gęsto padał na szyby powozu. A był to ów specjalny gatunek popołudnia, które większość subtelnych ludzi lubi spędzać w zaciszu domowym, więc Teobald dąsał się trochę na myśl, ile jeszcze mil musi przejechać, zanim będzie mógł znowu zasiąść przy swoim kominku. Nic nie można było na to poradzić, więc nasza para siedziała cichutko i obserwowała, jak przydrożne przedmioty uciekają w tył i stają się, w miarę jak gasło światło dnia, coraz bardziej szare i coraz bardziej ponure.

Wprawdzie nie odzywali się do siebie ani słowem, ale każde z nich miało kogoś jeszcze bliższego, z kim mogło (nagadać się do syta. „Spodziewam się — powiedział Teobald do siebie — że albo będzie pracował z własnej woli, albo Skinner weźmie go w karby. Nie lubię Skinnera i nigdy go nie lubiłem, ale z całą pewnością jest to człowiek wielkiego talentu i nie znam drugiego pedagoga, którego wychowankowie osiągaliby w Oxfordzie i w Cambridge tak świetne wyniki, a to jest niezawodny sprawdzian. Jest w tym sporo mojej zasługi, że Ernest ma tak dobre początki. Skinner orzekł, że ma solidne podstawy i że na swój wiek jest bardzo rozwinięty. Myślę, że teraz spocznie na laurach i będzie wymigiwać się od nauki, ponieważ z natury jest strasznie leniwy. Nie darzy mnie miłością, tego jestem pewien. A powinien, choćby za ten trud, który w niego

włożyłem, ale jest to chłopiec niewdzięczny i samolubny. To jest wręcz nienormalne, żeby syn nie kochał swego ojca. Gdyby mnie kochał, ja też bym go kochał, ale przecież nie mogę darzyć go uczuciem, jeżeli jestem przeświadczony, że mnie nie lubi. Usuwa mi się z drogi, ledwo zobaczy, że nadchodzę. Pięciu minut nie zostanie ze mną w tym samym pokoju, jeżeli potrafi znaleźć odpowiedni pretekst, żeby się ulotnić. Oszukuje. Gdyby nie oszukiwał, nie miałby żadnego powodu nieustannie kryć się przede mną. To jest zły znak, i dlatego mam poważne obawy, że wyrośnie z niego rozrzutnik i utracjusz. Jestem przekonany, że jak dorośnie, będzie rzucać pieniędzmi na lewo i na prawo. Gdybym nie zdawał sobie z tego jasno sprawy, na pewno dawałbym mu więcej pieniędzy na drobne wydatki, ale jakież pożytek z tego będzie, jeżeli dam mu więcej pieniędzy? Rozpłyną się w jednej chwili. Albo zaraz kupi coś dla siebie, albo odda je pierwszemu lepszemu chłopakowi lub dziewczynie, do których poczuje sympatię. Zapomina, że pieniądze, które wydaje, należą do mnie. Daję mu pieniądze po to, żeby je miał i nauczył się nimi gospodarować, a nie po to, żeby je natychmiast roztrwoniał. Wolałbym także, żeby mniej przepadał za muzyką, ponieważ będzie mu to zawadą w nauce łaciny i greki. Muszę wyplenić ten nałóg z całą bezwzględnością. Ba, przecież niedawno przy tłumaczeniu Liwiusza zamiast powiedzieć «Hannibal» wypsnęło mu się «Haendel», a Krystyna twierdzi, że połowę melodii z *Mesjasza* zna na pamięć. Cóż może wiedzieć smarkacz w jego wieku o *Mesjaszu*? Gdybym będąc chłopcem zdradzał tylko połowę tak zgubnych skłonności, mój ojciec oddałby mnie na praktykę do handlarza warzywami, jestem tego zupełnie pewny itd., itd."

Następnie myśl Teobalda pobiegła ku Egiptowi i dziesiątej pladze. Wydawało mu się, że jeżeli mali Egipcjanie byli podobni do Ernesta, owa plaga musiała być w rzeczywistości czymś w rodzaju zamaskowanego błogosławieństwa. Gdyby Izraelici zjawili się teraz w Anglii, miałby wielką ochotę nie pozwolić im na opuszczenie kraju.

Myśli pani Teobaldowej. płynęły innym nurtem. „Wnuk lorda Lonsforda — jaka szkoda, że nazywa się Figgins. Ale przecież krew jest krwią w takim samym stopniu po żeńskich jak i męskich przodkach, a wcale nie jest wykluczone, że pochodzenie od kobiety jest nawet ważniejsze. Nie mam pojęcia, kto to był ten Figgins. Pani Skinner mówiła, zdaje się, że zmarł. W każdym razie muszę się wszystkiego o nim dowiedzieć. To byłoby cudownie, gdyby mały Figgins zaprosił Ernesta do swego domu na wakacje. Wszystko jest możliwe, więc może spotkałby tam samego lorda Lonsforda lub przynajmniej innych jego potomków."

W tym samym czasie nasz chłopiec siedział markotnie w pokoju pani Jay i wpatrywał się w ogień, który tlił się w kominku. „Tatusi i mamusia — mówił do siebie — są dużo lepsi i mądrzejsi od wszystkich ludzi, a ja, niestety, nigdy nie będę ani dobry, ani mądry."

Pani Pontifex ciągnęła dalej w myśli: „Zdaje się, że byłoby lepiej najpierw zaprosić do nas małego Figginsa. To byłoby urocze. Teobald będzie niezadowolony, ponieważ nie lubi dzieci, muszę więc zastanowić się, jak to załatwić, bo byłoby bardzo przyjemnie gościć go u nas, ale, ale nic podobnego, trzeba to zrobić całkiem inaczej: Ernest powinien pojechać koniecznie na jakiś czas do Figginsa i poznać przyszłego lorda Lonsforda, który jest, o ile mi wiadomo, rówieśnikiem Ernesta. Kiedy się zaprzyjaźnią, Ernest będzie mógł zaprosić go do Battersby, a wówczas będzie szansa, że zakocha się w Karolinie. Uważam, że postąpiliśmy bardzo mądrze posyłając Ernesta do dra Skinnera. Nabożność dr a Skinnera jest równie godna podziwu jak jego genialny umysł. Są pewne rzeczy, które widzi się na pierwszy rzut oka, a doktor na pewno wyczuł je we mnie z niemiejszą siłą niż ja w nim. Wyglądało na to, jak mi się wydaje, że był nami bardzo wzięty; nic dziwnego, potęgą intelektu Teobalda musi na każdym zrobić wrażenie, a mam niepłoną nadzieję, że pokazałam się z najlepszej strony. Kiedy uśmiechnęłam się do niego i powiedziałam, że oddaję mego chłopca w jego ręce z całkowitym zaufaniem, iż będzie miał taką samą opiekę jak we własnym domu, zrobiło mu to, jestem tego całkiem pewna, dużą

przyjemność. Sądzę, że niewiele matek, które przywożą mu swych synów, potrafiłoby zasłużyć sobie na tak wysoką ocenę w jego oczach i powiedzieć mu tyle miłych słówek. Mam śliczny uśmiech, jeżeli tylko zechcę. Nigdy nie byłam specjalnie ładna, ale za to wszyscy przyznają, że zawsze miałam dużo uroku. Dr Skinner jest bardzo przystojnym mężczyzną i uważam, że o całe niebo przewyższa swą żonę, Teobald twierdzi, że Skinner jest brzydki, ale mężczyźni nie mogą w takich sprawach wydawać wyroku, a doktor ma taką miłą, pogodną twarz. Wydaje mi się, że w moim kapturku jest mi bardzo do twarzy. Jak tylko przyjadę do domu, zaraz powiem pokojówce Chambers, żeby przybrała moją niebiesko-żółtą welenkę, itd., itd."

Przez ten cały czas list, którego pełną treść przytoczyłem wyżej, spoczywał w japońskim biurczku Krystyny, a ona czytała, odczytywała i sankcjonowała jego treść wielokrotnie, a gdyby prawda mogła wyjść na jaw, okazałoby się nawet, że przepisała go niejedną raz stawiając jednak zawsze tę samą datę, którą posiadał pierwowzór — co jest godne uwagi, ponieważ Krystyna bardzo lubiła małe, niewinne żarciki.

Ernest, nadal w pokoju pani Jay, snuł swe rozmyślenia. „Dorośli ludzie — mówił sobie — kiedy stają się paniami i panami, nigdy nie są niegrzeczni, a on nieustannie jest niegrzeczny. Słyszał, że niektórzy dorośli są tacy strasznie przyziemni i naturalnie po-

Stępują bardzo źle, jest to jednak coś zupełnie różnego od niegrzeczności, bo nikt ich za to ani nie karze, ani nie łaje. Tatusiowi i mamusi nawet tego grzechu nie można zarzucić. Często tłumaczyli mu, z jaką pogardą odnoszą się do wszystkiego co ziemskie. Dobrze wie, że od lat dzieciennych nie zdarzyło się im ani razu, żeby coś spsobili, a już jako małeńkie dzieci byli bez skazy i zmazy. Och, jakże inni byli od niego! Czy nauczy się kiedykolwiek kochać swego tatusia i mamusię tak mocno, jak oni kochali swoich rodziców? Czy może mieć choćby iskierkę nadziei, że wyrośnie na człowieka tak dobrego i mądrego jak jego rodzice, czy może liczyć choćby tylko na to, że będzie przeciętnie dobry i mądry? Niestety — żadnej! Jest to niemożliwe. Nie kocha ani tatusia, ani mamusi, pomimo ich nieskończonej dobroci, którą mają w sobie i której od nich doznaje. Nienawidzi swego tatusia, nie lubi swej mamusi, a przecież po tym wszystkim, co zrobili dla niego, tak postępować może tylko chłopiec z gruntu zły i niewdzięczny. A do tego wszystkiego nie lubi niedzieli. Nie lubi wszystkiego, co jest naprawdę dobre. Ma upodobania podłe, tak bardzo podłe, że musi się ich wstydzić. Najbardziej lubi takich ludzi, którzy czasem trochę przeklinają, byleby tylko nie odnosiło się to do niego. Ani w katechizmie, ani w czytaniu Biblii nie znajduje żadnego uroku. Ani jednego kazania w całym swoim życiu nie wysłuchał z uwagą. A nawet wówczas, kiedy go zaprowadzono do Brighton, żeby wysłuchał pastora Vaughana, który, jak wszystkim wiadomo, wygłasza takie śliczne kazania dla dzieci, był bardzo zadowolony, kiedy już było po wszystkim, a w ogóle wydawało mu się, że nie wytrzymałby w kościele, gdyby nie organowe przygrywki, hymny i śpiewy.

Katechizm jest okropny. Nigdy nie mógł pojąć, czego pragnie od Pana Boga, Ojca Niebieskiego, ani jak dotąd nie potrafił skojarzyć ze słowem sakrament żadnego zrozumiałego wyobrażenia. Jego obowiązki wobec bliźnich też są czymś strasznym. Wydawało mu się, że wobec każdego człowieka ma jakieś obowiązki i że otoczony jest zewsząd przez ludzi, którzy domagają się ich spełnienia, a tymczasem wobec niego nikt nigdy nie ma żadnych obowiązków. A jeszcze jest takie okropne i tajemnicze słowo „interes". Co znaczy to słowo? Co to jest ten „interes"? Jego tatuś ma świetną głowę do interesów, tak często mówi jego mamusia, lecz on nie będzie miał nigdy głowy do interesów. To jest beznadziejne i straszne, bo wszyscy w kółko powtarzają, że będzie musiał sam zarabiać na życie. Tak na pewno będzie, ale jak — jeżeli weźmie się pod uwagę, jakim jest głupcem, leniuchem, nieukiem, wygodnišem i cielesnym mizerakiem. Wszyscy dorośli są bardzo zdolni, z wyjątkiem naturalnie służby — ale on i jej nie potrafi dorównać. Ach, dlaczego, dlaczego, dlaczego ludzie nie rodzą się dorośli? A potem

myślał o Ludwiku Casabianca. Ojciec nie tak dawno przepyttywał go z tego poematu. «Kiedy opuścił swój posterunek? Na kogo wołał? Czy. otrzymał odpowiedź? Dlaczego? Ile razy wołał na swego ojca? Co go spotkało? Kto był najszlachetniejszy z , tych, którzy postradali wtedy życie? Tak uważasz? Dlaczego tak *uważasz*? Oczywiście uważał, że Casabianca był najszlachetniejszy z tych, którzy postradali życie. Było to. jasne jak słońce. Nigdy nie przyszło mu do głowy, że morał owego utworu poetyckiego polega na tym, iż młodzi ludzie nie mogą zbyt wcześnie decydować według swego własnego uznania o granicach posłuszeństwa wobec tatusia i mamusi. Jedna jedyna myśl go trapiła, że na pewno nigdy nie będzie taki jak Casabianca i że Casabianca, gdyby go spotkał, wzgardziłby nim na pewno i nie raczyłby przemówić do niego marnego słowa. Wszyscy inni na tym okręcie zupełnie się nie liczyli i nie miało znaczenia, ilu ich wtedy wyleciało w powietrze. Pani Hemans dobrze ich znała i można na niej polegać, że była to sama miernota. A w dodatku Casabianca tak ślicznie wyglądał i pochodził z takiej dobrej rodziny." »

I tak jego malutki umysł wędrował, a on nie mógł za nim nadążyć — i znowu się zdrzemnął.

ROZDZIAŁ XXX

Następnego poranka Krystyna i Teobald wstali wprawdzie z uczuciem lekkiego znużenia po podróży w dniu poprzednim, ale upojeni szczęściem w najszlachetniejszym gatunku: pochwałą własnego sumienia. Od tego momentu ich syn tylko sam sobie będzie winien, jeżeli zejdzie na złe drogi lub jeżeli nie powiedzie mu się tak dobrze, jak zgoła można było pragnąć, żeby mu się wiodło. Czy rodzice mogli zrobić coś więcej ponad to, co oni zrobili dla niego? Odpowiedź „nie” padnie z ust czytelników tak samo bez chwili wahania jak z ust Teobalda i Krystyny.

Kilka dni później rodzice uradowali się nagrodą w postaci następującego listu syna:

Kochana Mamusiu! Mam się bardzo dobrze. Dr Skinner dał mi zadanie z łaciny, żebym napisał wierszem o koniu, który swobodny i radosny, hasa po rozległych błoniach, a ponieważ przerabiałem to samo z Tatusiem, więc wiedziałem, jak trzeba to napisać, i udało mi się prawie bez błędu, więc dał mnie do czwartej klasy, w której jest pan Templer, i mam zacząć uczyć się nowej gramatyki łacińskiej, nie takiej jak ta stara, ale dużo trudniejszej. Wiem, że jest Waszym życzeniem, żebym porządnie pracował, więc będę starał się z całych sił. Ściskam bardzo mocno Józia i Karolinę, i Tatusia, Twój kochający syn

Ernest

Trudno było o coś bardziej miłego i bardziej stosownego. Rzeczywiście wszystko wskazywało na to, że chłopiec miał szczerzy zamiar wejść na drogę poprawy. Wszyscy chłopcy byli już na miejscu, egzaminy skończyły się i zaczęły się normalne zajęcia przewidziane w tym półroczu szkolnym. Ernest stwierdził, że niepotrzebnie lękał się dokuczania i znęcania ze strony starszych kolegów. Z niczyjej strony nie doznawał żadnych specjalnych przykrości. W określonych godzinach musiał załatwiać niezbyt uciążliwe zlecenia dla starszych chłopców, a kiedy wypadła jego kolejka, musiał też smarować tłuszczem piłkę nożną oraz spełniać temu podobne polecenia, ale starsi chłopcy nie dręczyli malców, i pod tym względem atmosfera szkoły była bez zarzutu.

A jednak do szczęścia brakowało mu bardzo dużo. Dr Skinner zanadto przypominał mu ojca. Choć, jak na razie, Ernest stykał się z nim dość rzadko, ale jego obecność czuło się nieustannie. Trudno było przewidzieć, w którym momencie zechce się objawić, a kiedy się pokazał to tylko po to, żeby z jakiegoś powodu miotać gromy. Przypominał owego lwa z niedzielnej gawędy biskupa Oxfordu — nikt nie wiedział, kiedy wyskoczy ze swej kryjówki w zaroślach i pożre swą ofiarę. Nazywał Ernesta „zuchwałym płazem” i mawiał, że nie będzie się dziwić, jeżeli ziemia pewnego dnia rozstąpi mu się pod nogami i pochłonie go w swe czeluści, a to dlatego, bo Ernest wymawiał „Talia” z krótkim „i”.

— I to do mnie — grzmiał — do mnie, który w ciągu całego życia ani razu nie pomyliłem miary samogłoski.

Nie ulega najmniejszej wątpliwości, że dr Skinner byłby znacznie sympatyczniejszy, gdyby za młodych lat, jak każdy normalny człowiek, mylił krótkie i długie samogłoski. Ernest nie mógł pojąć, jak chłopcy z klasy dra Skinnera mogą egzystować w takich warunkach, a tymczasem nie tylko egzystowali, lecz powodziło im się wcale nieźle, i choć może to wydawać się dziwne, ubóstwiali swego doktora. Taką relację otrzymałem od wszystkich wychowanków tej szkoły. W oczach Ernesta było to igranie z ogniem na becze prochu.

Ernest, jak już wspomniałem, chodził do klasy pana Templera, który, choć zrzęda, był w gruncie rzeczy nienajgorszym człowiekiem, a ściąganie na jego lekcjach było sprawą bardzo

łatwą. Ernest zdumiewał się, jak pan Templer może być tak dalece ślepy, ponieważ uważał, że jego wychowawca także ściągał, kiedy chodził do szkoły, i często zastanawiał się, czy on jako człowiek dorosły zapomni swych młodych lat tak samo doszczętnie, jak zapomniał ich pan Templer. Dochodził jednak do wniosku, że niczego z nich nie zapomni.

Wypada wspomnieć także o pani Jay, która bywała czasem wstrząsająco groźna. W kilka dni po rozpoczęciu zajęć szkolnych, kiedy chłopcy trochę zanadto hałasowali, pani Jay, z okularami na czole: i rozwianymi wstążkami czepka, wpadła do jadalni i chłopca, którego Ernest pasował na swego herosa, nazwała: „najkrzykliwszym huncwotem z wszystkich” najwzraskliwszych nicponiów i najhałaśliwym gagatkiem w całej szkole”. Ale zdarzało się, że mówiła takie rzeczy, które przypadały Ernestowi do gustu. Kiedy doktor szedł na proszony obiad i nie było wspólnych pacierzy, wchodziła i ogłaszała: „Dziś wieczór paniczka mają dyspensę od pacierzy.” W gruncie rzeczy była to całkiem miła i dobra staruszka.

Większość chłopców dość wcześnie odkrywa istotną różnicę między hałasem a rzeczywistym niebezpieczeństwem, ale są i tacy, którym nie mieści się w głowie, że można grozić nie mając zamiaru zrobić nic złego. Dużo wody musi upłynąć, zanim ci chłopcy nauczą się nie brać bufonów i głupców *au serieux*. Ernest należał do tej drugiej kategorii, a ponieważ przekonał się, że w Roughborough wszystko huczy i wrze, więc wołał w granicach swych możliwości schodzić wszystkim z drogi i z myśli. Gier na powietrzu nie lubił jeszcze bardziej niż wrzasku w klasie i w jadalni, gdyż był wówczas bardzo wątpy, a nabierał tężyzny i dochodził do normalnej sprawności fizycznej wolniej od innych chłopców. Nie wykluczam, że cherlactwo Ernesta mogło być następstwem nadmiernego ślęczenia nad książkami, do czego zmuszał go ojciec, choć, w moim przekonaniu, miało ono pewien związek ze skłonnością do późnego dojrzewania, która, obok niezwykle długowieczności, jest jedną z dziedzicznych cech Pontifexów. W wieku trzynastu i czternastu lat był to szkielecik okryty skórą, jego ręka powyżej łokcia była niewiele grubsza od przegubu jego rówieśników, a drobną klatkę piersiową miał chorobliwie rozdętą. Robił wrażenie chłopca zupełnie pozbawionego mięśni i nie posiadającego energii życiowej nawet na lekarstwo, a ponieważ w każdej bójce, na żarty lub na serio, nawet z takimi chłopcami, którzy nie dorównywali mu wzrostem, zawsze ponosił porażkę, lękliwość — naturalna dla wieku dziecięcego — pogłębiła się tak dalece, że przeistoczyła się, śmiem twierdzić, w tchórzostwo. W ten sposób stał się jeszcze większym niedorajdą, niż był w istocie, bo wiara w siebie dodaje sił, a brak ufności we własne siły potęguje słabość. Nie jeden raz zadyszał się na boisku aż do utraty tchu, nie raz skopano go porządnie po nogach w jakimś zamieszaniu, w które zaplątał się wbrew swej woli, więc w końcu piłka nożna straciła dla niego wszelki urok i zaczął wymigiwać się od udziału w tej szlachetnej grze, co naraziło go na nieprzyjemności ze strony starszych kolegów, którzy zwracali baczną uwagę, żeby młodszy chłopcy nie wykręcali się od udziału w rozgrywkach piłkarskich.

W krykiecie także był do niczego i czuł się tak samo źle jak w piłce nożnej, a również nigdy nie nauczył się, choć nie szczędził wysiłków, rzucać piłką lub kamieniem. Dla wszystkich stało się więc całkiem jasne, że mały Pontifex jest niedołągą i „babą”, i wszyscy zgodzili się na to, że wprawdzie nie należy go dręczyć, ale nie można go wysoko cenić. Nie odnoszono się jednak do niego z wyraźną niechęcią, ponieważ przekonano się, że *inter pares* jest całkiem do rzeczy, uraz długo nie pamięta i łatwo można go rozbroić, chętnie dzieli się z kolegami skromnymi sumkami pieniędzy, które ma do dyspozycji, do obowiązków szkolnych nie zdradza większego zamiłowania niż do gier sportowych, czyli — krótko mówiąc — bardziej skłania się do umiarkowanego występku niż do nieumiarkowanej cnoty.

Wspomniane przymioty obronią każdego chłopca przed zbyt surowym sądem kolegów, ale Ernest uważał, że spadł w ich opinii niżej, niż istotnie miało to miejsce, więc nienawidził i

gardził sobą w pierwszym rzędzie za te cechy swego charakteru, za które słusznie zasłużył sobie, jak sam mniemał i jak z nim razem mniemało całe jego otoczenie, na miano tchórza. Nie lubił kolegów, których uważał za podobnych do siebie. Jego bohaterami byli chłopcy silni i energiczni, a im mniej z nim sympatyzowali, tym bardziej ich adorował. Wszystkie te okoliczności spowodowały, że czuł się bardzo nieszczęśliwy, bo nigdy nie przyszło mu do głowy, że od udziału w grach i zabawach, do których fizycznie był źle przystosowany, powstrzymywał go instynkt daleko bardziej rozsądny od rozsądku, który go do nich skłaniał. W większości przypadków jednak postępował tak, jak dyktował mu instynkt, a nie jak doradzał mu rozsądek. *Sapiens suam si sapientiam norit!*

ROZDZIAŁ XXXI

Niebawem Ernest popadł w zupełną niełaskę swych nauczycieli. Miał teraz więcej swobody niż, kiedykolwiek dotąd. Ciężka ręka i czujne spojrzenie ojca przestały prześladować go wszędzie, gdziekolwiek się znalazł: nie czuł ojca koło swego łóżka, ojciec nie śledził każdego jego kroku. Kara w postaci przepisywania ustępów z Wergiliusza była, rzecz prosta, czymś zupełnie różnym od okrutnych razów, których ojciec nigdy mu nie żałował. Na dobrą sprawę przepisywanie za karę było często mniej przykre od lekcji. W łacinie i grece jego instynkt nie wyczuł żadnych uroków, a więc nie zdołał nabrać przekonania, że znajdzie w nich ukojenie, a już tym bardziej nie miał żadnej nadziei, że mogą mu przynieść ukojenie w przyszłości, którą rozsądnie mógłby uznać za bliską. Martwocie, która tkwi w tych umarłych językach, nie zdołano nigdy przeciwstawić jakiegoś specjalnie skonstruowanego systemu realnych zysków dla tych, którzy gorliwie się ich uczą. Za brak pilności spadają na nieszczęśnika wszystkie możliwe kary, lecz na haczyku nie ma smacznej przynęty, żeby zwabić go ku temu, co ma wyjść mu na pożytek. Istotnie, jeżeli z nauczeniem się jakiegoś przedmiotu związana była taka czy inna przyjemność, podchodzono do tej sprawy w taki sposób, jak gdyby ta strona nauki nie dotyczyła- Ernesta. Musimy wybić sobie z głowy, że mamy jakiegokolwiek prawo do przyjemności, a jeżeli nawet je mamy, to jest ono bardzo nikłe — Ernest, ma się rozumieć, nie może do niej zgłaszać nawet najmniejszych pretensji. Znaleźliśmy się na tym świecie nie dla przyjemności, ale żeby wypełnić naszą powinność, a przyjemność ze swej istoty jest mniej lub bardziej grzeszna. Jeżeli robimy coś takiego, co lubimy, powinniśmy okazać skruchę, a w każdym razie on, Ernest, powinien za to przeprosić i uznać, że potraktowano go nader wspaniałomyślnie jeżeli nie kazano mu natychmiast odejść i zająć się czym innym. Z tym, czego nie lubił, rzecz miała się odmiennie: im więcej czegoś nie lubił, tym silniejsze było domniemanie, że należy go do tego zmusić. Nigdy nie przyszło mu na myśl, że owo domniemanie przemawia za słusnością tego, co robi mu największą przyjemność, ani nie spostrzegł, że ciężar dowodu spoczywa na tych, którzy temu przeczą. Ernest był święcie przekonany, jak już o tym wspomniałem, że nosi w sobie piętno grzechu. Nie było drugiego malca na świecie, który tak prostodusznie gotów był uwierzyć we wszystko, co usłyszał od ludzi mających nad nim władzę. Był całkiem pewny swej wiary w każde ich słowo, ponieważ nic jeszcze nie wiedział o drugim Ernestie, który w nim mieszkał i był znacznie silniejszy i bardziej rzeczywisty od Ernesta, którego był świadom. Ów drugi Ernest, niemowa, przekonywał go przy pomocy uczuć nie nazwanych, zbyt szybkich i trafnych, by można je było; przełożyć na niepewne słowa, ale praktycznie chodziło mu o coś takiego: „Proces dojrzewania nie jest tak łatwą i zwykłą sprawą, za jaką powszechnie uchodzi: jest to ciężka praca, tak ciężka, że tylko" chłopiec, który rośnie; potrafi to pojąć; wymaga skupienia, a ty nie jesteś tak mocny, żebyś mógł skupić się jednocześnie na rozwoju ciała i na odrabianiu lekcji. Powiem ci więcej, łacina i greka to. wielkie szachrajstwo i z reguły im lepiej ktoś zna te języki, tym bardziej jest odra- żający. Sympatyczni ludzie, których sobie upodobałeś, albo w ogóle tych języków nigdy się nie uczyli, albo do szczętu zapomnieli wszystko, co kiedyś umieli, zaledwie mogli sobie na tę przyjemność pozwolić. Kiedy przestano ich zmuszać do czytania klasyków, nigdy więcej do nich nie wracali, bo klasycy są po prostu bezsensowni. W ich kraju i w ich czasach rzecz miała się inaczej, ale dziś są sztucznym dziwolągiem. Nie zabieraj się do nauki żadnego przedmiotu, zanim nie przekonasz się, że od dłuższego czasu czuleś się nieswojo, ponieważ brakowało ci tej umiejętności. Jeżeli wreszcie dojdiesz do wniosku, że masz sposobność nauczania się czegoś, albo jeżeli przewidujesz, że będziesz miał ową sposobność w niedalekiej

przyszłości, im szybciej się tego nauczysz, tym dla ciebie lepiej, ale nim to nastąpi, poświęć cały swój czas rozwojowi kości i mięśni. Będą ci bardziej potrzebne od łaciny i greki, a potem już nigdy nie zdołasz ich wytworzyć, podczas gdy łaciny i greki każdy, kto tego pragnie, może się nauczyć w każdej chwili.

Otoczony jesteś zewsząd kłamstwem tak wyrafinowanym, że zwiódłoby ono nawet wybranych przez Boga, gdyby z reguły nie byli tak ostrożni i czujni. Twoje «ja», (którego jesteś świadom, «ja» rozumujące i dociekające, uwierzy tym łgarstwom i będzie cię namawiać, żebyś dostosował swe postępowanie do ich miary. Twoje świadome «ja», Erneście, jest tępym zarozumialcem, poczętym z zarozumialców i wychowanym w zarozumialstwie: nie dopuszczę do tego, żeby kształtowało twe postępowanie, choć bez wątpienia jeszcze przez wiele lat kształtować będzie twe słowa. Nie ma tu twego ojca i nie grozi ci, że cię zbije. Jest to zmiana w warunkach egzystencji, a jej konsekwencją powinna być zmiana postępowania. Słuchaj mnie, twego prawdziwego «ja», a zaczniesz się nieźle powodzić, ale spróbuj słuchać widzialnej i pretensjonalnie wymizdrzonej skorupy, która otacza cię z zewnątrz i nazywa się twoim ojcem, a rozniosę cię na strzępy aż do trzeciego i czwartego pokolenia, jako tego, który nienawidzi Boga. Bom ja jest, Erneście, twój Bóg, który cię uczyniłem."

Jakże zgorszony byłby Ernest, gdyby mógł usłyszeć na głos, jakich rad mu się udziela. Jakaż konsternacja zapanowałaby w Battersby. Tymczasem jednak sprawa wcale nie skończyła się na tym, bo to samo grzeszne, wewnętrzne „ja” udzielało mu złych rad także w sprawie wydawania pieniędzy i wyboru towarzystwa, a Ernest dość gorliwie i posłusznie spełniał te żądania, a w każdym razie bardziej gorliwie i posłusznie niż swego czasu Teobald. W konsekwencji uczył się mało i jego umysł zaczął dojrzewać wolniej, a ciało szybciej niż dotąd; a kiedy niebawem za namową swego wewnętrznego „ja” ruszył w jakimś kierunku i spotkał na swej drodze przeszkodę, których pokonanie przekraczało jego siły, obierał, choć dręczyły go najczarniejsze wyrzuty sumienia, najkrótszą drogę do zakazanego celu, na jaką dane okoliczności pozwalały.

Łatwo domyślić się, że żaden ze statecznych i dobrze ułożonych młodych ludzi, którzy wówczas uczyli się w Roughborough nie wybrał Ernesta na swego przyjaciela od serca. Niektórzy chłopcy, których towarzystwo było mniej pożądane, bywali w szynkach i wypijali więcej piwa, niż wychodziło im na zdrowie. Choć można uznać niemal za pewnik, że wewnętrzne „ja” nigdy nie doradzało Ernestowi przyjaźni z owymi młodzieńcami, wszedł w ich towarzystwo dość wcześnie, i niejedną raz znalazł się w opłakanym stanie już po takiej dawce piwa, która na silniejszym chłopcu nie zrobiłaby żadnego wrażenia. Domyślałam się, że wewnętrzne „ja” Ernesta wkroczyło w tym momencie w tę sprawę bardzo energicznie i, wytłumaczyło mu, iż nie ma w tym nic zabawnego, albowiem Ernest porzucił ów nałóg, zanim zdążył się w nim zakorzenić, i nigdy więcej do niego nie wrócił. Zaraził się jednak innym nałogiem, i to w haniebnym młodym wieku, bo mając zaledwie coś około trzynastu albo czternastu lat, i już nie pozbył się go nigdy, choć po dziś dzień jego świadome „ja” nieustannie wierci mu dziurę w brzuchu, że powinien miniej palić. Tak układały się sprawy mego bohatera mniej więcej do czasu, kiedy doszedł do czternastu lat. Wprawdzie w owych czasach nie zasługiwał jeszcze na miano nieletniego łajdaka, ale bezspornie należał do podejrzanej kategorii uczniów, w której znaleźli się chłopcy gorsi od najmniej solidnych, ale lepsi od najmniej niesolidnych. Dodać trzeba, że skłaniał się raczej ku tym ostatnim, wyróżniając się tylko pod jednym jedynym względem, a mianowicie nigdy nie Skalał się grzechem sknerstwa. Do tych wniosków dochodzę częściowo na podstawie opowiadań samego Ernesta, a częściowo na podstawie szkolnych świadectw, które pokazywał mi wśród wielkich narzekań. W Roughborough stosowano system tzw. miesięcznych nagród pieniężnych. Najwyższa kwota, na którą mógł zasłużyć chłopiec w

wieku Ernesta, wynosiła pięćdziesiąt cztery pensy. Nieliczna garstka chłopców zdobywała sobie po czterdzieści osiem pensów, było kilku takich, którzy nie osiągnęli nawet sześciu pensów — Ernest nigdy nie przekroczył granicy dwudziestu ośmiu pensów, a rzadko zdobywał nagrodę wyższą od osiemnastu pensów. Jego przeciętna, jak mi się wydaje, wynosiła dwadzieścia jeden pensów, a było to za dużo, żeby zaliczyć go w poczet uczniów zdecydowanie złych, a za mało, żeby zapewnić mu miejsce w gronie uczniów dobrych.

ROZDZIAŁ XXXII

Muszę teraz zająć się osobą panny Aletei Pontifex, której, jak mi się wydaje, poświęciłem dotąd za mało uwagi, zwłaszcza jeżeli się uwzględni, że jej wpływ na koleje losu mego bohatera okazał się tak doniosły.

Po śmierci ojca — miała wtedy jakieś trzydzieści dwa lata — rozstała się na dobre ze swymi siostrami, z którymi łączyły ją bardzo letnie stosunki, i udała się do Londynu. Postanowiła, według jej własnych słów, ułożyć sobie resztę życia możliwie najprzyjemniej, a posiadała bardziej wyrobione zdanie, jakie środki najpewniej prowadzą do tego celu, niż większość kobiet, a nawet mężczyzn.

Jej majątek składał się, jak już wspomniałem, z pięciu tysięcy funtów, które otrzymała na podstawie ślubnej intercyzy swej matki, oraz z piętnastu tysięcy, które dostała po ojcu — i obecnie mogła rozporządzać tymi sumami według swego uznania. Ów kapitał przynosił jej dziewięćset funtów rocznej dywidendy, a ponieważ został ulokowany wyłącznie w najbardziej pewnych papierach wartościowych, nie potrzebowała martwić się o swoje dochody. Postanowiła, że będzie bogata, a więc ułożyła roczny plan wydatków, który po stronie rozchodów zamykał się kwotą pięciuset funtów, a resztę postanowiła odkładać.

— Jeżeli w tym wytrwam — powiedziała ze śmiechem — to prawdopodobnie uda mi się żyć całkiem dostatnio w granicach mych dochodów.

Zgodnie ze swoim planem znalazła sobie nieumeblowane mieszkanie w kamienicy przy Gower Street, której parter zajęty był przez jakieś biuro. Jan Pontifex próbował ją nakłonić, żeby wynajęła cały dom wyłącznie dla siebie, ale Aletea prosto z mostu poradziła mu, żeby pilnował własnych interesów, więc zamilkł jak niepyszny. Nigdy nie darzyła go sympatią, a od tej chwili zerwała z nim niemal zupełnie.

Wprawdzie Aletea nie brała żywego udziału w życiu towarzyskim, niemniej jednak zawarła znajomość z większością kobiet i mężczyzn, którzy osiągnęli pewną pozycję w literackich, malarskich i naukowych sferach — i rzecz osobliwa, jej zdanie było cenione niezwykle wysoko, jakkolwiek nigdy nie próbowała zwrócić uwagi na swój własny talent. Bez wątpienia potrafiłaby pisać, gdyby przyszła jej ochota wziąć się do literatury, ale znajdowała daleko większą przyjemność w tym, że inni piszą i że ona może dodawać im bodźca, niż w ewentualnym odegraniu bardziej czynnej roli. Nie jest wykluczone, że literaci darzyli ją zdwojoną sympatią właśnie dlatego, że sama nie pisała.

Ja, z czego doskonale zdawałem sobie sprawę, byłem zawsze do niej głęboko przywiązany, a mogłaby mieć cały zastęp wielbicieli, gdyby przyszła jej na to ochota, ale wszystkich swych adoratorów po kolei zniechęciła, a na małżeństwo rzucała tak ciężkie gromy, na jakie rzadko zdobywają się kobiety, chyba że posiadają własny, dostatecznie duży majątek. Przeciwno mężczyznom nie miała tylu ważkich zastrzeżeń, co przeciwko małżeństwu, a choć jej tryb życia był tak nieskazitelny, że nie mógł wzbudzić zastrzeżeń nawet najbardziej podchwytliwych sędziów, broniła z zapalem, na jaki przyzwoitość jej pozwalała, tych przedstawielek jej płci, które świat potępiał najbardziej surowo.

Jej zapatrywania na religię były niemal wolno myślne, co jest normalnym zjawiskiem u ludzi, którzy rzadko myślą na ten temat. Chodziła do kościoła, ale nie lubiła zarówno tych, którzy czynili pokaz ze swej religii, jak i tych, którzy obnosili się ze swym niedowiarstwem. Słyszałem na własne uszy, jak pewnego razu nalegała na wówczas znanego, dziś już nieżyjącego, filozofa, żeby zaprzestał swych napaści na religię i zamiast tego napisał jakąś powieść. Filozofowi ta

propozycja nie bardzo przypadła do smaku, więc zaczął szeroko rozwodzić się nad tym, jak ważne jest, aby ludzie zrozumieli, że prawdy, w które wierzą, są przeważnie zwykłą głupotą. Uśmiechnęła się i powiedziała chłodno:

— Mają Mojżesza i proroków, niechże ich słuchają.

Ale zdarzyło się czasem, że z zupełnym spokojem powiedziała coś grzesznego na swój własny rachunek, i tak pewnego razu zwróciła mi uwagę na ustęp w jej książce do nabożeństwa, który opowiadał, jak Chrystus szedł do Emmaus z dwoma uczniami i rzekł do nich te słowa: „O głupi, a leniwego serca ku wierzeniu temu wszystkiemu, co powiedzieli prorocy” — „wszystkiemu” było tam wydrukowane małymi literami.

Jakkolwiek niemal zupełnie zerwała ze swym bratem Janem, z Teobaldem i jego rodziną utrzymywała jako tako bliskie stosunki i odwiedzała Battersby mniej więcej raz na dwa lata. Aletea zawsze usiłowała darzyć Teobalda sympatią i w miarę swych możliwości stworzyć z nim wspólny front (bo obydwójce byli w swej rodzinie zajęciami, podczas gdy pozostali jej członkowie byli sforą psów), ale bez rezultatu. Mam wrażenie, że stosunki z bratem utrzymywała głównie dlatego, bo chciała mieć jego dzieci na oku, żeby podać im pomocną rękę, jeżeli zasłużą na sympatię.

W owych dawnych czasach, kiedy panna Pontifex zjawiała się z wizytą w Battersby, przestawano bić dzieci, a ich lekcje stawały się lżejsze. Bez trudu mogła dostrzec, że dzieciaki są przepracowane i nieszczęśliwe, ale nie domyślała się, jak kazuistyczny jest system, który reguluje ich życie. Zdawała sobie sprawę, że jej ingerencja nie odniesie żadnego skutku, i całkiem rozsądnie zaniechała zbyt dociekliwego dochodzenia prawdy. Sądziła, że jej godzina, jeżeli w ogóle kiedykolwiek nadejdzie, wybije dopiero wtedy, kiedy dzieci przestaną mieszkać pod wspólnym dachem z rodzicami. Skończyło się na tym, że postanowiła nie zaprzętać sobie głowy ani małym Józiem, ani Karoliną, a natomiast widywać Ernesta możliwie najczęściej, żeby móc wyrobić sobie zdanie o jego zamiłowaniach i zdolnościach.

Mieszkał już wtedy w Roughborough i miał blisko czternaście lat, a więc jego charakter zaczął formować się w kształt ostateczny. Ciotka nie widziała go przez dłuższy okres czasu, a będąc zdania, że jeżeli ma poddać go próbie, to nie należy tego odwlekać, postanowiła udać się do Roughborough pod pretekstem, który skutecznie zneutralizuje podejrzliwość Teobalda, i osobiście dokonać oględzin swego bratan-ka w takiej sytuacji, w której będzie mogła go mieć przez kilka godzin tylko dla siebie. Zgodnie z tym założeniem, w sierpniu 1849, a więc dokładnie wtedy, kiedy Ernest kończył drugi rok nauki, pod bramę domu dra Skinnera podjechała dorożka z panną Pon-tifex. Na jej prośbę dyrektor pozwolił Ernestowi pójść z nią na obiad do hotelu „Pod Łabędziem”; Pisała do Ernesta z zawiadomieniem o swym przyjeździe, więc, rzecz jasna, chłopiec nie mógł się jej doczekać. Ostatni raz widział ją tak dawno, że z początku był trochę onieśmielony, ale Aletea była tak ujmująca w zachowaniu, że wkrótce poczuł się całkiem swobodny. Aletea miała w sobie wrodzoną pasję do wszystkiego, co młode, więc jej serce jak воск topniało na widok bratan-ka, jakkolwiek zewnętrznie był mniej pociągający, niż się spodziewała. Ledwo znaleźli się poza obrębem zabudowań szkolnych, zaprowadziła go prosto do cukierni, w której ugościła go wszystkim, na co miał ochotę. Ernest natychmiast doszedł do wniosku, że odbijała korzystnie nawet na tle pańien Allaby, które były takie miłutkie i takie dobre. Panny Allaby były bardzo biedne: sześć pensów znaczyło dla nich tyle, co dla Aletei pięć szylingów. Czy mogły więc mieć jakąkolwiek szansę w rozgrywce z osobą, która mogła, gdyby przyszła jej fantazja, zaoszczędzić ze swych dochodów dwa razy tyle, ile one obie, biedne niewiasty, mogły wydać?

Chłopiec mógł paplać bez końca, jeżeli znalazł słuchacza, który traktował go poważnie, a Aletea zachęcała go do trajkotania na pierwszy lepszy temat, który wpadł mu do głowy. Zawsze

gotów był wierzyć każdemu, kto był dla niego dobry: trzeba było wielu lat, zanim nauczył się pewnej powściągliwości pod tym względem — osobiście mam wątpliwości, czy w ogóle kiedykolwiek będzie tak oględny, jak być powinien — i bardzo prędko ciotka przestała w jego oczach mieć jakikolwiek związek z tatusiem i mamusią oraz całą resztą ludzi, wobec których instynkt kazał mu mieć się na baczności. Nie zdawał sobie sprawy, jak poważne dla niego następstwa zależały od jego zachowania. Gdyby był o tym wiedział, prawdopodobnie jego występ nie odniósłby takiego sukcesu.

Ciotka wyciągnęła z niego tyle szczegółów o domu i życiu szkolnym, że wątpię, czy jego tatuś i mamusia byliby z tego zadowoleni, a chłopak nie zdawał sobie sprawy, że wzięła go na spytki. Wydobyła z niego całe mnóstwo informacji o szczęśliwych wieczorach niedzielnych i o sprzeczkach z Józiem i Karolinką, nie biorąc zresztą niczyjej strony i przyjmując wszystko jako rzecz całkiem naturalną. Jak wszyscy chłopcy umiał doskonale małpować dra Skinnera, a kiedy rozochocił się obiadem i dwoma kieliszkami kseresu, którymi prawie się upił, uraczył ciotkę próbkami manier dra Skinnera i nazywał go poufale „Sam”.

— Sam — stwierdził — jest obrzydliwym starym szachrajem. — To kseres wydobył na jaw tę zadziorną fanfaronadę, bo nie wchodząc w to, kim lub czym był dr Skinner, dla panicza Ernesta był on twardą rzeczywistością, w obliczu której jego dusza natychmiast uciekała mu w pięty. Aletea uśmiechnęła się i powiedziała:

— Czy możemy już więcej nie mówić na ten temat? — a Ernest odpowiedział:

— Tak sądzę — i w ten sposób osadziła go na miejscu.

Wkrótce zaczął popisywać się kilkoma tandetnymi błyskotkami przemądrzałej erudycji, które przyswoił sobie w przekonaniu, że są nienaganne, i udowodnił bezspornie, że już w bardzo młodym wieku Ernest wierzył w Ernesta wiarą, która była tak absurdalna, że aż zabawna. Ciotka osądziła go miłosiernie; czego można było z góry po niej się spodziewać. Wiedziała doskonale, skąd wzięło się jego przemądrzałe zarozumiałstwo, a ponieważ język rozwiązał mu się dostatecznie, więc nie dostał więcej kseresu.

Ale dopiero po obiedzie podbił ciotkę bez reszty. Odkryła wtedy, że podobnie jak ona namiętnie przepada za muzyką i tak jak ona za muzyką najwyższej klasy. Znał, a także zanucił i zagwizdał jej mnóstwo wyjątków z dzieł wielkich mistrzów, których znajomość była czymś niezwykłym u chłopca w jego wieku, i czuło się zupełnie wyraźnie, że było to całkiem instynktowne, bo w Roughborough nikt nie rozwijał w nim zamiłowania do muzyki. Nie było w szkole drugiego chłopca, który tak przepadał za muzyką jak on. A nauczył się tego wszystkiego, jak jej wyjaśnił, od organisty z kościoła Św. Michała, który ćwiczył po południu w niektóre dni powszednie. Ernest, przechodząc koło kościoła, usłyszał grzmiące tony organów, więc wśliznął się do środka, a potem na chór. Z biegiem czasu organista przywykł do niego jako do całkiem powszedniego gościa i zawarli ze sobą przyjaźń. To przeważało szalę i Aletea powzięła decyzję, że chłopak wart jest zachodu. „Lubi tylko najlepszą muzykę — myślała — i nienawidzi dra Skinnera. Jak na początek, wcale nieźle.” Kiedy wieczorem odesłała go z suwerenem w kieszeni (liczył najwyżej na pięć szylingów), czuła się tak, jak gdyby za swe pieniądze otrzymała dużo więcej, niż były warte.

ROZDZIAŁ XXXIII

Następnego dnia panna Pontifex wróciła do miasta z głową nabitą swym bratankiem i pograżyła się w medytacjach, jak najlepiej może mu się przydać.

Doszła do wniosku, że jeżeli rzeczywiście chce mu pomóc, powinna poświęcić mu się niemal całkowicie, a wobec tego musi zrezygnować z mieszkania w Londynie, z pewnością na dłuższy okres czasu, i przenieść się do Roughborough, gdzie będzie mogła stale go widywać. Była to poważna decyzja: w Londynie mieszkała od dwudziestu lat i nie można się dziwić, że perspektywa małego miasteczka prowincjonalnego, jakim było Roughborough, wcale jej się nie uśmiechała. Czy to rozsądne porywać się aż na coś takiego? Czy ludzie nie powinni o własnych siłach próbować szczęścia na tym padole? Czy jedyny sposób okazania bliźniemu realnej pomocy polega na tym, że trzeba zapisać mu spadek i natychmiast umrzeć? Czyż nie byłoby lepiej na świecie, gdyby każdy człowiek sam o własnych siłach zabiegał o swe szczęście i gdyby każdy dbał o swoje interesy, nie przeszkadzając innym ludziom w trosce o własne sprawy? Życie nie jest wyścigiem osłów, w którym zawsze jeździ się na osłe sąsiada, a wygrywa ten, kto przyjedzie ostatni, a zresztą już bardzo dawno temu psalmista dał wyraz powszechnemu doświadczeniu, głosząc, że żaden człowiek nie odkupi brata ani nie da Bogu za niego ubłagania swego, bo odkupienie dusz ludzkich tyle kosztuje, że trzeba wyrzec się tego raz na zawsze.

Wszystkie znakomite powody, które przemawiały za tym, żeby wybić sobie bratanka z głowy, i wiele innych racji rozważała bardzo starannie, lecz przeciwko nim z poważnymi argumentami występowała jej kobieca miłość do dzieci i pragnienie znalezienia wśród młodszej generacji swej rodziny kogoś, do kogo mogłaby gorąco się przywiązać i kogo mogłaby gorąco przywiązać do siebie.

A w dodatku chciała znaleźć kogoś takiego, komu mogłaby zostawić swe pieniądze. Nie miała najmniejszej ochoty zostawić swego majątku ludziom niemal obcym sobie, z którymi w dodatku nigdy nie sympatyzowała tylko z tego jednego powodu, że są synami i córkami jej braci i sióstr. Na potęgę i wartości pieniędzy znała się wyśmienicie i zdawała sobie sprawę, ile sympatycznych ludzi cierpi i umiera co roku z tej prostej racji, że ich nie posiadają. Było mało prawdopodobne, żeby zapisała je bez wewnętrznego przekonania, że jej spadkobiercy są ludźmi uczciwymi, zasługującymi na sympatię i mają mniej lub bardziej puste kieszenie. Pragnęła, żeby dostały się komuś, na kim można było najpewniej polegać, że zrobi z nich inteligentny i sensowny użytek, a więc komuś, komu według wszelkiego prawdopodobieństwa przyniosą najwięcej szczęścia. Naturalnie byłoby najlepiej, gdyby udało się jej znaleźć osobę posiadającą te przymioty wśród jej bratanków i bratanic, a więc warto było narazić się nawet na największe poświęcenie, żeby sprawdzić, czy jest to możliwe. Jeżeli się jej nie powiedzie, będzie musiała znaleźć sobie dziedzica nie spokrewnionego z nią węzłami krwi.

— Z całą pewnością — mówiła do mnie parę razy — skończy się to całkiem idiotycznie. Wybiorę sobie jakiegoś przystojnego, dobrze ubranego kutwę o nieskazitelnych manierach, który mnie okpi z kretesem i ledwo wyzionę ducha, zacznie malować obrazy w stylu naszych akademików lub pisać do „Timesa” albo wymyśli coś równie potwornego.

A jednak, jak dotąd, nie sporządziła swej ostatniej woli i była to jedna z niewielu spraw, którymi naprawdę się trapiła. Jestem przekonany, że zrobiłaby mnie spadkobiercą niemal całego swego majątku, gdyby nie fakt, że sprzeciwiłem się temu kategorycznie. Po ojcu zostało mi tyle, że byłem urządzony całkiem dostatnio, a ponieważ prowadziłem zawsze bardzo skromny tryb życia, więc nigdy nie miałem najmniejszych kłopotów materialnych. Co więcej, ogromnie

zależało mi na tym, żeby nie dać ludziom okazji do dwuznacznych plotek na nasz temat. Zdawała więc sobie doskonale sprawę, że nic bardziej nie zmusiłoby mnie do rozluźnienia więzów, które nas łączyły, jak świadomość, że zapisała mi w spadku swój majątek, ale z drugiej strony nic nie miałem przeciwko temu, że omawiała ze mną, kogo ma wybrać na swego spadkobiercę, oczywiście pod warunkiem, że rozumiało się ponad wszelką wątpliwość, że ja nim nie będę.

Ernest odpowiadał jej wymaganiom, ponieważ reprezentował sobą dostatecznie dużo, ale trzeba było kilku dni namysłu, żeby zaczęła wyraźnie skłaniać się do wcielenia w czyn swego zamiaru i wyrzeczenia się codziennych przyzwyczajęń, co było z tą decyzją nieuchronnie związane. W każdym razie powiedziała mi, że zajęło jej to dobre kilka dni, i na pozór wszystko wskazywało, że jest to prawda, ale od momentu, kiedy zaczęła głośno zastanawiać się nad owym problemem, przewidywałem, czym to się skończy.

A więc wreszcie zapadło postanowienie, że wynajmie sobie dom w Roughborough i zamieszka w tej miejscowości na okres kilku lat. Chcąc zadośćuczynić pewnym uwagom krytycznym z mojej strony, zgodziła się na kompromis, że zatrzyma mieszkanie przy Gower Street i raz w miesiącu będzie przyjeżdżać na tydzień do miasta, no — i nie kwestionowała, rzecz prosta, że większą część wakacji będzie spędzać poza Roughborough. Całe to przedsięwzięcie trwać miało w zasadzie dwa lata, a dłużej tylko w tym przypadku, gdyby zostało uwieńczone sukcesem na całej linii. W tym okresie miała sobie wyrobić zdanie o charakterze chłopca; potem postąpić tak, jak będą tego wymagały okoliczności.

Na zewnątrz osłoniła się pretekstem, jakoby lekarz jej zalecił, żeby po tylu latach mieszkania w Londynie rok lub dwa spędziła na prowincji, a poradził jej Roughborough, ponieważ powietrze było tam zdrowe, a komunikacja z Londynem niekłopotliwa — w owym czasie doprowadzono już do tej miejscowości kolej żelazną. Zależało jej bardzo na tym, żeby brat i bratowa nie mieli podstaw do jakichkolwiek pretensji, gdyby przez bliski kontakt z bratankiem doszła do wniosku, że się na nim zawiodła — i zależało jej nie mniej na tym, żeby w duszy chłopca nie wzbudzić jakichkolwiek nadziei, które mogłyby okazać się bez pokrycia.

Kiedy zapadły już decyzje co do wszystkich szczegółów planu, zawiadomiła listownie Teobalda, że ma zamiar począwszy od Św. Michała — a święto to było tuż, tuż — wynająć dom w Roughborough, i nadmieniła jak gdyby mimochodem, że wspomniana miejscowość jest dla niej bardzo pociągająca między innymi z tego powodu, że jej bratanek chodzi tam do szkoły, a więc ma nadzieję, że będzie go mogła widywać częściej, niż miała dotąd sposobność.

Teobald i Krystyna wiedzieli, jak ogromnie Aletea była przywiązana do Londynu, więc pomysł zamieszkania w Roughborough uznali za co najmniej dziwny, lecz nie podejrzewali, że jedynym powodem jej przeprowadzki jest bratanek, a już tym bardziej nie domyślali się, że ona nosi się z myślą zapisania Ernestowi swego majątku. Gdyby się tego domyślali, wpadliby w taką zazdrość, że nie dałbym głowy, czy nie zwróciliby się do niej, żeby zamieszkała gdziekolwiek indziej byle nie w Roughborough. Aletea była o jakieś dwa, a może trzy lata młodsza od Teobalda, brakowało jej wtedy jeszcze kilku lat do pięćdziesiątki, a z powodzeniem mogła dożyć osiemdziesięciu pięciu, a nawet do dziewięćdziesięciu lat. Zważywszy te okoliczności nie warto było zbyt boleśnie szarpać sobie nerwów sprawą jej majątku, więc braterstwo uniewinnili swe sumienie od tego kłopotu, mówiąc obrazowo bez zwrotu kosztów, lecz zakładali jednocześnie, że gdyby Aletei przytrafiło się coś złego jeszcze za ich życia, majątek po niej, rzecz jasna, przejdzie w ich posiadanie.

Perspektywa częstych kontaktów Aletei z Ernestem była jednak sprawą nader poważną. Krystyna z daleka, zwęszyła jakiś podstęp, a trzeba przyznać, że udawało się jej to bardzo często. Krystyna uważała Aleteę za kobietę skażoną pokusami doczesnymi — oczywiście nie potępiała jej absolutnie, bo bądź co bądź była przecież siostrą Teobalda. W liście do brata Aletea wyraziła

się, że doskonale zdaje sobie sprawę, jak nieustanną troską o dobro syna przepelnione są myśli Teobalda i Krystyny. Aletea uważała ten zwrot za całkiem udany, ale Krystyna potrzebowała czegoś mocniejszego i bardziej soczystego.

— Skąd ona może wiedzieć, ile myśli poświęcamy naszemu najdroższemu malcowi? — zawołała, kiedy Teobald pokazał jej list siostry. — Sądzę, mój drogi, że Aletea daleko lepiej rozumiałaby się na tych sprawach, gdyby sama miała dzieci.

Minimalne wymagania Krystyny byłyby spełnione dopiero wtedy, gdyby jej powiedziano, że tak nadzwyczajnych rodziców jak ona i Teobald nigdy dotąd na świecie nie było. Czuła się nieswojo, że ciotka i bratanek mogą zawrzeć ze sobą przymierze, a ani ona, ani Teobald nie życzyli sobie, żeby Ernest miał w kimś sprzymierzeńca. W Józiu i w Karolinie miał w sam raz tylu sprzymierzeńców, ilu było mu potrzeba. Ostatecznie jednak nie mogli przeszkodzić Aletei w przeprowadzce do Roughborough, więc należało wyciągnąć z tego faktu tyle korzyści, ile tylko się dało.

Aletea miała się przeprowadzić do Roughborough za kilka tygodni. Znalaziono dom z kawałkiem gruntu i ładnym niewielkim ogrodem, który bardzo przypadł jej do gustu. „W każdym razie — powiedziała do siebie — będę miała świeże jajka i kwiaty.” Rozważała nawet kwestię trzymania krowy, ale koniec końców zrezygnowała z tego zamiaru. Umieblała swój dom od góry do dołu na nowo, nie zabierając jednak niczego z Gower Street, i na Św. Michała — dom stał pusty w momencie, kiedy go wynajmowała — była już wygodnie urządzona i zaczęła przyzwyczajać się do swego nowego mieszkania.

Jednym z pierwszych posunięć taktycznych panny Pontifex było zaproszenie kilkunastu najbardziej rozgarniętych i najlepiej ułożonych chłopców na śniadanie. Z miejsca, które zwykle zajmowała w kościele, miała możliwość obserwować twarze uczniów z wyższych klas i wkrótce wyrobiła sobie pogląd, którymi spośród nich należało specjalnie się zająć. Panna Pontifex, siedząc w kościele naprzeciwko tych chłopców i oceniając ich charaktery swymi bystrzymi oczami przysłoniętymi woalką, przy pomocy arsenału kobiecych kryteriów doszła w odniesieniu do większości chłopców, poddanych tej próbie, do wyników bardziej bliskich prawdy od tych, które udało się osiągnąć samemu drowi Skinnerowi. Zakochała się w pewnym chłopcu na sam widok, że wciąga rękawiczki.

Panna Pontifex, jak już wspomniałem, wzięła za pośrednictwem Ernesta kilku młodzieńców pod swe opiekuńcze skrzydła i karmiła ich świetnie. Żaden chłopiec nie zdoła oprzeć się zacnej i w dodatku przystojnej kobiecie, u której może porządnie się najeść. Pod tym względem chłopcy są bardzo podobni do miłutkich piesków — daj im kość, a natychmiast cię polubią. Aletea użyła tysiąca przeróżnych niewinnych kruczków, żeby zdobyć nad chłopcami władzę, a tym samym zapewnić ich poparcie dla bratanka. Dowiedziała się o pewnym klubie piłki nożnej, który znalazł się w przejściowych trudnościach finansowych, i natychmiast ofiarowała pół suwerena, żeby pomóc mu w ich przezwyciężeniu. Chłopcy byli wobec niej zupełnie bezbronni i jeden po drugim, niby uśpione bażanty, padali jej łupem. Zresztą sama też nie wyszła z tego cało, ponieważ w co najmniej tuzinie chłopców — powtarzam jej własne słowa — o mały włos nie zakochała się po uszy.

— Są daleko sympatyczniejsi — stwierdziła — i daleko więcej umieją od tych, którzy mienią się ich nauczycielami.

Zdaje mi się, że stosunkowo nie tak dawno wystąpiono z poglądem, że w gruncie rzeczy tylko młodzi i niewinni są naprawdę starzy i naprawdę doświadczeni, ponieważ tylko oni posiadają tak żywą pamięć, że może być ich przewodnikiem. „Cały urok młodości — tak ujęto ten problem — tkwi w jej przewadze nad starością pod względem doświadczenia, i jeżeli zdarzy się, że z jakiegoś powodu to doświadczenie zawodzi lub jest niewłaściwie zastosowane, ów czar

natychmiast pryska. Zamiast mówić, że starzejemy się, powinniśmy raczej głosić, że z wiekiem odnawiamy się i odmładzamy coraz bardziej oraz że cierpimy na coraz większy brak doświadczenia. Zabieramy się bowiem do robienia rzeczy, których nigdy nie robiliśmy, radząc sobie z nimi coraz gorzej, aż wreszcie dochodzimy do stanu zupełnej niemocy, która jest śmiercią."

Panna Pontifex zmarła na wiele lat przed tym, zanim to zostało napisane, ale zupełnie samodzielnie doszła do bardzo podobnych wniosków.

Wychodząc ze wspomnianego założenia w pierwszym rządzie zdobyła sympatię chłopców. Z drem Skinnerem dała sobie radę jeszcze łatwiej. Zaledwie panna Pontifex zdążyła się urządzić na nowym gospodarstwie, państwo Skinner złożyli jej wizytę. Całkowicie wyprowadziła go w pole i nie zaniedbała uzyskać obietnicy, że podaruje jej manuskrypt jednego ze swych pomniejszych utworów poetyckich (dr Skinner cieszył się opinią jednego z najbardziej gładkich i eleganckich spośród naszych pomniejszych poetów) na pamiątkę jego pierwszej wizyty u niej. Nie zapomniała o innych nauczycielach i żonach nauczycieli. Aletea uwzięła się, żeby się podobać, co było u niej normalne, gdziekolwiek się znalazła, a każda kobieta, która chce się podobać, z reguły ten cel osiąga.

ROZDZIAŁ XXXIV

Po jakimś czasie panna Pontifex stwierdziła, że Ernest stroni od gier sportowych, lecz nie uszło jej uwagi, że jego niechęć do sportu była w znacznym stopniu uzasadniona. Zbudowany był bardzo proporcjonalnie, ale jednocześnie stanowił niezwykle okaz braku siły fizycznej. W latach późniejszych nabral wprawdzie nie byle jakiej tężyzny, ale doszedł do niej daleko później od innych chłopców. W okresie, który teraz opisuję, był po prostu nędznym szkielecikiem. Potrzebował czegoś, co, wywierając korzystny wpływ na rozwój jego ramion i klatki piersiowej, nie dawałoby okazji do szturchańców, które obrywał w czasie gier szkolnych. Nic więc tak bardzo nie leżało Aletei na sercu jak znalezienie dla niego takiej rozrywki, która spełniając wspomniane warunki sprawiłaby mu jednocześnie prawdziwą przyjemność. Wiosłowanie było pod każdym względem odpowiednie, ale złożyło się tak nieszczęśliwie, że w Roughborough nie było rzeki.

Cokolwiek miało to być, trzeba było postarać się o coś, co polubi tak bardzo, jak jego koledzy lubią piłkę nożną i krykiet. Co więcej, powinien być wewnętrznie przekonany, że on sam jest autorem owego pomysłu. Niełatwo było wymyślić coś takiego, co spełniało tak skomplikowane wymagania, ale niebawem przyszło jej na myśl, że może wykorzystać dla swego planu zamiłowanie Ernesta do muzyki, i pewnego dnia, kiedy miał kilka godzin wolnych, które spędzał w jej domu, zadała mu pytanie, czy chciałby, żeby kupiła organy, na których mógłby ćwiczyć. Chłopak, rzecz prosta, odpowiedział twierdząco, a wtedy opowiedziała mu o swoim dziadku i jego organach, które sam sobie zbudował. Ernestowi na myśl nigdy nie przyszło, że mógłby je sam własnoręcznie wykonać, ale kiedy ze słów ciotki wywnioskował, że jest to całkiem realne, złapał przynętę tak łapczywie, jak tego pragnęła, i zapalił się do nauki posługiwania się piłą i heblem, żeby jak najszybciej przystąpić do wykonania drewnianych piszczałek.

Panna Pontifex uznała, że nic lepszego na pewno już się nie trafi, a w dodatku bardzo przypadło jej do gustu, że chłopak przy sposobności nauczy się stolarki, ponieważ była — być może całkiem nierozsądnie — przepojona wielkim uznaniem dla mądrości niemieckiego zwyczaju, który wymagał, żeby każdy chłopiec nauczył się jakiegoś rzemiosła.

W liście, który od niej otrzymałem, tak sprecyzowała swój pogląd na tę sprawę:

Wolny zawód jest dobry tylko dla tych, którzy mają stosunki i wpływy, a także i kapitał, gdyż w przeciwnym razie jest rujnującą zabawą. Iluż jest takich ludzi, znanych Tobie i mnie, którzy mając talent, wytrwałość, doskonale wyczucie rzeczywistości, szybkość decyzji, czyli wszystkie zalety, które powinny im zapewnić powodzenie, żyją z roku na rok oczekiwaniem i płonną nadzieją na pracę, której nigdy nie dostaną? Czy jest prawdopodobne, żeby kiedykolwiek ją dostali, jeżeli nie mają stosunków ani odziedziczonych, ani nabytych w drodze małżeństwa? Ojciec i matka Ernesta nie mają żadnych stosunków, a gdyby nawet je mieli, nie zrobiliby z nich użytku. Wydaje mi się, że wykierują Ernesta na duchownego, a w każdym razie podejmą próbę w tym kierunku — i wcale nie jest wykluczone, że byłoby to dla niego najlepsze rozwiązanie, ponieważ stać go będzie na kupno jakiejś parafii kościelnej za pieniądze, które zapisał mu dziadek, ale dotąd nie wiadomo, jak chłopiec będzie się na to zapatrywał, kiedy nadejdzie czas decyzji, a może z równym powodzeniem mieć ochotę na wyjazd do amerykańskiej puszczy, co robi dziś tylu młodych ludzi.

Jak na razie, miał ochotę zmajstrować sobie organy, co nie mogło mu zaszkodzić, a więc nie należało odwlekać realizacji tego projektu.

Aletea doszła do przekonania, że oszczędzi sobie w przyszłości kłopotów, jeżeli zawiadomi brata i bratową o organowym projekcie.

Sądzę — pisała — że dr Skinner nie będzie zachwycony moim zamiarem wprowadzenia budowy organów do *curriculum* miasta Roughborough, ale postaram się jakoś sobie z nim poradzić, bo bardzo zależy mi na tym, żebym mogła mieć organy własnoręcznie wykonane przez Ernesta. Będzie mógł na nich grać, ile zapragnie, dopóki będą stać w moim domu, a kiedy będzie miał już swój własny dom, wypożyczę mu je na stałe. Na razie pozostaną moją własnością, bo zamierzam pokryć koszt ich budowy.

Chodziło o to, żeby dać do zrozumienia Teobaldowi i Krystynie, że nie będą musieli przy tej okazji sięgać do własnej kieszeni.

Czytelnicy łatwo odgadną, co powiedzieliby rodzice Ernesta na tę propozycję, gdyby Aletea była tak uboga jak panny Allaby; gdyby jednak była tak biedna jak one, nie wystąpiłaby naturalnie z takim projektem. Byli niezadowoleni, że akcje Ernesta w oczach ciotki zaczynają iść w górę, ale tak czy owak lepiej było pogodzić się z jego sukcesami niż wpędzić Aleteę w objęcia Janostwa Pontifexów.

— O ile waham się w tej sprawie — powiedział Teobald — to tylko z tego jednego powodu, że chłopiec może wplątać się w nieodpowiednie towarzystwo, jeżeli w dalszym ciągu będzie rosło jego zamiłowanie do muzyki — zamiłowanie, do którego Teobald zawsze czuł szczerą odrazę. Z przykrością zauważył, że Ernest wykazuje dość silny pociąg do pospolitego towarzystwa, więc może się zdarzyć, że zawrze znajomość z ludźmi takiego pokroju, którzy splamią jego niewinność. Krystyna wzdrygnęła się na tę myśl, ale kiedy przewietrzyli wszystkie swe skrupuły moralne, uświadomili sobie (a kiedy ludzie zaczynają „uświadamiać sobie”, nieodmiennie decydują się pójść w takim kierunku, który jest w ich przekonaniu mniej wzniosły), że sprzeciw przeciwko projektowi Aletei mógłby wpłynąć na przyszłość ich syna bardziej niekorzystnie, niż to się godziło, więc udzielili swego przyzwolenia, lecz nie bardzo łaskawie.

Po jakimś czasie Krystyna zżyła się z myślą o organach Ernesta i niebawem oddała się temu pomysłowi z właściwym sobie zapałem. Gdyby panna Pontifex była obligacją towarzystwa kolei żelaznej, można byłoby rzec, że przez kilka dni notowano w Battersby gwałtowną zwyżkę jej kursu. Trwała hossa nie wchodziła w rachubę, lecz przez parę dni tendencja zwyżkowa istotnie była bardzo mocna. Zainteresowanie Krystyny skoncentrowało się na samych organach. Była nimi tak przejęta, jak gdyby zbudowała je własnymi rękami. Nie ma w Anglii drugich organów, które jednoczyłyby taką subtelność tonu i taką potęgę brzmienia. Oto sławny dr Walmisley z Cambridge — słyszała jego wzruszony głos najwyraźniej w świecie — bierze je za robotę samego ojca Smitha. Dostaną się w końcu bez wątpienia kościołowi w Battersby, w którym nie było organów. Pomysł Aletei zatrzymania instrumentu u siebie jest z gruntu bezsensowny, a Ernest do końca swego życia nie będzie miał własnego domu. Na plebanii nie ma na organy miejsca, a więc rozumie się samo przez się, że jedynym miejscem stosownym dla nich jest kościół w Battersby.

Uroczystość oddania organów do użytku kościoła będzie naturalnie bardzo podniosła i na pewno przyjedzie biskup, a może złoży się tak szczęśliwie, że młody Figgins, który właśnie będzie u nich z wizytą — musi zapytać się Ernesta, czy Figgins wyjechał już z Roughborough — namówi swego dziadka, lorda Lonsforda, żeby zaszczylił to wielkie święto swą obecnością. Lord Lonsford i biskup, i wszyscy obecni będą składali jej gratulacje, a dr Wesley lub dr Walmisley (albo pierwszy, albo drugi, bo to nie miało znaczenia), który będzie przewodniczył uroczystości, powie do niej: „Droga pani, nie zdarzyło mi się

. dotąd grać na tak wspaniałym instrumencie." Wtedy ona odwzajemni mu się jednym ze swych najbardziej uroczych uśmiechów i odpowie, że to na pewno tylko komplement, a on z

galanterią zrewanżuje się zgrabną aluzją, że matki niezwykłych ludzi (tym niezwykłym człowiekiem był chwilowo Ernest) są zawsze niezwykłymi kobietami — i tak dalej, i tak dalej. Samochwalstwo ma tę wielką zaletę, że możemy go sobie nie żałować i posmarować się nim dokładnie tam, gdzie jest nam najprzyjemniej.

Teobald napisał do Ernesta zwięzły i cierpki list a propos projektu ciotki.

Nie chcę wypowiadać swego ostatecznego zdania — zadeklarował — czy w ogóle coś z tego wyjdzie. Zależć to będzie tylko od Twego własnego wysiłku. Miałeś jak dotąd wszelkie ułatwienia, a Twoja ciotka okazuje Ci najdalej idące względy, ale musisz dać dowody takiej wytrwałości i stałości charakteru, jakich dotychczas nie dawałeś, bo w przeciwnym razie cała ta organowa historia okaże się jeszcze jednym rozczarowaniem.

Ja nalegam na dwie rzeczy: po pierwsze, że z racji tego nowego przedsięwzięcia nie możesz zaniedbać swej łaciny i greki („Ani nie są moje — pomyślał Ernest — ani nigdy moimi nie były.”), a po drugie, żebyś nie zawlókł do naszego domu odoru kleju i trocin, jeżeli zechcesz robić jakąś część organów w czasie wakacji.

Ernest był jeszcze za mały, żeby zrozumieć, jak niemiły był list, który otrzymał od ojca. Uważał, że zawarte w nim aluzje są całkowicie usprawiedliwione. Zdawał sobie doskonale sprawę, że grzeszył brakiem wytrwałości. List ojca przyprowadził go o atak melancholijnych medytacji, które nawiedzały go często na temat własnej nicości, ale tym razem pocieszała go myśl o organach i był całkiem pewny, że nareszcie ma w perspektywie takie zajęcie, do którego systematycznie się przyłoży i którym się nie znudzi.

Uradzono, że do budowy organów przystąpi dopiero po feriach Bożego Narodzenia i że do tego czasu będzie się wprawiać w najprostszych robotach stolarskich, żeby nauczyć się posługiwania narzędziami. Panna Pontifex ulokowała warsztat w przybudówce na swej własnej posesji i umówiła się z najbardziej szanowanym stolarzem w Roughborough, że jeden z jego ludzi będzie przychodził dwa razy w tygodniu na kilka godzin, żeby dać Ernestowi wskazówki, co i jak należy robić. Potem dokonała odkrycia, że w jej domu trzeba wykonać takie czy inne proste roboty stolarskie, więc dała chłopcu na nie zamówienie, płacąc mu przyzwoicie, a także dostarczając narzędzi i materiałów. Nigdy nie udzielała mu dobrych rad ani nie mówiła mu, że wszystko zależy od jego wysiłku, ale często go całowała i przychodząc do warsztatu tak znakomicie udawała zainteresowanie dla wszystkiego, co się tam działo, że niebawem zaczęła interesować się tym naprawdę.

Pokażcie mi chłopca, który przy tak serdecznej pomocy nie zabrałby się z zapalem niemal do każdej roboty. Każdy chłopiec lubi majstrować. Piłowanie desek, heblowanie, przybijanie gwoździ okazało się w sam raz takim ćwiczeniem fizycznym, jakiego ciotka dla niego szukała, ponieważ wymagało pewnego, zresztą niewielkiego, wysiłku i jednocześnie robiło mu przyjemność. Kiedy ziemista twarz Ernesta nabierała rumieńców przy robocie, a oczy rozjaśniały się iskierkami radości, zmieniał się tak nie do poznania, że niczym nie przypominał mizeraka, którego ciotka Aletea zaledwie kilka miesięcy temu wzięła w swe ręce. Wewnętrzne „ja” Ernesta nigdy nie nazwało jego obecnego zajęcia szachrajstwem, choć łacinie i grece nie żałowało tego epitetu. Robienie sprzętów i zbijanie szuflad było rozkoszą, dla której warto było żyć, a zaraz po Bożym Narodzeniu świeciła nadzieja na organy, o których niemal nigdy nie przestawał myśleć.

Ciotka pozwalała mu zapraszać do siebie kolegów, zachęcając go do sprowadzenia w pierwszym rzędzie tych chłopców, których towarzystwo z właściwą sobie szybką orientacją uznała za najbardziej dla niego pożądane. Doprowadziła jego wygląd zewnętrzny do pewnej ogłady, oszczędzając mu stosownych w takiej okazji kazań. Istnych cudów zdołała dokonać w tak krótkim czasie, jaki był jej pisany, i nie mogę opędzić się myśli, że życie mego bohatera, gdyby nie zabrała jej przedwczesna śmierć, ułożyłoby się całkiem inaczej i nie zawisłoby nad

nim chmura, która rzuciła tak ponury cień na jego wczesne lata męskie. Ale na nieszczęście dla niego ów promień słońca był za gorący i za świetny, żeby mógł być trwały, i niejedną nawałnicę musiał jeszcze w życiu przetrwać, zanim zaczęło mu się dobrze powodzić. Na razie był upojony szczęściem, a jego ciotka była szczęśliwa i wdzięczna za szczęście, za poprawę, które w nim widziała, i za żywiołowe uczucie, którym ją darzył. Z dnia na dzień stawał się jej coraz bliższy, mimo jego wielkich wad i zupełnie niebywalej naiwności. Może właśnie dlatego, że był taki, a nie inny, spostrzegła, jak bardzo jest mu potrzebna. W każdym razie, z takiej czy innej przyczyny, jeszcze mocniej ugruntowała swe przekonanie, że chce mu zastąpić rodziców i mieć w nim raczej syna niż bratanka. Jak dotąd jednak nie zrobiła jeszcze testamentu,

ROZDZIAŁ XXXV

Do połowy następnego roku wszystko układało się pomyślnie. Panna Pontifex większą część wakacji spędziła w Londynie, a ja widziałem się z nią także w Roughborough, gdzie bawiłem kilka dni, zatrzymując się w hotelu „Pod Łabędziem”. Nasłuchałem się o moim chrześniaku co niemiara, choć ten temat zajmował mnie wówczas mniej, niż się do tego przyznawałem. W owym czasie najwięcej interesowałem się teatrem i w duchu złościłem się trochę na Ernesta, że tak bardzo absorbuje i odciąga swą ciotkę od Londynu. Budowa organów została rozpoczęta i postęp w ciągu dwóch pierwszych miesięcy był nie najgorszy. Ernest nigdy dotąd nie był tak szczęśliwy i zawzięcie piał się wzwyż. Najbardziej wartościowi chłopcy przez wzgląd na jego ciotkę zaczęli zwracać na niego większą uwagę, a on mniej zadawał się z tymi kolegami, którzy sprowadzali go na złe drogi.

Panna Pontifex osiągnęła bardzo dużo, ale przecież nie mogła od razu odrobić wszystkich następstw wpływu otoczenia, w jakim chłopiec przebywał w Battersby. Wprawdzie bał się i nie lubił swego ojca (jakkolwiek nie zdawał sobie jeszcze sprawy, jak silne było to uczucie), ale miał z nim wiele cech wspólnych. Gdyby Teobald był dla niego lepszy, Ernest bez żadnych zastrzeżeń wziąłby go sobie za ideał postępowania i prawdopodobnie z łatwością dałby się ulepić na małego, do szpiku kości przemądrzałego zarozumialca.

Na szczęście wziął usposobienie po matce, która w chwilach, kiedy nie bała się i kiedy na widnokregu nie było niczego, co mogłoby pokrzyżować najbardziej błahy kaprys jej małżonka, była miłą, poczciwą kobietą. Wiem, że nie można nic gorszego powiedzieć o człowieku, lecz nie mogę się powstrzymać, żeby nie rzec, że chciała dobrze.

Ernest odziedziczył po matce zarówno skłonność do budowania zamków na lodzie, jak i — nie znam na to lepszego określenia — jej próżność. Bardzo lubił popisywać się, a jeżeli mógł zwrócić na siebie uwagę, nie obchodziły go ani osoby, ani powody, które w grę wchodziły w danej sytuacji. Jak papuga przyswajał sobie każdy nonsens, który usłyszał z ust starszych, i nie dopatrując się w nim niczego niestosownego, popisywał się tym głupstwem na lewo i na prawo, jak gdyby sam go wymyślił.

Panna Pontifex żyła dostatecznie długo i była dostatecznie mądra, żeby wiedzieć, że taka jest droga, którą nawet najwięksi z ludzi zaczynają swój marsz ku wielkości, i bardziej była zadowolona, że chłopak posiada rozwiniętą zdolność przyswajania i odtwarzania, niż zaniepokojona tym, co sobie przyswajał i co odtwarzał.

Wiedziała, że był do niej bardzo przywiązany, i w tym ponad wszystko inne pokładała całą nadzieję. Wiedziała także, że jego zarozumiałstwo jest powierzchowne, i nie uszło jej uwagi, że napady samoponiżenia przeżywa tak samo krańcowo jak chwile triumfu. Jego popędliwość i bezkrytyczne zaufanie do każdego człowieka, który obdarzył go gładkim uśmiechem, ba, do wszystkich, którzy nie byli dla niego zdecydowanie źli, przejmowały ją lękiem bardziej niż jakakolwiek inna cecha jego charakteru i przewidywała, że nieraz w życiu brutalnie się sparzy, zanim nauczy się w porę odróżniać przyjaciela od wroga. Te spostrzeżenia skłoniły ją do powzięcia decyzji, w obliczu której stanęła w bliskiej przyszłości.

Cieszyła się pod każdym względem znakomitym zdrowiem i nigdy w życiu nie przeszła żadnej poważnej choroby. Pewnego ranka, wkrótce po świętach wielkanocnych roku 1850, po obudzeniu się ze snu poczuła się zdecydowanie źle. Od jakiegoś czasu szerzyła się pogłoska o epidemii, która podobno grasowała w okolicy, ale w owych czasach nie znano się tak dobrze jak dziś na środkach zapobiegających szerzeniu się chorób zakaźnych, toteż zachowywano się

biernie. Po kilku dniach stało się zupełnie jasne, że panna Pontifex zachorowała na tyfus brzuszny, a lekarz uznał jej stan za bardzo poważny. Wobec takiej diagnozy wysłała do miasta umyślnego posłańca i zabroniła mu wracać bez adwokata i beze minie. Kiedy przybyliśmy na miejsce, to jest po południu tego samego dnia, w którym zostaliśmy wezwani, była jeszcze przytomna, a przyjęła nas tak pogodnie, że nie mogło nam pomieścić się w głowie, iż jej życie znajduje się w niebezpieczeństwie. Panna Pontifex, nie tracąc ani chwili, wyjaśniła nam swe życzenia, które dotyczyły, jak przewidywałem, jej bratanek, i w skrócie powtórzyła powody stanowiące — jak przed chwilą wspomniałem — główne źródło jej niepokoju o Ernesta. Następnie, wskazując na okoliczność, że jej życiu zagraża bezpośrednio niebezpieczeństwo, wobec którego jest zupełnie bezradna, zwróciła się do mnie, w imię naszej długoletniej i tak bliskiej przyjaźni, z gorącą prośbą, ażebym zgodził się na wypadek jej śmierci na powierzenie mi depozytu, którego forma i charakter, jak doskonale wiedziała, będą dla mnie tak przykre, że aż odstręczające.

Pragnęła, żebym pozornie figurował jako jej główny spadkobierca, jakkolwiek w rzeczywistości będzie nim jej bratanek, oraz nalegała, żebym zgodził się zarządzać powierzonym mi depozytem aż do czasu, kiedy Ernest skończy dwadzieścia osiem lat. Do tej chwili ani on, ani nikt, poza adwokatem i mną nic o tym układzie wiedzieć nie może. W testamencie ustanowi legaty na pięć tysięcy funtów, a Ernestowi zapisze piętnaście tysięcy funtów, które, zanim skończy dwadzieścia osiem lat, urosną do kwoty około trzydziestu tysięcy funtów.

— Sprzedaj papiery, w których są teraz ulokowane — oświadczyła — i kup „Midland Ordinary”. — Niech robi błędy — powiedziała — na pieniądzech, które zapisał mu dziadek. Nie jestem prorokiem, ale nawet dla mnie jest całkiem jasne, że temu chłopcu trzeba wielu lat, zanim zacznie widzieć świat w takim świetle, w jakim widzą go jego bliźni. Gdybym już dziś zapisała mu moje pieniądze, matka i ojciec nie podaliby mu ręki w potrzebie, ponieważ nie potrafiliby, synowi przebaczyć, że poszczęściło mu się w życiu. Obym się myliła, ale jestem przekonana, że Ernest musi stracić niemal wszystko, co posiada, zanim nauczy się utrzymać to, co dostanie ode mnie.

W przypadku, gdyby spotkało go bankructwo, zanim skończy dwadzieścia osiem lat, majątek miał przejść na moją wyłączną własność, ale Aletea miała do mnie zaufanie, że we właściwym czasie przekazaę go Ernestowi.

— Jeżeli — ciągnęła dalej — pomyliłam się, nic gorszego nie może z tego wyniknąć poza tym jednym, że dojdzie do większej sumy pieniędzy mając dwadzieścia osiem lat zamiast do mniejszej w wieku, dajmy na to, dwudziestu trzech lat, bo za nic w świecie nie dałabym mu ich wcześniej. Jeżeli nic o nich nie będzie wiedział, nie będzie się czuł nieszczęśliwy z powodu ich braku.

Zwróciła się do mnie z prośbą, żebym zechciał przyjąć dwa tysiące funtów tytułem rekompensaty za kłopoty, które będę miał w związku ze sprawowaniem pieczy nad majątkiem jej bratanek. Dodała również, iż zapisując mi ten legat pragnie dać wyraz nadziei, że będę czuwać nad chłopcem teraz i później, aż do czasu, kiedy dorośnie i stanie na własnych nogach. Pozostałe trzy tysiące funtów miałem wypłacić w formie legatów i rent przyjacielom i służbie.

Na próżno adwokat i ja przedkładaliśmy jej argumenty, że proponowany przez nią układ z samej istoty jest niepowszedni i nader ryzykowny. Powiedzieliśmy jej bez ogródek, że żaden człowiek rozsądny nie waży się oceniać natury ludzkiej bardziej optymistycznie, niż oceniają ją sądy koronne. Powiedzieliśmy naprawdę wszystko, co każdy powiedziałby na naszym miejscu. Przyznała rację wszystkim naszym wywodom, lecz nalegała, że czasu zostało jej mało, a za nic nie zgodzi się na zapisanie bratankowi swego majątku według zasad ogólnie przyjętych.

— Testament jest niewyczajnie nedorzeczny — stwierdziła — ale chłopak jest także

niezwyczajnie niedorzeczny — i niemal radośnie roześmiała się ze swego żarciku. Była zawsze bardzo uparta, kiedy powzięła jakąś decyzję, i nie ustępowała pod tym względem innym członkom swej rodziny. Postąpiliśmy więc zgodnie z jej woja.

Nie było żadnego zastrzeżenia na wypadek mojej śmierci albo śmierci Ernesta, bowiem panna Pontifex postanowiła, że żaden z nas nie umrze, a była za bardzo chora, żeby wchodzić w szczegóły, co więcej — tak bardzo denerwowała się, żeby podpisać testament, zanim straci świadomość, że musieliśmy, nie widząc innej drogi wyjścia, zastosować się do jej życzeń. Zapewniła nas, że sprawa zostanie skierowana na Hardziej właściwe tory, jeżeli uda się jej przezwyciężyć chorobę, na razie jednak dalsza dyskusja na ten temat *może* tylko osłabić jej szanse powrotu do zdrowia. Wszystko aż zbyt wyraźnie przemawiało, że albo będzie taki testament, albo nie będzie żadnego.

Kiedy podpisała swą ostatnią wolę, napisałem od siebie list w dwu jednobrzmiących egzemplarzach, w którym zawarłem oświadczenie, że majątek zapisany mi w testamencie przez pannę Pontifex został powierzony mojej pieczy jako depozyt na rzecz Ernesta, który nie będzie mógł wejść w posiadanie spadku ani też bezpośrednio lub pośrednio dowiedzieć się o jego istnieniu przed dwudziestym ósmym rokiem życia. Wyraziłem również zgodę, że pieniądze przejdą na moją własność, gdyby przed dojściem do tego wieku Ernest został bankrutem. Pod treścią obu listów panna Pontifex napisała: „Taka była moja prawdziwa wola, kiedy sporządzałam testament”, i położyła swój podpis. Adwokat i jego urzędnik byli świadkami; jeden egzemplarz listu zachowałem dla siebie, a drugi wręczyłem adwokatowi panny Pontifex.

Kiedy jej woli stało się zadość, odetchnęła z ulgą. Mówiła przeważnie o swym bratanku.

— Nie rób mu wymówek — powiedziała — że jest chwiejny, że nieustannie bierze się to do tego, to znów do czegoś innego, jak gdyby tylko w tym celu, żeby zaraz jedno i drugie porzucić. W jakież inny sposób może poznać, swą siłę i swą słabość? Zawód i żona to dla mężczyzny całkiem dwie różne sprawy — stwierdziła i parsknęła krótkim, zjadliwym śmiechem, tak dobrze mi znanym — tylko żonę bierze sobie na zawsze, na złe i na dobre, bez wypróbowania zawczasu. Nie przeszkadzaj mu, niech błądzi z miejsca na miejsce, niech uczy się swoich zamiłowań, idąc śladem własnych odkryć, aż sam kiedyś złapie się na tym, co najbardziej go pociąga. Wtedy pozwól mu, niech przy tym zostanie, ale śmiem twierdzić, że Ernest usatkuje się dopiero, jak będzie miał czterdzieści, może czterdzieści pięć lat, a jeżeli okaże się takim chłopcem, jakim ufam, że jest, wszystkie jego wiarołomstwa wyjdą mu wtedy na dobre.

Co najważniejsze — ciągnęła — nie pozwól mu, żeby zapracował się do kresu sił więcej niż raz albo dwa razy w życiu, ponieważ tylko to można zrobić dobrze i tylko takiej roboty warto podjąć się w życiu, która pod każdym względem przychodzi człowiekowi całkiem łatwo. Teobald i Krystyna daliby mu świeczkę na drogę i niech szuka siedmiu koszmarnych cnót — i znowu roześmiała się w swój zwykły sposób, tak szydery i tak czarujący. — Jeżeli lubi naleśniki, to radzę mu szczerze, żeby je jadł w tłusty czwartek, ale więcej wymagać nie trzeba. To były ostatnie zrozumiałe słowa, które powiedziała. Od tej chwili stan jej stale się pogarszał i nie przestała majaczyć" aż do samej śmierci.. Zmarła w niespełna dwa tygodnie ku niewypowiedzianemu żalowi wszystkich, którzy ją znali i kochali.

ROZDZIAŁ XXXVI

Zawiadomiono listownie braci i siostry panny Pontifex o jej chorobie, a oni, wszyscy bez wyjątku, co tchu przyjechali do Roughborough. Zanim zdążyli przyjechać, biedna Aletea zaczęła już majaczyć, a przez wzgląd na spokój jej ostatnich chwil jestem niemal zadowolony, że już nie odzyskała przytomności.

Znałem tych ludzi prawie od urodzenia, znałem ich tak dobrze, jak można znać tylko tych, z którymi w dzieciństwie bawiło się w piasku. Wiedziałem, jak okropnie obrzydzały jej życie — być może Teobald najmniej, lecz nie zmienia to faktu, że cała rodzina dokuczała jej mniej lub więcej aż do śmierci ojca, kiedy wreszcie została panią swego losu — więc patrzyłem z niechęcią, jak zjeżdżali kolejno do Roughborough i dopytywali się, czy siostra odzyskała przytomność na tyle, żeby mogła ich jeszcze zobaczyć. Wiadomo było, że Aletea wezwała mnie natychmiast, kiedy poczuła się źle, i że potem zostałem już w Roughborough, i muszę przyznać, że brała mnie pasją na gęstą atmosferę podejrzeń, utajonych pogroźek i dociekliwości, którą mnie otoczyli. Wszyscy z wyjątkiem Teobalda, jak mi się wydaje, najchętniej zignorowaliby bezapelacyjnie moją osobę, ale uważali, że wiem coś, czego oni nie wiedzą, i sądzili, że mogą mieć pewne widoki na dowiedzenie się tego ode mnie, ponieważ było całkiem jasne, że w jakiś sposób byłem powiązany z redakcją testamentu ich siostry. Nikt spośród nich nie podejrzewał, że ostatnia wola siostry będzie czystą fikcją, ale byli zaniepokojeni, ponieważ słyszeli, że panna Pontifex nosiła się z zamiarem zapisania swego majątku na cele społeczne. Jan powiedział mi w najuprzejmiejszej formie, na jaką potrafił się zdobyć, że słyszał, o ile pamięć nie sprawia mu zawodu, jak jego siostra mówiła, iż zamierza przeznaczyć majątek po swojej śmierci na utworzenie fundacji dla niesienia pomocy autorom dramatycznym znajdującym się w potrzebie. Pytanie pozostawiłem bez odpowiedzi i nie mam żadnej wątpliwości, że jego podejrzania pogłębiły się jeszcze bardziej.

Kiedy nastąpił koniec, skłoniłem adwokata panny Pontifex, żeby pisemnie poinformował jej braci i siostry, w jaki sposób rozporządziła swym majątkiem. Wpadli w furję, czemu nie można się dziwić, i rozjechali się każde z osobna do swych domów, nie zostając na pogrzebie i nie racząc zwrócić na mnie najmniejszej uwagi. Nie mogli mi zrobić większej przysługi, bo ich zachowanie doprowadziło mnie do takiej pasji, że z samej radości, jaką sprawił mi widok ich bezsilnej wściekłości, niemal pogodziłem się z ostatnią wolą Aletei. Im więc zawdzięczam, że przestałem odnosić się do testamentu z najwyższą odrazą, jakkolwiek postawił mnie w sytuacji, której nade wszystko w świecie pragnąłem uniknąć, i na domiar złego obarczył tak poważną odpowiedzialnością. Obecnie jednak nie miałem już żadnej możliwości odwrotu i musiałem pogodzić się z tym, że wypadki potoczą się takim torem, jaki był im pisany.

Panna Pontifex wyraziła życzenie, żeby pochowano ją w Paleham, a więc w ciągu kilku najbliższych dni przewiozłem jej ciało do tej miejscowości. Nie byłem w Paleham od śmierci mego ojca, a było to jakieś sześć lat temu. Nieraz miałem ochotę tam pojechać, ale ogarniał mnie przed tym jakiś lęk, choć moja siostra była tam dwa, a może trzy razy. Nie mogłem znieść myśli, że w domu, który przez tyle lat był moim domem rodzinnym, mieszkają teraz obcy ludzie i że wchodząc muszę dzwonić ceremonialnie, choć nigdy nie dzwoniłem z wyjątkiem lat chłopięcych, kiedy pociągałem dzwonek dla psoty. Chciałem uniknąć rozczarowania, że nie mam żadnych praw do ogrodu, w którym w dzieciństwie nabierałem tyle bukietów, a który już jako dorosły mężczyzna przez wiele lat uważałem za swój własny. Ponad moje siły było rozglądać się po pokojach, obdartych ze wszystkich znajomych szczegółów, i mimo ich swojskości czuć się w

nich nieswojo. Gdyby znalazł się jakiś dostateczny powód, z całą pewnością wziąłbym rzecz bardzo po prostu i bez wątpienia doszedłbym do wniosku, że w mych przewidywaniach widziałem to wszystko w bardziej czarnych kolorach, niż było w istocie. Nie miałem jednak dotąd żadnego specjalnego powodu, żeby wybrać się do Paleham, więc tego unikałem. Obecnie wyjazd stał się koniecznością i przyznaję, że nigdy nie czułem się tak przybity jak w chwili, kiedy przyjechałem tam razem z mą zmarłą towarzyszką zabaw dziecięcych.

Zmiany, które zastałem w miasteczku, przeszły moje oczekiwania. Doprowadzono linię kolejową, a na miejscu domostwa starych państwa Pontifexów stał żółty, murowany budynek stacji kolejowej, całkiem nowusieńki. Pozostał tylko warsztat stolarski. Widziałem wiele twarzy, dobrze mi znajomych, ale odniosłem wrażenie, że nawet przez te sześć lat zdumiewająco się postarzały. Bardzo starzy poumierali, a starzy postarzelisi jeszcze bardziej i zajęli miejsca bardzo starych. Czułem się jak podrzutek z bajki, który wrócił po siedmiu latach snu. Wydawało mi się, że spotkanie ze mną zrobiło im przyjemność, choć nie dałem im nigdy żadnego powodu do tego, aby tak było, a wszyscy, którzy pamiętali jeszcze starych państwa Pontifexów, mówili o nich bardzo serdecznie i byli zadowoleni, że ich wnuczka pragnęła być pochowana obok nich. Kiedy przyszedłem na cmentarz i stanąłem w półmroku wietrznego, pochmurnego wieczoru na miejscu, które wybrałem dla Aletei, tuż obok grobu starej pani Pontifex, zamyśliłem się nad tym, ileż to razy dokładnie w tym miejscu dokazywaliśmy ze sobą w czasach naszych dziecinnych afektów, a teraz — teraz ona będzie tu spoczywać, a ja też będę musiał spocząć w podobnym, lecz innym miejscu, choć nie wiem jeszcze ani gdzie, ani kiedy.

Następnego ranka odprowadziłem ją do grobu, a później wzniosłem nad nim zwykłą, prostopadłą płytę starając się, żeby była jak najbardziej podobna do płyt, które stały nad grobami jej dziadka i babki. Podałem daty i miejsca jej urodzin i zgonu i nie dodałem ani słowa poza wzmianką, że pomnik został wzniesiony przez osobę, która ją znała i kochała. Wiedząc, jak bardzo lubiła muzykę, rozważałem przez jakiś czas, czy nie dać wykuć na płycie kilka taktów muzyki, gdybym zdołał wyszukać fragment stosowny do jej usposobienia. Wiedziałem jednak, że byłaby niezadowolona, gdyby jej grób wyróżniał się czymś szczególnym, więc porzuciłem ten zamiar.

Zanim jednak doszedłem do tego wniosku, pomyślałem sobie, że może Ernest będzie mógł pomóc mi w wyborze czegoś właściwego, więc napisałem do niego w tej sprawie.

Otrzymałem następującą odpowiedź:

Kochany Ojczy Chrzesny!

Posyłam Ci najlepszy urywek, jaki mi przychodzi na myśl. Jest to temat ostatniej z sześciu wielkich fug Haendla, a brzmi on tak:

Lepszy byłby dla mężczyzny, szczególnie dla smutnego starca, któremu bardzo było żal wszelakiego stworzenia, niż dla kobiety, ale nic lepszego nie przychodzi" mi do głowy. Jeżeli nie spodoba Ci się dla ciotki Aletei, zachowam go dla siebie.

Oddany chrzesny syn

Ernest Pontifex

Czy to ten sam pędrak, który potrafił sobie kupić cukierków za dwa pensy, a nie umiał ich kupić za dwa i pół pensa? Mój Boże, czy widzicie, jak te „niemówiątki" mijają nas i wyprzedzają bez żadnego wysiłku! Wybiera taki piętnastolatek epitafium dla siebie jak dla smutnego człowieka, „któremu bardzo było żal wszelakiego stworzenia", i to właśnie taką melodię jak ta — przecież ona byłaby dobra dla samego Leonarda da Vinci. Potem zakwalifikowałem go do kategorii zarozumiałych młokosów, co oczywiście nie podlegało dyskusji — lecz musimy pamiętać, że do tej kategorii należy wielu młodych ludzi w wieku Ernesta.

ROZDZIAŁ XXXVII

Wprawdzie w pierwszej chwili Teobald i Krystyna bez przesadnego zachwytu odnieśli się do wiadomości o opiece, jaką panna Pontifex otoczyła Ernesta, ale z całą pewnością jeszcze mniej byli zadowoleni, że związek między ciotką a bratankiem został przerwany tak przedwcześnie. Na podstawie własnych słów ich siostry — mówili na prawo i na lewo — mieli zupełną pewność, że była zdecydowana ustanowić Ernesta swym dziedzicem. Osobiście nie wierzę, żeby nawet w formie aluzji wspomniała im o swych zamierzeniach w tej materii. Teobald posunął się jeszcze dalej, dał bowiem do zrozumienia Ernestowi, że uczyniła to w liście, którego treść wkrótce zostanie ogłoszona, ale kiedy Teobald chciał być niemiły, byle drobiazg przybierał w jego wyobraźni takie rozmiary, jakie w danym momencie były mu wygodne. Jestem zdania, że aż do chwili, kiedy dowiedzieli się, że godziny Aletei są policzone, nie mieli wyrobionej opinii, jak zamierza rozporządzić swym majątkiem. Gdyby uznali za prawdopodobne, że Ernest zostanie jej dziedzicem, a im nie dostanie się w spadku nawet renta dożywotnia, zreflektowaliby się, jak wspomniałem wyżej, bardzo szybko i zaczęliby stawiać zapory na drodze dalszego zbliżenia między ciotką a bratankiem.

Nie przekreślało to jednak ich prawa do ubolewania, że ani oni, ani Ernest nie dostali w spadku po Aletei nawet jednego pensa, a mogli swe własne rozczarowanie zapisać na rachunek syna, ponieważ duma nie pozwalała im się przyznać, że sami zawiedli się boleśnie. Prawdę powiedziawszy, było to nawet ładnie z ich strony, że w tej sytuacji okazują rozczarowanie.

Krystyna orzekła, że testament został po prostu sfalszowany, i była przeświadczona, że można by go obalić, gdyby ona i Teobald zabrali się właściwie do tej sprawy. Teobald — perorowała — powinien pójść aż do samego lorda kanclerza, ale nie w drodze normalnego procesu sądowego, lecz prosto do jego gabinetu, gdzie mógłby całą sprawę dokładnie wyłożyć; a może byłoby lepiej, żeby ona poszła zamiast Teobalda — i nie odważyć się powierzyć memu pióru opisanie marzeń, które wywołał ten pomysł. Epilog tych marzeń, jak mi się zdaje, był taki, że Teobald umiera i lord kanclerz (który właśnie owdowiał kilka tygodni temu) oświadczył się o jej rękę, ale ona odmówiła mu stanowczo, lecz wcale nie ozięble. Zawsze będzie myślała o nim jako o swym przyjacielu — w tym momencie weszła kucharka z wiadomością, że przyszedł rzeźnik, więc prosi o dyspozycje, jakie mięso ma u niego zamówić.

Teobald, jak mi się wydaje, musiał wpaść na trop, że coś się kryje za tym, iż ja zostałem wyłącznym spadkobiercą Aletei, lecz nie wspomniał Krystynie o swych podejrzeniach ani jednym słowem. Był zły i uważał się za skrzywdzonego, ponieważ nie mógł wyładować swego niezadowolenia na Aletei i powiedzieć jej, co o niej myśli, tak samo, jak kiedyś nie mógł wyładować swego złego humoru na ojcu. „Cóż to za podłość ze strony tych ludzi — zawołał do samego siebie — wyrządzić komuś taką krzywdę, a potem nawet nie mieć odwagi spojrzeć pokrzywdzonemu prosto w twarz. W każdym razie trzeba wierzyć, że spotkam się z nimi w niebie.” Trapiły go jednak co do tego pewne wątpliwości, bo jeżeli ci nieszczęśnicy mają na sumieniu tak ciężki grzech, jakim jest krzywda, którą mu wyrządzili, to trudno było liczyć na to, że kiedykolwiek znajdą się w niebie. Myśl, że mógłby spotkać się z nimi w jakimś innym miejscu, nigdy nie powstała mu w głowie.

Na człowieku, który tak pienił się ze złości i w dodatku od lat nie był przyzwyczajony do najmniejszego sprzeciwu, można było polegać, że znajdzie kogoś, na kim pomści swoją krzywdę. Teobald już dawno zdołał wytworzyć sobie narząd, przy którego pomocy bez najmniejszego ryzyka i z największą satysfakcją osobistą potrafił dać upust złym humorom. Narzędziem tym, jak

niezwykle trudno zgadnąć, był Ernest. Udał się więc do Ernesta, żeby pozbyć się swego ciężaru, wprawdzie nie osobiście, lecz za pośrednictwem listu.

Powinieneś wiedzieć — pisał — że Twoja ciotka Aletea dała do zrozumienia Twej matce i mnie, iż jej gorącym pragnieniem było ustanowić Cię spadkobiercą, oczywiście tylko w tym przypadku, gdybyś swym postępowaniem zasłużył na jej zaufanie. Jak wskazują fakty, nie zapisała ci niczego, a cały majątek po niej dostał się Twemu ojcu chrzestnemu, panu Overtonowi. Twoja matka i ja skłonni jesteśmy wierzyć, że gdyby żyła dłużej, udałoby Ci się zasłużyć na jej dobrą opinię, ale trzeba było wcześniej o tym pomyśleć.

Ze stolarką i budową organów musisz natychmiast skończyć. Nigdy nie wierzyłem w ten projekt i nie widzę żadnego uzasadnienia do zmiany mego pierwotnego zdania. Dla Twego własnego dobra nie żałuję, że się to skończy, i jestem pewny, że Ty również w latach dojrzałych nie będziesz tego żałować.

Kilka słów na temat Twej przyszłości. Odziedziczyłeś, co, jak miemam, jest Ci wiadome, mały spadek, który zgodnie z ostatnią wolą Twego dziadka według litery prawa stanowi Twoją własność. Ów zapis został dokonany nierozważnie i domyślam się, że zawdzięcza swe istnienie w tej formie wyłącznie fałszywej interpretacji przez adwokata rzeczywistych intencji spadkodawcy. Intencją spadkodawcy było prawdopodobnie, aby wolno Ci było zrealizować legat dopiero po śmierci Twej matki i mojej. Jednakowoż w świetle literalnego brzmienia testamentu staniesz się prawnym właścicielem zapisu, jeżeli dożyjesz dwudziestu jeden lat. Trzeba jednak liczyć się ze znacznymi potrąceniami od tej sumy. Będzie to m. in. podatek spadkowy, a nie jestem pewien, czy nie przysługuje mi prawo do potrącenia wydatków poniesionych przez mnie na Twoją naukę i utrzymanie od twego urodzenia do pełnoletności. Według wszelkiego prawdopodobieństwa nie będę dochodził mych praw w całej rozciągłości, jeżeli będziesz się prowadził porządnie, ale nie ulega kwestii, że poważna kwota tak czy inaczej będzie musiała być potrącona. Jak z tego wynika, kapitał zmaleje bardzo poważnie, bo zostanie z niego jakieś tysiąc, a najwyżej, dwa tysiące funtów, i ta kwota będzie Twoją własnością — najdokładniejsze rozliczenie zostanie Ci przedłożone we właściwym czasie.

To jest wszystko, ostrzegam Cię jak najbardziej poważnie, że to jest wszystko, na co możesz ode mnie liczyć (nawet Ernest wiedział, że to wcale nie od Teobalda), w każdym razie do czasu mojej śmierci, która, o ile to się w ogóle da, przewidzieć, może być jeszcze o wiele lat odległa. Nie jest to duża suma, ale jest wystarczająca, jeżeli przyjdą jej w sukurs wytrwałość i gorliwość w dążeniu do postawionego sobie celu. Daliśmy Ci z matką imię Ernest, ażeby przypominało Ci nieustannie o...

Ale wiercie mi, przepisywanie tego słowotoku jest ponad moje siły. Była to stara wyświechtana sztuczka polegająca na żonglowaniu testamentem, a praktycznie chodziło o to, że Ernest jest nicponiem i jeżeli nie zmieni swego niegodziwego postępowania, będzie musiał wkrótce po ukończeniu szkoły, a w każdym razie po ukończeniu kolegium, wałęsać się po ulicach bez butów i żebrać na chleb. A w ogóle Teobald i Krystyna są nieziemsko dobrzy.

Po napisaniu tego listu Teobald poczuł się nastawiony do świata całkiem przyjaźnie i nie zwlekając posłał pani Thompson więcej wina i zupy, niż wynosiła jej normalna, wcale nie skąpa racja.

Ernest był do głębi, do żywego wstrząśnięty listem ojca. I pomyśleć, że nawet jego ciotka, jedyna osoba, którą ze wszystkich swoich krewnych naprawdę kochał, także odwróciła się od niego i miała o nim tak złą opinię! To był najgorszy cios ze wszystkich, jakie go spotkały. Choroba spadła na pannę Pontifex tak nagle, że w pośpiechu, choć jego dobro było jej jedyną troską, nie zostawiła mu przez zwykłe zapomnienie nawet małego dowodu pamięci, dzięki któremu żądła ojcowskich złośliwości stałyby się bezbolesne. Jej choroba była zakaźna, więc od

chwili postawienia diagnozy nie widziała go ani razu, a ja o liście Teobalda nic nie wiedziałem, zresztą los mego chrześniaka nie leżał mi tak bardzo na sercu, ażeby sam domyślił się, że jego sytuacja po śmierci ciotki może być niezmiernie trudna. Po wielu latach znalazłem ten list w przegródce teczki, którą Ernest używał za czasów szkolnych, a było w niej sporo starej korespondencji i szkolnych papierów, które wykorzystałem w tej książce. Ernest całkiem zapomniał, że ten list znajduje się jeszcze w jego posiadaniu, ale zaledwie go zobaczył, powiedział mi, że dobrze go pamięta, ponieważ po jego przeczytaniu po raz pierwszy świadomie zaczął buntować się przeciw ojcu, ale bał się otwarcie wystąpić, choć uważał, że ma rację. Trapił się także wcale nie błahą sprawą, że będzie musiał zrzec się legatu, zapisanego mu przez dziadka, bo jeżeli istotnie dostał mu się tylko przez pomyłkę, to czy ma prawo go zatrzymać?

W okresie, który pozostał do końca półrocza szkolnego, Ernest był apatyczny i nieszczęśliwy. Niektórych swych kolegów darzył wielką sympatią, ale bał się tych wszystkich, których wyżej stawiał od siebie, wykazując w swych ocenach pochopną skłonność do idealizowania każdego chłopca i przyznawania mu atrybutów istoty wyższej od siebie. Jedyny wyjątek od tej reguły stanowili tylko ci chłopcy, którzy bezapelacyjnie stali niżej od niego. Oceniał siebie stanowczo za tanio. Dawał mu się jednak we znaki brak tężyzny fizycznej i energii, których kolegom zazdrościł, i jednocześnie nie robił sobie żadnych złudzeń co do swej pilności w nauce, więc był święcie przekonany, że wszystko, co posiada, jest w najgorszym gatunku. Jest z natury zły i jest jednym z tych ludzi, dla których nie ma miejsca, dokąd mogliby udać się ze swą skruchą, więc i on tego miejsca nie znalazł, choć szukał go aż do łez. Schodził więc z drogi i z oczu kolegów, których na swój chłopięcy sposób apoteozował, nie podejrzewając ani na chwilę, że jest tak samo zdolny jak oni, lecz posiada zdolności innego rodzaju, i coraz bardziej poprzestawał na towarzystwie chłopców, którzy wprawdzie uchodzili za pośledniejszy gatunek, ale z którymi mógł układać swe stosunki na równej stopie. Przed końcem półrocza obniżył swe loty z poziomu, do jakiego wzniósł się w czasie pobytu swej ciotki w Roughborough, i popadł znowu w dawny stan apatii, urozmaicony od czasu do czasu tak ostrymi napadami zarozumialstwa, że mógł pod tym względem z powodzeniem rywalizować ze swoją matką.

— Pontifex — rzekł dr Skinner, który pewnego dnia spadł na niego w jadalni niczym moralna lawina, zanim Ernest zdążył ratować się ucieczką — czy ty nigdy się nie śmiejesz? Czy ty zawsze masz minę tak nadnaturalnie poważną? — Doktor nie chciał zrobić mu przykrości, ale chłopiec szczerwienił i uciekł.

Istniało tylko jedno miejsce, gdzie czuł się szczęśliwy, a był nim stary kościół Św. Michała, kiedy ćwiczył tam jego przyjaciel, organista. Mniej więcej w owym czasie zaczęły pokazywać się tanie wydania wielkich oratoriów i Ernest kupował je wszystkie, ledwo ukazywały się w sprzedaży. Od czasu do czasu sprzedawał jakąś książkę szkolną w antykwariacie i za uzyskane pieniądze kupował kilka zeszytów *Mesjasza*, *Stworzenia* albo *Eliasz*. W ten sposób najzwyczajej w świecie oszukiwał tatusia i mamusię, ponieważ upadał moralnie, coraz niżej — przynajmniej we własnych oczach — ale potrzebę muzyki odczuwał mocno, natomiast Salustiusza i jemu podobnych bardzo słabo. Zdarzało się, że organista szedł do domu, zostawiając klucze Ernestowi, a on grał dla siebie, a potem sam zamykał organy i kościół, kiedy nadszedł czas udania się na zbiórkę szkolną. A znowu kiedy indziej, gdy jego przyjaciel grał na organach, wędrował po kościele i patrzył na rzeźby i stare witraże pełen zachwytu zarówno w uszach, jak i w oczach. Pewnego razu stary proboszcz zdybał go w momencie, kiedy przyglądał się, jak wstawiano nowy witraż, który proboszcz kupił w Niemczech — dzieło, jak mniemano, Alberta Durera. Postawił Ernestowi wiele pytań, a kiedy dowiedział się o jego zamiłowaniu do muzyki, rzekł mu starym, drżącym głosem:

— A to wielka szkoda, że nie znalazłeś dra Burneya, który napisał historię muzyki. Znałem go doskonale za moich młodych lat. — W tym momencie serce mocniej zabiło w piersi Ernesta, bo wiedział, że dr Burney w latach chłopięcych jako uczeń szkoły w Chester wychodził ze skóry, żeby popatrzeć na Haendla, jak palił fajkę w kawiarence przy giełdzie, i oto teraz stanął przed obliczem kogoś, kto wprawdzie nie widział Haendla na własne oczy, - ale widział ludzi, którzy go widzieli.

Takie miał oazy na swej pustyni. Normalnie jednak chłopiec wyglądał wątło i blado i wydawało się, że nosi w sobie jakąś tajemnicę, która go gnębi, a miał ją bez wątplenia, lecz ja go za to nie winię. W szkole, na przekór sobie, posuwał się wyżej, ale popadał w coraz większą niełaskę swych nauczycieli, a jednocześnie nie poprawiał swej opinii w oczach tych kolegów, którzy, jak był przekonany, nie mieli szans poznania, co to znaczy mieć tajemnicę ciążyącą na sumieniu. Ernest odczuwał to nader boleśnie. Nie dbał o chłopców, którzy go lubili, natomiast idealizował kolegów, którzy trzymali go możliwie najdalej od siebie — jest to jednak wśród chłopców zjawisko bardzo powszechne.

W końcu nastąpił kryzys, którego pogłębienie nie mogło wróżyć pomyślnego rozwoju wypadków, gdyż na koniec półrocza szkolnego, już w następnym roku po śmierci ciotki, Ernest przywiózł do domu w swej walizce dokument, który Teobald napiętnował jako „haniebny i oburzający”. Nie potrzebuję chyba wyjaśniać, że mam na myśli świadectwo wystawione przez szkołę.

Wspomniany dokument budził zawsze w Ernestie poważny niepokój, ponieważ podlegał nader skrupulatnemu badaniu, ale był to dopiero początek, bo potem, w krzyżowym ogniu pytań, musiał szczegółowo wyjaśnić wiele okoliczności, które były z tym dokumentem związane. Ernest „zapisywał się” czasem na zakup pewnych przedmiotów, potrzebnych mu do szkoły, jak teczka albo słownik, a następnie sprzedawał je, jak już wyjaśniłem wyżej, żeby załatać niedobory swego budżetu prywatnego, a najczęściej, żeby kupić sobie nuty albo tytoń. Według oceny Ernesta tym defraudacjom groziło w toku śledztwa najwyższe niebezpieczeństwo ujawnienia, a więc ciężar spadał mu z serca, kiedy było już po wszystkim, a jemu uszło na sucho. Tym razem Teobald narobił wielkiego hałasu z powodu wydatków nadzwyczajnych, jednakże dał im, acz niechętnie, swą sankcję. Inaczej rzecz się miała w odniesieniu do charakterologicznej i moralnej statystyki zawartej w końcowym ustępie szkolnego sprawozdania.

Strona, na której można było znaleźć wspomniane szczegóły, zawierała następującą treść:

SPRAWOZDANIE

Z ZACHOWANIA SIĘ I POSTĘPÓW W NAUCE ERNESTA PONTIFEXA

Ucznia klasy piątej (wyższej)

ZA PÓŁROCZE SZKOLNE DO DNIA 21. 6. 1851

Przedmioty klasyczne - leniwy, niedbały, postępy niedostateczne

Matematyka „ „ „ „ „

Teologia „ „ „ „ „

Zachowanie się w internacie — porządny

Ogólny poziom zachowania się — nie zadowolający z powodu wielkiej niepunktualności i nieobowiązkowości

Miesięczne nagrody pieniężne 1 s. 6 p. 6 p. O p. 6 p. Razem 2 s. 6 p.

Ilość pochwał 2 0 1 1 0 4 „

Ilość nagan 26 20 25 30 25 „ 126 p.

Ilość kar specjalnych 9 6 10 12 11 „ 48 p.

Zalecam, ażeby wysokość kwoty, którą wyznacza mu się na drobne wydatki, uzależniona została od jego nagród pieniężnych.

S. Skinner

DYREKTOR

ROZDZIAŁ XXXVIII

Jak widać, już od samego początku wakacji Ernest znalazł się w stanie niełaski, ale niebawem zaszło zdarzenie, które spowodowało go na manowce takich przewinień, wobec których wszystkie jego poprzednie grzechy okazały się całkiem powszednie. -

Jedną ze służących na plebanii była wyjątkowo ładna dziewczyna, która miała na imię Ellen. Pochodziła z Devonshire i była córką rybaka, który utopił się, kiedy była jeszcze dzieckiem. Jej matka założyła sobie sklepik w miasteczku, w którym mieszkał jej mąż, i zarabiała w sam raz tyle, ile było potrzeba, żeby skromnie żyć. Ellen mieszkała z nią do czternastego roku życia, i w tym wieku poszła na swą pierwszą służbę. Cztery lata później, kiedy miała jakieś osiemnaście lat, ale była już tak dojrzała, że mogła uchodzić za dwudziestolletnią, została gorąco polecona Krystynie, która wówczas potrzebowała pokojówki — i w okresie, który opisuję, już mniej więcej od roku przebywała na plebanii w Battersby.

Jak już wspominałem, dziewczyna była wyjątkowo ładna. Z wyglądu był to okaz zdrowia i radości życia, a jej twarz miała wyraz tak niefrasobliwej pogody, że każdy, kto na nią spojrzał, musiał poddać się jej urokowi. Odnosiło się wrażenie, że wszystko w jej życiu układa się doskonale i zmiana na gorsze nie wchodzi w rachubę oraz że nie można wyobrazić sobie niczego takiego, co zdołałoby ją na dłuższą metę wyprowadzić z równowagi ani wobec siebie samej, ani wobec kogokolwiek innego. Cerę miała jasną, zabarwioną żywym rumieńcem, oczy szare, w pięknej oprawie. Usta miała wyraziste i pełne spokoju, a w ich układzie było coś, co bardzo przypominało egipskiego sfinksa. Kiedy dowiedziałem się, że pochodzi z Devonshire, odniosłem wrażenie, że rozpoznaję w niej wyraźne cechy- świadczące o pokrewieństwie z Egipcjanami, ponieważ słyszałem, aczkolwiek nie mam pojęcia, na jakich podstawach oparta jest owa legenda, że Egipcjanie założyli swe osiedla na wybrzeżach Devonshire i Kornwalii na długo przed podbojem Anglii przez Rzymian. Włosy miała orzechowe, figurę — wzrostu była mniej więcej średniego — doskonałą, choć grzeszyła, jeśli słowo nie jest zbyt silne, pewną skłonnością do zbyt mocnej budowy. Słowem, należała do kategorii dziewcząt, na których widok skłonni jesteśmy uznać za rzecz niemożliwą, żeby zdołały uchować się w stanie niezamężnym choćby tydzień, a nawet dwadzieścia cztery godziny dłużej.

Twarz Ellen, jak z reguły każda twarz ludzka, choć przyznaję, że niektóre twarze czasem kłamią, była przejrzystym skorowidzem cech jej charakteru. Dziewczyna była wcieleniem dobroci i wszyscy w domu bardzo ją lubili, nie wyłączając — jak mi się zdaje — nawet Teobalda, który na swój mdły sposób też darzył ją sympatią. A sama Krystyna zajmowała się nią z gorącym oddaniem i dwa razy w tygodniu brała ją do jadalni i przygotowywała do konfirmacji (dziewczyna przez jakiś przypadek nigdy nie była konfirmowana), ucząc ją geografii Palestyny i pokazując szlaki, które św. Paweł przebył w czasie swych licznych podróży po Azji Mniejszej.

Kiedy biskup Treadwell we własnej osobie zjechał do Battersby i udzielał konfirmacji (spełniło się marzenie Krystyny, ponieważ nocował w Battersby, a potem wydała na jego cześć wielki obiad proszony i raz za razem tytułowała go lordem), był tak urzeczony ładną twarzyczką i skromnym zachowaniem służącej, kiedy położył na nią swe ręce, że zagadnął o nią Krystynę. Gdy mu na to odpowiedziała, że Ellen jest jedną z jej służących, widać było wyraźnie, że biskup — tak uważała, a może tak postanowiła uważać — był bardzo kontent, że tak ładnej dziewczynie udało się dostać na służbę w tak wyjątkowo dobre miejsce.

W czasie wakacji Ernest wstawał wcześniej rano, żeby ćwiczyć na fortepianie nie przeszkadzając swą grą tatusiowi i mamusi, a raczej, jak można się domyślić, żeby oni nie

przeszkadzali jemu w jego ćwiczeniach. O tej porze Ellen zwykle zamiatała podłogę i ścierała kurze w jadalni, w której Ernest grał na fortepianie — i chłopiec, gotów zawrzeć przyjaźń niemal z każdym człowiekiem, wkrótce bardzo ją polubił. Był wprawdzie mało wrażliwy na uroki płci pięknej, ale jak dotąd nie stykał się z żadnymi kobietami poza ciotkami Allaby, ciotką Aletea, swą matką, siostrą Karoliną i panią Jay. Czasem musiał zdjąć kapelusz w ukłonie przed panią Skinner i czuł się wtedy, jak gdyby za chwilę miał zapaść się pod ziemię, ale pozbył się swej nieśmiałości w stosunku do Ellen i po jakimś czasie zapanowała między nimi trwała przyjaźń.

Chyba dobrze się złożyło, że nie zostawał w domu na dłużej, ale jak na razie jego uczucie, choć gorące, - było w istocie całkiem platoniczne. To małe, że był niewinny, był żałośnie, powiedziałbym nawet karygodnie niewinny. Wybór jej osoby był konsekwencją faktu, że Ellen nie tylko nigdy nie powiedziała mu złego słowa, ale zawsze była uśmiechnięta i w dobrym humorze. W dodatku lubiła słuchać jego gry, a więc siadał do fortepianu z tym większą przyjemnością. Fakt, że codziennie rano miał dostęp do fortepianu, był w oczach Ernesta jedyną jasną stroną jego wakacji, bo w Roughborough nie miał dostępu do instrumentu, chyba że czasem, niemal podstępnie, udało mu się dorwać do niego w sklepie pana Pearsalla, sprzedawcy nut.

W czerwcu, po zakończeniu roku szkolnego, wrócił do domu i — doznał wstrząsu na widok swej ulubienicy, która była blada i wyglądała na cierpiącą. Przepadł jej dobry humor, znikła czerwień rumieńców z policzków, a w ogóle wydawało się, że znajduje się u kresu sił. Powiedziała mu, że trapi ją niepokój o matkę, która coraz bardziej zapada na zdrowiu, a lęk ją zbiera, bo i jej już niedługo pisane jest chodzić po tym świecie. Krystyna naturalnie także dostrzegła tę zmianę.

— Nieraz zauważyłam - orzekła — że dziewczęta, które mają takie świeże kolory i tak zdrowo wyglądają, najwcześniej ze wszystkich zapadają na zdrowiu. Dawałam jej kalomel i proszki dra Jamesa kilka razy z rzędu i uważam, choć z całą pewnością nie będzie z tego zadowolona, że będę musiała pokazać ją drowi Martinowi, jak przyjedzie do nas z następną wizytą.

— Doskonale, moja droga — odrzekł Teobald i kiedy następnym razem przyjechał dr Martin, posłano po Ellen. Dr Martin bardzo prędko dokonał odkrycia, które przypuszczalnie rzuciłoby się w oczy jako całkiem oczywiste samej Krystynie, gdyby naturalnie była zdolna sobie wyobrazić, że taka dolegliwość może przytrafić się służącej mieszkającej z nimi pod jednym dachem — czystość ich pożycia małżeńskiego powinna była zabezpieczyć istoty myślące, nie związane jeszcze węzłem małżeńskim, które znalazły się w ich otoczeniu, przed najmniejszą zmagą grzechu.

Kiedy wyszło na jaw, że Ellen za jakieś trzy lub cztery miesiące zostanie matką, Krystyna z wrodzoną jej dobrocią charakteru skłaniała się zapewne do okazania w danym przypadku najwyższej wyrozumiałości, ale zdjął ją paniczny strach, że najmniejszy odruch przebaczenia z jej strony lub ze strony Teobalda może być im poczytany za tolerancję, choćby nawet częściową, tak ciężkiego grzechu. Wobec tego zaraz nabrała głębokiego przekonania, że nie pozostaje nic innego do zrobienia w tej sprawie, jak wypłacić Ellen należne wynagrodzenie i kazać jej natychmiast wynieść się z domu, który cnota czystości szczególnie upodobała sobie na swą stałą siedzibę. Kiedy pomyślała sobie, jak okropnie ów dom może zostać zbeszczeszczony, jeżeli Ellen zostanie w nim choćby o tydzień dłużej, nie mogła wahać się ani chwili.

Z kolei powstało pytanie — obrzydliwość! — kto jest współnikiem przestępstwa Ellen? Czy jest nim, czy to możliwe, że jest nim jej własny syn, jej ukochane dziecko Ernest? Ernest wyrósł na dużego chłopca. Każdą kobietę, która straciłaby głowę dla jej syna, Krystyna potrafiłaby usprawiedliwić, a jednocześnie była całkiem pewna, że nie ustępuje on żadnemu

młodemu człowiekowi w jego wieku pod względem wrażliwości na wdzięki przystojnych młodych kobiet. Dopóki jest niewinny, ona nie ma nic przeciwko temu, ale — ach, jeżeli jest winny!

Nie mogła znieść tej myśli, lecz nie wolno jej uchylać się od odpowiedzi na to drażliwe pytanie; bo byłoby to zwykłe tchórzostwo. Jej nadzieja jest w Panu, jest gotowa znieść z pogodą każdą mękę i obrócić na swój pożytek każde cierpienie, którym Bóg zechce ją doświadczyć. Dziecko będzie albo chłopcem, albo dziewczynką — to jedno przynajmniej jest jasne. Niemniej jasne jest, że jeżeli dziecko będzie chłopcem, będzie podobne do Teobalda, a jeżeli dziewczynką — do niej. Jak wiadomo, podobieństwo zarówno ciała, jak i ducha z zasady dokonuje susa omijając jedno pokolenie. Wina rodziców nie może obciążać niewinnego dziecięcia poczętego w grzechu — och, nie — i to takiego, jakim będzie to dziecię... W jednej chwili pogrążyła się w swych zwykłych marzeniach.

W momencie jednak, kiedy dzieciak był konsekrowany na arcybiskupa Canterbury, Teobald wrócił z wizytacji parafii i dowiedział się o nieprzyjemnym odkryciu.

Krystyna ani słowem nie wspomniała o Erneście i, jak się zdaje, była niemal zawiedziona, że Teobald kogoś innego, a nie swego syna, obciążył winą za to, co się stało. Pocieszyła się jednak łatwo i cofnęła na nową pozycję, która sprowadzała się do podwójnej refleksji: po pierwsze, że jej syn jest niepokalany, a po drugie — że zachował czystość tylko dzięki głębokiej religijności, co trzeba uznać za rzecz całkiem naturalną, ponieważ należało spodziewać się, że religijność ocali go od grzesznego występku.

Teobald zgodził się, że trzeba bez najmniejszej straty czasu wypłacić Ellen pensję i pozbyć się jej z domu. Postanowienie zostało wykonane, i w niespełna dwie godziny od chwili, kiedy dr Martin przekroczył próg domu, Ellen siedziała obok stangreta z twarzą tak szczerze opatuloną, że nie można było jej dojrzeć, i w drodze na stację gorzko płakała.

ROZDZIAŁ XXXIX

Ernesta nie było cały ranek w domu, lecz dokładnie w tej chwili, w której rzeczy Ellen wynoszono do bryczki, wynurzył się na dziedziniec z gęstwiny zarośli, które rosły za plebanią. W pewnej chwili wydawało mu się, że kobietą, która siada do bryczki jest Ellen, ale twarz owej osoby była przysłonięta chusteczką, co uniemożliwiało mu jej rozpoznanie, więc porzucił tę myśl jako całkiem nieprawdopodobną. Podszedł do okna kuchni, w którym stała kucharka obierając ziemniaki na obiad, i stwierdził, że zalewa się łzami. Ernest bardzo się zmartwił, bo lubił kucharkę, i naturalnie chciał wiedzieć, co się stało, kto przed chwilą odjechał bryczuszką, zaprzęgniętą w dwa małe koniki, i jaki był tego powód? Kucharka odpowiedziała, że była to Ellen, lecz oświadczyła, że nie ma takiej siły ludzkiej, która zmusiłaby ją do wyjawienia mu powodów jej odjazdu. Kiedy jednak Ernest wziął te słowa *au pied de la lettre* i nie zadawał jej więcej pytań, po wymuszeniu na nim najbardziej uroczystych przysięg, że dochowa tajemnicy — powiedziała mu wszystko. Kilka minut upłynęło, zanim Ernest zdołał dotrzeć do faktów, istotnych dla sprawy, ale kiedy je wreszcie pojął, oparł się o studnię, która stała w pobliżu kuchennego okna, i dołączył swe łzy do łez kucharki. Wówczas krew w nim zawrzała. Do głowy mu nie przyszło, że jego rodzice zrobili źle i że powinni byli mimo wszystko postąpić inaczej. Być może, nie powinni byli działać z takim pośpiechem, i mogli spróbować załatwić tę drażliwą sprawę bardziej spokojnie, ale nie było to wcale łatwe, a zresztą nie poprawiłoby to sytuacji w sposób istotny. Nic nie może zmienić gorzkiego faktu, że dziewczyna, decydując się na pewne rzeczy, robi je zawsze na własne ryzyko, a takie okoliczności, jak jej młodość, uroda i pokusy, którym uległa, nie mają najmniejszego znaczenia. Taka jest utarta droga, którą kroczy świat — i jak dotąd nie znaleziono na to żadnej rady.

Ernest zdołał więc w sprawie Ellen dostrzec tylko fakty, opisane mu przez kucharkę, a z nich wynikało, że jego ulubienica, Ellen, zdana na łaskę i niełaskę losu, z trzema funtami całego majątku przy duszy, ma pójść w świat nie wiedząc, gdzie się schronić ani co dalej począć — oraz że się powiesi albo utopi, w co chłopiec święcie wierzył.

Z pośpiechem, jakiego dotąd nie okazał w żadnej sytuacji, policzył swe pieniądze i stwierdził, że posiada do dyspozycji dwa szylingi i trzy pensy: Miał także scyzoryk, który mógł sprzedać za szylinga, oraz srebrny zegarek подарowany mu przez ciotkę Aletę na krótko przed jej śmiercią. Od odjazdu bryczki minął dobry już kwadrans, więc musiała ujechać spory kawałek, lecz postanowił wyteńczyć wszystkie siły, żeby ją dogonić, a miał nadzieję, że mu się to uda, jeśli pobiegnie skrótami. Wyruszył natychmiast i ze szczytu wzgórza, zaraz za ogrodzeniem plebanii, dostrzegł bryczkę, malutką jak punkcik, na odcinku drogi odległym, jak mu się wydawało, o jakieś półtorej mili od miejsca, w którym się znajdował.

Jedną z najbardziej popularnych rozrywek w Roughborough była zabawa w tak zwane „psy”, która w innych szkołach bardziej była znana pod nazwą „polowania na zająca”, lecz w tej zabawie „zajacem”

było kilku chłopców, których nazywano lisami. Młodzież jest tak czuła na punkcie używania poprawnych nazw w dziedzinie sportu, że nie ośmielił się wystąpić z twierdzeniem, iż bawili się w „polowanie na zające”. Bawili się w „psy”, i sprawa skończona. W tej zabawie słabość fizyczna Ernesta nie przekreślała z góry jego szans. Nie dochodziło w niej do utarczek z chłopcami, którzy, choć w tym samym wieku i tego samego wzrostu co on, byli od niego mocniej zbudowani. Pod względem wytrzymałości nie ustępował żadnemu ze swych kolegów, a więc kiedy musiał pożegnać się ze stolarką, zabawa w „psy” stała się jego ulubioną rozrywką. Pod

wpływem tych ćwiczeń płuca mu się rozwinęły, a ponieważ bieg na sześć czy siedem mil na przelaj był dla niego czymś całkiem normalnym, więc nie tracił nadziei, że uda mu się dogonić bryczkę, a w najgorszym razie złapać Ellen na stacji przed odjazdem pociągu. A więc biegł, biegł i biegł aż do utraty tchu, ale potem złapał drugi oddech, a wtedy zaczął oddychać dużo lżej. Nigdy, bawiac się w „psy”, nie biegł tak szybko i niemal bez żadnego wytchnienia, ale mimo ogromnego wysiłku i wyzyskania znanych mu skrótów nie dopędził bryczki i byłby tego prawdopodobnie nie dokazał, gdyby Jan przypadkiem nie obejrzał się za siebie i nie spostrzegł go biegnącego jakieś ćwierć mili z tyłu i dającego znaki, żeby się zatrzymali. Był teraz o pięć mil od domu i niemal u kresu sił.

Był purpurowy od wysiłku. Pokryty kurzem, w przy krótkich spodniach, w kurtce z przykrótkimi rękawami, nader żałośnie prezentował się w chwili, kiedy rzucał na kolana Ellen scyzoryk, zegarek i skromną sumkę pieniędzy, które miał w swym majątku. Błagał ją tylko o jedno, żeby nie robiła tych okropnych rze- czy, którymi zagroziła — choćby przez wzgląd na niego, jeżeli nie z innego powodu.

W pierwszej chwili Ellen nawet słyszeć nie chciała o przyjęciu czegokolwiek od Ernesta, ale stangret, rodem z północy, wziął jego stronę.

— Bierz, gołąbko — powiedział serdecznie — bierz to, co ci dają i kiedy ci dają. Panicz Ernest dobrze gonił za tobą, a więc nie wzbraniaj mu dać ci tego, co sobie postanowił.

Ellen usłuchała tej rady, po czym rozstali się wśród rześzystych łez, a dziewczyna zapewniła go, że nigdy go nie zapomni i że jeszcze spotkają się w życiu — tego była całkiem pewna — a wtedy spłaci mu swój dług.

Potem Ernest zszedł z drogi na pole, rozciągnął się jak długi na trawie i, śmiertelnie zmęczony, czekał w cieniu żywopłotu, aż będzie mógł zabrać się na bryczkę, która wkrótce wracać będzie ze stacji. Myśli, które nurtowały go dość silnie, powróciły teraz ze zdwojoną mocą i w końcu doszedł do wniosku, że napytał sobie jeszcze jednej biedy, ba, pół tuzina bied.

Po pierwsze, spóźni się na obiad, a było to jedno z przewinień, dla których Teobald nie miał żadnej litości. Będzie musiał także powiedzieć, gdzie był, a groziło realne niebezpieczeństwo, że zostanie zdemaskowany, jeżeli nie powie prawdy. Na tym się nie skończy, bo prędzej czy później wyjdzie na jaw smutny fakt, że nie posiada pięknego zegarka, który dostał w prezencie od kochanej cioci — i cóż, proszę, z nim zrobił albo jak do tego doszło, że go zgubił? Czytelnicy nie mają oczywiście najmniejszych wątpliwości, jak Ernest powinien był postąpić. Powinien był pójść prosto do domu, a na postawione mu pytania odpowiedzieć co następuje: „Biegłem za bryczką, żeby dogonić naszą pokojówkę Ellen, którą bardzo lubię, dałem jej zegarek, scyzoryk i wszystkie pieniądze, które miałem na drobne wydatki, i nie zostało mi już ani pensa w kieszeni. W konsekwencji będę musiał prosić was o pieniądze trochę wcześniej, niż spodziewaliście się, a także liczę na to, że dostanę od was nowy zegarek i nowy scyzoryk.” Wyobraźcie sobie, jaką konsternację wywołałoby takie oświadczenie! Wyobraźcie sobie posępne oblicze i błyski w oczach rozwścieczonego Teobalda: „Ty gałganie niegodziwy — zawołałby — jak śmiesz na swych własnych rodziców rzucać kalumnię, że za surowo obeszli się z niegodziwą istotą, której rozwiązłość zhańbiła ich dom!”

Nie jest wykluczone, że skwitowałyby to oświadczenie złośliwymi docinkami, utrzymanymi w tonie sarkastycznego spokoju, którymi we własnym mniemaniu władał po mistrzowsku.

„Doskonale, drogi Erneście, doskonale; nie usłyszysz ode mnie ani słowa. Możesz postępować, jak ci się podoba; wprawdzie nie jesteś jeszcze pełnoletni, ale postępuj tak, jak gdybyś był panem swych czynów. Nie ulega żadnej wątpliwości, że twoja ciotka podarowała ci zegarek w tym celu, żebyś rzucił go pod nogi pierwszej lepszej niecnocie, którą spotkasz na swej

drodze. Teraz rozumiem, dlaczego mimo wszystko nie zapisała ci swego majątku. Ostatecznie nic złego się nie stało, że dostał się twemu ojcu chrzestnemu, bo on także należy do ludzi tego pokroju, których obsypałbyś pieniędzmi, gdyby tobie dostały się w spadku."

A wtedy matka, cała w łzach, zaczęła zaklinać go na wszystkie świętości, żeby okazał skruchę i dla ukojenia swego skołatane sumienia, póki nie jest za późno, upadł przed Teobaldem na kolana, zapewniając go o niewzruszonej miłości, którą mu jest winien jako najlepszemu i najczulszemu ojcu na świecie. Zarówno Ernest, jak i jego rodzice mieli jednakowe szansę wyboru opisanego wyżej postępowania — teraz, kiedy leżał na trawie, rozmaite warianty przemówień, równie nieuniknione jak bliski zachód słońca, kołatały się po jego głowie, aż udowodniły mu fałsz koncepcji powiedzenia prawdy przez redukcję jej do absurdu. Prawda może być heroiczna, ale taka prawda nie mieści się w ramach czysto praktycznej taktyki życia domowego.

Kiedy powziął postanowienie, że skłamię, powstało pytanie, jak ma skłamać? Czy im powiedzieć, że go okradziono? Miał dostatecznie bujną wyobraźnię, żeby zdawać sobie sprawę, iż ma zbyt ubogą wyobraźnię, by w praktyce poradzić sobie z takim kłamstwem. Choć był jeszcze tak młody, instynkt podszeptał mu, że najlepiej kłamię ten, kto przy pomocy małego kłamstwa potrafi najwięcej osiągnąć — kto gospodaruje kłamstwem zbyt roztropnie, żeby szafować nim, jeśli można się obejść bez niego. Najprościej było powiedzieć, że zgubił zegarek i spóźnił się na obiad, ponieważ go szukał. Wybrał się na długi spacer tą samą ścieżką, którą na przełaj pobiegł w pogoni za bryczką — a było bardzo gorąco, więc zdjął bluzę i kamizelkę, a kiedy je niósł przewieszane przez ramię, pieniądze, zegarek i scyzoryk powypadały z kieszeni. Był już bardzo blisko domu i wtedy stwierdził swą stratę, więc pobiegł co sił i szukał ich na ścieżce, którą dopiero co szedł, ale w końcu musiał dać za wygraną. Potem zobaczył bryczkę, wracającą ze stacji, więc wsiadł i wrócił do domu.

W zasięgu tej historii mieściły się wszystkie okoliczności — to, że biegł, i cała reszta. Było to istotne, ponieważ na jego twarzy znać było jeszcze zmęczenie po pościgu za bryczką. Pozostawało tylko jedno pytanie, a mianowicie, czy pomijając służbę ktoś z domowników widział go w pobliżu plebanii w ciągu ostatnich kilku godzin przed odjazdem Ellen; z przyjemnością jednak doszedł do konkluzji, że go nie widziano, ponieważ z wyjątkiem kilkuminutowej rozmowy z kucharką przez cały czas był poza domem. Ojciec był na wizytacji parafii, z matką nie spotkał się na pewno, a brat i siostra wraz z guwernantką również byli wtedy na spacerze. Wiedział, że może polegać na kucharce i na całej służbie — o to postara się stangret. Zważywszy sumiennie całokształt okoliczności, Ernest i stangret doszli do zgodnego wniosku, że zaproponowana wersja odpowiada niemal wszystkim wymaganiom sytuacji.

ROZDZIAŁ XL

Kiedy Ernest dotarł do domu i wśliznął się przez kuchenne, drzwi, usłyszał głos swego ojca, który w rozszerzonej tonacji dopytywał się, czy panicz Ernest już wrócił. Czuł się, jak musiał się czuć mały Jacuś z bajki o Grochowym Dylu, kiedy z pieca, w którym był ukryty, usłyszał, że wielkolud dopytuje się żony, ile dzieci przygotowała mu dziś na kolację. Z wielką odwagą, a jak wypadki dowiodły, z niemniej znamienitą rozwagą, złapał byka za rogi i zameldował natychmiast swój powrót, zawiadamiając jednocześnie o okropnym nieszczęściu, które go spotkało. Słowo za słowem opowiedział swą historyjkę i chociaż Teobald grzmiał trochę na jego „niebywałą lekkomyślność i niedbalstwo”, wyszedł z opresji lepiej, niż się spodziewał. Wprawdzie Teobald i Krystyna w pierwszej chwili rzeczywiście byli skłonni powiązać jego nieobecność na obiedzie z wypowiedzeniem Ellen pracy, ale kiedy stało się jasne, jak orzekł Teobald — a dla Teobalda wszystko było zawsze jasne — że Ernesta nie było w domu cały ranek, a zatem nie mógł wiedzieć o wypadkach, które rozegrały się na plebanii, został uniewinniony, tym razem wyjątkowo bez moralnej plamy na jego charakterze. Może Teobald był wtedy w dobrym humorze, a może właśnie przeczytał w porannej gazecie, że jego papiery wartościowe poszły w górę. Przyczyny mogły być różne, te albo dwadzieścia innych, dość na tym, że Teobald skrzyczał go tym razem mniej, niż się spodziewał, a widząc, że chłopak wygląda na bardzo zmęczonego i, jak mu się wydawało, bardzo strapionego stratą zegarka, zaaplikował mu po obiedzie kieliszek wina, po którym, rzecz dziwna, Ernest bynajmniej nie zasklepił się w milczeniu, lecz ujrzał świat w bardziej pogodnych kolorach niż zwykle.

- Odmawiając wieczorny pacierz wtrącił kilka aktów strzelistych z nabożnym westchnieniem, żeby jego sprawka nie wydała się, i pomodlił się za pomyślność Ellen, ale był strwożony i nieswój. Nieczyste sumienie wskazywało mu na mnóstwo słabych stron jego bajeczki, chociaż, jak na razie, było mało prawdopodobne, żeby z którejkolwiek z nich groziło bezpośrednio niebezpieczeństwo ujawnienia prawdy. Następnego dnia i jeszcze wiele dni później uciekał, choć go nikt nie gonił, i drętwiał ze strachu za każdym razem, kiedy usłyszał, że ojciec go woła. Tyle miał różnych powodów do strachu, że znalazł się u kresu wytrzymałości, i choć silił się na wesołość, nawet matka zdołała spostrzec, że coś go gnębi. Wtedy ponownie przyszło jej na myśl, że kto wie, może jej syn nie jest bez winy w owej zagadce, jaką jest sprawa Ellen — a to było aż tak interesujące, że uznała za swój święty obowiązek zbliżyć się do prawdy na możliwie najbliższy dystans.

— Chodź tu do mnie, mój kochany bladziuszk, mój melancholijny chłopcze — powiedziała do niego pewnego dnia w swym najserdeczniejszym stylu — przyjdź na cichutką, sekretną pogawędkę z matką. Chłopiec machinalnie podszedł w kierunku kanapy. Ile razy matka chciała odbyć z nim pogawędkę, która w jej słowniku nosiła nazwę „sekretniej”, zawsze wybierała kanapę jako najbardziej w jej mniemaniu odpowiednie pole do rozpoczęcia działań zaczepnych.. Wszystkie matki tak postępują. Kanapa jest dla nich tym, czym dla ojców jest jadalnia. W obecnych okolicznościach kanapa szczególnie nadawała się do przeprowadzenia strategicznej koncepcji, bo była to kanapa staroświecka z wysokim oparciem i miękkim siedzeniem, z wałkami i poduszkami. Kiedy na dobre zapadło się w jeden z jej przepastnych rogów, była jak fotel dentysty, ponieważ niełatwo przychodziło się z niej oswobodzić. Tu matka z miejsca mogła uzyskać nad nim przewagę, jeżeli uważała, że należało wsiąść na niego z góry, a jeżeli uznała za właściwe płakać, mogła ukryć swą głowę w poduszkach kanapy i pogrzyźć się w spazmie bóleści, którego efekt był niemal niezawodny. Na prawo od kominka stał fotel, w

którym normalnie siadywała, lecz, rzecz dziwna, w fotelu ulubione manewry przechodziły jej daleko trudniej. Syn po tonie głosu matki od razu poznał, że czeka go „kanapowa” rozmówka, i jak potulne jagnię już przy pierwszych słowach jej poszedł we właściwym kierunku i pierwszy usiadł na kanapie.

— Mój najdroższy chłopcze — rozpoczęła matka, biorąc go za rękę i składając ją w swej dłoni — przyrzeknij mi, że nie będziesz nigdy czuł lęku ani wobec tatusia, ani wobec mnie. Przyrzeknij mi, najmilszy, jeśli mnie kochasz, przyrzeknij mi — całowała go raz za razem i głaskała po włosach. A drugą ręką chwyciła go mocno i postanowiła nie wypuścić.

Chłopiec spuścił głowę i przyrzekł. Czy miał inną drogę wyjścia?

— Zdajesz sobie sprawę, mój drogi Erneście, że nikt tak ogromnie cię nie kocha i tak bardzo nie dba o twoje dobro jak twój tatuś i ja, ani nikomu na świecie tak bardzo nie zależy na zrozumieniu twych małych radości i twych małych smutków jak nam. Ale, mój drogi, często trapię się myślą, że nie darzysz nas tak doskonałą miłością ani takim zaufaniem, jak powinieś. Zdajesz sobie przecież sprawę, kochany, że naszą radością, a w równym stopniu naszym obowiązkiem, jest mieć możliwość czuwania nad kształtowaniem się twej moralnej i duchowej natury, ale niestety, nie dopuszczasz nas do niej. Dochodzi do tego, że zaczynamy wątpić, czy posiadasz coś, co można nazwać tym mianem. O twoim życiu wewnętrznym, mój drogi, wiemy tylko tyle, ile zdołamy wbrew tobie wywnioskować z okruszków, które czasem ci się wymykają, zanim zdążysz zauważyć, że już je powiedziałeś.

Chłopiec drgnął. Zrobiło mu się gorąco i ogarnęło go uczucie niepewności. Doskonale wiedział, że nieustannie powinien mieć się na baczności, a jednak, choć uważał na każde słowo, od czasu do czasu zapominał o swej roli i wpadał w zdradliwą naturalność. Matka zauważyła, że drgnął, i ucieszyła się z draśnięcia, które zadała mu tak celnie. Gdyby była mniej pewna zwycięstwa, wyszłaby na tym lepiej i odmówiłaby sobie przyjemności dotykania oczu — jeżeli wolno mi się tak wyrazić — na koniuszkach rożków ślimaka, żeby z zadowoleniem przypatrywać się, jak ślimak znowu je chowa, ale uważała, że nieprzyjaciel, którego zdołała uwięzić przy sobie na kanapie i uchwycić mocno za rękę, zdany jest na jej łaskę i niełaskę, więc może zrobić z nim wszystko, na co jej przyjdzie ochota.

— Tatuś nie czuje — ciągnęła — że kochasz go miłością pełną i szczerą, która nie tylko nie pozwoli ci niczego przed nim zataić, lecz wzbudzi w twej duszy nieodpartą chęć powiedzenia mu wszystkiego bez osłonek i bez cienia bojaźni, jak najbardziej kochającemu cię tu na ziemi przyjacielowi, pierwszemu po twym Ojcu Niebieskim. Miłość doskonała, jak dobrze wiemy, wypędza precz wszelki strach. Twój ojciec kocha cię miłością doskonałą, mój malutki, ale nie czuje, żebyś odwzajemniał mu się tak samo doskonałym uczuciem. Jeżeli boisz się ojca, to właśnie dlatego, że nie kochasz go tak, jak on na to zasługuje, a ja wiem, że czasem serce pęka mu z bólu, kiedy sobie pomyśli, iż zasłużył sobie na głębsze i bardziej spontaniczne uczucie od tego, którym go darzysz. Oj, Erneście, Erneście, nie przysparzaj zgryzoty człowiekowi, który jest tak nieskończenie dobry i ma tak szlachetne serce, i zaniechaj postępowania, które z przykrością muszę nazwać najzwyczajszą niewdzięcznością.

Ernest zawsze tracił odporność, kiedy matka występowała do niego z takim przemówieniem, bo nadal łudził się, że go kocha, i nadal zdawało mu się, że on ją kocha i ma w niej przyjaciela — do pewnej granicy. Ale teraz matka zaczęła przeciągać strunę: na sztuczkę z „sekretem” według jej domowego przepisu nabrała go już nieprzeliczoną ilość razy. Tak długo zanudzała go swym przymilaniem, aż wreszcie wyłudzała z niego wszystko, czego chciała się dowiedzieć, a potem powtarzała wszystko Teobaldowi; narażając Ernesta na okropne tarapaty. Niemało protestów wniósł Ernest z tego powodu do matki wskazując jej na katastrofalne następstwa swych poufnych zwierzeń, ale Krystyna zawsze uznawała tę kwestię za sporną i w

każdym przypadku udowadniała mu niezbicie, że jego skarga jest bezpodstawna, bo racja jest po jej stronie. Z reguły rzecz polegała na tym, że sumienie nie pozwalało jej milczeć, a od tego nie było żadnej apelacji, ponieważ wszyscy jesteśmy obowiązani słuchać komendy naszego sumienia. Ernest musiał deklamować peany ku chwale sumienia. Streszczało się to do tezy, że jeżeli nie słucha się głosu sumienia, niebawem umilknie ono na zawsze.

— Sumienie mojej mamusi nie tylko nie umilkło — powiedział Ernest do jednego ze swoich kolegów z ławy szkolnej w Roughborough — ale, przeciwnie, pytluje bez ustanku.

Kiedy dochodzi do tego, że syn choćby raz odważy się z takim brakiem respektu wyrazić się o sumieniu swej matki, jest to nieomylny znak, że w praktyce już nic tych dwoje nie łączy. Pod wpływem samego nawyku kanapy oraz powrotnej fali skojarzeń Ernest był tak wzruszony głosem syreny, że poczuł nieprzewartą chęć pożeglowania w stronę matki i rzucenia się jej w objęcia, ale wiedział, że nie miałyby to sensu. Działy tu bowiem inne skojarzenia, które również w tym momencie wróciły, a pogruchotane czerepy dawnych zwierzeń pokrywały trupioblady deseniem suknię jego matki tak gęsto, że pod żadnym pozorem nie mógł już jej zaufać. A więc zwiesił głowę i wyglądał na speszonego, ale nie zdradził swej tajemnicy.

— Widzę, mój najmilszy — ciągnęła jego matka — że albo się pomyliłam i nic nie gnębi twego sumienia, albo nie chcesz otworzyć przede mną swego serca. Ale ach, synku, powiedz mi przynajmniej tylko to jedno, czy nie masz sobie niczego do wyrzucenia, czy naprawdę nic cię nie dręczy w związku z tą nieszczęsną dziewczyną Ellen?

Serce omdlało w piersi Ernesta. „Teraz jesteś pogrzebany, chłopcze” — powiedział do siebie. Nie miał zielonego pojęcia, do czego matka zmierza, i przypuszczał, że ma jakieś podejrzenia w sprawie zegarka, ale dotrzymał pola.

W moim przekonaniu nie był bardziej tchórzliwy od swych bliźnich, ale nie zdawał sobie sprawy, że wszyscy rozsądni ludzie stają się tchórzami, kiedy zbije się ich z tropu albo kiedy przewidują, że zostaną brutalnie potraktowani. Nie wiem, czy komuś uda się dowiedzieć całej prawdy, ale mnie się wydaje, że nawet waleczny św. Michał we Własnej osobie na wszystkie sposoby starał się wykręcić od sławnej potyczki ze smokiem. Udawał, że nie dostrzega przeróżnych wykroczeń smoka przeciwko zasadom przyzwoitego zachowania. Przymykał oczy na fakt, że potwór pożera setki mężczyzn, kobiet i dzieci, jak- kolwiek solennie ślubował, że będzie ich bronić. Pozwalał obrażać się publicznie dziesiątki razy i nie czuł o to do smoka najmniejszej pretensji. W końcu, kiedy nawet anioł straciłby panowanie nad sobą, kluczył i zwlekał niesamowicie długo, zanim zdecydował się wyznaczyć dzień i godzinę pojedynku. Sławna potyczka była bardzo podobna do tego „galimatiasu”, jaki pani Allaby miała z młodym człowiekiem, który ostatecznie poślubił jej starszą córkę, bo w pewnej chwili ni stąd, ni zowąd smok padł martwy, a tymczasem święty żył nadal i wyszedł z potyczki ze skaleczeniem, które okazało się powierzchowne.

— Nie wiem, co masz na myśli, mamusiu — zawołał Ernest lekko i trochę nerwowo. Matka zaimprovizowała gest zgorszenia, że można ją o coś podejrzewać, a ponieważ sama była trochę w strachu, więc wzięła nogi za pas i zmiatała tak szybko, ile miała sił w języku.

— Och — powiedziała — wnioskuje z twego tonu, że jesteś niewinny. Ach, jak mam dziękować za to Ojcu Niebieskiemu. Niechaj Bóg Ojciec przez miłość dla swego Syna zachowa cię na zawsze w czystości. Twój ojciec, mój kochany — mówiła teraz z pośpiechem, ale w tym momencie obrzuciła go badawczym spojrzeniem — był tak czysty jak anioł bez zwały, kiedy go poznałam. Naśladuj go, bądź zawsze gotów do ofiary z samego siebie, bądź prawy w słowach i czynach, nigdy nie zapominaj, czym jesteś synem i wnukiem, nie zapominaj imienia, które ci daliśmy, ani świętego strumienia, którego woda obmyła cię z grzechów przez krew i błogosławieństwo Chrystusa, itd.

Jednak Ernest uciał w tym miejscu — nie powiem, że stanowczo, ale w każdym razie wypadło to dużo bardziej stanowczo, niż gdyby dane było Krystynie dokończyć swej oracji, a mianowicie wyplątał się z jej ramion i niedwuznacznie pokazał jej pięty. Kiedy znalazł się w okolicy kuchni (gdzie czuł się bardziej pewnie), usłyszał, że ojciec woła na matkę, i znów jego nieczyste sumienie zbuntowało się przeciwko niemu. „Teraz na pewno wszystko wykrył — krzyczało — i zaraz powie mamusi; tym razem nie wyjdę z tego cało.” Ale nie groziło mu nic złego — ojcu chodziło tylko o klucz od kredensiku, w którym było wino. Wtedy Ernest zaszył się w gęste zarośla, które rosły za ogrodzeniem plebanii, i na pociechę zapalił fajkę. Tu w lasku, kiedy letnie słońce doskwierało przez gałęzie drzew, z książką i z fajką chłopiec zapominał o swych strapieniach i przeżywał jedyne chwile wytchnienia, bez których — uważam, że nie ma w tym żadnej przesady — życie jego byłoby nie do zniesienia.

Ernest, rzecz jasna, otrzymał polecenie szukania zgubionego mienia, a nawet wyznaczono nagrodę temu, kto go znajdzie, ale, jak można się domyślić, przeważnie zbaczał z nieszczęsnej ścieżki i zapuszczał się daleko w pole w nadziei znalezienia gniazda skowronka. Szukanie zegarka i scyzoryka w gmatwaninie ścieżek i drózek, wśród których leżało Battersby, było szukaniem igły w stogu siana: mógł go zresztą znaleźć i przywłaszczyć sobie jakiś włóczęga, a może sroka, których w tej okolicy było bardzo dużo, więc po tygodniu, a może po dziesięciu dniach zaniechał" dalszych poszukiwań. Trzeba więc było spojrzeć w oczy smutnej prawdzie, że Ernest musi dostać drugi zegarek, drugi scyzoryk i trochę pieniędzy na drobne wydatki.

Sprawiedliwość nakazywała, żeby Ernest sam zapłacił połowę ceny zegarka. Trzeba mu było oczywiście to ułatwić, potrącając należność z jego osobistych funduszków w ratach półrocznych, rozłożonych na dwa, a może nawet trzy lata. Z tego założenia wynikało, że interesy Ernesta i jego rodziców są zbieżne i wymagają, by zegarek był jak najtańszy, więc zapadło postanowienie, żeby kupić zegarek używany. Małżonkowie uradzili także, żeby Ernestowi nic o tym nie mówić, lecz kupić go w tajemnicy i sprawić synowi niespodziankę, kładąc prezent na talerzu tuż przed samym końcem wakacji. Teobald za kilka dni miał wybrać się do miasta, gdzie będzie miał okazję znaleźć jakiś używany zegarek, który spełni wspomniane wymagania. Po jakimś czasie Teobald pojechał do miasta mając w kieszeni długą listę domowych spraw do załatwienia, a wśród nich figurowało również kupno zegarka dla Ernesta.

Szczęśliwe chwile nastawały, jak już wspomniałem wyżej, kiedy było wiadomo, że Teobalda na pewno nie będzie cały dzień *ikr* domu. Chłopiec czuł się na duchu tak lekko, jak gdyby Bóg wysłuchał jego modlitwy, i mógł być całkiem spokojny, że nie zostanie zdemaskowany. W sumie dzień upłynął w atmosferze niezwykłego spokoju, ale — niestety — nie było mu dane zakończyć się tak pogodnie, jak się zaczął. W zmiennej pogodzie, w jakiej chłopiec wegetował, prawdopodobieństwo burzy nigdy nie było tak wielkie jak po interwale tak świetnej ciszy. Kiedy Teobald wrócił do domu, Ernest tylko spojrzął w twarz ojca i zorientował się nieomylnie, że huragan nadchodzi.

Krystyna spostrzegła, że stało się coś bardzo złego, i całkiem na serio przestraszyła się, czy Teobald nie dowiedział się o jakimś niepowodzeniu finansowym.

On jednakże nie otwarł przed nią swego serca, lecz zadzwonił i rzekł do służącego: — Powiedz paniczowi Ernestowi, że chce z nim porozmawiać w jadalnym pokoju.

ROZDZIAŁ XLI

Na dobrą chwilę zanim Ernest dojrzał do jadalni, jego przewidująca dusza szepnęła mu, że grzech go zdradził. Czy zdarzyło się kiedykolwiek, żeby głowa rodziny wezwała kogoś z jej członków do jadalni w ucziwych zamiarach?

Kiedy tam przyszedł, w pokoju nie było nikogo — ojca odwołano nieoczekiwanie na kilka minut dla załatwienia jakiejś parafialnej sprawy — i zamarł w trwożnej niepewności, jakiej doświadczają ludzie, którzy znaleźli się w poczekalni dentysty.

Ze wszystkich pokojów w całym domu najbardziej nienawidził jadalni. Tutaj musiał odrabiać z ojcem łacinę i grekę. Pokój był przesycony swoistym zapachem politory lub lakieru, którego używano do nadawania meblom połysku, i od tego czasu zarówno mnie, jak i Ernestowi, ile razy znajdziemy się w zasięgu zapachu takiego lakieru, serce zawsze podchodzi do gardła.

Nad kominkiem wisiało autentyczne płótno mistrza starej szkoły, jeden z kilku, oryginalnych obrazów, które pan Jerzy Pontifex przywiózł z Włoch. Przypuszczano, że jest to Salvator Rosa, a kupno arcydzieła było wyjątkową okazją. Obraz wyobrażał Elizeusza (nie miało to, prawdę mówiąc, żadnego znaczenia) w chwili karmienia go przez kruki na pustyni. W górnym prawym rogu widać było kruki z chlebem i mięsem w szponach i dziobach, a lewy dolny róg zajmował prorok, który pożądliwie spoglądał w ich kierunku, Ernest będąc małym brzdącem zawsze martwił się niezmiernie, że pożywienie, które niosą kruki, nigdy nie dociera do ust proroka. Nie pojmował jeszcze, że możliwości sztuk plastycznych są ograniczone, i pragnął, żeby mięso i prorok weszły ze sobą w bezpośredni kontakt.. Pewnego dnia przy pomocy drabiny, którą przypadkowo pozostawiono w pokoju, wspiął się do obrazu i kromką chleba z masłem poprowadził linię od kruków do ust proroka, co trochę pocieszyło go w strapieniu.

Dusza Ernesta powędrowała właśnie ku tej dziecinnej przygodzie, kiedy usłyszała, że ojciec położył rękę na klamce, i w następnej sekundzie Teobald ' wszedł do jadalni.

— Słuchaj, Ernest — powiedział swobodnym i niemal wesołym tonem — mam do ciebie pewną małą sprawę i chciałbym, żebyś mi ją wyjaśnił, co bez wątpienia nie sprawi ci najmniejszej trudności.

Buch, buch, buch łomotało serce Ernesta o żebra, ale ton, w jakim ojciec mówił, był znacznie miłszy niż normalnie, więc zaczęło mu się wydawać, że mógł to być jeszcze jeden fałszywy alarm.

— Wspólnie z matką doszliśmy do wniosku, że chętnie kupilibyśmy ci inny zegarek, zanim pójdziesz do szkoły — („Ach, więc o to chodzi" — powiedział Ernest do siebie, niemal uspokojony). — Byłem dziś w mieście, żeby rozejrzeć się za używanym zegarkiem, który będzie spełniać należycie wszystkie swe zadania tak długo, jak będziesz chodził do szkoły.

Teobald tak to sformułował, jak gdyby od zegarka można było wymagać spełnienia pół tuzina różnych zadań poza wskazywaniem czasu, ale nie mógł otworzyć ust, żeby nie wtrącić któregoś ze swych ulubionych powiedzonek, a do jego kolekcji wytartych frazesów wchodziło także „spełniać wszystkie zadania".

Ernest z normalnym w takich okazjach uniesieniem zaczął dawać wyraz wdzięczności, podczas gdy Teobald mówił dalej:

— Przerywasz mi — i serce Ernesta znowu zaczęło łomotać w piersi. — Przerywasz mi. Jeszcze nie skończyłem. — Ernest natychmiast umilkł.

— Byłem w wielu sklepach, w których można nabyć używane zegarki, ale nie znalazłem

żadnego, który przypadłby mi do gustu pod względem jakości i ceny, aż wreszcie pokazano mi zegarek kieszonkowy, który, jak wyjaśnił mi kupiec, zostawiono mu na sprzedaż w ostatnich dniach i w którym na pierwszy rzut oka rozpoznałem zegarek podarowany ci przez ciotkę Aleteę. Nawet gdybym nie rozpoznał go od razu, co mogło mi się przytrafić, wszelkie moje wątpliwości rozwiały się natychmiast, kiedy znalazł się w mych rękach, ponieważ na wewnętrznej kopercie miał wygrawerowany napis „E.P. w darze od A.P.” Nie potrzebuję chyba niczego więcej dodawać na dowód, że był to ten sam zegarek, który według tego, co powiedziałaś matce i mnie, wypadł ci z kieszeni.

Jak dotąd Teobald zachowywał nienaturalnie wyszukany spokój i wypowiadał poszczególne słowa z namysłem, ale teraz nagle zaczął mówić szybciej i zrzucił maskę dodając:

— A to było z palca wyssaną historią, w którą uwierzyliśmy, bo jesteśmy oboje z matką zbyt prostoduszni. Wyobrażasz sobie, co teraz czujemy.

Ernest uważał, że ten ostatni celny sztych jest zasłużony. W momentach, w których natężenie jego strachu malało, skłonny był uznać, że tatuś i mamusia są dziecinnie naiwni, skoro tak bezkrytycznie mu wierzyli, ale nie mógł zaprzeczyć, że łatwowierność rodziców jest dowodem ich prostoduszności. Poczucie zwykłej sprawiedliwości nakazywało mu przyznać, że dla dwojga tak prostodusznych ludzi posiadanie syna tak nieprawdomównego, za jakiego siebie uważał, musi być rzeczą okropną.

— Wierząc, że syn takiej matki, jak twoja, - i mój syn nie jest zdolny do kłamstwa, w pierwszej chwili pomyślałem sobie, że jakiś włóczęga znalazł ten zegarek i teraz próbuje go spieniężyć.

Nie było to, jestem święcie przekonany, ściśle. W pierwszej chwili Teobald pomyślał sobie, że Ernest chciał sprzedać zegarek, i dopiero teraz spłynęło na niego boskie natchnienie, żeby powiedzieć, że jego wspaniałomyślny intelekt błyskawicznie podsunął mu koncepcję włóczęgi.

— Możesz sobie wyobrazić wstrząs, którego doznałem, kiedy dowiedziałem się, że zegarek przyniosła na sprzedaż ta nieszczęsna kobieta, Ellen. — W tym momencie serce Ernesta na chwilę zamarło i poczuł, że jest bardzo bliski stanu, w którym zaczyna działać naturalna skłonność do wymiotów, co jest zjawiskiem normalnym u każdej bezbronnej istoty, której grunt usuwa się spod nóg. Ojciec szybko to spostrzegł i ciągnął dalej: — A wydalono ją z tego domu w okolicznościach, których nie będę szczegółowo opisywać nie chcąc narażać cię na słuchanie takich obrzydliwości. Odrzuciłem potworne przypuszczenie, które nasunęło mi się w pierwszej chwili, i przyjąłem, że w okresie czasu między wymówieniem jej pracy a opuszczeniem domu przydała kradzież do swego innego grzechu, przywłaszczając sobie zegarek, który spostrzegła w twojej sypialni. Pomyślałem sobie nawet, że prawdopodobnie musiałeś stwierdzić brak zegarka po odjeździe tej kobiety i podejrzewając, kto ci go ukraść, pobiegłeś za bryczką, żeby go odebrać. Kiedy jednak powiedziałem kupcowi o moich podejrzeniach, zapewnił mnie, że osoba, która zostawiła mu ten zegarek, oświadczyła najsolenniejszym, iż dostała go od syna swego chlebobdawcy, który miał pełne prawo rozporządzać nim według własnej woli.

Kupiec objaśnił mi, że okoliczności, w których zaferowano mu zegarek na sprzedaż, wydały mu się trochę podejrzaną, więc zażądał, żeby owa kobieta opowiedziała mu dokładnie, jak doszła do posiadania zegarka, ponieważ inaczej nie będzie mógł wyrazić zgody na jego kupno.

Powiedział mi, że z początku próbowała — co jest stałą cechą postępowania kobiet tego pokroju — różnych krętałów, ale w obliczu groźby, że natychmiast dostanie się do więzienia, jeżeli nie powie całej prawdy, opisała ze wszystkimi szczegółami, jak biegłeś za bryczką, aż zsiniałeś na twarzy ze zmęczenia, i jak nalegałeś, żeby przyjęła od ciebie wszystkie twoje

pieniądze, scyzoryk i zegarek. Powiedziała jeszcze, że stangret Jan, którego natychmiast zwolnię z pracy, był świadkiem tej sceny. A teraz, Ernestie, bądź tak uprzejmy i powiedz mi, czy ta przerażająca historia jest prawdziwa czy fałszywa?

Nigdy nie wpadło Ernestowi do głowy zwrócić ojcu uwagę, że nie należy bić słabszych od siebie, albo przerwać mu jego przemowę protestem, żeby nie kopał, bo i tak leży już powalony. Chłopiec był za bardzo zdenerwowany i zbyt roztrzęsiony, żeby zdobyć się na taki koncept. Zdał się więc na łaskę losu i wyjąkał, że to prawda.

— Tego się obawiałem — rzekł Teobald — a teraz bądź tak dobry i zadzwoń.

Kiedy na wezwanie dzwonka stawiał się ktoś ze służby, Teobald zażądał, żeby posłano po Jana, a kiedy Jan stawiał się w jadalni, Teobald obliczył, ile mu się należy do wypłaty, i wyraził życzenie, żeby natychmiast opuścił progi tego domu.

Jan zachowywał się spokojnie i z uszanowaniem. Przyjął wymówienie jak rzecz całkiem zwyczajną, ponieważ Teobald w sposób dostatecznie jasny dał mu do zrozumienia, dlaczego go zwalnia, ale kiedy zobaczył Ernesta, który błądy i zmartwiały ze strachu siedział na brzeжку krzesła pod ścianą jadalni, jak gdyby olśniony jakąś nagłą myślą, zwrócił się do Teobalda, zaciągając swym północnym akcentem, którego nie będę próbował odtwarzać:

— Otóż tak, proszę pana, teraz domyślam się, o co chodzi w tej całej gadaninie, ale zanim pójdę, chcę z panem zamienić jeszcze jedno słowo.

— Ernest — rzekł Teobald — wyjdź z pokoju.

— Nie, paniczu, nie wyjdiesz — rzekł Jan, zagrządzając drzwi. — Tak, proszę pana — ciągnął dalej — ze mną może pan zrobić, co się panu podoba. Byłem dla pana dobrym sługą i nie mogę powiedzieć, nie był pan dla mnie złym panem, ale, jak tu stoję, powiadam, że jeżeli źle się pan obejdzie z paniczem Ernestem, to ja mam takich w miasteczku, którzy dowiedzą się o tym i dadzą mi znać. A jak ja się dowiem, to wrócę i połamię panu wszystkie kości, i basta!

Jan oddychał szybko, jak gdyby miał wielką ochotę załatwić sprawę połamania kości bez żadnej zwłoki. Twarz Teobalda poszarzała na popiół — jak później jednak wyjaśnił, bynajmniej nie z powodu czczych pogroźek złapanego na przestępstwie i rozwścieczonego chama, ale z powodu tak niesłychanej bezczelności swego własnego sługi.

— Pozostawię panicza Ernesta, Janie — odparł hardo — wyrzutom jego własnego sumienia. („Bogu i Janowi niech będą dzięki" — westchnął w duchu Ernest.) A co do ciebie, przyznaję, że byłeś doskonałym sługą do czasu tego nieszczęsnego zdarzenia, i z wielką przyjemnością wydam ci świadectwo, jeżeli zażadasz. Czy masz jeszcze coś do powiedzenia?

— Nic więcej ponad to, co już powiedziałem — rzekł Jan ponuro — ale tego, co powiedziałem, nie zaprę się i dotrzymam, ze świadectwem lub bez świadectwa.

— Ależ nie potrzebujesz się obawiać świadectwa, Janie — rzekł łaskawie — robi się już późno, więc nie będziesz mógł wcześniej opuścić domu jak dopiero jutro rano.

Jan nie rzekł ani słowa, lecz wyszedł, spakował swoje rzeczy i opuścił dom natychmiast.

Kiedy Krystyna dowiedziała się o przebiegu zajścia, powiedziała, że jest skłonna wszystko synowi przebaczyć z wyjątkiem tego, że jego niegodziwy postępek naraził Teobalda na tak niesłychaną bezczelność ze strony własnego sługi. Teobald jest najmeźniejszym z ludzi i mógł, gdyby zechciał, wziąć nieszczęśnika za kołnierz i wyrzucić z pokoju, ale o ileż bardziej godna podziwu, o ileż szlachetniejsza była jego odpowiedź! Jaki to świetny efekt dla powieści albo dla teatru, bo aczkolwiek teatr w zasadzie jest niemoralny, to bez wątpienia zdarzają się także sztuki budujące. W wyobraźni widziała, jak widownia zastygła w napięciu i z zapartym tchem oczekuje repliki na pogroźki Jana. Potem aktor — prawdopodobnie byłby nim wielki i poczciwy Macready — wypowie słowa: „Pozostawię panicza Ernesta wyrzutom jego własnego sumienia." Ach, jakież to wzniosłe! Jaka wrzawa podniosłaby się na widowni z podziwu! Potem

ona by weszła, zarzuciłaby ramiona na szyję małżonka i powiedziała mu, że ma w nim męża o lwim sercu. Po zapadnięciu kurtyny w całym teatrze wszyscy szeptaliby, że ostatnia scena wzięta została z prawdziwego życia, a widownią tego zdarzenia był dom wielbego Teobalda Pontifex.a, który ożenił się z panną Allaby, itd., itd.

Podejrzenia, które zaczęły nurtować jej duszę w stosunku do Ernesta, pogłębiły się jeszcze bardziej, ale uznała, że lepiej będzie nie ruszać sprawy. Chwilowo jej pozycja była bardzo silna. Oficjalna niewinność Ernesta była mocno ugruntowana, ale jednocześnie okazał się tak pobudliwy, że mogła stopić dwa przeciwstawne obrazy w jedno wyobrażenie i uznać go za coś w rodzaju syntezy Józefa i Don. Juana. Tego zawsze gorąco pragnęła, a kiedy jej próżność została zaspokojona przez fakt posiadania takiego syna, przestała o tym myśleć. Sam syn się nie liczył.

Bez wątpienia, gdyby Jan nie był czynnie wkroczył w akcję, Ernest byłby musiał odpokutować swój występki w bólu, niedostatku i odosobnieniu. Tak jak rzecz stanęła, chłopiec miał „mieć moralną świadomość”, że spotkały go wspomniane kary oraz że dręczą go katusze nieznośnych wyrzutów, które zadaje mu jego własne sumienie. Poza tym jednak, że Teobald jeszcze bardziej pilnował odrabiania wakacyjnych zadań oraz poza nieustającą oziębłością ze strony rodziców, nie wymierzono mu żadnej widzialnej kary, Ale mimo to Ernest, patrząc na te wydarzenia z odległości czasu, uważa, że właśnie w tym okresie zaczął zdawać sobie sprawę ze szczerzej i czynnej niechęci do swych rodziców, a to — w moim mniemaniu — oznaczało, że zaczął świadomie wchodzić w wiek męski.

ROZDZIAŁ XLII

Na jakiś tydzień przed powrotem do szkoły ojciec znowu wezwał Ernesta do jadalni i oświadczył mu, że zwróci mu zegarek, lecz potrąci kwotę, którą za niego zapłacił, z jego miesięcznej pensji. Teobald uznał, że lepiej wydać kilka szylingów niż dochodzić własności zegarka, skoro przekonał się niezawodnie, że Ernest podarował go Ellen. Płatność tego zobowiązania miała być rozłożona na dwa półrocza. Tym samym chłopiec miał wrócić do Roughborough jedynie z pięcioma szylingami na drobne wydatki w kieszeni, co miało mu wystarczyć na całe półrocze. Jeżeli mu braknie pieniędzy, musi je sam sobie zarobić szkolnymi nagrodami.

Ernest nie obchodził się z pieniędzmi tak ostrożnie, jak przystało na wzorowego chłopca. Mógł sobie powiedzieć: „Mam teraz funta, który musi mi wystarczyć na piętnaście tygodni, a więc wolno mi wydawać dokładnie szylinga i cztery pensy tygodniowo”, i rzeczywiście wydawać szylinga i cztery pensy tygodniowo. Można przyjąć za pewnik, że nic takiego nigdy nie powstało mu w głowie. Pozbywał się pieniędzy mniej więcej tak szybko jak inni chłopcy i w kilka dni po powrocie do szkoły był już nieźle splukany. Kiedy nie miał pieniędzy, trochę się zadłużał, a kiedy miał długi, obywał się bez kosztownych przyjemności. Kiedy znowu wpadło mu coś niecoś do kieszeni, spłacał swoje zobowiązania natychmiast, a jeżeli pozostawała mu jakaś nadwyżka, wydawał ją bez chwili namysłu. Jeżeli jej nie było — a rzadko bywała — znowu zaczynał korzystać z kredytu.

Podstawę jego finansów stanowiło domniemanie, że po powrocie do szkoły będzie miał całego funta, który był obciążony długami do wysokości, przyjmijmy okrągło, piętnastu szylingów. Pozostawało wprawdzie do zapłacenia pięć szylingów na różne szkolne składki, lecz każdemu chłopcu, który je zapłacił, wypłacano w auli raz w tygodniu tytułem specjalnej bonifikaty sześć pensów, a do tego należało doliczyć nagrody pieniężne które, jak postanowił, miały w tym półroczu dojść do poważnej kwoty. Ten kapitalik, plus odnowiony kredyt, pozwoliłyby mu w normalnych okolicznościach na jakie takie opędzenie półrocza.

Nieoczekiwany ubytek piętnastu szylingów był katastrofalnym ciosem dla planów finansowych mego bohatera. Wyraz jego twarzy zdradził tak wyraźnie, co czuł w tej chwili, że Teobald zakomunikował mu swe niezłomne postanowienie „poznania prawdy natychmiast i tym razem bez nie kończącego się oszukaństwa”, zanim wspomniana prawda dotrze do niego inną drogą. Smętny fakt wyszedł wkrótce na jaw, okazało się mianowicie, że nieszczęsny Ernest zaciągał długi, przydając ten grzech do grzechów lenistwa, kłamstwa i prawdopodobnie — nie było bowiem żadnych podstaw do wykluczenia tej ewentualności — do grzechu nieczystości.

Jak do tego doszło, że się zadłużył? Czy inni chłopcy też to robili? Ernest z ciężkim sercem przyznał, że robili.

W których sklepach zaciągali długi?

Tego było już za dużo, więc Ernest odpowiedział, że nie wie.

— Och, Erneście, Erneście! — zawołała jego matka obecna przy tej rozmowie — nie nadużywaj po raz drugi w tak krótkim okresie czasu pobłażliwości twego ojca, który jest tak nieskończenie wyrozumiały, że drugiego takiego ojca nie znajdziesz na całym świecie. Pozwól przynajmniej, żeby czas zagoił jedną ranę, zanim zadasz mu drugą.

Bardzo to było ładnie powiedziane, ale jaką drogę wyjścia miał Ernest z tej sytuacji? Czy mógł świadomie zdecydować się na wpędzenie w kłopoty właścicieli szkolnych sklepików i przyznać się rodzicom, że pozwalali chłopcom kupować u nich na kredyt? Jest wśród nich taka

pani Cross, stara, poczciwa kobiecina, która sprzedaje im ciepłe bułeczki z masłem na śniadanie albo jajka na grzance, albo ćwiartkę kurczaka w sosie chlebowym z tłuczonymi ziemniaczkami, za co liczy - im sześć pensów. Na tych sześciu pensach mogła zarobić najwyżej farthinga i z pewnością akurat tyle zarabiała. Kiedy chłopcy przychodzili do niej gromadnie po zabawie w „psy”, Ernest często słyszał, jak popędzała swe podręczne dziewczęta: „Ruszajcie się, dziewczuchy, dajcie im prędzej coś do zjedzenia.” Wszyscy chłopcy bardzo ją lubili, więc czyż on, Ernest, może obmawiać ją za jej plecami? To jest okropne.

— Słuchaj, Ernest — rzekł Teobald z najposepniejszą z posepnych chmur na obliczu — zamierzam położyć kres tej całej bzdurze, i to raz na zawsze. Albo obdarzysz mnie bez zastrzeżeń takim zaufaniem, jakie syn winien jest swemu ojcu, i będziesz polegał na mnie, że potrafię postąpić w tej sprawie, jak przystało na duszpasterza i człowieka znającego świat i ludzi, albo nie pozostawiam ci żadnych złudzeń, że przekażę tą całą historię drowi Skinnerowi, który zastosuje, w co chyba nie wątpisz, środki bardziej, surowe ode mnie.

— Ach, Erneście, Erneście — załkała Krystyna — opamiętaj się póki czas i zaufaj tym, którzy dali ci aż nadto przekonywające dowody, że potrafią być wyrozumiali.

Żaden rasowy bohater powieści nie zawahałby się ani na chwilę. Żadne obiecanki, żadne groźby nie zmusiłyby go do wyniesienia na zewnątrz informacji o tym, co dzieje się w szkole. Ernest pomyślał o chłopcach, którzy byli jego ideałami. Dobrze wiedział, że daliby sobie raczej język wyrwać, a nie powiedzieliby nawet jednego słowa, z którego można byłoby czegokolwiek się dowiedzieć, ale Ernest nie był ideałem. Był za słaby w stosunku do swego otoczenia, a zastanawiam się, do jakich granic inni chłopcy potrafiliby przeciwstawić skuteczny opór takiemu moralnemu naciskowi, jakiemu on został poddany. W każdym razie on *tego* nie potrafił dokazać, więc *wił* się i skręcał jeszcze przez chwilę, aż w końcu stał się biernym łupem wroga. Pocieszał się myślą, że tatuś nie nabrał go na sztuczkę z „sekretem” tyle razy, ile razy nabrała go mamusia, i uważał, że lepiej jest przyznać się niż narazić na śledztwo, którego ojciec zażąda od dra Skinnera. Sumienie tatusia „pytlowało”

Wprawdzie dosyć głośno, ale nie tak głośno jak sumienie mamusi. Głuptasek zapomniał, że nie dał swemu ojcu tylu sposobności do wiarołomstwa, ile zdążył ich dać Krystynie.

Potem wszystko się wydało. Winien jest tyle a tyle pani Cross, tyle a tyle pani Jones, tyle a tyle „Pod Łabędziem i Butelką”, gdzie chłopcy chodzili na piwo, nie wspominając o paru miejscach, w których jego zadłużenie wahało się od półtora do dwu szylingów. Teobald i Krystyna nie nasycili się tymi informacjami — przeciwnie, im więcej odkrywali, tym bardziej rósł ich odkrywczy apetyt. Wprawdzie na podstawie tych wiadomości, które już zdołali uzyskać, mogli wyrwać swego synka z gniazda grzechu, ale musieli zgłębić całą sprawę do dna, ponieważ są jeszcze inne mamusie i inni ojczulkowie, którzy także mają synków, więc czyż nie jest świętym obowiązkiem Krystyny i Teobalda zrobić wszystko, co leży w ich mocy, żeby ocalić te dzieci od zguby? Którzy zatem chłopcy zadłużyli się podobnie jak Ernest u tych harpii?

Wówczas Ernest znowu zademonstrował trochę ślamazarnego oporu, ale zaraz poszły w ruch maszyny do tortur, więc Ernest, któremu już wtedy zdołano osłabić kręgosłup moralny, potępił swe błędy i poddał się władzy, która miała go w swej mocy. Powiedział tylko trochę mniej od tego, co wiedział, lub, jak kto woli, od tego, co wydawało mu się, że wie. Wypytywano go, potem znowu rozpytywano go w kółko o to samo, potem wzięto go w krzyżowy ogień pytań, a potem musiał odejść i siedzieć w odosobnieniu swego pokoju, a potem znowu badano go w krzyżowym ogniu pytań. Wydało się, że palili tytoń w kuchni pani Jones. A więc, którzy chłopcy palili, a którzy nie palili. Którzy chłopcy zaciągali długi i mniej więcej w jakiej wysokości i gdzie? Którzy chłopcy przeklinali i używali nieprzyzwoitych wyrażen? Teobald stał twardo na stanowisku, że tym razem Ernest, powinien okazać mu, jak się wyraził, bezgraniczne zaufanie,

więc wzięto listę uczniów, zgodną z półrocznymi sprawozdaniami dra Skinnera, i państwo Pontifex wnikali kolejno od góry do dołu, bez żadnego wyjątku, w najbardziej poufne cechy charakteru chłopców w takim stopniu, w jakim Ernest mógł o każdym z nich udzielić informacji. A tak się złożyło, że w ubiegłą niedzielę Teobald wygłosił trochę mocniejsze niż zwykle kazanie przeciwko okrucieństwu inkwizycji. Małżonkowie, niezrażeni żadnym, nawet najbardziej obrzydliwym zepsuciem, o którym się dowiedzieli, nie zawahali się ani na chwilę, lecz sondowali coraz głębiej, aż znaleźli się całkiem blisko kwestii jeszcze bardziej delikatnych od tych, których dotąd mieli, sposobność się dotknąć. W tym momencie nieświadome „ja” Ernesta wzięło sprawę w swoje ręce, stawiając taki opór, do którego jego świadome „ja” nie było zdolne — i nieprzytomny runął z krzesła na podłogę.

Posłano po dra Martina, który orzekł, że chłopiec jest poważnie chory. Lekarz zalecił mu absolutny spokój i zabronił denerwować się. Strwożeni rodzice musieli więc z bólem serca poprzestać na tym, co do tej pory zdołali osiągnąć, i ze strachu przystać na to, żeby krótki okres czasu, który pozostał mu do końca wakacji, przeżył w spokoju. Nie próżnowali, szatan jednak potrafi tchnąć złe myśli nie tylko w próżniaków, ale także w pracowitych, więc zesłał na Battersby pewną, niewielką robótkę, której małżonkowie ochoczo się podjęli. Byłaby wielka szkoda — rozu- mowali — gdyby Ernest, który do szkoły w Roughborough chodzi już trzeci rok, musiał ją teraz opuścić. Sprawa znalezienia dla niego nowej szkoły wcale nie jest łatwa i musieliby jakoś uzasadnić swą decyzję odebrania go z Roughborough, a to postawiłoby ich w niezręcznej sytuacji. W dodatku dr Skinner i Teobald uchodzą za starych znajomych, więc byłoby nieprzyjemnie urazić doktora. Były to dostatecznie przekonywające powody, żeby chłopca nie przenosić do innej szkoły. A zatem nic innego nie pozostało do zrobienia, jak ostrzec poufnie dra Skinnera o tym, co się działo w jego szkole, i doręczyć mu listę uczniów z uwagami, które wydarto z Ernesta, a dopisanymi przy nazwisku każdego chłopca.

Teobald był uosobieniem dokładności. W czasie kiedy jego syn leżał chory w pokoju na piętrze, przepisał ową listę w taki sposób, że mógł ująć swe komentarze w rodzaj tabeli, której wzór podaję niżej,

PaleniePłcie piwa „Pod Łabę- dziem”Przeklinanie i używanie nieprzyzwoitych wyrazówUwagi Smith 00XX Będzie palić od następnego półroczaBrownxxx 0X Jones XXX xxxRobinson XXXXX I tak kolejno przez całą szkołę.

ale zmieniłem naturalnie nazwiska. Jeden krzyżyk w kratce oznacza występki sporadyczny, dwa są symbolem wykroczeń częstych, a trzy — przestępstw nałogowych.

Oczywiście, tytułem rekompensaty dla Ernesta dr Skinner zostanie zobowiązany do zachowania tajemnicy, zanim cokolwiek mu się powie. Dzięki takiemu postawieniu sprawy ich syn będzie bezpieczny, a w takim razie należy dyrektorowi powiedzieć jak najwięcej szczegółów.

ROZDZIAŁ XLIII

Teobald uznał tę sprawę za tak doniosłą, że przed początkiem półrocza specjalnie wybrał się do Roughborough. Była to wielka ulga, kiedy nie było go w domu. Tym razem nie wymieniano celu jego podróży, ale Ernest domyślił się, dokąd ojciec się udał.

Do dnia dzisiejszego Ernest uważa swe postępowanie w okresie tego kryzysu za jedno z najbardziej poważnych uchybień w swoim życiu — za uchybienie, o którym nie może myśleć bez wstydu i wewnętrznego oburzenia. Powiada, że powinien był uciec z domu. Cóż dobrego mogło wyniknąć z faktu jego ucieczki? Zostałby schwytyany, odprowadzony do domu i poddany śledztwu o dwa dni później zamiast o dwa dni wcześniej. Chłopiec w wieku zaledwie szesnastu lat nie potrafi przeciwstawić się moralnej presji rodziców, którzy tyranizowali go przez całe życie, podobnie jak nie zdoła dotrzymać pola silnemu, dorosłemu mężczyźnie. Zapewne, mógł raczej dać się zabić niż ulec przemocy, ale w takim postawieniu sprawy jest jakiś chorobliwy heroizm i ten, kto się na to decyduje, staje się tchórzem. Jest to po prostu samobójstwo, które powszechnie potępia się jako tchórzostwo.

Kiedy cała szkoła była już w komplecie, natychmiast rzuciło się w oczy, że stało się coś złego. Dr Skinner zwołał wszystkich chłopców na zbiórkę i z wielką pompą rzucił kłutwę na panią Cross i panią Jones oraz zakomunikował, że od tej chwili ich sklepy są niedozwolone. Ulica, przy której znajdował się „Łabędź”, także została zakazana. Okoliczności wskazywały wyraźnie, że sankcje zostały wymierzone przeciwko występkom pijaństwa i palenia, a przed modlitwą dr Skinner w krótkich i przejmujących słowach przemówił na temat ohydnych grzechu używania sprośnych wyrażeń. Można sobie wyobrazić, co wtedy czuł Ernest.

Następnego dnia w porze, kiedy odczytywano dzienną listę kar, ogłoszono, że na Ernesta Pontifexa, aczkolwiek nie zdążył jeszcze dopuścić się żadnego wykroczenia, zostały nałożone wszelkie możliwe kary, jakie przewidywał szkolny regulamin. Wpisano go aż do końca półrocza na listę próżniaków i dzień w dzień musiał odsiadywać po lekcjach karne godziny. Ograniczono mu możliwość poruszania się i musiał być obecny na zbiórkach niższych klas. Został naprawdę tak osaczony ze wszystkich stron karami, że wyjście poza bramy szkoły stało się dla niego niemal niemożliwe. Ów bezprzykładny rejestr kar, wymierzonych już w pierwszym dniu powrotu do szkoły, a mających trwać aż do ferii Bożego Narodzenia, nie był powiązany z żadnym konkretnym przewinieniem. Nie trzeba było więc ze strony chłopców zbyt wielkiej przenikliwości, żeby skojarzyć osobę Ernesta z uznaniem sklepów pani Cross i pani Jones za niedozwolone.

Specjalnie wielkie oburzenie wywołała sprawa pani Cross, bo przecież wiadano, że starowina pamięta samego dra Skinnera z czasów, kiedy ledwo co wyrósł z dziecięcych sukienek, i z całą pewnością pozwoiliła mu zjeść niejedną porcję kielbasy z tłuczonymi ziemniaczkami, nie żądając od niego natychmiastowej zapłaty. Starsi chłopcy zebrali się na konklawe, żeby rozważyć, co należy zrobić w tej materii, ale ledwo zaczęli radzić, Ernest nieśmiało zapukał do drzwi ich głównej kwatery i postawił wszystko na jedną kartę, wyjaśniając im całą sprawę tak szczegółowo, jak potrafił na to się zdobyć. Wyrzucił z siebie wszystko z wyjątkiem sprawy owej nieszczęsnej listy szkolnej i komentarzy, którymi scharakteryzował swych kolegów. Wyznanie tak okropnej hańby było ponad jego siły, więc nie zdradził tej tajemnicy. Na szczęście nie groziło mu z tego powodu żadne niebezpieczeństwo, bo dr Skinner, aczkolwiek formalista, a nawet formalista do kwadratu, miał tak dużo zdrowego rozsądku, że nieprzyjaźnie odniósł się do listy uczniów, przedłożonej mu przez Teobalda. Może wziął za złe, że państwo Pontifex zarzucili mu

nieznajomość charakterów jego własnych uczniów, a może bał się, że wybuchnie skandal wokół jego szkoły — nie potrafię tego wyjaśnić. Dość powiedzieć, że kiedy Teobald wręczył mu listę, nad którą tyle się namozolił, dr Skinner przerwał mu niezwykle obcesowo i z większą słodyczą w gestach niż zazwyczaj wrzucił ją do ognia na oczach samego pastora.

Chłopcy osądzili Ernesta bardziej pobłażliwie, niż się spodziewał. Uznano, że przestępstwo, chociaż w swej istocie ohydne, zostało popełnione w cznościach łagodzących, a rozbijająca otwartość, z jaką winowajca do wszystkiego się przyznał, jego niewątpliwie szczerą skrucha oraz wściekłość, z jaką dr Skinner go prześladował, wywołały korzystną dla niego reakcję, jak gdyby winy Ernesta były mniejsze od grzechów, które popełniono przeciwko niemu.

W ciągu półrocza zaczął stopniowo wracać do równowagi, a kiedy przeżywał jeden z powtarzających się ataków samoponiżenia, znajdował pewną pociechę w świadomości, że nawet jego ojciec i matka, których dotąd uważał za niepokalanych, nie są lepsi, niż ludziom przystoi. Istniał w szkole zwyczaj, że około piątego listopada zbierano się na gminnej łące, niedaleko Roughborough, i palono kukłę jakiejś wybranej przez chłopców osoby, co było kompromisem, który uczniowie osiągnęli w sprawie palenia ognisk w rocznicę zamachu Guya Fawkesa. Zapadła decyzja, że w tym roku ofiarą padnie rodzic Pontifexa, a Ernest po rozważeniu, jak powinien postąpić, nie dostrzegł żadnego rozsądnego powodu, żeby trzymać się z daleka od widowiska, które — jak słusznie zauważył — nie mogło ojcu w najmniejszym stopniu zaszkodzić.

Tak się złożyło, że biskup udzielał w szkole konfirmacji właśnie w dniu piątego listopada. Drowi Skinnerowi nie bardzo odpowiadał wybór tego dnia, ale biskup miał jeszcze wiele innych zajęć, więc doktor ostatecznie został zmuszony do wyrażenia zgody na propozycję dostojnika Kościoła. Ernest był jednym z tych, którzy mieli być konfirmowani, a uroczysta powaga ceremoniału wywarła na nim głębokie wrażenie. Kiedy czuł, klęcząc w kaplicy, że olbrzymi stary biskup wolno się zbliża do niego, nie mógł prawie oddychać z wrażenia, a kiedy zjawisko zatrzymało się przed nim i położyło mu swe ręce na głowie, przeraził się niemal do utraty zmysłów. Był pewny, że nadszedł wielki przełom w jego życiu i przyszły Ernest tylko nieznacznie przypominać będzie Ernesta przeszłego.

Działo się to około południa, ale w godzinę po obiedzie skutki konfirmacji zdążyły się zatrzeć i Ernest nie widział żadnego powodu, żeby odmówić sobie przyjemności udziału, jak co roku, w paleniu ogniska. Poszedł więc razem z kolegami i trzymał się bardzo dzielnie do chwili, kiedy chłopcy przynieśli kukłę i przygotowywali się do spalenia jej na stosie. W tym momencie zrobiło mu się trochę straszno. To dość mierne dzieło, wykonane z papieru, kartonu i słomy, nazwano wielebny Teobaldem Pontifexem, a kiedy niesiono je w kierunku ogniska, doświadczył nagłej odmiany uczuć. Wytrzymał jednak do końca, a po kilku minutach, kiedy było już po wszystkim, nie czuł żadnych złych skutków swego udziału w ceremonii, której pobudką było chłopięce zamięłowanie do psoty, a nie nienawiść.

Nie mogę pominąć faktu, że Ernest napisał do ojca i doniósł mu o niebywałych metodach, które wobec niego zastosowano. Spróbował nawet poddać Teobaldowi myśl, żeby ujął się za nim oraz przypomniał ojcu, w jaki sposób uzyskał od niego informacje, ale Teobald chwilowo miał dość dra Skinnera. Odprawa, którą dostał przy okazji spalania listy uczniów, była mało zachęcająca, więc nie miał ochoty ponownie wtrącać się do wewnętrznych spraw szkoły w Roughborough. Odpowiedział przeto, że albo musi zabrać Ernesta z Roughborough na dobre, co z wielu przyczyn jest niepożądane, albo pozostawić dyrektorowi szkoły do jego wyłącznej decyzji, jakie metody wychowawcze uważa za najodpowiedniejsze w stosunku do danego ucznia. Ernest nie powrócił już nigdy do tego tematu. Nadal gnębił się tym, że uległ i dał wyciągnąć z siebie zeznania, a uważał to za postępek przynoszący mu taką ujmę, że nie potrafił nalegać na obiecaną amnestię.

W czasie „awantury o matkę Cross”, która to nazwa długo jeszcze była używana przez uczniów, zaobserwowano w Roughborough zjawisko bez precedensu. Mam na myśli fakt, że najstarsi chłopcy zaałatwiali według pewnych reguł zlecenia swych młodszych kolegów. Najstarsi chłopcy nie mieli żadnych ograniczeń i mogli chodzić do sklepu pani Cross, kiedy im się podobało, a więc zgodzili się być łącznikami i załatwiać sprawunki albo u pani Cross, albo u pani Jones dla wszystkich innych chłopców, nawet z najniższych klas, rano między ósmą czterdzieści pięć a dziewiątą, a po południu między piątą czterdzieści pięć a szóstą. Stopniowo chłopcy nabrali odwagi i sklepy, choć oficjalnie nie odwołano zakazu, milcząco zostały uznane za dozwolone jak dawniej.

ROZDZIAŁ XLIV

Oszczędzę czytelnikowi opowiadania dalszych szczegółów z lat szkolnych mego bohatera. Przeszedł, jak zawsze na przekór sobie, do klasy dra Skinnera i przez jakieś dwa lata był jednym z „prepozytorów”, ale nie zdołał uzyskać żadnych wyższych godności. Pracował mało i odnoszę wrażenie, że doktor położył na nim krzyżyk i uznał za chłopca, którego lepiej zostawić samemu sobie, bo doszło do tego, że rzadko zadawał mu ćwiczenia z gramatyki, a Ernest odrabiał albo nie odrabiał swych zadań. Jego bierny opór dał z czasem dobre wyniki, na pewno lepsze od tych rezultatów, które mógł być chwilowo osiągnąć dzięki kilku odważnym wypadom. Do końca szkolnej kariery jego pozycja była taka sama jak na początku, to znaczy był raczej jednym z lepszych uczniów wśród nie bardzo solidnych — zarówno starszych, jak i młodszych — niż gorszym wśród solidnych.

Tylko jeden jedyny raz w ciągu lat szkolnych jego wypracowanie piśmienne zyskało uznanie w oczach dra Skinnera, a przechował je pieczołowicie jako wyborny przykład najogólniejszej pochwały, z jaką kiedykolwiek spotkał się w życiu. Miał napisać zadanie na temat „psy i mnisi Św. Bernarda” w strofach alcejskich, a kiedy owo zadanie otrzymał z powrotem, stwierdził, że doktor umieścił w nim następującą adnotację: „Wydaje mi się, że w ćwiczeniu na strofę alcejską, które w dalszym ciągu jest niewymownie złe, mogę dopatrzeć się słabiotkich objawów poprawy.” Ernest powiada, że jeśli istotnie to zadanie było lepsze od innych, musiał to być czysty przypadek, bo jest zupełnie pewny, że zawsze tak bardzo lubił psy, a specjalnie psy Św. Bernarda, iż na pewno układanie o nich strof alcejskich nie mogło mu zrobić najmniejszej przyjemności.

— Kiedy spoglądam na to wszystko wstecz — powiedział mi niedawno, śmiejąc się serdecznie — mam dla siebie większy szacunek za to, że ani razu nie dostałem najlepszego stopnia z wypracowania piśmiennego, niż gdyby udało mi się dostać najlepszą ocenę za każdym razem, kiedy była do tego okazja. Jestem zadowolony, że za nic w świecie nie zdołano mnie zmusić do układania wierszy po łacinie i po grecku. Jestem zadowolony, że Skinner nigdy nie miał na mnie najmniejszego wpływu moralnego, jestem zadowolony, że w szkole byłem próżniakiem, i jestem zadowolony, że ojciec przeciążał mnie nauką, kiedy byłem chłopcem; w przeciwnym razie przysłałbym prawdopodobnie na to całe oszustwo i pisałbym tak dobre zadania na temat psów i mnichów Św. Bernarda w strofach alcejskich jak moi koledzy. Prawdę mówiąc, nie jestem jednak tego całkiem pewny. Przypominam sobie, że jeden z chłopców, który napisał jakieś ćwiczenie łacińskie, ułożył dla własnej przyjemności następujący utwór:

Bernardy mnichów po górach biegają,
W śnieżnej zamieci dzieciątek szukają,
A na ich szyjach na ładnej pętelce
Dynda się tęgi dżin w butelce.

Byłbym rad, gdybym to ja napisał, próbowałem, ale bez powodzenia. Nie podobała mi się ostatnia linijka i próbowałem ją jakoś poprawić, lecz również bez powodzenia.

Zdawało mi się, że wyczuwam w zachowaniu Ernesta ślady goryczy w stosunku do jego wychowawców z lat młodości, i powiedziałem coś w tym rodzaju.

— Ależ nie — odpowiedział, śmiejąc się dalej — doznaję na ich widok takich samych uczuć, jakich doznawał św. Antoni na widok diabłów, które go kusiły, kiedy w sto lub kilkaset lat później spotkał przypadkiem któregoś ze swych kusicieli. Oczywiście zdawał sobie sprawę, że ma do czynienia z diabłem, ale uważał to za rzecz całkiem naturalną. Diabły muszą istnieć.

Spodziewam się nawet, że bardziej lubił tych swoich diabłów niż innych diabłów i okazywał im taką pobłażliwość, na jaką mógł sobie pozwolić bez publicznego zgorszenia. Co więcej, proszę pana — dodał — wprawdzie diabły kusiły św. Antoniego, ale on też wodził je na pokuszenie, bo jego wyjątkowa świętobliwość była tak wielką pokusą dla nich, żeby go kusić, że biedne diabły nie zdołały zapanować nad sobą. Ściśle mówiąc, należy bardziej współczuć diabłom niż św. Antoniemu, ponieważ diabły skuszone przez św. Antoniego, żeby go kusiły, w końcu załamały się, a św. Antoni oparł się pokusie. Wydaje mi się, że byłem antypatycznym i niemożliwym do zrozumienia chłopcem. A jeżeli spotkam kiedyś dra Skinnera, chętnie uściskam mu dłoń i z przyjemnością, wyświadczę mu jakąś przysługę.

W domu wiodło mu się teraz trochę lepiej. Skandale z Ellen i panią Cross z wolna zapadały się za horyzontem, a kiedy został prepozytorem, nawet pod dachem rodzinnym nastąpiły dla niego spokojniejsze czasy. Niemniej jednak baczne oko i opiekuńcza ręka ojca nadal trzymały go w ryzach i zawsze gotowe były stać na straży jego dochodów i wydatków oraz wysledzić wszystko, co miało z nim jakikolwiek związek. Czy można się więc dziwić, że chłopiec, aczkolwiek starał się zachować pozory wesołości i zadowolenia — a czasem nawet był wesoły — często, kiedy sądził, że nikt go nie widzi, wyglądał na stroskanego i bardzo zmęczonego, a to było świadectwem niemal nieustannego konfliktu, który go dręczył.

Smutny wygląd chłopca na pewno nie uszedł uwagi Teobalda i niewątpliwie potrafił go sobie wytłumaczyć, ale istota jego zawodu polegała na umiejętności przymykania oczu na to, co niewygodne — żaden duszpasterz nie utrzymałby się nawet miesiąca na swoim stanowisku, gdyby tego nie potrafił. W dodatku przez tyle lat pozwalał sobie mówić rzeczy, których nie powinien był mówić, i nie mówić rzeczy, które powinien był mówić, że było mało prawdopodobne, aby spostrzegł coś, czego, w jego mniemaniu, lepiej było nie widzieć, dopóki nic go do tego nie zmuszało.

A tak niewiele było potrzeba. Nie robić tajemnic tam, gdzie nie robi ich przyroda, nadzorować sumienie syna w jakiś bardziej sensowny sposób, popuścić mu cugli, zadawać mu mniej pytań, dawać mu pieniądze na jego osobiste wydatki z wyraźnym życzeniem, żeby wydał je na *menus plaisirs*.

— I pan powiada, że to niewiele — roześmiał się Ernest, kiedy przeczytałem mu ustęp, który przed chwilą napisałem. — Przecież to wyczerpuje pełny zakres obowiązków, które ciążyą na ojcu. Dodam tylko tyle, że najgorszym złem z tego, co pan wymienił, jest wieczne robienie ze wszystkiego tajemnicy. Gdyby ludzie odważyli się zacząć mówić ze sobą całkiem szczerze, za sto lat od tej chwili byłoby na świecie o wiele mniej smutku.

Wróćmy jednak do Roughborough. W dniu odjazdu, kiedy wezwano go do biblioteki na pożegnalny uścisk dłoni, Ernest ze zdziwieniem spostrzegł, że przy całym zadowoleniu z wyjazdu, zęgnął się z doktorem bez wyraźnej, piekającej pod sercem urazy. Dotarł do końca swych szkolnych tarapatów, wyszedł z nich obronną ręką, a biorąc rzecz na rozum, nie znajdował się w gorszej sytuacji od innych ludzi. Dr Skinner przyjął go łaskawie, a nawet — na swój ciężki sposób — figlarnie. Młodzież jest z reguły pobłażliwa i na odjeźdźnym Ernest nie mógł opędzić się od wrażenia, że jeszcze jedna taka pogawędka, a nie tylko puściłby w niepamięć wszystkie stare żale, ale stałby się jednym z wielbicieli i zwolenników doktora — żeby sprawiedliwości stało się zadość, należy w tym miejscu powiedzieć, że większość najbardziej obiecujących uczniów znajdowała się w szeregach jego wielbicieli.

Tuż przed pożegnaniem doktor sięgnął po książkę stojącą na jednej z tych samych półek bibliotecznych, które sześć lat temu wydawały się Ernestowi takie okropne, i wręczył mu ją, wpisując w niej swe nazwisko i słowa: φιλιὰς και εὐνοίας χάριν, co, jak mi się wydaje, znaczy: „Wszystkiego najlepszego życzy ofiarodawca.” Książka była napisana po łacinie przez Niemca,

niejakiego Schömana, nosiła tytuł *De Comitibus Atheniensibus* — lektura ani szczególnie łatwa, ani zabawna, ale Ernest był przeświadczony, że nie ma ani chwili do stracenia i nareszcie musi zrozumieć sens i wniknąć w istotę konstytucji oraz ordynacji wyborczej Aten. Wkuwał ten temat wielokrotnie, ale ledwo wbił go w głowę, zaraz wszystko ulatywało mu z niej doszczętnie. Teraz jednak, kiedy dostał od doktora tę książkę, zgłębi problem Aten raz na zawsze. Jakże to dziwne! Z całej duszy pragnął nie uronić niczego z przedmiotów, których się uczył. Pragnął tego świadomie, ale bez powodzenia, ponieważ natychmiast wszystko zapominał. Daremne były jego wysiłki, bo za ledwie zaczynała wstępować w niego nadzieja, że nareszcie czegoś się nauczył, a już miał zupełną pustkę w głowie. Widocznie pamięć ma kiepską, ale z drugiej strony, gdy ktoś zagrał mu jakiś utwór muzyczny i wspomniał, skąd pochodzi, nigdy tego nie zapomniał, choć nie tylko nie robił żadnego wysiłku, żeby tę informację utrwalić w pamięci, ale nawet nie zdawał sobie sprawy, czy w ogóle starał się ją zapamiętać. Prawdopodobnie jego umysł ma jakąś wadę, a on sam jest do niczego.

Miał jeszcze trochę czasu, więc wziął klucze od kościoła Św. Michała, żeby ostatni raz zagrać na organach, na których grał już wcale nieźle. Przez chwilę, pogrążony w zadumie, przechadzał się wzdłuż nawy kościelnej, potem usiadł do organów i zagrał *Brzydzili się pić z rzeki* sześć razy z rzędu, a wtedy trochę się pozbiierał i poczuł się szczęśliwszy. W końcu oderwał się od instrumentu, który tak bardzo kochał, i z pośpiechem udał się na stację.

Kiedy pociąg ruszył, spojrzął z wysokiego wału na zajmowany kiedyś przez ciotkę mały domek, w którym życiem przyplącała swe gorące pragnienie, żeby jemu było dobrze na świecie. Były tam dwie oszklone werandy, przez które często wychodził, żeby pobiec przez łąkę do warsztatu. Wyrzucał sobie, że okazał za mało wdzięczności tej dobrej pani — jedynej osobie spośród jego krewnych, o której myślał z wewnętrznym przekonaniem, że jej potrafiłby zaufać. Choć pamięć jej była mu bardzo droga, czuł zadowolenie, że nie dowiedziała się o kłopotach, których napisał sobie po jej śmierci, bo może nie przebaczyłaby mu tego wszystkiego — a to byłoby okropne! Ale kto wie, może jego życie byłoby inne, gdyby ciotka żyła, może oszczędziłaby mu wielu przykrości. Kiedy tak medytował, znowu zrobiło mu się smutno. Gdzie, gdzie — pytał samego siebie — jest kres jego nieszczęść? Czy i w przyszłości czeka go grzech, wstyd i smutek, nieodłączni towarzysze jego przeszłości, czy nieustannie czujne oko i opiekuńcza ręka ojca nadal obarczać go będą jarzmem ponad siły — a może jednak nadejdzie kiedyś dzień, w którym uświadomi sobie, że jest mu dobrze i że jest szczęśliwy.

Słońce było przesłonięte popielatą mgielką, która chroniła oczy przed światłem, i Ernest, medytując o sprawach opisanych wyżej, wpatrywał się w sam środek słońca jak w twarz osoby, którą znał i darzył sympatią. Z początku jego twarz była poważna, lecz łagodna jak oblicze zmęczonego człowieka, który wie, że ma ciężką robotę poza sobą; po kilku sekundach jednak, ukazała mu się weselsza strona jego niedoli i uśmiechnął się, na wpół z wyrzutem, na wpół radośnie, bo może, pomyślał sobie, jak niewiele w istocie znaczyło to wszystko, co go dotąd w życiu spotkało, i jak śmiesznie małe były jego udręki w porównaniu z cierpieniami większości ludzi. A kiedy tak patrzył prosto w oczy słońca, uśmiechając się jak przez sen, przypomniał sobie, jak pomagał kiedyś spalić kukłę swego ojca, a wtedy na jego twarzy zaczął pojawiać się wyraz coraz większego rozbawienia, aż wreszcie wybuchnął śmiechem. Dokładnie w tej samej chwili opadła delikatna zasłona z obłoczku, który przysłaniał słońce, a rażące promienie słoneczne zmusiły go do powrotu na *terra firma*. Wtedy uświadomił sobie, że towarzyszy podróży, starszy pan o dużej głowie i szpakowatych włosach, który siedział naprzeciwko niego, przygląda mu się z uwagą.

— Młody przyjacielu — odezwał się przyjaźnie — w miejscu publicznym, jakim jest wagon kolejowy, powinien pan unikać prowadzenia rozmów z mieszkańcami słońca.

Starszy pan nie powiedział ani słowa więcej, lecz rozłożył „Timesa” i pogrążył się w lekturze. A Ernest — Ernest spurpurowiał. Nie odezwali się do siebie słówkiem przez resztę czasu, który razem spędzili w przedziale, ale spoglądali na siebie od czasu do czasu, aż wreszcie ich twarze utrwaliły im się wzajemnie w pamięci.

ROZDZIAŁ XLV

Niektórzy ludzie głoszą, że lata szkolne były najszcześniejszym okresem ich życia. Być może, mają rację, ale ja osobiście, ile razy słyszę ten pogląd, zawsze podejrzliwie spoglądam na tych, którzy go wygłaszają.

Nielatwo przychodzi nam zdać sobie sprawę, czy w obecnej chwili jesteśmy szczęśliwi czy nieszczęśliwi, a jeszcze trudniej sprowadzić do wspólnego mianownika szczęście lub niedola z różnych okresów naszego życia. Możemy najwyżej powiedzieć, że jesteśmy jako tako szczęśliwi, dopóki nie posiadamy wyraźnie sprecyzowanego przeświadczenia, że jest nam źle. Niedawno rozmawiałem o tym z Ernestem i dowiedziałem się od niego, że jeszcze nigdy nie był tak szczęśliwy jak teraz. Powiedział mi także, że większego szczęścia nie pragnie, i dodał, że w Cambridge był pierwszy raz w życiu świadomie i stale szczęśliwy.

Pokażcie mi chłopca, którego nie ogarnąłby szal radości w chwili, kiedy po raz pierwszy przestąpił próg mieszkania, mającego przez kilka lat stanowić jego absolutne królestwo. Tutaj nie będzie musiał rezygnować z najprzytulniejszego miejsca, w którym ledwo zdążył się usadowić, ponieważ właśnie w tym momencie do pokoju wszedł tatuś lub mamusia, więc wypada im go ustąpić. Tutaj najwygodniejszy fotel będzie do jego wyłącznej dyspozycji i nikt nie będzie dzielić z nim pokoju ani wtrącać się, kiedy przyjdzie mu chęć na to czy na tamto, nie wyłączając palenia tytoniu. Ba, gdyby nawet okna takiego mieszkania od frontu i od tyłu wychodziły na śmiertelnie pustą ścianę, mieszkanie to byłoby rajem, a więc jak nazwać pokój, którego okna wychodzą na cichy dziedziniec z zielonym trawnikiem i krużgankami lub na ogród, jak w większości mieszkań w Oxfordzie i Cambridge.

Teobald, jako dawny asystent i tutor w kolegium Emanuela, do którego także zapisał Ernesta, miał możliwość uzyskania od obecnego tutora pewnych

ułatwień w wyborze mieszkania. Ernest dostał pokój bardzo przyjemny, z widokiem na obsiany trawą dziedziniec, który graniczył z ogrodami zwanymi Fellow's Gardens.

Teobald towarzyszył mu do Cambridge, pokazując się ze swej najlepszej strony. Podróż sprawiała mu wyraźną przyjemność i nawet on czuł coś w rodzaju dumy, że ma dorosłego syna na uniwersytecie. Co więcej, z jego milczącą aprobatą trochę promieni otaczającego go splendoru dostało się rykoszetem także Ernestowi. Teobald zadeklarował, iż „skłonny jest wierzyć” — było to jedno z serii jego ulubionych powiedzonek — że jego syn po ukończeniu szkoły wstąpi na drogę poprawy, a on ze swej strony „niczego więcej nie pragnie” — drugie jego ulubione powiedzonko — jak zapomnieć o przeszłości.

Ernest, choć był jeszcze przed immatrykulacją, miał możliwość pójść razem z ojcem na obiad do innego kolegium, dokąd zaprosił ojca i syna stary znajomy Teobalda, i zasiąść przy stole zarezerwowanym dla asystentów. Tam zawarł znajomość z mnóstwem dobrych rzeczy, nie znanych mu nawet z nazwy, lecz spotykanych od czasu do czasu na tym łez padole, a kiedy je konsumował, nabierał przekonania, że nareszcie otrzymuje pod każdym względem wszechstronne wykształcenie. Kiedy zrobiło się późno i musiał iść do „Emanuela”, gdzie miał spać w swym nowym mieszkaniu, ojciec odprowadził go do bramy i patrzył za nim, aż wszedł do kolegium. Po kilku minutach znalazł się sam w pokoju, do którego miał własny klucz w kieszeni.

Od tej chwili zaczął liczyć dni, a było ich wiele, które choć nie bezchmurne, to na ogół biorąc były szczęśliwe. Nie mam potrzeby ich opisywać, ponieważ spokojny, regularny tryb życia studentów opisano w dziesiątkach powieści tak dobrze, że ja na pewno nie potrafiłbym zrobić tego lepiej. Niektórzy z jego szkolnych kolegów przybyli do Cambridge mniej więcej w

tym samym czasie co i on i do końca studiów w Cambridge łączyły go z nimi przyjazne stosunki. Inni koledzy z ławy szkolnej, starsi tylko o rok albo dwa lata, pierwsi nawiązali z nim kontakt, a tym samym jego *entree* w życie uniwersyteckie nastąpiło pod wcale pomyślnymi auspicjami. Prostolinijność charakteru, czytelna z jego twarzy, naturalna wesołość i miłe usposobienie — łatwiej go było udobruchać niż rozgniewać — równoważyły pewną niezaradność i irytujący brak zmysłu praktycznego. Niebawem stał się dość popularny w najlepszym kółku na jego roku, a choć nie dążył do odegrania roli kierowniczej — nie mając do tego żadnych zdolności — został dopuszczony przez przywódców do grona najbliższych popleczników.

Ambicji nie miał w tym czasie ani na lekarstwo. Wielkość czy też wyższość w jakiegokolwiek postaci wydawały mu się tak dalekie i tak niepojęte, że koncept odniesienia ich do siebie nigdy nie wpadł mu do głowy. Jeżeli udało mu się tak manewrować, że nie zwracał na siebie uwagi tych wszystkich, z którymi nie czuł się *en rapport*, wyobrażał sobie, że odniósł dostatecznie duży sukces. Wcale mu nie zależało na zdaniu egzaminu z celującym wynikiem, z tym jedynym zastrzeżeniem, że powinien go zdać na tyle przywoicie, żeby rodzice nie robili mu wyrzutów. Nawet mu się nie śniło, żeby zdołał kiedykolwiek uzyskać asystenturę. Gdyby uznał to za możliwe, zdobyłby się na duży wysiłek, żeby tego dokazać, bo tak bardzo polubił Cambridge, że nie mógł pogodzić się z perspektywą rozstania się z tym miastem, i jeżeli przejmował się czymś poważnie, to chyba tylko tym, że okres szczęścia, które wtedy przeżywał, będzie trwać zbyt krótko.

Sprawa rozwoju fizycznego kosztowała go teraz mniej wysiłku, a na głowie miał mniej kłopotów niż kiedyś, więc zabrał się dosyć pilnie do nauki — wcale nie z ochoty, ale dlatego, bo mu powiedziano, że powinien się uczyć, a instynkt, podobnie jak i instynkt wielu bardzo młodych ludzi, którzy sobą coś reprezentują, doradzał mu, żeby postępował tak, jak mu mówią ludzie mający nad nim władzę. Zgodnie z intencjami, które panowały w Battersby (bo dr Skinner orzekł, że Ernest nigdy nie zdoła zrobić kariery akademickiej), miał obowiązek skupić swe siły na uzyskaniu takiego stopnia naukowego, który umożliwi mu w przyszłości otrzymanie posady „tutora” lub nauczyciela w jednej ze szkół przysposabiających do święceń kapłańskich. Kiedy będzie miał dwadzieścia jeden lat, zapisane mu w spadku pieniądze znajdą się w jego rękach. Zrobi z nich najlepszy użytek, jeżeli kupi sobie za nie prawo sukcesji na probostwo od jakiegoś starego plebana, a zanim to nastąpi, będzie mógł żyć z tego, co przyniesie mu stanowisko tutora albo nauczyciela. Za sumę, do której urósł legat po dziadku, będzie mógł sobie kupić bardzo intratną parafię, ponieważ Teobald nigdy na serio nie zamierzał potrącić swoich wydatków na utrzymanie i wychowanie syna, więc kapitał stale rósł, aż urósł prawie do pięciu tysięcy funtów. Teobald wspominał o owych potrąceniach wyłącznie w tym celu, żeby pobudzić syna do możliwie naj- większego wysiłku i wyrobić w nim przekonanie, że w przeciwnym razie grozi mu śmierć głodowa, ale nie jest wykluczone, że robił to z czystej miłości do dręczenia.

Jeżeli Ernest kupi sobie parafię, która będzie przynosić sześćset do siedmiuset funtów dochodu rocznie plus dom na mieszkanie, będzie mógł przy niezbyt licznej parafii powiększyć swój dochód udzielając lekcji albo prowadząc jakąś szkołę, a potem, kiedy dojdzie, powiedzmy, do trzydziestki, będzie mógł się ożenić. Trudno było wymagać od Teobalda, żeby wymyślił jakiś bardziej rozsądny plan. Interesy handlowe nie wchodziły w rachubę, bo w tej sferze nie miał żadnych stosunków — a w dodatku nie miał pojęcia, co to jest interes. Wśród palestry także nie miał wpływów. Fakultet medyczny przygotowywał do zawodu, który naraża jego adeptów na takie próby i pokusy, których on i Krystyna jako kochający rodzice chcieli oszczędzić swemu synowi. Mógłby znaleźć się w nieodpowiednim towarzystwie i oswoić z pewnymi detalami, które splamią czystość jego duszy, a choć może zdołałby oprzeć się pokusom, przecież „było więcej niż prawdopodobne”, że załamie się. W dodatku święcenia kapłańskie były drogą, którą

Teobald znał i rozumiał, a w istocie rzeczy były jedyną drogą, o której cokolwiek wiedział, więc nie należy się dziwić, że wybrał ją także dla Ernesta.

Wyżej przytoczone poglądy zostały wpojone naszemu bohaterowi już w najwcześniejszych latach chłopięcych, podobnie jak przed laty wpojono je, zresztą z takim samym rezultatem, Teobaldowi — chłopiec był niezbitcie przekonany, że będzie pastorem, ale że to sprawa odległej przyszłości, i w jego mniemaniu wszystko było w największym porządku. Nie ulegało również najmniejszej wątpliwości, że ma obowiązek porządnie zabrać się do nauki, ukończyć studia akademickie z możliwie najlepszym rezultatem, a więc, jak już wspomniałem, przysiadł fałdów i ku zdumieniu całego otoczenia oraz swemu własnemu już na pierwszym roku przyznano mu stypendium, wprawdzie niewielkie, ale bądź co bądź stypendium. Nie potrzeba chyba dodawać, że cała ta kwota do ostatniego pensa utonąła w kieszeni Teobalda, bo był przeświadczony, że pieniądze, które daje Ernestowi na drobne wydatki, w dostatecznym stopniu pokrywają jego potrzeby, a nadto zdawał sobie sprawę, ile niebezpieczeństw czyha na młodych ludzi, którzy mają za dużo pieniędzy do dyspozycji. Domyślam się, że nie przyszło mu do głowy odtworzyć sobie w pamięci, jak on sam czuł się wówczas, kiedy jego ojciec stosował wobec niego takie same metody wychowawcze. Z finansowego punktu widzenia obecne położenie Ernesta było bardzo podobne do sytuacji, w jakiej znajdował się w szkole, z tą różnicą, że teraz wszystko było w nieco większej skali. Ojciec płacił rachunki jego tutora, pokrywał koszty utrzymania, a także posyłał mu wino. Niezależnie od tych świadczeń dostawał z domu pięćdziesiąt funtów rocznie na ubranie i inne wydatki. W czasie kiedy Ernest chodził do kolegium Emanuela, był to poziom przeciętny, ale wielu było takich studentów, którzy mieli znacznie mniej. Ernest postępował tak samo jak w szkole — wydawał w miarę możliwości wszystko do ostatniego pensa natychmiast po otrzymaniu pieniędzy, a potem zaciągał umiarkowane zobowiązania i żył lichutko aż do następnego terminu, w którym mógł za jednym zamachem spłacić wszystkie długi i zaciągnąć nowe pożyczki mniej więcej w takiej samej wysokości, w jakiej były te, których właśnie się pozbył. Kiedy dostał swoje pięć tysięcy funtów i uniezależnił się od ojca, wystarczyło jakieś dziesięć do piętnastu funtów na pokrycie wszystkich jego samowolnych wydatków.

Zapisał się do klubu wioślarskiego i wytrwale przykładał się do tego sportu. Nadal palił, natomiast wina i piwa pił tylko tyle, ile nie szkodziło jego zdrowiu, przekraczając miarę tylko z okazji wioślarskich komersów, ale i z tym skończył, bo uznał, że skutki są nader nieprzyjemne, i niebawem nauczył się trzymać w przyzwoitej odległości od niebezpiecznej granicy. Do kaplicy chodził wtedy, kiedy musiał, a komunię przyjmował dwa do trzech razy w roku, ponieważ jego tutor powiedział mu, że tak trzeba. Powziął mocne postanowienie, że będzie żyć w umiarkowaniu i czystości, zresztą, jak domyślam się, przyszły mu w sukurs wszystkie jego wrodzone skłonności, a więc zgrzeszył dopiero — a któż, kogo urodziła kobieta, ma tyle sił, żeby od czasu do czasu nie ulec? — po ciężkich zmaganiach z pokusą tak silną, że zmoęła opór, na który stać było jego krew i ciało. Potem czuł wielką skruchę i przez dłuższy czas udawało mu się ponownie nie grzeszyć — i tak bywało z nim stale od czasu, jak wszedł w wiek lekkomyślności.

Do końca swych studiów w Cambridge był pewny, że nie ma w nim ani cienia talentu w żadnym kierunku, ale znaleźli się koledzy, którzy zaczęli dostrzegać, że jest chłopcem zdolnym, i czasem mu o tym mówili. Nie wierzył im. Przeciwnie, zdawał sobie doskonale sprawę, że uważano go za zdolnego tylko dzięki temu, że potrafi nabierać kolegów; cieszyło go to, więc próbował nabierać ich. Jeszcze więcej i stale wypatrywał efektownych frazesów, które mógłby sobie przyswoić i wykorzystać przy stosownej okazji; byłby prawdopodobnie wyrządził sobie tym niemałą krzywdę, ale — na szczęście — zawsze był gotów odrzucić każdy frazes dla następnej błyskotki, która w danej chwili bardziej urzekła jego wyobraźnię. Jego przyjaciele

zwykli mawiać, że ma w sobie coś z bekasa, bo w pierwszej chwili podrywa się, śmigając w różnych kierunkach, i dopiero po pewnym czasie lot jego staje się równy i prosty, ale kiedy już raz obierze określony kierunek, potrafi go utrzymać.

ROZDZIAŁ XLVI

Kiedy był na trzecim roku, powstał w Cambridge miesięcznik, którego współpracownikami byli wyłącznie studenci. Ernest posłał esej o greckim dramacie, którego nie pozwolił mi tu przytoczyć *in extenso*, bez zezwolenia na przedruk. Nie mogłem więc podać wspomnianego eseju w pierwotnym brzmieniu, lecz okrojony ze stylistycznych zawijasów (jest to jedyna operacja, której został poddany), tak oto wygląda:

„Nie odważę się w tak szczupłych ramach, jakie posiadam do dyspozycji, wystąpić z krytyczną oceną początków i rozwoju greckiego dramatu, ograniczę się tylko do rozważenia kwestii, czy sława, którą cieszą się trzej czołowi tragicy greccy, Ajschylos, Sofokles i Eurypides, ma trwale podstawy, czy też pewnego dnia zostanie uznana za przesadną.

Dlaczego — stawiam sobie pytanie — tak łatwo przychodzi mi znaleźć tyle uroku u Homera, Tycydydesa, Hefodota, Demostenesa, Arystofanesa, Teokryta, we fragmentach Lukrecjusza, satyrach i listach Horacego, nie wspominając o innych starożytnych pisarzach, a co powoduje, że z punktu czuję odrazę nawet do tych dzieł Ajschylosa, Sofoklesa i Eurypidesa, które otacza się powszechnym podziwem?

Biorąc do ręki dzieła tych pisarzy, których wymieniłem na pierwszym miejscu, trafiam na ludzi, którzy czują, jeżeli nie tak samo jak ja, to w każdym razie tak podobnie, że potrafię ich uczucia zrozumieć i wywołać w sobie zainteresowanie dla emocji, których oni doznawali, natomiast do tragików mam tak mało sympatii, że po prostu nie mieści mi się w głowie, jak ludzie mogą znajdować w ich twórczości coś godnego uwagi. Ich najwyższe wzloty są dla mnie tworam nudnymi, pompatycznymi i tak sztucznymi, że gdyby w naszych czasach wystawiono je na scenie po raz pierwszy, to śmiem twierdzić, że albo spotkałoby je kompletne niepowodzenie, albo dostałyby surowe cięgi od krytyków. Chciałbym ustalić, czy to ja się mylę w ich ocenie, czy też, być może, część winy za ten stan rzeczy obciąża samych tragików.

Stawiam sobie pytanie, jakie były rzeczywiste granice podziwu, którym. Ateńczycy szczerze darzyli poetów, oraz w jakiej mierze admirację, którą ich otoczono, można uznać za następstwo mody i egzaltacji? Do jakiego stopnia, w istocie rzeczy, admiracja dla ortodoksyjnych tragików była dla Ateńczyków namiastką tego, czym dla nas jest chodzenie do kościoła?

Jest to pytanie zuchwałe, zważywszy werdykt, który obowiązuje niezmiennie od dwóch tysięcy lat, i nie ośmieliłbym się tego pytania postawić, gdyby nie poddał mi go twórca, którego sława jest tak samo wielka i przez tak samo długi okres czasu usankcjonowana jak sława tragików, a mam na myśli — Arystofanesa.

Liczba wielbicieli, ciężar gatunkowy autorytetu i czas sprzymierzały się, żeby postawić Arystofanesa na tak wysokim szczeblu hierarchii literackiej, że nie ustępuje on żadnemu pisarzowi starożytnemu z wyjątkiem może Homera, a przecież nie robi on żadnej tajemnicy ze swej szczerzej nienawiści do Eurypidesa i Sofoklesa, a osobiście poważnie podejrzewam, że Ajschylosa chwali tylko dlatego, żeby z tym większą bezkarnością mógł pograżyć tamtych dwu. Bo ostatecznie między Ajschylosem a jego następcami nie ma tak wielkiej różnicy, żeby jemu przypisywać same zalety, a tamtym same wady. Co więcej, zjadliwe docinki przeciwko Ajschylosowi, które Arystofanes włożył w usta Eurypidesa, są zbyt trafne, żeby mogły być napisane przez wielbiciela.

Należy zwrócić uwagę, że podczas gdy Eurypides nazywa Ajschylosa «gębą, co nie ma wędzidla», a idzie mu zapewne o pompatyczność i skłonność do samochwalstwa, Ajschylos daje Eurypidesowi odprawę, że opiewa łachmany i jest «zebrackim Homerem, z czego można

wnioskować, że odmalował on życie swoich czasów wierniej od Ajschylosa. Zdarza się jednak, że wierne oddanie współczesnego życia stanowi tę istotną zaletę, która decyduje o trwałej wartości jakiegoś dzieła, zarówno w literaturze, jak i w malarstwie, a więc jest zupełnie zrozumiałe, dlaczego do naszych czasów zachowało się zaledwie siedem dramatów Ajschylosa i tyleż samo Sofoklesa, natomiast utworów Eurypidesa posiadamy ni mniej, ni więcej dziewiętnaście.

Ale była to tylko dygresja. Pytanie, na które mamy sobie odpowiedzieć, brzmi: czy Arystofanes rzeczywiście lubił dramaty Ajschylosa, czy tylko udawał, że mu się podobają. Należy pamiętać, że pretensje Ajschylosa, Sofoklesa i Eurypidesa do nawyższej rangi wśród tragiczków były w starożytności tak samo bezsporne jak pretensje Dantego, Petrarcki, Tassa i Ariosta do stanowiska największych poetów włoskich w oczach dzisiejszych Włochów. Wyobraźmy sobie jakiegoś zdolnego pisarza, człowieka o umyśle błyskotliwym, dajmy na to we Florencji, który doszedł do wniosku, że wyżej wspomniani poeci śmiertelnie go nudzą. Mamy pełne prawo założyć, iż na pewno nie zdobyłby się na wyznanie, że nie podobają mu się wszyscy czterej bez wyjątku. Prawdopodobnie stanąłby na stanowisku, że przynajmniej w Dantem potrafi dostrzec coś godnego uwagi, a tego poetę tym łatwiej przyszłoby mu postawić na piedestale, ponieważ jest najbardziej odległy w czasie. Pragnąc pociągnąć za sobą współziomków jeszcze dalej, ów pisarz próbowałby znaleźć z nimi więcej punktów stycznych, niż zrobiłby to idąc za głosem swych upodobań. Bez paliatywu w rodzaju podziwu przynajmniej dla jednego z tragiczków, ofensywa przeciwko tragiczkom byłaby dla Arystofanesa tak samo niebezpieczna jak dla dzisiejszego Anglika otwarte przyznanie się, że wszyscy elżbietańscy dramatopisarze, z wyjątkiem jednego Szekspira, są w jego oczach niewiele warte. A komuż z nas, z ręką na sercu, podoba się choćby jeden z elżbietańskich dramatopisarzy poza Szekspirem? Czy w gruncie rzeczy nie dostrzegacie w nich literackich Struldbrugów?

Zważywszy wszystkie aspekty tego zagadnienia, dochodzę do wniosku, że Arystofanesowi nie podobał się żaden z tragiczków, a nikt chyba nie zaprzeczy, że ten bystry, inteligentny i bezwzględnie szczery pisarz był dobrym sędzią literackich wartości i potrafiłby dostrzec piękno omawianych dramatów, bo z całą pewnością znał się na tych sprawach tak dobrze, że nie ustępował niemal nikomu z nas. Co więcej, posiadał nad nami tę przewagę, że na wylot rozumiał kryteria, według których, zgodnie z oczekiwaniami samych tragiczków, dzieła ich miały być oceniane, i do jakiegoż doszedł wniosku? Krótko mówiąc, posunął się niemal do stwierdzenia, że ich twórczość jest wielkim oszukaństwem lub czymś w tym rodzaju. Podpisuję się pod tym obiema rękami. Skłonny jestem wyznać, że nie znam żadnego utworu, który cieszyłby się tak niezasłużoną sławą, jak tragedie greckie i niektóre psalmy Dawidowe. Nie wiem, czy miałbym jakieś zastrzeżenia, gdyby do tej lektury zabrały się moje siostry, ale ja strzec się jej będę jak ognia."

Ten ostatni ustęp zawierający kąśliwą wycieczkę przeciwko psalmom, był niesłychany, więc rozgorzała ostra walka z redakcją, czy należy go zachować, czy skreślić. Sam Ernest też miał duszę na ramieniu, ale pewnego razu usłyszał, jak ktoś się wyraził, że niektóre psalmy są bardzo słabe, a kiedy po usłyszeniu tej oceny przeczytał je trochę dokładniej, doszedł do wniosku, że nie może być dwu zdań na ten temat.

Wobec tego W lot złapał wspomiane spostrzeżenie i podał je jako swoje własne, wnioskując, że prawdopodobnie Dawid wcale tych psalmów nie napisał, lecz znalazły się wśród autentycznych jego utworów, wyłącznie przez pomyłkę.

Esej, prawdopodobnie z powodu owego ustępu o psalmach, urósł niemal do rozmiarów sensacji i na ogół spotkał się z przychylnym przyjęciem. Przyjaciele Ernesta chwalili go bardziej, niż na to zasługiwał, a autor był ogromnie dumny, ale nie odważył się pokazać go w Battersby.

W dodatku zdawał sobie: jasno sprawę, że znalazł się u kresu swych możliwości. Był to bowiem jedyny pomysł, jaki miał w zanadrzu (jestem na domiar pewny, że grubo więcej było w tym cudzych myśli, które sobie przywłaszczył, niż jego własnych), a teraz nie miał już o czym pisać. Jego przekleństwem była tuzinkowa sława, która wydawała mu się znacznie większa, niż w istocie była, a jednocześnie nękała go świadomość, że nie potrafi jej utrzymać. Już po kilku dniach poczuł na własnej skórze, że nieszczęsny esej stał się beczką bez dna, którą ustawicznie musiał napełniać wszelkiego rodzaju szalonymi wysiłkami, żeby siłą utrzymać swój triumf, ale, jak można się domyślić, wszystkie jego zabiegi spełzły na niczym.

Nie pojmował, że gdyby zdobył się na cierpliwość, gdyby słuchał i patrzył uważnie wokół siebie, jakiś inny pomysł sam przyszedłby mu do głowy, a rozwinięcie tego pomysłu, naprowadziłoby go z kolei na dalsze tematy. Nie wiedział jeszcze wówczas, że nie ma gorszej metody zdobywania pomysłów niż uganianie się za nimi z wyraźnym zamiarem ich upolowania. Jedyną skuteczną metodą, która prowadzi do tego celu, jest zajmowanie się tematem, który się lubi, i zapisywanie wszystkiego, co w związku z nim wpadnie nam do głowy w czasie pracy lub odpoczynku, w małym notesiku, który zawsze nosi się w kieszonce kamizelki. Ale Ernest dopiero po wielu latach miał zgłębić tajniki tej ważnej umiejętności, i dużo wody musiało upłynąć, zanim do niej doszedł, ponieważ o takich sprawach nie uczył ani w szkole, ani na uniwersytecie.

Nie wiedział jeszcze wówczas, że koncepcje i pomysły, tak samo jak ludzkie istoty, w których umysłach powstają: muszą być poczęte z rodziców bardzo do nich podobnych, a najoryginalniejszy pomysł tylko nieznacznie różni się od rodziców, którym zawdzięcza swe istnienie. Życie jest jak fuga, wszystko musi rozwijać się z jednego tematu i nie może być niczego nowego. Nie zdołał jeszcze spostrzec, jak trudno jest określić, gdzie kończy się jeden pomysł, a gdzie zaczyna drugi, i nie wiedział, że istnieje ścisły paralelizm między tym zjawiskiem a trudnością określenia, gdzie się zaczyna życie i gdzie się kończy, gdzie jest początek jakiejś czynności i w ogóle wszystkiego, ponieważ wszystko jest jednością mimo nieskończonej wielości i nieskończoną wielością mimo jedności. Wyobrażał sobie, że proces powstawania w głowach zdolnych ludzi idei i pomysłów jest czymś w rodzaju żywiołowego kiełkowania i może obyć się bez pokrewieństwa z myśleniem innych ludzi i bez doświadczeń nabytych w drodze obserwacji; wierzył bowiem jeszcze w ludzki geniusz, a doskonale zdawał sobie sprawę, że na pewno nie jest genialny, jeżeli genialność jest owym szalonym „czymś”, za co on ją uważał.

Na jakiś czas przed wspomnianym wydarzeniem skończył dwudziesty pierwszy rok życia, osiągając tym samym pełnoletność, a Teobald oddał mu do dyspozycji spadek po dziadku, który wzrósł wtedy do pięciu tysięcy funtów. Ów kapitał był ulokowany na pięć procent, a zatem przynosił mu dwieście pięćdziesiąt funtów dochodu rocznie. Nie zdawał sobie jednak sprawy z faktu (nie potrafił zdać sobie sprawy z czegoś, co było zupełnie obce jego doświadczeniu), że tym samym stał się niezależny od swego ojca, i trzeba było sporo czasu, zanim to dotarło do jego świadomości, a i Teobald traktował go tak samo jak dawniej. Obydwaj, ojciec i syn, znajdowali się pod tak przemożnym wpływem nawyków i skojarzeń, że ojciec nadal święcie wierzył w swe nieograniczone prawo wydawania poleceń, a syn uważał, że przysługuje mu nadal bardzo ograniczone prawo sprzeciwu.

W ciągu ostatniego roku swego pobytu w Cambridge, zaślepiony w swej uległości wobec życzeń ojca, przepracowywał się ponad siły, a jedynym powodem, że pragnął zdobyć dyplom z odznaczeniem zamiast zwykłego dyplomu, był fakt, że ojciec przywiązywał do tego dużą wagę. W końcu zapadł na zdrowiu tak poważnie, że nie wiadomo było, czy będzie w stanie przystąpić do egzaminów końcowych, ale jakoś temu podołał, a po ogłoszeniu listy z wynikami okazało się,

że sklasyfikowano go znacznie wyżej, niż on sam lub ktokolwiek z jego otoczenia się spodziewał. W matematyce uzyskał dyplom drugiego stopnia z lokatą na trzecim lub czwartym miejscu, a w kilka tygodni później taki sam dyplom z przedmiotów klasycznych z lokatą gorszą niż średnią. Wprawdzie po powrocie do domu nadal czuł się fatalnie, ale Teobald zmusił go do powtórzenia mu wszystkich pytań egzaminacyjnych, ba, do najbardziej szczegółowego odtworzenia odpowiedzi, które na nie udzielił. Tak mało był znarowiony, że w czasie swego pobytu w domu wiele godzin dziennie nadal ślęczał nad matematyką i przedmiotami klasycznymi, jak gdyby nie miał już dyplomu uniwersyteckiego w kieszeni.

ROZDZIAŁ XLVII

Ernest wrócił do Cambridge po świętach wielkanocnych, roku 1858, żeby przygotować się do święceń, które były już za pasem, a nawet bliżej, niż tego pragnął. Do tego czasu, choć nie był przesadnie religijny, nigdy nie wątpił w prawdziwość tego wszystkiego, czego dowiedział się o wyznaniu chrześcijańskim. Nie zetknął się z nikim, kto w to wątpił, ani nie czytał niczego, co mogło wzbudzić w jego umyśle podejrzenia co do historycznego charakteru cudów przytoczonych w Starym i Nowym Testamencie.

Rok 1858 zamknął okres, w którym Kościół anglikański korzystał, z niezakłóconego spokoju. Między rokiem 1844, w którym ukazały się *Vestiges of Cieation*, a rokiem 1859, kiedy *Essays and Reviews* stały się zwiastunem wiszącej w powietrzu burzy, która miała szaleć przez wiele lat następnych, nie wydano w Anglii ani jednej książki mogącej wywołać wstrząs w łonie Kościoła. Najwięcej niepokoju wzbudziły, jak się zdaje, *Historia cywilizacji* Buckle'a oraz *Wolność* Milla, ale ich poczytność była niewielka, a Ernest i jego przyjaciele nawet nie wiedzieli o ich istnieniu. Ruch ewangeliczny z wyjątkami, o których wkrótce powiem, należał niemal do przeszłości. Traktarianie ugrzęźli w arcynowinkarstwie, którego żywot był tak krótki jak życie motyla. Działali, ale nie robili hałasu. O *Vestiges of Creation* zapomniano, zanim Ernest wstąpił na uniwersytet w Cambridge. Strach przed frontalnym atakiem katolicyzmu przestał ścinać krew w żyłach. Rytualizm nie był jeszcze znany szerokim warstwom społeczeństwa prowincjonalnego, a spory o Gorhama i Hampdena wydały przed kilku laty ostatnie tchnienie. Wśród dysydentów zapanował zastój. Jedynym tematem, który zajmował umysły, była wojna krymska, potem jej miejsce zajął bunt w Indiach i wreszcie wojna francusko-austriacka. Te wielkie wydarzenia odwróciły uwagę ludzi od tematów abstrakcyjnych i żaden wróg wiary nie potrafił wywołać swą osobą nawet cienia zainteresowania. Nigdy od początku tego stulecia objawy zbliżających się wstrząsów nie były dla przeciętnego obserwatora tak niewidoczne jak w okresie, który tu opisuję.

Nie potrzebuję dodawać, że owa cisza była bardzo powierzchowna. Ludzie starsi, znający się na tych sprawach lepiej od uczącej się młodzieży, na pewno dostrzegli, że fala sceptycyzmu, która ogarnęła już Niemcy, zbliża się do naszych brzegów, i niebawem rzeczywiście do nich dotarła. Wkrótce po przyjęciu święceń kapłańskich przez Ernesta, trzy dzieła, wydane w krótkich odstępach czasu, skupiły na sobie uwagę nawet tych osób, które nie interesowały się teologicznymi polemikami. Mam na myśli *Essays*

and Reviews, *O powstawaniu gatunków* Darwina i *Krytykę Pięcioksięgu* Biskupa Colenso.

Była to jednak tylko dygresja. Muszę teraz cofnąć się wstecz i zająć się pewną formą działalności religijnej, która za uniwersyteckich lat Ernesta wykazywała jaką taką żywotność, mam na myśli- szczątki ruchu ewangelicznego, który ocknął się ze snu przeszło trzydzieści lat temu pod przewodem niejakiego Simeona.

Za czasów Ernesta było jeszcze wśród studentów wielu simeonitów, czyli jak zwieźle ich nazywano — simów. W każdym kolegium można było spotkać zwolenników tego ruchu, a ich główne ośrodki usadowiły się w kolegium Caius, dokąd przyciągał ich pan Clayton, który był tam pierwszym tutorem, oraz w kolegium Św. Jana wśród alumnów uczących się za darmo.

Na tyłach ówczesnej kaplicy kolegium Św. Jana znajdował się „labirynt” (w tamtych czasach nazwa ta była w powszechnym użyciu) zapuszczonych, zrujnowanych mieszkań, wynajmowanych wyłącznie przez najuboższych studentów, którzy mogli dobrnąć do dyplomów tylko dzięki zwolnieniu ich od opłat uniwersyteckich lub dzięki stypendium. Wielu studentów, nawet tych, którzy chodzili do Św. Jana, nie wiedziało o istnieniu i nie znało „labiryntu”,

zamieszkałego przeważnie przez alumnów, a za czasów Ernesta sporo było takich osób, które mieszkając przy głównym dziedzińcu, nigdy nie zapuściły się w głąb krętego przejścia prowadzącego do wspomnianej dzielnicy.

W „labiryncie” mieszkali studenci niemal wszystkich możliwych roczników, od chłopców o wyglądzie smarkaczy aż do siwych starców, którzy w późnym wieku wstąpili na uniwersytet.. Widywano ich niemal wyłącznie tylko w auli, w kaplicy i na wykładach, a i tam z niesmakiem odnoszono się do tego, jak jedli, modlili się i uczyli. Nikt nie wiedział, skąd przyszli, dokąd się udawali ani co robili, bo nigdy nie pokazywali się ani na boisku sportowym, ani na przystani wioślarskiej. Stanowili posępne, łachmaniarskie *confrerie*, które, nie mając żadnych podstaw do chluby z tytułu swego ubrania i manier, było niemniej upośledzone pod względem ciała.

Ernest i jego przyjaciele uważali siebie za cudotwórców z powodu umiejętności gospodarowania skromnym budżetem, a tymczasem dla znacznej większości mieszkańców „labiryntu” możliwość wydania choćby połowy tego, co mieli tamci, byłaby nadmiernym zbytkiem, i bez wątpienia domowa tyrania, której skutki Ernest doświadczył na własnej skórze, była dziecinną igraszką w porównaniu z udrękami, które musiał wycierpieć przeciętny alumn ze Św. Jana.

Kilku z nich wynurzało się na powierzchnię, kiedy po pierwszych egzaminach wychodziło na jaw, że mają szansę stać się chlubą kolegium. Tacy uzyskiwali wysokie stypendia, dzięki którym mogli żyć na jakim takim poziomie, i wsiąkali w środowiska studenckie wyróżniające się pilnością i stojące wyżej od nich w hierarchii społecznej. Ale nawet oni, z nielicznymi wyjątkami, nieprędko otrząsali się z prostactwa, które przynieśli ze sobą na uniwersytet, a ich pochodzenie rzucało się w oczy każdemu, zacierając się dopiero wtedy, kiedy zostawali donami lub tutorami. Na podstawie moich własnych doświadczeń mogę stwierdzić, że choć niektórzy z nich stali się znanymi osobistościami na arenie politycznej i naukowej, to jednak nadal zachowali w sobie coś z atmosfery „labiryntu” i wyglądu alumnów kolegium Św. Jana.

Odpychający z wyglądu, ruchów i zachowania, rozczochrani, ubrani tak nędznie, że nie sposób tej nędzy opisać, biedacy ci tworzyli odrębne środowisko, które myślało inaczej i chodziło innymi drogami niż Ernest i jego przyjaciele. Spośród nich rekrutowało się najwięcej zwolenników nauki Simeona.

Simowie, których większość, jak z góry było wiadomo, miała w przyszłości stać się sługami Kościoła (w tamtych czasach rzadko używano terminu „święcenia kapłańskie”), utrzymywali, że wewnętrzny głos wzywający ich do stanu kapłańskiego jest bardzo donośny, więc byli gotowi zgodzić się na wiele chudych lat, byle mieć możliwość solidnego przygotowania się do tego celu na obowiązujących kursach teologii. Dla większości z nich sam fakt kapłaństwa oznaczał osiągnięcie takiej pozycji społecznej, od której, jak świetnie zdawali sobie sprawę, byli na razie odgradzeni zaporami nie do przebycia. Święcenia otwierały zatem nowe horyzonty dla ich ambicji, dzięki czemu stały się dla nich centralnym zagadnieniem, a tymczasem dla Ernesta były czymś, przez co trzeba będzie kiedyś przejść, czym jednak chwilowo, podobnie jak śmiercią, nie należało się trapić.

Pragnąc przygotować się do stanu duchownego bardzo gruntownie, zbierali się kolejno u siebie na herbatę, modlitwy i inne ćwiczenia duchowe. Powierzili pieczę nad swymi studiami kilku znanym tutorom, a sami uczyli w szkółkach niedzielnych i byli skorzy do udzielania w porę i nie w porę dyrektyw moralnych każdemu, kogo zdołali namówić, żeby ich wysłuchał.

Lepiej sytuowani studenci byli nieodpowiednią glebą dla ziarna, które próbowali zasiać. Tandetna nabożność, jaką naszpikowane były ich przemowy, kiedy przypadkiem znaleźli się w towarzystwie osoby, ulegającej w ich mniemaniu pokusom tego świata, wzbudzała tylko odrazę słuchaczy, dla których ich oracje były przeznaczone. Kolportowali ulotki z rozprawami na tematy

religijne, wrzucając je w nocy do skrzynek listowych poczciwców pogrążonych we śnie, którzy albo wrzucali je do ognia, albo obchodzili się z nimi jeszcze bardziej haniebnie. Ludzie robili z nich pośmiewisko, ale oni zasłaniaли się dumną refleksją, że taka była dola prawdziwych wyznawców Chrystusa we wszystkich czasach. Często podczas swych nabożnych zebrań powoływali się na ustęp ze św. Pawła, w którym przypomina on nawróconym Koryntianom, że większość ich nie może się poszczycić ani dobrym urodzeniem, ani wybitnym intelektem. Dochodzili więc simowie do dumnego wniosku, że pod względem wyżej wymienionych przymiotów oni również nie mają czym się "chwalić, i podobnie jak św. Paweł chętni się faktem, że ich ciało nie przynosi im chluby.

Ernest miał wielu przyjaciół w kolegium Św. Jana, więc często słyszał o simach, a czasem pokazywano mu niektórych zwolenników tego ruchu, kiedy chyłkiem przechodzili przez dziedziniec. Czuł do nich odrazę, ale był nimi zafascynowany. Nie lubił ich, ale nie mógł zmusić się, żeby zostawić ich w spokoju. Pewnego razu posunął się tak daleko, że napisał parodię jednej z rozprawek religijnych, którą simowie pewnej nocy puścili w obieg, i postarał się o to, żeby w skrzynkach listowych wszystkich przywódców tego ruchu na uniwersytecie znalazł się egzemplarz wspo- mnianego utworu. Tematem jego rozprawki było zagadnienie czystości osobistej. Czystość, jak twierdził, jest najbliższą sąsiadką świątobliwości — chciał więc ustalić, którą z nich należy wybrać, i zakończył gorącym apelem do simów, żeby więcej korzystali z wanny. Trudno mi uznać dowcip mego bohatera za udany. Rozprawka bynajmniej nie była błyskotliwa, a wspominam o tym zdarzeniu, żeby pokazać, iż w tym okresie miał w sobie coś z Szawła, i prześladowanie wybrańców bożych robiło mu przyjemność, wcale nie dlatego, żeby — jak wyżej to wyjaśniłem — skłaniał się do sceptycyzmu, ale dlatego, że podobnie jak farmerzy z parafii jego ojca nie mógł ścierpieć, gdy ktoś kpił z religii chrześcijańskiej, ale jednocześnie nie znosił, jeżeli ktoś brał ją na serio. Przyjaciele Ernesta uważali jego niechęć do simów za proste następstwo faktu, że jest synem duchownego, który znęcał się nad nim. Uważam jednak za bardziej prawdopodobne, że wynikała ona z jego nieświadomionej sympatii do simów, która koniec końców, jak w przypadku św. Pawła, popchnęła go w szeregi ludzi, do których czuł najgłębszą pogardę i najgłębszą nienawiść.

ROZDZIAŁ XLVIII

Pewnego razu, kiedy bawił w domu wkrótce po egzaminach dyplomowych, matka odbyła z nim krótką rozmowę na temat jego kapłańskiego powołania, a doszło do niej z inicjatywy Teobalda, który unikał tego tematu. Tym razem pogawędka z mamusią odbyła się w czasie przechadzki po ogrodzie, a nie na kanapie, która pozostawała w odwodzie do spraw najwyższej wagi.

— Mój najdroższy chłopcze, twój papa — odezwała się do niego (w rozmowach z Ernestem zawsze nazywała Teobalda „papa”) — przykłada ogromną wagę do tego, żebyś decyzji o wstąpieniu w służbę Kościoła nie podejmował na ślepo i bez uświadomienia sobie, jakie trudności piętrzą się przed kapłanem. Papa wszystkie te trudne sprawy dokładnie rozważył i zrozumiał, że w istocie rzeczy są błahe, jeżeli człowiek odważnie stawi im czoło, ale chciałby, żebyś ty także uświadomił je sobie możliwie najwyraźniej i najgruntowniej, zanim zwiążesz się nieodwołalnie ślubami, bo chce być pewny, że nigdy potem nie będziesz żałował swego kroku.

Ernest po raz pierwszy usłyszał, że ma stawić czoło jakimś trudnościom, więc nie można mu się dziwić, że okrężną drogą zaczął pytać, na czym one polegają.

— Jest to pytanie, kochany chłopcze — odpowiedziała Krystyna — na które nie jestem zdolna ci odpowiedzieć, ponieważ nie posiadam ani wrodzonych, ani nabytych umiejętności niezbędnych w tym celu. Może się zdarzyć, że jakimś nieopatrzonym słowem spowoduję zamęt w twym umyśle, a potem nie zdołam doprowadzić go do ładu. O nie! Kobiety powinny stronić od takich pytań, a wydaje mi się, że w równym stopniu dotyczy to mężczyzn, ale papa życzył sobie, żebym porozmawiała z tobą na ten temat, by w przyszłości nie dopuścić do jakiegoś nieporozumienia, a więc postąpiłam zgodnie z jego życzeniem. A teraz wiesz już wszystko.

Na tym rozmowa się urwała, przynajmniej na wspólny temat, a Ernest uznał, że wie wszystko, co trzeba. Matka na pewno nie powiedziała mu, że on wie wszystko — w każdym fazie w tak ważnej sprawie — gdyby czegoś jeszcze nie wiedział. W istocie jego wiadomości były dość skąpe. Zakładał, że istnieją jakieś trudne problemy, ale ojciec, bądź co bądź taki erudyta i luminarz, ma prawdopodobnie zupełną rację, i nie ma powodu zawczasu tą sprawą się trapić. Cała ta rozmowa nie wywarła na nim niemal żadnego wrażenia i dopiero po latach, kiedy jakimś trafem ją sobie przypomniał, pojął, jak zmyślnie wystrychnięto go na dudka. Tymczasem Teobald i Krystyna byli bardzo z siebie zadowoleni... bo uważali, że spełnili swój obowiązek, otwierając oczy syna na trudne kwestie, które wiążą się z wyrażeniem zgody na to wszystko, na co kapłan musi się zgodzić. Zrobili, co do nich należało, a mieli dość powodów do radości, bo choć powiedzieli synowi wszystko i naświetlili sprawę całkiem bezstronnie, on uznał te przeszkody za nieistotne. Nie na darmo modlili się przez tyle lat, żeby stał się „prawdziwie uczciwym i posłusznym swemu sumieniu”.

— A teraz, mój drogi — podjęła Krystyna, kiedy uporała się zwycięsko z wszystkimi możliwymi i prawdopodobnymi komplikacjami, które piętrzyły się przed Ernestem na drodze do stanu kapłańskiego — jest jeszcze jedna sprawa, o której chciałabym porozmawiać z tobą. Chodzi mi o twoją siostrę Karolinę. Dobrze wiesz, jaka to zdolna dziewczyna, jaką dobrą siostrą jest i zawsze będzie dla ciebie i dla Józia. Chciałabym, mój drogi, mieć większe możliwości wyboru dla niej odpowiedniego męża, niż mam je w Battersby, i nieraz myślę sobie, że mógłbyś jej pod tym względem okazać większą pomoc, niż to robisz.

Ernest zaczął tracić panowanie nad sobą, ponieważ tyle razy już o tym słyszał od matki, ale nie odezwał się ani słowem.

— Wiesz przecież, mój drogi, ile brat może zrobić dla siostry, jeżeli weźmie sobie jej sprawę do serca. Możliwości matki są bardzo ograniczone; zaprawdę, matce nie przystoi wyszukiwać dla córki młodych ludzi, natomiast powinnością brata jest znaleźć odpowiedniego partnera dla swej siostry. Jedyne, co ją mogę zrobić, to postarać się, żeby Battersby stało się jak najmiłsze dla każdego z twych przyjaciół, którego zechcesz zaprosić. A pod tym względem — dodała z lekkim skinieniem głowy — nie sądzę, żebym kiedykolwiek zawiodła.

Ernest odparł, że już nieraz zapraszał do Battersby wielu spośród swych przyjaciół.

— To prawda, mój drogi, ale sam przyznasz, że żaden z nich nie był typem młodzieńca, który, znając wymagania Karoliny, miałby szansę przypaść jej do gustu. Mówiąc szczerze, byłam nawet trochę rozczarowana, ponieważ ani jeden z nich, w moim przekonaniu, nie jest wart twej przyjaźni.

W Erneście znowu krew zakipiała.

— Nigdy nie sprowadziłeś do nas Figginsa, kiedy byłeś w Roughborough, a tak sobie myślę, że kto jak kto, ale właśnie Figgins jest chłopcem obdarzonym takimi przymiotami, że powinieneś być go zaprosić.

Figginsa, wałkowała na wszystkie strony nieprzeliczoną ilość razy. Ernest znał go bardzo mało, ponieważ Figgins był starszy od niego o trzy lata i skończył szkołę znacznie wcześniej od niego. Poza tym Figgins był chłopcem antypatycznym i w różnych okolicznościach zraził sobie Ernesta.

— Przecież — ciągnęła dalej matka — znasz Tow-neleya. Opowiadałeś, że wiosłowałeś w Cambridge z Towneleyem w jednej łodzi. Chciałabym, ażebyś zacieśnił swą znajomość z Towneleyem i zaprosił go do nas w odwiedzin. Nazwisko brzmi arystokratycznie i mówiłeś, o ile dobrze pamiętam, że jest pierworodnym synem.

Ernest zarumienił się na sam dźwięk nazwiska Towneleya.

Z kolegami Ernesta rzecz miała się tak: matka lubiła ucześć się nazwisk chłopców, szczególnie tych, którzy pozostawali z nim w bliskich stosunkach. Im więcej o nich słyszała, tym więcej chciała wiedzieć. Jej apetyt rósł błyskawicznie i absolutnie niczym nie można go było zaspokoić. Przypominała żarłoczne pisklę kukułcze, które pliszka karmi wśród darni — pochłaniała wszystko, co Ernest jej przyniósł, i ciągle była głodna. Woląa, żeby karmił ją Ernest, a nie Józio, który albo był głupszy, albo bardziej niedostępny, a w każdym razie nie dawał się tak wykorzystywać jak Ernest.

Od czasu do czasu jakiś chłopiec żywcem wpadał jej w ręce: albo schwytaną ofiarę doprowadzano do Battersby, albo zapraszano ją na spotkanie, kiedy matka Ernesta przyjeżdżała do Roughborough. W czasie wizyty z reguły starała się być dla chłopca miła, przynajmniej w miarę miła, ale ledwo została z Ernestem sam na sam, zmieniała się nie do poznania. Forma jej krytyki bywała różnorodna, ale nieodmiennie kończyło się konkluzją, że jego przyjaciel jest nic niewart, a Ernest też jest niewiele lepszy od niego. W końcu nalegała, że powinien sprowadzić jej innego chłopca, bo ten nie przedstawia sobą żadnej wartości.

Im serdeczniejsze były rzeczywiste lub domniemane stosunki, które łączyły danego chłopca z Ernestem, tym bardziej należało się liczyć, że zostanie on uznany za kompletne zero. W końcu Ernest wpadł na pomysł i o każdym chłopcu, którego szczerze lubił, mówił matce, że właściwie nie utrzymuje z nim bliższych stosunków i nie ma pojęcia, dlaczego go zaprosił. Wkrótce jednak doszedł do przekonania, że chcąc uniknąć Charybdy wpadał na Scyllę — kolega wprawdzie dostawał lepszą notę, ale za to Ernest zostawał „zerem”, ponieważ nie poznał się na jego wartości.

Nie było mowy, żeby matka zapomniała nazwiska, którego raz się ucześciła. „A jak się ma ten-a-ten?”, wykrzykiwała zniecka, wymieniając nazwisko jakiegoś dawnego kolegi, z

którym Ernest zdążył się już poróżnić albo który, jak już dawno wyszło na jaw, był tylko kometą, a nie stałą gwiazdą. Ileż razy Ernest wyrzucał sobie nieostrożność, z jaką wspominał nazwisko tego lub tamtego kolegi, ślubując sobie solennie, że już nigdy więcej ani słowa nie piśnie na temat swych przyjaciół, ale w kilka godzin na śmierć o tym zapominał i znowu paplał jak najęty. A matka rzucała się na jego słowa tak bezszelestnie jak sówka spada na mysz, a po pół roku, kiedy tak się złożyło, że słowa te już nie harmonizowały z otoczeniem, przynosiła mu je ulepione w gorzką pigułkę.

Teobald też miał coś do powiedzenia w tej sprawie. Kiedy jakiś chłopiec lub kolega Ernesta z kolegium zjawiał się z wizytą w Battersby, Teobald zrazu starał się być sympatyczny. Udawało mu się to wcale nieźle, pod warunkiem, że miał na to ochotę, a z reguły miał ją zawsze, gdy w grę wchodził ktoś obcy. Jego sąsiedzi ze stanu duchownego, co tu dużo mówić, wszyscy jego sąsiedzi z roku na rok darzyli go coraz większym szacunkiem i miałby się Ernest z pyszna, gdyby odważył się nieopatrnie napomknąć, nawet w formie najbardziej niewinnej aluzji, że ma jakiś powód do skargi przeciwko Teobaldowi. Rozumowanie Teobalda biegło takim szlakiem: „Wiem dobrze, że Ernest powiedział temu chłopcu, jaki ja jestem antypatyczny, a ja mu udowodnię, że to nieprawda, i przekonam go, że jestem bardzo miłym starszym panem, ba, wesołym kompanem, z którym można pośmiać się i zabawić, i że w ogóle jestem morowym chłopem.”

Z początku był więc dla takiego chłopca bardzo miły, a oczarowany chłopak zawierał z nim przymierze przeciwko Ernestowi. Rzecz prosta, jeżeli Ernest namówił chłopca na wizytę w Battersby, to chciał, żeby mu było przyjemnie, więc był zadowolony, że Teobald jest tak ujmujący w zachowaniu, ale jednocześnie zawsze tak bardzo potrzebował czyjejś moralnej odsieczy, że przykro mu było patrzeć, jak jeden z jego bliskich przyjaciół przechodzi do obozu wroga. Bo choćbyśmy nie wiem jak byli czegoś pewni, choćbyśmy nie wiem jak wyraźnie widzieli, że jakaś plama barwna jest, dajmy na to, czerwona, zawsze wytrąca to nas z równowagi i przygnębia, gdy ktoś inny widzi lub zaczyna skłaniać się do przekonania, że jest zielona.

Pod koniec pobytu takiego chłopca Teobald z reguły bywał już trochę rozdrażniony, ale gość wyjeżdżał pod wrażeniem, które zdążył wyrobić sobie we wcześniejszym okresie. Teobald nigdy nie wdawał się z Ernestem w rozmowy na temat jego kolegów. Była to wyłączna domena Krystyny. Teobald zezwalał na ich przyjazd, ponieważ Krystyna nalegała na to z cichym uporem, i zachowywał się wobec nich, jak wspominałem, uprzejmie, jakkolwiek zdecydowanie tego nie lubił. Krystyna przepadała za gośćmi i z przyjemnością zaprosiłaby do Battersby pół Rough borough i pół Cambridge, gdyby to było wykonalne i gdyby to nie kosztowało tyle pieniędzy. Lubiała więc zapraszać do siebie, bo dzięki temu zawierała nowe znajomości, ale potem, kiedy już nasyciła się swoim gościem, lubiała poćwiartować go na kawałki i rzucić je w twarz Ernestowi.

Najgorsze było to, że bardzo często miała rację. Chłopcy, jak zresztą wszyscy młodzi ludzie, są w swych uczuciach gwałtowni, ale rzadko są stali. Dopiero w starszym wieku potrafią odpowiedzieć sobie na pytanie, czego oczekiwali po przyjacielu, którego szukali, a w swych wczesnych próbach po prostu uczą się oceniać ludzkie charaktery. Ernest nie był wyjątkiem od tej zasady. To, co uważał za najbardziej szlachetne ziarno, okazywało się w końcu, nawet według jego kryteriów oceny, zwykłymi plewami, więc zaczął skłaniać się do zdania, że matka istotnie zna się na ludziach lepiej od niego. Moim zdaniem, można jednak przyjąć za pewnik, że gdyby Ernest pokazał jej najpiękniejsze ziarno, jakie istnieje na świecie, powiedziała mu, że są to najwstrętniejsze i najgorsze plewy, jakie widziała w swym życiu.

Z początku nawet nie podejrzewał, że jego koledzy są potrzebni tylko ze względu na Karolinę. Rozumiało się samo przez się, że Karolinka i ten czy ów spośród jego przyjaciół mogą poczuć do siebie wzajemną sympatię i — to byłoby całkiem ładnie. Nie dostrzegł w całej tej

inscenizacji świadomie złego zamiaru. Kiedy jednak po jakimś czasie ocknął się i pojął, jaki jest sens tej gry, zaczął z mniejszym niż dotąd zapalem zapraszać swych przyjaciół do Battersby.

W jego cielejącej głowie nie mieściło się, jak można być aż tak nieuczciwym, żeby zapraszać kolegę do siebie w gościnę, podczas gdy w gruncie rzeczy ma" się na myśli ofertę: „Oto moja siostra, ożeń się z nią." Nieodparcie nasuwało mu się porównanie do wyłudzenia pieniędzy przez świadome wprowadzanie kogoś w błąd. Gdyby lubił Karolinę, prawdopodobnie widziałby tę sprawę w innym świetle, ale uważał ją za najbardziej antypatyczną młodą kobietę ze wszystkich kobiet, z jakimi miał sposobność zetknąć się w kręgu swych znajomości.

Uchodziła za bardzo zdolną. Wszystkie młode panienki z reguły są albo bardzo ładne, albo bardzo zdolne, albo niezwykle czarujące. Przysługuje im prawo swobodnego wyboru wśród tych trzech kategorii, ale do jednej z nich tak czy owak muszą należeć. Każda próba uznania Karolinki za ładną albo za czarującą musiała skończyć się smutną porażką. A więc została zdolną, ponieważ żadnej innej alternatywy nie było. Ernest nigdy nie dowiedział się, w jakiej dziedzinie dowiodła swych talentów, bo nie umiała ani grać, ani śpiewać, ani rysować, ale kobiety są nadzwyczaj przebiegłe, więc matka i Karolinka zdołały mu wmówić, że ona, Karolinka, jedyna z całej rodziny, jest obdarzona, „czymś", co pasuje ją na istotę niemal genialną.

A choć obie damy otumaniały Ernesta, żeby spróbował otumanić swych kolegów, to jednak boskie przymioty Karoliny nie zrobiły aż takiego wrażenia na żadnym z jego przyjaciół, żeby zapragnął mieć je na zawsze przy sobie, co prawdopodobnie miało jakiś związek z szybkością i stanowczością, z jaką Krystyna odprawiała jednego po drugim i żądała coraz to nowej ofiary.

A teraz żądała Towneleya. Ernest przewidywał, że mu to grozi, i próbował się jakoś wykręcić, ponieważ zdał sobie sprawę, że nie zdobędzie się na zaproszenie Towneleya, nawet gdyby sam tego pragnął.

Towneley należał do jednego z najbardziej zamkniętych kółek w Cambridge i chyba nikt inny nie cieszył się wśród studentów tak dużą popularnością jak on. Był wysoki i bardzo przystojny — a Ernestowi wydawało się, że tak przystojnego mężczyzny nie widział i na pewno nigdy w życiu nie zobaczy, ponieważ jego twarz, pełna życia i pogody, była tak sympatyczna, że sympatyczniejszej nie mógł sobie wyobrazić. Towneley grał dobrze w krykieta i dobrze wiosłował, był bardzo przystępny, nie miał w sobie ani cienia zarozumiałstwa, szczególnych talentów wprawdzie nie posiadał, ale był rozsądny. Na domiar, kiedy miał zaledwie dwa lata, oboje jego rodzice utopili się na skutek wywrócenia się łodzi, a on będąc jedynakiem został dziedzicem jednego z największych majątków w południowej Anglii. Od czasu do czasu Fortuna hojnie obdarza jakiegoś człowieka, rzeczywiście nie żałując mu niczego. Towneley był jednym z jej ulubieńców, a zgodnie z powszechną opinią jej wybór był słuszny.

Ernest cenił Towneleya tak samo wysoko jak wszyscy (z wyjątkiem, rzecz prosta, donów) na uniwersytecie, ponieważ młodzieniec był rzeczywiście jednostką wybitną. Prawdopodobnie, będąc z natury wrażliwy, Ernest darzył go jeszcze większą sympatią niż ogół kolegów, ale nigdy nie powstało mu w głowie, żeby zawrzeć z nim znajomość. Lubił go podpatrywać, kiedy miał do tego sposobność, i bardzo się tego wstydził, ale dalej nigdy się nie posunął.

Tak się dziwnie złożyło, że Ernest, będąc w owym czasie na ostatnim roku studiów, w wyniku losowania obsady czwórki na zawody wiosłarskie, został sternikiem tej załogi, w której jednym z zawodników był — oczom własnym nie chciał wierzyć — sam Towneley, jego bożyszcze. Pozostali trzej byli zwykłymi śmiertelnikami, ale wiosłowali wcale nieźle i na ogół biorąc obsada była dość dobra.

Ernest struchlał. Kiedy jednak zetknęli się ze sobą, przekonał się, że oprócz zewnętrznych

przymiotów Towneley posiada jeszcze - inne, niemniej znaczne zalety: nie tylko nie był „dęty”, ale posiadał dar tak łatwego przełamywania pierwszych lodów, że każdy, kto znalazł się w jego towarzystwie, bardzo szybko pozbywał się onieśmienia. Doszedł więc do konkluzji, że na dobrą sprawę tylko jedna cecha odróżnia Towneleya od innych ludzi, a mianowicie, że jest o wiele łatwiejszy w obcowaniu. Rzecz prosta uwielbiał go z dnia na dzień coraz bardziej.

Po zawodach wioślarskich, w których wzięła udział wspomniana czwórka ze sternikiem, ich stosunki urwały się, lecz - od tego czasu nie zdarzyło się, żeby Towneley spotkawszy Ernesta nie skinął mu głową i nie powiedział mu kilka miłych słów. Coś podkusiło go, żeby wymienić nazwisko Towneleya w Battersby — i czegoż sobie napytał? Teraz matka będzie go prześladować, żeby Towneley przyjechał z wizytą do Battersby i ożenił się z Karoliną. Ba, gdyby uznał, że istnieje choćby cień prawdopodobieństwa, że Towneley ożeni się z Karoliną, padłby przed nim na kolana i błagałby go na wszystko, żeby ratował się póki czas przed tą wstrętną pannicą.

Ernest nie modlił się tyle długich lat co Krystyna, żeby dane mu było stać się „prawdziwie uczciwym i posłusznym swemu sumieniu”. Starał się więc nie dać poznać po sobie, co czuje i myśli w tej chwili, i znowu sprowadził rozmowę na temat trudnych problemów, z którymi może spotkać się kapłan w obliczu czekających go święceń — a mówił o tym nie dlatego, żeby miał jakieś wątpliwości, ale w charakterze dywersji. Krystyna jednak uznała, że wspomniana kwestia została wyjaśniona, i niczego więcej nie zdołał z niej wycisnąć. Niebawem znalazł sposób ratunku i oczywiście skwapliwie z niego skorzystał.

ROZDZIAŁ XLIX

Wrócił do Cambridge, jak wspomniałem, w trzecim trymestrze 1859 roku i wraz z kilkoma kolegami, mającymi także perspektywę kapłaństwa przed sobą, doszedł do zgodnego wniosku, że nie mają czasu do stracenia i trzeba na serio spojrzeć na sytuację, w jakiej się znaleźli. Od tej chwili zaczęli chodzić do kaplicy bardziej regularnie niż dotychczas i spotykać się na wieczornych' zebraniach, otoczonych atmosferą pewnej tajemniczości, żeby wspólnymi siłami studiować Nowy Testament. Zaczęli nawet uczyć się na pamięć Listów Św. Pawła z greckiego oryginału. Przerobili studium Beveridge'a na temat 39 Artykułów Wiary i wykład Pearsona o Składzie Apostolskim. W godzinach wolnych od zajęć czytali More'a *Misterium laski bożej* — Ernest uznał to dzieło za czarujące — oraz Taylora *Świątobliwe życie i świątobliwą śmierć*, które także wywarły na nim głębokie wrażenie, przede wszystkim z racji świętego języka, który zafascynował go swym bogactwem,

Poddali się pokornie dyrektywom wynikającym z komentarzy Alforda do Starego i Nowego Testamentu, dzięki którym Ernest lepiej pojął sens wyżej wspomnianych trudnych problemów, ale jednocześnie wyrobił sobie zdanie, jak płytkie i cherlawe są konkluzje, do których doszli niemieccy intelektualści religijni, a ponieważ był nieskażony znajomością języka niemieckiego, więc nie miał żadnej innej możliwości poznania ich prac. Niektórzy z jego przyjaciół, którzy towarzyszyli mu we wspomnianych poszukiwaniach, byli wychowankami Św. Jana i w murach tego kolegium często odbywały się ich zebrania.

Nie wiem, w jaki sposób wiadomości o tych tajemnych zebraniach przeniknęły do simów, dość na tym, że dowiedzieli się o nich jakąś okrężną drogą i w kilka tygodni po pierwszym zebraniu wszyscy młodzi ludzie, którzy brali w nich udział, otrzymali pismo okólne z zawiadomieniem, że wielbny Gedeon Hawke, znany kaznodzieja ewangelicki z Londynu, którego kazania cieszyły się znacznym rozgłosem, ma wkrótce odwiedzić swego młodego przyjaciela, niejakiego Badcocka z kolegium Św. Jana, i będzie wielce rad przemówić do wszystkich, którzy zechcą go wysłuchać. Zebranie miało odbyć się w mieszkaniu Badcocka pewnego majowego wieczoru, data była ściśle podana.

Badcock był najbardziej osławiony z simów. Był nie tylko brzydki, brudny, zaniedbany, zarozumiały i pod każdym względem odrażający, ale na domiar był ułomny, a jego kaczy chód zyskał mu przezwisko, które odważyć się odtworzyć tylko w eufemicznej postaci: „Plecki tu, plecki tam.” Istotnie, dolne rejony jego pleców prezentowały się widzom z tak natarczywą ekspresją, że odnosiło się wrażenie, jak gdyby przy każdym jego kroku chciały rozerwać się i odprysnąć od siebie w dwu przeciwległych kierunkach, niczym dwie skrajne nuty w akordzie zwiększonej seksty. Łatwo można więc zgadnąć, że pismo okólne spadło na adresatów jak grom z jasnego nieba, wywołując wśród nich ogromne zdumienie. Było to natarcie śmiałe i zaskakujące, ale Badcock, podobnie jak wielu ułomnych ludzi, był agresywny i zawzięty. Był to młodzieniec bardzo obrotny, dla którego chwila obecna zawsze stanowiła wymarzoną sposobność, żeby przenieść wojnę do obozu nieprzyjaciela.

Ernest i jego przyjaciele zbrali się na naradę. Pod wpływem nurtującego ich przeświadczenia, że w okresie, w którym sposobią się do kapłaństwa, powinni mniej rygorystycznie przestrzegać różnic w hierarchii społecznej niż dotychczas, a prawdopodobnie także pod wpływem pragnienia zobaczenia na własne oczy i z bliska kaznodziei, który był w tym czasie na ustach tylu ludzi, zdecydowali się przyjąć zaproszenie simów. Kiedy nadeszła wyznaczona pora, udali się z uczuciem pewnego zażenowania i poniżenia do mieszkania

człowieka, na którego dotąd spoglądali z niezmiernych wysokości i z którym, jak święcie wierzyli jeszcze kilka tygodni temu, nie potrafiliby zamienić ani słowa.

Pan Hawke był z powierzchowności krańcowym przeciwieństwem Badcocka. Był to mężczyzna wyjątkowo przystojny, ściślej mówiąc, byłby nim, gdyby nie zbyt wąskie usta i gdyby nie wyglądał na tak stanowczego i tak niezłomnego. Z rysów twarzy był bardzo podobny do Leonarda da Vinci. Dodać trzeba, że był porządnie uczesany, robił wrażenie człowieka cieszącego się dobrym zdrowiem, a twarz miał czerstwą. Zachowywał się z wyszukaną uprzejmością, a do Badcocka odnosił się z dużym szacunkiem i wszystko wskazywało na to, że wysoko go ceni. W sumie nasi młodzi ludzie byli tak tym wszystkim zaskoczeni, że zaczęli siebie stopniowo dewaluować, a Badcocka windować w górę, co, rzecz prosta, dla ich grzesznej natury, od której jeszcze nie zdołali się uwolnić, było operacją dość nieprzyjemną. Wśród obecnych było kilku znanych simów z kolegium Św. Jana i innych uczelni, lecz większość stanowiła grupa Ernesta, gdyż dla zwięzłości tym mianem będą nazywał wspomnianych młodzieńców.

Po wstępnej pogawędce, w której nie było niczego gorszącego, pan Hawke powstał ze swego miejsca u krańca stołu i rzekł: „Módlmy się”, dając tym znak, że rozpoczął się właściwy program wieczoru. Grupa Ernesta nie miała na to najmniejszej ochoty, ale nie można było się od tego wyłamać, więc wszyscy uklękli i odmówili Ojczy Nasz i jeszcze kilka innych modlitw powtarzając je za panem Hawke, który wypowiedział je osobliwie ładnie. Potem, kiedy wszyscy usiedli, przemówił do nich bez pomocy notatek, zamykając myśl przewodnią swych rozważań w słowach: „Szawle, Szawle, przecz mnie prześladujesz?”. Trudno orzec, co było główną przyczyną — może dokazał tego pełen godności sposób bycia pana Hawke, a może fama o jego talentach, może wreszcie trzeba to złożyć na karb faktu, że każdy spośród przyjaciół Ernesta wiedział, że jest w mniejszym lub większym stopniu prześladowcą simów, i czuł instynktownie, że ci z całą pewnością bardziej od niego są podobni do pierwszych chrześcijan — dość na tym, że te słowa, choć tak bardzo znajome, trafiły w sumienie Ernesta i jego przyjaciół tak celnie jak jeszcze nigdy. Gdyby pan Hawke nie rzekł ani słowa więcej, w tym, co dotąd powiedział, zawarte było tak dużo, że śmiało mógł sobie darować niemal całą resztę. Kiedy uważnie wpatrywał się w zwrócone ku niemu twarze i uprzytomnił sobie, jak wielkie wywarł wrażenie, przyszło mu, być może, do głowy, żeby skończyć kazanie, zanim na dobre je zaczął, ale jeżeli tak było, musiał po głębokim namyśle zmienić zamiar, bo przystąpił do rzeczy. Podaję to kazanie w pełnym brzmieniu, ponieważ jest bardzo typowe i stanowi dobrą ilustrację tych kategorii myślenia, które, jak wszystko wskazuje, za jakieś kilkadziesiąt lat będą żałośnie niezrozumiałe.

— Młodzi przyjaciele — rzekł pan Hawke — jestem przeświadczony, że nikt spośród obecnych nie wątpi w istnienie Boga osobowego. Jeżeli jednak jest wśród was ktoś, kto podaje tę prawdę w wątpliwość, do niego przede wszystkim kieruję me słowa. Gdybym więc pomylił się w moim przekonaniu, że wszyscy tu zebrani niezachwianie wierzą w istnienie Boga, który jest obecny wśród nas, chociaż go nie widzimy, i który przenika wszystkie najskrytsze myśli nasze, proszę tego niedowiarka, żeby odbył ze mną rozmowę na osobności, zanim się rozejdziemy. Przedstawię mu fakty, za których pośrednictwem Bóg w swym miłosierdziu zechciał mi się objawić, naturalnie w takich granicach, w jakich człowiek potrafi pojąć Go rozumem, a zaprawdę — są to fakty, które jak miałem możność przekonać się, przyniosły pokój duszom wielu ludzi, którzy zwątpili.

Zakładam także, że nie ma wśród was nikogo, kto wątpi, że ten sam Bóg, na którego podobieństwo zostaliśmy ulepieni, z czasem zlitował się nad człowiekiem i przyjął naszą naturę, oblekając się w ciało, zstępując na ziemię i mieszkając między nami jako człowiek fizycznie nie dający się odróżnić od nas samych. Ten, który stworzył słońce, księżyc i gwiazdy, świat i wszystko, czym go napełnił, zstąpił z niebios w osobie swego Syna z wyraźnym zamiarem, żeby

żyć w poniżeniu i umrzeć śmiercią najbardziej okrutną i hańbiącą, na jaką szatańska pomysliwość mogła się zdobyć.

A kiedy był na ziemi, uczynił wiele cudów. Przywrócił wzrok ślepcom, wskrzesił umarłych, nakarmił tysiączne rzesze kilku bochenkami chleba i odrobiną ryb, widziano Go idącego po falach, ale kiedy wypełniły się dni Jego, umarł, jak było przepowiedziane, na krzyżu i został złożony do grobu przez kilku wiernych przyjaciół. Ci zaś, którzy skazali Go na śmierć, zaciągnęli straż nad Jego grobem.

Jestem głęboko przekonany, że nikt w tym pokoju nie wątpi w prawdę tego wszystkiego, o czym teraz mówiłem. Gdyby jednak znalazł się jakiś niedowiarek, jeszcze raz gorąco go proszę o chwilę rozmowy na osobności i nie wątpię, że przy błogosławieństwie bożym uwolni się od swych wątpliwości.

Następnego dnia po złożeniu Pana naszego w grobie, bez ustanku pilnie strzeżonym przez strażę nieprzyjaciół, ujrzano anioła zstępującego z niebios, którego odzienie było jako śnieg, a wejrzenie jako błyskawice. Ta wspaniała istota odwaliła kamień z grobu i wyszedł z niego Pan nasz, z umarłych powstały.

Młodzi przyjaciele, nie jest to zmyślona bajka na kształt tych, które opowiadano wam o starożytnych bóstwach, jest to prawda historyczna najwyższej próby, tak niezaprzeczalna jak fakt, że wy i ja jesteśmy teraz 'razem w tym pokoju. I jeżeli fakty uznane za udowodnione można uszeregować według stopni ich pewności, zaprawdę, żaden z nich nie posiada poręki tak niezaprzeczalnych dowodów jak zmartwychwstanie Jezusa Chrystusa. Niemniej bezspornie zostało udowodnione, że w kilka tygodni od chwili, kiedy Pan nasz powstał z martwych, setki mężczyzn i kobiet widziało na własne oczy, jak wzniósł się wśród chwały anielskich zastępów w powietrze i udał się w swą podróż cudowną ku niebu, aż znikł w chmurach, które zasłoniły Go przed ludzkim wzrokiem.

Można na to rzec, że zakwestionowano prawdę tych aksjomatów, ale powiedzcie mi, proszę — jakież los spotkał owych zaciekłych oponentów?. Gdzież są teraz? Czy ich widać? Czy ich słyszać? Czy zdołali utrzymać w swym posiadaniu choćby tę piędź ziemi, którą zdobyli dzięki obskurantyzmowi ubiegłego stulecia? Czy wśród waszych ojców lub w gronie waszych przyjaciół znajdziecie choćby jedną osobę, która nie przejrzałaby ich na wylot? Czy znajdziecie na tym wielkim uniwersytecie choćby jednego profesora lub choćby jednego kaznodzieję, który po skrupulatnym zbadaniu ich enuncjacji nie rzekłby wam, że jest to zgnilizna? Czy widzieliście któregoś z nich na własne oczy, czy trafiliście na jakieś ich dzieła, które zasłużyły sobie na poważne traktowanie ze strony ludzi, którzy z racji swej wiedzy powołani są do ich oceny? Sądzę, że nie, i sądzę, że wcale nie gorzej ode mnie, dlaczego ci nieszczęśliwcy znowu pograżyli się w otchłani, z której chwilowo udało im się wynurzyć. Stało się tak dlatego, bo po najbardziej skrupulatnych i cierpliwych badaniach, przeprowadzonych przez najbardziej krytyczne umysły wielu krajów, ich argumenty okazały się tak czcze, że sami ich się wyrzekli. Uciekli z pola w trwodze i popłochu, błagając o pokój. T nie zobaczyło ich więcej światło dzienne w żadnym cywilizowanym kraju.

Znane są wam te sprawy. Dlaczego więc, spytacie, kładę na nie taki nacisk? Moi drodzy młodzi przyjaciele, spójrzcie w siebie, a we własnej świadomości każdy z was znajdzie odpowiedź także i na to pytanie. Mówię wam o tym dlatego, bo jakkolwiek doskonale wiecie, że wszystko, co wam przypomniałem, stało się naprawdę i rzeczywiście, ale wiecie zarazem tak samo doskonale, że nie uzmysławialiście sobie tych faktów tak, jak to było waszą powinnością, i, niebacznymi, nie troszczyliście się o to, jak doniosła i nieskończona jest ich waga.

Pozwólcie, że pójdę dalej. Każdy z was jest świadom, że pewnego dnia przyjdzie mu umrzeć, a jeżeli nie umrzeć, to w każdym razie przemienić się, bo nie brak takich znaków, które

pozwalają mi ufać, że Pan znowu zjawi się wśród nas na ziemi, kiedy niektórzy z nas będą jeszcze wśród żyjących. Albowiem zatrąbi trąba, a umarli powstaną nieskazonymi, boć musi to skazitelne przyoblec nieskazitelność i to śmiertelne przyoblec nieśmiertelność, a wtedy stanie się, jako jest napisane: „Pożarta jest śmierć w zwycięstwie.”

Wierzycie — li nie wierzycie, że nadejdzie dzień, w którym staniecie przed trybunałem Chrystusa? Wierzycie — li nie wierzycie, że będziecie musieli zdać rachunek z każdego waszego słowa, które wymknęło się wam po próżnicy? Wierzycie — li nie wierzycie, że waszym powołaniem jest żyć nie wedle przykazań człowieka, lecz wedle przykazań Chrystusa, który zstąpił na ziemię z niebios z miłości do was, cierpiał i umarł za was, który wołał was do siebie i zwraca się do was, abyście opamiętali się jeszcze dziś ku poznaniu prawdy — ale który, jeżeli się nie opamiętacie, wezwie was pewnego dnia na swój sąd, a On jest Ten, u którego nie masz odmiany, ani zaćmienia przemiany.

Moi drodzy młodzi przyjaciele, ciasna jest brama i wąska jest droga, która wiedzie do żywota wiecznego, i mało jest tych, którzy ją znajdują. Mało, mało, mało, bo kto się nie wyrzekł WSZYSTKIEGO dla Chrystusa, nie wyrzekł się niczego.

Jeżeli chcecie żyć w przyjaźni z tym światem, jeżeli zaprawdę nie jesteście gotowi wyrzec się wszystkiego, co jest wam najbardziej drogie, na każde żądanie Pana naszego, powiadam wam, nie zwlekajcie, zaprzyjcie się od razu, z całą świadomością konsekwencji, samej istoty Chrystusa. Plujcie na Niego, biczujcie Go, krzyżujcie Go na nowo, róbcie wszystko, na co przyjdzie wam ochota, tak długo, jak zdołacie sobie dzięki temu zapewnić przyjaźń świata. Choć uciechy naszego krótkiego żywota nie są aż tak dużo warte, żeby zapłacić za nie mękami wiecznymi, ale przecież mają jakąś wartość, póki z nich korzystamy. Jeżeli jednak chcecie żyć w przyjaźni z Bogiem i znaleźć się wśród wybranych, dla których Bóg umarł nie na próżno, słowem, jeżeli zdajecie sobie sprawę, co to jest szczęście wieczne, tedy wyzbądźcie się przyjaźni do tego świata. Zaprawdę, musicie dokonać wyboru, bo nie możecie służyć Bogu i mamonie jednocześnie.

Oto przedłożyłem wam kalkulację — wybaczenie, że używam tak pospolitego terminu — jak przy najzwyczajniejszej transakcji handlowej. Nie ma w tym nic podłego lub niegodnego, jak ostatnio niektórzy próbowali głosić, ponieważ sama przyroda poucza nas, że nic nie jest bardziej miłe Bogu niż światłe spoj- rzenie na interes własny. Nie pozwólcie nikomu omamić się w tej materii, albowiem jest to wyłącznie kwestia prawidłowego ustalenia stanu faktycznego, a więc udzielenia odpowiedzi na pytanie, czy pewne zdarzenia miały miejsce, czy nie miały miejsca? A jeżeli miały miejsce, to czy jest oznaką rozsądku wahać się, którą postępując drogą, pierwszą czy drugą, zapewnicie sobie i innym ludziom więcej szczęścia?

A teraz pozwólcie, że zapytam was, jaką odpowiedź daliście swym dotychczasowym życiem na to pytanie? Czyją przyjaźń wybraliście? Jeżeli wiedząc to wszystko, co wiecie, nie zaczęliście jeszcze postępować tak, jak wymaga tego od was ogrom wiedzy, która jest w was, zaiste, powiadam wam, że ten, kto buduje sobie dom i składa swój skarb na krawędzi krateru z niezastygłą lawą, jest człowiekiem normalnym i rozsądnym w porównaniu z wami. Zapewniam was, że ani nie mam zamiaru popisywać się przed wami krasomówstwem, ani kreślić przerażających obrazów, żeby was nimi przerazić. Podaję wam tylko suche fakty, bez pretensji i bez koturnów. Nie zdołamy ich podważyć, ani wy, ani ja.

W tym miejscu pan Hawke, który dotąd przemawiał z osobliwym spokojem, zmienił ton na bardziej gorący i mówił dalej:

— Ach, moi młodzi przyjaciele, odmieńcie się, odmieńcie się, odmieńcie się od zaraz, zanim przeminie dzień dzisiejszy, od tej godziny, od tej chwili. Nie traćcie czasu na przepasanie bioder waszych, nie oglądajcie się za siebie po raz drugi, lecz schrońcie się na łono Chrystusa,

albowiem znajdą Go ci, którzy Go szukają. Schrońcie się przed straszną pomstą, zgotowaną przez Boga na zatracenie tym, którzy nie wiedzą, od czego zależy ich odpocznienie. Albowiem Syn Boży jako złodziej w nocy tak przyjdzie i nikt z nas nie zna dnia, w którym upomni się o naszą duszę. Jeżeli jest wśród was choćby jeden, który mnie wysłuchał — przerwał i zmierzyl wzrokiem niemal każdego z osobna, a specjalnie chłopców z grupy Ernesta — będę wiedział, że nienadaremnie poczułem wezwanie Pana naszego i usłyszałem głos, który nawoływał mnie pośród nocy, żebym udał się tu co żywo, bo jest wśród was wybrane naczynie, które mnie potrzebuje.

W tym miejscu pan Hawke uciął dość raptownie. Pełna powagi prostota w obejściu, uderzająca niezwykłość oblicza oraz znakomita forma świątobliwej prelekcji wywołały efekt, wobec którego zwykłe słowa, przytoczone wyżej, są tak wątle, że nie są w stanie przekazać tego wrażenia czytelnikowi. Mąż był doskonalszy od swych słów, a ostatni, zagadkowy ustęp o tym, że usłyszał wołanie w nocy, wywołał magiczny efekt. Niemal każdy z obecnych wziął te słowa do siebie i albo zwrócił w tym momencie wzrok ku ziemi, albo w skrytości doszedł do wniosku, że to właśnie on jest naczyniem wybranym, dla którego Pan Bóg posłał pana Hawke do Cambridge. Tak czy owak, jedno jest całkiem pewne: oto wszyscy bez wyjątku uświadomili sobie nagle, że po raz pierwszy w życiu stanęli twarzą w twarz z rzeczywistą istotą, która utrzymuje bezpośredni kontakt z Wszzechmogącym, dzięki czemu znaleźli się stokroć bliżej nadprzyrodzonych zdarzeń Nowego Testamentu. Ogarnęło ich zdumienie i zdjął ich strach, więc jak gdyby związani niemi jakiegoś milczącego porozumienia stłoczyli się ciasno, podziękowali panu Hawke za kazanie, pożegnali się z Badcockiem i resztą simów z uszanowaniem, a potem gromadą wyszli z pokoju. Nie usłyszeli niczego więcej ponad to, co znali na pamięć. Dlaczego więc byli tak oszołomieni? Sądzę, że złożyło się na to wiele przyczyn: jedną z nich był fakt, że stosunkowo niedawno zaczęli myśleć o tych sprawach bardziej poważnie, więc byli podatni na tego rodzaju wrażenia. W pewnym stopniu ów efekt należy przypisać temu, że kazanie zostało wygłoszone w zwyczajnym pokoju, co stworzyło nastrój większej bezpośredniości, dzięki której każdy z obecnych odnosił wrażenie, że słowa kaznodziei są w pierwszym rzędzie skierowane do niego. W końcu należy podkreślić, że treść kazania pana Hawke była logicznie zwarta, wolna od wszelkiej egzaltacji i nosiła piętno głębokiego przekonania. Prostota i nietajona żarliwość kaznodziei wywarły na słuchaczach głębokie wrażenie, zanim zwierzył im się ze swej szczególnej misji, a ta nowina dopełniła miary; kiedy więc zamyśleni wracali wolnym krokiem do domu przez dziedzińce i krużganki w księżycowej poświacie, każdy z nich niósł w sercu pytanie: „Czy to ja jestem, Panie?”

Nie wiem, co się działo u simów po wyjściu grupy Ernesta, ale, zaiste, musieliby być istotami doskonalszymi od zwykłych śmiertelników, żaby zdławić w sobie uczucie triumfu po sukcesie, jaki odnieśli tego wieczoru. Ba, jeden z kolegów Ernesta należał do reprezentacyjnej jedenastki uniwersytetu i też zjawił się w pokoju Badcocka, ale kiedy przyszło do pożegnania, wymknął się chyłkiem, z miną tak potulną jak cała reszta. Taki sukces to nie było co.

ROZDZIAŁ L

Ernest zrozumiał, że nadszedł zwrotny punkt w jego życiu. Wszystko poświęcił dla Chrystusa — nawet palenie.

Pozbierał wszystkie fajki i kapciuchy i zamknął je w walizce pod łóżkiem, żeby zeszedł mu z oczu, a także, w stopniu możliwym do osiągnięcia, z myśli. Nie wrzucił ich do ognia, bo mogło się zdarzyć, że komuś z jego gości przyjdzie chęćka zapalić, a wychodził z założenia, że o ile w stosunku do własnej wolności może narzucić sobie takie czy inne ograniczenia, to przecież zważywszy, że palenie tytoniu nie jest grzechem — nie ma żadnych podstaw, żeby był aż tak surowy w stosunku do swych bliźnich.

Po śniadaniu wyszedł ze swego mieszkania z zamiarem odwiedzenia niejakiego Dawsona, który przygotowywał się do święceń i miał je przyjąć w suche dni, czyli za cztery miesiące. Ów jegomość brał zawsze wszystko na serio — trochę za bardzo jak na gust Ernesta, ale czasy się zmieniły i wszystko wskazywało na to, że Dawson, człowiek z gruntu rzetelny, posiada wszystkie warunki, żeby udzielić Ernestowi w obecnej chwili stosownej rady. W drodze do Dawsona, przechodząc przez pierwszy dziedziniec kolegium Św. Jana, spotkał Badcocka i uklonił mu się dość unizenie. W odpowiedzi na ową kurtuazję na twarzy Badcocka pojawiła się ekstatyczna łuna, którą w pewnych sytuacjach promieniowało jego oblicze, a która, gdyby Ernest lepiej znał się na rzeczy, wywołałaby w jego pamięci postać Robespierre'a. Ernest dostrzegł ów blask i podświadomie rozpoznał w nim nerwowy niepokój i samolubstwo, które trawiły tego człowieka, ale wówczas nie potrafił sobie jeszcze tego sformułować. Czuł do Badcocka jeszcze większą antypatię niż dotąd, ale fakt, że dzięki niemu może spodziewać się poważnych korzyści duchowych, zobowiązywał go do uprzejmości, więc był uprzejmy.

Badcock powiedział mu, że pan Hawke natychmiast po prelekcji powrócił do miasta, ale przed odjazdem ze szczególnym zainteresowaniem wypytywał się o Ernesta i kilku jego kolegów.

Domyślał się, że każdemu koledze Ernesta z osobna dano do zrozumienia, że był przedmiotem szczególnego zainteresowania. Próżność Ernesta — był przecież synem swojej matki — została tym mile połączona. Znowu przyszło mu na myśl, że, być może, jest tym wybrańcem, dla którego dobra pan Hawke został przysłany do Cambridge. A w dodatku w zachowaniu Badcocka czaiło się coś takiego, co nasuwało przypuszczenie, że mógłby, gdyby zechciał, powiedzieć więcej, ale został zobowiązany do milczenia.

Kiedy znalazł się u Dawsona, stwierdził, że jego kolega rozplywa się z zachwytu nad kazaniem, którego wysłuchali poprzedniego wieczoru, i chyba nie mniej delectuje się wrażeniem, jakie wywarło ono na Ernestie. Zawsze wiedział — orzekł — że Ernest w końcu trafi na właściwą drogę. Był tego zupełnie pewny, ale nie spodziewał się, że nawrócenie nastąpi tak nagle. Ernest odparł, że też się tego nie spodziewał, skoro jednak ujrzał swą powinność tak wyraźnie, pragnął przyjąć święcenia kapłańskie możliwie najspieszniej i wziąć sobie jakiś wikariat, choć zdawał sobie sprawę, że decydując się na ten krok będzie musiał, ku swemu wielkiemu żalowi, szybciej

Opuścić Cambridge. Dawson z aplauzem przyjął niezłomne postanowienie kolegi, a uwzględniając fakt, że Ernest w większym lub niniejszym stopniu jest jeszcze słabszym bratem, młodzi ludzie umówili się, że Dawson weźmie na pewien czas jego duszę na hol, żeby wzmocnić i utwierdzić jego wiarę.

Zawarli więc ze sobą przymierze zaczepno odporne (a byli wyjątkowo źle dobrani) i

Ernest przysiadł fałdów, żeby opanować obowiązkową lekturę, z której biskup będzie go egzaminował. Stopniowo dołączyli się do nich inni koledzy, aż w końcu utworzyli coś w rodzaju zamkniętej koterii albo kościoła (bo to na to samo wychodzi), a plony kazania pana Hawke, wbrew wszelkim oczekiwaniom, nie tylko nie zwiędły w ciągu kilku dni, ale krzewiły się coraz bujniej, aż doszło do tego, że koledzy Ernesta zamiast podsycać jego zapały musieli go hamować, gdyż wydawało się bardzo prawdopodobne, że wpadnie w religijną egzaltację — a na dobrą sprawę przez jakiś czas było tak naprawdę.

Pod jednym względem był jawnym apostatą. Jak już wspomniałem, zamknął fajki i tytoń na cztery spusty, żeby nie wodziły go na pokuszenie. Przez cały następny dzień po kazaniu pana Hawke mężnie pozwolił im spoczywać na dnie walizki, ale nie było to specjalnie uciążliwe, ponieważ i tak od pewnego czasu palił dopiero po obiedzie. Tego dnia nie palił do obiadu, a potem nie zapalił do wieczornych pacierzy w kościele, do którego poszedł wiedziony instynktem samoobrony. Kiedy wrócił do domu, postanowił rozważyć problem palenia z punktu widzenia zdrowego rozsądku. Ostatecznie doszedł do takiej konkluzji: jeżeli przyjmie się założenie, że palenie nie szkodzi jego zdrowiu — a istotnie jak dotąd nie stwierdził, aby szkodziło — to w gruncie rzeczy należy je potraktować tak samo jak herbatę lub kawę.

Nie ma w Biblii ani jednego zdania, które zakazywałoby palenia, ale tytoń był wtedy jeszcze nie znany i prawdopodobnie tylko z tego powodu uniknął proskrypcji. Św. Paweł, ba, nawet sam Pan Bóg pijący szklankę herbaty — to jakoś może zmieścić się w naszej wyobraźni, natomiast nie potrafimy wyobrazić sobie Pana Boga lub św. Pawła palących papierosa lub fajkę z długim cybuchem. Ernest nie mógł zaprzeczyć tej oczywistej prawdzie i przyznał, że św. Paweł na pewno potępiłby palenie tytoniu bez żadnych ogródek, gdyby wiedział o jego istnieniu. Ale czy z faktu, że świadomie wykorzystujemy brak wyraźnego zakazu apostoła, nie wynika całkiem jasno, że dopuszczamy się wobec świętego nikczemnego podstępu? Z drugiej strony jest możliwe, że Pan Bóg wiedząc z góry, iż Paweł zakazałby palenia, celowo odłożył odkrycie tytoniu do czasu, kiedy Pawła nie będzie już wśród żyjących. Zważywszy zasługi Pawła dla chrześcijaństwa, takie postawienie sprawy byłoby wprawdzie dla niego dość krzywdzące, ale było dość innych sposobów, żeby wynagrodzić mu tę niesprawiedliwość. Wspomniane medytacje przekonały Ernesta dostatecznie, że więcej racji przemawia za paleniem, więc chyłkiem zakradł się do walizki i wyciągnął z niej fajki i tytoń. We wszystkim, jak rozważył w sobie, obowiązuje umiarkowanie, nawet w cnocie. Wobec tego wieczorem tego dnia palił nieumiarkowanie. Szkoda tylko, że przechwalał się wobec Dawsona, że rzuci palenie. Lepiej więc na razie trzymać tytoń i fajki w szafie, aż do czasu, kiedy na polu innych i łatwiejszych zadań udowodni swą wytrwałość.

Po jakimś czasie fajki zaczną pomaleńku odzyskiwać prawo obywatelstwa, i tak rzeczywiście się stało.

Ernest napisał list do domu, zredagowany w odmiennym tonie niż jego zwyczajne listy. Domowa korespondencja Ernesta była stękiem banałów i przeróżnych śmieci, którymi maskował brak tematu, ponieważ — jak już wspomniałem — jeżeli trafiło się, że napisał o czymś, co naprawdę go interesowało, matka natychmiast chciała wiedzieć więcej, a po każdej odpowiedzi, niczym po ukręceniu łba hydrze, wyrastało pół tuzina nowych pytań. Kończyło się to nieodmiennie na zaleceniu, że powinien był postąpić inaczej albo nie postępować tak, jak zamierzał. Obecnie jednak zmieniło się założenie, więc po raz tysięczny rozumował, że może wreszcie jego postępowanie spotka się z uznaniem i zainteresowaniem ze strony rodziców, dzięki czemu zapanują między nim a nimi bardziej serdeczne stosunki. Napisał więc namiętny, porywczy list, którego treścią serdecznie się ubawiłem, lecz jest za długi, żeby go tu przytaczać. Oto fragment: „Jestem w drodze do Chrystusa. Większość moich kolegów z kolegium, jak się

obawiam, idzie w odwrotnym kierunku. Módlmy się, żeby znaleźli ukojenie, które jest w Chrystusie, tak jak ja je znalazłem." Ernest ukrył twarz w dłoniach ze wstydu, kiedy przeczytał ten urywek w jednym z listów, których cały pakiet oddał mi do dyspozycji. Ojciec zwrócił mu je po śmierci matki, która pieczołowicie je przechowywała.

— Czy mam to wyciąć? — zapytałem — postąpię, jak zechcesz.

— Stanowczo się sprzeciwiam — odpowiedział — a jeżeli jacyś pocziwi przyjaciele zachowali więcej świadectw mojej głupoty, proszę wyłowić co najznamienitsze okazy, które mogą zabawić czytelników, i niech zdrowo się pośmieją.

Ale wyobraźcie sobie wrażenie, jakie ten list — grom z jasnego nieba! — musiał wywołać w Battersby! Nawet Krystyna zrezygnowała z ekstazy na wiadomość, że jej syn odkrył potęgę Chrystusowego słowa, a Teobald przeraził się nie na żarty. Uważał za pomyślny zbieg okoliczności, że syna nie trapią wątpliwości ani zawile problemy, wobec czego przyjmie święcenia kapłańskie nie robiąc z igły widły, ale węszył jakieś matactwo w nagłym nawróceniu się osobnika, który, jak dotąd, do spraw religii odnosił się chłodno. Nienawidził ludzi, którzy nie potrafią zatrzymać się we właściwym miejscu, Ernest był zawsze taki *outré* i taki dziwny. Nigdy nie można było przewidzieć, co z kolei przyjdzie mu do głowy, a jedno tylko było wiadomo na pewno, że będzie to coś nienormalnego i głupiego. Było całkiem pewne, że kiedy uda mu się dzięki święceniom i kupnie parafii uwolnić od kurateli, zacznie robić takie głupstwa, że w ich obliczu zbledną nawet te nonsensy, które popełnił on, Teobald. Bez wątpienia sprawa święceń i parafii powinna ciągnąć się dość długo, żeby miał czas się ustatkować, a jak się ożeni, reszta będzie należeć do żony. Była to jedyna jego szansa, a chcąc oddać sprawiedliwość przenikliwości Teobalda, trzeba przyznać, że w głębi serca uważał ją za dość nikłą.

Kiedy Ernest przyjechał do Battersby, a było to w czerwcu, nieroztropnie spróbował nawiązać z ojcem bardziej szczerzy kontakt, niż było to w jego zwy- czaju. W pierwszym uniesieniu po kazaniu pana Hawke swym zygzakowatym lotem bekasa śmignął w kierunku ultra ewangelikanizmu. Teobald bardziej sprzyjał „niskiemu” kościołowi o zabarwieniu purytańskim, niż anglikanom spod znaku „wysokiego” kościoła. W latach mniej więcej między 1825 a 1850 znaczna większość wiejskich duchownych w pierwszym okresie ich kapłaństwa wyznawała takie poglądy. Mimo to Teobald nie był przygotowany na miażdżącą pogardę, z jaką Ernest traktował doktryny o odrodzeniu przez chrzest i rozgrzeszeniu przez kapłana (ładne rzeczy, bo cóż, Bogiem a prawdą, obchodzą smarkacza te kwestie?) ani nie szukał sposobów pogodzenia metodystów i Kościoła anglikańskiego. Teobald nienawidził Kościoła katolickiego z całej duszy, ale nienawidził także sekciarskich dysydentów, ponieważ z reguły trudno mu przychodziło znaleźć z nimi wspólny język. Według Teobalda, każdy człowiek, który miał inne zdanie niż on, był osobnikiem, z którym nie sposób znaleźć wspólnego języka, ale mimo to, gdyby miał swobodę postępowania, zwróciłby się raczej do sekciarzy niż do oficjalnego „wysokiego” kościoła. Okoliczne duchowieństwo krępowało jego swobodę. Księża, jeden po drugim, ulegali bezpośrednio lub pośrednio wpływowi ruchu oxfordzkiego, który pojawił się na widowni dwadzieścia lat temu. Aż dziw bierze, do ilu praktyk, które w swej młodości uznawał za twór papizmu, odnosił się teraz z tolerancją. Wiedział dobrze, jakimi drogami szedł Ko- ściół anglikański w sprawach religii, więc nie uszło jego uwagi, że Ernest, jak zwykle, wyruszył nie tą drogą, którą należało wyruszyć. Okazja, by powiedzieć synowi, że jest głupi, była wyborna, więc Teobald skwapliwie z niej skorzystał. Ernest zmartwił się, a potem zdumiał, bo przecież to jego rodzice najgoręcej ze wszystkich pragnęli, żeby był bardziej religijny, a teraz, kiedy ich życzeniu stało się zadość, znów są niezadowoleni. Powiedział sobie, że „nie jest prorok beze czei tylko w ojczyźnie swojej”, ale w ostatnich czasach — a raczej należałoby powiedzieć w przedostatnich czasach — nabrał przykrego zwyczaju wywracania przysłów do góry nogami i przyszło mu do

głowy, że zdarza się, iż „ojczyzna nie jest beze czci tylko dzięki swemu prorokowi”. Wtedy roześmiał się i resztę dnia spędził w nastroju bardzo zbliżonym do tego, w jakim bywał, zanim usłyszał kazanie pana Hawke.

Do Cambridge wrócił na letnie wakacje w roku 1858, całkiem nie za wcześnie, ponieważ miał przystąpić do tzw. „dobrowolnych egzaminów” z teologii, na które biskupi zaczęli w owym czasie nalegać. Przez cały czas studiów wmawiał w siebie, że gromadzi wiedzę najbardziej przydatną do wykonywania zawodu, któremu zamierzał się poświęcić. Prawdę mówiąc, wkuwał, żeby zdać. We właściwym czasie zdał chwalebnie wraz z sześcioma kolegami i został wyświęcony na diakona jesienią 1858 roku. Miał wtedy dokładnie dwadzieścia trzy lata.

ROZDZIAŁ LI

Ernest objął wikariat w jednej z centralnych dzielnic Londynu. O Londynie wiedział wtedy bardzo mało, ale instynkt narzucił mu decyzję osiedlenia się w tym mieście. Objął swe stanowisko zaraz następnego dnia po święceniach i czuł się mniej więcej tak samo jak jego ojciec, kiedy w dniu ślubu zamknięto go w powozie sam na sam z Krystyną. Po niespełna trzech dniach zdał sobie sprawę, że po zorzy szczęścia, która towarzyszyła mu przez cztery lata pobytu w Cambridge, nie pozostało już ani śladu, i ogarnął go blady strach na myśl o nieodwracalności decyzji, którą, jak teraz zrozumiał, powziął zbyt pochopnie.

Choć chciałbym obejść się z mym bohaterem jak najbardziej miłosiernie, nie potrafię wskazać innego usprawiedliwienia najdziwaczniejszych wybryków, do których opisu z obowiązku kronikarskiego obecnie przystępuję, poza tą jedną okolicznością, że wstrząs, który towarzyszył jego nagłemu zwrotowi ku religijności, święceniom kapłańskim i wyjazdowi z Cambridge, był zbyt silny i chwilowo wytrącił go z równowagi, która, nie mając jeszcze oparcia w doświadczeniu, była, rzecz prosta, chwiejna. Każdy z nas musi odrobić masę złej roboty i musi się od niej uwolnić, żeby móc zrobić coś dobrego, a im trwalsze ma być dzieło, w którym człowiek ostatecznie się wypowie, tym dłuższy, czasem nawet bardzo długi, musi być okres w jego życiu kiedy wydaje się, że nie ma dla niego cienia nadziei. Każdy z nas musi wyszumieć się duchowo. Nie czuję osobiście żadnej pretensji do mego chrześniaka, że musiał się wyszumieć, ale mam mu za złe, że wszystko, co robił, było takie beznadziejnie ulizane i takie nudne. Poczucie humoru i skłonność do samodzielnego myślenia, cechy, które jeszcze kilka miesięcy temu tak obiecująco się w nim rozwijały, zwarzyły się jakby pod wpływem wiosennych przymrozków, a jednocześnie dawny nawyk przyjmowania za dobrą monetę wszystkiego, co usłyszał od każdej osoby, która była dla niego autorytetem, i doprowadzania wszystkiego, czego się tknął, aż do gorzkiego, ba, nawet absurdałnego końca, powrócił ze zdwojoną siłą. Sądzę, że można się tego spodziewać po każdym, kto znalazł się w podobnej sytuacji jak Ernest, szczególnie jeżeli się pamięta, jakie przesłanki go do tego doprowadziły; jednakże jego bardziej zrównoważeni koledzy z Cambridge, którzy zaczęli skłaniać się do wysokiej oceny jego zdolności, byli zdziwieni i rozczarowani jego postępowaniem. Ernest był przekonany, że religia wyklucza półśrodki, a nawet kompromis. Tak się złożyło, że został duchownym. Chwilowo tym się martwił, ale klamka zapadła, więc musi stanąć na wysokości zadania. Zaczął więc pilnie penetrować, czego od niego oczekiwano, i wprowadzać w czyn te oczekiwania.

Proboszcz Ernesta był umiarkowanym adherentem „wysokiego” kościoła, o poglądach trochę niewyraźnych. Był to już starszy człowiek, który miał wielu wikarych w swym życiu, więc doskonale wiedział, że stosunki między proboszczem a wikarym, podobnie jak pomiędzy pracodawcą a pracownikiem w każdej innej sferze życia, są najzwyczajszą transakcją handlową. Teraz miał dwóch wikarych, z których Ernest był młodszym. Starszy wikary nazywał się Pryer, a kiedy ów pan Pryer pierwszy okazał chęć nawiązania z Ernestem bliskich stosunków, mój bohater, który znajdował się w opłakanym stanie ducha, z radością wyszedł mu naprzeciw.

Pryer miał coś około dwudziestu ośmiu lat. Studiował w Eton i w Oxfordzie. Był wysoki i powszechnie uważano go za mężczyznę przystojnego. Widziałem go tylko jeden jedyny raz w życiu przez pięć minut i uznałem, że z zachowania i wyglądu jest antypatyczny. Być może dlatego, że przerwał mi w pół zdania w sposób, który bardzo mi się nie spodobał. Mówiąc z nim zacytowałem Szekspira, żeby zaokrąglić zdanie, bo nic lepszego nie przychodziło mi do głowy, powiedziałem mianowicie, że: „Jedno muśnięcie Natury wystarczy, by pokrewieństwa złączyły

nas w węzły."

— Muśnięcie Natury? — powiedział Pryer śmiało i bezczelnie, co bardzo mi się nie spodobało — jedno muśnięcie tego, co nienaturalne, jeszcze bardziej zacieśnia węzły pokrewieństwa między ludźmi — i spojrział na mnie w taki sposób, jak gdyby chciał mi dać do zrozumienia, że jestem starym nudziarzem i że go nic nie obchodzi, czy jestem zgorszony, czy nie. Rzecz prosta, że po tym incydencie nie darzyłem go sympatią.

Ale wybiegłem trochę zanadto naprzód, albowiem współwikarego Ernesta miałem sposobność poznać dopiero w trzecim albo czwartym miesiącu pobytu Ernesta w Londynie i powinienem raczej opisać wrażenie, jakie wywarł na moim chrześniaku niż na mnie. Nie tylko był przystojny w przyjętym rozumieniu tego słowa, ale w dodatku ubierał się nienagannie i należał do kategorii ludzi, wobec których Ernest czuł wyraźną treść i którzy łatwo wyprowadzali go w pole. Ubierał się ściśle według najlepszych wzorów „wysokiego” kościoła, a stosunki towarzyskie nawiązywał wyłącznie wśród radykalnego odłamu tego kościoła, lecz w obecności proboszcza dość pilnie miał się na baczności, żeby się nie zdradzić ze swymi poglądami, a starszy pan, choć patrzył nieufnie na niektórych przyjaciół Pryera, nie miał przeciwko niemu dość istotnego powodu do skargi, żeby zażądać od niego zerwania z nimi stosunków. Pryer był także wziętym kaznodzieją i — zważywszy jego zalety i wady — można przyjąć z dużym prawdopodobieństwem, że wielu było gorszych, a niewielu lepszych wikarych od niego. Podczas pierwszej wizyty u mego bohatera, Pryer, ledwo zostali sami, przez moment zmierzył go przenikliwym wzrokiem od stóp do głów i był, jak się zdaje, dość zadowolony z wyniku — muszę bowiem zwrócić uwagę, że Ernest pod wpływem ożywczej atmosfery Cambridge ogromnie podciągnął swój wygląd zewnętrzny. W każdym razie Pryer dał mu co najmniej tak wysoką notę, że uważał za swój obowiązek zdobyć się na uprzejmość dla Ernesta, a każdy, kto dla niego był uprzejmy, mógł z łatwością go zawojować. Wkrótce Ernest odkrył, że zwolennicy „wysokiego” kościoła, a nawet sam Kościół katolicki, mają więcej argumentów dla uzasadnienia swych poglądów, niż się spodziewał. Była to pierwsza zmiana w jego bekaśowym locie.

Pryer wprowadził go do kółka swych przyjaciół. Byli to wyłącznie młodzi duchowni, którzy — jak wspomniałem — reprezentowali radykalny odłam „wysokiego” kościoła, a Ernest ze zdziwieniem stwierdził, że we własnym gronie są całkiem podobni do innych ludzi. Przeżył to głęboko. Niebawem doznał jeszcze większego wstrząsu, ponieważ stwierdził, że pewne myśli, które zwalczał jako zgubne dla swej duszy, imaginując sobie, że z chwilą przyjęcia święceń pokona je raz na zawsze, gnębią go tak samo niemilosierdzie jak dotychczas. Dostrzegł również całkiem wyraźnie, że młodzi pankowie z kółka Pryera znajdują się pod tym względem w tak samo godnym pożałowania położeniu co on.

Było to żałośnie smętne. Widział tylko jedną drogę wyjścia, a mianowicie — natychmiast się ożenić. Mówiąc prawdę, nie znał żadnej istoty, z którą pragnąłby związać się małżeńskim węzłem. Z żadną z kobiet, które znał, nie ożeniłby się, nawet gdyby stanął wobec dylematu: śmierć albo żona. Jedną z głównych trosk Teobalda i Krystyny było utrzymać Ernesta jak najdalej od kobiet. Udało im się to z takim powodzeniem, że kobiety stały się dla niego tajemniczymi, nieprzeniknionymi stworami, które trzeba tolerować, jeżeli nie ma sposobu ich uniknąć, ale szukanie towarzystwa tych istot lub ośmielanie ich jest absolutnie niedopuszczalne. Domyślał się wprawdzie, że mężczyzna może kochać albo czuć do kobiety coś w rodzaju sympatii, lecz był święcie przekonany, że w przeważającej ilości przypadków mężczyźni, którzy przyznają się głośno do takich uczuć, są zwykłymi kłamcami. Teraz stało się całkiem jasne, że zbyt długo trwał na straconej pozycji, więc nie ma innego wyjścia, jak poprosić o ręką pierwszą kobietę, która zgodzi się wzać z nim ślub — i to możliwie najszybciej.

Wspomniał o tym Pryerowi i zaskoczyło go odkrycie, że ów elegancki młody człowiek,

choć zawsze pełen uwagi dla tych owieczek spośród swojej trzódki, które są młode i ładne, jest gorącym zwolennikiem celibatu księży; okazało się również, że inni sztywni klerycy, z którymi Pryer poznał Ernesta, podzielają jego poglądy.

ROZDZIAŁ LII

— Widzisz mój drogi — rzekł Pryer w Kensington Gardens, gdzie dla zdrowia spędzali we dwójkę wolny dzień, a znali się już wtedy od kilku tygodni — widzisz, mój drogi, to bardzo ładnie, że kłócimy się z Rzymem, lecz nic wolno nam zapominać, że Rzym sprowadził zagadnienie leczenia duszy do problematyki naukowej, podczas gdy nasz Kościół, choć na pewno pod wieloma względami mniej skażony błędami, nie posiada żadnego konsekwentnego systemu ani w dziedzinie diagnozy, ani w dziedzinie patologii — mam na myśli oczywiście diagnozę i patologię duchową. Recepty naszego Kościoła nie mają oparcia w żadnym obowiązującym systemie i — co gorzej — nawet jeżeli jego lekarzom uda się według ich najlepszej wiedzy trafnie rozpoznać chorobę i wskazać lekarstwo, nie posiada on środków dyscyplinarnych, które stanowiłyby gwarancję, że zostanie ono rzeczywiście zastosowane. Jeżeli nasi pacjenci nie mają ochoty zastosować się do naszych zaleceń, nie mamy żadnego sposobu, żeby ich do tego zmusić. Zważywszy jednak całokształt okoliczności, należy uznać ten stan rzeczy za prawidłowy, ponieważ pod względem duchowym w porównaniu z duchowieństwem katolickim jesteśmy zwykłymi konowalami i nie możemy mieć żadnej nadziei na postęp w zwalczaniu grzechu i niedoli, które zewsząd nas otaczają, dopóki nie powrócimy pod pewnymi względami do metod postępowania naszych przodków i większej części chrześcijańskiego świata.

Ernest zapytał swego kolegę, pod jakim względem pragnąłby powrotu do metod postępowania naszych przodków.

— Doprawdy, mój drogi, czyżbyś tego nie wiedział? Chodzi o to, że albo kapłan jest przewodnikiem duchowym, który lepiej potrafi wskazać ludziom, jak powinni żyć, niż sami mogą to zrobić, albo jest niczym i nie ma *raison d'etie*. Jeżeli kapłan nie dorasta do roli uzdrowiciela i rządcy ludzkich dusz, do roli, jaką lekarz spełnia wobec naszych ciał — to czymże jest w takim razie? Historia wszystkich czasów uczy nas, pewno wiesz o tym nie gorzej ode mnie, że ludzie nie potrafią leczyć ciał swoich pacjentów, jeżeli nie przejdą odpowiedniego przeszkolenia w szpitalach pod kierunkiem doświadczonych nauczycieli, oraz że nie można wyleczyć duszy ludzkiej z jej, o ileż bardziej utajonych, dolegliwości bez pomocy ludzi, którzy są wyszkoleni w obchodzeniu się z duszą człowieka — innymi słowy, bez kapłanów. O cóż innego, jak nie o tę sprawę chodzi w połowie naszych przepisów i rubryk liturgicznych? Czy, biorąc rzecz na zdrowy rozsądek, możemy ściśle określić, na czym polega istota jakiegoś duchowego niedomagania, jeżeli nie zebraliśmy doświadczeń na innych podobnych przypadkach? Czy może nam się to udać bez praktyki w tym kierunku? W obecnej chwili jesteśmy zdani tylko na siebie i musimy przystąpić do wszystkich doświadczeń od nowa nie mając zaplecza w uporządkowanym doświadczeniu naszych poprzedników, ponieważ tego rodzaju doświadczenie nigdy nie jest ani uporządkowane, ani skoordynowane.' Dlatego na początku każdy z nas musi zniszczyć wiele dusz, które można byłoby uratować w oparciu o znajomość niewielu elementarnych zasad.

Ernest był poruszony do głębi.

— Problem leczenia samego siebie — ciągnął Pryer — sprowadza się do tego, że nikt nie potrafi sam leczyć swej duszy, podobnie jak nikt nie potrafi sam leczyć swego ciała lub samego siebie reprezentować w obliczu prawa. W tych dwu ostatnich dziedzinach ludzie widzą całkiem jasno, że wścibianie nosa do własnych spraw jest głupotą, i udają się po radę do specjalisty. A przecież dusza ludzka jest na pewno bardziej precyzyjnym i trudniejszym obiektem do leczenia, a

jednocześnie kwestia właściwego leczenia ducha jest dla człowieka sprawą dużo ważniejszą od kuracji ciała lub sanacji spraw majątkowych. Jak mamy ocenić praktykę Kościoła, który zachęca ludzi do polegania na niefachowej opinii profanów w sprawach mających bezpośredni wpływ na ich wieczną pomyślność, podczas gdy ci sami ludzie tak dbają o swoje doczesne interesy, że za nic w świecie nie zgodziliby się narazić ich na szwank tak obłąkańczym postępowaniem?

Ernest nie potrafił dostrzec w tym rozumowaniu żadnego słabego punktu. Podobne refleksje nieraz roily się w jego umyśle, ale nigdy nie dotarł do ich sensu ani nie uporządkował ich sobie według jakiejś zasady. A jednocześnie nie był na tyle przenikliwy, żeby zdemaskować fałsz analogii i nadużycie metafory. W rękach kolegi wikarego był bezbronny jak dziecko.

— Jakie wnioski — podjął Pryer — należy z tego wyciągnąć? Po pierwsze, że obowiązek spowiedzi należy uznać za aksjomat. Hałaśliwa wrzawa przeciwko spowiedzi jest tak samo absurdalna, jak absurdalne byłoby żądanie usunięcia sekcji zwłok z programu szkolenia studentów medycyny. Jeżeli więc założymy, że młodzi ludzie, którzy chodzą na fakultet medycyny, muszą na własne oczy zobaczyć i własnoręcznie zrobić całe mnóstwo tak okropnych rzeczy, że na samą myśl o nich robi się nam niedobrze, to muszą, rzecz prosta, być na to z góry przygotowani albo muszą wybrać inny zawód. Choć mogą się zakazić trupim jadem i umrzeć, muszą ryzykować. Tak samo my, jeżeli mamy aspirację, żeby być kapłanami nie tylko z imienia, ale i z uczynków, musimy oswoić się z najdrobniejszymi i najbardziej odrażającymi elementami grzechu we wszelkich jego odmianach, abyśmy mogli go rozpoznać we wszystkich jego fazach rozwojowych. Nie ulega wątpliwości, że niektórzy z nas poniosą duchową śmierć na polu tych dociekań. Nic na to nie poradzimy. Każda nauka musi mieć swych męczenników, a żaden z nich tak dobrze nie zasłuży się ludzkości, jak ten, który padnie w służbie patologii ducha.

Ernest był coraz bardziej zaciekawiony, ale z wrodzonej nieśmiałości nie odezwał się ani słowem.

— Nie pragnę dla siebie męczeństwa — ciągnął jego towarzysz — przeciwnie, z całych sił pragnę go uniknąć, ale jeżeli Bóg zechce, żebym poległ na polu studiów, które w moim głębokim przekonaniu wzmogą chwałę bożą, tedy nie moja wola, Panie, lecz niechaj Twoja się stanie.

Tego było już za dużo nawet dla Ernesta.

— Słyszałem raz o pewnej Irlandce — odezwał się z uśmiechem — która mówiła, że jest męczennicą pijaństwa.

— I tak w istocie było — potwierdził Pryer gorąco i zaczął udowadniać, że pocziwa kobieta była eksperymentatorką, której doświadczenia, choć zgubne dla niej samej, były brzemiennie w pouczające wskazówki dla innych ludzi. Była ona prawdziwą męczennicą i widowym świadectwem okropnych skutków niewstrzeźliwości, ku ocaleniu, rzecz pewna, wielu ludzi, którzy tylko dzięki jej męczeństwu nie zostali pijakami. Była żołnierzem oddziału straceńców, którego atak na pewną pozycję został krwawo odparty, dzięki czemu udowodniono, że pozycja ta jest nie do zdobycia, a więc dalsze próby szturmowania poniekąd jako bezcelowe. Ludzkość odniosła dzięki temu niemal taką samą korzyść, jaką przyniosłoby jej faktyczne zdobycie tej pozycji.

— Co więcej — dodał trochę podnieconym tonem — granice między występkiem a cnotą są żałośnie źle zdefiniowane. Połowa występków, które świat najgłośniej potępia, posiada w sobie zarodek dobra i dlatego lepiej je z umiarkowaniem uprawiać niż całkowicie się ich wyrzec.

Ernest nieśmiało poprosił o przykłady.

— Nie, nie — odparł Pryer — nie dam ci przykładu, ale dam ci definicję, w której zmieszczą się wszystkie przykłady. Streszcza się ona w tym, że żadnych praktyk, które przetrwały wśród najbardziej dorodnych, dzielnych i wykształconych narodów świata, mimo że

przez całe wieki próbowano je wytepić, nie można uznać za absolutnie występne. Z faktu, że jakiś występki mimo tak wielkich wysiłków wytepienia go zdołał utrzymać się wśród najbardziej cywilizowanych narodów, można wywnioskować, że posiada on ostoję w jakiejś niezmiennej prawdzie lub jakimś atrybucie natury ludzkiej i musi reprezentować korzyść tak dalece kompensującą straty, że nie stać nas, żebyśmy z niej całkowicie zrezygnowali.

— Ale czy takie postawienie problemu — rzekł Ernest nieśmiało — nie oznacza w praktyce przekreślenia wszelkiej różnicy między dobrem a złem i pozostawienia ludzi bez jakiegokolwiek, moralnego kompasu?

— To nie ma nic wspólnego z ludźmi — brzmiała odpowiedź — musimy postarać się o to, żeby stać się ich przewodnikami, ponieważ ludzie ani teraz, ani w przyszłości nie potrafią kierować sobą w sposób właściwy. My powinniśmy im powiedzieć, jak mają postępować, a w idealnym układzie stosunków powinniśmy też mieć możliwość zmuszenia ich do postępowania zgodnie z naszą wolą. Nie jest wykluczone, że jeżeli podniesie się poziom naszego przygotowania, ów idealny układ stanie się faktem dokonany, a nic temu bardziej nie sprzyja niż zdobywanie przez nas coraz większej wiedzy w dziedzinie patologii duchowej. Wymaga to spełnienia trzech warunków: po pierwsze — zapewnienia nam, duchownym, całkowitej swobody eksperymentowania, po drugie — doskonałej znajomości przez duchowieństwo wszystkiego, co laicy czynią i myślą, oraz poznania praw rządzących zależnością myśli i uczynków od podłoża duchowego, po trzecie — bardziej zwartej organizacji kleru.

Jeżeli mamy przydać się na coś dobrego, musimy stać się spoistym organizmem i całkiem odseparować się od laików. Musimy być wolni od więzów, które są nieodłącznie związane z posiadaniem żony i dzieci. Słów mi brak, żeby wyrazić zgrozę, która mnie ogarnia na widok angielskich księży żyjących w związku, dla którego nie znajduję innej nazwy jak „jawne małżeństwo”. Jest to stan godny politowania. Kapłan musi być doskonale bezpłciowy — jeżeli nie w praktyce, to w każdym razie w teorii, i to bezapelacyjnie, a teoria, z której to wynika, musi być tak powszechnie uznana, że nikt nie ośmieli się jej podważyć.

— Ale przecież — rzekł Ernest — Biblia już dawno określiła, jak ludzie powinni, a jak nie powinni postępować, i czy to nie dość, jeżeli będziemy wymagać spełnienia tego, co jest w niej zawarte, nie troszcząc się o resztę?

— Jeżeli zaczynasz mieszać w to Biblię — brzmiała replika — masz już trzy czwarte drogi do niedowiarstwa za sobą i nawet się nie obejrzyś, jak znajdziesz się u jej kresu. Biblia przedstawia pewną wartość dla nas, duchownych, ale z punktu widzenia laików jest zawadą, którą należy usunąć im z drogi możliwie szybko i możliwie dokładnie. Oczywiście przy założeniu, że ją czytają, co, na szczęście, zdarza się rzadko. Jeżeli ludzie czytają Biblię tak, jak ją czyta zwykły Anglik lub Angielka — mam na myśli naszych przeciętnych wiernych — to jest to nieszkodliwe, ale jeżeli zaczną ją czytać z uwagą, a musimy przyjąć, że to nastąpi, jeżeli im w tym nie przeszkodzimy, skończy się to dla nich fatalnie.

— Co przez to rozumiesz? — zapytał Ernest, coraz bardziej zdumiony i coraz bardziej świadomy faktu, że w każdym razie ma do czynienia z człowiekiem o jasno sformułowanych poglądach.

— Postawiłeś mi pytanie, które dowodzi, że nie czytałeś Biblii. Ze wszystkiego, co świat zdołał napisać na papierze, ta księga najmniej zasługuje na zaufanie. Posłuchaj mojej rady i nie czytaj jej, aż będziesz o kilka lat starszy i będziesz mógł sobie na to pozwolić bez narażenia się na niebezpieczeństwo.

— Ale spodziewam się, że wierzysz Biblii, kiedy czytasz w niej, dajmy na to, że Chrystus umarł, a potem z martwych powstał? — zapytał Ernest, przygotowany na to, że Pryer mu odpowie, że w nic podobnego nie wierzy.

- Nie wierzę. Ja to wiem.
- Ale na jakiej podstawie, jeżeli wykluczy się świadectwo Biblii?
- Na podstawie żywego słowa Kościoła, o którym wiem, że jest nieomylny, a to, co wie, wie od Chrystusa bezpośrednio.

ROZDZIAŁ LIII

Przytoczona wyżej rozmowa i inne pogawędki w tym stylu wywarły, na mym bohaterze głębokie wrażenie. Gdyby następnego dnia wybrał się na spacer z panem Hawke i usłyszał od niego, co ma do powiedzenia w tej materii, prawdopodobnie byłby jota w. jotę tak samo poruszony i zapłonąłby taką samą chęcią wyrzucenia na śmietnik wszystkiego, co powiedział mu Pryer, z jaką teraz pragnął odżegnać się od każdego słowa, które nie pochodziło od Pryera. Ale pana Hawke nie było pod ręką i Pryer we wszystkim wziął górę.

Intelekt embrionalny, tak samo jak embriony wszystkich ciał organicznych, przechodzi przez wiele dziwnych przemian, zanim przyjmie swój kształt ostateczny. Należy więc uznać za zjawisko całkiem normalne, że człowiek, który w ostatecznym stadium przeistoczy się w katolika, w pierwszej fazie tego procesu przekształca się w metodystę, a w następnej w wolnomyśliciela, tak samo, jak uznaje się za normalne, że człowiek musi być komórką, zanim stanie się zwierzęciem bezkręgowym. Nie można jednak mieć za złe Ernestowi, że tego nie wiedział. Żaden embrion o tym nie wie. Embriony na każdym szczeblu swego rozwoju są zdania, że warunki, w których właśnie się znalazły, najbardziej im odpowiadają. Z ich punktu widzenia jest to stadium ostateczne, ponieważ przewidują, że kres tej fazy będzie takim wstrząsem, że nic nie ostanie się przy życiu. Każda zmiana jest wstrząsem, a każdy wstrząs jest jak śmierć. To, co nazywamy śmiercią, jest po prostu wstrząsem tak gwałtownym, że pozbawia nas zdolności rozpoznawania podobieństw między przeszłością a terażniejszością. Wstrząs o takiej sile zmusza nas do uznania, że między naszą terażniejszością a przeszłością jest więcej różnic niż podobieństw. W konsekwencji nie możemy już nazywać, w przyjętym znaczeniu, terażniejszości przedłużeniem przeszłości, i dochodzimy do wniosku, że mniej kłopotu sprawia nam myślenie o terażniejszości jako o czymś, czemu zdecydowaliśmy się dać nową nazwę.

Ale powracając do tematu, nie można zaprzeczyć, że patologia duchowa (wyznaję, że nie mam pojęcia, co to jest patologia duchowa, lecz Pryer i Ernest z całą pewnością mieli tę kwestię w małym palcu) była podstawowym postulatem tamtych czasów. Ernestowi wydawało się, że to on sam odkrył tę ideę. Był przeświadczony, że była mu ona zawsze tak bliska, że o istnieniu żadnej innej alternatywy nigdy nie wiedział. Pisał długie listy do uniwersyteckich kolegów i wykladał w nich swe poglądy tak autorytatywnie, jak gdyby był jednym z ojców Kościoła. Do autorów Starego Testamentu nie miał cierpliwości. „Zrób to dla mnie — takie słowa znalazłem w liście do jednego

z jego kolegów — przeczytaj proroctwo Zachariasza i napisz mi szczerze, co o nim myślisz. Pisz tandetnie, a jest przemądrzały jak Jankes, Niedobrze się człowiekowi robi na myśl, że żyje w czasach, w których ludzie z całą powagą dopatrują się w tym przelewaniu z pustego w próżne poezji lub wizji proroczej." To Pryer nastawił go tak wrogo do Zachariasza. Nie mam pojęcia, co Zachariasz przeszkrobał. Osobiście skłonny jestem uznać, że jest wybornym prorokiem, a Pryer pewno tylko dlatego wybrał sobie Zachariasza, bo jest to pisarz biblijny i to wcale nie najwyższej klasy, a chciał w jego osobie poniżyć Biblię w porównaniu z Kościołem.

Wkrótce potem Ernest napisał do swego kolegi Dawsona taki list:

Chodzimy z Pryerem na wspólne spacer i wzajemnie pomagamy sobie w wydobywaniu naszych myśli na światło dzienne. Z początku cały ciężar myślenia spoczywał wyłącznie na nim, ale teraz chyba już go dogoniłem i na śmiech mi się zbiera, że on już zaczyna wносить poprawki do poglądów, których wówczas, kiedy go poznałem, najgoręcej bronił.

Wtedy, znajdował się, jak sądzę, na najlepszej drodze do katolicyzmu. Teraz, jak mi się

wydaje, jest pod dużym wrażeniem pewnej mojej koncepcji, która może i Ciebie zainteresuje.

Musimy w jakiś sposób tchnąć nowe życie w nasz Kościół — nie potrafimy bowiem dotrzymać pola ani Kościołowi katolickiemu, ani niedowiarstwu. — (Na marginesie pozwolę sobie zauważyć, że nie wierzę, żeby Ernest kiedykolwiek widział na własne oczy niedowiarka, nie mówiąc już o tym, żeby zamienił z nim choćby jedno słowo.) - Kilka dni temu wystąpiłem do Pryera z propozycją, a on bardzo się zapalił do mego projektu widząc, że pomyślałem także o środkach jego realizacji, zaproponowałem mianowicie żebyśmy zorganizowali ruch religijny na zasadach w pewnym sensie podobnych do ruchu Młodej Anglii sprzed dwudziestu lat, którego zadaniem byłoby natychmiastowe uzyskanie przewagi zarówno nad Kościołem katolickim, jak i nad sceptycyzmem. Moim zdaniem, najlepszym środkiem prowadzącym do tego celu jest ufundowanie instytutu lub akademii, w której studia nad istotą grzechu i jego leczeniem postawione zostaną na bardziej naukowej płaszczyźnie, niż to się dzieje w dobie dzisiejszej. Potrzeba nam — korzystam z nazwy, którą Pryer u trafił w samo sedno zagadnienia — Akademii Patologii Duchowej, gdzie młodzi ludzie — (domyślam się, że Ernest nie uważał się wtedy za młodego) — będą mogli studiować istotę i właściwości grzechów duszy ludzkiej oraz poznawać metody ich leczenia zupełnie tak samo, jak studenci medycyny badają i poznają ciała swych pacjentów. Taka akademia, jak prawdopodobnie rzuci Ci się to w oczy, będzie zarówno korzystać z doświadczeń Kościoła katolickiego, jak i ze zdobyczy nauki — z doświadczeń Kościoła katolickiego, ponieważ zapewni swemu duchowieństwu wyższy poziom, umiejętności i tym samym ułatwi mu dostęp do większej władzy, a z nauki, bo przyjmie jako zasadę, że w badaniach naukowych, których przedmiotem jest dusza ludzka, nawet wolna myśl posiada pewną określoną wartość. Temu zadaniu postanowiliśmy wspólnie z Pryerem poświęcić się całą duszą i sercem.

Oczywiście moje idee nie są jeszcze ostatecznie sprecyzowane, a wszystko będzie zależeć od ludzi, którzy w pierwszym okresie będą kierować pracami akademii. Nie jestem jak dotąd kapłanem, ale Pryer już nim jest, i gdybym miał tę akademię zorganizować i ruszyć z pracą, Pryer mógłby chwilowo stanąć na jej czele, a ja pracowałbym *de nomine* jako jego podwładny. Tak zaproponował sam Pryer. Czy nie sądzisz, że to wspaniałomyślna propozycja?

Najgorsze, że mamy za mało pieniędzy. Posiadam, czego nie taję, pięć tysięcy funtów, ale potrzebujemy, zdaniem Pryera, dziesięć tysięcy, żeby móc zacząć. Kiedy wypłyniemy na szerokie wody, będę mógł zamieszkać w akademii i żyć z pensji, którą będę pobierał z tej fundacji, a więc w gruncie rzeczy wyjdzie na to samo albo prawie na to samo, czy ulokuję swój kapitał w akademii, czy w kupnie parafii. Mnie osobiście wystarczy bardzo niewiele, a z całą pewnością nigdy się nie ożenię. Kapłan nie powinien nawet o tym myśleć, a mężczyźnie nieżonatemu wystarczy byle co. Nie widzę żadnego sposobu zebrania takiej kwoty, jakiej mi potrzeba, lecz Pryer, wychodząc z założenia, że na pewno nie udą się nam jej zarobić, podsunął mi myśl, że trzeba ją zdobyć przy pomocy szeregu roztropnych operacji finansowych. Pryer zna wielu ludzi, którzy, kupując jakieś przedmioty w miejscu, które nazywają giełdą, czerpią całkiem przyzwoite dochody z bardzo małego kapitału, prawdę mówiąc — z niczego. O tej giełdzie wiem na razie bardzo niewiele, ale Pryer mówi, że niebawem zdobędę potrzebne wiadomości. Uważa nawet, że wykazałem duże zdolności w tym kierunku i jeżeli ktoś mną odpowiednio pokieruje, zostanę wybornym fachowcem i będę robił świetne interesy. Oczywiście decyzja w tej sprawie nie należy do mnie, lecz do osób kompetentnych, jeżeli jednak człowiek przyłoży się do czegoś z całych sił, możliwości jego są nieograniczone. Jakkolwiek z mego osobistego punktu widzenia wcale mi nie zależy, żeby zdobyć dla siebie więcej pieniędzy, to jednak zależy mi na nich bardzo, kiedy sobie pomyślę, ile dobrego mógłbym zrobić ratując przy ich pomocy dusze ludzkie od straszliwych cierpień na tamtym świecie. Jeżeli wszystko pomyślnie się ułoży, a naprawdę nie

widzę niczego, co mogłoby temu stanąć na przeszkodzie, wydaje mi się, że nawet największy optymizm w ocenie znaczenia akademii i rozmiarów, do których się w przyszłości rozwinie, nie jest przesadny itd., itd.

Ponownie zwróciłem się do Ernesta, czy nie będzie miał nic przeciwko temu, jeżeli ten list ukaże się w druku. Drgnął, lecz odpowiedział:

— Ach, nie, jeżeli przyda się na coś w pańskim opowiadaniu. Ale czy nie uważa pan, że jest za długi?

Odpowiedziałem mu, że dzięki niemu czytelnik będzie mógł na własną rękę zorientować się w rozwoju wypadków, zużywając na to połowę czasu, który byłby potrzebny mnie, żeby mu te sprawy dokładnie wyjaśnić.

— Zgoda, niech więc pan go wykorzysta. Przeglądam dalej teczkę z korespondencją Ernesta i trafiam na taki list:

Dziękuję za twój ostatni list, a w odpowiedzi posyłam Ci streszczenie listu, który kilka dni temu posłałem do „Timesa”. Nie umieścili go. Zawiera on niemal całokształt naszych poglądów na kwestię wizytacji parafialnych. Przemyśl go z uwagą i odeślij po przeczytaniu, ponieważ jest w nim zawarte moje obecne credo tak dokładnie, że nie chciałbym go utracić.

Z wielką przyjemnością przedyskutowałbym te problemy *viva voce*. Uważam za pewnik, że odebranie nam prawa ekskomuniki jest z naszego punktu widzenia dotkliwą porażką. Powinniśmy ekskomunikować bogatych i biednych bez żadnej różnicy i bez niepotrzebnego sknerstwa. Gdyby władza karania ekskomuniką została nam przywrócona, sądzę, że bardzo szybko zdołalibyśmy położyć kres większości grzechów i nieszczęść, którymi jesteśmy zewsząd otoczeni.

Listy te napisał Ernest już w kilka tygodni po święceniach i, wierząc mi, są niczym w porównaniu do tych, które napisał w okresie późniejszym.

Ernest przejęty pragnieniem zreformowania Kościoła anglikańskiego (a za jego pośrednictwem całego wszechświata) przy pomocy środków, które podsunął mu Pryer, wpadł na pomysł zamieszkania wśród ubogich, żeby w ten sposób z bliska poznać ich zwyczaje i myśli. Sądzę, że ów koncept zawdzięczał lekturze *Altona Locke* Kingsleya, którego pochłaniał, choć chwilowo był zwolennikiem „wysokiego” kościoła, z taką samą namiętnością, z jaką pożerał *Życie Arnolda*, Stanleya, powieści Dickensa, oraz te wszystkie śmiecie literackie owych czasów, które mogły wyrządzić mu największą szkodę. Koniec końców wcielił swe plany w życie i wynajął mieszkanie na Asphit Place, niepozornej uliczce w pobliżu Drury Lane Theatre, w domu, którego właścicielką była wdowa po dorożkarzu.

Wspomniana matrona zajmowała cały parter. W kuchni od frontu mieszkał druciarz. Ernest wprowadził się na pierwsze piętro, które urządził sobie bardzo wygodnie, bo wyznawał zasadę, że w niczym nie należy przeciągać struny. Dwa najwyższe piętra podzieliły między siebie cztery odmienne komplety lokatorów. Był tam krawiec — nazywał się Holt — pijak, który nocami tego bił swą małżonkę, a jej wrzaski stawiały cały dom na nogi. Nad nimi mieszkał drugi krawiec z żoną, ale nie miał dzieci. Byli to metodyści, pili nałogowo, ale nie robili hałasu. Dwie izby od podwórza zajmowały dwie samotne panie, które — jak Ernest mniemał — musiały mieć szerokie znajomości i bywać w wielu dobrych domach, ponieważ eleganccy, z pańska wyglądający młodzieńcy, pnąc się po schodach w górę lub schodząc w dół, wcale często przechodzili koło mieszkania Ernesta. Zorientował się, że szli na pewno złożyć swe uszanowanie pannie Snow, ponieważ w chwilę później słyszał trzaśnięcie drzwi jej pokoju. Wydawało mu się, że niektórzy udawali się do panny Maitland. Pani Jupp, jego gospodyni, wytłumaczyła Ernestowi, że to bracia i kuzyni tak często odwiedzają pannę Snow, oraz że panna Snow rozgląda się teraz za posadą guwernantki, ale na razie jest aktorką w Drury Lane Theatre. Ernest zapytał,

czy panna Maitland z poddasza szuka również posady, i otrzymał odpowiedź, że istotnie chciałaby pracować jako modniarka: Uwierzył we wszystko, czego dowiedział się od swej gospodyni.

ROZDZIAŁ LIV

Krok Ernesta wywołał różnorodne komentarze ze strony jego przyjaciół, ale wszyscy zgodzili się, że jest on bardzo w stylu Pontifexa, który w każdej sytuacji postępuje niezwykle — na ogół uważano sam pomysł za chwalebny. Krystyna z trudem panowała nad sobą, kiedy po wysondowaniu opinii znajomych pastorów przekonała się, że nie skąpią pochwał postępkowi jej syna, podnosząc go do rangi znacznie większego wyrzeczenia, niż było w istocie. Nie bardzo przypadło jej do gustu, że będzie mieszkał w tak niearystokratycznym otoczeniu, ale można się było spodziewać, że jego czyn dostanie się do gazet, a wtedy wielcy ludzie zwrócą na niego uwagę.

W dodatku wypadnie to bardzo tanio, bo żyjąc wśród tych biedaków Ernest utrzyma się za byle co, a więc będzie mógł odłożyć znaczną część swego dochodu. Zważywszy charakter miejsca, pokus będzie miał mato, a może nawet w ogóle żadnych. Taniość była jej głównym argumentem i przy pomocy tej niezawodnej broni odparowała zastrzeżenia Teobalda, który *more suo* gderał, że dziwactwa i egzaltacja syna bynajmniej nie budzą jego sympatii. Kiedy Krystyna wystąpiła z argumentem, że to jednak wypadnie bardzo tanio, odparł, że uwaga ta nie jest pozbawiona słuszności.

W konsekwencji swej decyzji Ernest utwierdził dobre mniemanie o samym sobie, które dojrzało w nim już od czasu, kiedy zaczął przygotowywać się do święceń, i z jeszcze większym upodobaniem zaczął wmawiać w siebie, że jest jednym z nielicznych ludzi gotowych poświęcić wszystko dla Chrystusa. Niebawem zaczął uważać siebie za człowieka, który ma do spełnienia posłannictwo i posiada wielką przyszłość przed sobą. Własne jego poglądy, nawet najbardziej błahe i najbardziej powierzchowne, nabierały w jego oczach przełomowego znaczenia. Zanudzał nimi na śmierć, jak dałem tego dowody, swych dawnych kolegów i z tygodnia na tydzień stawał się coraz bardziej *entete* samym sobą i swymi bzdurnymi fantazjami. Z przyjemnością zapuściłbym zasłonę na ten okres życia mego bohatera, ale moje opowiadanie 'zostałoby zniekształcone, gdybym pozwolił sobie na taką licencję.

Wiosną 1859 roku pisze w ten sposób:

Nie mogę nazywać chrześcijańskim widzialnego Kościoła, którego plony nie są chrześcijańskie, czyli tak długo będę odmawiać tego miana Kościołowi anglikańskiemu, jak długo uczynki wiernych tego Kościoła nie będą całkowicie, a co najmniej prawie całkowicie zgodne z jego nauką. Pod większością prawd, których naucza nasz Kościół, podpisuję się całym sercem, ale mówi on jedno, a robi drugie i dopóki nie zostanie przywrócone prawo ekskomuniki — ekskomuniki na wielką skalę — nie mogę nazywać go chrześcijańską instytucją. Zaczęlbym ją stosować od mego proboszcza, a gdybym uznał, że z kolei należy wykląć biskupa, nie zawahałbym się ani przez chwilę. W naszych czasach proboszczowie londyńskich parafii są ludźmi nie do strawienia. Mój jest jednym z najlepszych, ale zaledwie zaczynamy z Pryerem zdradzać chęć zaatakowania jakiejś kwestii w sposób, który lekceważy strupieszalą rutynę, lub naprawienia czegoś, co dotąd nie wywołało głośnego protestu, natychmiast spotykamy się z następującą repliką: „Nie mogę pojąć, na co wam potrzebne to całe zamieszanie. Nikt z kleru tak nie myśli, a ja nie mam żadnej ochoty być pierwszym, który zacznie przewracać wszystko do góry nogami,” I ludzie nazywają go człowiekiem rozsądnym. Nie mam do takich ludzi cierpliwości. My jednak wiemy, czego chcemy, i, jak już napisałem onegdaj Dawsonowi, mamy gotowy plan, który, jak się spodziewam, pomoże nam osiągnąć nasz cel. Ale potrzebujemy więcej pieniędzy, a nasze pierwsze posunięcia w kierunku ich zdobycia okazały się mniej

pomyślne, niż spodziewaliśmy się. Nie wątpię jednak, że wkrótce powetujemy straty.

Po przyjeździe do Londynu Ernest miał szczerzy zamiar poświęcać sporo czasu wizytacjom parafii, lecz Pryer odwiódł go od tej myśli. Było to przed przeprowadzką Ernesta do jego nowych i tak osobliwie wybranych apartamentów. Obecnie mój bohater stanął na stanowisku, że jeżeli ludzie łakną Chrystusa, to muszą dowieść swego pragnienia, zadając sobie w tym celu trochę trudu, a trud, którego należy od nich wymagać, polega na tym, że sami powinni szukać Ernesta Pontifexa i sami do niego się zgłaszać. On jest wśród nich, zawsze chętny do nauczania prawdy, sami więc sobie winni, jeżeli z tego nie korzystają.

Jestem tutaj głównie w tym celu — pisze znowu do Dawsona — żeby obserwować. W parafii, poza przypadającym na mnie udziałem w codziennych nabożeństwach, pracuję niewiele. Prowadzę lekcje Biblii dla dorosłych mężczyzn i chłopców oraz w taki czy inny sposób zajmuję się ich wychowaniem. Są tu także dzieci z niedzielnej szkoły, które przychodzą do mnie w niedzielę wieczór, wypełniając pokój aż po same brzegi, i śpiewają pieśni kościelne i hymny. Bardzo to lubię. Czytam bardzo dużo — przeważnie są to książki, które moim i Pryera zdaniem mogą nam na coś się przydać. Uważamy, że jezuici są niezrównani. Pryer jest dżentelmenem z krwi i kości i znakomicie zna się na inte- resach, a prawdę mówiąc, do Spraw ziemskich odnosi się z taką samą rewerencją jak do spraw niebieskich. Dzięki błyskotliwemu manewrowi odbił prawie całą dość poważną stratę, z powodu której realizacja naszych wielkich planów musiałaby zostać odłożona na bliżej nieokreślony okres czasu. Dzień w dzień dochodzimy z Pryerem do nowych prawd elementarnych. Wierzę, że wielkie rzeczy są mi pisane w przyszłości, i ożywia mnie mocna wiara, że już wkrótce zdołam wiele z tego urzeczywistnić.

Tobie powiadam: Niech Cię Bóg prowadzi. Bądź śmiały, ale logiczny, bądź intelektualnie dociekliwy, ale ostrożny, bądź zuchwale odważny, ale jednocześnie w każdym swym poczynaniu oględny itd., itd.

Sądzę, że na razie tyle wystarczy.

ROZDZIAŁ LV

Poszedłem do Ernesta — rzecz zrozumiała sama przez się — zaraz po jego przeprowadzce do Londynu, ale go nie zastałem. Kiedy przyszedł oddać mi wizytę, mnie z kolei nie było w domu — i w rezultacie spotkałem się z nim pierwszy raz dopiero po kilku tygodniach jego pobytu w Londynie, a było to wkrótce po wynajęciu przez Ernesta nowego mieszkania. Jego twarz zrobiła na mnie miłe wrażenie, ale gdyby nie fakt, że nasze gusta muzyczne były uderzająco podobne, na żaden temat nie potrafiłbym z nim znaleźć wspólnego języka. Muszę oddać mu sprawiedliwość, że nie uraczył mnie swoimi wielkimi planami, dopóki sam nie naprowadziłem go na ten temat. Wyznaję szczerze, że, używając terminologii gospodyni Ernesta, pani Jupp — „nie jestem zbyt regularnym bywalcem kościoła”. W krzyżowym ogniu pytań odkryłem, że pani Jupp była jeden jedyny raz w kościele po urodzeniu syna, jakieś dwadzieścia pięć lat temu, ale ani przedtem, ani potem jej noga w przybytku Pańskim nie powstała. Podejrzewam, że nawet zawarcie związku małżeńskiego nie dostarczyło jej do tego okazji, bo aczkolwiek chce uchodzić za mężatkę, to jednak nie nosi obrączki ślubnej, a osobnika, który powinien by być panem Juppem, nigdy nie nazywa „mężem”, lecz „ojcem mego kochanego syna”. Ale dosyć — wracam do tematu. Byłem zły, że Ernest przyjął święcenia. Ja nie miałem żadnych święceń i nie miałem ochoty, żeby mieli je moi przyjaciele, a już tym bardziej nie chciało mi się wysilać, żeby pokazać się z jak najlepszej strony lub udawać świętoszka z powodu chłopaka, którego pamiętałem z czasów, kiedy znał tylko „wczoraj” i „jutro”, i „wtorek”, i na tym kończyła się cała jego wiedza o dniach tygodnia — nawet o niedzieli głuptas nie miał wtedy pojęcia — i kiedy mówił, że nie lubi kociąt, bo mają szpileczki w łapkach.

Patrzyłem na niego i myślałem o jego ciotce Aletei i o tym, jak szybko rośnie kapitał, który zostawiła mu w spadku. Cały ten majątek dostanie się temu młodemu człowiekowi, a on, według wszelkiego prawdopodobieństwa, zrobi z niego taki użytek, który w oczach panny Pontifex znalazłby najmniej uznania. „Zawsze mówiła — medytowałem — że na pewno rozporządzi swym majątkiem idiotycznie, ale w swych najgorszych przewidywaniach nie spodziewała się, że rozporządzi nim tak idiotycznie, jak okazało się w praktyce.” Potem przyszło mi na myśl, że, być może, Ernest byłby inny, gdyby ciotka żyła.

Ernest był dla mnie bardzo miły, a ja — przyznając szczerze — muszę wziąć całą winę na siebie, że rozmowa zesłała na niebezpieczne tory. Ja byłem napastnikiem, ponieważ wychodziłem, o ile pamięć mnie nie myli, z założenia, że mój wiek i długoletnia z Ernestem znajomość dają mi prawo wyładowania na nim, zresztą bez złości, mego złego humoru.

Potem on zaatakował i najbardziej irytujący był fakt, że do pewnego stopnia jego racje były jak najbardziej słuszne. Jeżeli przyjęło się jego przesłanki, musiało się i wnioski uznać za całkiem uzasadnione, a ja zdając sobie sprawę, że on jest już po święceniach kapłańskich, nie chciałem krytykować jego przesłanek. Nie ulega wątpliwości, że gdybym miał sposobność przeprowadzenia z nim tak zasadniczej dyskusji, zanim związał się z Kościołem, zaatakowałbym jego poglądy od podstaw. W rezultacie zostałem zmuszony do odwrotu i wyszedłem w nienajlepszym humorze. Wydaje mi się, że w istocie rzeczy lubiłem Ernesta i byłem zły na niego, że jest duchownym, i to duchownym, któremu dostanie się tyle pieniędzy.

Wychodząc zamieniłem kilka słów z panią Jupp. Na pierwszy rzut oka skonstatowaliśmy zgodnie, że oboje nie jesteśmy „zbyt regularnymi bywalcami kościoła”, a to rozwiązało jej język. Powiedziała, że Ernest umrze.

— Jest o wiele za dobry, żeby żyć na takim świecie, a minę ma zawsze taką smutną,

całkiem jak ten młody Watkins z zajazdu „Korona” naprzeciwno, który umarł miesiąc temu i ciało miał bieluchne jak alabaster. Zastrzelił się, jak amen w pacierzu. Zabrali go od umrzyków, spotkałam ich po drodze, bośmy się właśnie wybrały z moją Rózią na kufelek za całego pensa, a ona miała wtedy rękę w łupkach. Siostrze powiedziała, że idzie po trochę węży do Perry’ego, ale to była zwykła machlojka, żeby mi zafundować piwa, taka z niej pocziwa dusza. Nikt inny by tego nie zrobił dla takiej starej baby jak ja, i tylko podłe kłamczuchy gadają o niej, że się źle prowadzi. E, to nie to, żebym nie lubiła rozpustnych kobiet, całkiem przeciwnie, wolę dać rozpustnicy pół korony niż porządnej kobiecie postawić małe piwo, ale mimo to pospolitować się z zepsutymi dziewczynami wcale nie chcę. A tak, zabrali go od umrzyków, a do domu już go więcej nie wpuścili. A wie pan, jak on to chytrze wszystko zrobił. Jego żona była wtedy na wsi u matki, a ona o mojej Rózi zawsze mówiła z szacunkiem. Biedactwo, mam nadzieję, że jego dusza jest w niebie. Tak, proszę pana, niech mi pan wierzy, w twarzy pana Pontifexa jest coś takiego, co jest takie samiuteńkie jak u młodego Watkinsa. A widać czasem, że się dręczy i gryzie, ale z całkiem z innego powodu co Watkins, bo pan Pontifex nic a nic nie pojmuje i tyle wie co nowonarodzone dziecko, ot — tyle! i byle małpa, która z włoskim kataryniarzem wałęsa się po ulicach Londynu, więcej wie od pana Pontifexa. On nic nie wie, jestem pewna...

W tym momencie jakiś dzieciak przyszedł po coś od sąsiadki i przerwał jej na szczęście, bo nie potrafię sobie wyobrazić, na czym i kiedy skończyłaby się jej perora. Skorzystałem z okazji, żeby czmychnąć, ale przedtem dałem jej pięć szylingów i kazałem zapisać mój adres, ponieważ jej słowa napędziły mi trochę strachu. Powiedziałem jej, żeby dała mi znać, gdyby zauważyła, że zdrowie jej lokatora się pogorszyło.

Mijały tygodnie i więcej jej nie widziałem. Zrobiłem dla Ernesta tyle, ile uważałem za konieczne, i zostawiłem go własnemu losowi w przekonaniu, że nie mamy sobie nic ciekawego do powiedzenia.

Od czasu jego święceń minęło już cztery miesiące z okładem, ale były to miesiące, które nie przyniosły mu ani szczęścia, ani zadowolenia. Całe życie spędził w domu duchownego, a więc można się było spodziewać, że będzie miał niezłe pojęcie, *co* to znaczy być duchownym, i rzeczywiście wiedział dużo o wiejskich duchownych. Jednocześnie jednak stworzył sobie ideał postępowania kapłana miejskiego i usiłował go w mdły, niepewny sposób urzeczywistnić, ale kończyło się na tym, że ów ideał zawsze umykał mu sprzed nosa.

Mieszkał wprawdzie wśród ubogich, ale zdawał sobie sprawę, że ich nie zna. Koncepcja, że sami przyjdą do niego, okazała się błędna. Skończyło się na tym, że odwiedzał garstkę wytresowanych pupilków, których na wyraźne życzenie swego proboszcza miał otoczyć specjalną opieką. Było wśród nich bardzo stare małżeństwo, które mieszkało zaraz w następnym domu obok Ernesta; był blacharz, który nazywał się Chesterfield; była wiekowa dama, pani Gover, ślepa i przykuta do łóżka, która podczas gdy Ernest mówił lub czytał, bezustannie przeżuwała bezzębnymi szczękami, ale nie miała sił na nic innego; był także pan Brookes, były handlarz szmatami i butelkami w Birdsey’s Rents, który umierał na puchlinę wodną — i jeszcze jakieś pół tuzina innych. Czego oczekiwali ci ludzie, kiedy do nich przychodził? Blacharz łaknął pochlebstw i rozkoszował się widząc, jak zapędzony w śmieszny sytuację dżentelmen traci czas, żeby połechtąć jego ambicję. Pani Gover, biedna staruszka, łaknęła pieniędzy. Była bardzo dobra i cichutka i kiedy Ernest przynosił jej szylinga z fundacji lady Anny Jones, mówiła: „Mało, ale w porę”, i przeżuwała z wdzięcznością. Od czasu do czasu Ernest dawał jej od siebie trochę pieniędzy, ale sam teraz przyznaje, że powinien był dawać jej dwa razy tyle.

Czy miał jakieś inne możliwości okazania staruszce pomocy? W istocie żadnych. Półkoronowe datki, które dawał czasem pani Gover z własnej kieszeni, nie miały żadnego wpływu na moralne odrodzenie wszechświata, a to stanowiło minimum wymagań Ernesta. Świat

jest na wskroś rozklekotany, a Ernest zamiast złorzeczyć na swój przeklęty los, że urodził się, żeby go naprawiać, uznał się za człowieka, który posiada wszystkie kwalifikacje do tej roboty. Pragnął zabrać się do niej jak najspieszniej, ale nie bardzo wiedział, od czego zacząć, ponieważ pierwsze eksperymenty, których dokonał na blacharzu i na pani Gover, nie wróżyły wielkich perspektyw.

A nieszczęśliwy pan Brookes cierpiał okropnie, ba — potwornie. Nie potrzebował pieniędzy, pragnął umrzeć, lecz nie mógł, tak samo jak nam się czasem zdarza, że chcemy usnąć, a nie możemy. Był to człowiek traktujący wszystko poważnie, a na myśl o śmierci ogarniało go takie przerażenie, jakie ogarnia każdego człowieka, który wierzy, że niebawem jego najskrytsze myśli zostaną wystawione na widok publiczny. Kiedy odczytał Ernestowi opis wizyt jego ojca u pani Thompson, zarumienił się i rzekł:

— Jota w jotę to samo mówiłem panu Brookesowi.

Ernest zdawał sobie sprawę, że jego wizyty nie tylko nie przynoszą Brookesowi żadnej pociechy, ale pogłębiają strach biedaka przed śmiercią. Czy mógł jednak na to poradzić?

Nawet Pryer, który od szeregu lat był wikarym, znał osobiście najwyżej jakieś dwieście osób w parafii, a domy, które w ogóle kiedykolwiek odwiedził, stanowiły znikome wyjątki. To prawda, lecz Pryer kwestionował samą zasadę domowych wizytacji. Zaiste, nieliczni parafianie, z którymi Ernest i Pryer nawiązali bezpośredni kontakt, stanowili kroplę w morzu w porównaniu z ogromną rzeszą, do której on miał obowiązek dotrzeć i którą musiał wstrząsnąć, jeżeli chciał osiągnąć jakieś rezultaty. Przecież w parafii mieszkało jakieś piętnaście do dwudziestu tysięcy biednych, a z tych zaledwie znikoma garstka bywała w domu bożym. Spotykało się takich, którzy chodzili do kaplic dysydenckich, trochę było katolików, lecz ogromną większość stanowili ludzie praktycznie wyzuci z wszelkiej wiary, którzy, o ile jeszcze nie byli zdecydowanymi nieprzyjaciółmi religii, to w każdym razie odnosili się do niej obojętnie, a sporo było także zdeklarowanych ateistów — wielbicieli Toma Paine'a, o którym Ernest usłyszał teraz po raz pierwszy w życiu. Nigdy jednak z nimi się nie zetknął ani nie zamienił słowa.

Czy, Bogiem a prawdą, robił wszystko, czego należało się po nim spodziewać? Nie wystarczyło powiedzieć, że robi tyle, ile inni młodzi duchowni. Taka odpowiedź na pewno nie znalazłaby uznania u Jezusa Chrystusa. Przecież faryzeusze niewątpliwie robili akurat tyle samo co inni faryzeusze. Jego świętym obowiązkiem było pójść w zaułki i najciemniejsze zakamarki miasta i zmusić ludzi, żeby do niego przyszli. Czy spełniał tę powinność? A może to ludzie zmuszali go, żeby trzymał się od nich z daleka, a w każdym razie, by nie przestępował progu ich mieszkań? Z wolna zaczęło go nurtować nieprzyjemne uczucie, że jeżeli nie będzie się miał na baczności, to wkrótce popadnie w obłudę.

Zapewne, wszystko zmieni się radykalnie, jak tylko zbierze fundusze na założenie Akademii Patologii Duchowej, ale tymczasem sprawy „przedmiotów, które ludzie kupują w miejscu, zwanym giełdą”, stały dość kiepsko. Należało jak najszybciej zbliżyć się do celu, więc zapadła decyzja, że Ernest kupi „ich” więcej, niż go było stać, bo przecież w ciągu kilku tygodni, a nawet kilku dni ich wartość wzrośnie bardzo poważnie i będzie je mógł wtedy sprzedać z kolosalnym zyskiem. Złożyło się jednak tak nieszczęśliwie, że ledwo Ernest je kupił, zamiast zwyżkować, zaczęły spadać w dół i uparcie nie chciały podnieść się w górę. W końcu po kilku obrachunkach giełdowych wpadł w panikę, ponieważ przeczytał artykuł w pewnym dzienniku, że nadal będą niżkować, i zaczął wbrew radom Pryera nalegać na ich sprzedaż — ze stratą coś około pięciuset funtów. Kiedy koniec końców pozbył się swych akcji, natychmiast znowu poszły w górę, więc wykombinował sobie, że jest głupcem, a Pryer mędrce, bo gdyby był posłuchał rady Pryera, nie tylko nie poniósłby straty, ale zarobiłby pięćset funtów. Ale powiedział sobie, że człowiek uczy się przez całe życie.

Potem Pryer popełnił omyłkę. Kupili inne akcje, które przez dwa tygodnie rozkosznie szły w górę. Był to w całym tego słowa znaczeniu szczęśliwy okres: po dwóch tygodniach odbili stracone pięćset funtów, i w dodatku zarobili na czysto jakieś trzysta do czterystu funtów. Gorączkowy niepokój owych żalonych sześciu tygodni, kiedy stracili pięćset funtów, został im teraz wynagrodzony z okładem. Ernest chciał sprzedać swe papiery i podjąć zysk, Pryer jednak nie chciał o tym nawet słyszeć, ponieważ utrzymywał, że będą jeszcze znacznie zwyżkowały, i na dowód pokazał Ernestowi artykuł w pewnym dzienniku, z którego niezbitnie wynikało, że jego rada jest nader roztropna. Rzeczywiście poszły w górę — ale tylko nieznacznie, a potem spadały coraz bardziej i bardziej i Ernest nawet się nie obejrzał, jak stracił czterysta funtów czystego zysku, a potem kurs zaczął spadać regularnie po półtorej jednostki i w efekcie ulotniło się także pięćset funtów, które dopiero co odzyskał, a po jakimś czasie pożegnał się jeszcze z dwustoma funtami. Wtedy wspomniana gazeta podała do wiadomości, że nigdy dotąd nie nabrano społeczeństwa angielskiego w tak niecny sposób, bo akcje są bezwartościową makulaturą. Ernest nie wytrzymał nerwowo i odsprzedał swe papiery, ponownie wbrew radom Pryera, a w konsekwencji, kiedy znowu zwyżkowały, co rzeczywiście wkrótce nastąpiło, musiał po raz drugi ukorzyć się przed swym przyjacielem.

Dla Ernesta gwałtowne wzloty i upadki tego typu były całkowitą nowością i tak się nimi przejął, że zaczął szwankować na zdrowiu. Zapadła więc decyzja, że nie powinien nic wiedzieć o poczynaniach na tym polu. Pryer, który znacznie lepiej od niego znał się na interesach, miał sam wszystkiego dopatrzeć. Dzięki temu układowi wiele kłopotów spadło Ernestowi z głowy. Wydawało się, że samym operacjom finansowym także wyszło to na zdrowie, ponieważ Pryer słusznie zauważył, że człowiek o płochliwym sercu powinien powstrzymać się od udziału w transakcjach kupna i sprzedaży na giełdzie, bo z góry wiadomo, że źle na tym wyjdzie. Tymczasem starszy wikary, widząc nerwowość Ernesta, także się denerwował i tracił zimną krew, o czym zresztą lojalnie Ernesta informował. Tak więc pieniądze coraz bardziej i bardziej odpływały do rąk Pryera. A Pryer poza wikariatem i niewielką pensyjką od ojca był goły jak święty turecki.

Niektórzy koledzy Ernesta, wniosując z jego listów, zaczęli podejrzewać, co się święci, i starali się zawrócić go z drogi, ale Ernest był zaślepiony jak zakochany mężczyzna w wieku dwudziestu dwu lat. Kiedy więc stwierdził, że krytycznie odnieśli się do jego poczynañ, po prostu zerwał z nimi stosunki, a oni, znudzeni jego egotyzmem i górnolotnymi ideałami, wcale tego nie żalowali. Rzecz prosta, ani słówkiem nie wspominał im o swoich spekulacjach, a prawdę mówiąc, pewno nie mieściło mu się w głowie, że postępowanie, któremu patronuje tak dobra sprawa, można określić mianem spekulacji. Kiedy w Battersby ojciec nalegał na niego, żeby zabezpieczył sobie sukcesję na jakąś parafię, i wskazywał mu nawet pewne obiecujące i całkiem konkretne możliwości, wykręcał się i tłumaczył na wszelkie sposoby, ale za każdym razem przyrzekał, że wkrótce spełni jego życzenie.

ROZDZIAŁ LVI

Niebawem zaczął go opanowywać ledwo uchwytny, niewyraźny w słowach *mdlaise*. Pewnego razu obserwowałem młodziutkiego źrebaka, który próbował zabrać się do jedzenia zgoła antypatycznych odpadków i nie mógł się zdecydować, czy są dobre, czy złe. Widać było wyraźnie, że chciał, żeby ktoś mu to powiedział. Gdyby klacz zauważyła, że jej syn ma tak wielkie kłopoty, od razu postawiłaby sprawę na właściwej płaszczyźnie, a źrebak, pouczony przez nią, że takiego świństwa jeść nie należy, już zawsze w przyszłości rozpoznawałby owe odpadki bez trudu i nie trzeba byłoby powtarzać mu tej wskazówki po raz drugi. Źrebak jednak nie potrafił rozwiązać tego problemu o własnych siłach ani nie umiał rozstrzygnąć bez pomocy z zewnątrz, czy nie znana mu potrawa jest smaczna czy niesmaczna. Przypuszczam, że po jakimś czasie sam doszedłby do właściwych konkluzji, ale wystarczyłoby jedno spojrzenie matki, żeby oszczędzić mu straty czasu i niepotrzebnych kłopotów, a tak samo zachowuje się słód, który po upływie pewnego czasu fermentuje sam z siebie, ale sfermentuje znacznie szybciej, jeżeli dodamy - trochę drożdży. Pod względem znajomości tego, co robi nam przyjemność, wszyscy jesteśmy jak słód — bez pomocy z zewnątrz fermentujemy wolno i mozolnie. W tym okresie mój nieszczęsny bohater bardzo przypominał źrebaka, ściślej mówiąc, czuł się mniej więcej tak samo, jak czułby się źrebak, gdyby jego matka i wszystkie dorosłe konie na pastwisku przysięgały na wszystkie świętości, że to, co on je, jest najwyborniejszym i najbardziej odżywczym pożywieniem na świecie. Tak gorąco pragnął postępować we wszystkim uczciwie i tak skłonny był wierzyć w wyższość każdego człowieka, z którym los go zetknął, że nie odważył się, nawet wobec samego siebie, na postawienie pytania, czy przypadkiem przez ten cały czas nie kroczy beznadziejnie fałszywą drogą. Nie przyszło mu do głowy, że w jego postępowaniu może tkwić jakiś błąd, a więc tym bardziej nie wpadł na pomysł, żeby podjąć się próby odkrycia, na czym ów błąd polega. A jednak z dnia na dzień nurtował go coraz bardziej przenikliwy niepokój i z dnia na dzień, całkiem nieświadomie, coraz bardziej dojrzewał do natychmiastowej eksplozji, gdyby padła na niego choćby jedna iskierka. Wszystko było mętne i niepewne, lecz jedna sprawa zaczęła wyłaniać się nieco wyraźniej i do niej zwrócił się instynktownie, próbując ją zgłębić — otóż zaczął sobie zdawać sprawę, że ratuje tak mało dusz ludzkich, podczas gdy wokół niego co godzinę giną nieprzeliczone tysiące, które można by ocalić, nawet przy tak niewielkim wkładzie energii, jakiej dowody dał pan Hawke. Mijał dzień za dniem, a czegoż dokonał? Przestrzegał zawodowej *etiquette* i modlił się, by akcje zwyżkowały albo zniżkowały na jego żądanie, przysparzając mu tyle pieniędzy, żeby mógł przy ich pomocy dokonać moralnej przebudowy świata. A tymczasem ludzie umierali. Ileż dusz ludzkich zostanie skazanych na wieczność przerażających męczarni, których umysł ludzki pojąć nie zdoła, zanim dzięki instrumentarium patologii duchowej będzie mógł przystąpić do ich leczenia? Dlaczego zwleka, dlaczego nie idzie wygłaszać kazań za przykładem sekciarzy, których czasem widywał na Lin-coln's Inn Fields i na innych ruchliwych arteriach miasta? Potrafi powiedzieć to samo, co powiedział pan Hawke. W oczach Ernesta pan Hawke był obecnie mizerną istotą, ponieważ wyznawał purytańskie poglądy, ale trzeba uczyć się od każdego człowieka, choćby nawet stał od nas niżej. Na pewno, potrafi zrobić na słuchaczach nie mniej potężne wrażenie niż pan Hawke, byleby zdobył się na odwagę i wreszcie zabrał się do roboty. Często widywał, że wokół ulicznych kaznodziej gromadzi się wcale pokaźne grono słuchaczy. Z całą pewnością jego kazania byłyby lepsze.

Pryer, któremu Ernest napomknął o swoim projekcie, uznał go za zbyt gorszący, by można było o nim myśleć. Jest to postępowanie, które — jak orzekł — przynosi ujmę godności

kleru i naraża Kościół na najdotkliwszą hańbę. Zachował się szorstko, a nawet brutalnie.

Ernest odważył się na umiarkowany bunt, przyznał, że projekt odbiega od normalnej rutyny, ale ostatecznie trzeba na coś się zdecydować, i to szybko. Przecież właśnie w ten sposób Wesley i Whitefield położyli podwaliny pod wielki ruch, który rozniecił życie religijne w umysłach i duszach setek tysięcy ludzi. Nie czas na to, żeby pielęgnować honor. Wesley i Whitefield dlatego zdobyli sobie tylu wyznawców, a Kościół dlatego ich utracił, bo zrobili to, czego Kościół zaniedbał.

Pryer zmierzył Ernesta badawczym wzrokiem, a po chwili odezwał się:

— Nie wiem, co o tobie myśleć. Masz bardzo dużo racji, a jednocześnie bardzo się mylisz. Podpisuję się obiema rękami, że trzeba na coś się zdecydować, ale w każdym razie nie na postępowanie, które prowadzi, jak doświadczenie wykazało, prosto do fanatyzmu i odstępstwa od prawdziwego Kościoła. A więc pochwalasz metodystów? Czy tak nisko cenisz swe święcenia, że nie przywiązujesz żadnego znaczenia, czy obrzędy ustanowione przez Kościół odbywają się w jego świątyniach zgodnie z obowiązującym rytuałem? Jeżeli tak uważasz, to wybac mi szczerą, nie trzeba było przyjmować święceń. Jeżeli jednak jest inaczej, pamiętaj, że jednym z najważniejszych obowiązków młodego diakona jest posłuszeństwo wobec przełożonych. Zarówno Kościół katolicki, jak i Kościół anglikański zakazują swym kapłanom wygłaszania kazań na ulicach miast, w których jest pod dostatkiem świątyń.

Ernest uznał, że racje Pryera są bardzo mocne, a Pryer zauważył, że ogarnęły go wątpliwości.

— Żyjemy — mówił dalej, mniej surowym tonem — w czasach przejściowych, żyjemy w kraju, który, choć wiele skorzystał na Reformacji, nie dostrzega jednak, ile na niej stracił. Nie powinieneś, nie wolno ci kolportować Chrystusa po ulicach, jak gdybyś znajdował się w kraju pogańskim, w którym nigdy o nim nie słyszano. Mieszkańcy Londynu mają wokół siebie dostatecznie dużo znaków ostrzegawczych. Każdy kościół, obok którego przechodzą, jest protestem przeciwko temu, jak żyją, i wezwaniem do skruchy. Każdy dzwon kościelny dzwoni na świadectwo przeciwko nim, a każdy człowiek, którego w niedzielę spotykają idącego lub wracającego z kościoła, jest ostrzegawczym głosem Boga. Jeżeli są całkowicie znieczuleni na te nieprzeliczone znaki, to tym bardziej pozostaną głusi na tych kilka nietrwałych słów, które usłyszą od., ciebie. Przypominasz mi bogacza, albowiem sądzisz, że gdyby kto z umarłych powstał i poszedł do ludzi, posłuchają go. Nie wykluczam, że posłuchaliby go, ale przecież nie masz żadnych podstaw do twierdzenia, że powstałeś z martwych. Chociaż ostatnie słowa były wypowiedziane ze śmiechem, ich podtekst był tak szyderczy, że Ernestowi mrowie przeszło po plecach, ale nie miał sił do dalszego oporu, więc rozmowa na tym się skończyła. Po tej rozmowie, zresztą nie po raz pierwszy, uświadomił sobie, że zawiódł się na Pryerze, i nurtowała go chęć przejścia do porządku dziennego nad zdaniem przyjaciela — zresztą bez ostentacji, po cichu, nie mówiąc o tym Pryerowi ani słówka.

ROZDZIAŁ LVII

Niemal zaraz po rozstaniu Ernesta z Pryerem zdarzył się pewien incydent, który jeszcze bardziej wzmógł niezadowolenie Ernesta. Wykazałem wyżej, że omotała ga szajka żerujących na duszy ludzkiej złodziei i fałszerzy, od których nieświadomie przyjmował bezwartościowe monety, ponieważ był dziecinny i nieobeznany we wszystkich dziedzinach życia prócz szkoły i uniwersytetu, owych bajor obskurantyzmu, które są hańbą naszej ziemi. Wśród fałszywych miedziaków, które wtykano mu podstępnie, a które miał zawsze pod ręką na drobne wydatki, można było znaleźć maksymę, że ubodzy są daleko sympatyczniejsi od ludzi zamożnych i wykształconych. Ernest głosił teraz na lewo i na prawo, że jeździ stale trzecią klasą, bynajmniej nie dlatego, że taniej go to kosztuje, ale wyłącznie przez wzgląd na to, że ludzie, których spotyka w przedziałach trzeciej klasy, są ze wszystkich pasażerów najbardziej sympatyczni i najprzyzwoiciej się zachowują. Utrzymywał również, że młodzi ludzie, którzy chodzą do wieczorowej szkoły, w której uczy się, są bardziej inteligentni i lepiej ułożeni od przeciętnych studentów Oxfordu i Cambridge. Nasz głupiutki, niedowarzony przyjaciel pewnego razu usłyszał ten pogląd z ust Pryera, więc uczepił się tej formułki i *more suo* powtarzał ją jak pacierz.

Pewnego wieczoru, mniej więcej w tym okresie czasu, który opisują, idąc wąską uliczką w okolicy domu, w którym, mieszkał, spostrzegł osobę, którą najmniej spodziewał się spotkać, a był to Towneley, jak zawsze pełen życia i dobrego humoru, rzecz można — jeszcze bardziej elegancki niż w Cambridge. Ernest, choć go bardzo lubił, chciał umknąć rozmowy z nim i próbował przejść nie zauważony, ale Towneley spostrzegł go i podszedł do niego, szczerze ucieszony, że spotkał kogoś ze starych znajomych z Cambridge. Z początku wydawał się nieco speszony, że spotkano go w takiej dzielnicy, ale widząc, że Ernest tego nie zauważył, natychmiast odzyskał pewność siebie i w miły sposób nawiązał do starych czasów. Ernest aż wzdrygnął się, kiedy spostrzegł, że wzrok Towneleya prześliznął się po nim i zatrzymał na jego księżym krawacie. Zdawał sobie sprawę, że Towneley rozpoznał w nim, zresztą z pewną domieszką niechęci, pastora. Tylko przelotny cień pojawił się na twarzy Towneleya, ale Ernest go wyczuł.

Towneley powiedział do Ernesta kilka zdawkowych,

Stosownych do okazji komunałów na temat jego zawodu i zapewnił go, że wyobraża sobie, jak interesujące są zajęcia duchownego, a Ernest, który nie zdążył otrząsnąć się z tremy i nieśmiałości, z braku czegoś lepszego do powiedzenia zrewanżował mu się miedziakiem, że ubodzy są tacy sympatyczni. Towneley ocenił monetą na tyle, ile była warta, i skinął głową potakująco, a wtedy Ernest nieostrożnie posunął się dalej i zapytał:

— A czy pan bardzo lubi biednych?

Towneley skrzywił się bardzo komicznie, a jednocześnie przyjaźnie i odpowiedział spokojnie, lecz powoli i z naciskiem:

— Nie, nie, nie — i pożegnał się pośpiesznie. Wszystko załamało się w Ernestcie od tej chwili.

Wprawdzie jak zwykle nie zdawał sobie z tego sprawy, niemniej jednak nurt jego refleksji zmienił kierunek. Wystarczyło, że Towneley na moment wziął do ręki Ernestowy miedziak, wystarczyło, że spojrział na niego przelotnie, a natychmiast zwrócił mu go jako fałszywy. Dlaczego teraz w mgnieniu oka dostrzegł, że moneta jest fałszywa, a nie potrafił tego rozpoznać, kiedy brał ją z rąk Pryera? Oczywiście zdarzają się wśród ubogich ludzie sympatyczni i zawsze tak będzie, ale teraz, jak gdyby bielmo spadło mu z oczu, zrozumiał, że nikt nie jest

sympatyczny tylko dlatego, że jest ubogi, oraz że między klasą ludzi uprzywilejowanych a klasą ludzi ubogich istnieje przepaść, która faktycznie jest nie do przebycia.

Tego wieczoru rozmyślał bardzo dużo. Jeżeli Towneley ma rację, a Ernest czuł instynktownie, że jego „nie” odnosi się nie tylko do sentencji na temat biedaków, lecz podważa wszystkie ostatnio przyjęte przez Ernesta poglądy, to w takim razie on i Pryer zesłali na manowce. Towneley nie dyskutował z nim. Powiedział tylko jedno słowo, i to jedno z najkrótszych, jakie zna nasz język, ale Ernest był w owym czasie bardzo podatny na szczepionkę, więc mikroskopijna dawka bakterii zaczęła działać natychmiast.

„Który z nich — zastanawiał się — mądrzej patrzy na życie i świat i którego z nich należy naśladować, Towneleya czy Pryera?” Odpowiedzi na to pytanie udzieliło mu jego serce bez najmniejszego zająknięcia. Tacy ludzie, jak Towneley, mają twarze szczerze i przyjazne. Robią wrażenie, jak gdyby nie było w nich żadnego wewnętrznego przymusu, jak' gdyby każdy człowiek musiał pod ich wpływem poczuć się lekko i bardzo swobodnie. Twarze Pryera i jego przyjaciół są całkiem odmienne. Dlaczego od chwili spotkania się z Towneleyem czuł się pod pręgierzem milczącej nagany? Przecież jest chrześcijaninem. Jest nim na pewno, a w Kościół anglikański wierzy bez najmniejszych zastrzeżeń. A może w takim razie fałszywie pojmował, jak należy wcielać w życie zasady wiary, która jest ich wspólną wiarą, jego i Towneleya? Starał się wieść życie ciche, skromne i pełne osobistej pokory, a tymczasem Towneley, o ile zdołał się zorientować, ma całkiem inne aspiracje. Towneley stara się tylko o to, żeby urządzić się jak najwygodniej w życiu, i cieszyć jak największą sympatią swego otoczenia. I rzeczywiście, Towneley cieszył się sympatią, a Ernest zdawał sobie sprawę, że ludzie takiego pokroju jak on i Pryer są antypatyczni, więc ogarnęło go przygnębienie jak za dawnych lat.

A potem przyszło mu coś jeszcze gorszego do głowy: „A co będzie, jeżeli szajka złodziejska, która go omotała, żeruje nie tylko w świecie ducha, ale także w świecie materii?” Losy jego pieniędzy były mii niemal nie znane. Powierzył je Pryerowi i wprawdzie Pryer wypłacał mu na bieżące wydatki, ile razy tego zażądał, ale nie ukrywał zniecierpliwienia, kiedy Ernest zadawał mu pytania, co się dzieje z samym kapitałem. Z ich umowy wynikało — powiedział — że te sprawy należą wyłącznie do niego, więc Ernest musi się do tego zastosować, bo w przeciwnym razie on, Pryer, raz na zawsze przestanie się interesować Akademią Patologii Duchowej. W końcu Ernest, raz pod wpływem groźby, raz pod wpływem gładkiego słówka, w zależności od tego, jak Pryer oceniał jego nastrój, godził się na ten punkt widzenia. Zadawanie dalszych pytań mogło wywołać wrażenie, że nie ma zaufania do słowa Pryera, a jednocześnie mogło go zapędzić w sytuację, z której trudno by mu przyszło wycofać się przyzwoicie i z honorem. Była to brawura, która mogła narazić go na niepotrzebne kłopoty. Pryer jest trochę impulsywny. Ale jest dżentelmenem i świetnie zna się na interesach, więc nie należy tracić nadziei, że pewnego dnia pieniądze znowu wrócą do Ernesta.

Pocieszał się takimi myślami i ów ostatni kłopot spadł mu z głowy, ale pierwsze zmartwienie nie dawało mu spokoju, aż wreszcie zaczęło go ogarniać uczucie, że zginie, jeżeli jakiś dobry Samarytanin, skądkolwiek by był, *co* sił nie pośpieszy mu na ratunek — lecz skąd, nie wiedział.

ROZDZIAŁ LVIII

Następnego dnia znowu poczuł się silniejszy. To szatan we własnej osobie przemówił do niego ubiegłej nocy i już nigdy więcej nie będzie paktować z takimi myślami. Sam obrał swój zawód i musi w nim wytrwać. Czuł się nieszczęśliwy prawdopodobnie dlatego, że nie poświęcił wszystkiego dla Chrystusa. Musi dołożyć sił, żeby dać z siebie więcej niż dotychczas, a wtedy, być może, światło nadprzyrodzone rozproszy ciemności ścieżek jego.

Odkrycie, że nie bardzo lubi biedaków, stanowi tylko jedną stronę medalu, ponieważ nie może się od nich odgradzić, skoro przede wszystkim wśród nich ma rozwijać swoją działalność. Ludzie pokroju Towneleya są bardzo mili i uprzejmi, jednak pod warunkiem — jak Ernest dobrze zdawał sobie sprawę — że nie wygłasza się im kazań. Z ubogimi łatwiej da sobie radę, więc postanowił — i niech - Pryer szydzi, ile mu się podoba — bardziej się do nich zbliżyć i przeprowadzić eksperyment polegający na tym, że pójdzie do nich i zanieś im Chrystusa, skoro nie chcą zadać sobie tyle trudu, żeby o własnych siłach Go szukać. Zacznie od własnej kamienicy.

Któż tedy ma pójść na pierwszy ogień? Nie mogło chyba na początek trafić się nic lepszego jak krawiec, który mieszka bezpośrednio nad nim. Było to nader pożądane nie tylko dlatego, że to jeden z tych, których nawrócenie jest sprawą palącą, ale także z tego powodu, że nawrócony grzesznik z pewnością przestanie bić swą żonę o godzinie drugiej w nocy, na czym atmosfera kamienicy bardzo zyska. Pójdzie więc na górę bez zwłoki, żeby pogawędzić sobie z tym człowiekiem.

Zanim jednak wykonał swój zamiar, uznał za celowe przygotować sobie z grubsza plan kampanii. Przemyślał więc kilka wariantów stosownych rozmówek, które byłyby świetne, gdyby pan Holt okazał się tak uprzejmy i zechciał udzielać z góry przygotowanych odpowiedzi we właściwej kolejności. Był to jednak potężnie zbudowany osobnik i Ernest nie mógł wykluczyć ewentualności, że wypadki wezmą obrót zgoła nieprzewidziany, co mogłoby go speszyć. Przysłowie głosi, że trzeba dziewięciu krawców, żeby zrobić jednego człowieka, a tymczasem Ernest, zważywszy wymiary pana Holta, zdawał sobie sprawę, że dziewięciu Ernestów nie byłoby za dużo na taką robotę. A jeżeli krawiec od razu, ledwo Ernest przestąpi próg jego mieszkania; zachowa się brutalnie i obelżywie? Jak ma w takim przypadku postąpić? Pan Holt jest we własnym mieszkaniu i ma prawo domagać się, żeby mu nie zakłócano spokoju. Ma za sobą prawo ustanowione przez ludzi, ale czy ma prawo moralne? Zważywszy tryb jego życia, Ernest doszedł do wniosku, że pan Holt takiego prawa nie ma. Ale weźmy to zagadnienie z innej strony. Cóż powinien uczynić, jeżeli ów człowiek zachowa się brutalnie? Św. Paweł walczył z dzikimi zwierzętami w Efezie — musiało to być naprawdę okropne — ale, jak się zdaje, zwierzęta nie były aż tak bardzo dzikie. Królik i kanarek są wprawdzie dzikimi zwierzętami, lecz nie wchodząc w zagadnienie, jak dalece były straszliwe w roli dzikich zwierząt, ich pozycja i tak była z góry stracona, ponieważ św. Paweł był natchniony Duchem Świętym. Prawdziwy cud wydarzyłby się w takim przypadku, gdyby dzikim zwierzętom, a nie św. Pawłowi, udało się wyjść cało z tej opresji. Ale jakkolwiek było naprawdę, Ernest był wewnątrz przekonany, że nie odważy się rozpocząć nawracania pana Holta od zaatakowania go w otwartym starciu. Ba, kiedy usłyszał, jak pani Holt wrzeszczy: „Mordują!”, nakrył się kołdrą po uszy i zamarł w oczekiwaniu, że za chwilę usłyszy, jak krew przecieka przez sufit na podłogę jego pokoju. W wyobraźni przełożył wszystkie odgłosy na „pac, pac, pac” i byłby dał głowę, że kilka kropel tej krwi zbryzgało jego kołdrę; a jednak nie poszedł na górę, żeby ratować panią Holt. Na szczęście

następnego ranka okazało się, że pani Holt cieszy się dobrym zdrowiem.

Zrozpaczony Ernest na próżno szukał dobrego sposobu nawiązania duchowego kontaktu ze swym sąsiadem, gdy nagle olśniło go odkrycie, że zrobi najlepszy początek, jeżeli pójdzie na górę i delikatnie zapuka do drzwi pana Holta. Potem poprowadzi go Duch, Święty, któremu odda się w opiekę, i będzie postępować stosownie do inspiracji, która wyniknie z okoliczności, a jak się domyślam, owe okoliczności miały być synonimem Ducha Świętego. Potrójnie zbrojny w taką refleksję, wcale rażno wspiął się po schodach i już miał zapukać, kiedy z wewnątrz doszedł go głos Holta okropnie wymyślającego żonie. Słyszając te odgłosy zawahał się, żeby rozważyć, czy w tym stanie rzeczy chwila jest szczęśliwie wybrana, a kiedy tak się wahał, pan Holt, słysząc, że ktoś jest na schodach, uchylił drzwi i wysunął głowę na klatkę schodową. Na widok Ernesta zrobił całkiem nieprzyjemny, ściśle mówiąc, zaczepny gest, który był, a może nie był skierowany pod adresem Ernesta, a w ogóle wyglądał tak wstrętne, że Duch Święty natychmiast i jednoznacznie oświecił mego bohatera objawioną prawdą, że powinien z punktu ruszyć po schodach na wyższe piętro, jak gdyby w ogóle nie miał zamiaru wstępować do pana Holta, i rozpocząć swą akcję misyjną od państwa Baxter, metodystów, którzy mieszkają na najwyższym piętrze od frontu. Tak też uczynił.

Pocziwi ludzie przyjęli go z otwartymi ramionami i skwapliwie przystali na rozmowę. Zaledwie jednak zabrał się do nawracania ich z metodyzmu na wyznanie anglikańskie, znalazł się w kłopotliwej sytuacji, ponieważ stwierdził, że nie ma zielonego pojęcia o tym, co uważa za fałsz. Znał się, przynajmniej we własnym mniemaniu, na Kościele anglikańskim, ale metodyzm, poza nazwą, był mu zupełnie nie znany. Kiedy dowiedział się, że metodyści posiadają, jak twierdził pań Baxter, sprężysty system dyscypliny kościelnej (który znakomicie zdaje egzamin w praktyce), doszedł do nieoczekiwanego wniosku, że John Wesley był prekursorem maszyny religijnej, nad której uruchomieniem obaj z Pryerem pracują. Opuścił mieszkanie z przeświadczeniem, że odniósł pyrrusowe zwycięstwo i napytał sobie kłopotów duchowych, o jakich mu się nie śniło. W każdym razie musi oświecić Pryera, że metodyści posiadają system dyscypliny kościelnej. Było to bardzo ważne.

Pan Baxter doradził Ernestowi, żeby trzymał się od pana Holta możliwie najdalej, a ta rada znacznie podniosła go na duchu. Jeżeli zdarzy się okazja, żeby wzruszyć zatwardziałe serce tego człowieka, oczywiście wykorzysta ją skwapliwie. Będzie zawsze głaskać jego dzieci po główkach, a ile razy spotka je na schodach, będzie zabiegał o ich przyjaźń przy pomocy wszelkich środków, które odważy się zaryzykować. Smarkacze byli silni i wyrośnięci, a Ernest czuł respekt także i przed nimi, bo byli wygadani i posiadali, jak na swój wiek, stosunkowo rozległe wiadomości. Ernest zdawał sobie sprawę, że wolałby raczej uwiązać sobie kamień młyński u szyi i skoczyć do wody niż narazić się małym Holtom. Będzie uważał, żeby ich nie obrazić, a może kilka pensów, które da im od czasu do czasu, jakoś ich obłaskawi. To było wszystko, co mógł zrobić, ponieważ zdawał sobie sprawę, że każda próba gorliwości podjęta nie w porę, a choćby i w porę, skończy się niepowodzeniem, mimo wyraźnych wskazówek św. Pawła w tej materii.

Pani Baxter złożyła mu bardzo niekorzystną relację o panie Emilii Snow, która mieszkała na drugim piętrze od podwórza, obok pana Holta. Jej wersja znacznie różniła się od opinii pani Jupp, właścicielki kamienicy. Panna Snow bez wątpienia zgodzi się nader skwapliwie na usługi Ernesta jak zresztą każdego innego eleganckiego człowieka, ale ona jest baletnicą w Drury Lane Theatre, a nie guwernantką. Co więcej, jest kobietą z gruntu złą, i gdyby pani Baxter była właścicielką, nie pozwoliłaby takiej, jak ona, zostać w tym domu ani godziny dłużej.

Panna Maitland, mieszkająca obok pani Baxter, jest na pozór spokojną i zającą panną. Pani Baxter nie miała żadnych dowodów, że uprawiano w sąsiednim mieszkaniu jakiś nieczy

proceder, ale, mój Boże, cicha woda brzegi rwie, a te dziewczęta są jedna w drugą tak samo zepsute. Panna Maitland wychodzi z domu o najdziwniejszych godzinach, a kiedy się to wie, wie się wszystko.

Ernest nie przywiązywał wielkiej wagi do złośliwości pani Baxter. Pani Jupp wyniuchwała większość jego licznych słabych stron i uprzedziła go przezornie, żeby nie dawał wiary pani Baxter, ponieważ baba ma paskudny język.

Ernest słyszał, że kobiety są zawsze o siebie zazdrosne, a domyślając się, że panienki są zapewne bardziej powabne od pani Baxter, uznał bez wahania, że przemawia przez nią zazdrość. Jeżeli więc jest to oszczerstwo, to tym samym bez żadnych przeszkód może nawiązać z nimi znajomość, a jeżeli jest to prawda, to tym bardziej obie panny potrzebują jego pomocy duchowej. Natychmiast zrobi wszystko, żeby przywrócić je na łono Kościoła.

Zwierzył się ze swego zamiaru pani Jupp. Pani Jupp próbowała zrazu wyperswadować mu ów pomysł, ale widząc jego stanowczość, zaproponowała, że najprzód sama porozmawia z panną Snow, żeby ją przygotować na jego wizytę, bo gdyby poszedł bez uprzedzenia, mogłaby się przestraszyć. Teraz nie ma jej w domu, ale następnego dnia wszystko zostanie załatwione jak należy. Tymczasem powinien pójść do pana Shaw, blacharza, który mieszka w kuchni od frontu. Pani Jupp wspomniała Ernestowi, że pan Shaw pochodzi z północnych okolic Anglii i jest zawziętym wolnomyślicielem. Będzie prawdopodobnie zadowolony z jego wizyty, ale, jej zdaniem, widoki Ernesta na nawrócenie go na prawdziwą wiarę są znikome.

ROZDZIAŁ LXIX

Zanim Ernest udał się do kuchni, żeby nawracać blacharza, odświeżył sobie z grubsza w pamięci swój własny krytyczny rozbiór *Dowodów Paleya* i wsunął do kieszeni egzemplarz *Wątpliwości historycznych* arcybiskupa Whateleya. Potem zszedł ciemnymi schodami i zapukał do drzwi blacharza. Pan Shaw był bardzo uprzejmy i powiedział, że wprawdzie jest teraz dosyć zajęty, ale jeżeli stukot młotka nie robi Ernestowi różnicy, z miłą chęcią z nim porozmawia. Nasz bohater przystał na tę propozycję i po chwili zręcznie sprowadził rozmowę na temat *Wątpliwości historycznych* Whateleya, dzieła, którego autor usiłuje dowieść — jak czytelnicy prawdopodobnie wiedzą — iż człowiek o nazwisku Napoleon Bonaparte nigdy nie istniał, ośmieszając w ten sposób argumenty tych wszystkich, którzy negują cuda podane w religii chrześcijańskiej.

Pan Shaw stwierdził, że *Wątpliwości historyczne* są mu doskonale znane.

— I cóż pan sądzi o tej książce? — zapytał go Ernest, który uważał rozprawkę za arcydzieło inteligencji i nieodpartej argumentacji.

— Jeżeli chce pan wiedzieć prawdę — odpowiedział pan Shaw mrużąc chytrze oczy — to moim zdaniem człowiekowi, który z takim zapałem i tak znakomicie potrafił udowodnić, że nie było tego, co było, nie zabrakłoby ani umiejętności, ani zapału, żeby udowodnić, że było to, czego nie było, gdyby takie postawienie sprawy było mu do czegoś potrzebne. — Ernest był zaskoczony. Dlaczego tej prostej repliki nigdy nie usłyszał z ust mądrych i zdolnych ludzi, których poznał w Cambridge? Odpowiedź jest całkiem prosta: ponieważ nie wytworzyli jej z tych samych przyczyn, z jakich kura nigdy nie wytworzyła sobie nogi z błoną pływają — czyli krótko mówiąc, ponieważ jej nie chcieli. Działo się to jednak jeszcze przed erą ewolucji, więc Ernest nie miał pojęcia o fundamentalnej zasadzie, na której ta teoria spoczywa.

— Proszę pana — ciągnął dalej pan Shaw — pisarze tego pokroju zarabiają na życie pisząc według pewnego określonego szablonu, a im wierniej stosują się do tego szablonu, tym na pewno lepiej im się powodzi. Nie może pan jednak zarzucić im z tego powodu nieuczciwości, podobnie jak sędzia nie może nazwać adwokata nieuczciwym tylko dlatego, że zarabia na życie broniąc ludzi, w których uczciwość nie wierzy. Ale zanim wyda pan wyrok, musi pan wysłuchać

adwokata strony przeciwnej.

Znowu policzek. Ernest z trudem wyjąkał, że starał się zbadać te problemy możliwie jak najbardziej wnikliwie.

— Uważa pan, że pan je zbadał — odparł pan Shaw — wy, młodzi panowie z Oxfordu i z Cambridge, uważacie, że zbadaliście wszystko. Ja osobiście z wyjątkiem denek starych saganków i patelni zbadalem bardzo mało, ale jeżeli zechce mi pan odpowiedzieć na kilka pytań, powiem panu, czy zbadał pan więcej, czy mniej ode mnie.

Ernest zgodził się chętnie odpowiedzieć na postawione mu pytania.

— A więc — rzekł blacharz — niech pan mi opowie historię zmartwychwstania Jezusa Chrystusa według Ewangelii św. Jana.

Z przykrością muszę przyznać, że Ernest w godny politowania sposób pomieszał cztery relacje z tego zdarzenia; a tak się zagalopował, że w jego wersji anioł zszedł na dół, odwalił kamień, a potem na nim usiadł. Ernest o mało nie zapadł się ze wstydu pod ziemię, kiedy blacharz naprzód z pamięci sprostował wiele nieścisłości, w które Ernest zabrnął, a potem na podstawie tekstu Nowego Testamentu wykazał mu prawdziwość swych uwag krytycznych.

— Otóż, mój panie — rzekł pan Shaw dobrodusznie — jestem już stary, a pan jest jeszcze bardzo młody, więc może nie weźmie mi pan za złe, że dam panu pewną radę. Mam dla pana sympatię, ponieważ wierzę, że chce pan dobrze, lecz otrzymał pan z gruntu złe wykształcenie i sądzę, że jest to pierwsza pańska okazja w życiu, żeby się czegoś nauczyć. Nasz punkt widzenia na tę sprawę jest panu zupełnie nie znany, a na swoim własnym podwórku, jak to panu udowodniłem, nie jest pan wcale mocniejszy, ale wierzę, że wyrosnie pan kiedyś na człowieka, ot, takiego pokroju, jakim jest Carlyle. A teraz niech pan wraca do siebie na górę i przeczyta z uwagą świadectwa o zmartwychwstaniu, porządnie, nie płacząc ich między sobą, i niech pan wyraźnie sobie uprzytomni, co każdy z autorów chce nam powiedzieć, a potem, jeżeli zechce pan jeszcze raz mnie odwiedzić, będę wielce rad, ponieważ będę świadom, że ma pan za sobą solidne początki i traktuje pan sprawę na serio. Do zobaczenia, szanowny panie, teraz muszę się z panem pożegnać.

Ernest zszedł z pola jak niepyszny. Wystarczyła mu zaledwie godzina, żeby uporać się z zadaniem, które zadał mu pan Shaw, a po upływie tej godziny monotonne: „Nie, nie, nie”, które nieustannie dźwięczało mu w uszach od czasu spotkania z Towneleyem, rozdzwoniło się jeszcze głośniejsz z kart Biblii, i to w odniesieniu do najważniejszego ze wszystkich zdarzeń, które są w niej opisane. Jak z tego widać, już pierwszy dzień, w którym Ernest odważył się zerwać z rutyną w wizytacjach domowych i bardziej skrupulatnie wcielać w życie swe zasady, okazał się owocny. Ale musiał porozmawiać o tym z Pryerem. Zjadł obiad i poszedł do mieszkania Pryera. Nie zastał go w domu, więc powlókł się do czytelni Muzeum Brytyjskiego, niedawno otwartej, i zamówił *Vestiges of Creation*, których nigdy dotąd nie miał w ręku, i resztę popołudnia spędził na czytaniu tej książki.

Ernest nie widział się z Pryerem w dniu swej rozmowy z panem Shaw, a kiedy spotkał się z nim następnego dnia, znalazł go w dobrym usposobieniu, co rzadko zdarzało się w ostatnich czasach. Pryer odnosił się czasem do Ernesta w taki sposób, że należało wątpić, czy Akademia Patologii Duchowej po jej od dawna oczekiwanej inauguracji będzie zdolna rozwinąć płynną i niczym nie zakłóconą działalność. Wydawało się, że Pryer dąży do zdobycia nad nim całkowitej przewagi moralnej i absolutnego podporządkowania go swojej woli.

Pryer uznał, że mu wszystko ujdzie, a zważywszy głupotę i niedoświadczenie mego bohatera, przyznając, że wiele da się powiedzieć na usprawiedliwienie tego wniosku.

Rzeczywistość była jednak inna. Wiara, którą Ernest darzył Pryera, była wprawdzie zbyt mocno ugruntowana, żeby załamać się od jednego wstrząsu, lecz w tym okresie została

nadwerżona, i to parokrotnie. Ernest zmagał się ze sobą, żeby tego nie widzieć, ale każda postronna osoba, która znała obu, bez trudu zdołałaby zorientować się, że ich znajomość może w każdej chwili prysnąć jak bańka mydlana. Kiedy Ernest, zgodnie ze swymi bekasowymi zwyczajami, dojrzał do decyzji, żeby zmienić kierunek swego lotu, nie wahał się ani przez chwilę, lecz jak dotąd jeszcze do niej nie dojrzał i na pozór jego sto- sunki z Pryerem były tak bliskie jak zawsze. Jedyne obmierzała sprawa pieniędzy (tak mówił Ernest do siebie) psuje mu niepotrzebnie krew, ale na pewno rację ma Pryer, a on, Ernest, jest przesadnie nerwowy. Takie uzasadnienie na razie mu wystarczało.

Jakkolwiek rozmowa z panem Shaw i pobieżne przejrzenie *Vestiges* wywarły na nim duże wrażenie, był zbyt oszołomiony, żeby zdać sobie sprawę z przemian, którym podlegał. W obu przypadkach siła starych, nawyków pchała go w dawnym kierunku. Poszedł więc do Pryera i spędził z nim kilka godzin.

Nie przyznał się ani słowem do swych wizytacji u sąsiadów, ponieważ podziałyoby to na Pryera jak czerwona płachta na byka. Rozprowiał prawie z takim samym jak zwykle zapalem o projekcie Akademii, o godnym pożałowania braku zainteresowania dla spraw ducha i religii, który jest znamioną cechą nowoczesnego społeczeństwa, i o innych pokrewnych zagadnieniach. W końcu stwierdził, że z przykrością musi Pryerowi przyznać rację, gdyż chwilowo naprawdę nic się nie da zrobić.

— Jeżeli chodzi o laików — rzekł Pryer — to nic nie zrobimy, dopóki nie wprowadzimy dyscypliny, na której straży stać będzie cierpienie i kara. Czy owczarek zdołałby utrzymać porządek w stadzie, gdyby od czasu do czasu nie ugryzł lub nie zaszczekał? Natomiast, jeżeli chodzi o nas, możemy zrobić dużo.

Podczas rozmowy Pryer zachowywał się trochę zagadkowo, jak gdyby cały czas myślał o czym innym. Jego wzrok ślizgał się po Erneście w dziwnie nerwowy sposób, który już dawniej zwrócił uwagę Ernesta. Dyskusja toczyła się wokół dyscypliny kościelnej, ale główny jej temat mimo powtarzających się szumnych deklaracji, że dyscyplina jest dla laików, a nie dla kleru, zdradzał tendencję do rwania się, doszło nawet do tego, że zawołał ze złością: „Niech lichy porwie tę całą Akademię Patologii Duchowej!” Kiedy rozprawiali o klerze, spod świątobliwie udrapowanych wywodów Pryera wyzierały tak szatańskie przesłanki, że tak długo, jak były teoretycznie bezsporne, małe grzeszki, a nawet, jeżeli można się tak wyrazić, wielkie grzeszki stawały się mało ważne. Pryer był niespokojny, jak gdyby świerzbil go język, żeby powiedzieć coś takiego, czego nie ważył się powiedzieć, i wiercił Ernestowi dziurę w brzuchu (robił to regularnie co trzeci dzień) na temat nieszczęsnego braku definicji, ustalającej granicę między grzechem i cnotą, oraz braku metod, które pozwoliłyby połowę ludzkich grzechów skutecznie kontrolować zamiast ich zakazywać. Rozwodził się także nad korzyściami, jakie daje ludziom absolutna swoboda, i napomknął o pewnych tajemnicach, do których Ernest nie został jeszcze dopuszczony, lecz które otworzą mu oczy, a nastąpi to wtedy, kiedy jego przyjaciele stwierdzą, że jest dostatecznie silny.

Ernest widział Pryera w takim usposobieniu już wiele razy, ale jeszcze nigdy, jak mu się wydawało, tak bliskiego powiedzenia czegoś — choć nie domyślał się, o co chodzi. Niepokój Pryera udzielił się Ernestowi, który prawdopodobnie niebawem dowiedziałby się tyle, ile Pryer mógł mu powiedzieć, lecz zjawił się gość i na tym rozmowa została przerwana. Nigdy nie dowiemy się, jak byłaby się skończyła, ponieważ właśnie wtedy Ernest widział Pryera po raz ostatni w życiu. Nie jest jednak wykluczone, że Pryer miał zamiar udzielić mu pewnych niepomysłnych informacji na temat spekulacji giełdowych jego pieniędzmi.

ROZDZIAŁ LX

Potem Ernest poszedł do domu i do obiadu zajmował się studiowaniem komentarzy dziekana Alforda do świadectw ewangelistów o zmartwychwstaniu Chrystusa, starając się, zgodnie ze wskazówkami pana Shaw, odczytać je bez założenia, że wszystkie są wiarogodne, lecz z zamiarem wyrobienia sobie poglądu, czy wszystkie są wiarogodne. Nie dbał, do jakiego dojdzie wyniku, ale postanowił niezłomie, że w końcu musi ten problem rozwiązać. Lektura komentarzy dziekana Alforda przekonała go, że nikomu dotąd nie udało się skłecić z czterech relacji jako tako niesprzecznej całości, a sam dziekan Alford nie widząc możliwości osiągnięcia lepszego wyniku od swych poprzedników, zalecał, żeby wszystko, co jest napisane w Biblii o tym zdarzeniu, zostało przyjęte na wiarę — a to Ernestowi nie odpowiadało.

Zjadł obiad, poszedł na długi spacer i wrócił na kolację o wpół do siódmej. Pani Jupp, która przygotowała mu befszytk i porter, powiedziała, że panna Snow oczekuje go u siebie za godzinę. Trochę się speszył, ponieważ w głowie miał takie zamieszanie, że chwilowo nie pragnął nikogo nawracać. Pomyślał przez chwilę i mimo wstrząsu, jakiego doznały jego poglądy, odkrył w sobie tak nieodpartą chęć odwiedzenia panny Snow, jak gdyby w istocie nic się nie zdarzyło. Zresztą wszyscy wiedzieli, że jest w domu, więc odmowa pójścia do niej mogłaby zaszkodzić jego pozycji. Nie powinien zbyt pośpiesznie zmieniać poglądów na tak ważne zagadnienia jak dowody zmartwychwstania Chrystusa, a w dodatku może nie poruszać tego tematu w rozmowie z panną Snow. Jest przecież tyle innych kwestii, o których może mówić. Jakich kwestii? Ernest czuł, jak serce bije mu szybko i mocno, a wewnętrzny stróż ostrzegł go, że to nie dusza panny Snow, a coś zgoła innego zaprzęta jego myśli.

Cóż miał uczynić? Uciec, uciec, uciec — to był jedyny ratunek. Dobrze, ale czy Chrystus uciekłby w tej sytuacji? Nie ulega najmniejszej wątpliwości, że Chrystus jest najwyższym wzorem, którego przykład należy naśladować, nawet gdyby było nieprawdą, że powstał z martwych. Ernest był pewny, że Chrystus nie uciekłby przed panną Snow, bo On specjalnie szukał towarzystwa prostytutek i ludzi o złej opinii. Obowiązkiem prawdziwego chrześcijanina było i jest nawoływać do skruchy grzeszników, a nie sprawiedliwych. Zmiana mieszkania byłaby dla niego niezmiernie kłopotliwa, a nie mógł zwrócić się do pani Jupp, żeby wyrzuciła pannę Snow i pannę Maitland z kamienicy. Jakież było wyjście z tego dylematu? Kto jest godzien, a kto nie godzien mieszkać z nim pod jednym dachem?

Co więcej, gdzie miały pójść te biedne dziewczęta? Czy miał je pędzić z domu do domu, aż nie będą miały gdzie głowy skłonić? To jest absurd, widzi jasno swą powinność. Pójdzie natychmiast do panny Snow i spróbuje nakłonić ją do zmiany jej obecnego trybu życia, a jeżeli poczuje w pewnej chwili, że ogarnia go pokusa ponad siły, wtedy ucieknie — a więc poszedł na górę z Biblią pod pachą i palącym płomieniem w sercu.

Znalazł się w czystym, trochę sztywno urządzonym pokoju, a panna Snow wyglądała bardzo ładnie. Zdaje mi się, że kupiła przed południem kilka ozdobnych wersetów z Biblii i przytwierdziła je nad ko- minkiem. Ernest był nią oczarowany i machinalnie położył Biblię na stole. Zaledwie, cały w pasach, zdążył nieśmiało zagaić rozmowę, kiedy na klatce schodowej zadudniły szybkie kroki, a raczej susy po kilka schodów na raz, które robiły wrażenie, że biegnie ktoś, kto niewiele sobie robi z siły ciężkości, zarówno w sensie fizycznym, jak i psychicznym, i do pokoju wpadł mężczyzna ze słowami:

— Przyszedłem trochę za wcześnie. — Był to Towneley.
Spostrzegł Ernesta i twarz mu się wydłużyła.

— Co widzę, ty tutaj? Niesłychane!

Nie potrafię odtworzyć gorączkowych wyjaśnień, które nasza trójka skleciła naprędce — dość, że w niecałą minutę później Ernest, bardziej purpurowy niż kiedykolwiek, czmychnął, unosząc swą Biblię et caetera, głęboko upokorzony świadomością, jak mizernie się prezentował przy Towneleyu. Zanim znalazł się na swoim piętrze, przez zamknięte drzwi pokoju panny Snow dobiegł go serdeczny śmiech Towneleya, a wtedy przeklął godzinę, w której się urodził.

Potem olśniło go odkrycie, że wprawdzie nie może być u panny Snow, ale może być u panny Maitland. Teraz nie miał najmniejszych wątpliwości, czego pragnie, spojrzął na Biblię i odepchnął ją od siebie aż na drugi koniec stołu. Spadła na podłogę, a on kopnął ją w róg pokoju. Była to ta sama Biblia, którą otrzymał na pamiątkę chrztu od kochającej ciotki Elżbiety Allaby. Zapewne, jego informacje o panie Maitland były powierzchowne, ale przecież niedowarzeni młodzieńcy w takim położeniu, w jakim znalazł się Ernest, nie zastanawiają się ani nie rozumują według reguł logiki. Pani Baxter powiedziała mu, że panna Snow i panna Maitland są dziewczętami lekkich obyczajów, a pani Baxter z całą pewnością ma lepsze informacje od starej kłamczuchy pani Jupp. Szekspir powiada:

O Sposobności, ciężkie grzechów twoich brzemień! To ty ułatwiasz zdrajcy zamierzoną zdradę

I wilkom raisz owce. W kim zbrodni chęć drzemie, Temu porę wskazujesz i złą dajesz radę,

By prawo miał w pogardzie, rozum i sumienie. W twojej to mrocznej celi, ukryty przed słońcem, Czyha Grzech, łowiąc dusze mimo przechodzące.

Jeżeli rację ma poeta obciążając sposobność tak wielką winą, o ileż większa odpowiedzialność w takim razie spada na taką sposobność, która na przekór naszym przewidywaniom okazuje się najzwyklejszą pomyłką? Jeżeli prawdą jest, że ostrożność idzie w parze z męstwem, to chyba tym bardziej powinna iść w parze z grzechem.

W niespełna dziesięć minut od chwili, kiedy ostatni raz widzieliśmy Ernesta, przerażona, do żywego dotknięta dziewczyna, w popłochu i trwodze wybiegła z kamienicy pani Jupp, biegnąc tak szybko, na ile pozwalało zdenerwowanie. Po upływie następnych dziesięciu minut z tej samej kamienicy wyszło dwóch policjantów, a między nimi włókł się, bo trudno to inaczej określić, nasz nieszczęsny przyjaciel Ernest, trupio blady, z oczami w słup i z piętnem rozpaczony w każdym rysie twarzy.

ROZDZIAŁ LXI

Rację miał Pryer, ostrzegając Ernesta, że w wizytacjach parafialnych nie wolno zdawać się na przypadek. Nie zdążył wychylić nosa poza próg kamienicy pani Jupp, a patrzcie, czego sobie napytał! Na sam widok pana Holta wpadł w cielesną panikę, państwo Baxter o mały włos nie przerobili go na metodystę, pan Shaw podważył jego wiarę w zmartwychwstanie, a wdzięki panny Snow zniszczyły — ściśle mówiąc, byłyby zniszczyły jego nieposzlakowaną moralność, gdyby nie przypadek. A co do panny Maitland, zrobił, co mógł, żeby zniszczyć jej moralność, a tymczasem napytał sobie ciężkiej niepowetowanej biedy. Jedynym lokatorem, który nie wyrządził mu żadnej krzywdy, był rzemieślnik trudniący się naprawą miechów, którego dotąd nie odwiedził.

Inni młodzi duchowni, choć pod wieloma względami znacznie głupszy od niego, nie wpadliby w takie tarapaty. Patrząc na Ernesta odnosiło się wrażenie, że niemal od tego samego dnia, w którym przyjął święcenia, zaczął zdradzać szczególną skłonność do robienia głupstw. Prawie w każdym kazaniu popełniał jakieś okropne *faux pas*. Pewnej niedzieli, wygłaszając kazanie w kościele parafialnym w obecności biskupa, zбочzył z tematu i zajął się zagadnieniem, jaki chleb miała zamiar upiec wdowa z Sarepta, kiedy prorok Eliasza spotkał ją zbierającą drewno na podpałkę. Udowodnił, że był to chleb z kminkiem. Kazanie rzeczywiście było zabawne i kilka razy dostrzegł, że przelotny uśmiech zmarszczył morze twarzy, na które patrzył z wysokości ambony. Biskup był bardzo zły i po nabożeństwie udzielił memu bohaterowi surowej admonicji w zakrystii. Ernest mógł na swoje usprawiedliwienie powiedzieć tylko tyle, że kazanie wygłaszał *ex tempore*, a ten szczególny problem, o którym nigdy dotąd nie myślał, wpadł mu do głowy, kiedy już stał na ambonie i nawet się nie obejrzał, jak się dał porwać tematowi.

Innym razem wygłaszał kazanie na temat bezpłodnego drzewa figowego i wdał się w opis, jak jego właściciel z nadzieją, w sercu obserwował rozwijanie się delikatnych kwiatów, zapowiadających piękne owoce w jesieni. Następnego dnia otrzymał list od pewnego botanika, członka kongregacji, który mu wyjaśnił, że to jest nieprawdopodobne, ponieważ figa naprzód rodzi owoce, a kwiaty ukryte są w ich wnętrzu, a w każdym razie są tak schowane, że są niemal niedostrzegalne dla zwykłego obserwatora. Ten ostatni lapsus może jednak zdarzyć się każdemu, kto nie jest uczonym lub pisarzem, który tworzy w natchnieniu.

Na jego usprawiedliwienie mogę powiedzieć tylko tyle, że był bardzo młody — nie miał jeszcze dwudziestu czterech lat — oraz że z umysłu i ciała, jak większość ludzi, którzy zaczynają w końcu samodzielnie myśleć, był klasycznym przykładem człowieka dojrzewającego powoli. Poza tym niemal cała jego dotychczasowa edukacja zmierzała do tego, żeby nie tylko ograniczyć jego pole widzenia, lecz zrobić z niego całkowitego ślepego.

Ale wracam do mego opowiadania. Okazało się później, że panna Maitland, uciekając w panice z kamienicy pani Jupp, wcale nie miała zamiaru składać do- niesienia przeciwko Ernestowi. Uciekła ze strachu, lecz tak się złożyło, że niemal pierwszą osobą, na którą wpadła, był policjant, bardzo poważnie pojmujący obowiązki służbowe i szukający właśnie sposobności, żeby wykazać swą gorliwość. Zatrzymał ją, zaczął wypytywać, nastraszył jeszcze bardziej, i to właśnie on, a nie panna Maitland, nalegał na oddanie Ernesta w ręce jego i drugiego funkcjonariusza policji.

Kiedy policjant zjawił się w kamienicy pani Jupp, Towneley jeszcze był u panny Snow. Usłyszał zgiełk i hałas, więc wszedł do pokoju Ernesta w momencie, kiedy panna Maitland nie było już w domu, i zastał go, jeśli wolno mi się tak wyrazić, leżącego w stanie zupełnego

zamroczenia na dnie moralnej przepaści, w którą właśnie runął. Zorientował się w lot w sytuacji, ale zanim zdążył zorganizować jakąś akcję ratunkową, przyszedł policjant i akcja spaliła na panewce.

Towneley zwrócił się do Ernesta, żeby podał mu nazwiska swoich przyjaciół w Londynie. Ernest w pierwszej chwili odmówił wszelkich informacji, ale Towneley bez ogródek dał mu do zrozumienia, że ma robić tak, jak mu się każe. Spośród garstki znajomych, których Ernest mu wymienił, wybór Towneleya padł na mnie.

— Overton? Autor sztuk teatralnych? — zapytał Towneley. — To komediopisarz, o ile się nie mylę?

Ernest doszedł do wniosku, że Towneley chciał przez to powiedzieć, że powinienem raczej pisać tragedie, więc wyjaśnił z ubolewaniem, że specjalizuję się w burlesce.

— Patrzcie, patrzcie — odparł Towneley — to się świetnie składa. Natychmiast do niego idę. — Po krótkim namyśle postanowił jednak pozostać z Ernestem, żeby pójść z nim na komisariat. Z tych względów posłał po mnie panią Jupp. Pani Jupp tak szybko biegła do mnie, mimo przejmującego chłodu, jaki jeszcze wówczas panował, że — używając jej terminologii — o mało z niej dusza nie „wyparowała” ze zmęczenia. Biedaczka mogła wziąć dorożkę, lecz nie miała pieniędzy, a nie chciała prosić o nie Towneleya. Zorientowałem się, że stało się coś poważnego, ale żalosne zdarzenie, o którym dowiedziałem się od pani Jupp, przeszło moje najgorsze oczekiwania. Pani Jupp nie zaniedbała mnie poinformować, że serce bez przerwy podchodzi jej do gardła, odkąd to się wydarzyło.

Zabrałem ją do dorożki i pojechaliliśmy na komisariat policji. Gadała jak najęta.

— A że sąsiedzi psy na mnie wieszają, to na pewno on w tym palców nie maczał, jeżeli mają rację. Pan Pontifex tyle uwagi na mnie zwracał, co gdybym była jego siostrą. Brr, na sam widok można było febry dostać. Wtedy sobie wykombinowałam, że może moja Rózia lepiej sobie z nim poradzi, więc kazałam jej chuchać i dmuchać na niego, że to niby ja nie mam czasu, i dałam jej taki śliczny, czysty fartuszek, ale tyle na nią patrzył co na mnie, a ona nie chciała wziąć od niego nawet jednego szylinga, choć jej dawał, ale zdaje się, że nic a nic nie wymiarkował. Nie potrafię wyrozumieć, co to za młodzież teraz; niech mnie ziemia pochłonie i robaki zjedzą jeszcze tej nocy, jeżeli to nie wystarczy, żeby kobieta wypięła się na tych durniów, bo to przecie woła o pomstę do nieba, a tyle uczciwych dziewcząt noc w noc wraca do domu bez miedziaka w kieszeni i płaci trzy szylingi i sześć pensów za mieszkanie tygodniowo, a za co, bo w pokoju nie ma ani półki, ani szafy, a za oknem tylko ponura, pusta ściana.

Ale skąd, ja nie mówię - ciągnęła dalej — że to pan Pontifex jest zły, w głębi serca on jest dobry. Nigdy złego słowa człowiekowi nie powie. A te jego oczy... ale kiedy o tym mówię do mojej Rózi, nazywa mnie starą idiotką i powiada, że należy mi głowę toporem uciąć. O tego Pryera mi chodzi, bo jego nie cierpię. A, gagatek! On lubi ranić uczucia kobiety, taki owaki, i cisnąć jej wszystko w twarz lub zawrócić kobiecie głowę, a potem ją podeptać (muszę dodać, że w pewnych przypadkach pani Jupp kierowała się własnymi regułami wymowy, więc czasem dość trudno było ją zrozumieć). Dzentelmen powinien się kobiecie przypochlebić, a on... on z przyjemnością powyrywałby jej włosy pełnymi garściami. Widzicie go, w twarz mi powiedział, że się starzeję. Ja stara? A juści, w całym Londynie z wyjątkiem pani Davis z Old Kent Road nie ma drugiej kobiety, która wiedziałaby, ile mam lat. Na jednej nodze zrobił mi się żylak, to prawda, ale poza tym, jestem taka młoda jak zawsze. Stara, juści! Na starych skrzypcach nieźle można sobie jeszcze zagrać. Nie znoszę tych jego brudnych insynuacji.

Nawet gdybym chciał zmusić ją do milczenia, nie potrafiłbym tego dokazać. Napytlowała znacznie więcej, niż przytoczyłem wyżej. Opuściłem z tego dużo, ponieważ wiele już zapomniałem, ale jeszcze więcej dlatego, bo czegoś podobnego naprawdę nie odważyłbym się

dać do druku.

Kiedy znaleźliśmy się w komisariacie, Towneley i Ernest byli już na miejscu. Ernest był oskarżony o napaść, ale uwzględniono okoliczność łagodzącą, że przemoc nie miała charakteru poważnego. Nawet przy takim założeniu jego sytuacja była godna pożałowania i obaj doszliśmy do wniosku, że nasz przyjaciel będzie musiał drogo zapłacić za swoją naiwność. Próbowaliśmy uzyskać zwolnienie go na noc z aresztu za kaucją, lecz inspektor odmówił przyjęcia kaucji, więc musieliśmy się z nim pożegnać.

Towneley udał się do kamienicy pani Jupp, żeby zobaczyć się z panną Maitland i załatwić z nią sprawę polubownie. Nie zastał jej w domu, ale odszukał ją w mieszkaniu ojca, który mieszkał na Camberwell. Ojciec panny był wściekły i pozostał głuchy na wstawiennictwo Towneleya. Był to zawzięty sekciarz, który z przyjemnością zrobiłby wszystko, żeby wywołać jak największy skandal wokół osoby anglikańskiego pastora. Towneley wyszedł więc z niczym.

Następnego dnia Towneley — dodam na marginesie, że w jego oczach Ernest był tonącym, którego należało wyciągnąć z wody bez względu na to, w jaki sposób do niej wpadł — przyszedł do mnie i powierzyliśmy prowadzenie sprawy jednemu z najlepszych i najbardziej wziętych adwokatów. Towneley ogromnie przypadł mi do gustu i doszedłem do wniosku, że powinienem podzielić się z nim wiadomością, której dotąd nikomu innemu nie zdradziłem. Mam na myśli fakt, że za kilka lat Ernest dostanie spadek po ciotce i będzie człowiekiem bogatym.

Towneley robił wszystko, co leżało w jego mocy, zanim mu o tym powiedziałem, lecz byłem całkiem pewny, że dzięki mojej informacji zaczniesz uważać Ernesta za człowieka należącego do jego sfery, i w konsekwencji przyzna mu większe prawo do żądania od niego pomocy w potrzebie. A wdzięczność Ernesta nie miała granic. Słyszałem na własne uszy, jak mówił, że pamięta wiele takich chwil, z których każda może pretendować do miana najszcześliwszej w życiu, natomiast ta jedna noc była tak zła, że na pewno jest najgorsza ze wszystkich, jakie przeżył, a jednak dzięki dobroci i taktowi Towneleya stała się całkiem znośna. Staraliśmy się podtrzymać go na duchu, bo nic więcej mimo naszych najszczerzych chęci nie mogliśmy dla niego zrobić. Adwokat powiedział nam, że sędzia, który w trybie przyśpieszonym będzie rozpatrywał sprawę Ernesta, bardzo surowo odnosi się do przestępstw tej kategorii, a fakt, że Ernest jest pastorem, będzie poczytany za okoliczność obciążającą.

— Niech panowie nie żądają uzupełnienia dochodzenia — powiedział — nie przedkładajcie żadnych argumentów na obronę. Powołamy proboszcza oraz obu panów w charakterze świadków na okoliczność, że dotychczasowy tryb życia Pontifexa był nieskazitelny. To wystarczy. Potem okażemy głęboką skruchę i będziemy prosić sędziego, żeby wydał orzeczenie w trybie postępowania skróconego i nie przekazywał sprawy do zwykłego postępowania sądowego. Jeżeli uda się nam to osiągnąć, wiercie mi, panowie, wasz młody przyjaciel wyjdzie z opresji lepiej, niż ma prawo oczekiwać.

ROZDZIAŁ LXII

Rada obrońcy, niewątpliwie rozsądna, miała także i tę zaletę, że dzięki tej taktyce Ernest krócej będzie siedział w areszcie i uniknie nieuchronnej szarpaniny nerwów. Zaakceptowaliśmy ją bez wahania. Sprawa została wyznaczona na jedenastą godzinę, lecz odroczyliśmy ją na trzecią, żeby umożliwić Ernestowi jakieś takie uporządkowanie spraw osobistych i załatwić w międzyczasie formalności związane z udzieleniem mi pełnomocnictwa, upoważniającego do działania w jego imieniu, według najlepszej mej wiedzy i sumienia, w okresie, w którym będzie odbywał karę więzienia.

Wtedy wyszła na jaw sprawa Pryera i Akademii Patologii Duchowej. Wyjawienie mam szczegółów w tej materii było dla Ernesta jeszcze cięższym przeżyciem niż wyznanie okoliczności związanych ze sprawą panny Maitland, ale nie zataił przed nami niczego, a z jego relacji wynikało, że oddał Pryerowi wszystko, co posiadał, do ostatniego pensa, nie otrzymując od niego żadnego innego zabezpieczenia poza świstkami papieru stwierdzającymi zaciągnięty dług. Ernest, jakkolwiek nadal nie chciał dopuścić do siebie myśli, że Pryer może być zdolny do haniebnego postępu, zaczął uprzytamniać sobie, że popełnił wielkie głupstwo. W dalszym ciągu uważał jednak za pewnik, że odzyska większą część swych pieniędzy, byleby zostawić Pryerowi czas na sprzedaż walorów. Towneley i ja byliśmy innego zdania, lecz zachowaliśmy je dla siebie.

Zmordowaliśmy się okropnie beznadziejnym czekaniem przez pół dnia w obcym i przygnębiającym otoczeniu. Przyszły mi wtedy na myśl słowa psalmisty, który zawołał z powściągliwą ironią: „Albowiem lepszy jest jeden dzień w sieniach twoich niż tysiąc”, i pomyślałem sobie, że trudno lepiej zdefiniować mój wewnętrzny- stosunek do sieni, którą przemierzaliśmy z Towneleyem tam i z powrotem przez tyle ślamazarnie wlokących się godzin. W końcu około trzeciej godziny sprawę wywołano, więc przeszliśmy do tej części sali rozpraw, która zarezerwowana była dla publiczności, a Ernesta zaprowadzono na ławę oskarżonych. Ledwo zebrał się w sobie i spojrzał przytomnie, natychmiast rozpoznał w sędzim owego starszego pana, który w dniu, kiedy wyjechał ze szkoły, odezwał się do niego w przedziale kolejowym, i stwierdził ku swemu wielkiemu zmartwieniu, że sędzia też go poznał.

Pan Ottery, tak nazywał się nasz adwokat, ściśle trzymał się taktyki, którą nam zaproponował. Poza proboszczem, Towneleyem i mną nie podał nikogo więcej na świadków, a potem zaapelował do wyrozumiałości sędziego i oświadczył, że całkowicie zdaje się na jego decyzję. Kiedy skończył, sędzia zwrócił się do Ernesta i przemówił w tych słowach:

— Pańska sprawa jest jedną z najbardziej bolesnych spraw, z jakimi spotkałem się w mojej dotychczasowej praktyce. Z pochodzenia i z wykształcenia jest pan człowiekiem wyjątkowo uprzywilejowanym. Miał pan sposobność brać przykład z nieskazitelnych rodziców, którzy bez wątpienia od dzieciństwa wskazywali panu na ohydę występku, do którego popełnienia dziś przyznałeś się wobec nas. Był pan uczniem jednej z najbardziej ekskluzywnych szkół w Anglii. Trudno uwierzyć, żeby w zdrowej atmosferze takiej szkoły jak Roughboroguh miał pan jakkolwiek sposobność zetknąć się z tak plugawymi sprawami. W szkole prawdopodobnie, a powiniennem rzec — z całą pewnością — wpajano w pana przekonanie, jak nikczemną jest każda próba wykroczenia przeciwko zasadzie zachowania jak najbardziej skrupulatnej czystości moralnej aż do czasu, kiedy pan wstąpi w związki małżeńskie. W Cambridge strzegły pana przed nieczystością wszelkie możliwe zapory, na jakie stać jest cnotliwe i czujne władze tej uczelni, a gdyby nawet istniały w tym systemie jakieś luki, państwo Pontifex, jak się domyślam, dbali o to, żeby środki materialne ich syna nie pozwalały mu szastać

pieniężni na osoby podejrzanego prowadzenia. W nocy pretorowie, stróże studenckiej moralności, patrolowali ulice i deptali wam po piętach, żeby w zarodku stłumić chętkę udania się do lokalu, w którym węszone obecność występku. W dzień w murach kolegium mogły przebywać tylko te niewiasty, które posiadały odpowiednie kwalifikacje pod względem wieku i brzydoty. Trudno sobie wyobrazić, czy można coś więcej zrobić dla młodego człowieka. Od czterech miesięcy jest pan duchownym, i gdyby nawet zdołała się w pańskiej psychice ostać choćby jedna jedyna zdrowa myśl, święcenia powinny były ją wypędzić. Tymczasem nie tylko jest pan do cna zepsuty, jak gdyby te zbawienne wpływy, o których mówiłem przed chwilą, spłynęły po panu bez wrażenia, lecz wszystko wskazuje na to, że ich jedynym skutkiem jest brak zdrowego rozsądku i nie potrafi pan odróżnić przyzwoitej dziewczyny od prostytutki.

Gdybym chciał ściśle trzymać się litery prawa, powinienem pańską sprawę przekazać na normalną drogę sądową, ale zważywszy, że jest to pierwsze przestępstwo, którego pan się dopuścił, obejdę się z panem łagodnie. Skazuję Ernesta Pontifexa na więzienie i ciężkie roboty na okres sześciu kalendarzowych miesięcy.

Zarówno Towneley, jak i ja odnieśliśmy wrażenie, że przemówienie sędziego miało w sobie jakiś odcień ironii oraz że mógł, gdyby zechciał, wydać wyrok łagodniejszy, ale nie miało to już najmniejszego znaczenia. Uzyskaliśmy pozwolenie na kilkuminutowe widzenie się z Ernestem przed odesłaniem go do Coldbath. Fields, gdzie miał odcierpieć karę, i zastaliśmy go tak rozpromienionego obrotem sprawy i przepelnionego wdzięcznością, że wszystko skończyło się tak szybko, jak gdyby ciężkie przejścia, które czekały go przez następne sześć miesięcy, były w istocie nieważne. Kiedy wyjdzie na wolność, weźmie tyle pieniędzy, ile zostało mu z jego kapitału, pojedzie do Ameryki albo do Australii — i wszelki słuch o nim zaginie.

Odeszliśmy, zostawiając Ernesta pochłoniętego swą decyzją, ja, żeby napisać do Teobalda i powierzyć memu adwokatowi sprawę wydostania pieniędzy z rąk Pryera, a Towneley, żeby porozmawiać z dziennikarzami i asekurować Ernesta przed prasą. Dokazał tego w odniesieniu do gazet na wysokim poziomie. Tylko jeden dziennik, i to taki, który należał do najgorszej kategorii, okazał się nieprzekupny.

ROZDZIAŁ LXIII

Z adwokatem rozmówiłem się natychmiast, ale po daremnych próbach sklecenia listu do Teobalda postanowiłem zawiadomić go, że przyjadę. Zaproponowałem mu więc swój przyjazd prosząc, żeby wyszedł po mnie na stację, i jednocześnie nadmieniałem, że mam dla niego złe wiadomości o synu. Wiedziałem, że mój list przyjdzie zaledwie na kilka godzin przed moim przyjazdem, i trochę liczyłem na to, że krótki okres niepewności, w którym mógł się spodziewać czegoś najgorszego, złagodzi wrażenie, jakie wywrą na nim wiadomości, które miałem mu przekazać.

Nie pamiętam, żebym kiedykolwiek w życiu, mając do wyboru dwie oceny, przeżywał większą rozterkę, którą z nich wybrać, niż wówczas, kiedy jechałem pociągiem do Battersby w tej nieprzyjemnej misji. Myślałem o drobnym małym chłopczyku, którego dobrze pamiętałem z dawnych lat, i o okrucieństwie, z jakim maltretowano go w dzieciństwie — okrucieństwie, którego nie łagodziła okoliczność, że wynikało ono bardziej z ignorancji i głupoty niż ze świadomie złej woli; myślałem o atmosferze kłamliwych i cuchnących samouwielbieniem majaków, w jakiej go wychowano; o skwapliwości, z jaką chłopak był gotów pokochać każde stworzenie, które mu na to pozwalało, i o uczuciu chłopca do rodziców, które — nie sądzę, żebym się mylił — umarło w nim tylko dlatego, bo zabijano je z zawziętym uporem, wciąż na nowo i ciągle od nowa, zaledwie odważyło się zakiełkować. Kiedy zastanawiałem się nad tym wszystkim, nabierałem przekonania, że gdyby decyzja zależała ode mnie, skazałbym Teobalda i Krystynę na jeszcze większe cierpienia moralne od tych, które były im wkrótce pisane. Ale z drugiej strony, kiedy pomyślałem o dzieciństwie Teobalda i jego koszmarnym ojcu, Jerzym Pontifexie, o Janostwie Pontifex, o jego dwu siostrach, kiedy zadumałem się nad tym, jak Krystyna, zanim wyszła za męża, całymi latami przenosiła z roku na rok niespełnione nadzieje, które „wątlą serce”, kiedy w końcu pomyślałem o życiu, na jakie była skazana w Crampsford, i o otoczeniu, pośród którego żyje wraz z mężem w Battersby — uznałem nie- mai za cud, że za tak uporczywe niepowodzenia nie zostali dotąd ukarani jeszcze większymi cierpieniami.

Biedni ludzie! Nawet wobec siebie samych nie chcieli nazwać swej nieznanomości życia po imieniu, wymyślając dla niej miano dążenia do żywota wiecznego, a w końcu zamykając oczy na wszystko, co mogło skomplikować im życie. Kiedy urodził im się syn, zasklepili i jego oczy w takim stopniu, w jakim było to wykonalne. Czy można ich za to winić? Mieli zawsze pod ręką rozdział lub werset biblijny, które sankcjonowały wszystko, co zrobili lub czego zaniechali. Nie ma na świecie drugiego tak wyświechtanego szablonu jak świadomość, że się jest duchownym lub jego żoną. Pod jakim względem różnili się od swych sąsiadów? Czym wyróżniał się ich dom od domów innych księży anglikańskich, wybijających się ponad przeciętność, których ogniska domowe rozsiane były od krańca do krańca Anglii? Cóż więc takiego zrobili, że właśnie na nich runęła wieża z Syloe!

Wszystko przemawia za tym, że wieża, a nie ludzie, którzy stali u jej stóp, była kiepska; że nie ludzie, lecz system jest wadliwy. Gdyby Teobald i jego żona trochę więcej wiedzieli o świecie i jego sprawach, byłiby dla otoczenia niemal nieszkodliwi. Egoistami pozostałoby oczywiście we wszelkich możliwych okolicznościach, jednak w stopniu tak umiarkowanym, że łącznie można byłoby im to wybaczyć, a zresztą, nie odbijałoby pod tym względem od innych ludzi. W danym wypadku sytuacja była beznadziejna i nawet gdyby wstąpili w łona swych matek i jeszcze raz się urodzili, nie byłoby z tego żadnego pożytku. To za mało, że musieliby się urodzić jeszcze raz — musieliby urodzić się z nowej matki i nowego ojca i od wielu pokoleń

mieć całkiem innych, przodków w rodowodzie, bo dopiero wtedy ich intelekt stałby się dostatecznie giętki, żeby mogli zacząć uczyć się od nowa. Nie pozostawało więc nic innego do zrobienia, jak pogodzić się z tym, że są tacy, jacy są, tolerować ich do czasu, kiedy umrą — i odetchnąć z ulgą, kiedy to nastąpi.

Zgodnie z moimi przewidywaniami Teobald dostał list w samą porę i wyszedł po mnie na stację najbliższą położoną od Battersby. Kiedy szliśmy piechotą ze stacji w kierunku plebanii, powiedziałem mu prawdę tak delikatnie, jak umiałem. Starłem się stworzyć pozory, jakoby cała sprawa w znacznym stopniu polegała na nieporozumieniu, bo wprawdzie Ernest bez wątpienia żywił zamiary, którym powinien był się przeciwstawić, ale nie miał intencji posunąć się aż tak daleko, jak domniemywała panna Maitland. Powiedziałem mu także, że zdając sobie sprawę, jak wiele poszlak przemawia przeciwko Ernestowi, nie odważyliśmy się występować z tym argumentem na rozprawie, jakkolwiek byliśmy pewni, że jest zgodny z prawdą.

Teobald zademonstrował poczucie moralności tak wyrobione i tak wyczulone, że — przyznaję — nie doceniałem go pod tym względem.

— Nie chcę mieć z nim nic wspólnego — zawołał bez namysłu. — Nie chcę go więcej widzieć na oczy. Nie pozwól mu pisać ani do mnie, ani do matki. Nic nas nie łączy z człowiekiem takiego pokroju. Powiedz mu, że widziałeś się ze mną i że od dnia dzisiejszego wymazuję go ze swej pamięci, jak gdyby nigdy się nie urodził. Byłem zawsze dla niego dobrym ojcem, a matka go ubóstwiała. Egoizm i niewdzięczność oto jedyna zapłata, której doczekaliśmy się od niego; Od tej chwili całą moją nadzieją muszą być dzieci, które jeszcze mi zostały.

Odpowiedziałem mu, w jaki sposób kolega Ernesta, wikary z tej samej parafii, przywłaszczył sobie jego pieniądze, i napomknąłem, że według wszelkiego prawdopodobieństwa po wyjściu z więzienia Ernest nie będzie miał nawet pensa w kieszeni. Odniosłem wrażenie, że Teobald wcale tym się nie zmartwił. Po krótkiej chwili rzekł:

— Jeżeli sprawa przybierze taki obrót, powiedz mu w moim imieniu, że dam mu sto funtów, o ile zechce zawiadomić mnie za twoim pośrednictwem, kiedy mam mu je wypłacić, ale zapowiedz mu, żeby do mnie nie pisał i nie dziękował, oraz uprzedź go, że nie dostanie ani pensa, jeżeli spróbuje nawiązać bezpośredni kontakt ze mną albo z matką.

Po pierwsze, Teobald nie wiedział tego, co ja wiedziałem, a po drugie, byłem zdecydowany złamać warunki postawione mi przez pannę Pontifex, gdyby sytuacja tego wymagała, więc uznałem, że Ernest nie straci na zerwaniu z rodziną, i przystałem na propozycję Teobalda bardziej skwapliwie, niż ów dżentelmen mógł się tego po mnie spodziewać.

Wolałem uniknąć spotkania z Krystyną, więc pożegnałem się z Teobaldem tuż przed Battersby i wróciłem na stację. W drodze pomyślałem z satysfakcją, że mimo wszystko ojciec Ernesta nie jest tak ograniczony, za jakiego go uważałem, i w związku z tym wstąpiła we mnie nadzieja, że, być może, źródłem gorzkich błędów jego syna są cechy nabyte wskutek niepowodzeń, które spotkały go po urodzeniu, a nie cechy odziedziczone po rodzicach. Przypadki, które spotkały człowieka w osobach jego przodków, zanim się urodził, pozostawiają po sobie, nawet jeżeli ich nie pamięta, niezatarte piętno. W konsekwencji owych przypadków człowiek rodzi się z psychiką tak dalece ukształtowaną, że choćby stał na głowie, nie potrafi wyzwolić się od ich następstw. Człowiek, który ma wejść do królestwa niebieskiego, musi tego dokazać, mało powiedzieć jako maleńkie dzieciątko, ale już jako embrionik, a raczej jako plemnik — co więcej, jako plemnik pochodzący w prostej linii od plemników, które od wielu pokoleń dostępowały królestwa niebieskiego. Przypadki występujące po raz pierwszy w tej fazie rozwojowej, która następuje już po ostatnim urodzeniu się człowieka, z reguły nie posiadają tak trwałych następstw, ale oczywiście czasem zdarzają się wyjątki od tej zasady. W każdym razie nie straciłem humoru, z powodu stanowiska, które ojciec Ernesta zajął wobec aktualnych

wydarzeń.

ROZDZIAŁ LXIV

Po wyroku odprowadzono Ernesta z powrotem do celi, w której miał pozostać aż do chwili, kiedy więzienny furgon odstawi go do Coldbath Fields, gdzie miał odbyć karę.

Wydarzenia ostatniej doby zwały się na niego z tak nieoczekiwaną siłą, że był zbyt oszołomiony i zbyt oślepiiony, żeby zdać sobie sprawę ze swego położenia. Potężna przepaść odgradziła jego przeszłość od przyszłości, lecz mimo wszystko oddychał, tętno nie przestało bić, mógł myśleć i mówić. Wydawało mu się, że powinien był załamać się pod ciosami, których doznał, a tymczasem wcale się nie załamał. Nieraz dostał w życiu cięgi, które, choć słabsze, były bardziej bolesne. Dopiero kiedy zastanowił się, ile wycierpią jego rodzice z powodu hańby, którą się okrył, uświadomił sobie, że oddałby wszystko, co posiada, żeby uniknąć tej okropnej sytuacji. Serce jego matki pęknie z bólu. I to z jego powodu — był o tym święcie przekonany.

W ciągu całego przedpołudnia czuł coraz silniejszy ból głowy, a na myśl o ojcu i matce puls zaczął bić mu szybciej i ból nagle stał się gwałtowny. Z trudem przeszedł do furgonu, a kiedy ruszyli z miejsca, wydawało mu się, że nie doczeka do końca jazdy. Po przyjeździe do więzienia był za słaby, żeby o własnych siłach przejść przez obszerną izbę do korytarza, gdzie segregowano nowych więźniów. Naczelnik więzienia od razu rozpoznał w nim duchownego i prawdopodobnie z tej racji nie posądził go o symulację, o którą na pewno byłby skłonny podejrzewać każdego opryszka. Posłał więc po lekarza. Lekarz wkrótce zjawił się na miejscu i rozpoznał u Ernesta pierwsze stadium zapalenia mózgu, wobec czego odesłano go do izby chorych. Tu przez następne dwa miesiące błąkał się między życiem a śmiercią, nie odzyskując ani na chwilę pełnej świadomości i często majacząc, aż w końcu wbrew oczekiwaniom lekarza i pielęgniarki zaczął powoli przychodzić do siebie.

Powiada się, że tonący, których w ostatniej chwili udało się uratować, odczuwają powrót do świadomości bardziej boleśniej niż jej utratę — i tak było z naszym bohaterem. Bezradny i wycieńczony zadawał sobie pytanie, dlaczego nie umarł, kiedy leżał bez zmysłów, a fakt, że nadal żyje, zakrawał w jego mniemaniu na szczególnie wyrafinowane okrucieństwo. W jego przekonaniu przychodził do zdrowia tylko w tym jedynym celu, żeby niebawem znowu załamać się pod brzemieniem hańby i żalu. Mimo to jednak z dnia na dzień przybywało mu sił, ale proces rekonwalescencji następował tak wolno, że nie docierał do jego świadomości. Tymczasem pewnego popołudnia, w jakieś trzy tygodnie od chwili, kiedy odzyskał przytomność, pielęgniarka, która nim się opiekowała i okazywała mu wiele dobroci, powiedziała jakiś cięty dowcip, który go rozbawił. Roześmiał się, a jego opiekunka klasnęła w dłonie i orzekła, że będą z niego ludzie. Zatliła w nim iskierka nadziei i znowu zapragnął żyć. Niemal od tej chwili mniej myślał o okropnościach przeszłości, a więcej zastanawiał się, jaką drogę powinien obrać, żeby wyjść na spotkanie przyszłości.

Najbardziej dręczył się z powodu rodziców i zamartwiał się, że nie będzie mógł spojrzeć im w oczy. W dalszym ciągu wydawało mu się, że nie ma lepszej drogi wyjścia w jego sytuacji, zarówno dla niego, jak i dla nich, niż zerwać z nimi zupełnie, zebrać tyle pieniędzy, ile zdoła odzyskać od Pryera, i wywędrować na kraniec świata, gdzie nie spotka znajomej duszy ani ze szkoły, ani z uniwersytetu, gdzie będzie mógł zacząć życie na nowo. Może pojedzie do Kalifornii, może do Australii szukać złota, a o złotodajnych terenach w tych krajach ludzie opowiadali wtedy zadziwiające historie. Nie jest wcale wykluczone, że dorobi się tam majątku i po wielu latach wróci do kraju jako starzec nikomu nie znany, a wówczas zamieszka na stałe w Cambridge. Kiedy tak budował zamki na lodzie, iskierka życia przeistoczyła się w płomień i

zateęsknił do zdrowia i wolności, która obecnie wcale nie była odległa, ponieważ znaczną część kary miał już za sobą.

Wtedy rzeczywistość zaczęła mu ukazywać się w coraz bardziej wyraźnych konturach. Cokolwiek go czeka, pastorem nie będzie. W jego sytuacji znalezienie innego wikariatu jest praktycznie niemożliwe, nawet gdyby tego pragnął, a zresztą wcale tego nie pragnął. Z obrzydzeniem myślał o tym, jak żył od czasu, kiedy zaczął przygotowywać się do święceń. Nie był zdolny do rozpamiętywania „za” i „przeciw”, po prostu pogardzał tym okresem swego życia i miał go dosyć raz na zawsze. Kiedy zadumał się nad perspektywą powrotu do stanu świeckiego, nawet z piętnem hańby, uradował się tym, co go spotkało, i doszedł do wniosku, że obecna kara więzienia, która w pierwszej chwili wydawała mu się tak niewysłowionym nieszczęściem, jest w istocie rzeczy błogosławieństwem.

Należy domniemywać, że wstrząs, wywołany tak wielką zmianą w warunkach egzystencji, przyspieszył ewolucję jego poglądów, a wiemy z doświadczenia, że otulone w kokony gąsieniczki jedwabnika, wysłane koleją w koszyczkach, pod wpływem nowych bodźców, jak ciepło i ruch Wagonu, przeobrażają się w czasie krótszym niż normalnie. Jakikolwiek były przyczyny tego stanu rzeczy, wiara Ernesta w świadectwa o śmierci, zmartwychwstaniu i wniebowstąpieniu Jezusa Chrystusa, a w ślad za nią wiara we wszystkie inne cudowne zdarzenia religii chrześcijańskiej wygasła w nim do szczętu. Analiza tekstu, której dokonał pod wpływem gorzkiej odprawy, jaką dał mu pan Shaw, choć była wtedy tak gorączkowa, pozostawiła po sobie głęboki ślad w jego psychice i teraz, kiedy poczuł się na tyle dobrze, że mógł czytać, poświęcił się studiowaniu Nowego Testamentu, starając się odczytać zdanie po zdaniu w takim duchu, jakiego żądał od niego pan Shaw, a więc czytał bez założenia, że wierzy, względnie że nie wierzy, lecz z upartym zamiarem znalezienia odpowiedzi na pytanie, czy powinien, czy nie powinien wierzyć. Im dłużej czytał z takim nastawieniem, tym bardziej skłaniał się do niewiary, aż w końcu wszelkie wątpliwości straciły rację bytu. Wtedy rzuciło mu się w oczy, że żaden współczesny człowiek, który zechce zdobyć się na bezstronność, nie może uznać świadectw apostołów o śmierci, zmartwychwstaniu i wniebowstąpieniu Chrystusa za wiarogodne. Nie wchodząc w kwestię prawdziwości innych zdarzeń biblijnych, to jedno było całkiem pewne, więc dobrze się stało, że doszedł do tej konkluzji tak wcześnie. Prędzej czy później nie ominęłoby go to odkrycie. Prawdopodobnie doszedłby do tych wniosków już dawno, gdyby nie oszukiwali go ludzie, którym za to płacono. Jak postąpiłby wówczas, zadawał sobie pytanie, gdyby do tego odkrycia doszedł po latach kapłaństwa, z którym byłby wówczas daleko silniej związany? Jaką drogę wybrałby w przyszłości? Czy miałby tyle odwagi, żeby zdobyć się na decydujący krok, czy raczej byłby spłodził jakiś znakomity powód, żeby niczego nie zmieniać w swym sposobie myślenia? Czy potrafiłby zdobyć się choćby na rezygnację z wikariatu?

Odpowiedział sobie przecząco i nie wiedział, za co być bardziej wdzięczny, czy za to, że postarano się otworzyć mu oczy na jego błąd, czy za to, że uniemożliwiono mu błąkanie się po manowcach, łapiąc go za kołnierz i zawracając z fałszywej drogi niemal. W tym samym momencie, w którym błąd ten odkrył. Cena, którą ma zapłacić za to dobrodziejstwo, jest błaha w zestawieniu z samym dobrodziejstwem. Czy można przepłacić za dar, dzięki któremu w jednej chwili obowiązek staje się jasny i łatwy do spełnienia, choć wydawał się tak trudny? Żał mu było matki i ojca i żał mu było panny Maitland, ale siebie już nie żałował.

A jednak intrygował go fakt, dlaczego aż do tej chwili nie zdawał sobie sprawy, jak wielki wstręt czuł do kapłaństwa. Wiedział, że nie miał do niego szczególnego upodobania, ale gdyby ktoś postawił mu pytanie, czy miał do niego obrzydzenie, odpowiedziałby przecząco. Wydaje mi się, że ludziom niemal zawsze potrzeba jakiegoś zewnętrznego impulsu, żeby objawiła im się prawda, co lubią, a czego nie lubią. Naszych najbardziej bezspornych upodobań

nie zawdzięczamy ani introspekcji, ani świadomemu rozumowaniu, lecz bierzemy je z serca, kiedy ono raptem zaczyna wyrywać się nam z piersi na powitanie ewangelii objawionej przez kogoś z zewnątrz. Zdarza się, że ktoś w naszej obecności wypowiada taką czy inną opinię i w tej samej chwili ładunek, który był w nas, choć nie mieliśmy pojęcia o jego istnieniu, eksploduje i błyskawicznie wdziera się do naszej świadomości i poznania.

Jeszcze rok temu serce wyrywało mu się z piersi na powitanie kazania pana Hawke. Potem palił się do Akademii Patologii Duchowej. Teraz pożył racjonalizmu czystego i prostego. Czy może mieć pewność, że poglądy, które teraz wyznaje, okażą się trwalsze od poprzednich zapatrywań? Nie, nie może być tego pewny, ale zdawało mu się, że stanął na pewniejszym gruncie niż kiedykolwiek, a więc ma pełne prawo postępować zgodnie ze swymi obecnymi przekonaniem, bez względu na to, jak dalece są płynne, i to tak długo, dopóki nie dojdzie do wniosku, że istnieją dostateczne powody, dla których należy je zmienić. Czy mógłby, zastanawiał się, pozwolić sobie na to, gdyby pozostał w otoczeniu takich ludzi, jak ojciec, Pryer i jego znajomi oraz proboszcz?

Obserwował, analizował i asymilował przez kilka okrągłych miesięcy, nie zdając sobie sprawy ze swego rozwoju umysłowego, podobnie jak uczeń, który nie uświadamia sobie, że rośnie. Czy odważyłby się przyznać wobec siebie, że przybyło mu sił, i czy postępowałby, jak na silniejszego człowieka przystało, gdyby nie zerwał więzów z ludźmi, którzy mu solennie wmawiali, że opętały go majaki? Koalicja przeciwko niemu była potężna, a on był za słaby, żeby bez niczyjej pomocy przebić się przez otaczający go kordon, więc uznał za wątpliwe, czy zdołałby uwolnić się z matni, gdyby wstrząs, który przeżył ostatnio, nie był tak silny.

ROZDZIAŁ LXV

Kiedy leżał całymi dniami, powoli odzyskując siły, nagle przyszła mu do głowy refleksja, do której prędzej czy później dochodzi większość ludzi. Chodzi mi o to, że tylko dla znikomej garstki ludzi prawda posiada jakieś takie znaczenie i tylko nieliczni są przekonani, że słuszniej i lepiej jest wierzyć w to, co jest prawdziwe, niż w to, co jest nieprawdziwe, wbrew temu, że na pierwszy rzut oka wiara w fałsz wydaje się korzystniejsza. A przecież tylko o tych nielicznych można powiedzieć, że w cokolwiek wierzą; reszta to zwykli symulanci, którzy w nic nie wierzą. Być może, że rację mają ci ostatni. Mają za sobą przewagę ilościową, po ich stronie jest dobrobyt. Spełniają wszystkie wymagania, podług których racjonalista odróżnia w swych testach moralność od niemoralności. Moralne, zdaniem racjonalisty, jest to, co większość rozsądnych i zamożnych ludzi uznaje za moralne. Istotnie nie znamy lepszego kryterium, lecz spójrzmy, jakie konsekwencje wynikają z tego założenia! Te mianowicie, że znową milczenia wokół pewnych spraw życia, których prawdziwe oblicze dostrzegłby każdy bezstronny badacz, nie tylko należy tolerować, ale uznać za dowód prawości ludzi, którzy uważają siebie za strażników i nauczycieli prawdy i pobierają za to pieniądze.

Ernest nie widział logicznej obrony przeciwko tej konkluzji. Doszedł do wniosku, że wiarę pierwszych chrześcijan w cudowność zmartwychwstania Chrystusa można wyjaśnić rezygnując z założenia, że był to cud. Każdemu, kto zadałby sobie trochę trudu, wyjaśnienie to rzuciłoby się w oczy. Raz po raz przedstawiano je światu i nikt nie próbował go obalić. Dlaczego więc taki dziekan Alford, który poświęcił się egzegezie Nowego Testamentu, nie potrafi, względnie nie chce dostrzec faktów, które dla niego, Ernesta, są tak oczywiste? Czy mógłby być po temu inny powód niż ten, że nie chce ich widzieć, i czy wobec tego nie jest on człowiekiem, który zaparł się prawdy? Oczywiście, ale jednocześnie jest też człowiekiem, któremu życie nie poskapiło ani zaszczytów, ani powodzenia, a większość ludzi, którym życie nie poskapiło zaszczytów i powodzenia — jak na przykład wszyscy biskupi i arcybiskupi — postępuje jota w jotę jak dziekan Alford. Wreszcie czyż zaszczyty i powodzenie nie sankcjonują ich postępowania bez względu na to, czy w grę wchodzi kanibalizm lub dzieciobójstwo, czy nałogowe zakłamanie intelektualne?

Potworne, ohydne oszustwo! Kiedy Ernest spojrział na życie od strony tak przerażającej, a jednocześnie tak nieskazitelnie logicznej, jego słabe tętno zaczęło bić szybciej, a na twarz wystąpił rumieniec. Odkrycie, że większość ludzi to zwykli oszuści, wstrząsnęło nim, ale z tym mógł jakoś dać sobie radę. Przeraził się przelotnej refleksji, że może ci nieliczni, którzy dotąd nie oszukiwali, także powinni stać się oszustami. A w takim razie nie ma dla niego żadnej nadziei. Jeżeli tak jest istotnie, została mu tylko śmierć, im prędzej, tym lepiej. „Panie! — wołał bez słów — nie wierzę w ani jedno słowo, które napisano o cudzie zmartwychwstania. Boże, daj mi siły i umocnij mnie, abym wytrwał w niedowiarstwie.” Wydawało mu się, że zawsze, ile razy zobaczy biskupa, udającego się na uroczystą konsekrację, będzie sobie powtarzał: „Bóg strzegł, że nie jestem jednym z nich.” To nie była jego zasługa. Nie miał czym się chwalić. Gdyby żył za czasów Chrystusa, może zostałby jednym z pierwszych chrześcijan, ba — nawet apostołem, bo cóż ostatecznie można wiedzieć. Zważywszy więc wszystkie pro i contra uznał, że ma za co dziękować Bogu.

A więc wniosek, że lepiej jest wierzyć w fałsz niż w prawdę, należało natychmiast bezapelacyjnie odrzucić, choćby jego przesłanki logiczne były jak najbardziej oczywiste. Ale czy istnieje jakaś alternatywa? Owszem, a mianowicie, że nasze kryterium prawdy — tzn. jakoby

prawdą było to, co za prawdę uznaje większość rozsądnych ludzi, którym w życiu dobrze się powodzi — nie jest niezawodne. Zasada jest trafna w odniesieniu do znacznej większości przypadków, ale istnieją od niej wyjątki.

Postawił sobie z kolei pytanie, na czym te wyjątki polegają? Ach, to było trudne zagadnienie. Jest ich tak wiele, a prawidła, które nimi rządzą, są bardzo często tak lotne, że błędy zdarzały się zawsze i zawsze będą się zdarzać. Oto dlaczego nie da się ująć życia w kategoriach nauki ścisłej. Istnieje oportunistyczny, praktyczny sprawdzian prawdy oraz szereg prawideł rządzących wyjątkami, które można opanować stosunkowo łatwo. Zostaje jednak pewna ilość takich przypadków, w których decyzja jest trudna, tak trudna, że należy raczej kierować się instynktem niż próbować rozstrzygnąć je w drodze procesu myślowego.

A więc to instynkt jest najwyższą instancją odwoławczą? A co to jest instynkt? Jest to rodzaj wiary w oczywistość czegoś, czego w rzeczywistości się nie widzi. I w ten sposób mój bohater znalazł się niemal w tym samym punkcie, z którego wyruszył, a mianowicie uznał, że sprawiedliwi winni kierować się w życiu wiarą.

W taki też sposób ludzie sprawiedliwi — ściśle mówiąc rozsądni — podchodzą do codziennych spraw życiowych, które są dla nich najbardziej istotne. Sprawy mniejszej wagi załatwiają sami, posługując się własnym intelektem. Sprawy ważniejsze, jak leczenie swoich ciał oraz ciał osób, które kochają, lokatę pieniędzy, wyprowadzenie swych mocno zagrożonych interesów na czyste wody, powierzają zwykle osobom trzecim, których umiejętności znają zaledwie z nie sprawdzonych pogłosek. Jak z tego widać, kierują się w swym postępowaniu wiarą, a nie wiedzą. Z tych samych założeń wychodząc naród angielski powierza sprawy swej floty wojennej oraz obrony morskiej pierwszemu lordowi admiralicji, który, nie będąc marynarzem, a zatem nie mając o tych zagadnieniach zielonego pojęcia, wszystko, co wie w tej materii, zawdzięcza aktom wiary. A więc nie ma wątpliwości, że to wiara, a nie rozum jest *ultima ratio*.

Nawet Euklidesowi, który jest jednym z najmniej łatwowiernych twórców, jakich zna historia, nie udało się wyjść poza tę granicę. Swej pierwszej przesłanki nie potrafi udowodnić. Musi uciekać się do postulatów i aksjomatów, nie dających się udowodnić, i bez nich jest bezradny. W teorii Euklidesa nadbudowa jest konstrukcją dowodów, ale jej podstawą jest wiara. Wobec człowieka, który uparcie odmawia mu racji, może zdobyć się najwyżej na to, żeby go nazwać głupcem. Konkluduje: „co jest absurdem”, i uchyla się od dalszej dyskusji nad zagadnieniem. A więc wiara i autorytet są mu tak samo potrzebne jak każdemu śmiertelnikowi. „Dobrze — postawił sobie Ernest pytanie — ale w co ma wierzyć człowiek, który w naszych czasach chce żyć sprawiedliwie?” Odpowiedział sobie: „W każdym razie nie w nadprzyrodzone pochodzenie religii chrześcijańskiej.”

Jak przekonać swych ziomków, żeby przestali wierzyć, że religia chrześcijańska została objawiona? Oceniając zagadnienie z praktycznego punktu widzenia, Ernest uznał, że arcybiskup Canterbury reprezentuje sobą najbardziej obiecujące możliwości rozwiązania tego problemu. Klucza do odpowiedzi należy szukać u arcybiskupa i papieża. W teorii należało zacząć od papieża, ale biorąc rzecz praktycznie arcybiskup Canterbury w zupełności wystarczy. Gdyby

Ernestowi się udało zaszczepić mu trochę niedowiarstwa, za jednym zamachem nawróciłby cały Kościół anglikański na wolnomyślicielstwo. Muszą przecież istnieć takie argumenty, które nawet dla arcybiskupa — arcybiskupa, którego apercpcja jest przytępiona, bo nie siedział w więzieniu za napaść — są tak dalece przekonujące, że nie zdoła się im oprzeć. Kiedy stanie oko w oko wobec faktów, które on, Ernest, mu przedłoży, jego eminencja nie będzie miał innego wyjścia, jak uznać ich oczywistość, a będąc człowiekiem honoru, natychmiast zrezygnuje ze swego stolca arcypasterskiego, a po kilku miesiącach z religii chrześcijańskiej nie

zostanie w Anglii ani śladu. Taki obrót sprawy byłby na pewno ze wszech miar wskazany. Ale mimo wszystko Ernest nie miał pewności, czy arcybiskup na moment przed zaszczepieniem mu niedowiarstwa, nie da potężnego susa, a to wydawało mu się tak nieuczciwe, że krew kipiała w nim z oburzenia na samą myśl o takiej ewentualności. W takim wypadku będzie musiał spróbować, czy nie uda mu się w jakiś rozumny sposób wziąć go na lep lub usidłać albo podstępnie dać mu zastrzyk sceptycyzmu.

Trzeba oddać Ernestowi sprawiedliwość, że nie o siebie mu chodziło w tym wszystkim. Wiedział, że wystrychnięto go na dudka, i zdawał sobie sprawę, że katastrofy życiowe, które go spotkały, są pośrednio, i to w znacznej mierze, konsekwencją roli, jaką odgrywają w społeczeństwie doktryny chrześcijańskie. Gdyby on sam był ostatnią ofiarą tej nikczemności, nie wziąłby swego nieszczęścia za bardzo do serca, ale nie mógł przecież zapomnieć o siostrze i braciszku Józiu oraz o setkach i tysiącach młodych Anglików, którym zatrutowano duszę jadem oszustw, a przecież ci, co to robią, powinni się orientować, że robią źle, cóż, kiedy wołają wymigiwać się od trudności zamiast stawić im czoło. Z tych względów uważał, że nie wolno mu przejść obok tej sprawy obojętnie i powinien rozważyć, czy nie mógłby czegoś zrobić, żeby przynajmniej innym ludziom zaoszczędzić tylu zmarnowanych lat i nieszczęść, które jego tak ciężko dotknęły. Jeżeli świadectwa o śmierci 4 cudownym zmartwychwstaniu Chrystusa są fałszem, to tym samym cała religia, której fundamentem jest historyczna prawdziwość tych zdarzeń, legła w gruzach. „Patrzcie, do czego ludzie doszli! — zawołał w zarozumiałym zuchwalstwie, właściwym młodości. — Cyganek albo wróżkę pakują do więzienia za to, że wyłudza pieniądze od ludzi, którzy naiwnie sądzą, że jest w tej kobiecie jakaś nadprzyrodzona siła. Dlaczego więc nie zamyka się księdza, który gra komedię, że potrafi odpuszczać grzechy albo chleb i wino przemieniać w ciało i krew człowieka, który umarł dwa tysiące lat temu? Czy można wyobrazić sobie — zadawał sobie pytanie — szwindel w bardziej czystej postaci, niż kiedy biskup kładzie ręce na młodym człowieku i chce ludziom wmówić, że przelewa w niego nadprzyrodzoną moc czynienia tego cudu? Tolerancja to bardzo ładna idea, ale tolerancja, jak wszystko na świecie, ma swoje granice, a poza tym, jeżeli stosuje się ją do biskupa, to należy także stosować ją do wróżki.” Wkrótce wyłoży to wszystko arcybiskupowi Canterbury, lecz zaświtała mu myśl, że zanim dostanie go w swe ręce, może z powodzeniem eksperymentować na bardziej nikczemnej duszy kapelana więziennego. Jedyne ci, którzy decydują się na pierwszy i najbardziej oczywisty krok, jaki jest możliwy do zrobienia w ich sytuacji, dokonają w końcu rzeczy wielkich, więc pierwszego dnia, kiedy pan Hughes — tak się nazywał ów kapelan — przyszedł do niego na rozmowę, Ernest poruszył kwestię materiału dowodowego, jakim rozporządza chrystianizm, i próbował nawiązać dyskusję w tej materii. Pan Hughes był bardzo uprzejmy, ale będąc od niego przeszło dwa razy starszy, już od dawna miał wyrobione zdanie na temat zarzutów, które Ernest chciał mu przedłożyć. Wydaje mi się, że podzielał zdanie Ernesta co do obiektywnej prawdy świadectwa biblijnego o 'zmartwychwstaniu i wniebowstąpieniu Chrystusa, ale jednocześnie wiedział, że nie posiada to większego znaczenia, a istota zagadnienia ukryta jest daleko głębiej.

Pan Hughes sprawował swą władzę kapłańską od wielu lat, więc odpędził Ernesta jak uprzykrzoną muchę. Zrobił to tak zręcznie, że memu bohaterowi odechciało się wdawać z nim w jakiegokolwiek dysputy, wobec czego w przyszłości ograniczył się do rozmów na temat, jak ma ułożyć sobie życie po wyjściu z więzienia, a w tej dziedzinie pan Hughes zawsze był gotów wysłuchać go życzliwie i uprzejmie.

ROZDZIAŁ LXVI

Ernest przyszedł do siebie tak dalece, że większą część dnia mógł spędzać siedząc na krześle. W więzieniu był już od trzech miesięcy i choć był jeszcze za słaby, żeby opuścić izbę chorych, niebezpieczeństwo nawrotu choroby już mu nie groziło. Pewnego dnia, rozmawiając z panem Hughesem o swej przyszłości, ponownie wyraził chęć wyjazdu do Nowej Zelandii lub Australii z resztą pieniędzy, które zwróci mu Pryer. Uderzyło go jednak, że za każdym razem, kiedy poruszał ten temat, pan Hughes stawał się poważny i zbywał go milczeniem. Pomyślał sobie, że, być może, kapelan pragnie, żeby on wrócił do kapłańskiego stanu, i ujemnie ocenia jego zdecydowaną intencję zabrania się do czegoś zgoła innego. Teraz jednak zapytał księdza prosto z mostu, dlaczego jest przeciwny jego emigracyjnym planom.

Pan Hughes próbował zrećnie uchylić się od odpowiedzi, ale Ernest nie dał się zbić z tropu. Kapelan zachowywał się dziwnie, co nasunęło Ernestowi podejrzenie, że coś przed nim ukrywa. Ernest przestraszył się nie na żarty i zaczął błagać kapelana na wszystko, żeby nie zostawiał go w stanie niepewności, a pan Hughes po krótkim wahaniu uznał prawdopodobnie, że Ernest jest dostatecznie silny, by znieść złą wiadomość bez szwanku dla zdrowia, i poinformował go, możliwie jak najbardziej oględnie, że jego cały kapitał przepadł bez śladu.

Następnego dnia po powrocie z Battersby wstąpiłem do mego adwokata i dowiedziałem się, że wysłał do Pryera wezwanie o zwrot kwoty, której odbiór potwierdził pokwitowaniami. Pryer odpowiedział, że dał polecenie swemu maklerowi zamknięcia operacji finansowych, które, jak dotąd, niestety, przyniosły poważną stratę, i zakomunikował, że wpłaci saldo do rąk mego adwokata w następnym dniu obrachunkowym, który wypadał mniej więcej za tydzień. Kiedy w oznaczonym terminie Pryer nie dał znaku życia, udaliśmy się do jego mieszkania i stwierdziliśmy, że wyprowadził się z domu, zabierając swe nieliczne ruchomości, zaraz następnego dnia po otrzymaniu naszego wezwania i od tego czasu nie widziano go więcej na oczy.

Ernest wymienił mi kiedyś nazwisko maklera, który prowadził wspomniane interesy giełdowe, więc poszedłem do niego bez zwłoki. Ów pan poinformował mnie, że Pryer dokonał z nim rozliczenia gotówkowego w tym samym dniu, w którym Ernest został skazany na karę więzienia, i zainkasował dwa tysiące trzysta piętnaście funtów szterlingów, ponieważ tyle zostało z pięciu tysięcy Ernesta. Z tą sumą Pryer ulotnił się jak kamfora, a my byliśmy zupełnie bezradni, bo nie mieliśmy w rękę żadnej nici, która mogłaby naprowadzić nas na jego ślad. Nie pozostawało nam nic innego, jak uznać pieniądze za stracone. Muszę w tym miejscu dodać, że ani ja, ani Ernest nie trafiliśmy nigdy na jego ślad i nie mamy pojęcia, co z nim się stało.

Znalazłem się w trudnej sytuacji. Wiedziałem, rzecz jasna, że za kilka lat Ernest otrzyma wielokrotnie większą sumę pieniędzy od tej, którą teraz stracił, ale wiedziałem też, że on o tym nic nie wie, i obawiałem się, że zgnębiony dotychczasowymi niepowodzeniami może się zupełnie załamać na wiadomość o rzekomej stracie całego majątku.

Z listu, który znaleziono w kieszeni Ernesta, zarząd więzienia dowiedział się o adresie Teobalda i kilkakrotnie informował go o chorobie syna, ale Teobald nie odezwał się do mnie ani słowem, więc przypuszczałem, że mój chrześniak cieszy się dobrym zdrowiem. Po wyjściu na wolność będzie miał akurat dwadzieścia cztery lata, czyli będzie musiał, gdybym zechciał ściśle trzymać się poleceń jego ciotki, jeszcze przez cztery lata walczyć z losem wyłącznie o własnych siłach. Stałem więc wobec dylematu, czy ma prawo narażać go na tak poważne ryzyko, czy raczej powinienem w pewnym sensie przekroczyć moje pełnomocnictwa i dać mu taką kwotę,

jaka należała mu się od Pryera, a nic nie stało temu na przeszkodzie, gdybym uznał, że takie postawienie sprawy odpowiadałoby życzeniom panny Pontifex.

Gdyby mój chrześniak był człowiekiem starszym, gdyby miał jakiś sprecyzowany cel w życiu, postąpiłbym tak bez wahania, ale był jeszcze bardzo młody i jak na swoje lata wyjątkowo nieuformowany. Z drugiej strony, gdybym wiedział o jego chorobie, nie odważyłbym się komplikować mu życia i przysparzać mu jeszcze większych trudności od tych, z którymi się borykał. Będąc jednak spokojny o jego zdrowie, uznałem, że kilka chudych lat oraz doświadczenie, że w sprawach pieniężnych akrobacja jest niewskazana, nie mogą mu zaszkodzić. Wobec tego zdecydowałem, że będę go bacznie obserwować po wyjściu na wolność, ale niech skacze na głęboką wodę i daje sobie radę, jak potrafi, aż będę miał sposobność przekonać się, czy pływa, czy zaczyna tonać. W pierwszym przypadku pozwolę mu pływać i dopiero na jakiś czas przed ukończeniem dwudziestu ośmiu lat zacznę go stopniowo przygotowywać na szczęśliwy zwrot w jego życiu, a w drugim — pospieszę mu na ratunek. A więc zawiadomiłem go pisemnie, że Pryer ulotnił się i że po wyjściu z więzienia może dostać sto funtów od ojca. Potem czekałem spokojnie na wiadomość, jaki efekt wywarły na nim te nowiny, nie spodziewając się odpowiedzi przed upływem trzech miesięcy, gdyż powiedziano mi, że więźniom doręcza się listy dopiero po odbyciu co najmniej trzech miesięcy kary. Napisałem także do Teobalda z zawiadomieniem o zniknięciu Pryera.

Sprawa wzięła jednak inny obrót. Naczelnik więzienia po przeczytaniu mego listu był skłonny przez wzgląd na wagę zawartych w nim wiadomości odstąpić od regulaminu, lecz choroba Ernesta pokrzyżowała jego dobre chęci. Wobec tej komplikacji naczelnik zwrócił się do kapelana i doktora, żeby przekazali Ernestowi wspomniane informacje, kiedy uznają go za dostatecznie silnego — i teraz to nastąpiło. W międzyczasie otrzymałem urzędowe potwierdzenie odbioru mego listu, w którym zawiadamiano mnie, że we właściwym czasie zostanie przekazany więźniowi. Wydaje mi się, że tylko z powodu zwykłego przeoczenia urzędnika nie zostałem poinformowany o chorobie Ernesta, dość na tym, że nic o niej nie wiedziałem aż do czasu mego widzenia się z Ernestem. Ernest poprosił o to widzenie w jakiejś kilka dni po rozmowie, w której kapelan zdał mu sprawę z treści mego listu.

Był okropnie przybity wiadomością o stracie pieniędzy, ale będąc zupełnym ignorantem w sprawach życiowych nie zdawał sobie sprawy z rozmiarów swej klęski. Brak pieniędzy nigdy jeszcze nie przycisnął go do muru, więc nie wiedział, co to znaczy nie mieć ani pensa w kieszeni. W istocie rzeczy straty materialne są dla ludzi dostatecznie dojrzałych, żeby je zrozumieć, ze wszystkich katastrof życiowych najcięższe do zniesienia.

Człowiek potrafi wykazać hart ducha na wiadomość, że musi poddać się ciężkiej operacji lub że zapadł na nieuleczalną chorobę i dni jego są policzone albo wreszcie, że do końca życia będzie kaleką lub ślepcem. Nie neguję, że straszne muszą być takie nowiny, ale wielu ludzi idzie nawet na szubienicę z zimną krwią, podczas gdy najodporniejsi truchleją ze strachu w obliczu ruiny materialnej i z reguły im stoją na wyższym poziomie, tym bardziej załamują się na duchu. Samobójstwa w konsekwencji niepowodzeń materialnych są na porządku dziennym, ale do samobójstwa, jako do sposobu uwolnienia się od cierpień fizycznych, ludzie uciekają się bardzo rzadko. Dopóki czujemy na tyle przyzwoite oparcie w środkach materialnych, że możemy cierpliwie poczekać na śmierć w ciepłym łóżku, wychylamy kielich naszego życia do dna bez względu na to, jak straszliwe są cierpienia, które nas gnębią. Według wszelkiego prawdopodobieństwa Hiob bardziej był strapiiony utratą trzód i stad niż utratą żony i rodziny, ponieważ brak rodziny nie zmąciłby jego radości z posiadania stad i trzód, natomiast po utracie całego dobytku niezbyt długo zdołałby cieszyć się rodziną. Utrata majątku jest nie tylko sama przez się najgorszym ze wszystkich cierpień, lecz, co więcej, z niej biorą początek wszystkie inne

utrapienia. Wyobraźmy sobie człowieka, któremu dostał się skromny mająteczek i który nie jest specjalistą w żadnym zawodzie, wyobraźmy sobie dalej, że nagle utracił całe swoje mienie — a więc musiał, rzecz prosta, zmienić swe nawyki i przyzwyczajenia. Czy jego organizm długo potrafi skutecznie bronić się przeciwko ujemnym konsekwencjom tak gwałtownej zmiany trybu życia? Jak długo znajomi darzyć go będą szacunkiem i sympatią, kiedy się dowiedzą o jego ruinie? Ludzie mogą nam szczerze współczuć, ale podstawę ich dotychczasowego stosunku do nas stanowiło domniemanie, że znajdujemy się w określonej sytuacji materialnej. Jeżeli w pewnej chwili ta fundamentalna przesłanka załamie się, problem społeczny, którym dla nich jesteśmy, musi zostać na nowo zdefiniowany, albowiem uzyskaliśmy szacunek na podstawie sfałszowanych dokumentów. Zgadza się wszyscy, że utrata majątku, zdrowia i dobrego imienia są najgorszymi z wszystkich katastrof życiowych, jakie mogą spotkać człowieka. Utrata majątku jest spośród nich bez wątpienia najdotkliwsza, drugie miejsce zajmuje choroba, a na trzecim znajduje się utrata szacunku bliźnich. Utrata dobrego imienia jest złem trzeciej kategorii, jeżeli bowiem człowiek zdołał zachować majątek i zdrowie w stanie nienagannym, to w praktyce oznacza to, że dopuścił się wykroczenia tylko przeciwko parweniuszowskim konwenansom, ale nie obraził tradycyjnych, dobrze ugruntowanych kanonów, których autorytet społeczny jest bezsporny. W takim przypadku człowiek potrafi zregenerować swe dobre imię w opinii społeczeństwa z taką samą łatwością, z jaką homar regeneruje swe kleszcze, albo może żyć sobie w zdrowiu i dostatku, obywając się znakomicie bez dobrego imienia. Dla bankruta nie ma żadnej deski ratunku, chyba że jest jeszcze tak młody, by znieść zabieg wyrwania z korzeniami i przesadzenia bez obawy przewlekłych komplikacji, a wydawało mi się, że mój chrześniak spełnia ten warunek.

Zgodnie z regulaminem więziennym, po odbyciu trzech miesięcy kary mógł otrzymać i wysłać jeden list oraz mieć jednorazowe widzenie z kimś z grona swych znajomych. Kiedy dostał mój list, natychmiast napisał do mnie z prośbą, żebym do niego przyjechał, czego naturalnie mu nie odmówiłem. Zmienił się ogromnie, a był wtedy jeszcze tak wyczerpany, że wysiłek, na który musiał się zdobyć, żeby przejść z izby chorych do celi, gdzie udzielono mi zezwolenia na widzenie, i podniecenie, jakie ogarnęło go na mój widok, okazały się ponad jego siły. W pierwszej chwili — li załamał się niemal zupełnie, a ja tak bardzo zmartwiłem się stanem, w jakim go znalazłem, że byłem już prawie zdecydowany nie czekać dłużej i natychmiast wykroczyć przeciwko dyrektywom mej mocodawczym. Na razie jednak poprzestałem na zapewnieniu go, że udzieli mu natychmiast po wyjściu z więzienia pomocy, oraz nadmieniałem, żeby zastanowił się, co chce robić w przyszłości, gdyż bez żadnych skrupułów może zwrócić się do mnie o potrzebną mu sumę pieniędzy, jeżeli ojciec zostawi go na lodzie. Chcąc ułatwić mu sytuację, powiedziałem także, że jego ciotka zwróciła się do mnie na łożu śmierci, żebym w przypadku nagłej potrzeby pomógł mu właśnie w taki sposób, a więc w istocie rzeczy dostanie pieniądze, które zostawiła mu jego własna ciotka.

— W takim razie — rzekł — nie wezmę od ojca stu funtów, nie chcę ani jego, ani matki więcej widzieć na oczy.

Odpowiedziałem:

— Weź te sto funtów, bierz nawet więcej, ile tylko zdołasz wyciągnąć, a potem możesz ich więcej nie widzieć, jeżeli nie masz na to ochoty.

Ernest nie chciał na to przystać. Jeżeli weźmie od nich pieniądze, nie będzie mógł z nimi zerwać, a nie chciał ich znać. Pomyślałem sobie, że mój chrześniak wyjdzie na tym dużo lepiej, jeżeli zgodnie ze swoją zapowiedzią wytrwa w postanowieniu zerwania wszelkich stosunków z rodzicami, więc mu o tym powiedziałem.

— Czyżby pan ich nie lubił? — zapytał i spojrzał na mnie ze zdziwieniem.

— Czy lubię? — odparłem. — Uważam, że są koszmarni.

— Jest to największa przysługa, jaką mi pan dotąd wyświadczył — zawołał. — Byłem przekonany, że wszyscy... wszyscy ludzie w średnim wieku darzą mych rodziców sympatią!

Niewiele brakowało, a byłby nazwał mnie starym, a liczyłem sobie wówczas dopiero pięćdziesiąt siedem lat i wcale nie miałem ochoty na taki epitet. Skrzywiłem się widząc, że się zawahał, więc cofnął się na „w średnim wieku”.

— Jeżeli robi ci to przyjemność — rzekłem — to powiem także, za cała twoja rodzina, z wyjątkiem ciebie i twej ciotki Aletei, jest koszmarna. Lwia część każdej rodziny jest odrażająca. W bardzo dużej rodzinie trafiają się najwyżej jeden lub dwa udane osobniki, i to jest wszystko, czego można się spodziewać.

— Dziękuję panu — odparł z wdzięcznością. — Sądzę, że teraz potrafię znieść niemal wszystko. Przyjdę do pana natychmiast po wyjściu z więzienia. Do widzenia — w tym momencie bowiem strażnik więzienny powiedział nam, że czas przewidziany na naszą rozmowę dobiegi końca.

ROZDZIAŁ LXVII

Kiedy Ernest dowiedział się, że po wyjściu z więzienia będzie miał puste kieszenie, zrozumiał, iż przysły jego marzenia o emigracji i gospodarowaniu na roli, ponieważ zdawał sobie sprawę, że nie podoba pracy za pługiem ani w lesie siekierą. Musiał również liczyć się z tym, że nikt inny za niego tych robót nie wykona, bo nie będzie miał pieniędzy, żeby za to zapłacić. Głównie z tego powodu postanowił natychmiast zerwać z domem rodzicielskim. Gdyby wyjechał za granicę, nie musiałby z nimi zrywać, ponieważ byłby za daleko, żeby mogli się wtrącać w jego sprawy.

Wiedział, że zerwanie stosunków nie będzie po myśli ojca i matki, ponieważ stracą szansę do pokazania ludziom, jacy są dobrzy i niepamiętliwi swych krzywd. Fakt, że nie będą mogli go dręczyć, także zrobi im wyraźną przykrość. Zdawał sobie jednak sprawę, że dopóki będzie chodzić z nimi w jednym zaprzęgu, oni będą ciągnąć w jedną, a on w drugą stronę. Nie miał żadnych aspiracji do pozycji towarzyskiej, wołał znaleźć się w szeregach zwyczajnych ludzi i zacząć od najniższego szczebla drabiny społecznej, gdzie nikt o jego hańbie nie będzie wiedział, a nawet gdyby wiedział, nie weźmie mu jej za złe. Tymczasem jego rodzice na pewno pragną, żeby za wszelką cenę zatrzymał choćby najpodlejszą pozycję w przyzwoitym towarzystwie i wegetował z głodowej pensji bez żadnych perspektyw na przyszłość. Ernest dostatecznie dużo widział na Asphit Place, żeby wiedzieć, że krawiec, który nie pije i przykłada się do roboty, może zarobić więcej od urzędnika i wikarego, a wydatki ma także stosunkowo mniejsze, bo nie wymaga się od niego wystawnego życia. Krawiec ma więcej swobody oraz większe perspektywy dojścia do czegoś w życiu. Zważywszy więc, że upadł już tak nisko, postanowił bez chwili wahania upaść jeszcze niżej — żwawo, zgrabnie i z zamiarem wydrapania się z powrotem z biedy, co w jego mniemaniu było daleko mądrzejsze niż cackać się ze swoją urojoną godnością, która skaze go na głodową egzystencję i zmusi do płacenia słonej ceny za przedmiot, bez którego może obejść się z pożytkiem dla siebie.

Doszedł do tych wniosków daleko szybciej, niż można było po nim się spodziewać, bo przypomniał sobie, jak kiedyś jego ciotka mówiła o „dotykaniu ziemi”. Ogromnie mu się to wtedy spodobało, a ponieważ ciotczyna sentencja była lapidarna, więc prawdopodobnie dlatego dobrze ją zapamiętał. Kiedy po jakimś czasie poznał legendę o Herkulesie i Anteuszu, uznał ją za jedną z nielicznych baśni starożytnych, które go zafascynowały, a dodać trzeba, że stanowią one jedyny i podstawowy dług, jaki zaciągnął wobec literatury klasycznej. Ciotka pragnęła, żeby nauczył się stolarki, ponieważ wychodziła z założenia, że to może mu się przydać jako lekcja pokory, gdyby kiedyś jakiś jego własny Herkules powalił go na ziemię. Teraz było za późno na uczenie się stolarki — tak przynajmniej uważał — ale ostatecznie forma wprowadzenia w czyn koncepcji ciotki jest nieistotna. Istnieją setki innych sposobów „dotknięcia ziemi” i niekoniecznie trzeba w tym celu zostać stolarzem.

Powiedział mi o tym w czasie naszego widzenia, a ja w najgorętszych słowach nie szczędziłem mu zachęty. Nie spodziewałem się, że stać go aż na tyle zdrowego rozsądku, więc teraz zacząłem trochę bardziej optymistycznie patrzeć na jego przyszłość i zdecydowałem, żeby radził sobie, jak potrafi, a ja zawsze będę gotów wkroczyć, gdyby jego sprawy posunęły się za daleko w fałszywym kierunku. Fakt, że czuł do swych rodziców szczerą antypatię, nie był jedynym powodem, dla którego nie chciał mieć z nimi nic wspólnego. Jakiś wewnętrzny głos ostrzegł go bardzo wyraźnie, że uda mu się dojść do czegoś w życiu tylko pod tym warunkiem, o ile całkowicie zerwie z rodzicami, ponieważ był pewny, że będą rzucać mu kłody pod nogi i

doprowadzą go do ostatecznej ruiny, jeżeli będą mieli z nim choćby najluźniejszy kontakt lub dowiedzą się, gdzie mieszka. Zupełna niezależność była w jego mniemaniu podstawowym warunkiem jego istnienia.

Poza tym Ernest wierzył jeszcze w swoje przeznaczenie, podobnie jak wierzy w nie, o ile mi wiadomo, większość młodych ludzi, a podstaw tej wiary poza nim jedynym nikt inny dostrzec nie potrafił. Słusznie czy niesłusznie, bez obnoszenia się z tym na zewnątrz, wierzył uparcie, że jest w nim jakaś siła, dzięki której mógłby dokazać wielkich rzeczy, gdyby pozwolono mu wykorzystać ją według własnej woli. Nie wiedział, kiedy ani gdzie, ani w jakiej postaci zjawi się jego wielka szansa życiowa, ale nigdy nie wątpił, że mimo niepowodzeń, które go spotkały, kiedyś przecież nadejdzie, i niezachwianie wierzył, że jej nie zmarnuje, bo w każdym razie będzie to coś takiego, co tylko on jeden ze wszystkich ludzi na świecie potrafi zrobić najlepiej. Powiada się, że w naszych czasach nie ma ani smoków, ani olbrzymów, z którymi mogliby zmagać się ludzie kochający przygodę — a tymczasem Ernest zaczął z wolna uświadamiać sobie, że jest. ich dziś tak samo dużo jak w przeszłości.

Nie neguję, że cudaczną może wydawać się wiara, z jaką przypisywał sobie wielkie posłannictwo, choć siedział właśnie za kratkami więzienia, ale było to od niego niezależne w takim samym stopniu jak fakt, że oddycha. Z tą wiarą przyszedł na świat i ona była ostateczną racją, w imię której postanowił zerwać stosunki z rodzicami. Zdawał sobie bowiem jasno sprawę, że gdyby kiedyś nadszedł dzień, w którym okazałoby się, że on także posiada kwalifikacje, żeby stanąć do takiego wyścigu, w którym udział ze względu na wyborową stawką przyniósłby mu zaszczyt, jego rodzice z początku daliby mu na to swą zgodę, ale podczas wyścigu przeszkadzaliby mu ze wszystkich sił. Pierwsi powiedzieliby mu, że powinien wziąć udział w takich zawodach, ale gdyby poszedł za ich radą, pierwsi podstawiliby mu nogę na trasie, a potem nie szczędziliby mu wymówek, że przegrał. Do niczego nie dojdzie, jeżeli nie uwolni się od ludzi, którzy wiecznie będą chcieli go zmusić, żeby wrócił na utarte szlaki, Próbował nimi iść i stwierdził ich zupełną nieprzydatność.

Teraz ma sposobność, której wykorzystanie zależy tylko od jego decyzji — może bowiem raz na zawsze uwolnić się od tych wszystkich, którzy będą go dręczyć i ściągać na ziemię, gdyby zdarzyła mu. się szansa wzbic w przestworza. Tę jedyną okazję w swym życiu zawdzięczał wyłącznie temu, że dostał się do więzienia. Gdyby nie to, szedłby dalej utartą drogą. Nigdy nie miałby okazji pójścia swoją drogą, gdyby nie stracił wszystkiego aż do ostatniego pensa. Przepaść, która dzieli go od przeszłości, celowo jest tak szeroka, żeby przypadkiem nie przysłała mu chętką na przerzucenie przez nią kładki. Radował się więc, że stracił pieniądze, i cieszył się, że skazano go na więzienie, bo mógł dzięki temu z większą swobodą kierować się tylko tym, co przyniesie mu największą i najtrwalszą korzyść.

Czasem dręczyły go wątpliwości. Gnębiła go myśl, że matka, która na pewno kocha go na swój sposób, wypłacze oczy i zamartwi się jego losem, nie było też wykluczone, że zachoruje ze zgryzoty i umrze, a wtedy cała odpowiedzialność spadnie na jego sumienie.. W takich okresach był bliski załamania się, ale kiedy przekonał się, że pochwalam jego zamiary, głos wewnętrzny, który namawiał go, żeby nigdy więcej nie przestąpił rodzinnego progu, zabrzmiał donośniej i bardziej natarczywie. Jeżeli nie podejmie ryzyka oswobodzenia się od rodziców, którzy — jak zdawał sobie sprawę — będą kępować swobodę jego postępowania, zwłaszcza teraz, kiedy może tego dokonać stosunkowo łatwo, jego marzenia o wielkiej przyszłości są pozbawione wszelkiego sensu. A cóż znaczy perspektywa posiadania stu funtów w porównaniu z taką katastrofą? W dalszym ciągu dręczyła go świadomość, jak boleśnie zranił rodziców swym hańbiącym postępkami, lecz przybywało mu sił, więc rozumował, że skoro na własne ryzyko musi borykać się z losem mając takich rodziców, jakimi są Teobald i Krystyna, oni na swój

własny rachunek muszą zмагаć się ze swoją dolą mając takiego syna jak on.

Kiedy był już o krok od wspomnianej konkluzji, dostał list *od* Teobalda, który przeważał szalę, i decyzja Ernesta stała się nieodwołalna. Gdyby w tym przypadku oparto się na literalnym brzmieniu więziennego regulaminu, nie otrzymałby tego listu przed upływem następnych trzech miesięcy, ponieważ w ostatnim okresie dostał już list ode mnie, ale naczelnik przymknął na to oczy i uznał, że list ode mnie zawierał tylko suche informacje, a zatem trudno było go zaliczyć do kategorii listów od znajomych. Z tych względów doręczono mu także list od ojca. A oto jego treść:

Drogi Erneście! Pisząc do Ciebie ten list nie mam zamiaru robić Ci wymówek za wstyd i hańbę, która z Twego powodu okryła mnie i Twą matkę, a także Józia i Twą siostrę. Cierpimy, bo jest to naturalnie nieuniknione, ale wiemy, do kogo mamy udać się w naszej zgrzyocie, i dlatego w naszych znękanych sercach bardziej lękamy się o Ciebie niż o siebie samych. Masz wspaniałą matkę. Cieszy się bardzo dobrym zdrowiem i prosi mnie, żebym przekazał Ci od niej wiele serdeczności.

Czy rozważyłeś już, jakie masz perspektywy po wyjściu z więzienia? Na podstawie informacji pana Overtona wnioskuję, że zaprzepaściłeś legat, zapisany Ci przez Twego dziadka w testamencie, wraz z odsetkami, które przyrosły w czasie Twojej małoletności, i to na skutek spekulacji na giełdzie! Jeżeli rzeczywiście jesteś winien szaleństwa, którego bezmiar nie mieści się w głowie, trudno jest rzec, do czego możesz się nadawać, więc mniemam, że spróbujesz znaleźć sobie posadę kancelisty w jakimś biurze. Z początku Twoja pensja na pewno będzie niewielka, ale nie możesz mieć o to do nikogo pretensji, bo wyśpisz się tak, jak sam sobie posłałeś. Jeżeli wyteżysz siły, żeby dogodzić swoim pracodawcom, na pewno nie ominie Cię stosowny awans.

Kiedy po raz pierwszy dowiedziałem się z ust pana Overtona o niesłychanym nieszczęściu, które dotknęło mnie i Twoją matkę, byłem zdecydowany nie widzieć Cię więcej na oczy. Nie chciałbym jednak uciekać się do tej sankcji, bo wiem, że oznaczałoby to zerwanie ostatniej nici łączącej Cię z porząd- nymi ludźmi. Chcemy razem z Twą matką zobaczyć się z Tobą, jak tylko wyjdiesz z więzienia. Nie w Battersby, bo nie chcemy, żebyś na razie tu przyjeżdżał, ale w jakimkolwiek innym miejscu, prawdopodobnie w Londynie. Nie potrzebujesz lękać się spotkania z nami, nie będziemy Ci robić wyrzutów. Zdecydujemy wtedy o Twej przyszłości.

W obecnej chwili mamy wrażenie, że łatwiej Ci będzie zacząć w Australii albo w Nowej Zelandii niż tutaj, i jestem skłonny postarać się o siedemdziesiąt pięć funtów, a nawet, jeżeli trzeba będzie, o sto funtów, żebyś miał czym zapłacić za drogę. Kiedy znajdziesz się w kolonii, będziesz musiał polegać tylko na własnych siłach.

Niech Bóg ma Cię w opiece i przywróci Cię nam po latach, kiedy będziesz godny odzyskać szacunek społeczeństwa.

Twój kochający Cię ojciec

T. Pontifex

A potem był dopisek ręką Krystyny.

Mój kochany, kochany chłopcze, wznosz wraz ze mną modły co dnia i co godzinę, byśmy mogli stać się znowu szczęśliwą, bogobojną i w miłości zespoloną rodziną, jaką byliśmy, zanim spadło na nas to straszliwe nieszczęście.

Twoja zatroskana, ale kochająca Cię matka

K. P.

Efekt tego listu byłby bez wątpienia odmienny, gdyby Ernest otrzymał go, zanim dostał się do więzienia. Matka i ojciec liczyli, że mają do czynienia z takim samym Ernestem, jakim go

znali. Zapomnieli, że dla młodego człowieka o gorącym sercu nieszczęście staje się bodźcem do niezwykle szybkich przeobrażeń. Ernest pozostawił list ojca bez odpowiedzi, a pragnienie zupełnego zerwania z „rodzicami odezwało się w nim z siłą jakiejś obsesji. „Zakłada się przytułki — zawołał do samego siebie — dla dzieci, które utraciły rodziców, ach, dlaczego, dlaczego, dlaczego nie ma takich miejsc, gdzie mogliby się schronić dorośli, którzy ich jeszcze mają?" I rozmyślał nad rajskim szczęściem Melchizedecha, który przyszedł na świat jako sierota, bez ojca, bez matki i nie miał potomstwa.

ROZDZIAŁ LXVIII

Kiedy zastanawiam się nad tym, co opowiedział mi Ernest o swych więziennych rozmyślaniach i wnioskach, do jakich doszedł, wydaje mi się, że w gruncie rzeczy pragnął postąpić w sposób krańcowo sprzeczny ze swymi rzeczywistymi intencjami. Pragnął wyrzec się rodziców w imię Jezusa Chrystusa. Ernest wystąpiłby naturalnie z uzasadnieniem, że chce się ich wyrzec, ponieważ przeszkadzają mu w drodze do tego, co jest jego największym i najbardziej trwałym szczęściem. Zgoda, ale czymże jest takie szczęście, jeśli nie synonimem Chrystusa? Czym jest Chrystus, jeśli nie tym właśnie? Człowiek, który własne- mu szczęściu stawia wymagania najbardziej wygórowane i najbardziej egoistyczne, na jakie stać jego wyobraźnię, i jest im wierny wbrew wszelkim konwenansom, jest chrześcijaninem bez względu na to, czy zdaje sobie z tego sprawę i czy się za takiego uważa. Róża nie przestaje być różą tylko dlatego, że nie wie, jak się nazywa.

Cóż z tego, że dzięki wyjątkowo sprzyjającym okolicznościom mógł spełnić swoją powinność łatwiej od większości śmiertelników? Na tym polegało jego szczęście, tak samo jak szczęście wielu innych ludzi polega na tym, że dzięki urodzeniu lub przypadkowi mogą łatwiej wypełniać jakieś inne obowiązki. Przecież ci, co rodzą się bogaci albo przystojni, mają prawo do tego szczęścia. Niektórzy powiedzą pewnie, że to niesprawiedliwe, jeśli człowiek rodzi się z mocniejszym organizmem od swego bliźniego, inni znów będą twierdzić, że tylko ten, komu dopisuje szczęście, zasługuje na szacunek. Jedni i drudzy, jak sądzę, potrafią przytoczyć wiele doskonałych argumentów na uzasadnienie swego stanowiska, ale nie wchodząc, którzy z nich mają rację, można przyjąć z całą pewnością, że Ernest miał takie samo prawo do szczęścia, polegającego na ułatwieniu mu spełnienia obowiązku, jak do nieszczęścia, które zapędziło go w kłopoty, a następnie do więzienia. Nie należy szydzić z człowieka dlatego, że ma w karcie atu, natomiast trzeba z niego drwić, jeżeli źle nim zagrał.

Twierdzą stanowczo, że Ernest wcale nie miał łatwiejszego zadania od innych ludzi, którzy chcą wyrzec się rodziców dla Jezusa Chrystusa. Wydaje mi się, że w każdym takim przypadku do decyzji zerwania z rodzicami dochodzi dopiero wtedy, kiedy stosunki między zainteresowanymi stronami są po-

Ważnie nadwerężone. Wydaje mi się także, że nie zdarzyło się jeszcze, żeby ktoś został zmuszony do wyrzeczenia się bliskich mu osób, do których jest serdecznie przywiązany, wyłącznie w imię zasad moralnych. Człowiek, który dojrzał do wyrzeczenia się swych bliskich, na pewno już dawno przestał być do nich serdecznie przywiązany. Dzieje się tak dlatego, ponieważ różnice poglądów na wszystkie zagadnienia podstawowej wagi wynikają z różnic konstytucjonalnych, które zdążyły doprowadzić do tylu innych dysonansów, że „wyrzeczenie się”, kiedy do niego przychodzi, jest jak usunięcie bólowego, już chwiejącego się i zepsutego zęba. Naprawdę bolesna jest strata tych, których musimy się wyrzec, ale nie dla Chrystusa. Wtedy rwanie jest poważną sprawą. Na całe szczęście, bez względu na to, jak łatwe jest nasze zadanie, wystarczy, żebyśmy je spełnili, a otrzymujemy 'nagrodę tak wielką, jak gdybyśmy wykonali robotę na miarę Herkulesa.

Ale wracając do tematu — otóż Ernest doszedł do wniosku, że zostanie krawcem. Omówił tę kwestię z kapelanem, który orzekł, że, jego zdaniem, Ernest będzie mógł zarobić dziennie siedem do ośmiu pensów, jeżeli wykorzysta okres, który pozostał mu do końca kary na nauczenie się tego rzemiosła — a miał jeszcze przed sobą niespełna trzy miesiące. Lekarz stwierdził, że może zabrać się do tej roboty bez uszczerbku dla zdrowia oraz że na razie nie byłby

dość silny do innej roboty. Opuścił więc izbę chorych wcześniej, niż miał do tego prawo, uszczęśliwiony myślą, że będzie robił to, na co ma ochotę, ufny, że pewnego dnia uda mu się otrząsnąć z niepowodzeń, jeżeli tylko zdoła zapewnić sobie tak mocne oparcie, żeby móc zacząć na nowo.

Wszyscy z jego więziennego otoczenia orientowali się, że nie ma nic wspólnego z tak zwanym światem kryminalistów, a widząc jego pilność w nauce i delikatność w obejściu, zawsze odnosili się do niego; uprzejmie i prawie z szacunkiem. Praca nie wydawała mu się nudna, a na pewno była o wiele przyjemniejsza od odrabiania łacińskich i greckich zadań w Roughborough. Wolałby zostać w więzieniu niż wracać do Roughborough — ba, niż nawet do samego Cambridge. Jedyne przykrości, na jakie był narażony, mogły wynikać z powodu zagadywania i porozumiewania się wzrokiem ze współwięźniami, wyróżniającymi się spośród innych kryminalistów bardziej przyzwoitym wyglądem. Było to zakazane, ale Ernest korzystał z każdej okazji, żeby wykroczyć przeciwko przepisom regulującym tę sprawę.

Każdy człowiek z jego zdolnościami i jednocześnie z taką ambicją nauczania się fachu robiłby duże postępy, więc jeszcze przed wyjściem Ernesta z więzienia funkcjonariusz, któremu podlegał warsztat krawiecki, orzekł, że po trzech miesiącach praktyki Ernest dorównał w rzemiośle krawieckim wielu takim czeladnikom, którzy przez okrągły rok terminowali w tym zawodzie. Żaden z nauczycieli nigdy tak bardzo nie chwalił Ernesta. Z każdym dniem, w miarę jak wracał do zdrowia i przystosowywał się do otoczenia, widział w swej sytuacji coraz więcej dobrych stron, dotąd nie zauważonych, które teraz wychodziły na jaw niejako wbrew niemu samemu, więc zdumiewał się nad swym szczęśliwym losem, który uporządkował jego sprawy tak dobrze, że sam nie potrafiłby lepiej.

Na przykład to, że pół roku mieszkał na Asphit Place. Miał teraz przed sobą możliwości, które dla innych ludzi z jego sfery były niedostępne. Taki Towneley, gdyby kazano mu od tej chwili zamieszkać na Asphit Place, na pewno załamałby się pod podobnym ciosem. Ernest także załamałby się bardzo prędko, gdyby do zamieszkania na tej ulicy zmusiła go bieda. Nie uciekł stamtąd tylko dlatego, ponieważ zdawał sobie sprawę, że może to zrobić w każdej chwili. Teraz był już tak otrząskany z życiem na Asphit Place, że pozbył się wszelkich uprzedzeń i bez żadnej przykrości mógł zamieszkać w jeszcze nędzniejszej dzielnicy Londynu, jeżeli dzięki temu udałoby mu się zarobić na egzystencję. Decydując się na mieszkanie na Asphit Place, gdzie zaprawił się do życia w środowisku ludzi biednych, nie kierował się ani rozsądkiem, ani przewidywaniami przyszłości. W jakiś cherlawy sposób starał się gruntownie zrobić swą robotę. Niczego grutownie nie zrobił, a cała impreza skończyła się fiaskiem. Zdobył się jednak na mizerny wysiłek, żeby być sobą, i oto natychmiast, kiedy znalazł się w potrzebie, został wynagrodzony z nadwyżką, na jaką wcale nie zasłużył. Tylko dlatego potrafił uporać się ze świadomością, że spadnie do kategorii ludzi najuboższych, ponieważ ulica Asphit Place, choć nie zdawał sobie z tego sprawy, była pomostem, którym mógł przejść na ich stronę. Zapewne, kamienica, w której wówczas mieszkał, miała wiele ujemnych stron, ale przecież nikt nie będzie go zmuszać do mieszkania w takiej kamienicy, w której lokatorem jest pan Holt, ani nic go nie będzie łączyć ze stanem duchownym, którego tak nie cierpi. Pokoik na poddaszu za trzy szylingi tygodniowo, ot, taki samiutki, w jakim mieszkała panna Maitland, byłby dla niego wymarzony, pod warunkiem, że nie byłoby słychać sąsiedzkich wrzasków ani czytania Biblii.

Podczas tych medytacji przypominał sobie, że tym, którzy miłują Boga, wszystko pomaga ku dobremu. Czy to możliwe, zadawał sobie pytanie, że on także, choć może niedoskonale, starał się Go miłować? Nie odważył się odpowiedzieć sobie: „tak”, ale postanowił, że z całych sił będzie do tego dążyć. A wtedy przyszła mu do głowy szlachetna melodia Haendla „Boże Wielki, jeno mgliście nam znany”, a była mu tak bliska, jak nigdy w życiu. Przestał wierzyć w naukę

chrześcijańską, ale jego wiara w coś — nie wiedział, co to jest, ale czuł, że istnieje coś, tylko mgliście mu znane, dzięki czemu dobro jest dobrem, a zło złem — jego wiarą w coś takiego z dnia na dzień stawała się silniejsza.

A wtedy znowu zaczęły myśli snuć mu się po głowie, że czuje jakąś wielką moc w sobie, i dumał, jak i gdzie znajdzie ona ujście. Ten sam instynkt, który kiedyś natchnął go myślą zamieszkania wśród ubogich, ponieważ był to najbliższy cel, o którym wówczas mógł sobie wyrobić jakiś sprecyzowany sąd, teraz także przyszedł mu z pomocą. Pomyślał o złocie w Australii i o ludziach, którzy tam żyją, zewsząd nim otoczeni, a przecież nigdy tego złota nie widzieli na oczy, chociaż jest tuż obok nich: „Wszędzie leży złoto — zawołał w duchu — i czeka na tych, którzy go pilnie wypatrują.” A może jego wielka szansa, jeżeli dobrze rozejrzy się w najbliższym otoczeniu, znajduje się tak blisko, że wystarczy sięgnąć po nią ręką? Cóż może powiedzieć o swym położeniu? Stracił absolutnie wszystko. Czy uda mu się przemienić klęskę w zwycięstwo? A może, jeżeli zacznie szukać pomocy w Chrystusie, będzie mógł stwierdzić za przykładem św. Pawła, że i jego moc w słabości doskonalsza się stała?

Nie miał nic więcej do stracenia. Pieniądze, znajomi, dobre imię przepadły na długo, a może na zawsze. Ale to nie wszystko — pospołu z nimi ulotniło się jeszcze coś bardzo ważnego. Mam na myśli strach przed krzywdą, którą ludzie mogą mu wyrządzić. *Cantabit vacuus*. Któż może zadać mu ranę bardziej bolesną od ran, które mu już zadano? Niech mu tylko pozwolą zarobić na chleb, a z całą pewnością odważy się na wszystko, żeby młodym i miłym ludziom lepiej żyło się na naszym świecie. Ten wniosek bardzo podniósł go na duchu, więc był nawet dość zmartwiony, że za mało ucierpiał w oczach opinii ludzkiej, ponieważ spostrzegł, że między dobrym imieniem a życiem człowieka istnieje ścisła analogia, gdyż zdarza się, że ludzie odzyskują życie, żeby je stracić, i tracą, żeby je odzyskać. Nie zdobyłby się nigdy na tyle odwagi, żeby dobrowolnie poświęcić wszystko dla Chrystusa, ale Chrystus w swym miłosierdziu ogołocił go doszczętnie, i patrzcie — oto poczuł się tak, jak gdyby odzyskał wszystko, co niedawno stracił.

Mijał dzień za dniem i powoli zrozumiał, że chrześcijaństwo i negacja chrześcijaństwa, jak wszystkie krańcowe przeciwieństwa, posiadają punkt styczny: jest nim walka o nazwy — a nie o przedmiot. W praktyce katolik, anglikanin i wolnomyśliciel posiadają ten sam wzorzec idealny i widzą ideał w osobniku zwanym dżentelmenem. Ten jest najdoskonalszym świętym, kto jest najdoskonalszym dżentelmenem. Następnie doszedł do wniosku, że w istocie rzeczy jest dość obojętne, czy człowiek wierzy, czy nie wierzy, byleby tylko postępował z życzliwością dla świata niekonsekwencją i z racji swych poglądów nie wpadał w skrajną ostateczność. Niebezpieczeństwo tkwi w bezkompromisowości, z jaką ludzie trzymają się dogmatu, a nie w dogmatach lub ich braku. Tym wnioskiem ukoronował kunsztowny gmach swych rozumowań, a kiedy dotarł tak daleko, nawet samego papieża już nie miał ochoty dręczyć. Od tego momentu arcybiskup Canterbury mógłby jeść mu z ręki, bez najmniejszej obawy jakiegoś chytrego fortelu. Ów ostrożny dostojnik Kościoła miałby prawdopodobnie inny pogląd na tę sprawę, ale jego nieufność wobec mego bohatera byłaby równie bezpodstawna co nieufność rudzików i drozdów, skaczących w naszych ogrodach po trawnikach, wobec ludzi, którzy karmią je w zimie okruszkami chleba.

Bardzo możliwe, że w dojściu do wyżej przytoczonych wniosków pomogło mu pewne zdarzenie, dzięki któremu został poniekąd zmuszony do niekonsekwencji. W kilka dni po wypisaniu go z izby chorych przyszedł do celi kapelan i powiedział mu, że więzień, który grywał w kaplicy na organach, odbył już swą karę i opuszcza więzienie, a wiedząc, że Ernest umie grać na organach, zaproponował mu miejsce organisty. W pierwszej chwili Ernest nie wiedział, czy powinien chodzić do kaplicy częściej, niż był do tego zmuszony, ale przyjemność gry na

organach oraz przywileje, związane z pełnieniem obowiązków organisty, przekonały go ostatecznie, że konsekwencja w postępowaniu jest piękną zasadą, ale nie należy zamęczać jej aż do ostatecznych potów. A kiedy już raz uczynił niekonsekwencję jednym z elementów swego systemu myślowego, był tak bardzo konsekwentny, że został konsekwentnie niekonsekwentny, i nieba- wem ogarnął go błogi indyferentyzm, w swych zewnętrznych objawach mało różniący się od indyferentyzmu, z którego wyciągnął go pan Hawke.

Objęcie funkcji organisty ocaliło go od karnych robót, bo wprawdzie lekarz orzekł, że chwilowo jest na to za słaby, to jednak groziły mu one natychmiast po powrocie do zdrowia. Mógł być nawet uniknąć pracy w warsztacie krawieckim i ograniczyć się do stosunkowo nie męczących posług w mieszkaniu kapelana, ale nie chciał stracić okazji poduczenia się rzemiosła krawieckiego, więc nie skorzystał z tej propozycji. Wolno mu jednak było dwie godziny dziennie ćwiczyć na organach. Od tej chwili życie więzienne przestało mu ciążyć swą monotonią i dwa miesiące, które pozostały mu jeszcze do końca kary, minęły tak samo niepostrzeżenie, jak gdyby był na wolności. Cóż dziwnego, z muzyką, książkami, nauką rzemiosła i pogwarkami z kapelanem, dobrym, rozsądnym człowiekiem, który doskonale wpływał na Ernesta, ponieważ oblewał go od czasu do czasu zimną wodą, dni mijały bardzo przyjemnie, więc kiedy jego kara dobiegła końca, opuszczał więzienie z uczuciem — przynajmniej tak mu się wydawało — pewnego żalu.

ROZDZIAŁ LXIX

W rozumowaniu, które doprowadziło go do wniosku, że raz na zawsze zerwie stosunki ze swą rodziną, Ernest nie uwzględnił stanowiska rodziny. Wprawdzie

Teobald chciał się go pozbyć i nie taił, że antypody to najbliższa okolica, gdzie Ernest powinien się osiedlić, ale myśl o zupełnym zerwaniu stosunków z synem nie powstała mu w głowie. Znał jednak swego syna dostatecznie dobrze, żeby z chwalebą przenikliwością domyślić się, że Ernest nie zechce widzieć ich na oczy, więc może dlatego, a może z jakiegoś innego powodu, był zdecydowany nie dopuścić do zerwania, oczywiście z zastrzeżeniem, że takie postawienie sprawy nie pociągnie za sobą przyjazdu Ernesta do Battersby ani regularnego sięgania do kieszeni.

Kiedy termin, w którym Ernest miał wyjść na wolność, był już bliski, ojciec i matka odbyli naradę, jak powinni postąpić.

— Nie możemy go za nic na świecie zostawić samego — rzekł Teobald stanowczo — takiej myśli nie wolno nam do siebie dopuścić.

— Ach, skądże znowu, kochany Teobaldzie — zawołała Krystyna. — Choćby wszyscy go opuścili i choćby nie wiem jak daleko znalazł się od nas, musi czuć, że posiada rodziców, których serca, choć tak boleśnie je zranił, przepelnione są dla niego miłością.

— Był zawsze swym najgorszym wrogiem — rzekł Teobald. — Nigdy nie darzył nas miłością, na jaką zasłużyliśmy, a teraz omamiony fałszywym wstydem nie będzie chciał się z nami zobaczyć. Zrobi wszystko, żeby nas uniknąć.

— W takim razie my musimy wyjść mu naprzeciw — orzekła Krystyna. — Czy chce, czy nie chce, naszym obowiązkiem jest być u jego boku, kiedy będzie wracał do życia wśród ludzi.

— Jeżeli nie chcemy, żeby się nam wymknął, musimy go złapać w chwili, kiedy będzie opuszczał więzienie.

— Tak, tak właśnie zrobimy. Nasze twarze będą pierwsze, które rozweselą jego oczy, i my pierwsi będziemy zaklinać go na wszystko, żeby wrócił na drogę cnoty.

— Wydaje mi się — powiedział Teobald — że odwróci się i ucieknie, jeżeli spotkamy się z nim na ulicy. Jest z gruntu samolubny.

— W takim razie musimy uzyskać zezwolenie na wejście do więzienia, żeby zobaczyć się z nim, zanim go wypuszczą.

Po dość ożywionej dyskusji postanowili przyjąć wspomniany plan działania, a kiedy powzięli tę decyzję, Teobald napisał do naczelnika więzienia z zapytaniem, czy otrzyma zezwolenie na wstęp do więzienia, żeby powitać Ernesta po odbyciu kary. Otrzymał odpowiedź pozytywną, a więc w przeddzień zwolnienia Ernesta z więzienia małżonkowie wyjechali z Battersby.

Ernest nie liczył się z taką ewentualnością i był dosyć zaskoczony, kiedy na kilka minut przed dziewiątą dowiedział się, że ma udać się do izby przyjęć, gdzie czekają na niego goście. Serce omdlało mu w piersi, bo domyślił się, o kogo chodzi, ale zebrał się na odwagę i poszedł do izby przyjęć. Tak, nie było już żadnych wątpliwości — u krańca stołu, tuż koło drzwi, stało dwoje ludzi, których uważał za najniebezpieczniejszych wrogów, jakich ma na świecie — jego ojciec i matka.

Uciec nie mógł, a był wewnętrznie przeświadczony, że wystarczy jeden gest powitania z jego strony, i będzie zgubiony.

Matka płakała, ale poderwała się do niego i wzięła go w ramiona.

— Och, mój synku, mój synku — łkała i nie mogła powiedzieć nic więcej.

Ernest był blady jak ściana. Serce łomotało mu w piersi niemal do utraty tchu. Pozwolił matce uściskać się i stał przed nią w milczeniu ze łzami ciekącymi po policzkach.

W pierwszej chwili nie mógł wydobyć z siebie głosu. Dobrą minutę z obu stron panowało zupełnie milczenie. Potem zebrał siły i rzekł przytłumionym tonem:

— Mamo — (zawsze nazywał ją mamusią i dziś po raz pierwszy odezwał się do niej inaczej) — musimy się rozstać. — Potem, zwracając się do dozorca, powiedział: — Sądzę, że wolno mi opuścić więzienie, kiedy zechcę. Nie możecie mnie zmusić do zostania tu ani chwili dłużej. Proszę mnie odprowadzić do bramy.

Teobald zrobił krok naprzód.

— Ernest, nie możesz, nie powinieneś odejść od nas w taki sposób.

— Nie mów do mnie — powiedział Ernest, a jego oczy płonęły gniewem, do którego nie nawykły. Wtedy podszedł drugi dozorca i odsunął Teobalda na bok, a pierwszy odprowadził Ernesta do bramy.

— Powiedz im ode mnie — rzekł Ernest — że muszą uważać mnie za umarłego, bo dla nich umarłem. Powiedz im, że nic tak mnie nie boli jak to, że naraziłem ich na hańbę, i że od dziś z całych sił będę się starał, żeby nie sprawić im więcej bólu. Ale powiedz im także, że jeżeli napiszą do mnie list, zwrócę im go nie rozpieczętowany, a jeżeli zechcą się ze mną zobaczyć, zrobię wszystko, co w mojej mocy, żeby się przed tym obronić.

W tej chwili znalazł się w bramie więzienia, upłynęła jeszcze chwila i był już na wolności. Uszedł kilka kroków, stanął twarzą do więziennego muru, pochylił się, żeby znaleźć w nim oparcie, i płakał tak, że omal serce mu nie pękło.

Poświęcenie rodziców dla Chrystusa okazało się niełatwą sprawą. Jeśli człowiek dość długo był opętany przez moce diabelskie, szatan, opuszczając go, będzie nim miotać bezlitośnie, choćby go nie wiem jak stanowczo wypędzano. Ernest wkrótce ruszył dalej, ponieważ bał się, że w każdej chwili rodzice mogą wyjść z budynku więzienia. Zebrał się w sobie i skręcił w labirynt uliczek, który miał przed sobą.

Przeszedł swój Rubikon — nie bardzo heroicznie i nie bardzo dramatycznie, ale bądź co bądź tylko w dramatach ludzie postępują dramatycznie. W każdym razie, dobywając z siebie ostatnich sił, jakoś przelazł i znalazł się po drugiej stronie. Teraz, kiedy już było po wszystkim, myślał nad tym, z jaką satysfakcją powiedziałby rodzicom wiele różnych rzeczy, i wyrzucał sobie brak przytomności umysłu, ale nie miało to już znaczenia. Jakkolwiek zawsze był skłonny oceniać rodziców z jak najdalej idącą pobłażliwością, tym razem był oburzony niedelikatnością, z jaką narzucili mu siebie bez uprzedzenia, i to właśnie w takiej chwili, kiedy wychodząc na wolność nerwy miał napięte do ostatnich granic. To podłość, żeby tak wykorzystać jego bezradność, lecz w gruncie rzeczy był zadowolony, że skorzystali z tej okazji, bo dzięki temu uprzytomnił sobie jeszcze wyraźniej, iż nie ma dla niego innego ratunku jak całkowite odsunięcie się od rodziców.

Ranek był szary, a pierwsze mgły zimowe zaczęły dawać się we znaki, bo było już trzydziestego wrześ- nia. Ernest miał na sobie to samo ubranie, w którym dostał się do więzienia, czyli wyglądał na pastora anglikańskiego. Dla ludzi, którzy na niego patrzyli, jego obecny wygląd niczym się nie różnił od jego wyglądu sprzed pół roku. I rzeczywiście, kiedy szedł wąską, brudną, ruchliwą uliczką, zwaną Eyre Street Hill (którą dobrze znał, ponieważ w pobliżu mieszkali znajomi pastory), miesiące spędzone w więzieniu w jakiś dziwny sposób zatarły się w jego życiu, a skojarzenia, wbrew wszelkiemu rozsądkowi, narzuciły mu się z taką siłą, że, widząc siebie w dawnym ubraniu i dawnym środowisku, czuł, jak pod naporem tych asocjacji cofa się do swej dawnej osobowości, jak gdyby pół roku więziennego życia było snem, z którego obudził się,

żeby rozpocząć dawne życie w tym samym miejscu, w którym je przerwał. W taki sposób niezmienną część jego „ja” reagowała na niezmienną otoczenie. Ale była jeszcze druga część jego osobowości, która się zmieniła, i teraz poddana działaniu niezmiennego otoczenia wywołała w nim uczucie, że wszystko wokół niego jest tak obce, jak gdyby nie miał innego życia poza życiem w więzieniu i urodził się na nowo na nieznanym świecie.

Przez całe nasze życie, co dzień i co godzinę, jesteśmy uwikłani w proces przystosowywania naszej zmienionej i niezmiennego osobowości do zmienionego lub niezmiennego otoczenia; życie, w istocie rzeczy, jest procesem przystosowywania się. Jeżeli chybiamy o włos, jesteśmy głupcami, jeżeli zawadzimy w sposób jaskrawy, jesteśmy szaleńcami, kiedy czasowo zawieszamy swój udział w tym procesie — śpimy, a kiedy rezygnujemy z wszelkiej próby brania w nim udziału — umieramy. W życiu człowieka, który wie, że żyje spokojnie i banalnie, zmiany wewnętrzne i zewnętrzne są tak nieznaczne, że proces zespinalania się i przystosowywania przebiega całkiem lub niemal spokojnie. W innych przypadkach presja na człowieka jest silna, lecz towarzyszy jej znaczna zdolność zespinalania się i przystosowywania. Zdarza się jednak, że presja na ludzi jest silna, a ich zdolność przystosowywania się — mała. Życie człowieka jest udane lub nieudane w zależności od tego, czy jego zdolność przystosowywania się dorównuje czy nie dorównuje presji towarzyszącej zespinalaniu i korygowaniu zmian zewnętrznych i wewnętrznych.

Kłopot polega na tym, że koniec końców musimy przyznać, że świat stanowi jedną doskonałą, co w konsekwencji zmusza nas do negacji odrębności świata zewnętrznego i wewnętrznego oraz do uznania wszystkiego, co widzimy, jednocześnie za zewnętrzne i wewnętrzne, albowiem podmiot i przedmiot — to, co jest w nas, i to, co jest poza nami — stanowią przy takim założeniu jedną tak zupełną jak wszystko, co istnieje. Na tej konkluzji przewraca się cały nasz system, ale ostatecznie każdy system musi się na czymś przewrócić.

Najlepszym sposobem uporania się z tą trudnością jest opowiadać się za odrębnością świata wewnętrznego i zewnętrznego — podmiotu i przedmiotu — we wszystkich tych przypadkach, kiedy taki pogląd nam dogadza, a znów za jednością, ilekroć z takich czy innych powodów to nam odpowiada. Jest to nielogiczne, ale tylko krańcowość jest logiczna, a każda krańcowość jest absurdalna. Tylko przeciętność może na coś przydać się w praktyce — a ona jest zawsze nielogiczna. Wiara, a nie logika, jest najwyższym sędzią. Mówi się, że wszystkie drogi prowadzą do

Rzeczy, a ja twierdzę, że wszystkie systemy filozoficzne, z którymi spotkałem się w życiu, prowadzą albo do monstrualnego absurdu, albo do wniosków, którym niejednokrotnie dawałem wyraz na kartach tej książki, a mianowicie, że sprawiedliwy powinien brać życie na wiarę: innymi słowy, ludzie rozsądni powinni kierować się w życiu prawidłami czysto praktycznymi, interpretując je tak, jak im to dogadza, i nie zadając zbyt wielu pytań w imię spokoju sumienia. Weźcie pierwszy lepszy fakt, przemyślcie go aż do ostatecznych konsekwencji logicznych, a niebawem sami pojmiecie, że jest to jedyna droga wyjścia, która ocali was przed popełnieniem jakiegoś nieprawdopodobnego szaleństwa.

Wracam do wątku mego opowiadania. Kiedy Ernest doszedł do końca ulicy i obejrzał się za siebie, zobaczył mroczne, posępne mury więzienia, które wypełniały drugi jej kraniec. Zatrzymał się na kilka minut. „Tam — powiedział do siebie — zagradzały mi drogę kraty i zasuw, które były widzialne i dotykalne. Tutaj krępują mnie inne, nie mniej rzeczywiste zapory — ubóstwo i nieznanostwo świata. Nie zależało mi na wyłamaniu tamtych, materialnych krat, żeby uciec z więzienia, ale teraz, kiedy jestem wolny, zrobię wszystko, żeby skruszyć moje obecne więzy.

Czytał kiedyś o więźniu, który żelazną łyżką zrobił podkop w podłodze i w ten sposób

uciekł z więzienia. Podziwiał żelazną wolę tego człowieka, ale nawet nie próbowałby go naśladować, lecz w obliczu zapór niematerialnych nie ulęknie się tak łatwo i był przekonany, że gdyby podłoga była z żelaza, a łyżka z drewna, prędzej czy później wymyśliłby jakiś sposób, żeby drewnem przeciąć żelazo.

Wykręcił się tyłem do Eyre Street Hill i powędrował przez Leather Lane aż do Holborn. Każdy krok, każda twarz i każdy przedmiot, które rozpoznawał, na nowo wiązały go z życiem, które wiódł, zanim dostał się do więzienia, i jednocześnie uprzytamniały mu, że więzienie jak głęboka rozpadlina przecięło jego życie na dwa okresy zupełnie do siebie niepodobne.

Szedł ulicą Fetter Lane, aż dostał się na Fleet Street i idąc dalej dotarł do Tempie, dokąd właśnie powróciłem z letniego wypoczynku. Około w pół do dziesiątej, będąc właśnie przy śniadaniu, usłyszałem nieśmiało pukanie do drzwi, a kiedy je otworzyłem, przekonałem się, że to Ernest.

ROZDZIAŁ LXX

Poczułem do niego sympatię owej nocy, kiedy Towneley mnie wezwał, a następnego dnia doszedłem do wniosku, że rozwija się zupełnie prawidłowo. Wywarł na mnie dodatnie wrażenie także w czasie rozmowy w więzieniu i chciałem częściej go widywać, żeby móc wyrobić sobie o nim zdanie. Miałem już szmat życia za sobą, więc byłem świadom, że niektórzy ludzie, nie bardzo mądrzy za młodu, dokonują koniec końców wielkich rzeczy. Wiedząc, że wychodzi z więzienia trzydziestego września, oczekiwałem go u siebie. Miałem wtedy wolny pokój z łóżkiem, więc nalegałem, żeby został u mnie, dopóki nie postanowi, co będzie robił dalej.

Przy tak dużej różnicy wieku, jaka była między nami, mogłem z góry zakładać, że nie będę musiał niczego zmieniać w moim trybie życia, lecz mój chrześniak z miejsca odrzucił moją propozycję. Największe ustępstwo, na jakie był skłonny przystać, sprowadzało się do tego, że będzie moim gościem, dopóki nie zdoła wynająć sobie pokoju, a jeszcze dziś zacznie szukać czegoś stosownego.

Był jeszcze bardzo podniecony, lecz odzyskiwał równowagę w miarę, jak jadł śniadanie, nie tylko tak bardzo odmienne od więziennego wikt, ale w dodatku w ładnie urządzonym pokoju. Z przyjemnością obserwowałem, jak rozkoszował się wszystkim, co go otaczało: kominkiem, w którym płonął ogień, fotelami, „Timesem”, moim kotem, czerwonymi kwiatami geranium w oknie, nie mówiąc już o kawie, chlebie z masłem, kielbaskach, dżemie pomarańczowym itd. We wszystkim, na co spojrzał i czego się dotknął, znajdował jakąś wyrafinowaną przyjemność. Liście z jaworów jeszcze nie opadły i kilka razy odrywał się od śniadania, żeby podziwiać te piękne drzewa. Nigdy dotąd nie przyszło mu do głowy, zwierzył mi się, że w takich rzeczach można znaleźć tyle przyjemności. Jadł, patrzył, śmiał się i płakał na przemian, przeżywając wszystko tak silnie, że nie zdołałem tego zapamiętać ani opisać.

Opowiedział mi, jak ojciec i matka czatowali na niego w momencie, kiedy miał wyjść z więzienia. Byłem wściekły i z całego serca pochwaliłem jego postępek. Był mi za to niezmiernie wdzięczny. Inni ludzie, rzeki, powiedzieliby mu, że powinien nade wszystko myśleć o ojcu i matce, a nie o sobie, więc już przez to samo, że znalazł kogoś, kto podziela jego pogląd na tę sprawę, czuje się bardzo pokrzepiony na duchu. Gdybym nawet był innego zdania, z pewnością nie powiedziałbym mu o tym, ale przy znałem mu rację i czułem się wobec niego niemal tak samo zobowiązany za to, że podziela mój pogląd, jak on wobec mnie za przysługę, którą przed chwilą mu się zrewanżowałem. Szczerze nie lubiłem Teobalda i Krystyny, ale w mej opinii o nich byłem tak rozpaczliwie odosobniony, że było mi przyjemnie spotkać kogoś, kto zgadza się z moją oceną.

'Potem przeżyliśmy z Ernestem okropną chwilę.

Ktoś zapukał do drzwi nie jak listonosz, lecz raczej jak gość.

— Wielki Boże — zawołałem — zdaje się, że zapomnieliśmy uprzedzić dozorczynię, żeby mówiła, że nikogo nie ma w domu. Może to twój ojciec. Chociaż to mało prawdopodobne, żeby przyszedł o tej porze. Idź do sypialni!

Podszedłem do drzwi i rzeczywiście stali tam oboje, Teobald i Krystyna. Nie mogłem nie wpuścić ich do mieszkania i musiałem po raz drugi wysłuchać sprawozdania z przebiegu wypadków, tym razem w ich wersji, która, pomijając błahе szczegóły, pokrywała się z opowiadaniem Ernesta. Krystyna gorzko płakała — Teobald miotał się gniewnie. Po upływie dziesięciu minut i solennych zapewnieniach, że nie mam najmniejszego pojęcia, gdzie podziewa się ich syn, odprawiłem ich z niczym. Widziałem, jak podejrzliwie spoglądali na bezsporne

dowody, że mam kogoś u siebie na śniadaniu, ale jakoś się ich pozbyłem, a biedny Ernest wyszedł z ukrycia blady, przerażony i zdenerwowany. Dochodziły go tylko głosy i nie był pewny, czy nieprzyjaciel nie zdobywa nade mną przewagi. Powiedzieliśmy dozorczyńni, co trzeba, i powoli zaczął przychodzić do siebie.

Po śniadaniu omówiliśmy sytuację. Jego rzeczy osobiste i książki zabrałem od pani Jupp do siebie, natomiast zostawiłem meble, obrazy i fortepian, zezwalając na ich używanie, a postąpiłem tak dlatego, żeby dać jej możliwość wynajęcia pokoju umeblowanego, dzięki czemu mogłem jej nie płacić za opiekę nad rzeczami. Zaledwie Ernest usłyszał, że ma swą odzież pod ręką, wy dostał ubranie, które nosił, zanim przyjął święcenia, i przebrał się w nie czym prędzej, a ja uznałem, że jego prezencja ogromnie na tym zyskała.

Potem przeszliśmy do zagadnienia jego finansów. Na kilka dni przed aresztowaniem Pryer dał mu dziesięć funtów, z których zostało mu niecałe osiem, i tę kwotę miał przy sobie w momencie osadzenia go w więzieniu. Wychodząc na wolność otrzymał te pieniądze z powrotem. Za wszystko, co kiedykolwiek sobie kupował, zawsze płacił gotówką, a więc fundusz, którym dysponował, nie był obciążony długami. Oprócz tego miał ubranie, książki i meble. Mógł także, jak już o tym wspomniałem, dostać od ojca sto funtów, gdyby zdecydował się na emigrację, ale obaj (przedstawił mi takie racje, że zmieniłem zdanie) uchwaliliśmy zgodnie, że zrobi lepiej, jeżeli odmówi ich przyjęcia. To był — jak mniemał — cały jego majątek.

Oświadczył, że zamierza nie zwlekając wynająć sobie jakiś nieumeblowany, skromniutki pokój na poddaszu, w możliwie cichym domu, za jakieś trzy do czterech szylingów tygodniowo, i rozejrzeć się za pracą w zawodzie krawieckim. Nie przywiązywałem zasadniczej wagi, od czego zacznie, ponieważ byłem przekonany, że niebawem — jeżeli tylko uda mu się ruszyć z miejsca — sam wpadnie na trop tego, co najbardziej będzie mu odpowiadało. Trudność polegała na tym, jak doprowadzić go do punktu, z którego pójdzie dalej o własnych siłach. To było za mało, że umiał skroić i uszyć ubranie — oraz że posiadał, jeśli wolno tak się wyrazić, zmysł krawiecki. Trzeba było umieścić go w warsztacie i mieć kogoś, kto pokieruje nim przez jakiś czas, wiedząc, jak i w czym mu pomóc.

Resztę dnia spędził na poszukiwaniu pokoju, który znalazł bez trudu, i na oswojaniu się z wolnością. Wieczorem wziąłem go do teatrzyku „Olympia”, w którym dawano burleskę, będącą trawestacją *Makbeta* z Robsonem i panią Keeley, o ile pamięć mnie nie myli, w roli Lady Makbet. W scenie, poprzedzającej zabójstwo, Makbet oświadczył, że nie mógł zdobyć się na zamordowanie Dunkana, ponieważ zdeprymował go widok butów króla, wystawionych na korytarzu obok schodów. Lady Makbet położyła kres skrupułom małżonka, biorąc go wpół i dając mu porządne lanie, a potem fikającego nogami i wrzeszczącego wyniosła pod pachą ze sceny. Ernest śmiał się do łez.

— Jakżeż beznadziejny wydaje się po tym Szekspir — wyrwało mu się bezwiednie.

Przypomniałem sobie jego esej o greckich tragicznych i byłem nim jeszcze bardziej *epri*s niż dotąd.

Nazajutrz wyruszył na poszukiwanie pracy i nie widziałem go do piątej po południu, bo dopiero wtedy wrócił do domu z wiadomością, że niczego nie załatwił. To samo powtórzyło się następnego dnia, a potem znowu następnego dnia. Gdziekolwiek poszedł, spotykał się z odmową, a zdarzało się nawet, że bez żadnych ogródek wypraszano go za drzwi.

Z wyrazu jego twarzy, choć nie zdradził się ani słowem, zorientowałem się, że jest bardzo spłoszony, więc zacząłem zastanawiać się, czy nie powinienem przyjść mu z pomocą. Powiedział mi, że dowiadywał się w bardzo wielu miejscach, ale wszędzie zbywano go tą samą śpiewką. Doszedł do przekonania, że człowiekowi przychodzi łatwo trzymać się utartej drogi, ale jeżeli zechce skrócić na nowy szlak, sprawa staje się bardzo trudna.

Wstąpił do handlarza ryb na Leather Lane, żeby kupić sobie śledzia wędzonego na kolację, i zagadnął go od niechcienia, jak gdyby ze zwykłej ciekawości.

— Jak mi idzie? — odpowiedział właściciel sklepu. — Nikt by nie uwierzył, ile można wyciągnąć sprzedając po odrobinie, ot, za pensa i dwa pency, jeżeli człowiek fachowo zabierze się do roboty. O, niech pan spojrzy, na przykład, na te ślimaki. W ubiegłą sobotę wieczór, między ósmą a wpół do dwunastą, razem z moją małą Emmą sprzedaliśmy ich za całe siedem funtów; ludzie przeważnie kupowali za pensa i za dwa pency, trochę było takich, co brali za pół pensa, ale niewielu. A zawdzięczamy to parze. Sprzedawaliśmy je na gorąco i dopóki para buchała z piwnicy na chodnik, ludzie kupowali, a ledwo zniką, przestawali kupować. A więc gotowaliśmy je bez wytchnienia, aż sprzedaliśmy wszystkie. Na tym cała rzecz polega. Jak człowiek zna się na interesie, to i handel mu pójdzie, a jak się nie zna, to nie obejrzy się, jak splajtuje. Ba, gdyby nie para, nie sprzedałbym moich ślimaków przez całą noc nawet za dziesięć szylingów.

Takie lub inne bajeczki, wszystkie bardzo podobne do siebie, których nasłuchiwał się od ludzi, jeszcze bardziej utwierdziły Ernesta w przeświadczeniu, że powinien trzymać się krawiectwa, ponieważ to jedyny zawód, z którym jest trochę obeznany, lecz minęło znowu kilka dni, a sprawa otrzymania zajęcia nie posunęła się ani o krok naprzód.

Postąpiłem teraz tak, jak powinienem był postąpić wcześniej, a mianowicie udałem się do mego krawca, którego byłem stałym klientem od ćwierć wieku, i poprosiłem go o radę. Orzekł, że plan Ernesta nie ma żadnych widoków powodzenia.

— Gdyby zaczął — powiedział pan Larkins, tak nazywał się mój krawiec — mając lat czternaście, mogłoby z tego coś wyjść, ale człowiekowi, który ma już dwadzieścia cztery lata, nagiąć się do pracy w pracowni razem z innymi krawcami przychodzi tak trudno, że nie znam przypadków, żeby ktoś to wytrzymał. Ani on nie znajdzie wspólnego języka z tymi ludźmi, ani oni z nim. Jeżeli nie może pan wymagać od niego, żeby nagle stał się ich kamratem, to wobec tego nie może pan wymagać od jego kolegów z warsztatu, żeby go lubili. Człowiek musi upaść bardzo nisko i albo być nałogowym pijakiem, albo mieć wrodzone upodobanie do pospolitego towarzystwa, żeby czuć się dobrze w otoczeniu ludzi wychowanych całkiem inaczej od niego.

Pan Larkins powiedział jeszcze bardzo dużo, a w konkluzji swych wywodów zaprowadził mnie do pracowni, żebym na własne oczy zobaczył miejsce, gdzie pracują jego ludzie.

— To istny raj — rzekł — w porównaniu do innych pracowni. Czy pańskim zdaniem osoba z towarzystwa zdoła wytrzymać w takim powietrzu choćby przez dwa tygodnie?

Byłem bardzo rad, kiedy po dziesięciu minutach wydostałem się z cuchnącej duchoty, i doszedłem do wniosku, że pracą w pracowni krawieckiej nie uda się oblużować ani jednej marnej cegielki w obecnym więzieniu Ernesta.

Na koniec pan Larkins oświadczył, że gdyby nawet mój *protege* był lepszym rzemieślnikiem, niż można tego po nim się spodziewać, to i tak żaden pracodawca nie przyjąłby go do pracy, bo bałby się fermentu wśród swoich pracowników.

Wyszedłem z uczuciem, że powinienem był sam o tym wszystkim pomyśleć, i z jeszcze większą rozterką w duszy, czy nie byłoby wskazane dać memu młodemu przyjacielowi parę tysięcy funtów i wysłać go do kolonii. Kiedy około piątej po południu znalazłem się w domu, zastałem go rozpromienionego i dowiedziałem się, że czeka na mnie, żeby mi powiedzieć, że znalazł wszystko, czego pragnął.

ROZDZIAŁ LXXI

Wydaje mi się, że ostatnie trzy albo cztery noce wałęsał się po ulicach — jak domyślam się w całkiem określonym zamiarze — lepiej wiedząc, czego mu potrzeba, niż jak to zrobić. A przecież to, czego pragnął, można było znaleźć z taką łatwością, że tylko człowiek z takim wykształceniem, jak on, mógł być tak nieudolny w poszukiwaniach tego rodzaju. Ale, cokolwiek rzecz można na ten temat, duszę miał na ramieniu i zwracał uwagę na to, co nie było warte uwagi, był roztrzęsiony i przerażony i noc po nocy, nie mogąc zebrać się na odwagę, wracał do swego mieszkania na ulicy Laystall bez najmniejszego rezultatu swych zabiegów. Nie zwierzył mi się ze swego kłopotu, a ja dyskretnie nie dochodziłem, gdzie podziewa się wieczorami. W końcu doszedł do wniosku, że uda się do pani Jupp, nie zważając na związaną z tym przykrość, ponieważ uznał, że jego dawna gospodyni najskuteczniej pomoże mu w jego zmartwieniu. Wałęsał się w ponurym nastroju od siódmej do dziewiątej i w końcu postanowił iść prosto na Asphit Place i na poczekaniu wypowiedać się pani Jupp.

Ze wszystkich misji, których może podjąć się kobieta śmiertelna, żadna nie zrobiłaby pani Jupp tak wielkiej przyjemności jak ta, którą Ernest zamierzał ją obarczyć. Nie zawaham się stwierdzić, że na jego paniczny nastrój i ogólne załamanie się psychiczne nie było lepszego lekarstwa od tego, które zamierzał sobie zaaplikować. Pani Jupp zrobiłaby wszystko, żeby ułatwić mu zwierzenie się z dręczącego zmartwienia, ba, wyciągnęłaby z niego całą prawdę tak bezboleśnie, że nawet nie wiedziałby kiedy. Ale los nie. sprzyjał pani Jupp i spotkanie z dawną gospodynią Ernesta zostało odroczone sine *die*, bo zaledwie zdecydował się i uszedł niecałe sto metrów w kierunku domu pani Jupp, zaczęła go jakaś kobieta. W tym samym momencie, kiedy już miał zamiar wykręcić się do niej tyłem, jak wykręcał się tyle razy do tyłu innych kobiet, nieznajoma cofnęła się dziwnie gwałtownym ruchem, który go zaintrygował. Nie zdołał przyjrzeć się jej twarzy, więc postanowił, że musi ją zobaczyć, wobec czego ruszył za uciekającą w popłochu dziewczyną, wyminął ją, obejrzał się i wtedy stwierdził, że jest to we własnej osobie Ellen, pokojówka, którą osiem lat temu jego matka odprawiła z domu.

Powinien był zorientować się, z jakiego powodu Ellen wołała uniknąć tego spotkania, lecz jego grzeszne sumienie podsunęło mu concept, że prawdopodobnie dowiedziała się o jego hańbie i dlatego odwróciła się od niego z pogardą. Na takie traktowanie mimo bohaterskiego wyzwania rzuconego światu, nie był przygotowany.

— A więc ty też mnie unikasz, Ellen? — zawołał. Dziewczyna tonęła we łzach, nie rozumiejąc, o co mu chodzi.

— Och, paniczu — łkała — niech mi pan pozwoli odejść. Jest pan za dobry, żeby zadawać się z takimi jak ja.

— Głupstwa pleciesz, moja Ellen — odparł — przecież nie siedziałaś w więzieniu?

— Ach, nie, nie, nie, tak źle ze mną jeszcze nie było — zaprzeczyła z uniesieniem.

— A widzisz, a ja siedziałem — odparł Ernest śmiejąc się z przymusem — wyszedłem przed kilku dniami po sześciu miesiącach ciężkich robót.

Ellen nie uwierzyła, ale spojrzała na niego, westchnęła: „Rany boskie, paniczu Erneście!”, i natychmiast osuszyła oczy. Lody zostały między nimi przełamane, bo, prawdę powiedziawszy, Ellen wiele razy siedziała w więzieniu, i choć nie wierzyła jego słowom, już na samą wzmiankę, że siedział w więzieniu, poczuła się wobec niego mniej skrępowana. Ludzi dzieliła na dwie klasy — tych, którzy siedzieli w więzieniu, i tych, którzy nie siedzieli. Pierwszych uważała za istoty jej pokrewne oraz za lepszych czy gor- szych, ale bądź co bądź chrześcijan, do drugich odnosiła się

podejrzliwie i z pewną domieszką pogardy.

Wtedy Ernest opowiedział jej, w jakich był opalach przez ostatnie sześć miesięcy, a ona niebawem mu uwierzyła.

Rozmawiali tak dobry kwadrans, a wtedy Ellen odezwała się:

— Paniczu Erneście, jest tu jedno takie miejsce, o tam, po tamtej stronie ulicy, gdzie można dostać flaki. Pamiętam, że panicz zawsze bardzo je lubił. Chodźmy, tam swobodniej będziemy mogli sobie pogadać.

Nasza para przeszła na drugą stronę ulicy i weszła do jadalni z flakami. Ernest zamówił kolację.

— A jak się miewa mamusia i ojczulek, paniczu? — zapytała Ellen, która odzyskała pewność siebie i czuła się doskonale w towarzystwie mego bohatera. — Och, wielkie nieba — oświadczyła — jak ja kochałam twego ojczulka. To dobry pan, bardzo dobry pan, a mamusia panicza też bardzo dobra pani. O, jestem pewna, że każdemu, kto może mieszkać z nią pod jednym dachem, wychodzi to na pożytek.

Ernest był zdziwiony i nie bardzo wiedział, co odpowiedzieć. Oczekiwał, że Ellen z oburzeniem będzie wspominać, jak obeszli się z nią jego rodzice, i zechce obciążyć ich odpowiedzialnością za jej obecną sytuację. Było jednak inaczej. Po Battersby zostało jej w pamięci tylko tyle, że jest to miejsce, gdzie mogła najeść się do syta, a robotę miała lekką i nikt na nią nie krzychał. Kiedy dowiedziała się o nieporozumieniach między Ernestem a rodzicami, nie miała żadnych wątpliwości, że winowajcą mógł być tylko Ernest.

— Ach, żal mi twojej biednej, biedniejszej mamu si — powiedziała Ellen. — Tak bardzo cię zawsze kochała i zawsze byleś jej ulubieńcem. Na śmierć się zamartwię, że się między wami popsulo. Często sobie wspominam, jak mnie wołała do jadalni i uczyła katechizmu. Paniczu, musi panicz do niej pojechać i wszystko naprawić. Naprawdę, niech panicz to zrobi.

Ernestowi na płacz się zbierało, ale stawiał jak dotąd tak bohaterski opór, że szatan mógł śmiało oszczędzić sobie zachodu i poniechać próby pogodzenia go z rodzicami, tym razem za pośrednictwem Ellen. Ernest zmienił temat rozmowy, a więc jedli flaki, popijali je piwem i coraz lepiej im było ze sobą. Nie było na świecie drugiej istoty, z którą Ernest w ówczesnej sytuacji potrafiłby rozmawiać tak szczerze jak z Ellen. Tego, co jej powiedział, nie powiedziałby za nic nikomu innemu na świecie.

— Widzisz, moja Ellen — zakończył — nauczyłem się jako dziecko takich rzeczy, których nie powinienem był się nauczyć, i nie miałem dotąd sposobności spotkać się z czymś, co wyprowadziłoby mnie na prostą drogę.

— Z jaśnie państwem zawsze tak się dzieje — powiedziała Ellen z namysłem.

— Sądzę, że masz rację, ale już nie jestem panem i nie widzę żadnego powodu, dla którego nadal mam być „panem”, moja droga. Chcę się odmienić i pragnę, żebyś mi w tym pomogła.

— Rany boskie, co panicz ma na myśli?

W chwilę potem wyszli z jadalni i poszli razem Fetter Lane.

Ciężkie czasy nastały dla Ellen po wyjeździe z Battersby, ale spłynęły po niej niemal bez śladu.

Ernest widział tylko świeżą, uśmiechniętą twarz, policzki z dołeczkami, niebieskie, jasne oczy i śliczne jak u sfinksy usta, które pamiętał z lat chłopięcych. Mając lat dziewiętnaście robiła wrażenie starszej, teraz wyglądała na znacznie młodszą. Wyglądała niemal tak młodo jak wtedy, kiedy Ernest widział ją po raz ostatni, i trzeba byłoby mężczyzny o daleko większym doświadczeniu niż on, żeby domyślił się, że ona jest teraz kimś zupełnie innym od dziewczyny, którą pamiętał z tamtych czasów. Nie przyszło mu naturalnie na myśl, że jej zaniedbanie w

ubraniu jest konsekwencją jej namiętności do napojów wysokowych, ani nie odgadł, że siedziała w więzieniu, z grubsza biorąc pięć do sześciu razy dłużej od niego. W jego przekonaniu jej ubogi strój świadczył o tym, że robiła wszystko, co było w jej mocy, żeby pozostać przyzwoitą dziewczyną, o czym zresztą sama podczas kolacji kilka razy wspomniała. Do reszty rozbroiła go naiwna prostota, z jaką powiedziała mu, że całym kuflem piwa na pewno się upije — i musiał użyć wielu prośb, żeby nakłonić ją do wypicia go do samego dna. W jego oczach była najprawdziwszym aniołem, który zstąpił z nieba, a okoliczność, że była upadłym aniołem, ogromnie ułatwiła nawiązanie z nią kontaktu.

Kiedy szedł obok niej przez Fetter Lane w kierunku Laystall Street, zamyślił się nad cudowną dobrocią Boga, która sprawiła, że spotkał na swej drodze osobę najbardziej mu miłą ze wszystkich na świecie. Przecież mógł jej nigdy nie spotkać, choć mieszkała tak blisko niego, i tylko szczęśliwemu przypadkowi zawdzięcza, że spośród wszystkich innych właśnie na nią trafił.

Człowiekowi, któremu zaczyna roić się w głowie, że cieszy się szczególnymi względami Wszechmogącego, należy poradzić, że w tej sytuacji bezpieczniej jest dmuchać na zimne, a temu, komu wydaje się, że nareszcie zdołał zdemaskować diabelskie praktyki, trzeba przypomnieć, że szatan jest od niego o wiele bardziej doświadczony i na pewno w tej samej chwili knuje coś złego.

Już podczas kolacji przemknęła mu myśl, że oto w Ellen znalazł kobietę, którą mógłby tak pokochać, że chciałby być z nią, razem na zawsze i mieć ją za żonę. Im dłużej gawędzili, tym więcej powodów przemawiało za tym, że jego zamiar, który w normalnych okolicznościach mógłby być poczytany za szaleństwo, w jego przypadku jest czymś całkiem odwrotnym.

Ostatecznie musi się z kimś ożenić, ta kwestia jest raz na zawsze przesądzona. Z damą z towarzystwa nie może się ożenić, to jest absurd. Musi więc ożenić się z kobietą ubogą. Na to zgoda, ale z kobietą upadłą? A czy on jest bez winy? Ellen nigdy już nie zgrzeszy. Wystarczy spojrzeć na nią, żeby nie mieć co do tego żadnych wątpliwości. Nie potrafi żyć z nią w grzechu, może zgodzić się na odstępstwo tylko w okresie — oby jak najkrótszym! — który musi upłynąć do czasu zawarcia przez nich małżeństwa, ale nie będzie tego tolerować ani o jedną sekundę dłużej! Wprawdzie nie wierzył już w nadprzyrodzone pochodzenie chrześcijaństwa, ale moralność chrześcijańska nie podlegała w jego oczach najmniejszej dyskusji. Mogą mieć przecież dzieci, więc nie wolno im narażać je na piętno hańby. Czy mógł poradzić się kogoś poza samym sobą? Rodzice nie muszą o tym wiedzieć, a gdyby nawet się dowiedzieli, czyż nie powinni niebu dziękować na kolanach, że ożenił się z Ellen, bo czy istnieje na świecie druga kobieta, która potrafi dać mu tyle szczęścia? Nie stać go na małżeństwo? A jak radzą sobie biedacy? Czy można zaprzeczyć, że dobra żona jest w życiu wielką pomocą? Tam gdzie jedno wyżyje, dwoje też jakoś sobie poradzi, a że Ellen jest starsza od niego o jakieś trzy lub cztery lata — czy w istocie rzeczy ma to jakieś znaczenie?

Miły czytelniku, czy byłeś choć raz zakochany od pierwszego wejrzenia? Pozwól, że zapytam cię, ile czasu potrzebowałeś wtedy, żeby puścić z wiatrem wszystkie racje i motywy z wyjątkiem jednego jedyne argumentu, że chcesz jak najszybciej osiąść obiekt swej miłości? Albo postawmy sprawę inaczej — czy namyślałbyś się długo, gdybyś nie miał ani ojca, ani matki, ani majątku, ani pozycji społecznej, ani przyjaciół, ani perspektyw kariery zawodowej, słowem, gdybyś nie miał absolutnie nic do stracenia i gdyby obiekt twej miłości był w takim samym stopniu jak ty wolny od wspomnianych przeszkód małżeńskich?

Gdybyś był młodym Johnem Stuartem Millem trwałoby to zapewne trochę dłużej, ale założmy, że jesteś z usposobienia skłonny do donkiszoterii, porywczy, skory do poświęcenia się dla innych, łatwowierny; założmy, że jesteś wygłodzony, że trawi cię głód pokochania i posiadania czegoś, o co mógłbyś się wesprzeć, tęsknota za kimś, komu mógłbyś pomóc w jego

udrękach r kto tobie ulżyłby w twoim brzemieniu. Załóżmy, że opuściła cię twoja dobra gwiazda i że nie pozbierałeś się jeszcze po okropnym wstrząsie, którego ostatnio doznałeś, pomyśl — gdyby nagle jasna perspektywa szczęśliwej przyszłości zamajaczyła ci przed oczyma — czy sądzisz, że w takich okolicznościach zastanawiałbyś się długo i głęboko, za- nim obu rękami uchwyciłbyś się możliwości, którą los tak nieoczekiwanie ci podsunął?

Mój bohater nie namyślał się długo, bo zanim minął wędliniarnię na drugim końcu Fetter Lane, powiedział Ellen, żeby nie zwlekając zamieszkała z nim razem w jego pokoju, a pobiorą się zaraz w pierwszym dniu, w którym zgodnie z przepisami prawa będą mogli połączyć się węzłem małżeńskim.

Wydaje mi się, że diabeł Zachichotał z radości, albowiem w tej rozgrywce był całkiem pewny wygranej.

ROZDZIAŁ LXXII

Ernest opowiedział Ellen, jakie ma trudności ze znalezieniem zajęcia.

— Co sądzisz o tym, żebyśmy założyli sobie nasz własny interes? — powiedziała na to Ellen. — Możesz przecież mieć własny sklep, mój drogi.

Ernest zapytał, ile trzeba na to pieniędzy. Ellen odpowiedziała, że dzierżawa domu na jakiejś skromnej uliczce, dajmy na to w okolicy Elephant and Castle, kosztuje jakieś siedemnaście do osiemnastu szylingów tygodniowo, ale można odnająć dwa górne piętra sublokatorom za dziesięć szylingów tygodniowo, a dla siebie zatrzymać tylko parter, to jest lokal sklepowy i pokój od podwórza. Jeżeli uda mu się zebrać pięć do sześciu funtów, kupią za to trochę używanej odzieży, żeby było z czym zacząć, a naprawą i oczyszczeniem zajmą się sami. Ona weźmie się do odzieży damskiej, a on do męskiej. Potem, jeżeli uda mu się zdobyć klientelę, będzie mógł przyjmować odzież do naprawy lub do szycia na zamówienie.

Nawet się nie obejrzą, jak będą zarabiać po dwa funty tygodniowo, a jej przyjaciółka, która w taki sposób zaczęła, nie tylko przeniosła się do lepszego lokalu, ale wyciąga teraz co najmniej pięć do sześciu funtów na tydzień, a niemal cały handel, sprzedaż i zakupy, przechodzi przez ręce Ellen.

Było to objawienie. Czul się tak, jak gdyby odzyskał swoje pięć tysięcy funtów, a - drugie tyle miał w perspektywie. Wszystko jeszcze bardziej niż dotąd przemawiało za tym, że Ellen jest jego dobrym duchem.

Wyszła do miasta i kupiła kilka plasterków wędzonego boczku na ich wspólne śniadanie. Obsmażyła go daleko umiejętniej, niż zrobiłby to Ernest, potem nakryła dla niego i dla siebie, podała kawę i kilka ładnie przyrumienionych grzanek. Przez ostatnie kilka dni sam gotował i sam sprzątał, lecz nie potrafił sobie dogodzić. Teraz nieoczekiwanie znowu ma kogoś, kto dba o niego. Ellen nie tylko wskazała mu możliwości zarobienia na życie, i to w sytuacji, w której nikt, nie wyłączając jego samego, nie umiał mu doradzić, ale jednocześnie jest taka śliczna i pogodna, i tak chce mu we wszystkim dogodzić, że dzięki niej odzyskał utraconą pozycję społeczną w sprawach dla niego istotnych — ba, stworzyła mu nową pozycję, w której czuje się daleko lepiej. Nic więc dziwnego, że był tak rozpromieniony, kiedy przyszedł mnie zawiadomić o swych projektach na przyszłość.

Dość trudno przyszło mu zdać mi wyczerpującą relację z przebiegu wypadków. Gubił się, czerwienił po uszy, zacinał się, jękał. Kiedy stanął w obliczu konieczności opowiedzenia tej całej historii komuś innemu, w jego umyśle zaczęły się budzić wątpliwości. Miał wyraźną ochotę prześliznąć się po pewnych szczegółach, ale chciałem dotrzeć do faktów, więc pomagałem mu w krytycznych momentach i wypytywałem go tak długo, aż wydobyłem z niego niemal to wszystko, co wyżej opisałem.

Byłem bardzo zły, lecz mam nadzieję, że nie dałem mu tego poznać po sobie. Zacząłem Ernesta darzyć sympatią. Nie wiem dlaczego, ale tak się zawsze składa, że w tym samym momencie, w którym dowiaduję się, że ten czy ów młody człowiek, do którego jestem przywiązany, zamierza się ożenić, odzywa się we mnie instynktowna niechęć do jego wybranej, nawet jeżeli nie widziałem jej na oczy. Zauważyłem, że większość starych kawalerów reaguje zupełnie tak samo, jakkolwiek wszyscy z reguły z niemałym trudem staramy się ten fakt zataić. Prawdopodobnie dzieje się tak dlatego, bo zdajemy sobie sprawę, że my również powinniśmy byli się ożenić. W normalnych okolicznościach deklarujemy naszą niezmierną radość z okazji tego wydarzenia, ale w danym przypadku udzieliłem sobie amnestii od tego obowiązku i

kosztowało mnie sporo wysiłku, żeby opanować szewską pasję, która mnie porwała na mego chrześniaka. Fakt, że tak obiecujący młodzieniec, dziedzic majątku, który już wtedy stanowił wcale pokaźną fortunę, zamierza duszą i ciałem zaprzedać się osobie takiego pokroju jak Ellen, wołał o pomstę do nieba, tym bardziej że wszystko stało się tak nieoczekiwanie.

Prosiłem go na wszystko, żeby nie żenił się z Ellen, przynajmniej przez jakiś czas, dopóki lepiej jej nie pozna. Nawet słyszeć o tym nie chciał. Dał jej słowo, a nawet gdyby go nie dał, jest gotów dać go bez chwili namysłu. W niemal wszystkich sprawach, które z nim dotychczas załatwiałem, był wyjątkowo uległy i bez trudu można było nim kierować, ale w danym przypadku niczego nie potrafiłem wskórać. Świadomość niedawnego zwycięstwa nad rodzicami dodała mu siłę, więc nie miałem żadnych szans. Nie odkryłem przed nim kart, że jest człowiekiem zamożnym, ponieważ byłem przekonany, że tym bardziej zatnie się w swym postanowieniu — bo cóż mogło go powstrzymać od spełnienia swej zachcianki, gdyby wiedział, ile pieniędzy ma w banku? Z tych względów pominąłem ten temat w naszej rozmowie, a wszystkie moje argumenty trafiały w próżnię, bo miałem przed sobą człowieka, który uwierzył, że ma tylko dwie drogi do wyboru: albo być rzemieślnikiem, albo niczym.

Biorąc rzecz na rozum, z punktu widzenia Ernesta w całej tej sprawie nie było nic gorszego. Poznał i serdecznie polubił Ellen już przed wielu laty. Wiedział, że jest córką porządnego człowieka, oraz pamiętał, że jej dobry charakter zjednał jej powszechną sympatię w Battersby. Była wtedy szybką, zręczną, ciężko pracującą dziewczyną — i dziewczyną bardzo ładną. Kiedy ostatnio znowu się spotkali, jej zachowanie było nieskazitelne — bez kwestii była skromna i pełna rezerwy w każdym geście i każdym słowie. Cóż więc dziwnego, że zawiodła go wyobraźnia i nie potrafił uświadomić sobie zmian, które po ośmiu latach były nieuniknione? Zbyt dużo miał sobie do zarzucenia i zbyt dotkliwy był Tirach, którego doznał w miłości, żeby być pedantem. Jeżeli przyjmujemy, że Ellen była taką, jaką sobie wyobrażał, i że nie miał, jak święcie wierzył, żadnych lepszych perspektyw przed sobą, to ośmielę się stwierdzić, że przynajmniej połowa mał-żeństw, których codziennie jesteśmy świadkami, zawierana jest na tak samo nierozsądnych przesłankach, na jakich opierała się decyzja Ernesta.

Nie miałem innej drogi wyjścia, jak zrobić dobrą miną do złej gry, więc złożyłem memu młodemu przyjacielowi życzenia szczęścia i dodałem, że gotów jestem dać mu na uruchomienie sklepu każdą potrzebną sumę, jeżeli jego własne fundusze okażą się zbyt szczupłe. Podziękował mi i zwrócił się do mnie z prośbą, żebym zechciał powierzyć mu moją odzież do odświeżania i do naprawy oraz żebym był tak dobry pomóc mu w uzyskaniu podobnych zamówień od innych osób — po czym pozostawił mnie własnym myślom.

Po wyjściu Ernesta wpadłem w jeszcze większą pasję. Jego szczerą chłopięcą twarz promieniała szczęściem, które tak niezmiernie rzadko na niej gościło. Z wyjątkiem pobytu w Cambridge nie miał sposobności pojąć, co to jest szczęście, ale i tara wiódł życie tak szare jak człowiek, dla którego mądrość w jej najwyższych wzlotach jest niedostępna. Zbyt dobrze znałem ludzi i zbyt dobrze znałem Ernesta, żeby tego nie zauważyć, ale byłem — ' przynajmniej w moim przekonaniu — zupełnie bezradny.

Do dziś nie mam wyrobionego zdania, czy powinienem był wtedy podjąć się próby okazania mu pomocy, czy raczej powstrzymać się od ingerencji w jego sprawy, jakkolwiek jestem głęboko przekonany, że młode wszystkim zwierząt potrzebują pomocy w kwestiach, z którymi — oceniając rzecz a priori — powinny radzić sobie bez najmniejszej trudności. Na pozór może się wydawać, że młoda foka obejdzie się bez nauki pływania, a ptak nie musi uczyć się latania, ale w praktyce okazuje się, że maleńka foka, której rodzice nie nauczyli pływać, tonie w zbyt głębokiej wodzie, a młody sokół nie polecą, dopóki rodzice nie nauczą go latać.

Nie przeczę, że zgodnie z duchem naszych czasów aż przesadnie podkreśla się korzyści,

jakie daje oświata, ale doszło do tego, że w wielu dziedzinach staramy się dać ludziom za dużo wiedzy, a zaniedbujemy jednocześnie wiele innych problemów, jakkolwiek trochę sensownych wiadomości na ich temat nie zaszkodziłoby nikomu.

Znam modne w naszych czasach twierdzenie, że młodzież powinna sama rozwiązywać swe problemy, i prawdopodobnie tak by było, gdyby stosowano wobec niej zasady uczciwej gry i nie rzucono jej kłód pod nogi. Tymczasem młodzież niezmiernie rzadko spotyka się z uczciwą grą. Z zasady gra się przeciwko niej brutalnie, czym szczególnie odznaczają się ludzie, którzy zawodowo żerując na młodzieży sprzedają jej kamienie rozmaitych kształtów i rozmiarów tak zmyślnie uformowane, że niemal do złudzenia przypominają bochenki chleba.

Niektórym ludziom poszczęściło się w życiu tak dalece, że niewiele przeszkód spotykają na swej drodze; zdarzają się tacy, którzy mają w sobie dość hartu, żeby przez nie przebrnąć, lecz w większości przypadków, jeżeli nawet komuś uda się ująć cało z opresji, wychodzi z niej jak po pożarze.

W tym samym czasie, kiedy Ernest był u mnie, Ellen rozglądała się za odpowiednim lokalem sklepowym w okolicy Elephant and Castle, a więc w dzielnicy położonej na południe od Tamizy, która wówczas była jeszcze całkiem nowa i zapowiadała się doskonale. Około pierwszej w południe zdobyła kilka adresów, spośród których należało dokonać właściwego wyboru. Zanim noc zapadła, młodzi ludzie powzięli ostateczną decyzję.

Ernest przyprował do mnie Ellen. Nie pragnąłem jej widzieć, ale nie miałem sensownego uzasadnienia, żeby im tego odmówić. Za kilka szylingów kupił jej; trochę łaszków, a więc była ubrana schludnie i — nie przeczę — prezentowała się bardzo ładnie i tak szlachetnie, że — uwzględniając inne okoliczności istotne dla ustalenia stanu faktycznego — trudno mi było dziwić się zaślepieniu Ernesta. Rzecz prosta; zniechęciliśmy się instynktownie od pierwszego wejrzenia, ale oboje zapewniliśmy Ernesta, że odnieśliśmy z tego spotkania jak najbardziej korzystne wrażenie.

Potem wzięli mnie ze sobą, żebym obejrzał ich sklep. Opustoszały dom ma w sobie coś z bezpiecznego psa lub ciała, z którego uszło życie. Z każdego kąta natychmiast wieje ruiną, a to, co zdoła ostać się pleśni, szczurom i wiatrom, staje się pastwą uliczników. Sklep Ernesta, jako obiekt do wynajęcia, prezentował się okropnie — był przeraźliwie brudny i wręcz odrażający. Sam budynek nie był stary, ale został sklecony byle jak przez spekulanta budowlanego i wyglądał bardzo anemicznie. Kamienica zdołałaby uchować się w dobrym stanie przez jakiś okres czasu tylko pod tym warunkiem, gdyby stale w niej ktoś mieszkał i gdyby ani przez moment nikt obcy nie miał do niej dostępu. Tymczasem od kilku tygodni dom stał pusty, w nocy urzędowały w nim koty, a w dzień chłopcy wybijali szyby. Na podłodze izby za sklepem było pełno śmieci i kamieni, a na schodach prowadzących do suterenu leżał martwy pies, który poniósł śmierć na ulicy, więc rzucono go w pierwsze lepsze nie strzeżone miejsce, jakie było pod ręką. W całym domu czuć było przenikliwy smród, ale czy to były pluskwy, szczury, koty, ścieki czy też konglomerat tych czterech fetorów, nie zdołałem ustalić. Okna nie domykały się, tandetne drzwi ledwo trzymały się na zawiasach. Listwy w wielu miejscach były poobrywane, a w podłodze było sporo dziur. Zamki w drzwiach były źle obsadzone, a tapety poobrywane i brudne. Schody były nader wątle i czułem, jak uginają się stopnie, kiedy piąłem się na piętro.

Niezależnie od wspomnianych mankamentów kamienica cieszyła się złą sławą, której podłoże stanowił fakt, że zaledwie przed paru tygodniami powiesiła się w niej żona poprzedniego lokatora. Postawiła mężowi na stoliku przy kominku śledzia na kolację i przyrumienione grzanki. Potem wyszła z pokoju, jak gdyby zaraz miała wrócić, a tymczasem poszła do kuchni i powiesiła się bez jednego słowa. Z tego właśnie powodu dom tak długo stał pusty, jakkolwiek położenie sklepu, zajmującego narożnik, było wyśmienite. Ostatni lokator wyprowadził się natychmiast po

zakończeniu śledztwa. Gdyby właściciel przeprowadził remont od razu, ludzie prawdopodobnie przeszliby do porządku dziennego nad tragedią, która rozegrała się w tym domu, ale zły stan domu w połączeniu ze złą sławą odstraszył wielu reflektantów, którzy podobnie jak Ellen, dostrzegli jego znaczne walory handlowe. Niemal każdy towar miał tam szansę zbytu, a w dodatku tak się złożyło, że w okolicy nie było sklepu z używaną garderobą, a więc wszystko, z wyjątkiem fatalnego stanu i złej reputacji, przemawiało za jego wyborem.

Kiedy obejrzałem ów dom dokładnie, doszedłem do wniosku, że wybrałbym raczej śmierć niż mieszkanie w tak obrzydliwym miejscu — ale w owym czasie od dwudziestu pięciu lat mieszkalem w Tempie. Ernest zaś odnajmował pokój na Laystall Street i dopiero co wyszedł z więzienia. Przedtem mieszkał na Asphit Place, a więc kamienica wcale go nie przerażała, oczywiście pod warunkiem, że zdoła doprowadzić ją do porządku. Trudność polegała na tym, że właściciel był pod tym względem nieugięty. W końcu stanęło na tym, że postarałem się o fundusze na wykonanie koniecznych robót i wydzierżawiłem dom na pięć lat, godząc się na czynsz dzierżawny w takiej samej wysokości, w jakiej płacił go ostatni najemca. Potem podnajmowałem dom Ernestowi i — rzecz prosta — dopilnowałem, żeby wyremontowano go bardziej skrupulatnie, niż można było spodziewać się tego po właścicielu.

Poszedłem tam po tygodniu i zastałem wszystko tak zupełnie odmienione, że w pierwszej chwili nie byłem pewny, czy dobrze trafiłem. Wszystkie sufity pobielono, wszystkie pokoje wytapetowano, w miejsce rozbitych szyb wstawiono całe, wymieniono wadliwą stolarkę, odmalowano futryny, parapety i drzwi. Cała kanalizacja została dokładnie sprawdzona, zrobiono więc naprawę wszystko, co można było zrobić, i pokoje, które były tak odrażające, kiedy byłem w nich ostatni raz, robiły teraz bardzo przyjemne wrażenie. Podobno ludzie, którzy byli zatrudnieni przy remoncie, posprzątały po sobie do czysta, ale Ellen po ich odejściu jeszcze raz wypucowała wszystko od piwnicy po strych, więc aż pachniało czystością. Czulem, że niemal sam mógłbym tu zamieszkać, a co do Ernesta — Ernest był w siódmym niebie. Powiadał, że jest to nasze wspólne dzieło: moje i Ellen.

W sklepie już stała lada i kilka półek, więc nie pozostawało nic innego, jak zaopatrzyć się w trochę towaru i rozpocząć sprzedaż. Ernest orzekł, że robi najlepszy początek sprzedając z miejsca swą księżą garderobę i swe książki, bo, zdaniem Ellen — jakkolwiek sklep miał specjalizować się w handlu używaną odzieżą — nie było żadnego powodu, żeby nie mieli sprzedać także trochę książek. Wobec tego postanowił na pierwszy ogień sprzedać książki, które zostały mu w spadku po szkole i uniwersytecie, okrągło licząc po szylingu za tom. Ernest utrzymywał, że dzięki swemu nowemu zajęciu, które polegało na umiejętnym ustawianiu książek na ławce przed sklepem i załatwianiu klientów, nabył więcej praktycznych wiadomości niż przez całe lata, które poświęcił na studiowanie ich treści.

Wiele osób zwracało się do niego, czy ma taką lub inną książkę, dzięki czemu nauczył się, które z nich sprzeda, a których nie sprzeda, i jaką cenę może za nie dostać. Od czasu swego skromnego debiutu w handlu książkami zaczął bywać zarówno na aukcjach księgarskich, jak i na licytacjach konfekcji i niebawem do tej dziedziny swej działalności handlowej zaczął przykładac wcale nie mniejszą wagę niż do krawiectwa, a nawet jestem pewny, że poświęciłby się jej wyłącznie, gdyby musiał poprzestać na zawodzie kupieckim — ale to należy już do przyszłości.

Ja zadeklarowałem swój osobisty wkład i obwarowałem go warunkami. Ernest chciał zupełnie zerwać ze swym środowiskiem, przynajmniej aż do czasu, kiedy o własnych siłach zdoła znowu się podźwignąć. Zamierzał zatrzymać dla siebie pokój, sklep i kuchnię na parterze, a dwa górne piętra — zgodnie ze swymi pierwotnymi założeniami — odnajac sublokatorom, i byłby niewątpliwie tak postąpił, gdyby nikt nie wtrącał się w jego sprawy. Ja jednak nie chciałem dopuścić do tego, żeby zdany na łaskę i niełaskę losu oderwał się od muzyki, literatury i życia

kulturalnego, a poza tym pragnąłem, żeby miał jakąś kryjówkę, w której mógłby być sam, ponieważ obawiałem się, że w przeciwnym razie bardzo prędko stanie się tylko kupcem i niczym więcej. Uparłem się więc, że zajmę całe pierwsze piętro dla siebie i umebluję je rzeczami, które zostały u pani Jupp. Nabyłem je od niego za niewielką kwotę i kazałem przewieźć do jego obecnego mieszkania.

Poszedłem do pani Jupp, żeby omówić z nią tę sprawę, ponieważ Ernest nie miał ochoty pokazywać się na Asphit Place. Szedłem tam na wpół skłaniając się do przekonania, że meble zostały sprzedane, a pani Jupp przepadła bez wieści, ale było inaczej. Pocziwa starowina, mimo swych licznych wad, była nieskazitelnie uczciwa.

Opowiedziałem jej, że Pryer przywłaszczył sobie pieniądze Ernesta i znikł z nimi jak kamfora. Nie znosiła Pryera.

— Nie znałam człowieka — zawołała — który miałby tak nikczemnie tchórzliwą twarz jak ten Pryer. Był zepsuty do szpiku kości. Przez cały czas, kiedy co rano przychodził do mnie na śniadanie razem z panem Pontifexem, jego fupy i fochy doprowadzały mnie do zupełnej rozpaczy. Nie było sposobu, żeby mu dogodzić. Z początku dawałam im jajka na boczku, ale mu nie smakowały, więc zaczęłam im dawać po kawałku ryby i też albo mu nie smakowało, albo znowu za dużo kosztowało, a jak panu wiadomo nigdy jeszcze ryby nie były tak drogie. To zaczęłam im dawać kiełbasę, ale on powiedział, że go mdli po kieł- basie, a więc spróbowałam podawać smażone kiełbaski, a on mi wtedy zapowiedział, że go od nich jeszcze bardziej odrzuca niż od surowej kiełbasy. Ach, miejsca sobie znaleźć nie mogłam, zamartwiałam się na śmierć i gorzkie łzy wylewałam, a wszystko przez te ich funta kłaków niewarte śniadania, ale pan Pontifex nie był temu winien. Wszystko, cokolwiek mu podano, zawsze mu smakowało.

A więc mają zabrać fortepian — ciągnęła dalej. — Jakie piękne melodie wygrywał na nim pan Pontifex, a była taka jedna, która najbardziej mi się podobała ze wszystkich, jakie słyszałam w życiu. Pewnego razu byłam właśnie w pokoju, kiedy grał ją na fortepianie, i tak mu wtedy powiedziałam: „Jaka ona jest do mnie podobna, proszę pana”, a on na to: „Nie, droga pani, bo ta melodia jest stara, a przecież o pani nie można powiedzieć, że pani jest stara.” Ale, uchwaj Boże, nic złego nie miał na myśli, to był tylko taki jego komplement.

Wiadomość, że Ernest ma zamiar się ożenić, rozsierdziła ją nie mniej ode mnie. Jeśli ożeni się — źle, a jeśli nie ożeni się — też niedobrze. W każdym razie wszystkiemu jest winna Ellen, on jest niewinny, ale ma nadzieję, że będzie szczęśliwy.

— Ostatecznie jednak — zakończyła — ani pan, ani ja nic na to nie poradzimy, a on i ona też nie. Przyzna pan, że to wszystko zależy od małżeńskiej koniunktury, a lepszego słowa na to pan nie znajdzie..

W godzinach popołudniowych zwieziono meble do nowego mieszkania Ernesta. Na pierwszym piętrze umieściliśmy fortepian, stół, obrazy, półki na książki, dwa fotele i trochę sprzętów domowych, które przywiózł ze sobą z Cambridge. Drugi pokój na piętrze, którego okna wychodziły na podwórko, został urządzony tak samo jak jego sypialnia na Asphit Place. Nowe meble dostały się wyłącznie do jego małżeńskiej sypialni na parterze. Te dwa pokoje na pierwszym piętrze, zgodnie z moim stanowczym żądaniem, miałem zatrzymać dla siebie, z tym, że Ernest mógł z nich korzystać bez żadnych ograniczeń. Zastrzegłem sobie, żeby nie odnajmował nikomu mego pokoju sypialnego i zatrzymał go dla siebie, żeby mieć możliwość korzystania z niego w czasie choroby swej żony lub gdyby sam zachorował.

Choć Ernest wyszedł z więzienia niespełna dwa tygodnie temu, wszystko już było zapięte na ostatni guzik, i wówczas zdał sobie sprawę, że nowym ogniwem związał się z życiem, które wiódł, zanim dostał się do więzienia. Pod kilkoma względami jednak jego obecna sytuacja zasadniczo różniła się od dawnej, i to na jego korzyść. Przestał być pastorem, wkrótce miał się

ożenić z kobietą, którą darzył szczerym uczuciem, i na zawsze pozbył się swych rodziców.

Zapewne, stracił cały swój kapitał do ostatniego pensa, stracił dobre imię i pozycję społeczną. Można by powiedzieć, że chcąc upiec sobie prosiaka musiał spalić swój dom, ale gdyby ktoś postawił mu pytanie, czy woli obecną sytuację, czy tę, w której znajdował się w przeddzień aresztu, bez chwili wahania przyznałby terażniejszości wyższość nad przeszłością. Gdyby swej terażniejszości nie mógł zdobyć inaczej jak tylko za cenę cierpień, przez które przeszedł, uznałby, że warta jest tej ceny, i zgodziłby się przecierpieć wszystko od początku. Najgorsza była utrata pieniędzy, ale Ellen twierdziła z przekonaniem, że na pewno im się powiedzie, a dziewczyna знаła się na interesach doskonale. A do utraty dobrego imienia —

zważywszy, że miał nas dwoje, Ellen i mnie — nie przywiązywał istotnego znaczenia. Po południu tego dnia, kiedy remont był skończony, obejrzałem sobie ich dom. Nie pozostawało wtedy nic innego do zrobienia, jak kupić trochę towaru i zacząć sprzedawać. Kiedy wyszedłem od nich, Ernest zjadł kolację i po cichu umknął do swej kryjówki na pierwszym piętrze. Wypalił fajkę i usiadł do fortepianu. Jakaś godzinę grał Haendla, potem usiadł przy stole i zabrał się do czytania i pisania. Pozbierał wszystkie swoje kazania i prace teologiczne, które zaczął przygotowywać w czasach, kiedy był duchownym, i wrzucił je do ognia. Patrzył, jak trawi je płomień, i wiedział, że wraz z nimi pozbywa się jeszcze jednej zmory. Potem wyciągnął z szufladek kilka fragmentów literackich, rozpoczętych jeszcze w końcowym okresie studiów w Cambridge, i zaczął je poprawiać, kreślić i pisać na nowo. Pracował nad nimi w spokoju, aż zegar wybił dziesiątą i czas było iść spać — uświadomił sobie wtedy, że jest szczęśliwy, więcej, że jest doskonale szczęśliwy.

Następnego dnia Ellen zaprowadziła go do firmy Debenhama. W sali licytacyjnej wisiały stłoczone jedne obok drugich partie odzieży, które sprzedawano w całości, a zainteresowani ich kupnem mogli je sobie obejrzeć. Ellen była na tyle doświadczona, że wiedziała, za ile powinna pójść dana partia towaru. Oglądała dokładnie i szacowała partię po partii. Ernest bardzo prędko zaczął się orientować wcale nieźle w wartości używanej garderoby i jeszcze tego samego ranka oszacował dwanaście partii towaru pod rząd i skalkulował takie ceny, które mógł zapłacić — według orzeczenia Ellen — bez obawy" straty, gdyby dobiecie targu za te pieniądze okazało się możliwe.

Nie czuł do swej pracy odrazy ani nie uważał jej za nudną, przeciwnie — lubił ją bardzo, jak zresztą lubiłby każde inne zajęcie, które dawałoby mu realne widoki na dorobienie się jakich takich pieniędzy i nie wymagałoby od niego nadmiernego wysiłku fizycznego. Ellen zabroniła mu kupowania czegokolwiek na tej licytacji. Uważała, że powinien na razie zobaczyć, jak odbywa się sprzedaż publiczna, i zwrócić uwagę na ceny. Podczas licytacji, którą rozpoczęto o godzinie dziewiątej, bacznie obserwował, za ile poszły te partie towaru, które upatrzyli sobie z Ellen, a kiedy sprzedaż dobiegła końca, posiadał już tyle fachowych wiadomości, że mógł bez żadnego ryzyka zgłaszać się do kupna na każdej licytacji, na której chciałby coś nabyć. Wiedzę tego rodzaju z łatwością może nabyć każdy, kto na serio jej pragnie.

Ale Ellen była przeciwna kupowaniu towaru na licytacjach, przynajmniej do pewnego czasu. Jej, zdaniem, należało kupować wprost u osób prywatnych, bo to daje największe zyski. Gdybym więc ja na przykład miał jakieś niepotrzebne, znoszone ubranie, Ernest powinien je kupić od mojej posługaczki. Powinien również nawiązać stosunki z innymi posługaczkami i zaproponować im trochę wyższe ceny od tych, za które mogą w danej chwili spieniężyć starą garderobę, podarowaną im przez pracodawców, bo nawet przy takich cenach dobrze na tym zarobi. Gdyby zaś ci panowie sami zechcieli sprzedać swe rzeczy, powinien zabiegać o kupno wprost od nich. Ernest nie cofał się przed niczym. Być może, cofnąłby się, gdyby przyszło mu do głowy, jak ten proceder jest *outré*, ale ta sama nieznamość świata, która do tej pory działała na

jego zgubę, zaczęła z, dobroczynną ironią wychodzić mu na dobre. Jeżeli była w tym ręka jakiejś złej wróżki, która uwzięła się, żeby go pognać, to za daleko posunęła swą złośliwość. Nie widział w swym postępowaniu niczego osobliwego. Zdawał sobie sprawę jedynie z tego, że jest bez pieniędzy i musi zabezpieczyć byt sobie, żonie, a może i potomstwu. Pragnął także mieć kilka godzin co wieczór dla siebie, żeby czytać i pisać, i ćwiczyć się w muzyce. Gdyby znalazł się człowiek, który doradziłby mu jakieś lepsze zajęcie od tego, do którego się zabrał, z pewnością przyjąłby jego radę z wdzięcznością, ale jemu się wydawało, że obrał słuszną linię postępowania. Przecież już w pierwszym tygodniu, jak wykazały ich rachunki, osiągnęli trzy funty czystego zysku. Po kilku tygodniach zyski te zwiększyły się do czterech funtów, a około Nowego Roku zarobili pięć funtów w jednym tygodniu.

W owym czasie Ernest był już mniej więcej od dwóch miesięcy po ślubie, albowiem ani na jotę nie odstąpił od swego pierwotnego zamiaru, że ożeni się z Ellen w pierwszym dniu, w którym według litery prawa będą mogli zawrzeć związek małżeński. Termin ślubu uległ nieznacznej zwłoce, co było związane z tym, że ostatnio przeprowadził się z Laystall Street do dzielnicy Blackfriars, ale miał czyste sumienie, bo rzeczywiście ożenił się w pierwszym dniu, w którym przepisy na to pozwalały. Jego roczny dochód nawet w latach dostatku nigdy nie przekraczał dwustu pięćdziesięciu funtów, a obecnie zarabiał pięć funtów tygodniowo. Przy założeniu, że jego zarobki utrzymają się na tym poziomie, stał finansowo mniej więcej tak samo jak rok temu. Wprawdzie miał teraz nie jedną, a dwie osoby do wyżywienia, ale jego inne wydatki wraz ze zmianą pozycji towarzyskiej tak znacznie się zmniejszyły, że, z grubsza licząc, jego położenie materialne praktycznie się nie zmieniło. Jego kolejne zadanie polegało na takim powiększeniu dochodu, żeby mógł odłożyć sobie trochę pieniędzy.

Powodzenie, jak wszyscy wiemy, w znacznej mierze zależy od energii i zdrowego rozsądku, ale zależy także od zwykłego szczęścia — czyli innymi słowy, od wzajemnych związków między rzeczami, które są tak powikłane, że łatwiej przyjdzie nam zgodzić się, iż w ogóle nie istnieją, niż spróbować je wysledzić. Jakaś dzielnica w związku z prawdopodobieństwem jej szybkiego rozwoju może cieszyć się wyśmienitą opinią, a przecież całkiem nieoczekiwanie może zostać zakasowana przez inny punkt miasta, któremu nikt nie rokował świetnej przyszłości. Szpital chorób zakaźnych może wpłynąć ujemnie na ruch w sklepach, a budowa nowego dworca może przysporzyć klientów. Tak niewiele, w istocie rzeczy, można w tej materii wiedzieć na pewno, że bezpieczniej jest wiedzieć tylko tyle, co mówią ludzie, a co do reszty zdać się na los szczęścia.

Szczęście, które jak dotąd nie było zbyt łaskawe dla mego bohatera, teraz, jak się wydawało, wzięło go pod swe opiekuńcze skrzydła. Dzielnica porastała w piórka, a on razem z nią. Miał tak szczęśliwą rękę, że ledwo jakiś towar wstawił do sklepu, natychmiast sprzedawał go z trzydziesto do pięćdziesięcioprocentowym zyskiem. Nauczył się buchalterii, analizował swe rachunki skrupulatnie, a z każdego udanego pociągnięcia natychmiast wyciągał wnioski dla dalszego postępowania. Oprócz garderoby zaczął skupować także inne rzeczy, jak np. książki, nuty, pojedyncze sztuki mebli itd. Nie potrafię powiedzieć, czy zawdzięczał to szczęściu, czy zdolnościom handlowym, czy energii, czy wreszcie uprzejmości, z jaką odnosił się do klientów, dość na tym, że ku swemu zdziwieniu, a nikt chyba nie był tym bardziej zdumiony od niego samego, piął się w górę szybciej, niż odważył się przewidywać w najśmielszych marzeniach. Do świąt wielkanocnych zdołał sobie zapewnić bardzo mocną pozycję jako właściciel firmy, która przynosiła mu czterysta do pięciuset funtów rocznie i którą potrafił dalej rozwijać.

ROZDZIAŁ LXXIII

Pożycie Ernesta z Ellen układało się wybornie, w, znacznym stopniu dlatego, że dzieliła ich tak wielka różnica poziomów, i ani Ellen nie zdradzała ochoty do windowania się w górę, ani Ernest nie usiłował podciągnąć ją wwyż. Kochał ją szczerze i był dla niej dobry. Mieli wspólne interesy, którym wspólnie poświęcali swe siły. Łączyły ich przeszłe zdarzenia, przeważnie dobrze znane obojgu. Oboje z natury byli ustepliwi, więc w sumie im to wystarczało. Ellen, jak się wydawało, nie okazywała zazdrości, że Ernest po zakończeniu codziennych zajęć woli spędzać wolny czas na pierwszym piętrze, gdzie od czasu do czasu go odwiedzałem. Gdyby znudziła się jej samotność, mogła oczywiście w każdej chwili pójść do niego na górę, ale tak się składało, że zawsze miała jakąś robotę na dole. Była również tak taktowna, że zawsze, kiedy miał zamiar wyjść wieczorem, najusilniej go do tego zachęcała, nie zdradzając najmniejszej ochoty, żeby zabrał ją ze sobą, co Ernestowi bardzo dogadzało. Śmiało mogę powiedzieć, że rzadko ludzie bywają w małżeństwie tak szczęśliwi, jak szczęśliwy był Ernest.

Czasem spotkał się przypadkowo z kimś ze swych dawnych przyjaciół i z początku robiło mu to przykrość, ale niebawem przestał na to zwracać uwagę. Albo oni go ignorowali, albo o nich. Z początku był trochę speszony, kiedy raz i drugi znajomi odwrócili się, udając, że go nie poznają, potem zaczął znajdować w tym pewną przyjemność, aż wreszcie mając już za sobą niemałe osiągnięcia przestał niemal zupełnie przejmować się tym, co ludzie mówią o jego przeszłości. Taka próba jest bolesna, lecz jeżeli moralna i fizyczna konstytucja człowieka jest z natury zdrowa, nic tak nie wyrabia jego siły charakteru jak świadomość, że ludzie nie chcą podać mu ręki.

Wydawał niewiele, co przychodziło mu z' łatwością, ponieważ nie miał upodobania do zbytku. Chętnie chodził do teatru, lubił niedzielne wycieczki za miasto, palił z satysfakcją, ale poza tym, z wyjątkiem pisania i muzyki, niewiele więcej dla niego istniało. Nienawidził koncertów szablonowo powtarzających się w każdym sezonie. Uwielbiał Haendla, lubił Offenbacha i aryjki, które święciły sukcesy na ulicach, ale cała reszta, która mieściła się między tymi skrajnościami, była mu obojętna. Muzyka kosztowała go niewiele. Wolnych wstępów do teatru dla niego i dla Ellen dostarczałem tyle, ile zapragnęli, a zatem nie wydawał na teatr ani pensa. Wycieczki w niedzielę stanowiły mały wydatek. Za parę szylingów mógł kupić bilet powrotny do jakiejś miejscowości, położonej dostatecznie daleko od miasta, żeby odprężyć się na porządnym spacerze i spędzić cały dzień w zupełnie odmiennych warunkach. Z początku Ellen towarzyszyła mu w kilku takich wycieczkach, ale potem uznała, że nie można tego od niej wymagać, bo chciałaby widywać się od czasu do czasu z niektórymi ze swych dawnych przyjaciółek, i przewidując, że Ernest i jej znajome stanowią będą całkiem niedobre towarzystwo, zaproponowała mu, żeby odtąd jeździł sam. Propozycja wydawała się Ernestowi tak rozsądna i tak ściśle pokrywała się z jego upodobaniami, że przystał na nią z ochotą, nie podejrzewając żadnych niebezpieczeństw, które dla mnie, za ledwie usłyszałem, jak Ellen podeszła do tej sprawy, były widoczne jak na dłoni. Zachowałem jednak milczenie i przez jakiś czas wszystko układało się pomyślnie. Jak już wspominałem, jedną z największych przyjemności znajdował w pisaniu. Jeżeli jakiś człowiek nosi przy sobie mały szkicownik i nieustannie w nim szkicuje, jest to niezbity dowód, że posiada instynkt malarski. Wprawdzie sto różnych przeszkód może przeszkodzić rozwojowi jego talentu, lecz fakt pozostaje faktem, że ten człowiek ma instynkt malarski we krwi. Zdarza się, że ktoś nosi stale w kieszonce kamizelki notesik i zapisuje w nim fakty, które wydają mu się niebanalne, trafne powiedzenia, usłyszane w rozmowie, oraz

cytaty, które mogą mu się kiedyś przydać. Rozpoznaję po tym niezawodnie, że taki człowiek obdarzony jest instynktem literackim. Ernest zawsze miał taki notesik przy sobie. Zaczął w nim robić notatki z własnej inicjatywy jeszcze w Cambridge. Co jakiś czas przepisywał je do grubego zeszytu, a ponieważ z czasem ciągle ich przybywało, został zmuszony do opracowania odpowiedniego skorowidza. Kiedy dowiedziałem się o tym, nabrałem przekonania, że posiada instynkt literacki, a kiedy zobaczyłem je- go notatki na własne oczy, zacząłem rokować mu wielkie rzeczy.

Przez długi czas spotykały mnie jednak same rozczarowania. Wybierał sobie tematy, które z samej swej istoty działały na niego paraliżująco — były to bowiem zagadnienia z dziedziny metafizyki. Na próżno starałem się odwieść go od tak mało zachęcającej problematyki i skłonić do pisania o czymś, co dla ogółu jest bardziej interesujące. Kiedy kołatałem do niego, żeby wypróbował swe siły na jakimś lekkim, pełnym wdzięku i nierozwlekłym opowiadaniu, w którym ludzie znajdą to, co znają i najbardziej lubią, natychmiast zabierał się do traktatu, w którym udowadniał, na jakich podstawach opiera się wszelka wiara.

— Grzebiesz się w błocie — rzekłem mu — wywołujesz wilka z lasu. Starasz się przywrócić świadomość spraw, które już dawno, przynajmniej u ludzi rozsądnych, przeszły w stadium nieświadomości. Ludzie, których chcesz niepokoić, znajdują się przed tobą, a nie, jak wyobrażasz sobie, za tobą. To nie oni, a ty wleciesz się w ogonie.

Nie potrafił tego dostrzec. Powiedział mi, że pracuje teraz nad esejem na temat sławnych słów św. Wincentego de Lerins: „*quod semper, quod ubique, quod ab omnibus.*” Było to tym bardziej irytujące, że stać go było na coś lepszego, gdyby zechciał.

Pracowałem wtedy nad burleską *Niecierpliwa Gry zelda* i czasem z braku pomysłów biedziłem się nad akcją lub realiami. Wykazał wtedy wiele inwencji, a jego sugestie okazały się bardzo trafne. Mimo wszystko jednak nie potrafiłem go namówić, żeby dał so- bie spokój z filozofią, więc zmuszony byłem przestać wtrącać się w jego sprawy.

Przez dłuższy okres czasu, jak wspominałem, wybierał tematy, które nie znajdowały u mnie uznania. Nieustannie studiował dzieła naukowe i metafizyczne, bo miał nadzieję, że znajdzie, a jeżeli nie znajdzie, to sam sfabrykuje kamień filozoficzny w postaci uniwersalnego systemu, który nie rozleci się w pył i proch przy najlżejszym muśnięciu, jak wszystkie dotąd ogłoszone systemy filozoficzne.

Wobec tego, że nadal uparcie uganiał się za swoimi mrzonkami, zwątpiłem w niego całkowicie i skatalogowałem go jako jeszcze jedną muchę, która dała się złapać na skrawek papieru posmarowany lepkiem klejem, w dodatku o bardzo nieprzyjemnym smaku. Ku memu zdziwieniu oświadczył mi w końcu, że zrozumiał i znalazł to, czego pragnął.

Sądziłem, że wpadł znowu na jakieś radosne eureka, ale odetchnąłem z ulgą, kiedy oświadczył mi, że system filozoficzny, który wyszedłby zwycięsko z każdej próby, jest niemożliwy, ponieważ nikomu nie uda się uporać z biskupem Berkeleyem, a wobec tego absolutnie niewzruszalna pierwsza przesłanka jest praktycznie wykluczona. Był tak zadowolony z tego odkrycia, jak gdyby odkrył najdoskonalszy z możliwych do pomyślenia systemów filozofii. Wyjaśnił mi, że chodziło mu tylko o stwierdzenie, jaką należy obrać drogę — innymi słowy, czy taki system jest, czy nie jest możliwy — a jeżeli jest możliwy, to na czym polega. Skoro więc doszedł do przekonania, że system oparty na twierdzeniach absolutnie pewnych jest niemożliwy, był całkiem zadowolony z rezultatu.

Miałem bardzo mętne pojęcie o biskupie Berkeleyu, ale byłem mu ogromnie wdzięczny, że obronił nas przed absolutnie niewzruszalną pierwszą przesłanką. Nie udało mi się jednak, przynaję otwarcie, powstrzymać od kilku krytycznych uwag pod adresem Ernesta. Krótko mówiąc, chodziło mi mniej więcej o to, że po tylu mozolach doszedł do wniosków, do których

przeciętnie rozsądni ludzie dochodzą bez zadawania tak okropnych udręk swemu umysłowi.
Odpowiedział:

— Zgoda, ale z tym zastrzeżeniem, że ja nie urodziłem się rozsądny. Przeciętnie silne dziecko uczy się chodzić między pierwszym a drugim rokiem życia nie bardzo zdając sobie z tego sprawy. Dziecko słabsze musi uczyć się mozolnie, ale ostatecznie jest to lepsze, niż gdyby w ogóle nie miało się uczyć. Przykro mi, że okazałem się słaby, ale wiem, że nie miałbym żadnych szans, gdybym nie postępował tak, jak postępuję.

Było w nim tyle pokory, że byłem zły na siebie za moje nieoględne słowa, tym bardziej, kiedy uświadomiłem sobie, że otrzymał wychowanie, które bez wątpienia zdławiło w nim zdolność rozsądnego patrzenia na rzeczywistość. Ciągnął dalej:

— Teraz już wszystko pojąłem. Tylko wiedza takich ludzi jak Towneley posiada jakąś wartość, a ja oczywiście nigdy takim człowiekiem nie będę. Ale żeby mogli istnieć Towneleyowie konieczni są drwale i nosiwody, to jest pionierzy, którzy muszą zdobywać wiedzę świadomie i przekazywać ją następnie ludziom posiadającym umiejętność zastosowania jej w praktyce z taką swobodą i tak instynktownie, jak to robi Towneley. Jestem drwalem, ale jeżeli szczerze godzę się na moją sytuację i nie mam ambicji zostać Towneleyem, wszystko jest w porządku.

Nadal więc kurczowo trzymał się nauki i wbrew moim oczekiwaniom nie porzucił jej dla literatury, ale od tego czasu ograniczył się tylko do studiów specjalnych, które w jego mniemaniu stanowią jedyną możliwość wzbogacenia naszej wiedzy. Zaledwie więc po tylu ciężkich udrękach duchowych doszedł do wniosku, który podważał podstawy wszelkiej wiedzy, a już ochoczo zabrał się do jej zdobywania, i od tej chwili nie zmienił swych naukowych zamiłowań, choć czasem zapuszczał się także w rejony literatury.

Ale to wyprzedza fakty, a może także wywołać fałszywe wrażenie, bo przecież od samego początku Ernest interesował się czasem twórczością, którą, chcąc być ścisłym, należy raczej nazwać literacką niż naukową lub filozoficzną.

ROZDZIAŁ LXXIV

W jakieś pół roku po założeniu sklepu powodzenie Ernesta osiągnęło punkt kulminacyjny, ale i wówczas wydawało się, że nie zwolni tempa, w jakim szedł naprzód, a ja osobiście nie mam żadnych wątpliwości, że zdołałby tego dokazać, gdyby powodzenie lub niepowodzenie zależało tylko od niego. Na nieszczęście nie był jedyną osobą, którą należało brać w rachubę. Pewnego ranka wyszedł na licytację, zostawiając żonę w doskonałym zdrowiu, w znakomitym jak zawsze usposobieniu i bardzo ładną. Kiedy wrócił do domu, Ellen siedziała na krześle w pokoju za sklepem i zanosila się od płaczu oraz spazmatycznych szlochów, a potargane kosmyki włosów spadały jej na twarz. Powiedziała mu, że przeraziła się jakiegoś osobnika, który udając klienta zmusił ją groźbą do dania mu pewnych rzeczy ze sklepu. Chcąc uchronić się od przemocy, musiała na to przystać. Ledwo ów człowiek wyszedł ze sklepu, dostała histerycznych spazmów, których nie może do tej chwili opanować. Tyle dowiedział się od niej, ale mówiła tak bez związku, że trudno mu było ją zrozumieć. Ernest wiedząc, że Ellen jest w ciąży, i sądząc, że atak może mieć jakiś związek z jej stanem, chciał wezwać doktora, ale Ellen prosiła go na wszystko, żeby tego nie robił.

Każdy, kto miał sposobność zetknąć się z pijakami, na pierwszy rzut oka zorientowałby się w sytuacji, ale mój bohater był w tej materii kompletnym ignorantem, krótko mówiąc, nie miał pojęcia, że stan zamroczenia alkoholem u nałogowego pijaka uzewnętrznia się całkiem inaczej niż u osoby, która upija się sporadycznie. Myśl, że jego własna żona jest pijaczką, nigdy nie wpadła mu do głowy, ba, ileż trzeba było nalegać i prosić, żeby Ellen napiła się trochę więcej piwa, a mocniejszych trunków nie brała do ust za nic w świecie. O hysterii miał nie większe pojęcie niż o alkoholizmie, ale często słyszał, że kobiety, które wkrótce mają zostać matkami, łatwo tracą panowanie nad sobą i bywają wręcz niezdolne. Przyjął więc całe to zdarzenie bez wielkiego zdziwienia i zarejestrował odkrycie, że sytuacja mężczyzny, który wkrótce będzie ojcem, ma zarówno przykre, jak i miłe strony, co w jego przekonaniu wyjaśniło sprawę bez reszty.

Dzięki wielkiej przemianie, która nastąpiła w jej życiu w konsekwencji spotkania z Ernestem i wyjścia za niego za męża, Ellen na jakiś czas wyzwoliła się od swych dawnych nałogów. Nałóg pijaństwa jest w znacznym stopniu kwestią przyzwyczajenia, a przyzwyczajenie jest tak ściśle związane ze środowiskiem, że czasem dzięki zupełnej zmianie otoczenia udaje się ludziom z niego wyleczyć. Ellen postanowiła, że od tej pory nie weźmie kropli alkoholu do ust, a ponieważ nigdy dotąd nie wytrwała we wstrzeźliwości tak długo, więc uznała się za wyleczoną. I być może przestałaby pić, gdyby nie jedna z jej dawnych przyjaciółek. Kiedy spłowiła nowość jej odmiennego życia, kiedy nawiązała kontakt z dawnymi przyjaciółkami, jej obecne środowisko zaczęło stawać się coraz bardziej podobne do jej dawnego otoczenia, a wtedy zaczęła na nie reagować tak samo jak dawniej. Z początku piła niedużo, co najwyżej bywała podchmielona, i walczyła jeszcze z nawrotem nałogu. Na nic jednak to się nie zdało, bo niebawem straciła ducha oporu i przestała dbać nawet o pozory trzeźwości, a całą uwagę skupiła na tym, jak zdobywać dzin, żeby mąż o tym nie wiedział.

Ataki hysterii nie ustępowały, ale Ellen manewrowała tak umiejętnie, że Ernest w dalszym ciągu uznawał je za naturalne objawy ciąży. Im częstsze były ataki, tym bardziej był dla niej troskliwy. W końcu postawił na swoim, żeby wezwać doktora. Lekarz momentalnie zorientował się w sytuacji, lecz nie zdradził Ernestowi swej diagnozy i nadał rozmowie formę tak oględną, że Ernest nie zrozumiał aluzji, które robił. Był zbyt prostolinijny i zbyt rzeczowy, żeby połapać się

w tego rodzaju niedomówieniach. Żył więc nadal nadzieję, że żona wkrótce po położeniu przyjdzie do siebie, i o niczym innym nie myślał, jak tylko o tym, żeby w oczekiwaniu na tę szczęśliwą chwilę we wszystkim jak najbardziej jej ulżyć.

W godzinach rannych jej stan bywał lepszy, co trwało, ściśle mówiąc, tak długo, dopóki Ernest był w domu. Musiał jednak wychodzić po zakupy, a po powrocie z reguły stwierdzał, że dostawała ataku, zaledwie zdążył przestąpić próg domu. Czasem śmiała się i płakała przez pół godziny bez ustanku, kiedy indziej leżała na łóżku półprzytomna i po powrocie do domu zastawał sklep bez opieki, a gospodarstwo domowe w nieładzie. Nadal uważał jednak za pewnik, że jest to jeden z naturalnych objawów, występujących u kobiet ciężarnych, więc kiedy obowiązki, które dotychczas należały do Ellen, coraz bardziej spadały na jego barki, brał je wszystkie na siebie i harował bez słowa sprzeciwu. Niemniej jednak w jakiś nieuchwytny sposób odezwały się w nim te same uczucia, których kiedyś doświadczył na Asphit Place, w Roughborough i Battersby, i zaczął tracić ową sprężystość umysłu, dzięki której w ciągu pół roku swego małżeńskiego pożycia stał się innym człowiekiem.

Nie dość na tym, że był przeciążony zajęciami domowymi, bo nawet gotowanie, wynoszenie brudów i odpadków, ślanie łóżek i palenie w piecach bardzo prędko spadły na niego, ale w dodatku pogorszyły się interesy jego firmy. Zakupy załatwiał, co prawda, tak samo korzystnie jak dotąd, ale wydawało się, że Ellen nie potrafi już tak dobrze sprzedawać jak dawniej. W rzeczywistości sprzedawała nie mniej umiejętnie jak dotychczas, ale część zysków zatrzymywała dla siebie, żeby mieć pieniądze na dzin, a po jakimś czasie tak dalece przestała się krępować, że nawet bezkrytyczny Ernest powinien był dostrzec, że żona go oszukuje. Kiedy uzyskiwała lepszą cenę, ściśle mówiąc, kiedy uważała za niebezpieczne za- trzymać sobie więcej niż pewną określoną sumę, wyłudzała od niego pieniądze pod pretekstem, że ma ogromną ochotę na to czy na tamto, a niespełnienie jej pragnienia może wyrządzić ich dziecku niepowetowaną krzywdę. Wszystko to wydawało się słuszne, rozsądne i nieuniknione, ale tak czy owak Ernest zdawał sobie sprawę, że do czasu położu czeka go niejedna ciężka chwila. Potem znowu wszystko będzie dobrze.

ROZDZIAŁ LXXV

We wrześniu 1860 roku urodziła się dziewczynka, a Ernest był dumny i szczęśliwy. Przyjście na świat dziecka i ostre słowa lekarza, który napędził Ellen strachu, otrzeźwiły ją na kilka tygodni, i rzeczywiście wszystko wskazywało na to, że nadzieje Ernesta są bliskie spełnienia. Wydatki związane z porodem były duże i musiał sięgnąć do swych oszczędności, ale był całkiem pewny, że teraz, kiedy Ellen przyszła do siebie, bardzo prędko powetuje tę stratę. Wprawdzie interesy zaczęły iść trochę lepiej, lecz wydawało się, że w konsekwencji chwilowego niepowodzenia odwróciła się od niego szczęśliwa gwiazda, która towarzyszyła mu na początku. Nie opuszczał go jednak optymizm i pracował dniem i nocą z zazartym uporem, ale nie było już muzyki, czytania i pisania. Skończyły się jego niedzielne wycieczki i tylko dzięki temu, że to ja odnajmowałem od niego pokoje na pierwszym piętrze, zachował swą kryjówkę, ale rzadko z niej korzystał, bo Ellen coraz więcej czasu musiała poświęcać dziecku, a wobec tego on coraz więcej czasu musiał poświęcać Ellen.

Pewnego popołudnia w kilka miesięcy po przyjściu na świat dziecka, dokładnie wtedy, kiedy w serce mego nieszczęsnego bohatera wstąpiło trochę nadziei, dzięki której lżej mu było dźwigać brzemię swego losu, wrócił do domu z jakiejś licytacji i zastał Ellen z objawami tej samej hysterii, na którą cierpiała wiosną tego roku. Powiedziała mu, że znowu jest w ciąży, a on nadal jej wierzył.

Wszystkie kłopoty minionego półrocza znowu zwały się na niego i z dnia na dzień stawały się coraz gorsze. Obroty zmniejszały się, bo Ellen go oszukiwała, zatrzymując pieniądze dla siebie i pozwalając sobie coraz częściej na nieuczciwe kombinacje z towarami, które kupował do sklepu. Kiedy wpłynęło mu trochę gotówki, wyciągała ją od niego pod pretekstami, których zbyt drobiazgowo sprawdzanie było w jego mniemaniu nieludzkim okrucieństwem. Zawsze powtarzała się jedna i ta sama historia. Z czasem zaczęło występować nowe zjawisko. Ernest odziedziczył po ojcu akuratność i dokładność w kwestiach finansowych. Jeżeli miał coś do zapłacenia, wolał być z góry przygotowany na najgorsze. Nie cierpiał wydatków, które zaskakiwały go zniemacka, a więc wolał je przewidywać, żeby tego uniknąć, a tymczasem ludzie zaczęli przynosić mu rachunki za rzeczy zamówione przez Ellen bez jego wiedzy lub, co gorsza, na które już raz dostała od niego pieniądze. To było okropne, i nawet Ernest się zbuntował. Kiedy robił jej wymówki — nie o to, że kupiła to czy tamto, ale że nic mu nie powiedziała o długach — Ellen zareagowała atakiem hysterii i doszło do sceny. Zdażyła już całkiem zapomnieć, jak jej było ciężko, kiedy sama musiała zarobić na życie, i bez ogródek zaczęła robić mu wymówki, że się z nią ożenił. W jednej chwili — jak wówczas kiedy Towneley powiedział mu: „Nie, nie, nie!” — Ernest przejrzał na oczy. Nie odezwał się ani słowem, ale zrozumiał definitywnie, że wiążąc się małżeństwem popełnił błąd. To nowe doświadczenie znów objawiło mu samego siebie.

Poszedł na górę do swej nieużywanej kryjówki, rzucił się w fotel i ukrył twarz w dłoniach.

Dotychczas nie wiedział, że jego żona jest pijaczką, ale stracił do niej zaufanie i jego sen o szczęściu przeminął bezpowrotnie. Uratował się od Kościoła - wprawdzie jak pogorzelec, bądź co bądź jednak z życiem — ale cóż zdoła go uratować od małżeństwa? Popełnił taki sam błąd jak wtedy, kiedy związał się ślubem z Kościołem, ale następstwa tej pomyłki były stokroć gorsze. Doświadczenie niczego go nie nauczyło: był jak Ezaw — jeden z owych nieszczęśników, którym stwardniały serca z rozkazu Pańskiego, którzy mając uszy nie słyszeli i mając oczy nie widzieli i którym nie było pisane znaleźć miejsca, gdzie by czynili pokutę, choć szukali go aż do

gorzkich łez.

Czyż nie starał się odkryć, któredy wiodą ścieżki Pańskie, i iść nimi w samotności swego serca? Do pewnego stopnia — tak, ale nie był bezkompromisowy, nie złożył Bogu wszystkiego w ofierze. Zdawał sobie sprawę z tego doskonale. Zrobił bardzo mało w zestawieniu z tym, co mógł i powinien był zrobić, ale bądź co bądź Pan Bóg jest surowym dozorcą, skoro ukarał go tak dotkliwie, co więcej, jest dozorcą złośliwym, który zniechęca wyskakując z zasadzki, żeby zaskoczyć nieszczęsne ludzkie stworzenia. Żeniąc się z Ellen pragnął odżegnać się od życia W grzechu i postąpić, jak mniemał, moralnie i słusznie. Dla człowieka z jego antecedensami, z jego przeszłością i jego wychowaniem taka decyzja była czymś najbardziej naturalnym w świecie, a tymczasem wszystko wskazuje na to, że to moralność zapędziła go w tak opłakane położenie. Czy w następstwie najbardziej nieetycznego czynu mógł znaleźć się w gorszej sytuacji? Cóż zatem jest warta moralność, jeżeli ludziom dobrej woli nie daje gwarancji, że dzięki niej będą mogli w końcu odpocząć w pokoju? Któż rozsądny może mieć pewność, że znajdzie odpoczynek w małżeństwie? Starał się żyć moralnie, a tymczasem okazało się, że szedł krok w krok za szatanem przebrany za anioła światłości. A w takim razie, czy istnieje grunt, na którym człowiek może znaleźć oparcie dla swej stopy i stanąć jako tako bezpiecznie?

Był jeszcze zbyt młody, żeby zdobyć się na odpowiedź: „Istnieje, jest nim zdrowy rozsądek” — odpowiedź, w jego przekonaniu, niegodna człowieka, który posiada jakiś ideał etyczny..

Jakkolwiek rzecz się miała, nie ulegało najmniejszej wątpliwości, że, tym razem napisał sobie nieszczęścia, z którego cało nie ujdzie. Tak zawsze wszystko kończy się w jego życiu. Jeżeli kiedykolwiek zaświecił mu promyk słońca i nadziei, natychmiast gasł za chmurą — przecież nawet w więzieniu było mu lepiej niż teraz! Tam przynajmniej nie miał żadnych trosk materialnych, a teraz kłopoty materialne zaczęły przytłaczać go całą swą okropną grozą. Wprawdzie jest mu teraz na pewno lepiej niż w Battersby lub Roughborough, wprawdzie nie wróciłby nawet do swego ukochanego Cambridge, ale ma przed sobą przyszłość ponurą, w istocie rzeczy tak bezna- dziejną, że z ochotą zasnąłby w fotelu, żeby nie obudzić się już nigdy.

Kiedy tak dumiał i przyglądał się katastrofie swych nadziei — bo zdawał sobie doskonale sprawę, że dopóki będzie związany z Ellen, nigdy nie zdoła wspiąć się wyżej, o czym nie przestawał marzyć — doszedł go z dołu jakiś hałas, w tej samej chwili sąsiadka wpadła do jego pokoju.

— Rany boskie, proszę pana — zawołała — niech pan zaraz idzie na dół na pomoc. Żona pańska regularnie sfiksowała.

Na to wezwanie nieszczęsny małżonek zszedł na dół i zastał swą żonę w obłądnym szale, a był to atak delirium tremens.

Teraz wszystko stało się jasne. Sąsiedzi mniemali, że on wiedział o nałogowym pijaństwie swej żony, lecz Ellen była tak przebiegła, a Ernest — jak już wspomniałem — był tak prostoduszny, że nie podejrzewał niczego.

— Przecież ona — powiedziała kobieta, która go zawołała — pije tak długo, dopóki może utrzymać się na nogach i ma czym płacić.

Ernest nie wierzył własnym uszom, więc kiedy lekarz wyszedł od Ellen, a ona trochę się uspokoiła, poszedł do szynku, znajdującego się w najbliższym sąsiedztwie, i zaczął się rozpytywać, aż doszedł do wyników, które rozwiały wszelkie złudzenia. Szynkarz skorzystał ze sposobności, żeby przedłożyć memu bohaterowi rachunek na dobre kilka funtów za dostarczony jego małżonce alkohol, a zważywszy wydatki na poród oraz zły stan interesów me miał czym zapłacić tego długu, bo jego wysokość przekraczała resztki oszczędności Ernesta.. Przyszedł do mnie — nie po pieniądze, ale żeby opowiedzieć mi swą niedolę. Wiedziałem, że jego sprawy źle

stoją od jakiegoś czasu, i wcale przenikliwie domyślałem się, o co chodzi, ale — rzecz prosta — zachowywałem milczenie. Moje stosunki z Ernestem w ostatnim okresie były dość luźne. Byłem zły, że się ożenił, a on o tym wiedział, jakkolwiek z całych sił starałem się nie dać tego poznać po sobie.

Małżeństwo nie tylko unieważnia testament mężczyzny, ale podważa też jego stosunki z przyjaciółmi; to samo dzieje się, kiedy żeni się któryś z jego przyjaciół. Rysa na przyjaźni, którą z chwilą zawarcia małżeństwa przez jednego z przyjaciół obaj zaczynają natychmiast dostrzegać, szybko i nieuchronnie przeistacza się w potężną przepaść, jaka dzieli żonaty i nieżonaty, więc i ja zacząłem zostawiać mego pupila własnemu losowi, do którego, nie miałem ani prawa, ani autorytetu się wtrącać. Prawdę powiedziawszy, doszedłem do wniosku, że jestem zmęczony Ernestem. Tolerowałem ten stan rzeczy, dopóki mogłem mu na coś się przydać, ale zaczęło mnie to wszystko irytować, kiedy przestałem mu być potrzebny. Niech się wyśpi, jak sobie sam posłał. Ernest zdawał sobie z tego sprawę i rzadko do mnie przychodził, aż pewnego wieczoru, pod koniec 1860 roku, przyszedł do mnie z bardzo smętnym obliczem i opowiedział mi o swoich kłopotach.

Kiedy dowiedziałem się, że przestał kochać swą żonę, z miejsca mu wszystko przebaczyłem, a jego sprawy znowu stały mi się tak bliskie jak dawniej. Nic nie sprawia staremu kawalerowi większej przyjemności jak widok młodego człowieka, który nie może sobie darować, że się ożenił, szczególnie w tak skrajnym przypadku, kiedy nie potrzeba wysilać się na udaną nadzieję, że na pewno wszystko dobrze się ułoży, ani namawiać młodego przyjaciela, żeby spróbował coś ze swego małżeństwa wykrzesać.

Opowiedziałem się za separacją, a nawet zadeklarowałem gotowość płacenia Ellen pewnej kwoty miesięcznie — rzecz prosta mając zamiar wypłacać ją z własnych pieniędzy Ernesta. Nie chciał jednak o tym słyszeć. Ożenił się z Ellen, powiedział stanowczo, a więc musi spróbować podźwignąć ją z upadku. Jest to dla niego okropne, ale przed tą próbą nie wolno mu się cofnąć.

Widząc jego zawzięty upór, z którym już nieraz się spotkałem, nie miałem innego wyjścia, jak zgodzić się na jego propozycję, choć nie bardzo wierzyłem, żeby coś z tego wyszło. Ogarnęła mnie pasja, że marnuje czas na tak jałowe zadanie, i znowu uświadomiłem sobie, że mnie męczy. Zdaje się — co z przykrością wyznaję — że dałem mu to poznać po sobie, ponieważ przez jakiś czas znowu mnie unikał, a prawdę mówiąc przez kilka miesięcy nie widziałem go ani, razu.

Przez kilka dni Ellen ciężko chorowała, ale stopniowo zaczęła przychodzić do siebie. Dopóki stan żony był poważny, Ernest nie opuścił jej ani na chwilę. Kiedy wyzdrowiała, sprowadził do niej doktora, żeby powiedział jej bez ogródek, że następny atak skończy się dla niej tragicznie. Przeraziła się tym tak bardzo, że zobowiązała się solennie nie brać ani kropli alkoholu do ust.

Wtedy znowu wstąpiła w niego iskierka nadziei. Kiedy była trzeźwa, była tą samą Ellen jak w pierwszych dniach ich małżeństwa, a cierpienia tak szybko zatarły się w jego pamięci, że po kilku dniach kochał ją tak mocno jak dawniej. Ellen dobrze wiedziała, co dla niej zrobił, i właśnie dlatego, że wiedziała, nie potrafiła mu tego przebaczyć. Wiedziała, że on nieustannie czuwa, żeby ją obronić przed pokusą, a choć ze wszystkich sił starał się wyrobić w niej przekonanie, że jej wierzy, udawanie kobiety przyzwoitej było, dla niej nieznośną udręką i coraz bardziej tęskniła do. występnej wolności, w jakiej żyła, zanim spotkała swego męża.

Nie będę się dłużej zatrzymywał nad tym okresem dziejów mego bohatera. Wiosną roku 1861 Ellen prowadziła się przyzwoicie. Przeżyła okres silnego rozstroju nerwowego, a przysięga, że nie będzie więcej piła, też zrobiła na niej pewne wrażenie, więc w konsekwencji na jakiś czas

się ustatkowała. Sklep dawał wcale nieźle dochody, dzięki czemu Ernest mógł związać koniec z końcem. Wiosną i latem 1861 znowu zaoszczędził trochę pieniędzy. W jesieni żona wydała na świat syna, a wszyscy orzekli, że chłopak jest wspaniały. Wróciła do sił bardzo szybko, a Ernest znów zaczął oddychać pełną piersią i skłonny był widzieć wszystko wokół siebie w różowych kolorach. Wtem, bez żadnego ostrzeżenia, burza rozpętała się ponownie. Kiedy pewnego popołudnia, w jakieś dwa lata po ślubie, wrócił do domu, znalazł żonę leżącą na podłodze bez zmysłów.

Od tego czasu popadł w desperację i w sposób widoczny zaczął staczać się w dół. Zbyt wiele się naponiewierał, zbyt długo wiatr wiał mu w oczy. Mordęga ostatnich trzech lat pozostawiła na nim głęboki ślad, a chociaż nie zapadł na żadną konkretną chorobę, był przeciętny, tracił siły i nie był zdolny do dalszego wysiłku.

Przez pewien czas walczył, broniąc się przed uświadomieniem sobie swego położenia, ale fakty okazały się silniejsze od niego. Znowu przyszedł do mnie i opowiedział mi, co się zdarzyło. Byłem zadowolony, że doszło do kryzysu. Współczułem Ellen, ale dla jej męża zupełna separacja była jedynym ratunkiem. Nawet po tym ostatnim koszmarnym wstrząsie nie chciał się na to zgodzić i gadał takie bzdury o śmierci na posterunku, że zanudził mnie na śmierć. Za każdym razem, kiedy miałem sposobność go widzieć, posępny smutek z dawnych lat coraz głębiej żłobił się na jego twarzy, więc postanowiłem położyć kres tej sytuacji przy pomocy jakiejś *coup de main*, na przykład przekupienia Ellen, żeby uciekła z kim innym, lub czegoś w tym stylu, lecz całkiem nieoczekiwanie wszystko ułożyło się samo w taki sposób, którego jak zwykle nie brałem w rachubę.

ROZDZIAŁ LXXVI

Zima była bardzo ciężka dla Ernesta. Miał z czego żyć tylko dzięki sprzedaży fortepianu. Wszystko wskazywało, że przeciął ostatnie ogniwo, które łączyło go z dawnym życiem, i że na zawsze zostanie lichym sklepikarzem. Wydawało mu się, że kres jego cierpienia musi być bliski, bo przyplaci je życiem, gdyby miały trwać dłużej.

Do Ellen czuł teraz odrazę i między małżonkami zapanował jawny antagonizm. Tylko przez wzgląd na dzieci trwał przy Ellen i nie wyjechał do Ameryki, ale nie mógł zdobyć się na zostawienie ich przy żonie, a kwestia zabrania ich ze sobą też nie była prosta, bo nie wiedział, jak to zrobić i co z nimi począć, kiedy znajdzie się na miejscu. Nie miał już swej dawnej energii, bo prawdopodobnie skończyłoby się na tym, że zabrałyby dzieci i nie zważając na trudności wyjechały z nimi, ale znajdował się w fatalnym stanie nerwowym, więc mijał dzień za dniem i sprawy nie posuwały się naprzód.

Miał zaledwie kilka szylingów przy duszy i trochę towaru, którego wartość była niewielka. Ze sprzedaży nut oraz kilku obrazów i mebli, które jeszcze zostały mu w majątku, mógł uzyskać najwyżej trzy do czterech funtów. Zastanawiał się, że może piórem uda mu się zarobić na życie, lecz zarzucił pisanie już tak dawno i nie miał w głowie żadnej koncepcji. Gdziekolwiek spojrzął, nie widział dla siebie nadziei. Ostateczna klęska była już bardzo bliska, może nawet był to już kres wszystkiego, albowiem niemal twarzą w twarz stanął wobec prawdziwej nędzy. Kiedy patrzył na ludzi, którzy snuli się po ulicach w nędznym przyodziewku, a nawet bez butów i pończoch, przychodziło mu na myśl, że, być może, już za kilka miesięcy będzie wyglądał tak samo. Bezlitosna, nieubłagana ręka losu dławiła go w swym żelaznym uścisku i spychała coraz niżej. Ledwo trzymając się na nogach odbywał, jak w kieracie, swe codzienne wędrówki, kupował używaną garderobę, a wieczorami czyścił ją i łatał.

Pewnego ranka, wracając przez Green Park z eleganckiej dzielnicy, gdzie kupił trochę starej odzieży od służby, zwrócił uwagę na sporą gromadę ludzi, która stłoczyła się wokół ogrodzenia, okalającego wydzielony teren na trawniku, tuż obok parkowej alejki.

Wiosenny ranek był uroczy i ciepły, a powietrze, jak na koniec marca, wyjątkowo łagodne. Nawet melancholia Ernesta przygasła na chwilę w obliczu wiosny, która nasyciła sobą ziemię i niebo, ale zaraz wróciła, i ze smutnym uśmiechem powiedział do siebie: „Dla innych ludzi może być zwiastunką nadziei, ale dla mnie skończyło się już wszystko.”

Kiedy te słowa trwały jeszcze w jego umyśle, podszedł do gromadki skupionej wokół ogrodzenia i stwierdził, że ludzie przyglądają się trzem owcom i małym jagniętom liczącym sobie zaledwie kilka dni życia, umieszczonym w specjalnej zagrodzie, żeby im dać schronienie i obronić przed innymi owcami, których pełno było w parku.

Były śliczne, a londyńczycy tak rzadko mają sposobność oglądania jagniąt, więc nic dziwnego, że każdy zatrzymywał się, żeby na nie popatrzeć. Ernest zauważył, że nikt tak bardzo nie rozczulał się ich widokiem jak wysoki, niezgrabny chłopak od rzeźnika, który — z kawałem mięsa w skrzyni na ramieniu — oparł się o ogrodzenie. Kiedy patrzył na chłopca ubawiony groteskowością jego admiracji, uświadomił sobie raptem, że stangret w liberii, który również zatrzymał się, żeby podziwiać jagniątko, i stał oparty o ogrodzenie na wprost niego, wpatruje się weń zawzięcie. Ernest od razu rozpoznał w nim Jana, który służył kiedyś u jego ojca w Battersby, więc podszedł do niego natychmiast.

— A to dopiero — rzekł Jan z charakterystycznym akcentem ludzi pochodzących z północy — właśnie dziś rano myślałem sobie o paniczu — i serdecznie uściśnił sobie ręce. Jan

miał doskonałe miejsce i służył w eleganckiej dzielnicy West End. Od czasu jak opuścił Battersby, wiodło mu się bardzo dobrze, z wyjątkiem pierwszych dwóch lat, ponieważ niewiele brakowało, jak stwierdził z cierpkim grymasem na twarzy, a byłby się wykończył. Ernest zapytał, co to było takiego.

— Ano, proszę pana — odparł Jan — to było tak: zawsze tego durzyłem się w tej dziewczynie, tej samej Ellen, za którą panicz polecił i dał jej zegarek. Chyba panicz nie zapomniał tego dnia? — i roześmiał się po tym pytaniu. — Nie jestem pewien, czy to ja jestem ojcem dziecka, z którym wyjechała wtedy z Battersby, lecz to całkiem prawdopodobne. W każdym razie, w jakieś parę dni po odejściu ze służby u ojczulka panicza napisałem do Ellen list na adres z góry między nami umówiony, w którym zawiadomiłem ją, że wypełnię mój obowiązek jak należy, no i dotrzymałem słowa. Ożeniłem się z nią w miesiąc później. Na miłość boską, co panu się stało? — zaledwie bowiem padły ostatnie słowa jego odpowiedzi, Ernest zbladł jak ściana i oparł się o ogrodzenie.

— Janie — rzekł mój bohater z trudem oddychając — czy jesteś całkiem pewny tego, co mówisz, czy jesteś pewny, że się z nią ożeniłeś?

— Pewno, że jestem — odparł Jan — wziąłem z nią ślub przed urzędnikiem w Letchbury w dniu 15 sierpnia 1851 roku.

— Podaj mi ramię — rzekł Ernest — i zaprowadź na Picadilly, wsadź mnie do dorożki i natychmiast jedź ze mną, jeżeli masz czas, do pana Overtona, który mieszka w Tempie.

ROZDZIAŁ LXXVII

Odkryciem, że Ernest nigdy nie był żonaty, ucieszyłem się, jak się zdaje, niewiele mniej od niego samego. Nic dziwnego, nagła radość była tak intensywna, że znieczuliła jego wrażliwość. Kiedy poczuł się wolny od ciężaru, który go przytłaczał, zatoczył się jak pijany, gdyż nie był oswojony z taką swobodą ruchów. Zmieniło się jego położenie, a razem z nim, jak się wydawało, zmienił się on sam. Przypominał człowieka, który budząc się z koszmarne snu stwierdza, że bezpiecznie i cało spoczywa w swym łóżku, i nie chce wierzyć własnym oczom, że w pokoju nie ma po zęby uzbrojonych osobników, którzy za moment dokonają na niego napaści.

— I to spotkało mnie — stwierdził — właśnie mnie, choć jeszcze godzinę temu użalałem się nad sobą, że nie pozostało mi ani cienia nadziei. To ja, właśnie ja, od kilku tygodni przeklinałem swój los i narzekałem, że szczęście uśmiecha się do innych, a nigdy nie uśmiecha się do mnie. A przecież nie ma na świecie człowieka, któremu szczęście tak dopisałoby jak mnie!

— Istotnie — odparłem. — dostałeś szczepionkę przeciwko małżeństwu i obecnie jesteś zdrow.

— A jednak — powiedział — bardzo ją kochałem, dopóki nie piła.

— Nie przeczę, ale zdaje mi się, że to Tennyson powiedział: „Lepiej, że się kochało i straciło, niż gdyby nigdy nie miało się stracić.”

— Jest pan nieuleczalnym starym kawalerem — brzmiała odpowiedź.

Potem długo rozmawialiśmy z Janem, któremu z miejsca dałem pięć funtów. A oto co nam powiedział:

— Ellen zaczęła pić już w Battersby. Nauczyła się od kucharki. — Wiedział ó tym, ale tak ją kochał, że zaryzykował i ożenił się z nią, bo nie chciał dopuścić, żeby poszła na ulicę, i miał nadzieję, że uda mu się sprowadzić ją na dobrą drogę. Była dla niego kropla w kroplę taka sama jak dla Ernesta — dopóki nie piła, była bardzo dobrą żoną, ale potem była bardzo złą.

— W całej Anglii nie ma — powiedział Jan — milszej, zręczniejszej, ładniejszej dziewczyny, która umiałaby tak dogodzić mężczyźnie i tak umilić mu życie, ale pod warunkiem, że się nie pozwoli jej pić. Szkoda zachodu, bo za skarby świata nikomu taka sztuka się nie uda. Ona jest taka chytra, że na oczach człowieka potrafi dorwać się do trunku, a on o tym nawet nie będzie wiedział. Kiedy ogołoci go tak doszczętnie, że już nic nie będzie mogła zastawić lub sprzedać, okradnie sąsiadów. Takim sposobem, kiedy byliśmy jeszcze razem, po raz pierwszy napytała sobie biedy. Przez pół roku, które siedziała w więzieniu, byłbym uważał się za człowieka szczęśliwego, gdybym był pewny, że ona już nigdy z niego nie wyjdzie. Ale potem ją puścili, a nie minęły dwa tygodnie i znowu zaczęła kraść ze sklepów i nieobyczajnie się prowadzić — a wszystko przez te pieniądze, żeby mieć za co pić. Widząc, że nic z nią nie wskóram i że mnie zdręczy na śmierć, rzuciłem ją i pojechałem do Londynu, a tu znowu zgodziłem się do służby i straciłem ją z oczu. Dopiero dziś od pana i od panicza Ernesta dowiedziałem się, co się z nią stało. Mam nadzieję, że panowie nie powiedzą jej, że mnie widzieli.

Przyrzekliśmy, że dochowamy tajemnicy, a potem Jan pożegnał się, zapewniając Ernesta raz po raz, jak bardzo go lubi, co było szczere, ponieważ zawsze był do niego bardzo przywiązany.. Omówiliśmy sytuację i zdecydowaliśmy, że przede wszystkim należy odebrać dzieci, a potem doprowadzić do porozumienia z Ellen w sprawie przyszłej opieki nad nimi. Kiedy omawialiśmy te sprawy, zaproponowałem, żebyśmy wyznaczyli jej zasiłek, powiedzmy w wysokości jednego funta tygodniowo, który będzie się jej wypłacać tak długo, dopóki będzie się

trzymać z daleka. Ernest nie wyobrażał sobie, skąd ma wziąć funta tygodniowo, lecz uspokoiłem go, że będę płacić Ellen z własnej kieszeni. Zanim dzień zdążył postarzyć się o dwie godziny, zabraliśmy dzieci, do których Ellen zawsze odnosiła się obojętnie, i oddaliśmy je pod opiekę mej dozorczyni, poczciwej kobiecie o macierzyńskich instynktach. Kobięcina od razu poczuła do nich słabość, a dzieciaki nie pozostały jej dłużne.

Potem trzeba było zabrać się do bardzo przykrego zadania — do pozbycia się ich nieszczęsnej matki. Na samą myśl, jak wielką katastrofą, będzie dla niej zerwanie z nim, serce Ernesta waliło mu w piersi. Nieodmiennie uważał, że jest ludziom za coś zobowiązany, albo dlatego, że wyświadczyli mu jakąś nieocenioną przysługę, albo, że wyrządził im niepowetowaną szkodę. Tym razem jednak sprawa była tak oczywista, że skrupuły Ernesta nie stawiąły poważniejszego oporu.

Uznałem, że jest dość powodów, żeby oszczędzić mu jeszcze jednego spotkania z żoną, więc zleciłem panu Ottery przeprowadzenie całej tej sprawy do końca. Okazało się, że niepotrzebnie trapiłiśmy się wyobrażając sobie, jak straszne katusze moralne czekają Ellen, kiedy pojmie, że znowu znalazła się na dnie upadku. Ernest spotkał się z panią Richards — była to owa sąsiadka, która zawołała go na dół tej nocy, kiedy po raz pierwszy odkrył, że jego żona jest nałogową pijaczką — i wy dostał od niej trochę informacji o poglądach Ellen na tę sprawę. Wszystko wskazywało na to, że Ellen nie ma najmniejszych wyrzutów sumienia, albowiem orzekła: „Chwalić Boga, nareszcie!” Jakkolwiek” doskonale zdawała sobie sprawę, że jej małżeństwo jest nieważne, musiała uważać to za błahostkę, którą nie warto zaprzętać sobie głowy. A rozstanie z Ernestem, jak oświadczyła, wyjdzie jemu i jej na użytek.

— Takie życie — ciągnęła dalej — mnie mierzi. Ernest jest dla mnie za dobry. Jemu potrzeba kobiety trochę lepszej ode mnie, a mnie mężczyzny trochę gorszego od niego. Wszystko mogłoby się między nami ułożyć jak najlepiej, gdyby nie to, że żyliśmy jak małżeństwo, a ja od wielu lat byłam przyzwyczajona mieć swój własny ką, choćby malutki, i nie mam wcale ochoty, żeby Ernest albo jakiś inny mężczyzna ustawicznie wisiał mi nad głową. A w dodatku Ernest to chodząca cnota! Niczego dobrego nie nauczył się w więzieniu — jest taki śmiertelnie poważny, jak ci wszyscy ludzie, którzy nigdy nie siedzieli w kryminale, nigdy nie zaklnie ani nie zwymyśla człowieka, cokolwiek by się stało. A wtedy strach mnie przed nim oblatuje i jeszcze gorzej piję. Takie biedne dziewczęta jak ja nie chcą, żeby mężczyzna prawił im kazania, nie chcą, żeby przerabiał je siłą na przyzwoite kobiety. Temu nie podołamy, to nas wykańcza. Nam nie trzeba niczego więcej jak kilku regularnych przyjaciół, którzy nie pozwolą nam umrzeć z głodu i od czasu do czasu, nie na długo, zmuszą nas do poprawy. To jest wszystko, na co nas stać. Może sobie zabrać dzieci, lepiej na tym wyjdą, niż gdyby zostały przy mnie, a jeżeli chodzi o pieniądze, da — dobrze, nie da — drugie dobrze. Nie zrobił mi nigdy nic złego, więc zejda mu z oczu. Ale jeżeli chce, żebym je brała, to chyba będę je brała. Więc brała.

„A ja wyobrażałem sobie — pomyślał Ernest, kiedy doszło do ugody — że jestem człowiekiem, którego prześladowe zły los!”

Pozwolę sobie już teraz powiedzieć całą resztę, jaka pozostała do powiedzenia na temat Ellen. Przez następne trzy lata przychodziła regularnie do pana Ottery w każdy poniedziałek rano po swego funta. Zawsze była ubrana schludnie, zachowywała się spokojnie, wyglądała tak ładnie, że nikt nie domyśliłby się jej antecedensów. Z początku kilka razy chciała dostać pieniądze z góry, ale po paru nieudanych próbach — którym nieodmiennie towarzyszyła jakaś niebywale żalosna historia — dała temu pokój i brała pieniądze bez słowa. Pewnego razu przyszła z mocno podbitym okiem, „bo chłopak rzucił kamieniem i niechcący ją trafił”. Trzeba jednak podkreślić, że po upływie trzech lat niewiele się zmieniła i była tak ładna jak na początku tego okresu. Potem wyznała, że ma zamiar znowu wyjść za mąż. Pan Ottery rozmówił się z nią w tej sprawie i

wskazał jej, że decydując się na ten krok zapewne znowu popełni bigamię.

— Może pan to nazywać, jak się panu podoba — odpowiedziała — wynoszę się stąd do Ameryki razem z Billem, pomocnikiem od rzeźnika, i mamy nadzieję, że pan Pontifex będzie tak łaskawy i nie cofnie nam pensji.

Ernestowi nigdy taka myśl nie powstała w głowie, a więc wyjechali w spokoju. Sądzę, że to Bill podbił jej oko, dzięki czemu tym bardziej pozyskał jej serce.

Na podstawie pewnych, zresztą dość skąpych informacji, mogłem wyrobić sobie zdanie, że dobrali się całkiem dobrze i że w Billu znalazła partnera, który bardziej jej odpowiadał od Jana i Ernesta. Na urodziny Ernest otrzymuje zazwyczaj kopertę, nadaną, jak widać ze znaczka, w Ameryce, zawierającą zakładkę do książek z jakimś podniosłym napisem albo ładnie obrębiony kapturek do imbryczka, również bardzo moralny, lub wreszcie jakiś inny skromny dowód pamięci, ale zawsze bez listu. Dziećmi nie interesuje się zupełnie.

ROZDZIAŁ LXXVIII

Ernest miał już teraz dwadzieścia sześć lat z okładem, a więc mniej więcej za półtora roku miał wejść w posiadanie swego majątku. W moim przekonaniu nie było żadnego uzasadnienia, żebym miał mu pozwolić na objęcie spadku wcześniej niż w terminie, który wyznaczyła panna Pontifex. Jednocześnie jednak nie miałem najmniejszej ochoty, żeby on po obecnym kryzysie powrócił do swego sklepu na Blackfriars. Właściwie dopiero teraz zrozumiałem, ile wycierpiał, i dopiero teraz miałem możliwość przekonać się, że nałóg jego rzekomej żony doprowadził go niemal do skrajnej nędzy. Nie mogę zaprzeczyć, że już od dłuższego czasu jego twarz robiła na mnie wrażenie coraz starszej, coraz bardziej wynędzniałej i zniszczonej, ale albo nie umiałem nic zrobić, albo byłem zbyt zrezygnowany, by zdobyć się na przeprowadzenie z Ellen wytrwałej i skutecznej walki podjazdowej o umożliwienie mi ingerencji w jego sprawy osobiste, co było, jak mniemam, moim obowiązkiem. Z drugiej strony (nie bardzo wiem, czy mogłem coś dla niego zrobić, ponieważ na wszystko był głuchy i tylko takie odkrycie, jakiego sam dokonał, mogło oderwać go od żony. W moim przekonaniu niewiele można było mu pomóc, dopóki mieszkał z nią pod jednym dachem.

W gruncie rzeczy wydaje mi się, że miałem rację. Uważam, że wszystko dlatego skończyło się tak dobrze, ponieważ sprawy poszły własnym, naturalnym torem — tak czy owak, nie wdając się w ocenę końcowego rezultatu, sytuacja była tak pogmatwana, że nie odważyłem się jej rozplątywać, dopóki Ellen była na scenie. Teraz jednak, kiedy ją odprawiono, moje zainteresowanie dla chrześniaka znowu we mnie odżyło, więc medytowałem i zastanawiałem się, jak nim pokierować, żeby mu to wyszło na użytek.

Minęło już trzy i pół roku od czasu, jak przeniósł się do Londynu i zaczął żyć, jeżeli wolno się tak wyrazić, na własny rachunek. W tym okresie przez pół roku był duchownym, pół roku siedział w więzieniu, a przez dwa i pół roku zdobywał podwójne doświadczenie, ucząc się zarówno tajników handlu, jak i sekretów małżeństwa. Powiedziałbym, że we wszystkim, czego się tknął, nawet jako więzień, został pobity na głowę. Ale jego klęski, jak mi się wydawało, zawsze były łudząco podobne do zwycięstw, więc z satysfakcją stwierdziłem, że wart jest mego zachodu. Obawiałem się tylko tego, żebym nie przeholował i nie zaczął wścibiać nosa w te jego sprawy, w których należało zostawić go sobie samemu. Ogólnie biorąc, doszedłem do wniosku, że trzy i pół roku zaprawy do twardego życia powinno mu wystarczyć. Sklep dał mu bardzo dużo. Zapewnił mu wcale znośne utrzymanie, kiedy był w potrzebie, dzięki niemu usamodzielniał się i nie siedział u nikogo w kieszeni, nauczył się patrzeć i dostrzegać wokół siebie korzystne możliwości, choć jeszcze kilka miesięcy temu widział tylko nieprzezwyciężone przeszkody. Przybyło w nim sympatii dla człowieka, gdyż nauczył się rozumieć ludzi, którzy stoją niżej od niego, i przestał patrzeć na życie z wąskiej perspektywy dżentelmena. Kiedy idąc ulicą oglądał używane książki na straganach i przyglądał się najprzeróżniejszym, często najbardziej dziwnym rupieciom w sklepach z osobliwościami, kiedy na każdym kroku spotykał się z nieustającym na moment wirum życia handlowego, rozumiał istotę tych zjawisk i miał do nich tak ciepły, osobisty stosunek, na jaki nie potrafiłby się zdobyć, gdyby sam nie prowadził kiedyś sklepu.

Wspominał mi często, że dawniej za każdym razem, kiedy jechał pociągiem, z którego okien widać było przeludnione przedmieścia, zawsze z ciekawością przyglądał się jednakowym uliczkom nędznych domków i zastanawiał się, jacy ludzie w nich mieszkają, co robią i co czują, i czy istnieje jakieś podobieństwo między ich postępowaniem i ich doznaniem a jego

postępowaniem i jego doznaniem. Teraz, jak mi powiedział, znał te sprawy na wylot. Moje wiadomości o twórcy *Odysei* są wprawdzie dość skromne (nawiasem mówiąc, musiał chyba być osobą duchowną), przyznaję jednak, że trafił w samo sedno powiadając krótko, że człowiekiem mądrym jest ten, kto:

„Siła różnych miast zwiedził, poznał tylu ludów zwy czaję." Czy istnieje wykształcenie, które można porównać z taką wiedzą? Czy można więc dziwić się, jak potwornym kłamstwem, jaką chorobliwą rozpustą wydawały się teraz Ernestowi lata, spędzone w szkole i na uniwersytecie, w zestawieniu z tym, co przeżył w więzieniu i co widział jako krawiec z Blackfriars. Słyszałem, jak wyraził się, że zgodziłby się jeszcze raz przejść wszystko od początku, choćby tylko przez wzgląd na to, że dzięki swym przeżyciom głębiej wniknął w ducha i lepiej rozumie pantominy, które wystawia Grecian Theatre i Surrey Theatre. Nie przeraziłby się teraz, gdyby ktoś znowu strącił go na głęboką wodę, takiego nabrał zaufania we własną umiejętność pływania dzięki doświadczeniom trzech ostatnich lat!

Doszedłem więc do wniosku, jak już wspominałem, że mój chrześniak wie o utajonych prądach, które płyną pod powierzchnią życia, w sam raz tyle, ile mu potrzeba, i uznałem, że nadszedł czas, żeby rażący kontrast między obecnym stylem jego życia a perspektywami, które go czekają, zaczął stopniowo się zacierać. Życzeniem jego ciotki było, żeby dotknął ziemi, a on przyłgął do niej z całych sił. Uważałem, że nie wyjdzie mu na zdrowie, jeżeli ze sklepikarza nagle stanie się majętnym człowiekiem, którego dochód wynosić będzie trzy do czterech tysięcy funtów rocznie. Zbyt raptowna odmiana losu, od nędzy do majątku, jest tak samo niebezpieczna jak zbyt raptowny przeskok w odwrotnym kierunku. W dodatku ubóstwo jest bardzo wyczerpujące. Jest to stadium quasi-embryonalne, przez które każdy człowiek, jeżeli jego dalszy rozwój ma odbywać się bez zakłóceń, powinien przejść, ale podobnie jak w przypadku odry i szkarlatyny jest nader pożądane, żeby przeszedł je łagodnie i możliwie wcześnie.

Każdemu człowiekowi, dopóki nie dostanie porządnych cięgów, z łatwością może się przytrafić, że straci wszystko do ostatniego pensa. Nieraz miałem sposobność słyszeć, jak panie w średnim wieku i zrównoważeni ojcowie rodzin głoszą, że wszelka spekulacja jest im jak najbardziej obca. Oni nigdy nie spojrzeli i, uchojaj Boże, nigdy nie spojrzą na żadne akcje, z wyjątkiem oczywiście takich papierów wartościowych, które zapewniają najzupełniej bezpieczną i najlepiej notowaną na rynku lokatę kapitału. A co do gwarantowania całym swym majątkiem, to „ach! i och!", „skąd znowu", a ręce i oczy wznoszą ku niebiosom.

W każdej osobie, która głosi takie przekonania, można rozpoznać niechybną zdobycz pierwszego lepszego spryciarza, którego spotkają na swej drodze. Ów osobnik, jak uczy praktyka, zazwyczaj kończy swą perorę deklaracją, że jakkolwiek z usposobienia jest człowiekiem nader ostrożnym i zdaje sobie sprawę, że spekulacja jest ostatnią głupotą, to przecież istnieją takie lokaty kapitału, które wprawdzie mają cechy spekulacji, ale w istocie nie mają z nią nic wspólnego — i na dowód wyciąga z kieszeni prospekt kornwalijskiej kopalni złota. Dopiero po stracie pieniędzy człowiek uświadamia sobie w całej pełni, w jak okropne wpędził się położenie, i pojmuje, że ruina finansowa grozi każdemu, kto zamiast iść środkiem najbardziej utartej drogi ryzykancko zbacza na boki. Ernest miał już te cięgi za sobą, ponieważ przez ubóstwo przeszedł za młodu, a atak choroby był tak ostry, że było mało prawdopodobne, by zdrowo myślący człowiek mógł go zapomnieć. Był to tak szczęśliwy zbieg okoliczności, że nie potrafię wyobrazić sobie wielu przykładów łaskawszego uśmiechu, jakim Fortuna może człowieka obdarzyć — przy założeniu, rzecz prosta, że nie poniósł z tego powodu szkody, której nie da się odrobić.

Sprawa ta jest tak niezmiernie ważna, że byłoby pożądane wprowadzenie do każdej szkoły obowiązkowego nauczania spekulacji giełdowej. Gdyby mój projekt wszedł w życie,

władze szkolne miałyby obowiązek zalecić uczniom lekturę „Money Market Re-view”, „Railway News” oraz najlepszych pism gospodarczych i ułatwić im zorganizowanie giełdy pieniężnej, na której pens byłby odpowiednikiem funta. Niech się sami na własnej skórze przekonają, czym to pachnie, jeśli ktoś za szybko chce się wzbogacić.” Dyrektor szkoły powinien ustanowić nagrodę dla chłopca, który w operacjach finansowych wykaże najwięcej rozważliwości, natomiast uczniów, którzy będą ponosić stratę za stratą, należy wydrzeć ze szkoły. Oczywiście, gdyby któryś z chłopców dał przekonujące dowody niepospolitego talentu do gry na giełdzie i dorobił się pieniędzy — należy mu złożyć gratulacje i niech gra, ile dusza zapagnie.

Gdyby nie fakt, że nasze uniwersytety pod względem umiejętności nauczania posiadają najniższe kwalifikacje, jakie można sobie wyobrazić, z radością powitałbym wprowadzenie do programu nauczania w Oxfordzie i w Cambridge wykładów poświęconych spekulacji giełdowej. Z drugiej strony, kiedy biorę pod uwagę, że sztuka kulinarna, krykiety, wioślarstwo, i gry sportowe są jedynymi wartymi zachodu umiejętnościami, które stoją w Oxfordzie i Cambridge na wysokim poziomie, choć wcale ich się nie wykłada, zbiera mnie lęk, że zawodowy pedagog powołany na proponowaną katedrę, nie tylko nie nauczyłby młodzieży zasad prawidłowej spekulacji, lecz otumaniałby ją do tego stopnia, że wyrosłoby z niej spekulanci od siedmiu boleści.

Słyszałem o pewnym ojcu, który swoją ideę wprowadził w życie. Chcąc wpoić w swego syna zasadę, że do płomiennych prospektów i żarliwych artykułów w prasie należy podchodzić jak najbardziej ostrożnie, ofiarował mu pięćset funtów, które wolno mu było ulokować według jego własnej intuicji. Ojciec przewidywał, że syn zgra się do suchej nitki. W praktyce okazało się całkiem odwrotnie, bo synek tak gorliwie zabrał się do rzeczy i grał tak ostrożnie, że owa kwota stale wzrastała, aż wreszcie ojciec odebrał mu i kapitał, i zysk — działając, jak wyraził się uprzejmie, w obronie własnej.

Mniej więcej około roku 1846 ja również popełniłem kilka pomyłek w sprawach finansowych, ale wtedy wszyscy popełniali błędy.. Wprawdzie wyszedłem z tej opresji (dzięki dobrej radzie maklera, u którego przede mną zasięgali opinii mój dziadek i ojciec) nie tylko bez straty, lecz z zyskiem, ale przez kilka lat najadłem się tyle strachu i tyle zdrowia mnie to kosztowało, że wszelkie ryzykanckie sztuczki raz na zawsze wywietrzały mi z głowy i od tego czasu staram się ani o milimetr nie zboczyć ze środka najbardziej utartych ścieżek. Starałem się przede wszystkim zachować substancję, natomiast nie zależało mi na jej wzroście. Z kapitałem Ernesta postąpiłem jak z moim własnym — krótko mówiąc, po ulokowaniu go, zgodnie ze wskazówkami panny Pontifex, w zwykłych akcjach „Midland”, pozostawiłem go własnemu losowi. Choćbym nie wiem jak się nabiedził, nie udałoby mi się powiększyć kapitału mego chrześniaka nawet o połowę tej wartości, o którą wzrósł bez najmniejszej ingerencji z mej strony.

W końcu sierpnia 1850 roku, kiedy sprzedałem papiery wartościowe panny Pontifex, za akcję „Midland” nominalnej wartości stu funtów płacono trzydzieści dwa funty. Kupując je po tej cenie ulokowałem w nich cały kapitał Ernesta, wynoszący wówczas piętnaście tysięcy funtów, i nie zmieniłem tej lokaty aż do okresu, o którym ostatnio pisałem — to jest mniej więcej do września 1861 roku. W tym czasie sprzedałem je po sto dwadzieścia dziewięć funtów za udział i kupiłem zwykłe akcje „London and North-Western”, ponieważ — zgodnie ze wskazówkami, jakie otrzymałem — zwyżka ich na giełdzie była w owym czasie bardziej prawdopodobna niż zwyżka „Midland”. „London and North-Western” kupiłem po kursie dziewięćdziesiąt trzy za sto i do dziś, to jest do roku 1882, mój chrześniak nadal je posiada.

Pierwotny kapitał, który wynosił piętnaście tysięcy funtów, wzrósł w ciągu jedenastu lat do przeszło sześćdziesięciu tysięcy funtów. Dopisane odsetki, które, rzecz prosta, również ulokowałem w akcjach, wyniosły mniej więcej około dziesięciu tysięcy funtów, a więc tym samym majątek Ernesta zaokrąglił się do siedemdziesięciu tysięcy funtów z okładem. Obecnie

kapitał ten wzrósł niemal w dwójnasób, co należy przypisać tylko temu, że pozostawiło się go własnemu losowi.

Był to duży majątek, a zakładając, że w ciągu osiemnastu miesięcy, które Ernestowi pozostały do osiągnięcia pełnoletności, kapitał prawdopodobnie jeszcze się powiększy, można było spodziewać się, że wstępując w lata męskie Ernest będzie miał co najmniej trzy i pół tysiąca funtów rocznego dochodu.

Chciałem, żeby nauczył się buchalterii prowadzonej systemem podwójnego zapisu. Ja sam za młodych lat zostałem zmuszony przez okoliczności do poznania zasad tej niezbyt trudnej sztuki, a po jej opanowaniu stałem się jej gorącym wielbicielem i uznałem, że po czytaniu i pisaniu jest najbardziej potrzebną umiejętnością i każdy młody człowiek powinien się jej nauczyć. Powziąłem zatem decyzję, że Ernest też musi ją sobie przyswoić, więc zaproponowałem mu, żeby został moim plenipotentem, księgowym i zarządcą mego żelaznego funduszu, a tak nazywałem sumę, która dzięki akumulacji wzrosła — jak wykazała moja księga główna — z piętnastu do siedemdziesięciu tysięcy funtów. Zapowiedziałem mu jednocześnie, że z chwilą kiedy mój kapitał osiągnie osiemdziesiąt tysięcy funtów, zacznę wydawać cały dochód roczny nie odkładając więcej ani pensa.

Po upływie kilku dni od chwili, kiedy Ernest zdał sobie sprawę, że znowu jest kawalerem, zaledwie zaczął przeżywać, jeśli można się tak wyrazić, swój miodowy miesiąc odzyskanej wolności, przedłożyłem mu swój plan, wyraziłem życzenie, żeby dał spokój ze sklepem, i zaproponowałem mu trzysta funtów rocznie tytułem wynagrodzenia za zarządzanie (prawdę mówiąc, konieczność zarządzania była dość problematyczna) jego własnym mieniem. Nie potrzebuję chyba dodawać, że kwotą trzystu funtów poleciłem mu obciążyć jego własny kapitał.

Na pewno nic więcej nie brakowało mu do szczęścia. Minęło zaledwie kilka dni i nie tylko wyplątał się z najbardziej ohydneho i tragicznie beznadziejnego *liaison*, ale jednocześnie zamiast życia w skrajnej nędzy czekały go przyjemności związane z posiadaniem przyzwoitego dochodu.

— Ellen dostanie funta tygodniono — zamyślił się — a resztę zatrzymam sobie.

— Nie zgadzam się — odpowiedziałem — funta dla Ellen także zapiszemy w ciężar majątku. Musisz mieć na czysto dla siebie trzysta funtów.

Trzymałem się tej kwoty dlatego tak sztywno, ponieważ Coningsby w okresie swych najgorszych tarapatów taką kwotę otrzymał od pana Disraeli. Pań Disraeli bez wątpienia uważał, że trzysta funtów rocznie stanowi minimum, które jest konieczne, żeby jego bohater mógł wyżyć i związać koniec z końcem. Jednocześnie jednak był przekonany, że Coningsby mając taką sumę do dyspozycji da sobie radę przez rok czy dwa. W roku 1862, o którym teraz piszę, ceny były wyższe, choć nie zwyżkowały jeszcze tak znacznie, jak to nastąpiło w następnych latach. Z drugiej strony Coningsby miał bardziej kosztowne antecedeny, a więc — zważywszy pro i co, ntra — doszedłem do wniosku, że trzysta funtów będzie dla Ernesta w sam raz.

ROZDZIAŁ LXXIX

tem powstała kwestia, co zrobić z dziećmi. Wy tłumaczyłem Ernestowi, że wydatki na dzieci należy zapisać w ciężar majątku, wykazałem mu, że w sumie wszystkie pozycje, którymi zaproponowałem obciążyć kapitał, będą stanowić znikomy uszczerbek w dochodzie, jaki miałem do dyspozycji. Kiedy zaczął robić pewne trudności, uspokoiłem go wskazując na fakt, że wszystkie te pieniądze dostałem od jego ciotki z pominięciem jego praw spadkowych i przypomniałem mu, że zgodnie z nie pisanym porozumieniem między panną Pontifex a mną byłem zobowiązany w razie potrzeby do okazania mu pomocy.

Pragnął, żeby jego dzieci wychowywały się w zdrowym, czystym powietrzu, w gromadzie dzieci, które są szczęśliwe i zadowolone. Nie mając pojęcia, jakie perspektywy go czekają, kładł nacisk na to, żeby spędziły dzieciństwo wśród dzieci biednych. Zgłosiłem zastrzeżenie przeciwko temu projektowi, ale stał twardo przy swoim. Kiedy jednak wziąłem pod uwagę ich nieślubne pochodzenie, zaważałem się i zacząłem skłaniać się do zdania, że, być może, propozycja Ernesta jest dla wszystkich zainteresowanych najkorzystniejsza. Były jeszcze tak małe, że fakt, gdzie się je umieści, nie miał istotnego znaczenia, byleby mogły być u dobrych i przyzwoitych ludzi oraz w zdrowej okolicy.

— Będę dla moich dzieci tak samo bezwzględny — powiedział — jak mój dziadek był dla mego ojca, a mój ojciec dla mnie. Jeżeli im nie udało się pozyskać miłości swych dzieci, mnie czeka to samo. Nie ukrywam przed sobą, że chciałbym sobie zdobyć serce mych dzieci, lecz przecież zarówno dziadek, jak i ojciec też tego chcieli. Mogę jednak doprowadzić do tego, że nie będą sobie zdawały sprawy, jak mogłyby mnie znieawidzić, gdyby zostały skazane na zbyt bliskie stosunki ze mną, - i to jest wszystko, co leży w mej mocy. Jeżeli nie mam żadnej innej drogi wyjścia, jak zmarnować ich przyszłość, wolę dokonać tego zawczasu, zanim będą tak duże, żeby przeżyć to boleśnie.

Zamyślił się na chwilę i dodał ze śmiechem:

— Do pierwszych nieporozumień z ojcem dochodzi mniej więcej na dziewięć miesięcy przed naszym przyjściem na świat. Już wtedy domagamy się niezależności. Kiedy wreszcie ta kwestia zostaje rozstrzygnięta pozytywnie, nie ma lepszego rozwiązania, zarówno dla ojca, jak i dla jego dzieci, niż trzymać się od siebie możliwie jak najdalej. — Po chwili dodał tonem bardziej serio: — Chcę umieścić dzieci w takim miejscu, gdzie im będzie dobrze i gdzie będą szczęśliwe, gdzie żadne oszukaństwo nie wpędzi je w tragedię fałszywych złudzeń.

W końcu przypomniał sobie, że w czasie swych niedzielnych wycieczek za miasto często widywał małżeństwo, które mieszka nad samą wodą, jakieś kilka mil poniżej Gravesend, dokładnie w tym miejscu, gdzie zaczyna się morze, i po zastanowieniu uznał, że nic lepszego nie wymyśli. Wspomniane małżeństwo miało gromadkę własnych dzieci, a w ogóle rodzina miała tendencję do szybkiego wzrostu i wszystko wskazywało na to, że dziatwie wiedzie się świetnie. Ich ojciec i matka, oboje zażywni i wysocy, budzili swym wyglądem zaufanie, że w ich rękach nasze dzieciaki będą miały zapewnioną możliwość zdrowego rozwoju, a Ernest nie znał nikogo, kto mógłby zapewnić jego dzieciom lepszą opiekę.

Pojechaliśmy więc na miejsce, a ponieważ moja opinia wypadła nie mniej pochlebnie niż opinia Ernesta, zaproponowaliśmy poczciwym ludziom, żeby za wynagrodzeniem wynoszącym funta tygodniowo wzięli jego dzieci do siebie na wychowanie i traktowali je jak własne. Zgodzili się na to skwapliwie, a więc po kilku dniach zawieźliśmy je na miejsce i powierzyliśmy ich opiece, obaj wewnętrznie przekonani, że nic lepszego nie możemy dla dzieci zrobić,

przynajmniej w chwili obecnej. Potem Ernest posłał do Debenhama resztki swego towaru, pozbył się domu, który wynajął dwa i pół roku temu, i powrócił do cywilizacji.

Oczekiwałem, że teraz zacznie szybko przychodzić do siebie, ale zawiodłem się, ponieważ stwierdziłem, że jego stan zdecydowanie się pogarsza. Po jakimś czasie widząc, że wygląda na poważnie chorego, stanowczo zażądałem, żeby poszedł ze mną zasięgnąć porady jednej ze sław londyńskiego świata lekarskiego. Ów dżentelmen wykluczył możliwość niebezpiecznie ostrej choroby i orzekł, że mój młody przyjaciel znajduje się w stanie nerwowego wyczerpania, będącego konsekwencją przewlekłych i ciężkich przeżyć psychicznych, na które nie ma lekarstwa, z wyjątkiem czasu, braku trosk materialnych i odpoczynku. Lekarz orzekł, że w niedalekiej przyszłości grozi Ernestowi poważny kryzys, jakkolwiek nie jest wykluczone, że atak choroby nastąpi dopiero po kilku miesiącach. Obecne załamanie się jest normalnym następstwem zbyt raptownego odprężenia.

— Trzeba go natychmiast — stwierdził doktor — z czymś skrzyżować. Metoda krzyżowania stanowi wielkie odkrycie medycyny w naszym stuleciu. Trzeba nim wstrząsnąć, żeby przyswoił sobie coś, co mu jest obce.

Nie powiedziałem mu, że pieniądze nie grają dla nas roli, a domyślałem się, że wziął mnie za człowieka niezbyt zamożnego. A on ciągnął dalej:

— Widzenie stanowi jeden ze sposobów dotykania, dotyk stanowi jeden ze sposobów przyjmowania pokarmu, przyjmowanie pokarmu jest jednym ze sposobów przyswajania, a przyswajanie jest jednym ze sposobów odtwarzania i odnawiania, a na tym polega krzyżowanie, czyli przyjmowanie czegoś obcego w siebie. — Mówił ze śmiechem, ale było jasne, że nie żartuje. Ciągnął dalej: — Stale przychodzą do mnie ludzie, którym potrzeba skrzyżowania, inaczej mówiąc, zmiany, jeżeli ten termin bardziej panu odpowiada. Nie mogę zaordynować im wyjazdu z Londynu, bo wiadomo mi, że ich na to nie stać. Skłoniło mnie to do przemyślenia, jak najlepiej mógłbym im zaaplikować zmianę, mimo że nie mogą opuścić swego domu, i w tym celu sporządziłem listę tanich rozrywek, będących do dyspozycji na miejscu w Londynie, z których żadna nie kosztuje drożej niż kilka szylingów i nie zabiera więcej czasu niż pół dnia, a maksymalnie jeden dzień.

Wyjaśniłem mu, że w danym przypadku kwestia pieniędzy jest nieistotna.

— To doskonale — odparł nie przestając się śmiać — homeopaci stosują *aurum* jako lekarstwo, ale dają go w zbyt małych dawkach. Jeżeli stać pana na odpowiednio hojne dawkowanie, wyleczy go pan bardzo szybko. Jednakże stan zdrowia pana Pontifexa nie jest na tyle dobry, żeby zniósł aż tak wielką zmianę, jaką byłby wyjazd za granicę w tej chwili, a z tego, co pan mi powiedział, wnioskuję, że ostatnio miał więcej zmian, niż mu potrzeba. Gdyby teraz wyjechał za granicę, prawdopodobnie w ciągu tygodnia zachorowałby bardzo poważnie. Musimy poczekać, aż ogólny stan jego zdrowia trochę się polepszy. Na początek spróbuję zaaplikować mu te zmiany, które mam do dyspozycji w Londynie.

Chwilą pomyślał, a potem powiedział:

— Stwierdziłem, że ogrody zoologiczne podziałały skutecznie na wielu moich pacjentów. Wielkie ssaki oto leczenie, które przepiszę młodemu człowiekowi. Niech nie domyśla się, że to kuracja. Niech dwa razy w tygodniu w ciągu najbliższych czternastu dni idzie do ich pawilonu i obserwuje hipopotamy, nosorożce i słonie tak długo, dopóki go nie znudzą. Doszedłem do wniosku, że te zwierzęta działają na moich pacjentów bardziej skutecznie niż jakiegokolwiek inne. Małpy reprezentują raczej dość wąskie możliwości w dziedzinie krzyżowania. Ich działanie pobudzające jest niedostateczne. Duże mięsożerne są niesympatyczne. Płazy nie mają najmniejszego zastosowania, a torbacze działają niewiele lepiej. Skuteczność ptaków, z wyjątkiem papug, jest dość mierna. Może popatrzeć na nie od czasu do czasu, ale ze słoniami

oraz wszelkimi stworzeniami z gromady świń powinien obcować tyle, ile się da.

To nie wszystko, proszę pana, żeby nie dopuścić do monotonii, radzę posłać go przed pójściem do ogrodu zoologicznego, dajmy na to, na poranne nabożeństwo do Opactwa Westminsterkiego. Wystarczy jeżeli dotrwa do *Te Deum*. Nie mam pojęcia dlaczego, ale *Jubilate Deo* rzadko wywiera pożądany skutek. Niech więc pan go skłoni, żeby wstąpił po drodze do Opactwa i posiedział w „*Poet's Corner*”, dopóki nie skończy się główna partia muzyki. Niech to powtórzy dwa albo trzy razy przed pójściem do ogrodu zoologicznego, lecz nie należy w tym przesadzać..

Następnego dnia niech go pan wyśle statkiem do Gravesend. Proszę pamiętać, żeby jak najwięcej wieczorów spędzał w teatrze, a po dwóch tygodniach niech mi się znowu pokaże.

Gdyby doktor nie był tak sławnym specjalistą w swym zawodzie, miałbym wątpliwości, czy mówi na serio, ale wiedziałem, że jest poważnym fachowcem, który ceni czas zarówno własny, jak i pacjentów. Zaledwie więc wyszliśmy od niego, wziąłem dorożkę do Regent's Park i spędziliśmy kilka godzin na włóczędce od jednego do drugiego pawilonu ze zwierzętami. Bardzo możliwe, że byłem zasugerowany słowami lekarza, ale rzeczywiście w pewnej chwili zacząłem sobie uświadamiać, że ogarnia mnie uczucie, którego nigdy w życiu nie doświadczyłem. Chodzi mi o to, że całkiem wyraźnie czułem, jak stopniowo napływa we mnie nowa siła witalna, względnie — co na to samo wychodzi — że uczę się patrzeć na życie z nowych punktów widzenia. Nasz lekarz, jak się przekonałem, miał zupełną rację w swej ocenie, że wielkie ssaki wywierają na nas wpływ najbardziej zbawienny, i nie uszło mej uwagi, że Ernest, który nie słyszał ani słowa z diagnozy lekarza, wiedziony zdrowym instynktem, zatrzymał się przy nich dłużej niż przy innych zwierzętach. A kiedy staliśmy przy pawilonie słoni, szczególnie kiedy oglądaliśmy słoniątko, odnosiłem wrażenie, że wielkimi haustami pije siłę witalną tych zwierząt, żeby dzięki niej odbudować i odnowić swój własny organizm.

Zjedliśmy obiad na terenie ogrodu, a ja z przyjemnością zauważyłem, że już dzięki pierwszej dawce lekarstwa Ernest ma lepszy apetyt. Od tego czasu, ilekroć mi się zdarzyło, że poczułem się trochę niewyraźnie, natychmiast udawałem się do Regent's Park i zawsze wychodziło mi to na użytek. Wspominam o tym w nadziei, że ta informacja dla niejednego czytelnika może okazać się pożyteczna.

Po upływie dwóch tygodni mój bohater czuł się dużo lepiej, a nawet znacznie lepiej, niż przewidywał - nasz przyjaciel lekarz.

— Teraz — powiedział — może wyjechać za granicę, a im wcześniej to nastąpi, tym lepiej. Niech tam zostanie przez kilka miesięcy.

Ernest dowiedział się wówczas po raz pierwszy, że ma jechać za granicę, i zaczął rozwodzić się, że na tak długą jego nieobecność nie będzie mógł sobie pozwolić. Poradziłem sobie z tym bardzo szybko.

— Jest teraz początek kwietnia — odrzekłem — jedź natychmiast do Marsylii, a tam wsiądź na statek do Nicei. Potem bez pośpiechu powędruj Riwierą do Genui, z Genui do Florencji, Rzymu i Neapolu i wracaj do domu wstępując po drodze do Wenecji i zatrzymując się nad włoskimi jeziorami.

— A czy pan nie pojechałby ze mną? — zapytał żarliwie.

Odparłem, że nie mam nic przeciwko temu, więc następnego ranka zaczęliśmy sposobić się do drogi, a po kilku dniach wszystko było gotowe.

ROZDZIAŁ LXXX

Wpuściliśmy Anglię nocnym statkiem pocztowym, który odpływał z Dover. Noc była przyjemna, a morze mieniło się w poświęcie księżycu.

— Czy lubi pan zapach smaru, jaki czuje się wo- kół maszynowni parostatku kursującego przez Kanał? — zapytał mnie Ernest, albowiem jako chłopiec spędził jedno lato z rodzicami w Normandii, a zapach smaru cofnął go do okresu życia, w którym jego konflikt ze światem zewnętrznym był jeszcze sprawą przyszłości. — Zawsze mi się wydaje, że pierwsze dudnienie tłoków i pierwszy bulgot wody, wzburzonej łopatkami koła okrętowego, stanowią jedną z największych przyjemności wyjazdu za granicę.

Było bardzo sennie, kiedy wysiedliśmy w Calais i noga za nogą wlekliśmy się z bagażem przez obce miasto. Normalnie o tej porze smacznie śpimy w naszych łóżkach, a więc zaledwie zajęliśmy miejsca w wagonie, ułożyliśmy się do spania i obudzili z drzemki już za Amiens. Potem na wpół jeszcze przytomny ze snu, przy pierwszych kruchych blaskach wstającego dnia, zobaczyłem, że Ernest pochłania wszystko, co mijamy po drodze, z żywą i przyjazną ciekawością. Każdy chłop, który, opatulony w kapotę, jechał o świtaniu swym wozem na jarmark, każda żona dróżnika w czapce i płaszczu męża, powiewająca zieloną chorągiewką, każdy pasterz, który wyprowadzał swe owce na wilgotne od rosy pastwisko, każde poletko zakwitających pierwiosnków, kiedy wpadaliśmy w przekopy kolejowe — wszystko było dla niego interesujące i wszystko to wchłaniał w siebie z radością zbyt głęboką, by oddać ją w słowach. Parowóz, który nas ciągnął, nazywał się „Mozart”, co także Ernestowi zrobiło przyjemność.

W Paryżu byliśmy o szóstej i mieliśmy w sam raz tyle czasu, żeby przedostać się przez miasto i zdążyć na ranny ekspres do Marsylii, a około południa mój młody przyjaciel był tak znużony, że skapitulował wobec snu, który morzył go w regularnych odstępach i rzadko opuszczał na dłużej niż na przeciąg godziny. Przez jakiś czas walczył z ogarniającą go sennością, ale potem znalazł pociechę w sentencji, że szczęśliwy jest człowiek, który ma do dyspozycji aż tyle przyjemności, że z lekkim sercem może dużo jej zmarnować. Skoro wykoncypował teorię, która go usprawiedliwiała, zasnął spokojnie.

Odpoczywaliśmy w Marsylii, a tam stało się jasne, że podniecenie wywołane tak nagłą zmianą okazało się — jak przewidywałem niemal ze strachem — zbyt mocnym przeżyciem jak na nadwątlone siły mego chrześniaka. Przez kilka dni był naprawdę chory, ale potem przyszedł do siebie. Co do mnie, uważam, że choroba jest jedną z największych przyjemności w życiu, pod warunkiem, że nie jest poważna i że można nic nie robić, dopóki, całkiem nie przyjdzie się do siebie. Pewnego razu będąc za granicą zachorowałem w hotelu i pamiętam, jak było mi wtedy dobrze. Nie znam większej rozkoszy jak leżeć, nie troszcząc się absolutnie o nic, w ciszy i w cieple, i nie mając żadnych kłopotów wsłuchiwać się w brzęk talerzy z odległej kuchni, kiedy kucharka zmywa i odstawia je na bok, obserwować dyskretne cienie, które pokazują się i wędrują po suficie, kiedy słońce wychodzi zza chmury i po chwili znowu kryje się w obłokach, wsłuchiwać się w przyjemny szmer fontanny na dziedzińcu, w pobrzękiwanie dzwoneczków przy uprzężach i dudnienie kopyt o ziemię, kiedy konie opędzają się od napastujących je much, i nie tylko pławić się w niebiańskich rozkoszach, ale mieć świadomość, że tak być musi. „Ach, gdybym mógł teraz — medytowałem wtedy — będąc wolny od wszelkich trosk, zasnąć na wieki. Czy nie byłoby to większe szczęście, niż mógłbym się spodziewać w najśmielszych marzeniach?”

Oczywiście, że byłoby, ale nie chcielibyśmy tego szczęścia, choćby nam go dawano. Kiedy spotka nas najczarniejsze nieszczęście, trzymamy się go kurczowo i do dna wypijamy nasz kielich goryczy.

Miałem sposobność stwierdzić, że Ernest czuł to samo, jak ja wtedy czułem. Mówił mało, lecz widział wszystko. Tylko raz przestraszył mnie nie na żarty. Zapadł zmierzch — cichym, spokojnym tonem zwrócił się do mnie, żebym usiadł przy jego łóżku, ponieważ chce mi coś powiedzieć.

— Rozmyślałem nad tym — powiedział — że, być może, już nie wyzdrowieję, a gdyby istotnie tak się stało, bardzo chciałbym, aby pan wiedział, że istnieje tylko jedna rzecz, która zatruwa mi spokój. Mam na myśli — mówił dalej po króciutkiej przerwie — mój stosunek do rodziców. Byłem dla nich za dobry. Za bardzo liczyłem się z nimi — a wtedy twarz rozjaśniła mu się szczerym uśmiechem, co upewniło mnie, że nie może być mowy o poważnym pogorszeniu jego stanu zdrowia.

Na ścianach jego pokoju sypialnego wisiała seria rycin z" okresu rewolucji francuskiej, których tematem były zdarzenia z życia Likurga. Jedna z nich zwała się *Grandem danie de Lycurgue*, inna *Lycurgue consulte l'oracle*, a jeszcze inna *Calciope a la Cour*. U dołu tej ostatniej ryciny było napisane po francusku i po hiszpańsku: „*Modele de grace et de beaute, la jeune Calciope non moins sage que belle avait merite l'estime et l'attachement du vertueux Lycur-*

gue. Vivement epris de tant de charmes, l'illustre philosophe la conduisait dans le temple de Junon, ou ils s'unirent par un serment sacre. Apres cette auguste ceremonie, Lycurgue s'empessa de conduire sa jeune epouse au palais de son frere Polydecte, Roi de Lacedemon. «Seigneur — lui dit-il — la vertueuse Calciope vient de recevoir mes vœux aux pieds des autels, j'ose vous prier d'approuver cette union.» Le Roi temoigna d'abord quelque surprise, mais l'estime qu'il avait pour son frere lui inspira une reponse pleine de bienveillance. Il s'approcha aussitôt de Calciope qu'il embrassa tendrement, combla ensuite Lycurgue de prevenances et parut tres satisfait.»

Ernest zwrócił moją uwagę na ten tekst i powiedział trochę nieśmiało, że z dwojga złego wolałby ożenić się z Ellen niż z Kalciope. Spostrzegłem, że przychodzi szybko do siebie i nie zawahałem się zaproponować mu, żebyśmy za kilka dni ruszyli w dalszą podróż.

Nie chcąc nużyć czytelnika, nie zabiorę go z nami na wędrowkę tym tak bardzo wydeptanym szlakiem. Zatrzymaliśmy się w Sienie, Cortonie, Orvieto, Perugia i wielu innych miastach, a po dwóch tygodniach, które podzieliliśmy między Rzym i Neapol, udaliśmy się w okolice Wenecji i odwiedziliśmy cudowne miasta, położone między południowym, stokiem Alp i północnymi zboczami Apeninów, a w końcu wróciliśmy do Anglii przez Przełęcz Św. Gotarda. Mój zachwyty był tak wielki, że wątpię, czy Ernest był bardziej ode mnie oczarowany naszą wycieczką, ale trzeba dodać, że dopiero wtedy, kiedy już mieliśmy wracać do domu, stan jego zdrowia poprawił się do takiego stopnia, że można było uznać go za całkiem znośny. Trzeba było jeszcze wielu miesięcy, żeby świadomość ran, zadanych mu w okresie ostatnich czterech lat, ustąpiła miejsca uczuciu, że nie pozostało po nich nic więcej jak tylko blizna przy bliźnie.

Powiada się, że ludzie, którzy stracili rękę lub nogę, doznają w nich od czasu do czasu uczucia bólu, jakkolwiek już dawno ich nie mają. Pewien specyficzny rodzaj bólu, dawno już zapomniany, znowu odezwał się w nim po powrocie do Anglii, a mam na myśli bolesne ukłucie, którego zawsze doświadczał na myśl, że był karany więzieniem. Dopóki był tylko skromnym sklepikarzem, nie miało to dla niego najmniejszego znaczenia. Ludzie o tym nie wiedzieli, a nawet gdyby wiedzieli, było mu to w najwyższym stopniu obojętne. Obecnie jednak wracał na swe dawne miejsce w społeczeństwie, ale wracał zhańbiony, i ból, przed którym w pewnej chwili

ocaliło go środowisko tak nowe, że otoczony nim zewsząd niemal utracił świadomość swej tożsamości, odezwał się w nim z taką natarczywością, jak gdyby ranę zadano mu wczoraj.

Powracał myślą do swych wzniosłych postanowień z okresu więzienia, kiedy to wmawiał w siebie, że nie będzie zabiegać o wymazanie swej hańby z ludzkiej pamięci, ponieważ jego słabość powinna stać się źródłem jego siły. „Wtedy miało to jakiś sens — rozmyślał w skrytości ducha — bo nie miałem nic do stracenia, ale teraz rzecz ma się całkiem inaczej.” A zresztą, czy można zaprzeczyć, że tylko ludzie, którzy do cna przesiąkli strupieszalym doktrynerstwem, stawiają sobie wzniosłe cele i wiążą się heroicznymi postanowieniami?

Niektórzy z jego starych przyjaciół na wiadomość, że po zerwaniu ze swą rzekomą żoną znowu rozkoszuje się pogodną samotnością, chcieli nawiązać z nim dawne stosunki. Był im za to wdzięczny i czasem próbował wyjść im naprzeciw, ale kończyło się na niczym, albowiem niebawem zamykał się w sobie i udawał, że ich nie zna. Zadreślał go piekielny demon uczciwości, więc mówił do siebie: „Ci ludzie wiedzą dużo, ale nie wiedzą wszystkiego; gdyby wiedzieli wszystko, nie podaliby mi ręki, a z tego wynika, że nie mam prawa do znajomości z nimi.”

Był święcie przekonany, że wszyscy ludzie z wyjątkiem niego są *sans peur et sans reproche*.

Sprawa nie podlegała dyskusji, gdyby bowiem rzecz miała się inaczej, to czyż nie było ich powinnością ostrzec każdego, kto miał z nimi cokolwiek do czynienia, że nie są wolni od skazy? Otóż on nie może się na to zdobyć, ale za nic w świecie nie chce utrzymać stosunków z ludźmi, których świadomie wprowadza w błąd, więc wyrzekł się wszelkiej myśli o rehabilitacji i wrócił do muzyki i literatury, które od lat tak bardzo sobie upodobał.

Teraz, rzecz prosta, już od dawna zdał sobie sprawę, jakie to wszystko było głupie, ale proszę mnie dobrze zrozumieć, tak było w teorii, w praktyce bowiem dawało to dobre rezultaty, ponieważ trzymało go na uboczu od różnych *liaisons*, które zmusiłyby go do milczenia i do szukania triumfów osobistych na fałszywym szlaku, a nie tam, gdzie z czasem nauczył się ich szukać. Postępował tak instynktownie i jedyną rację jego postępowania stanowił fakt, że było ono zgodne z jego naturą. Jeżeli w ogóle rozumował, rozumował błędnie, ale to, co robił, było słuszne. Nie tak dawno, rozmawiając z nim na ten temat, wyraziłem się, że zawsze stawiał przed sobą wysokie cele.

— Żadnych celów nigdy sobie nie stawiałem — odparł z odcieniem gniewu w głosie — a może pan być pewny, że postawiłbym przed sobą całkiem niskie cele, gdybym uznał, że od tego zależy moje powodzenie w życiu.

Ostatecznie nie znam przypadku, pomijając osobników, którzy, delikatnie mówiąc, byli nienormalni, żeby ktoś z premedytacją stawiał sobie wysokie cele. Widziałem pewnego razu, jak mucha nadleciała nad filiżankę gorącej kawy i usiadła na cieniutkim kożuszku, w który ścięto się mleko. Spojrzała, że znalazła się w najwyższym niebezpieczeństwie, a ja obserwowałem, jak wielkimi krokami, zdobywając się niemal na ponadmuszy wysiłek, czołgała się przez zdradliwą warstewkę i zmierzała do brzegu filiżanki — grunt nie był bowiem na tyle pewny, ażeby mogła odbić się od niego i przy pomocy skrzydeł wznieść się w powietrze. Patrząc na nią przyszło mi na myśl, że z krytycznej sytuacji, w której spiętrzyły się przed nią tak olbrzymie trudności i niebezpieczeństwa, wyjdzie moralnie i fizycznie o tyle silniejsza, że prawdopodobnie spora część nabytej przez nią siły dostanie się w spadku jej muszemu potomstwu. Jest jednak bezsporne, że wolałaby wyrzec się tych wielkich korzyści moralnych, gdyby decyzja zależała od niej, i na pewno już nigdy w życiu świadomie nie usiadłaby na gorącej kawie. Im więcej nabieram doświadczenia, tym bardziej jestem przekonany, że nie ma najmniejszego znaczenia, z jakich powodów ludzie postępują dobrze, dopóki tak postępują, i dlaczego zrobili źle, kiedy już jest po

fakcie. Wynik zależy wyłącznie od czynu, a jego motywów nie mają z nim nic wspólnego. Czytałem, nie potrafię sobie przypomnieć gdzie, że w pewnej okolicy na prowincji zapanowały w jakimś okresie czasu wielkie trudności żywnościowe, w czasie których uboga ludność dotkliwie ucierpiała, że wiele osób zmarło z głodu, a dosłownie wszyscy znaleźli się u kresu sił. W pewnej wiosce mieszkała wtedy wdowa z nieletnimi dziećmi, która, jakkolwiek jej widome środki egzystencji były całkiem mizerne, zawsze wyglądała na dobrze odżywioną i niefrasobliwą, a jej dzieciom powodziło się równie dobrze. „Jakim cudem oni jeszcze żyją?” — pytali siebie wszyscy wokół. Było jasne, że posiada jakąś tajemnicę, i niemniej było oczywiste, że w tej tajemnicy kryje się coś niedobrego, bo ilekroć ktoś napomknął w obecności wdowy, że jej rodzina daje sobie radę, podczas gdy inni głodują, twarz biedaczki zmieniała się nie do poznania, przybierając jakiś zaszczuty, nerwowy wyraz. Na domiar złego, widywano ją wraz z dziećmi w nocy, w godzinach całkiem osobliwych, i ustalono bezspornie, że przynosi do domu jakieś przedmioty, których pochodzenie na pewno było nieuczciwe. Owa rodzina zdawała sobie sprawę z tych podejrzeń, a ponieważ cieszyła się dotychczas doskonałą opinią, więc nic dziwnego, że dręczyła się nimi niezmiernie, bo, mówiąc szczerze, sama święcie wierzyła, że jej postępowanie jest zdrowe i sprzeczne z naturą, a być może nawet na wskroś występne. Mimo wszystko jednak wiodło im się dobrze i nie upadali na siłach, a tymczasem ich sąsiedzi marnieli w oczach.

Wreszcie sprawa stanęła na ostrzu noża i miejscowy proboszcz poddał biedną kobietę śledztwu tak docieklivemu, że ze łzami i gorzkim uczuciem poniżenia wyznała prawdę. Chodziła z dziećmi w przydrożne zarośla i zbierała ślimaki, potem gotowała na nich rosół, którym się odżywiali — czyż nie jest więc na wieki potępiona? Czy istnieje choćby iskierka nadziei, że będzie zbawiona na tym lub tamtym świecie, skoro dopuściła się wyrodnego postępowania?

Słyszałem także o pewnej starej owdowiałej hrabinie, która wszystkie swoje pieniądze ulokowała w „Konsolach”. Miała jednak wielu synów i w trosce, żeby zapewnić młodym przyzwoite widoki na przyszłość, chciała mieć większe dochody, niż mogło jej przynieść oprocentowanie państwowych obligacji. Zwróciła się do swego adwokata, który poradził jej, żeby sprzedała „Konsole” i ulokowała kapitał w akcjach „London and North-Western Railway”, które w owym czasie notowano na giełdzie po osiemdziesiąt pięć. Było to dla niej takim samym przeżyciem, jak jedzenie ślimaków dla biednej wdowy, której historię przed chwilą opowiedziałem. Ze wstydem i bólem, jak ktoś, kto dopuszcza się nieczystego postępkę, posłuchała wspomnianej rady, bo przecież jej chłopcy nie mogli wejść w życie z pustkami w kieszeni. Potem przez długi okres czasu nie sypiała po nocach i zadreślała się przewidywaniami nieuchronnego nieszczęścia. I co się stało? Nie tylko dała wszystkim swoim synom odpowiednią sumkę, ale w dodatku po upływie kilku lat jej kapitał wzrósł dwukrotnie, wobec czego sprzedała swe akcje i znowu kupiła „Konsole”, a potem zmarła w kompletnym szczęściu, jakie daje człowiekowi posiadanie obligacji państwowych.

Była przekonana, że postępuje źle i ryzykownie, ale w istocie rzeczy motywów jej postępkę są obojętne. Załóżmy, że ulokowała swój kapitał działając z pełnym zaufaniem do zalecenia pewnego znakomitego bankiera londyńskiego, którego rada okazała się tak zła, że w rezultacie straciła cały swój majątek; załóżmy dalej, że dokonała tej operacji finansowej z lekkim sercem i bez świadomości grzechu — czy w takim przypadku brak złego zamiaru i moralna doskonałość motywów jej postępowania byłyby dla niej jakąś pociechą? Nic podobnego.

Wracam do wątku mego opowiadania. Towneley sprawiał memu bohaterowi najwięcej kłopotów. Wiedział, jak wspominałem, że Ernest niebawem będzie człowiekiem zamożnym, ale Ernest, rzecz prosta, nie miał pojęcia, że Towneley wie coś, czego on nie wie. Towneley miał swój własny pokaźny majątek i był już żonaty. Ernest też wkrótce będzie człowiekiem bogatym, już raz w dobrej wierze zamierzał się ożenić, więc bez wątpienia niebawem zawrze legalny

związek małżeński. Taki człowiek wart był w oczach Towneleya pewnego zachodu, więc kiedy pewnego dnia spotkał Ernesta na ulicy i Ernest próbował przejść nie zauważony, Towneley nie dał za wygraną, lecz ze zwykłą u niego porywczą życzliwością odgadł jego myśli, złapał go moralnie za kark i ze śmiechem dokonał zabiegu odwrócenia jego zewnętrznej powłoki na opak, oświadczając mu bez ogródek, że wyprasza sobie podobne bzdury.

Dla Ernesta Towneley był bożyszczem takim samym jak dawniej, a ponieważ mój chrześniak łatwo się rozczulał, więc poczuł do niego jeszcze więcej wdzięczności i sympatii niż zwykle, ale jakieś nieokreślone coś okazało się silniejsze od Towneleya i zmusiło mego bohatera do powzięcia nieugiętej decyzji odsunięcia się od niego jeszcze dalej niż od jakiegokolwiek istoty żyjącej. Podziękował mu niskim, nerwowym tonem, uściśnął dłoń, a łzy stanęły mu w oczach, choć ze wszystkich sił starał się je powstrzymać.

— Jeżeli się kiedyś spotkamy — rzekł — nie patrz na mnie, a jeżeli w przyszłości dowiesz się, że napisałem coś, co ci się nie podoba, pomyśl o mnie tak życzliwie, jak tylko potrafisz — po czym rozstali się.

— Towneley to z krwi i kości porządny chłop — stwierdziłem z powagą — nie powinieneś go obrażać.

— To za mało — odparł — że Towneley jest porządnym chłopem, z całą pewnością jest najwspanialszym człowiekiem, jakiego spotkałem w życiu, z wyjątkiem — wtrącił komplement pod moim adresem — pana. Dla mnie osobiście jest doskonałym wcieleniem wszelkich wartości, które najbardziej chciałbym posiadać, lecz w istocie rzeczy nie mamy ze sobą nic wspólnego. Stale bałbym się, że stracę w jego oczach, jeżeli powiem coś takiego co mu się nie podoba, a mam zamiar powiedzieć bardzo dużo takich rzeczy — skończył trochę weselej — które Towneleyowi nie będą się podobały.

W większości przypadków, jak już wspomniałem, człowiekowi stosunkowo łatwo przychodzi wyrzec się swych rodziców dla Chrystusa, ale wyrzec się takich ludzi jak Towneley jest nieco trudniej.

ROZDZIAŁ LXXXI

A więc Ernest odsunął się od swych wszystkich starych przyjaciół z wyjątkiem mnie i moich kilku najbliższych znajomych, na których można było polegać, że odwzajemnią mu się taką samą sympatią, jaką on ich obdarzył, a którym, podobnie jak mnie, sprawiało przyjemność, że mogą kształtować młody świeży umysł. Ernest przykładał się pilnie do prowadzenia moich ksiąg rachunkowych, ilekroć moje interesy wymagały tego, ale w istocie rzeczy zdarzało się to rzadko. Większą część wolnego czasu poświęcał na notatki i eksperymentalne eseje, których w owym czasie sporo nagromadziło się w jego teczkach. Każdy, komu literackie rzemiosło nie jest obce, na pierwszy rzut oka mógł dostrzec, że Ernest posiada wrodzony talent literacki, a ja byłem szczerze zadowolony, że zabrał się do literatury z tak spontanicznym zapałem. Byłem jednak mniej zadowolony widząc, że w dalszym ciągu zajmuje się wyłącznie najbardziej poważnymi, powinienem chyba rzec — najbardziej dostojnymi tematami, tak samo jak w muzyce nie interesowało go nic poza najbardziej poważnymi jej formami.

Pewnego dnia powiedziałem mu, że licha nagroda, jaką Bóg wyznaczył dla ludzi, którzy poświęcili się poważnym dociekaniom, stanowi dostateczny dowód, że je potępia, a już w każdym razie uznaje za tak niewarte zachodu, że nie chce nikogo do nich zachęcać

Odparł:

— Nagroda! Niech pan nawet nie wspomina tego słowa. Milton, jak panu wiadomo, dostał zaledwie pięć funtów za *Raj utracony*.

— O wiele za dużo — odparłem z miejsca. — Zapłaciłbym mu dwa razy tyle, żeby zrezygnował z napisania swego *Raju*.

Ernest był trochę zgorszony.

— W każdym razie — rzekł ze śmiechem — ja nie jestem poetą.

Był to sztych wymierzony we mnie, bo moje burleski, rzecz prosta, pisane były wierszem. A więc poniechałem tego tematu.

Po jakimś czasie nabił sobie głowę, że musi powrócić do kwestii trzystu funtów, które mu płaciłem, ponieważ — jak oświadczył — dostawał je ode mnie absolutnie za nic, i zapowiedział mi, że będzie próbował znaleźć sobie zajęcie, które zapewni mu egzystencję.

Uśmiełem się z tego, ale zostawiłem mu wolną rękę. Przez dłuższy okres czasu nader gorliwie starał się coś znaleźć, ale nie potrzebuję chyba dodawać, że bez rezultatu. Im bardziej się starzeje, tym głębiej jestem przekonany o głupocie i łatwowierności tak zwanej publiczności, to jest ludzi, którzy czytają, chodzą do teatru, oglądają obrazy lub słuchają muzyki, lecz jednocześnie widzę coraz wyraźniej, jak trudno jest, choć są głupi i łatwowierni, narzucić im swe upodobania.

Ernest chodził od redaktora do redaktora i nosił im artykuł za artykułem. Zdarzało się, że ten lub ów redaktor zechciał go wysłuchać i zgodzić się na pozostawienie mu manuskryptów. Nieodmiennie jednak kończyło się na tym, że ów redaktor zwracał jego prace z uprzejmym wyjaśnieniem, że Ernest skierował je pod złym adresem, ponieważ nie nadają się do piśmiennictwa, które redaktor reprezentuje. A jednak wiele spośród tych artykułów, które wtedy odrzucono; zostało włączone do późniejszych jego książek, i nikt nie miał im nic do zarzucenia, przynajmniej pod względem rzemiosła literackiego.

— Przekonałem się — powiedział do mnie pewnego dnia — że popyt jest bardzo despotyczny, a podaż musi być bardzo pokorna.

Pewnego razu jednak redaktor poważnego miesięcznika literackiego zgodził się na druk

artykułu Ernesta, a on był przeświadczony, że tym razem udało mu się zdobyć jaką taką odskocznię w literackim świecie. Artykuł miał ukazać się w drugim z kolei numerze, a drukarnia miała mu przesłać odbitki do korekty mniej więcej za dziesięć dni, a najdalej za dwa tygodnie. Mijały tygodnie, a odbitek nie nadsyłało. Mijały miesiące i jakoś nie można było znaleźć miejsca na artykuł Ernesta. W końcu redaktor oświadczył mu pewnego poranka, że wprawdzie wszystkie numery miesięcznika na dziesięć miesięcy naprzód są wypełnione do ostatniej linijki, lecz jego artykuł na pewno będzie przez redakcję wykorzystany. W odpowiedzi Ernest zażądał zwrotu manuskryptu.

Zdarzało się i tak, że artykuł Ernesta dostał się w końcu do prasy, ale wówczas stwierdzał, że redakcja przerobiła go na swoją modłę, bądź dodając dowcipy, które w mniemaniu tego czy tamtego redaktora były zabawne, bądź usuwając ten ustęp, który Ernest uważał za najbardziej istotny. A kiedy przyszło do płacenia, oczywiście już po wydrukowaniu artykułu, okazywało się, że honorarium to całkiem inna sprawa, i ostatecznie nigdy nie widział pieniędzy na oczy.

— Redaktorzy — powiedział mi pewnego razu, raniej więcej w tym okresie czasu — są podobni do ludzi, o których w Objawieniu św. Jana czytamy, że kupują a sprzedają, a każdy z nich jest napiętnowany cechą bestii.

Wreszcie po wielu miesiącach rozczarowań i wielu nudnych godzinach zmarnowanych w brudnych przedpokojach (a przedpokoje redakcyjne są najpaskudniejsze ze wszystkich, jakie znam) zaproponowano mu posadę w jednym z pierwszorzędnych tygodników. Zawdzięczał to poleceniu, które zdołałem dla niego uzyskać od osoby posiadającej ogromne wpływy we wspomnianym piśmie. Redakcja przysłała mu kilkanaście książek o różnorodnej i trudnej tematyce ze zleceniem napisania o nich w terminie jednego tygodnia recenzji ujętej w ramy jednego artykułu. W jednej z książek znajdowała się notka redakcyjna, że autora należy poddać najsurowszej krytyce. Ernest zachwyił się właśnie tą książką, którą miał najsurowiej potępić, a widząc po namyśle, że w stosunku do pozostałych książek nie stać go będzie na nic innego jak na wyrok śmierci, zwrócił je wszystkie do redakcji.

W końcu znalazło się pismo, które zgodziło się wydrukować całą serię jego artykułów i zapłaciło mu gotówką po kilka gwinei za każdy, lecz dokonawszy tego czynu wyzionęło ducha w dwa tygodnie po ukazaniu się ostatniego artykułu Ernesta. Można było na podstawie tego rozsądnie wnioskować, że redakcje, które nie chciały mieć nic wspólnego z moim nieszczęsnym chrześniakiem, dobrze wiedziały, co robią.

Nie zmartwiłem się, że z jego współpracy z literackimi periodykami nic nie wyszło, ponieważ pisanie artykułów do miesięczników i tygodników literackich oraz do prasy codziennej stanowi złą zaprawę, jeżeli posiada się aspiracje do twórczości o bardziej trwałej wartości. Młody pisarz związany stałą współpracą z dziennikiem lub tygodnikiem ma za mało czasu na myślenie. Ernest jednak martwił się szczerze, że nie było nabywców na jego twórczość!

— Tak, proszę pana — zwierzył mi się — gdybym był owcą albo koniem z dobrym rodowodem, rasowym gołębiem albo długouchym królikiem, na pewno byłbym bardziej poszukiwanym towarem. Nawet gdybym był katedrą w jakimś mieście w koloniach, ludzie daliby na mnie jakąś ofiarę, ale w tym stanie rzeczy po prostu mnie nie chcą. — Czuł się teraz dobrze i był wypoczęty, więc znowu zapragnął założyć sklep, ale o tym, rzecz prosta, nawet nie chciałem słyszeć.

— Z jakiego powodu ma mi zależeć na tym — zapytał mnie pewnego dnia — żeby być tak zwanym dżentelmenem? — a jego twarz i postawa były niemal wyzywające. — Jaką korzyść odniosłem z tego honoru poza tym, że trudniej przychodzi mi zdobyć łup dla siebie, a łatwiej staje się łupem innych? Zmieniły się moralne kategorie, według których jestem oszukiwany, oto wszystko. Gdyby nie pańska dobroć dla mnie, nie miałbym pensa w kieszeni. Chwała Bogu, że

ulokowałem dzieci tam, gdzie są teraz.

Prosiłem go na wszystko, żeby jeszcze przez jakiś czas zdobył się na cierpliwość i przestał myśleć o powrocie do handlu.

— Czy z faktu, że będę džentelmenem — odparł — wynika, że zrobię majątek; a cóż z wyjątkiem pieniędzy może człowiekowi zapewnić życie spokojne i szczęśliwe? Powiada się, że ci, którzy posiadli bogactwa na ziemi, nie wejdą do królestwa niebieskiego. Na Boga, to nieprawda. Ludzie bogaci mają w sobie coś z Struldbrugów. Żyją fantastycznie długo i są szczęśliwi przez wiele lat, które będąc ubogimi musieliby już spędzić w królestwie niebieskim. Chcę żyć długo, chcę mieć możliwość stworzenia dla moich dzieci lepszych warunków egzystencji, jeżeli dojdę do wniosku, że będą dzięki temu szczęśliwsze. Takie mam aspiracje, a moje obecne zajęcie jest z nimi sprzeczne. Nie chcę być džentelmenem, bo to luksus, na który mnie nie stać. Proszę mi więc nie przeszkadzać, wrócę do handlu i będę robił dla ludzi to, czego pragną i za co będą mi płacić. Przecież nie będę ich pouczając, co jest dla nich dobre, bo znają się na tym lepiej ode mnie.

Trudno było mi z nim polemizować, ponieważ jego wnioski były całkiem trafne i gdyby jego egzystencja zależała od trzystu funtów rocznego wynagrodzenia, które dostawał ode mnie, doradziłbym mu na pewno, żeby nazajutrz zaczął handlować w swym sklepie. Sprawa miała się jednak inaczej, więc zwlekałem; wyszukiwałem najprzeróżniejsze trudności i mitygowałem go, jak mogłem.

Pochłaniał, ma się rozumieć, wszystkie książki pana Darwina, zaledwie ukazały się w druku, i uznał ewolucję za jeden z artykułów swego wyznania wiary.

— Wydaje mi się — rzekł pewnego razu — że jestem bardzo podobny do jednej z tych gąsienic, które, jeżeli przerwie im się robienie oprzędu, muszą zacząć całą robotę od samego początku. Dopóki przez całe lata schodziłem po drabinie społecznej w dół, wychodziłem na tym dobrze, i gdyby nie Ellen, doszedłbym do pieniędzy. Kiedy jednak próbuję zabrać się do roboty na wyższym szczeblu, przegrywam sromotnie.

Nie wiem, czy ta analogia trafia w sedno zagadnienia, ale jestem całkiem pewny, że instynkt Ernesta miał zupełną rację, doradzając mu, że po tak ciężkich niepowodzeniach powinien dla własnego dobra zacząć życie od nowa na bardzo niskim stadium rozwoju i, jak już wspomniałem, pozwoliłbym mu wrócić do zawodu sklepikarza, gdybym nie wiedział tego, co wiedziałem.

W miarę jak zbliżał się termin wyznaczony przez jego ciotkę, coraz bardziej oswajałem go z perspektywami, które wkrótce go czekały, aż w końcu w dniu, w którym skończył dwadzieścia osiem lat, powiedziałem mu wszystko i pokazałem list, podpisany przez jego ciotkę tuż przed śmiercią, z którego wynikało, że majątek stanowi jego własność i tylko chwilowo znajdował się u mnie w depozycie. Urodziny Ernesta wypadły w tym roku (1863) w niedzielę, więc zaraz następnego dnia przepisałem własność papierów wartościowych na jego nazwisko oraz przedłożyłem mu księgę rachunkową, którą sam prowadził przez ostatnie półtora roku.

Choć włożyłem tak wiele trudu, żeby go 'na to przygotować, sporo czasu upłynęło, zanim zdołałem go bez reszty przekonać, że pieniądze po ciotce stanowią jego własność. Mówił na ten temat niewiele — a ja nie więcej, bo w gruncie rzeczy wydaje mi się, że byłem tak samo przejęty pomysłem zakończeniem mej długoletniej misji, jak Ernest nieoczekiwaną wiadomością, że odziedziczył ponad siedemdziesiąt tysięcy funtów szterlingów.

Odzywał się tylko w tym celu, żeby wyrzucić z siebie kilka sentencji pod rząd.

— Gdybym miał oddać tę chwilę w muzyce — powiedział — stosowałbym wielką sekstę bez żadnych hamulców. — Pamiętam również, jak w chwilę potem powiedział ze śmiechem, który miał w sobie rodzinne podobieństwo do śmiechu jego ciotki. — Przyjemność z posiadania

tych pieniędzy jest niczym w porównaniu z rozkoszą, jakiej doznaję na myśl o przykrości, którą ta wiadomość sprawi wszystkim moim znajomym z wyjątkiem pana i Towneleya.

Odparłem na to:

— Rodzicom nie możesz powiedzieć o tym ani słowa, wpadną w furję.

— Och, nie, nie — powiedział — to byłoby zbyt okrutne. Niech pan sobie wyobrazi: Izaak gotuje się do złożenia Abrahama w ofierze, choć wiadomo, że krzaka cierniowego z baranem nie ma w pogotowiu! Zresztą, cóż mogłoby minie do tego skłonić? Zerwaliśmy stosunki cztery lata temu.

ROZDZIAŁ LXXXII

Można uznać niemal za pewnik, że nasza przelotna wzmianka o Teobaldzie i Krystynie podziałała na nich jak coś w rodzaju bodźca, który obudził ich ze stanu letargicznego i przywrócił do stanu aktywnego. W ciągu tych lat, które upłynęły od czasu, kiedy ostatni raz widzieliśmy ich na scenie, nie ruszyli się z Battersby i wszystkie swe uczucia skoncentrowali na dzieciach, które mieli przy sobie.

Utrata możliwości maltretowania swego pierworodnego była dla Teobalda gorzką pigułką. Chyba nie minę się z prawdą, jeżeli powiem, że zabolalo go to bardziej niż najgorsza hańba, na jaką mógł go narazić fakt, że jego syn siedział w więzieniu. Kilka razy próbował nawiązać rokowania za moim pośrednictwem, ale nie powiedziałem nigdy o tym Ernestowi ani słowa, bo wiedziałem, że się zdenerwuje. Odpisałem Teobaldowi, że jego syn, jak się przekonałem, jest nieugięty, i zaleciłem mu, żeby przynajmniej na razie nie wracał do tego tematu. Uznałem, że takie załatwienie sprawy jest z punktu widzenia Ernesta najlepsze, a z punktu widzenia Teobalda najgorsze.

W jakieś kilka dni po przepisaniu na Ernesta majątku po ciotce, otrzymałem od Teobalda list, do którego był załączony list do Ernesta. Tym razem nie mogłem go przed nim zataić.

Treść listu brzmiała:

Dla mego syna Ernesta

Jakkolwiek nie jeden raz wyciągałem do Ciebie rękę, którą odrzuciłeś, ponownie próbuję zaapelować do Twego serca. Twoja matka, która od dłuższego czasu jest cierpiąca, znajduje się, jak mi się wydaje, u kresu swego żywota. Jej żołądek nie przyswaja już żadnego pokarmu, a dr Martin nie robi prawie żadnych nadziei, żeby mogła powrócić do zdrowia. Matka wyraziła życzenie, że chciałyby Cię zobaczyć, więc nie wątpię, że zważywszy jej stan spełnisz jej życzenie.

Załączam przekaz, który możesz podjąć na pocztę, na kupno biletu, a koszt biletu powrotnego również Ci zapłacę.

Jeżeli potrzeba Ci ubrania, w którym mógłbyś się tu pokazać, kup sobie coś odpowiedniego według własnego uznania i każ przysłać rachunek do mnie. Zapłacę go odwrotną pocztą do kwoty nie przekraczającej ośmiu do dziewięciu funtów, a gdybyś zechciał dać mi znać, którym pociągiem przyjedziesz, wyślę bryczkę na stację. Przyjmij od Twego ojca serdeczne pozdrowienia.

T. Ponliex

Oczywiście Ernest nie mógł się wahać ani przez jeden moment. Propozycję ojca, że kupi mu ubranie, oraz przekaz pocztowy, którego wysokość odpowiadała ściśle cenie biletu kolejowego drugiej klasy, mógł zbyć pobłażliwym uśmiechem, ale wiadomość, że stan matki jest tak poważny, zrobiła na nim wielkie wrażenie, nie mówiąc o tym, że był szczerze wzruszony jej pragnieniem zobaczenia go. Zatelegrafował, że przyjedzie natychmiast. Widziałem się z nim tuż przed odjazdem i z przyjemnością stwierdziłem, że jego krawiec wywiązał się ze swego zadania bez zarzutu. Trudno sobie wyobrazić, żeby sam Towneley mógł być wyposażony bardziej starannie. Walizka i płaszcz podróżny Ernesta, jak zresztą wszystko, co zabierał ze sobą, było świetnie dobrane. Uznałem, że w stosunku do tego, jak wyglądał w wieku dwudziestu dwu czy dwudziestu trzech lat, znacznie zyskał na prezencji. Półtora roku, które przeżył w spokoju, zdążyło zatrzeć szpecące ślady dawnych cierpień, a teraz, kiedy stał się bogaty, na jego twarzy pojawił się wyraz niefrasobliwości i naturalnej wesołości, znamienny dla ludzi, którzy nie mają

absolutnie żadnych trosk, a to wywiera wpływ tak korzystny, że nawet człowiek daleko brzydszy od niego zmieniłby się dzięki temu nie do poznania. Byłem z niego dumny i nie mogłem się nim nacieszyć. „Jestem pewny — powiedziałem sobie — że cokolwiek zrobi w życiu, nigdy więcej się nie ożeni.”

Podróż była przykra. Kiedy pociąg zbliżał się do stacji, Ernest dostrzegał coraz więcej znajomych szczegółów, a asocjacje owładnęły nim z tak przemożną siłą, że spadek po ciotce wydał mu się tylko snem; oto wracał do rodzicielskiego domu, jak wracał kiedyś z Cambridge na wakacje. Był wobec tego złudzenia bezradny i znowu dawna tęsknota za domem zaczęła przytłaczać go swym posepnym brzemieniem, a serce biło mu szybko na myśl o bliskim spotkaniu z rodzicami. „I będę musiał — powiedział do siebie — pocałować Karolkę.”

Czy ojciec wyjedzie po niego na stację? Czy przywita go, jak gdyby nic między nimi nie zaszło, czy oziębłe będzie trzymał się na dystans? Wreszcie, jak przyjmie wiadomość, że w życiu jego syna zaszły tak niespodziewane i szczęśliwe zmiany? Kiedy pociąg wjeżdżał na peron, wzrok Ernesta szybko prześliznął się po garstce osób, które stały na stacji. Nie było wśród nich znajomej sylwetki ojca, ale za ogrodzeniem, które dzieliło placyk przystacyjny od peronu, spostrzegł bryczuszkę z kucykiem i poznał woźnicę, który służył u ojca. Po kilku minutach siedział w bryczce i jechał do Battersby. Nie mógł opanować uśmiechu, gdyż nie uszło jego uwagi, z jakim zdumieniem woźnica przyjął zmianę jego zewnętrznego wyglądu. A woźnica był podwójnie zdumiony, bo w czasie swego ostatniego pobytu w Battersby Ernest był ubrany w czarny surdut pastora, a teraz nie tylko nosił się po świecku, ale w dodatku jak ktoś, kto nie liczy się z pieniędzmi. Był tak odmieniony, że woźnica poznał go dopiero wtedy, kiedy Ernest do niego przemówił.

— Jak się miewają rodzice? — zapytał nerwowo, kiedy znalazł się w bryczce.

— Pan ma się dobrze, wielmożny panie — brzmiała odpowiedź — ale z panią jest bardzo kiepsko. — Koń poczuł, że wraca do domu, i mocno szarpnął lejcami. Panował przejmujący chłód — pogoda była typowo listopadowa. Pewien odcinek drogi stał pod wodą, a wkrótce potem spotkali jadącą im naprzeciw sporą gromadę jeźdźców z psami, w tym dniu bowiem w okolicy Battersby była wyznaczona zbiórka psiej sfory. Ernest spostrzegł wiele dobrze mu znanych osób, lecz one albo go nie poznały, co jest najbardziej prawdopodobne, albo jeszcze nie wiedziały, że jest człowiekiem bogatym. Kiedy wieża kościoła w Battersby była już całkiem blisko i zobaczył plebanię na wzgórzu, z jej kominami trochę wyższymi od bezlistnych drzew, targnął się w głąb bryczki i ukrył twarz w dłoniach.

Potem to minęło, jak mija każdy, nawet najgorszy kwadrans w życiu człowieka, i po chwili był już na schodach wiodących do rodzicielskiego domu. Ojciec, który usłyszał turkot nadjeżdżającej bryczki, zszedł kilka schodów w dół, żeby się z nim przywitać. Podobnie jak woźnica na pierwszy rzut oka spostrzegł, że Ernest jest ubrany, jak gdyby przelewało mu się od pieniędzy, i wygląda jak okaz zdrowia i tężyzny.

Była to niespodzianka, na którą nie był przygotowany. Pragnął, żeby Ernest wrócił do domu, lecz miał wrócić jak na przyzwoitego, dobrze ułożonego syna marnotrawnego przystało — zabiedzony, złamany na duchu, błagający o przebaczenie swego najczulszego ojca, którego naraził na zgryzoty, jakich żaden ojciec na świecie nie wycierpiał. Jeżeli miał całe buty i jakie takie ubranie na sobie, to mógł to zawdzięczać tylko miłosierdziu ojca, który pozwolił mu zrzucić z siebie najędzniejsze z nędznych łachmanów, a tymczasem Ernest bezczelnie kłuł go w oczy szarym raglanem i niebiesko-białym krawatem, a wyglądał tak dobrze, że Teobald nigdy w życiu tak świetnie wyglądającego syna nie widział. Tak może postępować tylko człowiek wyzuty z wszelkich zasad moralnych. Czy o to mu chodziło, kiedy tak wielkodusznie zaproponował synowi, żeby kupił sobie przyzwoite ubranie, w którym mógłby stanąć u łóżka konającej matki?

Czyż można było wykorzystać jego dobrą wolę w sposób bardziej nikczemny, niż zrobił to Ernest? Dostanie osiem, a może nawet dziewięć funtów, które mu obiecał, ale ani pensa więcej. Dobrze się stało, że oznaczył górną granicę. Ba, nawet jego, Teobalda, w ciągu całego życia nie stać było na taką walizę. Do dziś dnia używa starej walizki, którą dostał od ojca, kiedy jechał na studia do Cambridge. A zresztą zgodził się na ubranie, a nie na walizę.

Ernest spostrzegł, jakie myśli owładnęły umysłem ojca, i uświadomił sobie, że powinien był przygotować go w jakiś sposób na to, co obecnie zobaczył. Wysłał jednak depezę natychmiast po otrzymaniu listu i w ślad za nią wyjechał w takim pośpiechu, że nie zdołałby tego zrobić, nawet gdyby o tym pomyślał. Wyciągnął rękę i powiedział z uśmiechem:

— To wszystko jest zapłacone; nie wiem, czy ojcu wiadomo, że pan Overton przekazał mi spadek po ciotce Aletei.

Teobald spurpurowiał.

— Jakim prawem? — powiedział i były to pierwsze słowa, które padły z jego ust. — Jeżeli pieniądze nie należały do niego, dlaczego nie przekazał ich mi — mu bratu i mnie? — Bardzo się jąkał i widać było, że jest speszony, ale zdołał wykrztusić to zdanie.

— Dlatego, mój drogi ojcie — odparł Ernest, nie przestając się śmiać — ponieważ ciotka ustanowiła go depozytariuszem na rzecz moją, a nie na rzecz ojca lub stryja. Kapitał jest teraz znacznie większy i wynosi ponad siedemdziesiąt tysięcy funtów. Ale niechże ojciec mi powie, jak się czuje matka?

— Nie, mój drogi — odparł Teobald podnieconym tonem — nie możemy tej sprawy tak zostawić, muszę przekonać się, czy coś nie zostało zatajone i czy nie ma w tym jakiegoś krętactwa.

Był w tych słowach Teobald tak prawdziwy, że natychmiast wywołały one cały łańcuch wyobrażeń, które w umyśle Ernesta nieodłącznie wiązały się z osobą ojca. Otoczenie było stare i dobrze znajome, ale ludzie zmienili się niemal nie do poznania. Bez chwili zastanowienia Ernest wsiadł na Teobalda z góry. Nie będę powtarzać słów, których użył, bo padły z jego ust, zanim miał czas zastanowić się nad nimi, i niektórzy czytelnicy mogliby dopatrzeć się w nich cech jawnej impertynencji. Teobald nic nie odpowiedział, a jego twarz stała się szara jak popiół. Od tej pory zaniechał mówienia do swego syna takim tonem lub takich rzeczy, które zmusiłyby go do powtórzenia tego, co powiedział mu przy tej okazji. Ernest szybko odzyskał równowagę i ponownie zapytał o matkę. Teobald z niemalym zadowoleniem uchwycił się tej sposobności i co prędzej odpowiedział w tonacji, której zwykł używać, kiedy specjalnie mu zależało, żeby kogoś sobie ująć, że robi wszystko, co leży w jego mocy, lecz jej stan szybko się pogarsza i zakończył stwierdzeniem, że była mu pociechą i podporą przez przeszło trzydzieści lat, ale nie wolno mu pragnąć, żeby się to przeciągało.

Potem weszli po schodach na piętro do pokoju Krystyny, tego samego pokoju, w którym Ernest przyszedł na świat. Ojciec wszedł pierwszy i przygotował ją na zobaczenie syna. Na widok Ernesta nieszczęśliwa kobieta podniosła się na posłaniu, a potem, zanosząc się od płaczu, wzięła go w ramiona i łkała:

— Wiedziałam, że przyjedzie, wiedziałam, wiedziałam, że przyjedzie.

Ernest nie panował nad sobą i rozplakał się, jak nie zdarzyło mu się od lat.

— Mój chłopcze, mój synku — rzekła, kiedy mogła wydobyć z siebie głos — czy to możliwe, żebyś przez te wszystkie lata ani razu nie był w naszej okolicy, całkiem blisko nas? Ach, na pewno nie zdajesz sobie sprawy, jak bardzo cię kochamy i jak opłakiwaliśmy cię, tatuś wcale nie mniej ode mnie. Wiesz przecież, że on mniej daje poznać po sobie, co czuje, a ja doprawdy nie potrafię wysłować, jak bardzo, bardzo głębokim darzy cię uczuciem. Czasem w nocy wydawało mi się, że słyszę jakieś kroki w ogrodzie, więc wstawałam po cichu, żeby go nie

obudzić,' podchodziłam do okna i wyglądałam, ale nie widziałam nic, było ciemno albo szaro, jak to bywa nad ranem, więc ze łzami kładłam się do łóżka. Ale i teraz wydaje mi się, że na pewno byłeś kiedyś blisko nas, twoja duma nie pozwoliła ci jednak zdradzić swej obecności; nareszcie mam cię znowu w swych objęciach, mój najdroższy, mój najdroższy chłopaku. Jakież był okrutny — wyrzucił sobie Ernest — jak nikczemnie zakamieniałe ma serce.

— Mamusiu — powiedział — przebac mi, to moja wina. Nie powinienem był być tak bezwzględny.

Postąpiłem źle, bardzo źle. — Biedak beczał i mówił to, co naprawdę czuł, a serce wyrywało mu się do niej z taką czułością, że nawet w najśmielszych przewidywaniach uczucie tak gorące do swojej matki uznałby za nieprawdopodobne.

— Ale czy naprawdę — ciągnęła dalej — nigdy, choćby w ciemnościach nocy, nie przyjechałeś, żeby choć przez chwilę być blisko nas, tylko my nic nie wiedzieliśmy o tym? Chcę wierzyć, że nie byłeś tak okrutny, jak myśleliśmy. Powiedz, że tu przyjeżdżałeś, powiedz choćby tylko dlatego, żeby mnie ucieszyć i uradować.

Ernest był gotów zgodzić się na wszystko:

— Nie miałem pieniędzy na podróż, mamusiu, niemal do ostatniej chwili.

Był to powód istotny, który Krystyna potrafiła zrozumieć i uznać za dostateczne usprawiedliwienie.

— A więc, gdybyś miał za co, byłbyś przyjechał, a więc przyjmę twą chęć za uczynek, a teraz, kiedy znowu jesteś przy mnie, powiedz, że już nigdy, nigdy więcej mnie nie opuścisz... aż do... aż do... czy powiedzieli ci, synku, że umieram? — Zapłakała gorzko i ukryła twarz w poduszce.

ROZDZIAŁ LXXXIII

Józio i Karolina byli również w pokoju matki. Józio, już po święceniach, był wikarym Teobalda. Józio i Ernest nigdy nie czuli do siebie sympatii, a Ernest na pierwszy rzut oka zorientował się, że o *rappio-*

chement między nimi nie może być mowy. Był trochę zaskoczony, kiedy zobaczył Józia w stroju duchownego, bo bracia byli do siebie bardzo podobni i Józio wyglądał kropla w kroplę jak on przed kilku laty. Twarz Józia była jednak zimna i nie było w niej nawet wątłej iskierki, która świadczyłaby o buncie przeciwko konwenansom. Był duchownym i miał najszerszy zamiar postępować tak, jak postępują inni duchowni, ani lepiej, ani gorzej. Przywitał się z Ernestem *de haut en bas*, a ściśle mówiąc, próbował coś takiego zademonstrować, lecz efekt spalił na panewce.

Siostra podała mu policzek do pocałowania. Było to dla niego obrzydliwe i przez ostatnie trzy godziny z lękiem myślał o tej chwili. Ona także była lodowato nieprzystępna i zachowywała się z karcącą nagana, jak przystało na istotę wyższą od niego. Miała do niego żal, bo dotychczas nie wyszła za męża. Winę za ten stan rzeczy złożyła na barki Ernesta. Jego niemoralne prowadzenie się, dowodziła potajemnie, spowodowało, że młodzi mężczyźni nie zabiegali o jej rękę, więc wystawiła mu słony rachunek za szkody i straty, jakie z tego powodu poniosła. Od wczesnego dzieciństwa Józio i Karolka zdołali wyrobić w sobie instynkt psów gończych, a teraz gładko utożsamili się ze starszym pokoleniem — rozumie się, tylko pod względem wrogości do Ernesta. W tych granicach zjednoczyli swe siły w przymierzu zaczepno-odpornym, ale poza tym prowadzili ze sobą potajemną i zaciekłą wojnę. Do takich wniosków doszedł Ernest częściowo na podstawie wspomnień, które zachował o wymienionych osobach rodzinnego dramatu, a częściowo na podstawie pewnych, drobnych szczegółów, które uderzyły go w ich zachowaniu zaraz po przyjeździe, kiedy na jakieś pół godziny wszyscy zebrali się w matczynej sypialni — a do tej pory, rzecz prosta, nie mieli najmniejszego pojęcia, że jest bogaty. Nie uszło jego uwagi, że od czasu do czasu mierzyli go wzrokiem, w którym znać było zdziwienie przyprawione zgorzeniem, i dobrze wiedział, o czym myśleli.

Krystyna spostrzegła, jak bardzo się zmienił — czuło się bowiem, że fizycznie i duchowo jest daleko silniejszy i bardziej sprężysty niż wtedy, kiedy widziała go po raz ostatni. Zauważyła również, jak świetnie jest ubrany, i podobnie jak pozostali członkowie rodziny, mimo nawrotu macierzyńskich uczuć dla pierworodnego, była trochę zaniepokojona o kieszeń Teobalda, która na pewno srogo ucierpi za ten zbytek. Widząc jej niepokój Ernest zdjął ciężar z matczyego sumienia i opowiedział jej o spadku po ciotce i o tym, jak ja nim gospodarował. Nie kępował się obecnością brata i siostry — a oni udawali, że ich to nic, a nic nie obchodzi, a w każdym razie, że z ich punktu widzenia jest to sprawa — jak należało z góry się spodziewać — całkowicie im obojętna.

Z początku matka trochę psioczyła, że majątek dostał się Ernestowi, jak zdefiniowała, „ponad głową tatusia”.

— Ależ, mój drogi — powiedziała tonem nagany — tak wielkiej sumy pieniędzy nawet twój tatuś nigdy nie miał do dyspozycji. — Ernest uspokoił ją jednak domniemaniem, że gdyby panna Pontifex wiedziała, do jakich rozmiarów urośnie jej majątek, z całą pewnością jego część zapisałaby w spadku Teobaldowi. Krystyna uznała, że ten kompromis jest dobrym wyjściem z sytuacji, i od tej chwili, choć była tak poważnie chora, z całym zapałem zajęła nową pozycję i biorąc ją za punkt wyjścia zaczęła w imieniu Ernesta wydawać jego pieniądze.

Na marginesie tych wydarzeń mogę dodać od siebie, że Krystyna miała rację, gdyż Teobald rzeczywiście nigdy w życiu nie miał do dyspozycji tak poważnej sumy pieniędzy, jaką teraz posiadał Ernest. Po pierwsze dlatego, że nie czekał przez czternaście lat na dojście do kapitału, nie biorąc z niego ani jednego pensa, co umożliwiłoby stałą akumulację, a po drugie z tej racji, że, podobnie jak ja i zresztą niemal wszyscy, Teobald poniósł pewne straty w pamiętnym roku 1846 — wprawdzie nie wyszedł z tej opresji zrujnowany ani nawet nie doznał poważniejszego uszczerbku, ale najadł się strachu i od tej chwili do końca życia trzymał się kurczowo pożyczek państwowych. Fakt, że jego syn jest od niego bogatszy i że doszedł do pieniędzy tak młodo, był dla Teobalda tak bolesny, że na pewno wolałby się dowiedzieć, że Ernest jest nędzarzem. Gdyby Ernest musiał przetrwać do sześćdziesięciu lub siedemdziesięciu lat, doznając w tym okresie klęsk, które złamałyby go doszczętnie, wszystko byłoby w najlepszym porządku, i wtedy bez najmniejszych zastrzeżeń byłoby mu wolno mieć tyle pieniędzy, ile potrzeba, żeby uratować się od przytułku i odłożyć na koszty pogrzebu. Tymczasem syn Teobalda w wieku dwudziestu ośmiu lat posiadał siedemdziesiąt tysięcy funtów, miał tylko dwoje dzieci i nie miał żony — to było naprawdę oburzające. Krystyna była za bardzo chora i zbyt zależało jej na szybkim rozdysponowaniu pieniędzy Ernesta, żeby chciała zawracać sobie głowę szczegółami, o których wspomniałem wyżej, nie mówiąc naturalnie o tym, że miała lepszy charakter od Teobalda.

„Dzięki tej niezwyklej i szczęśliwej odmianie losu — pojęła to w mgnieniu oka — po hańbie, jaką okryło go więzienie, nie pozostało niemal śladu. Trzeba raz na zawsze skończyć z absurdalną przesadą w tej sprawie. W gruncie rzeczy wszystko polegało na pomyłce, niefortunnej pomyłce, to prawda, ale im mniej będzie się o tym mówić, tym lepiej. Naturalnie Ernest wróci do Battersby i zamieszka na plebanii, dopóki się nie ożeni, a ojcu przyzwolicie zapłaci za utrzymanie i mieszkanie. Sprawiedliwość nakazuje, żeby Teobald miał z tego jakiś dochód, a Ernestowi na pewno będzie zależało na tym, żeby był to dochód przyzwoity. Jest to najlepsze i najprostsze rozwiązanie. Jestem pewna, że daleko bardziej od ojca i Józia będzie dbać o to, żeby wprowadzić swą siostrę w świat. A także na pewno będzie wydawać w Battersby eleganckie przyjęcia.

Naturalnie kupi Józiowi jakąś parafię, a siostrze będzie co roku dawał bogate prezenty — ale czy nie zapomniałam o czymś? Ach, oczywiście, przecież będzie teraz w naszym hrabstwie prawdziwym magnatem. Ktoś, kto ma prawie cztery tysiące funtów dochodu rocznie, ma dostateczne podstawy, żeby zostać magnatem. A może wejdzie do parlamentu. Jest wcale zdolny, a jakkolwiek daleko mu do genialnego talentu dra Skinnera lub nawet Teobalda, to przecież nie jest całkiem ograniczony, i gdyby dostał się do parlamentu — już teraz, kiedy jest jeszcze młody — nic nie stanie na przeszkodzie, żeby został przed śmiercią premierem, a potem w naturalnym porządku — parem. Ach, dlaczegoż nie zabrał się do tego od razu, choćby przez wzgląd na nią, żeby mogła dożyć tej chwili i usłyszeć na własne uszy, jak ludzie nazywają jej syna «milordem»? Lord Battersby — oceniła — brzmi doskonale, a gdyby czuła się na tyle dobrze, żeby móc pozować, musiałby mieć jej portret naturalnej wielkości, który stanowiłby piękne tło jego wielkiej jadalni. *Portret matki lorda Battersby* na wystawie w Królewskiej Akademii — powiedziała do siebie i jej serce zaczęło bić normalnym rytmem. Wprawdzie nie mogła pozować, ale nic straconego, ponieważ nie tak dawno była u fotografa i wyszła na zdjęciu wcale nieźle, choć trudno mówić, żeby mogła udać się fotografia jej twarzy, tak zmiennej i tak całkowicie zależnej od uczucia, które w danej chwili wyraża. Może malarzowi wystarczy ta fotografia, żeby namalować jej portret, koniec końców lepiej się stało, że Ernest nie będzie pastorem — jakże nieskończenie mądrze załatwia Bóg za nas pewne sprawy, których my sami dla siebie nigdy nie zdołalibyśmy tak dobrze załatwić!

Teraz wszystko jest całkiem jasne — Józio zostanie arcybiskupem Canterbury, a Ernest

pójdzie świecką drogą i zostanie premierem..." i tak dalej, aż córka powiedziała jej, że już pora, żeby wzięła lekarstwo.

Przypuszczam, że wyżej opisane marzenia, które stanowią skromny fragment tego, co w rzeczywistości działo się w umyśle Krystyny, zajęły około półtorej minuty, ale pewne objawy wskazywały, że pod ich wpływem, a może dzięki obecności syna, samopoczucie chorej uległo zdumiewającej poprawie. Chora, ściśle mówiąc w stanie agonii i bardzo cierpiąca, tak podniosła się na ducha, że w ciągu popołudnia kilka razy roześmiała się całkiem wesoło. Następnego dnia dr Martin stwierdził w jej stanie tak znaczną poprawę, że *zaczął* robić pewne nadzieje na powrót Krystyny do zdrowia. Teobald, ilekroć ktoś napomknął o tej ewentualności, potrzasał głową i mówił:

— Nie wolno nam pragnąć, żeby się to przeciągało — a wtedy Karolka zaskoczyła Ernesta następującą deklaracją:

— Zdajesz sobie sprawę, mój drogi, że te wszystkie rozmowy, które oscylują między nadzieją a rozpaczą, okropnie tatusia denerwują. Ojciec jest przygotowany na najgorsze i z całym męstwem zniesie wszystko, co się stanie, ale doprawdy ponad jego siły jest w ciągu jednej i tej samej doby tyle razy przerzucać się od jednej krańcowości do drugiej, od nadziei do rozpacz. Dlatego lepiej się stanie, jeżeli tego zaniechasz, a chodzi mi o to, żebyś nie rozmawiał z nim na ten temat, choćby nawet dr Martin robił pewne nadzieje.

Karolka chciała dać Ernestowi do zrozumienia, że to on jest głównym winowajcą i on wpędził Teobalda, ją, Józia i wszystkich zainteresowanych w tak niezdolną sytuację; nawet udało jej się znaleźć odpowiednie słowa, żeby dać temu wyraz. Co prawda brakło jej odwagi i nie powiedziała ich, ale w każdym razie pomyślała je przez chwilę, a to też coś znaczy. Przez cały czas choroby matki Ernest obserwował, jak Karolka każdą bardziej optymistyczną wzmiankę doktora lub pielęgniarki o stanie zdrowia Krystyny uważała za dogodną okazję do zrobienia mu przykrości. Napisała do Crampsford z prośbą o modlitwę w tamtejszej kongregacji na intencję matki (była przekonana, że jest to zgodne z pragnieniem matki oraz że mieszkańcy Crampsford z zadowoleniem przyjmą ów dowód, że Krystyna o nich pamięta). Jednocześnie wysyłała drugi list w całkiem innej sprawie, i dość na tym, że zamieniła koperty, więc listy poszły do niewłaściwych adresatów. Poprosiła Ernesta, żeby zaniósł je na pocztę w miasteczku, czego nieopatrznie się podjął, a tak się złożyło, że kiedy pomyłka wyszła na jaw, Krystyna czuła się trochę lepiej. Karolka natychmiast zasypała Ernesta gorzkimi wymówkami i całą winę zwała na niego.

Z wyjątkiem Józia i Karolki, którzy trochę posunęli się w rozwoju, dom i jego mieszkańcy, czyli materia organiczna i nieorganiczna, niewiele się zmieniły od chwili, kiedy Ernest widział ich po raz ostatni. Meble i ozdobna obudowa kominka były takie samiuteńkie od najodleglejszych czasów, które zdołał zachować w pamięci. W salonie jak za dawnych lat z jednej strony kominka wisiał Carlo Dolci, a z drugiej Sassoferrato. Przybyła akwarela, przedstawiająca widok Lago Maggiore, skopiowana przez Karolkę z oryginału pożyczonego jej przez nauczyciela rysunków i wykończona ściśle według jego wskazówek. Był to obraz, o którym ktoś ze służby powiedział, że musi być dobry, ponieważ pan Pontifex zapłacił dziesięć szylingów za ramę. Tapety pozostały te same: róże nadal czekały na pszczoły, a dzień w dzień, wieczór i rano, rodzina w pełnym komplecie zanosila modły, żeby dane jej było stać się „prawdziwie uczciwą i posłuszną swemu sumieniu.”

Tylko jeden wizerunek został usunięty, jego własna fotografia, która wisiała poniżej fotografii ojca, między portrecikami brata i siostry. Ernest zauważył to w czasie modlitwy, kiedy ojciec czytał o arce Noego i jak namazali ją „klijem” zewnątrz i wewnątrz, a tak się złożyło, że kiedy był jeszcze małym chłopcem ogromnie lubił słuchać tego fragmentu. Nazajutrz jednak fotografia znowu znalazła się na swym miejscu, była trochę zakurzona, a w jednym rogu ramki

odłupało się trochę złocenia, ale ostatecznie była na miejscu. Domyślał się, że powiesili ją, kiedy dowiedzieli się, do jakiego doszedł majątku.

W jadalni nad kominkiem kruki nadal usiłowały nakarmić Eliasza. Ile nieprzeliczonych wspomnień rozbudził w nim ten obraz! Ernest spojrział przez okno — w ogrodzie przed domem klomby kwiatów były takie samiutkie jak dawniej, i złapał się na tym, że wpatruje się w niebiesko pomalowaną bramę w końcu ogrodu, żeby stwierdzić, czy pada deszcz, tak samo jak wpatrywał się w nią za lat dziecięcych, kiedy odrabiał z ojcem lekcje.

Po wczesnym obiedzie, kiedy Józio, Ernest i ich ojciec zostali sami w pokoju, Teobald podniósł się z miejsca i stanął dokładnie w samym środku dywanika rozesłanego przed kominkiem, nad którym wisiał obraz z Eliaszem, i zaczął gwizdać jak dawniej, bezwiednie i obojętnie. Miał tylko dwie melodie w swym repertuarze — jedną z nich była piosenka *W moim domku pod lasem*, a drugą jakaś pieśń wielkanocna. Przez całe życie usiłował zagwizdać je jak należy, lecz nigdy mu się to nie udało, gwizdał je tak, jak zagwizdałby je każdy pojętny gil — przyswoił je sobie, ale nie zdołał przyswoić ich sobie poprawnie, opuszczał pół tonu co trzecią nutę, co mogło robić wrażenie, że był pod urokiem jakiegoś dawnego mistrza, którego wiedza muzyczna ograniczała się do znajomości gamy lidyjskiej i frygijskiej, lub wreszcie, że stosował się do jakiegoś wzoru, dzięki któremu fałszując zachowywał jednak melodię 'na tyle, że można ją było rozpoznać. Teobald stał przed kominkiem i cichutko gwizdał po swojemu raz jedną, raz drugą melodię, aż w końcu Ernest wyszedł z pokoju. Czuł, że kontrast między niezmienną rzeczywistością zewnętrzną a zmienioną rzeczywistością wewnętrzną za chwilę wytrąci go z równowagi.

Poszedł prosto w wilgotne zarośla, które' gęsto rosły za domem, i na pociechę zapalił fajkę; niebawem znalazł się przed drzwiami zagrody należącej do furmana, który służył u jego ojca.

Ów furman ożenił się z dawną pokojówką matki, do której Ernest był bardzo przywiązany, a ona także była mu bardzo oddana, bo знаła go od dziecka, kiedy miał jakieś pięć albo sześć lat. Na imię miała Zuzanna. Usiadł na bujającym fotelu koło kominka, Zuzanna prasowała na stole przy oknie, a zapach rozgrzanej bielizny snuł się po kuchni.

Zuzanna była tak zależna od Krystyny, że trudno było od niej wymagać, żeby od razu zmieniła front i stanęła po stronie Ernesta. Zdawał sobie z tego sprawę i idąc do niej nie liczył na jej poparcie ani w sensie moralnym, ani żadnym innym. Odwiedził ją, ponieważ szczerze ją lubił, a także dlatego, bo wiedział, że pogawędka z Zuzanną jest najlepszym ze znanych mu sposobów zebrania materiału, na którego podstawie mógłby wyjaśnić sobie pewne sprawy.

— Ach, paniczu — odezwała się Zuzanna — dlaczego panicz Ernest nie posłuchał tatusia i mamusi, kiedy chcieli, żebyś do nich wrócił? Mogę poświadczyć, że mamusia panicza nie raz, a setki razy powtarzała mi, że wszystko byłoby dokładnie tak samo jak dawniej.

Ernest uśmiechnął się do siebie. Wyjaśnienie Zuzannie dlaczego się uśmiechnął, nie miałooby sensu, więc milczał.

— Z początku przez parę dni myślałam, że mamusia panicza już nigdy nie da sobie z tym rady. Mówiła, że to kara za jej grzechy, i rozprawiała o takich rzeczach, które powiedziała i zrobiła bardzo dawno temu, kiedy tatuś jeszcze jej nie znał, i tyle różności mi naopowiadała, i byłaby jeszcze dużo więcej mi powiedziała, gdybym jej nie powstrzymała. Wyglądało na to, że całkiem pomieszało się jej w głowie, i narzekała, że wszyscy sąsiedzi odwrócą się od niej, ale następnego dnia pani Bushby (to ta, która z domu, jak panicz wie, nazywa się Cowey) przyjechała z wizytą, a mamusia zawsze bardzo ją lubiła, więc wyszło jej to na dobre, bo następnego dnia przejrzała wszyscyutkie suknie i uradziłyśmy, jak ma je przerobić. Potem zaczęły przyjeżdżać sąsiedzi z całej okolicy jak długa i szeroka i mamusia przyszła do mnie, i

powiedziała, że szła przez wody nieszczęścia, ale Pan zlitował się nad nią i przemienił je w źródło łaski.

„Tak, moja droga — powiedziała — pamiętaj, że tak jest. Albowiem kogo Pan miłuje, tego karze — i znowu zaczęła płakać. — A co do niego — ciągnęła — jak sobie posłał, tak musi się wyspać. Kiedy wypuszczą go z więzienia, będzie w tym głowa ojca, co należy zrobić”, a panicz Ernest powinien Panu Bogu dziękować, że ma tak dobrego i tak cierpliwego tatusia.

A potem, kiedy panicz nie chciał się z nimi zobaczyć, aż strach pomyśleć, jak mamusia okrutnie cierpiała z tego powodu; tatuś milczał jak kamień, ale panicz wie, że tatuś nie jest bardzo rozmowny, chyba że coś czasem go ukąsi i wpadnie w zły humor. Mamusia panicza przez kilka dni była okropnie zdenerwowana, a pan, 'nigdy go takiego jeszcze nie widziałam, był ponury jak noc, ale chwala Bogu, po kilku dniach wszystko minęło i od tego czasu, jak mi się wydaje, żyli wcale zgownie nie dając sobie powodu do zmartwienia aż do chwili, kiedy mamusia panicza zachorowała.

W dniu przyjazdu Ernest zachowywał się przykładnie na wieczornym pacierzu rodzinnym, a następnego dnia rano także nienagannie. Ojciec czytał właśnie o ostatnich wskazówkach, jakie, umierający Dawid dał Salomonowi w sprawię Semei, syna Gera, lecz Ernest wcale się tym nie przejął. W ciągu dnia jednakże tyle razy urażono go w obolałe nagniotki, że wpadł w ponury nastrój, a był to akurat drugi wieczór po przyjeździe do rodzinnego domu. Klęczał obok Karoliny i klepał biblijne pasusy automatycznie, nie na tyle automatycznie, żeby dać jej niezbity dowód swych bezbożnych intencji, ale bądź co bądź bezmyślność, z jaką je rycytował, posunął do tego stopnia, żeby postawić ją w kropce, czy działał, czy nie działał złośliwie, a kiedy przyszło do modlitwy, żeby dane mu było stać się prawdziwie uczciwym i posłusznym swemu sumieniu, zaakcentował „prawdziwie”. Nie mam pojęcia, czy Karolina cokolwiek spostrzegła, ale od tego czasu klęczała w pewnej odległości od niego. Ernest zapewniał mnie, że była to jedyna złośliwość, na jaką sobie pozwolił w czasie swego pobytu w Battersby.

Kiedy poszedł do swego pokoju na piętrze, w którym zapalili mu ogień na kominku, co lojalnie zapisuję na ich dobro, spostrzegł nad swym łóżkiem — zresztą spostrzegł to natychmiast, kiedy w dniu przyjazdu zaprowadzono go do tego pokoju — oprawną w ramki, oszkloną laurkę z napisem: „Choć dzień Ci się dłuży lub wlecze, modlitwy wieczornej doczekasz się przecież.” Zadumał się nad tym, co mogło skłonić bądź co bądź tego pokroju ludzi do powieszenia tak nieprawdopodobnej laurki w pokoju, w którym ich goście spędzają godziny wieczorne, ale wkrótce przestał zaprzętać sobie tyra głowę.

— Wprawdzie między „dłużyć się” i „wlec się” nie ma dostatecznej różnicy, żeby usprawiedliwić „lub” — powiedział głośno — lecz w gruncie rzeczy nie mam nic przeciwko temu.

Domyślam się, że Krystyna kupiła tę laurkę na jakimś festynie zorganizowanym w celu zebrania funduszków na odnowienie kościoła w sąsiedniej miejscowości, a skoro ją kupiła, nie sposób było wyrzucić ją na śmietnik — zresztą myśl jest wzruszająca, a ornament, zaiste, śliczny. W każdym razie zostawiając ją w pokoju Ernesta, zadrwiono sobie z niego w sposób najbardziej złośliwy, choć z całą pewnością efekt nie był z góry ukartowany.

Trzeciego dnia po przyjeździe Ernesta Krystynie znów się pogorszyło. Ostatnie dwa dni minęły spokojnie, bóle ustąpiły i dużo spała. Obecność syna nadal zdawała się pokrzepiać ją na duchu i często dziękowała Bogu, że dane jej jest przed śmiercią mieć wokół siebie rodzinę tak szczęśliwą, tak bogobojną i tak do siebie przywiązaną. Potem zaczęła majaczyć, a im wyraźniej zdawała sobie sprawę ze zbliżającej się śmierci, tym bardziej, jak się wydawało, przerażała ją myśl o sądzie ostatecznym.

Kilka razy próbowała skierować rozmowę na temat grzechów, które ciążyą na jej sumieniu, i zaklinała Teobalda na wszystko, żeby dał jej jakąś rękojmię, że zostały jej przebaczone. Posunęła się nawet do aluzji, że, jej zdaniem, jest to sprawa jego zawodowego honoru. To byłoby wręcz ubliżające, żeby nie potrafił dla własnej żony postarać się co najmniej o wstęp do nieba. Na tym punkcie Teobald był szczególnie wrażliwy. Zmarszczył się i odpowiedział - z niecierpliwym ruchem głowy:

— Ależ, Krystyno, zostały ci przebaczone — a potem stanowczo, lecz godnie odgrodził się szańcem Ojciec Nasz. Następnie wstał i wyszedł z pokoju, ale zaraz zawołał Ernesta i zakomunikował mu, że byłoby, jego zdaniem, lepiej, żeby się to dłużej nie przeciągało.

Józio podobnie jak Teobald również nie posiadał żadnych kwalifikacji do uśmierzenia obaw matki — prawdę mówiąc, był to rozcieńczony wodą Teobald. W końcu Ernest, który nie miał ochoty czynnie wkraczać do akcji, wziął sprawę w swoje ręce, usiadł przy niej i pozwolił jej wypłakać wszystkie strapienia bez przeszkód i bez zachęty z jego strony.

Zdaje sobie sprawę — powiedziała mu zaraz na wstępie — że nie poświęciła wszystkiego dla Chrystusa Pana, a to okropnie ciąży jej na sumieniu. Poświęciła wiele i z roku na rok starała się ofiarować mu coraz więcej, ale dobrze wie, że nie była tak nieskazitelnie czysta duchowo, jak być powinna. Gdyby było inaczej, dostąpiłaby przecież łaski jakiejś cudownej wizji lub usłyszałaby na własne uszy głos istoty niebiańskiej zwiastującej jej świętą nowinę. Przecież u jej własnego dziecka bywali z bożego rozkazu anielscy goście, autentyczni i widzialni, a u niej żaden z nich nigdy się nie zjawił — a nawet Teobaldowi też nigdy się nie pokazał.

Mówiła to raczej do siebie niż do niego, ale Ernest słysząc ostatnie jej słowa nastawił uszu. Chciał wiedzieć, czy anioł objawił się Józiovi, czy Karolinie. Kiedy poprosił o wyjaśnienie tej kwestii, na twarzy matki odmalowało się coś w rodzaju zdziwienia, jak gdyby spodziewała się, że ta sprawa znana mu jest ze wszystkimi szczegółami. Potem przez chwilę milczała, jak gdyby coś sobie przypominając, i wreszcie odezwała się:

— Ach tak, nic o tym nie wiesz, to pewno i lepiej. — Ernest nie mógł, naturalnie, dalek nalegać, więc nigdy już nie dowiedział się, kto z jego najbliższych krewnych utrzymywał bezpośrednie kontakty z jakąś istotą nieśmiertelną. Inni członkowie jego rodziny nigdy nawet słówkiem nie wspominali do niego na ten temat, ale czy wstydzili się, czy obawiali się, że nie da wiary ich opowiadaniu, czym naraził się na jeszcze sroższe kary w piekle — tego nie zdołał wymiarkować.

Od tego czasu często o tym myślał. Próbował dotrzeć do faktów, biorąc na spytki Zuzannę, która na pewno знаła sprawę na wylot, ale Karolina go wyprzedziła.

— Nie powiem, paniczu — powiedziała Zuzanna, kiedy zaczął ją wypytywać — mamusia przysłała do mnie Karolinę, żebym paniczowi nic o tym nie mówiła, więc za nic w świecie ani słówka nie powiem. — Dalsze pytania były więc bezcelowe. Kilka razy przychodziło Ernestowi do głowy, że Karolina w istocie rzeczy jest takim samym niedowiarkiem jak on, a to zdarzenie jeszcze bardziej utwierdziło jego domysły, ale ogarnęły go wątpliwości, kiedy przypomniał sobie, że list o modły kongregacji na intencję matki wysłała pod fałszywym adresem. „Wydaje mi się — powiedział do siebie ponuro — że ona mimo wszystko wierzy.”

Potem Krystyna, powracając do przerwanej wątku, zaczęła znowu robić sobie wyrzuty, że nie zdołała osiągnąć religijnej doskonałości, a nawet zaczęła rozwodzić się, rozdrapując stare zmartwienie, że jadła czasem czarne puddingi — zapewne, wyrzekła się ich już dawno temu, ale przez tyle lat jadła je bez skrępowań, zanim ogarnęły ją wątpliwości, czy spożywanie tej potrawy nie jest przypadkiem zakazane! A jest jeszcze coś, co ciąży jej na sumieniu, a to zdarzyło się, zanim wyszła za męża i chciałyby.... Ernest przerwał jej.

— Kochana mamó — powiedział — jesteś chora i twój umysł jest osłabiony. Nie

potrafisz teraz siebie osądzić, zostaw tę sprawę tym, którzy lepiej to zrobią od ciebie. Zapewniam cię solennie, mamusiu, że w moich oczach byłeś zawsze wzorem matki i żony, tak pełnej poświęcenia i bezgranicznego samozaparcia, że drugiej takiej na pewno nie znajdzie się na całym świecie. Nawet jeżeli w dosłownym znaczeniu nie poświęciłaś wszystkiego dla Chrystusa, praktycznie zrobiłaś tyle, na ile cię było stać, a niczego więcej od nikogo nie można wymagać. Wierzę, że nie tylko będziesz świętą, ale że w hierarchii świętych zajmiesz wysokie miejsce.

Na te słowa wypogodziła się twarz Krystyny.

— Mogę więc mieć nadzieję, tak uważasz, mogę więc mieć nadzieję — płakała i osuszała splakane oczy. Musiał powtarzać raz za razem, że jest o tym święcie przekonany. Nie zależało jej teraz wcale, żeby zostać znakomitością wśród świętych. Byłaby zupełnie zadowolona, gdyby mogła być pewna, że zaliczona zostanie do najpospolitszej kategorii wybranych, którzy mają szansę dostać się do nieba i uniknąć dzięki temu „tego” okropnego piekła. Strach przed piekłem przenikał ją na wskroś, nie opuszczał jej ani na chwilę i oparł się wszelkim argumentom, na jakie stać było jej syna. Muszę jednak wyznać, że okazała się dość niewdzięczna, ponieważ nie zważając na to, że Ernest przez przeszło godzinę pocieszał ją ze wszystkich sił, pomodliła się w końcu na jego intencję, żeby błogosławieństwo Boże *we* wszystkim towarzyszyło mu na tej ziemi, albowiem nękała ją obawa, że Ernest jest jedynym jej dzieckiem, z którym nigdy nie zobaczy się w niebie. Należy jednak dodać, że wtedy już majaczyła i prawdopodobnie nie zdawała sobie sprawy z jego obecności. Nie ulega kwestii, że jej umysł cofnął się wtecz i miał teraz do dyspozycji tylko ten zasób wyobrażeń, którymi posługiwał się, zanim zachorowała.

Rozumie się samo przez się, że w niedzielę Ernest poszedł do kościoła. Tam miał sposobność zauważyć, że ruch ewangeliczny, którego wpływ konsekwentnie się zmniejszał, jeszcze bardziej stracił na znaczeniu, nawet w porównaniu z tym, co widział kilka lat temu, kiedy ostatni raz był w Battersby. Ojciec Ernesta, idąc do kościoła, szedł przez ogród plebanii, a potem przez poletko, które leżało między ogrodem a kościołem. Zwykł był iść w cylindrze, w swej uniwersyteckiej todze, z befkami na kalwińską modłę. Ernest zauważył, że kalwińskie befki znikły, i, o dziwo! Teobald wygłaszał kazanie w komży, a nie w todze. Charakter nabożeństwa uległ całkowitej zmianie. Zapewne, trudno byłoby uznać, że jest to już skrajny konformizm, bo adherentem „wysokiego” kościoła Teobald nie zostałby pod żadnym pozorem, ale w każdym razie bez trosk partactwa, jeżeli wolno mi się tak wyrazić, tak charakterystyczne dla dawnego obrządku, przypadło na zawsze. Orkiestra, która kiedyś wtórowała śpiewom kongregacji, przestała brać udział w obrządkach kościelnych jeszcze za, czasów, kiedy Ernest był małym chłopcem, a należy pamiętać, że po wprowadzeniu fisharmonii przez kilka lat w kościele w ogóle nie śpiewano. Kiedy Ernest mieszkał w Cambridge, Karolina i Krystyna wymogły na Teobaldzie zezwolenie na śpiewanie w kościele niektórych hymnów. Melodie tych pieśni były staroświeckie, dwuwersetowe, takich kompozytorów, jak lord Mornigton, dr Dupuis i inni. Teobald tego nie lubił, jednak sam śpiewał, względnie pozwalał, żeby inni śpiewali.

Po jakimś czasie Krystyna powiedziała:

— Wiesz, mój drogi, tak sobie naprawdę myślę (Krystyna zawsze „naprawdę” myślała), że ludzie bardzo lubią śpiewać i że byłby to dobry sposób na odzyskanie dla kościoła wielu takich, którzy od niego stronią. Nie dalej jak wczoraj powiedziałam o tym pani Goodhew i starszuce pannie Wright, a one całkowicie ze mną się zgodziły; co więcej, powszechnie mówi się, że antyfonę *Chwała bądź Bogu* po każdym psalmie powinniśmy także śpiewać.

Teobald zasepił się — zdawał sobie sprawę, że powódź śpiewów kościelnych przybiera stopniowo na sile, ale jednocześnie czuł, choć nie wiedział dlaczego, że lepiej jej ulec niż z nią walczyć. A więc zarządził, żeby w przyszłości wierni intonowali *Chwała bądź Bogu*, lecz bardzo tego nie lubił.

— Naprawdę, mamusiu — orzekła Karolina po odniesionym zwycięstwie — nie powinno się mówić „Chwała bądź Bogu”, należy mówić „Gloria”.

— Masz rację, kochana — odpowiedziała Krystyna i od tego czasu już zawsze mówiła „Gloria”. Potem pomyślała sobie, że Karolinka jest niezwykle zdolną panną i że taka panna powinna wyjść za mąż co najmniej za biskupa. Wkrótce tak się złożyło, że Teobald, wyjeżdżając pewnego lata na niezwykle długi, jak na niego, wypoczynek, nie mógł znaleźć na zastępstwo nikogo poza pewnym pastorem, skłaniającym się wyraźnie do „wysokiego” kościoła. Ów jegomość miał znaczne wpływy w okolicy i spory majątek osobisty, ale nie miał zapewnionej sukcesji. W lecie często pomagał swym braciom-pastorom i nie ulegało najmniejszej wątpliwości, że chętnie zgodzi się zastąpić Teobalda przez kilka niedziel, żeby umożliwić mu wyjazd z Battersby na stosunkowo tak długi okres. Po powrocie Teobald stwierdził, że nie tylko „Gloria” po psalmie, ale całe psalmy są śpiewane. Zaledwie Teobald wrócił do Battersby, cała trójka — wpływowy ksiądz, Krystyna i Karolinka — postawiła wszystko na jedną kartę i skwitowała całą sprawę wybuchem śmiechu. Ksiądz śmiał się i wymądrzał bezczelnie, Krystyna śmiała się i łagodziła, Karolina wypowiadała opinie nieodparcie prawdziwe, a tymczasem klamka zapadła i nie było odwrotu, a zresztą nie warto było przejmować się taką drobnostką. Skończyło się na tym, że od tego czasu psalmy śpiewano, ale Teobald trwożył się w swym sercu i bardzo tego nie lubił.

A do czego posunęły się pani Goodhew i staruszka panna Wright w czasie urlopu Teobalda? Powtarzając słowa „Wyznania” zaczęły zwracać się twarzą w kierunku wschodnim. Teobald odnosił się do tego z jeszcze większą niechęcią niż do śpiewów kościelnych. Kiedy przy niedzielnym obiedzie dość nieśmiało powiedział coś na ten temat, Karolina odezwała się:

— Naprawdę tatusiu, należy mówić „Credo”, a nie „Wyznanie”.

Teobald skrzywił się niecierpliwie i wykrztusił z siebie pokorny protest. Karolina była jednak z usposobienia tak bardzo podobna do swych ciotek, Janki i Elizy, a sprawa była tak drobna, że nie warto było się sprzeczać, więc zbył ją śmiechem. „Ach, ta Karolina — pomyślała sobie Krystyna — zna się na wszystkim.” A więc pani Goodhew i staruszka, panna Wright nadal zwracały swój wzrok na wschód w czasie odmawiania Credo, a potem za ich przykładem poszli inni, a z czasem i ta garstka, która dotąd się temu opierała, uległa i także zaczęła zwracać się twarzą na wschód. W końcu Teobald poszedł w ich ślady, jak gdyby od samego początku uważał tę praktykę za słuszną i właściwą, ale tego nie lubił. Po jakimś czasie Karolina usiłowała go namówić, żeby mówił „Alleluja” zamiast „Halleluja”, ale tego było już za dużo i w Teobaldzie aż zadygotało wszystko z oburzenia, więc przestraszyła się i uciekła.

A potem zmienili stare anglikańskie śpiewy z dwuwersetowych na jednowersetowe i systematycznie przenieśli psalm po psalmie, a w samym ich środku, w tych fragmentach, które w oczach niezbyt uważnego czytelnika były tak poprawne, że nie widział żadnych powodów do ich modyfikacji, tonację majorową pozmieniali na minorową, a minorową na majorową. Ograbili go, jak już wspomniałem, z ulubionych befek, zmusili do wygłaszania kazań w komży, a w końcu musiał przystać na udzielanie komunii świętej raz w tygodniu, a nie jak dotychczas tylko pięć razy w roku. Nadaremnie zmagął się z niewidzialnymi siłami, które zarówno w sprawach ważkich, jak i nieważkich konsekwentnie podważały to wszystko, co zawsze, jak pamięcią sięgał wstecz, uważał za istotę poglądów tego odłamu kleru, którego był stronnikiem. Skąd się to wzięło i co to było, nie wiedział, a także nie zdawał sobie sprawy, co go jeszcze czeka w najbliższej przyszłości, ale był nie- zbicie przekonany, że straci grunt pod nogami, jeżeli nadal będzie szedł tą drogą. Wiedział, że to było zbyt nieustępliwe jak na jego siły, że Krystyna i Karolina sprzyjały temu znacznie bardziej od niego oraz że koniec końców ta droga zaprowadzi go do Rzymu. Dekorować kościół na święta wielkanocne, niesłychane rzeczy! Na

Boże Narodzenie — zgoda — to było całkiem właściwe, ale ozdabiać na Wielkanoc! Doprawdy, to jedno może człowiekowi zepsuć całe życie.

Oto co działo się w łonie Kościoła anglikańskiego w ciągu ostatnich czterdziestu lat. Wszystko zmierzało konsekwentnie w jednym kierunku. Garstka ludzi świadomych swego celu wyciągała pieczone kasztany z ognia rękami Krystyn i Karolin; Krystyny i Karoliny wyciągały pieczone kasztany z ognia rękami pań Goodhew i staruszek panien Wright; panie Goodhew i staruszki panny Wright pouczyły panów

Goodhew i młode panny Wright, jak mają postępować, a kiedy młode panny Wright i panowie Goodhew zastosowali się do tego posłusznie, potomstwo państwa Goodhew i cała reszta bogobojnej trzódki poszła za ich przykładem, a Teobald nie liczył się. Przeprowadzano to wszędzie w identyczny sposób — krok za krokiem, dzień za dniem, rok za rokiem, parafia za parafią, diecezja za diecezją. A mimo to Kościół anglikański krzywo patrzy na teorię ewolucji, czyli teorię o stopniowym powstawaniu odmian rodzajowych.

Mój bohater zastanawiał się nad tymi sprawami. Zapamiętał sobie niejedną ripostę, przebiegle obmyślany przez Krystynę, i niejedną szczegół walki, której, nie chcąc przerywać wątku opowiadania, nie będę opisywać, i dobrze pamiętał ulubioną ripostę

Teobalda, że to wszystko prowadzi do Rzymu. Ernest wierzył w to dawniej, kiedy był jeszcze chłopcem, lecz obecnie uśmiechał się do siebie, ponieważ na serio liczył się z możliwością, całkiem oczywistą w jego mniemaniu, ale tak przerażającą, że Teobaldowi po prostu nigdy nie przyszła do głowy — mam na myśli tę ewentualność, że cały ów system runie w gruzy. W owym czasie pielęgnował nadzieję, że Kościół, który znalazł się w kolizji z rozumem i rzeczywistością, nie uchroni się przed katastrofą. Dziś ma całkiem inny pogląd na tę sprawę. Nie chce przez to powiedzieć, żeby bardziej niż kiedykolwiek lub bardziej niż dziewięć dziesiątych naszych pastorów — którzy tak samo jak on doskonale wiedzą, że zewnętrzne i widzialne symbole ich religii są dziwacznym przeżytkiem — wierzył w możliwość, że krowa zdoła przeskoczyć księżyc. Stwierdzam jedynie, że obecnie zdaje sobie sprawę, jak beznadziejnie skomplikowany staje się problem Kościoła, kiedy przychodzi do decyzji, co należy zrobić. Teraz, kiedy miał możliwość z bliska przyrzeć się owym wilkom w owczej skórze, które, pożądliwie łaknąc krwi swej ofiary, z góry hałaśliwie triumfują, że wkrótce wpadnie im w łapy, teraz lepiej rozumie ich zwyczaję. Duch, który ożywia Kościół, jest prawdziwy, lecz jego litera — niegdyś prawdziwa — przestała być prawdziwa. Duch, który ożywia wielkich kapłanów nauki, kłamie i kłamie jej litera. Teobaldowie, którym się wydaje, że ich obecna linia postępowania jest właściwa, ale którzy w głębi serca odnoszą się do swych uczynków z niechęcią i bez wiary, stanowią w rzeczywistości kategorię ludzi najmniej niebezpiecznych dla pokoju świata i wolności ludzi. Bać się trzeba człowieka, który pewny siebie jak kogut, podchodzi do rzeczy z wulgarnym tupetem i zarozumiałstwem. Twierdzenie, że kler angielski grzeszy tymi przyzwyczajeniami, byłoby niesprawiedliwe.

Po nabożeństwie wielu farmerów podeszło do Ernesta i wymieniło z nim uścisk dłoni. Stwierdził, że wszyscy co do jednego wiedzą o majątku, który odziedziczył po ciotce. Teobald powiedział o tym kilku osobom, znanym z długiego języka, i wiadomość bardzo szybko obiegła całe miasteczko. „To — powiedział sobie — ogromnie upraszcza całą sprawę.” Ernest był uprzejmy dla pani Goodhew ze względu na osobę jej męża, lecz pannę Wright zbył cierpko, ponieważ wiedział, że to Karolina w innej postaci.

Tydzień dłużył się, lecz w końcu minął. Dwa albo trzy razy rodzina, zebrana w komplecie wokół łoża konającej Krystyny, przystąpiła do komunii. Z dnia na dzień coraz bardziej rzucało się w oczy, że Teobald nie może doczekać się końca, ale na szczęście Krystyna (która będąc zdrowa także przyknełaby na to oczy) traciła siły, a jednocześnie jej umysł pracował coraz

bardziej chaotycznie, więc niemal wcale, a może nawet w ogóle tego nie widziała. Mniej więcej w drugim tygodniu pobytu Ernesta w domu Krystyna popadła w stan na wpół letargicznego snu, aż wreszcie po kilku dniach odeszła z tego świata tak spokojnie, że śmierć jej przywodziła na myśl zespolenie wody i powietrza pośrodku oceanu, kiedy wszystko jest spowite w delikatną mgiełkę i nie wiadomo, gdzie kończy się ziemia, a gdzie zaczynają niebiosy. Rozstanie się na wieki z realiami życia kosztowało ją na pewno mniej bólu niż niejedno ocknięcie ze złudzeń.

— Była pociechą i ostoją mego życia przez przeszło trzydzieści lat — powiedział Teobald, kiedy już było po wszystkim — ale nie wolno było pragnąć, żeby to się dłużej przeciągało — i schował twarz w chustce do nosa chcąc ukryć brak wzruszenia.

Następnego dnia po śmierci matki Ernest udał się do miasta i wrócił razem ze mną na pogrzeb. Chciał doprowadzić do mego spotkania z Teobaldem, ażeby nie dopuścić do jakichkolwiek fałszywych domysłów na temat intencji panny Pontifex, a zważywszy długoletnią przyjaźń, jaka łączyła mnie z ich rodziną, moja obecność nie mogła nikogo dziwić. Mimo wad Krystyny zawsze czułem dla niej dużo sympatii. Posiekałaby Ernesta, jak zresztą każdego człowieka, na drobne kawałki, gdyby dzięki temu mogła spełnić choćby najbliższe życzenie swego męża, lecz nie posiekałaby go dla nikogo innego i bardzo go kochała, dopóki był jej we wszystkim powolny. Z natury była zrównoważona, bardziej skora do uśmiechu niż do gniewu, zawsze gotowa do dobrego uczynku, o ile nie kosztował jej zbyt wielkiego wysiłku i nie powodował żadnych konsekwencji dla kieszeni Teobalda. Do swych skromnych, osobistych fundusików nigdy nie przywiązywała żadnej wagi. Dosłownie każdy mógł z nich wziąć sobie tyle, ile można było wysupłać po skrupulatnym odłożeniu przez nią na bok niezbędnej kwoty na pokrycie absolutnie najkonieczniejszych wydatków związanych z jej garderobą. Słuchając opowiadania Ernesta o ostatnich jej chwilach byłem tak głęboko poruszony, że wątpię, czy jej własny syn mógł bardziej to przeżyć. Z miejsca więc zgodziłem się pojechać na pogrzeb. Nie jest wykluczone, że na moją decyzję wpłynęła również chęć zobaczenia Józia i Karolinki, którzy, jak wynikało z relacji mego chrześniaka, byli tego warci.

Teobald, jak miałem możność przekonać się naocznie, wyglądał znakomicie. Wszyscy wokół mówili, że tak pięknie znosi swą boleść. Zaiste, kilka razy potrząsnął głową i powiedział, że żona była pociechą i ostoją jego życia przez przeszło trzydzieści lat, lecz na tym się skończyło. Zostałem w Battersby cały następny dzień, a była to niedziela, i wyjechałem następnego ranka, powiedziawszy Teobaldowi wszystko, co, zgodnie z życzeniem jego syna, miałem mu powiedzieć. Teobald zwrócił się do ranie, żebym mu pomógł wybrać epitafium dla Krystyny.

— Chciałbym powiedzieć — rzekł — możliwie najmniej. Pochwały, na które ludzie sadzą się wobec zmarłych, są przeważnie zbędne i nieprawdziwe. Epitafium Krystyny musi być wolne zarówno od pierwszego, jak i od drugiego błędu. Podam jej nazwisko, daty urodzenia i śmierci, oczywiście to, że była moją żoną, a potem zakończę prostym tekstem: na przykład słowami, które tak bardzo lubiła: „Błogosławieni czystego serca, albowiem oni Boga oglądają.” Zdaje się, że trudno znaleźć coś bardziej stosownego.

Orzekłem, że jest to bardzo ładne, i na tym stanęło. Potem Ernesta wysłano z zamówieniem do pana Prossera, kamieniarza w najbliższym mieście, który powiedział, że werset pochodzi z „Błogosławieństw”.

ROZDZIAŁ LXXXIV

W drodze powrotnej Ernest zaczął rozmowę na temat swych planów na kilka najbliższych lat. Osobiście pragnąłem, żeby spróbował znowu nawiązać stosunki towarzyskie, on jednak bez namysłu odrzucił moją sugestię, uznając ją za ostatnią rzecz, na którą ma ochotę. Do stosunków towarzyskich, z wyjątkiem oczywiście kilku najbliższych przyjaciół, czuł nieprzewyciężony wstręt.

— Zawsze nienawidziłem tych ludzi — powiedział — a oni też mnie nienawidzili i zawsze będą mnie nienawidzić. Jestem jak Ismael, tak każe mi mój instynkt i tak złożyły się okoliczności. Jeżeli jednak będę się trzymać z daleka od ludzi, nie będzie mnie można tak łatwo zranić jak innych Ismaelów. W momencie, w którym człowiek staje się istotą towarzyską, ze wszystkich stron jest narażony na rany.

Zmartwiłem się słysząc, w jaki sposób ujmuje tę sprawę, albowiem człowiek samotny, nawet najsilniejszy, nie potrafi swej siły w pełni wykorzystać, jeżeli nie sprzymierzy się z innymi ludźmi. Powiedziałem mu o tym.

— Nie zależy mi wcale na tym — odpowiedział — żebym wykorzystał swą siłę w całej pełni. Zresztą nie mam pojęcia, czy jestem silny, czy słaby, jeżeli jednak mam w sobie jakąś siłę, to zaryzykuję twierdzenie, że sam znajdę jakiś sposób, żeby ją wykorzystać. Będę żyć według własnego gustu, a nie według gustu moich bliźnich. Dzięki mej ciotce i dzięki panu stać mnie na luksus cichego, skromnego dogadzania sobie — powiedział ze śmiechem — i tak mam zamiar żyć. Wiadomo panu, że lubię pisać — dodał po kilku minutach milczenia — gryzmołę od lat. Jeżeli mam czymś zwrócić na siebie uwagę, to tylko tym, co napiszę.

Już dawno doszedłem do tego samego wniosku.

— Tak — ciągnął — jest tyle rzeczy, które trzeba powiedzieć, lecz nikt nie waży się o nich mówić; jest mnóstwo kłamstw, które trzeba atakować, a przecież nikt ich nie atakuje. Wydaje mi się, że potrafię mówić o takich sprawach, o których nikt w Anglii oprócz mnie nie ośmieli się pisać ani słówka, choć domagają się tego wniebogłosy.

— Ale któż cię będzie słuchać? — odparłem. — Jeżeli zabierzesz się do kwestii, których nikt nie waży się dotykać, to czyż to nie sprowadza się do tego, że zaczniesz mówić na taki temat, o którym w tej chwili nie powinno się mówić? Czy zdajesz sobie sprawę, że będziesz jedynym człowiekiem, który tego nie wie?

— Prawdopodobnie — powiedział — lecz ja tego nie wiem. Jestem przepełniony tymi sprawami i moim przeznaczeniem jest o nich mówić.

Zdawałem sobie sprawę, że wszelkie próby wyperswadowania mu tego są daremne, więc uległem i zapytałem go, jakie zagadnienie kusi go tak nieodparcie, że pragnie na nim w pierwszej kolejności poparzyć sobie palce.

— Małżeństwo — padła szybko odpowiedź — i prawo człowieka do rozporządzania swym majątkiem po śmierci. Problem chrześcijaństwa jest, praktycznie biorąc, rozwiązany, a nawet jeżeli jest jeszcze nie rozwiązany, nie brak ludzi, którzy pilnie zajmują się jego rozwiązaniem. Małżeństwo i ustrój rodzinny społeczeństwa oto problem dnia.

— To — powiedziałem zgryźliwie — jest prawdziwe gniazdo os.

— Zgadza się — odparł niemniej zgryźliwie — a jednak tak się składa, że gniazda os darzą specjalną sympatią. Ale zanim wsadzę kij w wyżej wspomniane gniazdo, zamierzam przez kilka lat podróżować, a głównym celem mej podróży będzie ustalenie, które z obecnie istniejących na ziemi społeczności są najlepsze, najbardziej dorodne, najsympatyczniejsze oraz

które społeczeństwa w przeszłości wyróżniały się tymi przymiotami. Chcę dowiedzieć się, jak ci ludzie żyją, jak żyli i jakie są ich obyczaje.

Na razie mam dość mgliste wyobrażenie o tym zagadnieniu, ale z ogólnego poglądu, jaki sobie wyrobiłem, wynika, że nowożytni Włosi, starożytni Grecy i Rzymianie oraz wyspiarze z mórz południowych energią i wdziękiem górują nad wszystkimi znanymi narodami świata — nas pomijam w moich rozważaniach. Wydaje mi się, że te sympatyczne społeczeństwa bynajmniej nie hołdowały puryzmowi, ale chciałbym zobaczyć choćby te resztki, które można jeszcze znaleźć. Stanowią one autorytatywną, sprawdzoną w praktyce, odpowiedź na pytanie: „Co jest najlepsze dla człowieka?” Chciałbym bardzo tych ludzi zobaczyć i przekonać się, jak żyją. Naprzód trzeba ustalić stan faktyczny, a dopiero potem spierać się o tezy moralne.

— Jak widzę — powiedziałem śmiejąc się — pragniesz powrotu dawnych dobrych czasów.

— Ani lepszych, ani gorszych — brzmiała odpowiedź — chcę poznać ludzi, którzy okazali się najbardziej wartościowymi w historii świata. Ale zmieńmy temat. Sięgnął ręką do kieszeni i wyciągnął z niej list. — Ojciec dał mi dziś rano ten list, pieczęć była już złamana. — Podał mi go, a ja stwierdziłem, że jest to list, który Krystyna napisała przed urodzeniem ostatniego jej dziecka, a którego treść przytoczyłem w jednym z wcześniejszych rozdziałów.

— Czy ten list może zaważyć — zapytałem — na twoich planach na najbliższą przyszłość, o których przed chwilą mówiłeś?

Uśmiechnął się i odpowiedział:

— Nie. Jeżeli jednak trwa pan nadal przy zamiarze, o którym mi pan już wspominał, i pisze pan powieść o przygodach mojej niegodnej osoby, niech pan pod żadnym pozorem nie zapomni wykorzystać tego listu.

— Ależ dlaczego? — zapytałem, mając niewyraźne uczucie, że czegoś tak bardzo osobistego jak ów list nie należy wyciągać na widok publiczny.

— Dlatego że moja matka życzyłaby sobie, żeby go wydrukowano. Gdyby wiedziała, że pan o mnie pisze i że ten list znajduje się w pańskich rękach, ponad wszystko pragnęłaby, żeby pan go ogłosił. A więc, jeżeli istotnie pan pisze, proszę go wykorzystać.

Oto dlaczego tak postąpiłem.

W niespełna miesiąc Ernest urzeczywistnił swe zamiary i po załatwieniu wszystkiego, czego wymagało dobro jego dzieci, opuścił Anglię.

Od czasu do czasu otrzymywałem od niego wiadomości, z których dowiadywałem się, że odwiedził niemal wszystkie części świata, lecz zatrzymywał się na dłużej tylko tam, gdzie mieszkańcy swą urodą i miłym usposobieniem zrobili na nim wyjątkowe wrażenie.

Poinformował mnie, że zapisał niezliczoną ilość notesów, i na pewno tak było. Wreszcie wiosną 1867 roku wrócił, a jego bagaż był upstrzony mnóstwem nalepek hotelowych, które zebrał na trasie od Anglii do Japonii. Był bardzo opalony, wyglądał zdrowo, a wydawał mi się tak przystojny, że musiał chyba przywieźć sobie trochę urody od ludzi, wśród których mieszkał. Wprowadził się do swego dawnego mieszkania w Tempie i zadomowił się tak szybko, jak gdyby nie wyjeżdżał nigdzie nawet na jeden dzień.

Do spraw, które mieliśmy załatwić w pierwszej kolejności, należała wizyta u dzieci. Do Gravesend pojechaliśmy pociągiem, a stamtąd brzegiem rzeki poszliśmy kilka mil spacerem, aż dotarliśmy do samotnego domku poczciwych ludzi, u których Ernest je ulokował. Był śliczny kwietniowy ranek, od morza dał rzeński wiatr, przypływ był silny, więc na rzece zaroilo się od najprzeróżniejszych statków i stateczków płynących w górę z wiatrem i z przypływem. Mewy krążyły nad naszymi głowami, a wszędzie, gdzie okiem sięgnąć, morskie wodorosty lepiły się do odkrytych brzegów, których przypływ jeszcze nie zatopił. Wszystko dookoła było z morza i

akwamaryny, a rozkosznie orzeźwiający wiatr, który dał nad wodą, pobudził mój apetyt do tego stopnia, że dawno już nie czułem tak natarczywego głodu. Nie wyobrażałem sobie, żeby dzieci mogły się rozwijać w bardziej wymarzonych warunkach naturalnych, i pochwaliłem Ernesta za wybór tego miejsca dla swych malców.

Kiedy mieliśmy jeszcze jakieś ćwierć mili przed sobą, usłyszeliśmy krzyki i śmiechy dziecięce i z daleka zdołaliśmy dojrzeć sporą gromadkę chłopców i dziewcząt dokazujących i rozbrykanych w ogólnej gonitwie. Naszej dwójki nie zdołaliśmy na razie rozpoznać, ale kiedy podeszliśmy bliżej, nie mieliśmy już żadnych wątpliwości, albowiem wszystkie dzieci miały niebieskie oczy i jasne kręcone włosy, a tylko nasze były ciemne i włosy miały proste.

Napisaliśmy wprawdzie list z zawiadomieniem o naszej wizycie, ale prosiliśmy, żeby dzieciom o tym nie mówiono, więc interesowały się nami tak samo, jak interesowałyby się każdym obcym człowiekiem, spotkanym przypadkowo w tym odludnym zakątku, który odwiedzają tylko ludzie morza, a po nas widać było od razu, że z morzem nie mamy nic wspólnego. Zainteresowanie dzieciarni naszymi osobami wzrosło jednak znacznie, kiedy wyszło na jaw, że nasze kieszenie są wyładowane pomarańczami i słodyczami w ilości, która przekraczała granice ich malutkiej wyobraźni. Z początku mieliśmy duże trudności, zanim zdołaliśmy je nakłonić, żeby do nas podeszły. Były podobne do nieoswojonych żrebiąt, bardzo ciekawych, lecz bardzo nieufnych i odpornych na pochlebstwa. W sumie było ich dziewięcioro — pięciu chłopców i dwie dziewczynki państwa Rollings oraz dwójka Ernesta. W życiu nie widziałem tak udanych dzieci jak gromadka państwa Rollings — chłopcy byli silni, doskonale rozwinięci, odważni, o bystrych oczach jak u jastrzębi. Starsza dziewczynka zwracała uwagę niezwykłą urodą, a młodsza była jeszcze całkiem małym szkrabem. Przyglądając się tej gromadce doszedłem do wniosku, że gdybym był ojcem, nie pragnąłbym dla mych własnych dzieci ani lepszego domu rodzinnego, ani lepszego towarzystwa.

Dzieci Ernesta, Jurek i Alicja, czuły się tu jak w rodzinie, a do państwa Rollings mówiły „ciociu” i „wujku”. Kiedy przywieziono je do tego domu, były tak maleńkie, że przyjęto je jak niemowlęta, które dopiero co przyszły na świat i całkiem zwyczajnie powiększyły rodzinę. Nie wiedziały, że Ernest płaci tygodniowo za ich utrzymanie tak poważną sumę. Ernest zapytał wszystkich chłopców po kolei, czym chcie- liby zostać. Mieli tylko jedno sprecyzowane pragnienie: wszyscy co do jednego, a wśród nich i Jurek, chcieli zostać flisakami. Nawet młode kacząta nie czują tak nieodpartej tęsknoty za wodą, jaką przejawiały te dzieci.

— A jakie są twoje pragnienia, Alicjo? — zapytał Ernest.

— Ja — odparła — wyjdę za mąż za Janka — wskazała na chłopca — i będę żoną flisaka.

Janek, najstarszy z chłopców, w wieku mniej więcej dwunastu lat, świetnie zbudowany, był na pewno żywą kopią pana Rollings z okresu, kiedy ten miał tyle lat co jego syn. Patrząc na niego, jak stał przed nami prosty, rosły i ze wszech miar udany, zdołałem zauważyć, że Ernest doszedł do takiej samej konkluzji, do jakiej i ja doszedłem, a mianowicie, że trudno sobie wyobrazić, żeby jego córka mogła zrobić lepszy wybór.

— Chodź do mnie, Janku — powiedział Ernest — dostaniesz ode mnie szylinga. — Chłopak spaśował i mimo przynęty, którą wcześniej zarzuciliśmy, nie można było go do tego nakłonić. Dostał czasem od kogoś pensa, ale jeszcze nie zdarzyło się, żeby ktoś ofiarował mu całego szylinga. W końcu ojciec całkiem po prostu wziął chłopaka za ucho i przywłókł go do nas.

— Macie z Janka pociechę, prawda? — powiedział Ernest do pana Rollingsa. — Jestem pewien, że dobrze się sprawuje.

— To prawda — odparł Rollings — sprawuje się bardzo dobrze, tylko nie mogę go w żaden sposób zapędzić do nauki czytania i pisania. Nie lubi chodzić do szkoły, ale poza tym złego słowa na niego powiedzieć nie mogę. Nie wiem, na czym rzecz polega, ale moje dzieci, a

pańskie, proszę pana, nie są wcale lepsze, nie lubią uczyć się z książek, chociaż wszystko inne idzie im do głowy wcale szybko. Janek, proszę pana, radzi sobie z barką wcale nie gorzej ode mnie. — Mówiąc te słowa czule i łaskawie spoglądał na swego potomka.

— Wydaje mi się — rzekł Ernest do pana Rollingsa — że Janek dobrze zrobi, jeżeli w przyszłości zechce ożenić się z Alicją, a o barkę niech go głowa nie boli, będzie miał wtedy tyle barek, ile tylko zapagnie! Ale, panie Rollings, niechże mi pan powie, czy jest jakiś konkretny cel, na który pan potrzebuje pieniędzy, a jeżeli tak, to każda suma, którą można panu pomóc, jest do pańskiej dyspozycji.

Nie potrzebuję dodawać, że Ernest we wszystkim poszedł poczciwemu małżeństwu jak najbardziej na rękę. Postawił twardo tylko jeden warunek, a mianowicie, żeby przestali w przyszłości zajmować się szmuglem, i zastrzegł kategorycznie, że dzieciom nie wolno brać udziału w tym procederze. Dowiedział się bowiem od jednej z dziewczynek, że szmugiel na umiarkowaną skalę stanowi jedno ze źródeł, z którego państwo Rollings czerpią swe dochody. Pan Rollings przystał na to bez cienia żalu, i jestem pewny, że już od wielu lat straż przybrzeżna nie miała okazji do podejrzenia kogokolwiek z tej rodziny o popełnianie przestępstwa na szkodę skarbu państwa.

— Czy mam je stamtąd zabrać — rzekł do mnie Ernest, kiedy w drodze powrotnej siedzieliśmy w pociągu — i posłać do szkoły, gdzie nawet w połowie nie będzie im tak dobrze, jak jest im teraz, i gdzie ich nieślubne pochodzenie stanie się ich nieustanną udręką? Jurek chce zostać flisakiem, proszę bardzo, niech od tego zacznie, a im wcześniej, tym lepiej. W gruncie rzeczy jest całkiem obojętne, od czego zacznie, czy od tego, czy od czegoś innego. Jeżeli przekonam się, że zdradza jakieś tendencje rozwojowe, będę miał go na oku, żeby w porę je podsycić i wszystko mu ułatwić. Jeżeli jednak zechce, zatrzymać się w miejscu, to na cóż, pytam, zdadzą się wszelkie próby pchania go siłą naprzód?

Ernest, jak się zdaje, wygłosił następnie homilię na temat wychowania w ogóle i szczegółowo zajął się tezą, że dzieci powinny przejść przez wszystkie fazy rozwoju embrionalnego, zarówno pod względem budowy ich ciała, jak i pod względem ich sytuacji majątkowej, a więc zaczynać życie na znacznie niższym szczeblu społecznym niż ich rodzice. Z kolei dał wyraz wielu innym poglądom, które potem ogłosił drukiem, ale mnie lat przybywało i świeże powietrze tak mnie rozmarzyło, że zanim minęliśmy Greenhithe, zapadłem w pogrzipiający sen.

ROZDZIAŁ LXXXV

Ernest miał teraz trzydzieści dwa lata i po niemal trzyletnim okresie beztrudnej swobody osiadł w Londynie i zaczął systematycznie pisać. Do tej pory dał mnóstwo dowodów, które uzasadniały wiarę w jego talent, lecz niczego nie stworzył, a upłynęły jeszcze jakieś trzy, może cztery lata, zanim wystąpił publicznie.

Od ludzi, jak wspominałem, trzymał się z daleka, nie widując się niemal z nikim poza mną oraz. moimi przyjaciółmi, z którymi od wielu lat łączyły mnie zażyłe stosunki. Ernest i my tworzyliśmy małe dobrane kółko, ale poza tym mój chrześniak był niemal zupełnie nieznan.

Najwięcej kosztowały go podróże, których sobie nie żałował. Wyjeżdżał często, lecz na krótko. Choćby nie wiem jak sobie dogadzał, nie mógł wydać więcej niż tysiąc pięćset funtów rocznie. Resztę swego dochodu rozdawał, kiedy trafiła się jakaś sprawa godna poparcia, albo odkładał ją do czasu, aż się zdarzy sposobność, żeby wydać ją z korzyścią.

Wiedziałem, że pisze, lecz różnice zdań na tę sprawę doprowadziły między nami do wielu nieporozumień, więc na podstawie milczącej zgody rzadko poruszaliśmy ten temat w naszych rozmowach. Nic zatem nie wiedziałem, że zaczął ogłaszać swe prace drukiem, aż wreszcie pewnego dnia przyniósł mi jakąś książkę i oznajmił, że jest jej autorem. Spojrzałem do środka i przekonałem się, że jest to zbiór esejów, na wpół teologicznych, na wpół socjologicznych, napisanych, jak mogłoby wydawać się z pozoru, przez kilku, zdaje się, sześciu czy siedmiu autorów, i poświęconych krytycznej analizie podobnych zagadnień z różnych punktów widzenia.

Pamięć znakomitych *Essays and Reviews* była w społeczeństwie jeszcze bardzo żywa, a Ernest w nieczy sposób, przy pomocy kilku dyskretnych ogólników, nadał co najmniej dwu esejom pewien swoisty charakter, który pozwalał domyślać się, że napisała je osoba zasiadająca na biskupim stolcu. Wszystkie prace głosiły poparcie dla Kościoła anglikańskiego, a zawarte w nich aluzje oraz oczywisty cel, sprawiały nieodparte wrażenie, że wyszły spod pióra doświadczonych i wysoko postawionych osób, które, nie opuszczając łona Kościoła, postanowiły zmierzyć się z trudnymi problemami naszych czasów równie odważnie, jak to czynili wrogowie Kościoła zmagając się z tymi problemami z pozycji znajdujących się poza jego opłotkami.

Jeden ze szkiców był poświęcony obiektywnym świadectwom zmartwychwstania Chrystusa. Po nim następował esej, omawiający historyczne i aktualne systemy prawa małżeńskiego w społeczeństwach, które osiągnęły najwyższy stopień rozwoju. W innym znów autor zastanawiał się, które problemy należałoby na nowo sformułować i na nowo rozważyć obiektywnie w przypadku, gdyby Kościół anglikański stracił autorytet moralny w tych sprawach. Czwarty esej zajmował się tematem czysto socjologicznym, a mianowicie nędzą klasy średniej. W piątej rozprawce autor zajął się problemem autentyczności, a raczej nieautentyczności czwartej Ewangelii. W końcu wymienić należy esej pod tytułem *Racjonalizm irracjonalny*, a poza wyżej wymienionymi było ich tam jeszcze może dwa, a może trzy.

Napisane były z temperamentem i śmiało, manierą ludzi, którzy przywykli przemawiać *ex officio*. Wszystkie prace przyznawały, że wiele z tego, w co Kościół każe ludziom wierzyć, musi być odrzucone przez każdego człowieka, który we krwi ma zasadę, że materiał dowodowy należy zawsze poddać krytycznej ocenie. W ślad za tym jednak postawiono tezę, że w bardzo wielu przypadkach zespoliła się ze wspomnianymi błędami prawda tak wysokiej próby, że lepiej zostawić te błędy w spokoju. Przykładać zbyt wielką wagę do tych pomyłek znaczyłoby to samo, co negować królowej prawa do rządzenia na podstawie naiwnego argumentu, że Wilhelm Zdobywca był dzieckiem nieślubnym.

W jednym ze szkiców autor dowodził, że jakkolwiek wprowadzenie zmian do tekstu naszego modlitewnika jest niewskazane, to jednak stopniowe dokonanie poprawek w interpretacji poszczególnych słów jest bardzo wskazane. Na poparcie tego twierdzenia autor przytoczył argument, że ten sposób z powodzeniem zastosowano w dziedzinie prawa. Dzięki tej zasadzie prawo rozwija się i przystosowuje do zmiennej rzeczywistości, a we wszystkich epokach uznano bez zastrzeżeń, że jest to słuszną i właściwą metodą wprowadzania zmian w życie. Autor szkicu proponował, żeby Kościół zastosował tę zasadę do siebie.

Inny esej śmiało zaatakował pogląd, że Kościół wspiera się na rozumie. Autor udowodnił w nim niezbitnie, że ostatecznym fundamentem Kościoła jest i powinna być wiara, ponieważ w istocie rzeczy ostatecznym fundamentem ludzkich wierzeń nie może być nic innego. A w takim razie, zdaniem autora, Kościoła nie można obalić przy pomocy rozumu. Kościół założony został, jak zresztą wszystko na świecie, w oparciu o pewne aksjomaty, czyli w oparciu o wiarę, i jeżeli chce się go obalić, to należy go obalić przy pomocy wiary, wiary tych ludzi, którzy swym życiem udowodnili, że mają najwięcej wdzięku i wzbudzają najwięcej miłości oraz że ich pochodzenie jest najlepsze i najlepiej radzą sobie z trudnościami. Sekta, która zdoła udowodnić, że przewyższa wszystkie inne pod względem tych przymiotów, ma bezapelacyjne zwycięstwo w kieszeni, ale wtedy wszystkie jej rywalki będą musiały prędko wycofać się z pola. Chrystianizm okazał się prawdziwy w takim stopniu, w jakim jest kolebką piękna, a zawdzięczamy mu wiele piękna. Chrystianizm okazał się fałszywy w takim stopniu, w jakim jest kolebką brzydoty, a zawdzięczamy mu wiele brzydoty. Z tego wynika, że w znacznym stopniu jest prawdziwy i w znacznym stopniu fałszywy. W sumie jednak rezultaty mogły być daleko gorsze. Najlepszym sposobem wybrnięcia z tej sytuacji jest pogodzić się z koniecznością dalszego istnienia Kościoła, ale brać z niego to, co jest najlepsze, a nie to, co jest najgorsze. Autor wskazał na żelazną zasadę, że zaledwie jakiś przedmiot zaczyna budzić w nas namiętne uczucia, natychmiast stajemy się prześladowcami, więc powinniśmy wystrzegać się tego jak ognia. Nie należy przeto darzyć zbyt gorącym uczuciem nawet tak czcigodnej instytucji, jaką jest Kościół anglikański, instytucji, która jest autorowi najdroższa ze wszystkich na świecie. Powinniśmy być wyznawcami tego Kościoła, ale wyznawcami w pewnym sensie letnimi, tym bardziej dlatego, że, jak uczy obserwacja, ludzie, którzy przywiązują zbyt wielkie znaczenie do religii lub do ateizmu, przeważnie są prymitywni i niesympatyczni. Kościół anglikański powinien pójść w ślady Kościoła laodycejskiego, przynajmniej w takim stopniu, w jakim nie zagraża to jego istnieniu, a jego wierni powinni gorąco dążyć jedynie do tego, żeby ich wiara była jak najbardziej letnia.

Książka uderzała czytelnika zarówno śmiałością przekonań, jak i odwagą, z jaką była wyzuta ze wszelkich przekonań. Odnosiło się wrażenie, że została napisana przez ludzi, którzy potrafili lawirować między obrazoburstwem i bezkrytyczną wiarą oraz bez chwili wahania rozcinali każdy węzeł gordyjski, jeżeli z takich czy innych powodów było im to wygodne, nie cofając się przed żadnym wnioskiem w teorii ani przed brakiem logiki w praktyce pod warunkiem, że była to nielogiczność popełniona z premedytacją i w celu, który w ich przekonaniu dostatecznie ją uzasadniał. Wnioski były konserwatywne, beznamiętne, pokrzepiające. Przesłanki, z których zostały logicznie wyprowadzone, pochodziły z dzieł najbardziej postępowych pisarzy współczesnych. Wszystkie postulaty, o które ci pisarze walczyli, uznano za słuszne, jednak owoce zwycięstwa dostawały się przeważnie tym, którzy już je posiadali.

Ustęp, który, jak się zdaje, wywołał największe zainteresowanie, pochodzi z eseju na temat różnorodnych systemów prawa małżeńskiego na świecie. Oto jego treść:

„Gdybym na żądanie społeczeństwa miał zabrać się do budowy czegoś nowego — wołał autor — kamieniem węgielnym mego gmachu uczyniłbym zasadę dobrego pochodzenia,

rasowości człowieka. Chciałbym, żeby ta zasada była zawsze, świadomie lub nieświadomie, obecna w umysłach wszystkich ludzi, chciałbym, żeby stanowiła trzon ich wiary, według której powinni żyć, działać i istnieć, żeby była kamieniem probierczym wszechrzeczy, który pozwoli im rozpoznać, czy są dobre, czy złe, w zależności od tego, jak służą rozwójowi ludzkości.

Mężczyzna powinien pochodzić z dobrego gniazda i przekazywać potomstwu swe wysokie walory. Jego sylwetka, głowa, ręce, stopy, głos, maniery i ubranie powinny być tak przekonującym dowodem jego wysokiej klasy, że każdy, kto na niego spojrzy, powinien od razu rozpoznawać jego doskonale pochodzenie i nie mieć wątpliwości, że przekaże te cechy swemu potomstwu. Oto desiderandum. To samo odnosi się do kobiet. Największa ilość rasowych mężczyzn i kobiet, największe szczęście rasowych mężczyzn i kobiet to najwyższe dobro. Taki jest cel, do którego winny dążyć wszystkie rządy, wszystkie konwencje społeczne, cała sztuka, literatura i nauka. Błogosławieni mężczyźni i kobiety, którzy podświadomie nigdy nie tracą tego celu z oczu ani w czasie pracy, ani w czasie odpoczynku."

Śmiem twierdzić, że gdyby Ernest ogłosił swą pracę pod własnym nazwiskiem, płód wyszedłby spod prasy drukarskiej martwy, ale forma, którą wybrał, była dobrze obliczona na wywołanie w tym okresie dużego zainteresowania. W dodatku, jak wspomniałem, w sposób niegodziwy wtrącił kilka aluzji, na które w mniemaniu recenzentów mógł sobie pozwolić tylko biskup lub w każdym razie osobistość piastująca wysoką godność w hierarchii państwowej, bo nikt inny nie odważyłby się na takie zuchwalstwo. Mówiono, że jednym z autorów jest znany sędzia, i niebawem rozeszła się pogłoska, że sześciu czy siedmiu czołowych biskupów i sędziów sprzymierzyło swe umysły, żeby stworzyć dzieło, które od jednego zamachu zdystansuje *Essays and Reviews* i skutecznie przeciwstawi się wpływowi tego dzieła, które wówczas było jeszcze bardzo głośne.

Świat duchowy recenzentów jest zupełnie taki sam jak nasz, a więc hołdują oni zasadzie *omne ignotum pro magnifico* na równi ze wszystkimi śmiertelnikami. Książka była rzeczywiście napisana z talentem, pełna była humoru, celnej satyry i zdrowego sensu. Uderzała w nowy, nieznany ton, a najprzeróżniejsze domysły, które szerzyły się przez jakiś czas co do osoby autora, wzbudziły zainteresowanie wielu takich osób, które w normalnych okolicznościach nie wzięłyby jej do ręki. Jeden z najbardziej egzaltowanych tygodników doznał wstrząsu z jej powodu i ogłosił, że jest to najznakomitsze dzieło od czasu *Prowincjonek* Pascala. Mniej więcej raz na miesiąc wspomniany tygodnik odkrywał jakiś obraz, który, jego zdaniem, był najlepszy od czasu mistrzów starej szkoły, albo prezentował czytelnikom najznakomitszą satyrę, jaka ukazała się od czasu Swifta, albo coś innego, co bez cienia wątpliwości było najlepsze od czasu czegoś innego. Gdyby Ernest wydał książkę pod swoim nazwiskiem, a autor recenzji był świadom, że wyszła spod pióra człowieka absolutnie nieznanego i nic nie znaczącego, bez wątpienia napisałby o niej na zupełnie inną nutę. Recenzenci lubią być przeświadczeni, że poklepują przyjaźnie kogoś, kto, jak inteligentnie się domyślają, jest co najmniej księciem albo nawet samym księciem krwi, i w tym przekonaniu sadzą się na komplementy aż do czasu, kiedy przekonają się, że chwala osoby, które nazywają się zwyczajnie: Brown, Jones lub Robinson. Wtedy ogarnia ich rozczarowanie, za które płaci Brown, Jones lub Robinson.

Ernest nie znał szachrajstw świata literackiego tak dobrze, jak ja je poznałem, i obawiam się, że trochę przewróciło mu się w głowie, kiedy pewnego poranka stwierdził, że jest sławny. Był synem Krystyny i, być może, nie zdołałby dokonać tego, czego dokonał, gdyby od czasu do czasu nie był zdolny do nadmiernych uniesień. Wkrótce jednak poznał te sprawy na wylot i zabrał się z pogodą ducha do napisania kilku książek, w których postawił sobie za zadanie mówienie takich rzeczy, których nikt inny nie zechciałby powiedzieć, nawet gdyby potrafił, i nie potrafiłby, nawet gdyby chciał.

Zyskał sobie bardzo złą reputację literacką. Pewnego dnia powiedziałem mu żartem, że przypomina mi pewną osobistość z ubiegłego stulecia, o której powiedziano, że tylko taka reputacja zdolna jest unicestwić taki talent.

Roześmiał się i odparł, że w każdym razie woli to niż znaleźć się w sytuacji pewnych współczesnych pisarzy — mógł wymienić ich nazwiska — których talent jest tak mizerny, że tylko taka reputacja zdolna jest coś z niego wykrzesać.

Przypominam sobie, że wkrótce po wydaniu jednej z wyżej wspomnianych książek spotkałem przypadkowo panią Jupp, której, nawiasem mówiąc, Ernest raz w tygodniu wypłacał skromną zapomogę. Było to w mieszkaniu Ernesta i z jakiegoś powodu na kilka minut zostaliśmy sami. Zwróciłem się do niej:

— Pan Pontifex napisał nową książkę.

— Widzicie go — powiedziała — naprawdę? Kochany pan! A czy o miłości? — I stara grzesznica, łobuzersko mrużąc stare powieki, spojrzała na mnie uwodzicielsko. Nie pamiętam, co jej na to odpowiedziałem — prawdopodobnie nic — więc nie potrafię powiedzieć, co ją sprowokowało do tego, że ni stąd, ni zowąd zaczęła pytać, ile sił miała w języku, że dostała od Bella bilet do opery.

— Naturalnie poszłam. Nie zrozumiałam ani słowa, bo wszystko było po francusku, ale widziałam ich nogi. Mój Boże, mój Boże! Zdaje mi się, że już niedużo mi zostało na tym świecie, a jak mój kochany pan Pontifex zobaczy mnie w trumnie, to na pewno się uzali: „Biedulka stara Jupp, już nigdy nie będzie świntuszyć.” Ale, Boże uchovej, nie jestem jeszcze taka stara i zaczęłam brać lekcje tańców.

W tym momencie do pokoju wszedł Ernest i zaczęliśmy rozmawiać o czymś innym. Pani Jupp zapytała

Ernesta, czy ma zamiar napisać jeszcze jakieś książki, skoro z jedną już się uporał.

— Naturalnie — odparł — ja zawsze piszę jakieś książki. O, tutaj jest mój manuskrypt — i pokazał jej stertę papieru.

— Ojej! — zawołała — wielki Boże, i to jest manuskrypt? Często słyszałam, jak mówiono o manuskryptach, ale przez myśl mi nie przeszło, że dożyję takiej chwili, w której na własne oczy zobaczę manuskrypt. To to jest naprawdę manuskrypt?

Na oknie stało kilka doniczek z geranium, które prezentowały się dość marnie. Ernest zapytał panią Jupp, czy zna się na kwiatach.

— Znam mowę kwiatów — odparła, rzucając mu z ukosa jedno ze swych najbardziej czarownych spojrzeń, po czym rozstaliśmy się z nią aż do czasu, kiedy przyjdzie jej ochota zaszczyścić nas następną wizytą, do której, jak wie, ma zawsze pełne prawo, ponieważ Ernest ją lubi.

ROZDZIAŁ LXXXVI

A teraz już czas skończyć moją opowieść.

Poprzedni rozdział napisałem wkrótce po wypadkach, które w nim opisałem — czyli na wiosnę 1867. Moja powieść była już wtedy napisana aż do tego miejsca, ale od czasu do czasu coś jeszcze tu i tam zmieniałem. Teraz jest jesień 1882 roku i jeżeli mam coś jeszcze powiedzieć, muszę się spieszyć, bo liczę sobie już osiemdziesiąt lat i chociaż cieszę się do- skonałym zdrowiem, nie mogę taić przed sobą, że nie jestem już młody. Ernest ma teraz czterdzieści siedem lat, ale wcale na to nie wygląda.

Jest teraz znacznie bogatszy, niż był, ponieważ nigdy się nie ożenił, a wartość akcji „London and North-Western”, w których ulokował swój kapitał, niemal dwukrotnie wzrosła. Przez zwykłą nieumiejętność wydawania pieniędzy musiał, działając w obronie własnej, odkładać i w ten sposób powiększać kapitał. W dalszym ciągu mieszka w Tempie, w tym samym mieszkanku, które mu wynająłem, kiedy rozstał się ze swym sklepem, ponieważ nikt nie zdołał go namówić na wynajęcie domu. Jego domem, powiada, jest każdy dobry hotel. Kiedy jest w mieście, lubi pracować i mieć spokój. Kiedy wyjeżdża z miasta, jest spokojny, że nie zostawił za sobą niczego, czemu może grozić coś złego, i nie ma ochoty być przywiązany do jednego miejsca.

— Nie znam wyjątku, od reguły — powiada — że bardziej opłaca się kupować mleko niż trzymać krowę.

Skoro wspomniałem o pani Jupp, nie daruję sobie, żeby nie powiedzieć o niej kilka słów, które jeszcze zostały do powiedzenia. Jest już teraz bardzo stara, ale triumfuje, bo nie ma już nikogo wśród żyjących, kto wiedziałby, ile lat ma naprawdę, albowiem staruszka z Old Kent Road umarła i zabrała, jak można domniemywać, tę tajemnicę ze sobą do grobu. Starowinka mieszka w tym samym domu, w którym zawsze mieszkała, i choć na stare lata bardzo ciężko przychodzi jej związać koniec z końcem, nie sądzę, żeby za bardzo się tym przejmowała, a zresztą bieda, trzymając ją w ryzach, pozwala jej pić w sam raz tyle, ile nie szkodzi jej zdrowiu. Szkoda było czasu i atłasu na wszelkie próby okazania jej jakiejś bar- dziej istotnej pomocy, musieliśmy więc ograniczyć się do dawania jej tygodniowego zasiłku i pilnować się, żeby pod żadnym pozorem nie wypłacać go z góry. W każdą sobotę zastawia żelazko do prasowania, za co otrzymuje cztery pensy, a w każdy poniedziałek rano, kiedy dostaje od nas swój zasiłek, wykupuje go za cztery i pół pensa, praktykując to od dziesięciu lat tak regularnie, jak mija tydzień za tygodniem. Dopóki udaje się jej nie dopuścić do ostatecznej utraty żelazka, mamy prawo wnioskować, że daje sobie radę z problemami finansowymi w jakiś jej tylko wiadomy zagmatwany sposób, a w takim razie lepiej jest nie wpływać na tok wypadków. Gdyby jednak żelazko przepadło bez możliwości odkupienia, będzie to dla nas nieomylny znak, że musimy wystąpić czynnie. Nie wiem dlaczego, ale pani Jupp ma w sobie coś, co zawsze przypomina mi inną kobietę, kobietę tak dalece do niej niepodobną, że trudno spotkać dwie istoty tak krańcowo różne od siebie — mam na myśli matkę Ernesta.

Mniej więcej dwa lata temu, kiedy przyszła do mnie zamiast do Ernesta, miałem sposobność po raz ostatni dłużej z nią poplotkować. Powiedziała mi, że w chwili, kiedy już miała wejść do klatki schodowej, podjechała dorożka, a wtedy zobaczyła, że tatuś pana Pontifexa wystawił przez okno swą starą belzebubią głowę, więc przyszła do mnie, bo nie nasmarowała sobie boków i była tak sztywna, że nie ukłoniłaby się jak należy, tym bardziej komuś takiemu jak on. Zwierzyła się, że spadły na nią wielkie utrapienia. Lokatorzy obeszlą się z nią okropnie,

wyprowadzili się, nie płacąc jej ani pensa, i nie zostawili nawet jednego starego grata, ale dziś jest kontenta i śmieje się przez cały dzień jak głupi do sera. Zjadła taki rozkoszny obiad — plaster szynki z zielonym groszkiem. A spłakała się na sam widok tych dobroci," ale taka jest głupia i nic na to nie poradzi.

— A do tego jeszcze ten Bell — ciągnęła dalej, jakkolwiek nie zdołałem dostrzec ani cienia związku z jej poprzednimi wywodami. — Zgarbacieć człowiek może od samego patrzenia, jak mu się teraz zebrało na chodzenie do kościoła, a jego matka przygotowała się względem spotkania z Jezusem i ze wszystkim względem mnie, a teraz całkiem nie wybiera się na tamten świat i dzień w dzień wypija pół butelki szampana; a potem Grigg, ten, co gada kazania, zapytał się Bella, czy ja naprawdę się puszczam, a co tu dużo gadać, za młodu zakasałam niejedną „ptaszynę nocną", co się włóczy po Holborn, ale i teraz, gdybym wysztyftowała się, jak się patrzy, i miała swoje zęby, robiłabym to samo. Straciłam mojego kochanego Watkinsa, ale na to, naturalnie, nie ma żadnej rady, a potem straciłam moją Rózię. Głupi babsztyl wybrał się na przejażdżkę końmi i dostał zapalenia płuc. Do głowy mi nie przyszło wtedy w Pullens Passage, kiedy pocałowałam moją biedną Rózię i dostałam od niej kotlet barani, że już nigdy nie zobaczę jej na oczy, a jej przyjaciel, elegancki pan, bardzo ją kochał, chociaż miał żonę. Myślę sobie, że pewno już nic z niej nie zostało. Gdyby mogła wstać i zobaczyć mój chory palec, na pewno by się rozplakała, ale ja bym jej powiedziała: „Nie przejmuj się, aniołku, czuję się bardzo dobrze." Och, mój Boże, zaczyna padać. Nie znoszę, jak w sobotę wieczór jest mokro: biedne kobiety mają takie ładne, białe pończoszki, a trzeba zarobić na życie — itd., itd.

A jednak starość wbrew wszelkim przewidywaniom nie zdołała nadwerężyć sił tej grzesznej bezbożniczki.

Można oceniać życie, które wiodła, tak lub inaczej, ale jedno jest pewne, że służyło jej doskonale. Czasem daje nam ona do zrozumienia, że jeszcze dziś ma duże powodzenie, lecz innym razem mówi coś wręcz przeciwnego. Przez ostatnie dziesięć lat nie pozwoliła nikomu, nie wyłączając nawet samego Joe Kinga, dotknąć swych ust. Wolałaby raczej dzień w dzień jeść baraninę.

— Ach, gdyby panowie mnie widzieli, jaka byłam śliczniutka, kiedy miałam siedemnaście lat. Byłyśmy z moją nieboszczką mamą podobne do siebie jak dwie krople wody, a moja mama była ładną kobietą, ale nie powinnam o tym mówić. Miała tyle wspaniałych zębów. To był grzech pochować ją z takimi zębami.

Wiadomo mi tylko o jednej rzeczy, którą pani Jupp bardzo się gorszy, o czym zresztą sama mnie gorąco zapewniała. Chodzi o to, że jej syn Tom i synowa Topsy uczą swe maleńkie dziecko przeklinać.

— Ach! to potworna okropność — wykrzykiwała — nie wiem wprawdzie, co znaczą te słowa, ale w każdym razie Tom jest zapijaczonym głupcem i mówię mu to prosto w oczy. — Wydaje mi się, że w istocie rzeczy staruszka bardzo to lubi.

— Ależ, pani Jupp — rzekłam — o ile mi się zdaje, to żona Toma nigdy nie miała na imię Topsy. Nazywała ją pani zawsze Pheeb.

— Acha, to prawda — odparła — ale Pheeb źle się prowadziła i teraz jest Topsy.

Alicja, córka Ernesta, przeszło rok temu wyszła za mąż za chłopaka, z którym bawiła się jeszcze w piasku. Ernest dał młodemu wszystko, czego od niego chcieli, i dołożył do tego jeszcze znacznie więcej. Zdążyli już obdarować go wnukiem i nie wątpię, że powtórzą to jeszcze wiele razy. Jurek, choć ma dopiero dwadzieścia jeden lat, jest właścicielem pięknego parostatku, który dostał w prezencie od ojca. W wieku mniej więcej trzynastu lat zaczął pływać z Rollingsami i z Jankiem na barce, którą transportowano cegły z Rochester w górę Tamizy. Po jakimś czasie Jurek i Janek dostali od Ernesta własne barki, z czasem kupił im żaglowce, a w końcu parostatki.

Nie bardzo się orientuję, jak to się dzieje, że mając parostatek można zrobić majątek, lecz Jurek nie puszcza się na ekstrawagancje i, jak zdołałem wymiarkować, interes rzeczywiście opłaca się świetnie. Z rysów twarzy jest bardzo podobny do ojca, ale literackich zdolności — o ile zdążyłem zauważyć — nie posiada ani na lekarstwo. Ma niegorsze poczucie humoru i w bród zdrowego rozsądku, lecz z natury jest człowiekiem praktycznym. Wydaje mi się, że jego widok bardziej sugeruje mi, jak wyglądałby Teobald, gdyby obrał zawód marynarza, natomiast mniej kojarzę go z Ernestem. Do Battersby Ernest jeździł dwa razy w roku na krótkie kilkudniowe wizyty aż do śmierci Teobalda, a stosunki między nimi nadal układały się znakomicie, mimo że okoliczne duchowieństwo grzmiało przeciwko „ohydnym księżkom” pana Pontifexa. Być może, trwała harmonia, a ściśle mówiąc, brak dysharmonii między nimi był prostym następstwem faktu, że Teobald nigdy nie zajrzał do żadnego z dzieł swego syna, a Ernest oczywiście nigdy o nich nie wspominał w jego obecności. Stosunki między nimi, jak już nadmieniałem, były doskonałe, lecz nie można pominąć okoliczności, że wizyty Ernesta były krótkie i niezbyt częste. Pewnego razu Teobald zwrócił się do Ernesta, żeby przywiózł mu swe dzieci, jednak Ernest zdawał sobie sprawę, że wizyta u dziadka nie przypadnie im do gustu, więc sprawa upadła.

Od czasu do czasu Teobald wybierał się do miasta z jakąś drobną sprawą do załatwienia i składał Ernestowi wizytę. Z reguły przywoził dwie główki sałaty albo główkę kapusty lub trochę brukwi, porządnie zawinięte w arkusz papieru do pakowania, i mówił Ernestowi, że ma dla niego trochę jarzyn, bo w mieście, jak wiadomo, o świeże jarzyny jest trudno. Ernest nieraz mu przedkładał, że jarzyny są dla niego absolutnie bezużyteczne i że wolałby, żeby ich więcej nie przywoził. Teobald jednak trwał przy swoim, jak sądzę, przez zwykłe upodobanie do postępowania na przekór swemu synowi, ale w sprawach, które były tak błahe, że nie warto było zwracać na nie uwagi.

Zakończył życie mniej więcej rok temu — pewnego ranka znaleziono go martwego w łóżku, a obok leżał list, który zdążył napisać do syna:

Drogi Erneście!

Nie mam nic szczególnego do napisania, ale Twój list leży od kilku dni w otchłani listów, na które nie odpowiedziałem, *scilicet* w mojej kieszeni, i już czas, żeby Ci odpisać.

Trzymam się znakomicie, a moje przechadzki po pięć a nawet sześć mil wcale mnie nie męczą, ale w moim wieku nie wiadomo, jak długo będzie to jeszcze trwało, a czas ucieka szybko. Cały ranek zajęty byłem w ogrodzie przy rozsadach, lecz po południu zrobiło się wilgotno.

Cóż ten wstrętny rząd zamierza począć z Irlandią? Wprawdzie nie życzę panu Gladstone'owi, żeby go wykończyli, ale gdyby jakiś rozwścieczony byk zagnał go do Irlandii, i to bezpowrotnie, wcale nie byłbym z tego powodu zmartwiony. Jakkolwiek lord Harrington jest człowiekiem, którego nominacja na następcę Gladstone'a budzi we mnie pewne zastrzeżenia, to uważam, że byłby od niego nieskończenie lepszy.

Nie zdołam wyrazić, jak bardzo odczuwam brak Twojej siostry. Prowadziła moje rachunki domowe i zawsze mogłem podzielić się z nią moimi kłopotami, a teraz, kiedy Józio też jest żonaty, nie wiem, jak dam sobie radę, jeżeli przynajmniej jedno z nich nie przyjedzie do mnie od czasu do czasu, żeby się mną zaopiekować. Pocieszam się tylko tym, że mąż Karolinki będzie z nią na pewno szczęśliwy oraz że znalazła w nim człowieka, który, niemal nie ustępując jej pod względem przymiotów charakteru, będzie dla niej najlepszym mężem.

Szczerze oddany Ci ojciec

Teobald Pontifex

Pozwolę sobie na marginesie zauważyć, że jakkolwiek na podstawie wzmianki Teobalda o małżeństwie Karoliny można byłoby wnioskować, że związek ten jest całkiem świeżej daty, w istocie rzeczy zawarty został sześć lat temu. Karolina miała wtedy, jak mi się wydaje, trzydzieści

osiem lat, a jej mążonek był od niej coś o siedem lat młodszy.

Nie było żadnych wątpliwości, że Teobald rozstał się z życiem podczas snu i odszedł cicho i spokojnie.

Czy o człowieku, który tak umarł, można powiedzieć, że rzeczywiście umarł? Ukazywał ludziom fenomeny śmierci, lecz kiedy przyszła kolej na niego samego — nie tylko nie umarł, ale nawet nie pomyślał, że umiera. W najlepszym przypadku można to uznać za śmierć połowiczną, ale ostatecznie żył też połowicznie. Zademonstrował jednak w swej osobie tak dużo fenomenów życia, że w moim przekonaniu mniej kłopotu nam sprawi przyjąć, że żył, niż że nigdy się nie urodził, a jest to możliwe tylko dzięki temu, że asocjacja nigdy nie oddaje wiernie przedmiotu, z którym jest związana.

Opinia wydała jednak o nim całkiem inny werdykt, a zdarza się często, że werdykt opinii jest najbliższy prawdy.

Ernesta zarzucono wyrazami współczucia i szacunku dla pamięci jego ojca.

— Nigdy — rzekł stary dr Martin, który pomógł Ernestowi przyjść na świat — nie powiedział złego słowa przeciwko nikomu. Był nie tylko lubiany, był prawdziwie kochany przez wszystkich, którzy mieli sposobność z nim się zetknąć.

— Tak nieskazitelnie prawego i uczciwego partnera we wszystkich transakcjach i tak skrupulatnego człowieka na punkcie swych zobowiązań, jak wielebny pastor Pontifex, nie spotkałem w całej mej karierze — stwierdził adwokat, który od lat był doradcą rodziny Pontifexów.

„Ponieśliśmy niepowetowaną stratę — napisał biskup do Józia w słowach pełnych żarliwego uniesienia. Ubodzy byli zdesperowani.”

— Studni żałuje się dopiero wtedy — powiedziała pewna staruszka — kiedy wyschnie — i tylko ona nazwała po imieniu to, co wszyscy czuli.

Ernest zdawał sobie sprawę, że powszechny żal jest szczery, jak przystało na żal po stracie, którą niełatwo przyjdzie naprawić. Zdawał sobie jednocześnie sprawę, że tylko trzy osoby nieszczerze przyłączyły swe głosy do chóru pochwalnych hołdów, a były to trzy osoby, które najmniej ze wszystkich mogły pokazać po sobie, że ta śmierć ich nie obchodzi. Mam na myśli Józia, Karolinę i Ernesta. Ernest czuł gorzki żal do siebie za jednomyślność z Józkiem i Karoliną w jakiegokolwiek sprawie, był jednak rad, że w żaden sposób nie może okazać swych uczuć, wcale nie dlatego, żeby miał o coś żal do swego ojca — tamte urazy były zbyt dawne, żeby o nich pamiętać — ale z tego powodu, że ojciec za nic w świecie nie pozwoliłby mu na okazanie w stosunku do siebie takich uczuć, jakie przez całe życie nadaremnie próbował mu okazać. Dopóki ich wzajemne stosunki sprowadzały się do zdawkowych komunałów, wszystko szło dobrze, ale przy najmniejszym odchyleniu od tej zasady zawsze odnosił nieodparte wrażenie, że wszystkie instynkty ojca natychmiast mobilizowały się przeciwko niemu. Jeżeli go atakowano, ojciec wyolbrzymiał wagę wszystkiego, co głosili jego oponenci. Stary doktor miał świętą rację mówiąc, że Teobald złego słowa nigdy o nikim nie powiedział, ale było to prawdą w odniesieniu do każdego innego człowieka prócz Ernesta, a Ernest dobrze wiedział, że nikt nie skrzywdził go tak bardzo jak jego własny ojciec, który w dyskretny sposób i w takim stopniu, w jakim starczyło mu odwagi, przez całe życie szkodził jego opinii. W praktyce jest to przypadek pospolity i całkiem naturalny. Często zdarza się, że jeżeli syn ma rację, to ojciec jest w błędzie, a wtedy ojciec broni się, jak może.

Nader trudno jest postawić diagnozę, jaka była rzeczywista przyczyna zła w omawianym przypadku. Fakt, że Ernest siedział w więzieniu, należy wykluczyć. Teobald już dawno zapomniał o tej sprawie, a dziewięciu ojców na dziesięciu nie puściłoby jej w niepamięć tak szybko jak on. Pewną rolę, bez wątpienia, odegrała niezgodność usposobień, ale kamieniem

obrazy, jak się zdaje, był fakt, że Ernest w tak młodym wieku stał się człowiekiem niezależnym i majątnym. Tym samym starszy pan został ograbiony z możliwości pastwienia się i znęcania nad swym synem, do czego czuł się w całej pełni uprawniony, a zamięłowanie do dokuczania, oczywiście tylko wtedy, kiedy był pewny, że nie grozi mu z tego powodu żadne niebezpieczeństwo, pozostało znamionym rysem jego charakteru od czasów, kiedy powiedział swej niańce, że będzie ją trzymał w domu, żeby ją dręczyć. Wydaje mi się, że wszyscy jesteśmy pod tym względem tacy sami. W każdym razie jest całkiem pewne, że większość ojców, szczególnie jeżeli są pastorami, postępuje tak, jak postępował Teobald.

Jestem przekonany, że Józia i Karoliny nie kochał bardziej od Ernesta. Na dobrą sprawę nie darzył uczuciem nikogo ani niczego na świecie, a jeżeli w ogóle można powiedzieć, że kogoś lubił, to chyba tylko swego służącego, który opiekował się nim w czasie choroby i zawsze starał się we wszystkim dogodzić swemu panu, którego uważał za najlepszego i najmądrzejszego człowieka na świecie. Czy ów wierny i przywiązany sługa wytrwał w swych przekonaniach po otwarciu testamentu Teobalda i stwierdzeniu, jaki legat przypadł mu w udziale, nie mam pojęcia. Teobald uważał, że spośród wszystkich jego dzieci tylko niemowlę, które zmarło w pierwszym dniu swego życia, odnosiło się do niego z czcią należną rodzicom. Nie wysiłał się na stworzenie pozorów, że brak mu było Krystyny, i nigdy nie wspominał jej imienia. Uznano to za dowód, że tak boleśnie odczuł jej stratę, iż nie był w stanie o niej mówić. Być może, że to prawda, lecz ja jestem innego zdania.

Ruchomości Teobalda sprzedano na licytacji, a wśród nich znalazła się także *Harmonia Starego i Nowego Testamentu*, którą przez wiele lat kompletował z niezrównaną starannością, oraz olbrzymi zbiór manuskryptów zawierających kazania — to było wszystko, co napisał przez całe życie. Kazania i *Harmonię* sprzedano po dziesięć pensów za skrzynię. Byłem zdumiony, że Józio pożalował trzech albo czterech szylingów, za które mógł kupić hurtem wszystkie rękopisy po Teobaldzie, ale Ernest wyjaśnił mi, że Józio był daleko bardziej od niego zawzięty w swej niechęci do ojca i dlatego czym prędzej chciał pozbyć się wszystkiego, co mogło mu go przypominać.

Czytelnicy już wiedzą, że zarówno Józio, jak i Karolina wstąpili już dawno w związki małżeńskie. Józio ma dzieci, z Ernestem jednak nie utrzymuje niemal żadnych stosunków. Nie potrzebuję chyba dodawać, że Ernest został w testamencie ojca zupełnie pominięty. Takie załatwienie sprawy uważano od dawna za oczywiste i w konsekwencji rodzeństwo Ernesta jest całkiem dobrze sytuowane.

Karolina jest tak samo fenomenalnie zdolna jak dawniej, i od czasu do czasu w imieniu własnym i męża zaprasza do siebie Ernesta — mieszkają niedaleko Dover — a domyślam się, że robi to dlatego, ponieważ dobrze wie, jaką przykrość sprawia mu zaproszenie do nich. We wszystkich jej listach wyczuwa się jakiś ton *de haut en bas*, a choć trudno jest zdefiniować, na czym rzecz polega, niemniej jednak każdy list od niej wywołuje w Ernestcie wrażenie, że został napisany przez osobę, która utrzymuje bezpośrednie kontakty z aniołem.

— Ten anioł — powiedział mi pewnego razu — musiał być zaiste potworną istotą, jeżeli to jego sprawka, że Karolina jest taka, jaka jest.

Czy odpowiadałaby Ci idea — pisała do niego niedawno — małego odpoczynku nad morzem? Szczyty skał już niedługo będą czarować wrzosami. Janowca już wtedy nie będzie, ale wrzosy, sądząc ze stanu rzeczy na wzgórzu w Ewell, zaczną, jak mniemam, już wkrótce kwitnąć, a zresztą z wrzosami czy bez wrzosów urwiska są zawsze przepiękne, a jeżeli przyjedziesz, zamieszkas w przytulnym pokoiku, zatem będziesz mógł sobie wypocząć we własnym kąciuku. Bilet powrotny, ważny na okres jednego miesiąca, kosztuje dziesięćnaście szylingów i sześć pensów. Zechciej zdecydować podług własnych chęci, ale ufamy, że uda się nam zapewnić Ci

czarujący odpoczynek, gdybyś u nas się zjawił. Ale nie rób sobie wyrzutów, jeżeli nie masz ochoty na wycieczkę w te strony.

— Kiedy czasem miewam koszmarny sny — powiedział do mnie Ernest ze śmiechem, pokazując mi ten list — śni mi się wówczas zawsze, że jestem pod jednym dachem z Karoliną.

Fama głosi, że Karolina w swych listach daje do- wody nieprzeciętnego kunsztu pisarskiego, i w rodzinie, o ile mi wiadomo, utarło się przekonanie, że posiada ona daleko więcej rasowego talentu literackiego niż Ernest. Czasem mamy wrażenie, że pisze do niego tylko w tym celu, żeby dać mu mniej więcej taką nauczkę: „Otóż widzisz, mój drogi, nie sądz, że jesteś jedynym spośród nas, który umie pisać. Przeczytaj LA jeżeli do następnej książki potrzeba ci efektownego fragmentu o charakterze opisowym, nie mam nic przeciwko temu, żebyś go wykorzystał według swej woli.” Ośmielę się zauważyć, że ona pisze bardzo dobrze, ale dostała się w niewolę takich wyrażen jak „ufać”, „mniemać”, „czuć”, „udać się”, „czarujący”, „mało”, i nie potrafi napisać jednej strony, żeby nie użyć wszystkich tych słów bez wyjątku, a niektórych z nich nawet kilka razy. W rezultacie jej styl wydaje się monotony.

Ernest kocha muzykę tak samo jak zawsze, być może nawet jeszcze bardziej, i do programu swych zajęć włączył także kompozycję. Sprawia mu to jeszcze pewne trudności i przeżywa nieustanne tarapaty, ponieważ po pierwszych taktach w tonacji C nieuchronnie wpada w tonację Cis i nie potrafi wrócić z powrotem.

— Przejście na tonację Cis — powiedział — przypomina samotną kobietę podróżującą koleją, która załaziła się na przedmieściu Londynu Shepherd's Bush, nie bardzo wiedząc, gdzie chce dalej jechać. Czy uda się jej szczęśliwie wrócić do Clapham Junction? Zresztą Clapham Junction nie wybawi jej z kłopotu, bo jest jak zmniejszona septima — przesiadka na tej węzłowej stacji grozi dysonansem, który stwarza możliwość dostania się do wszystkich krańcowych stacji muzycznych.

A propos muzyki, ów temat wywołuje w mej pamięci wspomnienie pewnej drobnej polemiki, która stosunkowo niedawno wywiązała się między Ernestem a panną Skinner, najstarszą córką dra Skinnera.. Dr Skinner już dawno wyprowadził się z Roughborough i został dziekanem katedralnym w jednym z centralnych hrabstw — było to dla niego stanowisko wprost wymarzone. Ernest będąc pewnego razu w sąsiedztwie i mając na uwadze względy starej znajomości, złożył państwu Skinner wizytę i z ogromną gościnnością został zaproszony na obiad.

W ciągu trzydziestu lat krzaczaste brwi doktora posiwiały — włosy nie mogły posiwieć. Jestem święcie przekonany, że tylko peruka przeszkodziła doktorowi Skinnerowi w uzyskaniu godności biskupa.

Poza tym nie zmienił się. Głos i gesty doktora były tak samo imponujące jak dawniej i kiedy Ernest, wypowiadając jakąś uwagę na temat planu Rzymu, który wisiał w jadalni, nieopatrznie wspomniął o Kwirynale, doktor odparł z właściwym sobie splendorem:

— Tak, to jest Kwirynał, albo jak ja wolę mówić: Kwirynał. — Po tym triumfie kącikami ust wciągnął powoli ogromny haust powietrza, a potem zionął nim prosto w twarz niebios w stylu tak doskonałym jak za najlepszych dyrektorskich czasów. Przy obiedzie wprawdzie powiedział: „Niemał niemożliwe było pomyśleć o czymkolwiek innym”, ale natychmiast poprawił się, zastępując te słowa następującym sformułowaniem: „Powstanie w umyśle irrelevantnych idei było niemał niemożliwe”, co w znacznym stopniu; jak się zdaje, wpłynęło na poprawę jego samopoczucia. Na półkach biblioteki w jadalnym pokoju dziekana Ernest rozpoznał dobrze znane mu zbiorowe wydanie dzieł dra Skinnera, lecz nie dostrzegł wśród nich tomu *Albo Rzym, albo Biblia*.

— Czy nadal lubi pan muzykę tak bardzo jak kiedyś? — zapytała panna Skinner Ernesta podczas spożywania obiadu.

— Tak, ale nie każdą muzykę. Nigdy nie lubiłem muzyki nowoczesnej.

— Ależ to okropne! Czy nie sądzi pan, że — i już miała dodać — „Powinien pan ją lubić”, ale nie dokończyła, bez wątpienia w przekonaniu, że dostatecznie jasno sprecyzowała swój pogład na tę sprawę.

— Lubiłbym nowoczesną muzykę, gdybym potrafił ją lubić. Próbowałem przez całe życie ją polubić, ale im jestem starszy, tym gorzej mi idzie.

— Niechże mi pan powie, kiedy według pana zaczyna się muzyka nowoczesna?

— Od Sebastiana Bacha.

— Więc nie lubi pan Beethovena?

— Nie, kiedyś uważałem, że go lubię, ale teraz wiem na pewno, że nigdy go nie lubiłem.

— Ach, jak pan może mówić coś podobnego! Nie potrafi pan go zrozumieć, ot, co; nigdy by pan tego nie powiedział, gdyby pan go rozumiał. Dla mnie jeden prosty akord z Beethovena wystarczy za wszystko. To jest szczęście.

Był rozbawiony obserwując, jak silnie wystąpiły w niej te same cechy rodzinne, które posiadał Jej ojciec. Było to podobieństwo, któremu, w miarę jak przybywało jej lat, coraz bardziej ulegała, aż wreszcie doszło do tego, że opanowało także barwę jej głosu i sposób mówienia. Przypomniał sobie moje opowiadanie o partii szachów, którą rozegrałem z doktorem w zamierzchłych czasach, i w swej wyobraźni usłyszał głos panny Skinner recytującej coś w rodzaju takiego epitafium:

Stój! Oto uderzę teraz

W prosty Beethovena akord lub w Mendelssohna szesnastkę malutką *Z jego Pieśni bez słów*

Po obiedzie Ernest spędził jakieś pół godziny w towarzystwie samego dziekana i obsypał go takimi komplementami, że staruszek był zadowolony i ukontentowany w miłości własnej ponad zwykłą miarę.

— Te słowa — powiedział *voee sua* — są dla mnie bardzo cenne.

— Stanowią tylko skromną cząstkę uczuć — odparł Ernest — które my wszyscy, dawni wychowankowie, żywimy wobec pana doktora. — Po czym u krańca stołu na wprost starego okna weneckiego, które wychodziło na gładko ostrzyżony trawnik, obaj panowie odtańczyli coś w rodzaju menueta. Potem Ernest pożegnał się. Po kilku dniach doktor napisał do niego list, w którym doniósł mu, że jego krytycy są σκληροί και αντίτοπικ, a jednocześnie άνέκπληκτ.

Ernest pamiętał, co znaczy σκληροί, i domyślał się, że dwa pozostałe słowa mają sens bardzo podobny, więc wszystko było w porządku. Mniej więcej w dwa miesiące później dr Skinner przeniósł się na tamten świat.

— Był to stary dureń — powiedziałem — i nie powinieneś być nad nim litować.

. — To było silniejsze ode mnie — odparł — taki był stary, że miałem wrażenie, jak gdybym bawił się z dzieckiem,

Czasem, jak wszyscy ludzie o umysłach ruchliwych, Ernest pracuje ponad siły i wtedy podczas snu odbywa zacięte i kompromitujące potyczki z Teobaldem albo z drem Skinnerem — ale są to jedyne okazje, kiedy ci dwaj luminarze mogą go jeszcze prześladować.

A ja — ja mam w nim syna, a nawet więcej niż syna. Czasem myślę niemal ze strachem — kiedy na przykład rozmawiam z nim o jego książkach — że byłem dla niego niemal ojcem, i to bardziej, niż należało. Jeżeli istotnie tak było, wierzę, że mi przebaczył. Jego twórczość literacka jest jedyną kością niezgody między nami.

Chcę, żeby pisał tak samo, jak piszą inni ludzie, i pragnę, żeby nie zrażał do siebie tylu czytelników. Odpowiada na to, że nie potrafi inaczej pisać, bo podobnie jak na kolor swych włosów nie ma na to najmniejszego wpływu, więc albo będzie pisać tak, jak pisze, albo

przestanie pisać.

Czytelnicy, na ogół biorąc, nie darzą go szczególnymi względami. Uznaje się powszechnie, że ma talent, ale zarzuca mu się dziwaczność i abstrakcyjność, a choćby nie wiem jak był poważny, zawsze oskarża się go o kpiny. Jego pierwsza książka cieszyła się powodzeniem z powodów, które wyjaśniłem wyżej, ale wszystkie następne przyniosły mu, mówiąc oględnie, honorową porażkę. Należy on do kategorii tych nieszczęsnych pisarzy, których każda nowa książka zostaje wyśmiana przez krytyków bez żadnej litości, ale jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki, przeobraża się w „doskonałą lekturę”, kiedy napiszą następne dzieło, na którym krytyka znowu może używać sobie bez skrupołów.

Ani razu w swoim życiu nie zaprosił recenzenta na obiad. Powtarzałem mu raz po raz, że jest to idiotyzm, doszedłem jednak do wniosku, że wprowadzić wszystko mogę mu powiedzieć, ale to jedno zawsze wyprowadza go z równowagi i jest zły na mnie, kiedy o tym mówię.

— Jakież to może mieć dla mnie znaczenie — mówi — czy ludzie czytają, czy nie czytają moich książek? Dla nich to może mieć znaczenie. Mam za dużo pieniędzy, żeby pragnąć ich więcej, a jeżeli moje książki mają jakąś wartość, to z czasem wyjdzie to na jaw samo. Nie wiem i mało mnie to obchodzi, czy moje książki są dobre, czy złe. Czy normalny człowiek może wyrobić sobie jakiś sąd o tym, co sam stworzył? Muszą istnieć ludzie, którzy piszą głupie książki, tak samo jak na uniwersytecie muszą istnieć studenci różnych kategorii, a więc tacy, którzy są dopiero na niższych latach studiów, oraz tacy, którzy ukończą je bez tytułu naukowego. Czyż mam ubolewać nad tym, że jestem przeciętnym pisarzem? Należy być wdzięcznym, że się nie jest poniżej średniego poziomu. Zresztą nadejdzie kiedyś taki dzień, kiedy moje książki będą musiały bronić się same, a więc im wcześniej znajdą się w tej sytuacji, tym dla nich lepiej.

Nie tak dawno rozmawiałem o nim z jego wydawcą.

— Pan Pontifex — powiedział — to typowy *homo unius libri*, ale nie ma sensu mówić mu o tym.

Zauważyłem, że wydawca, który z racji swego zawodu na pewno wybornie orientuje się w sytuacji, stracił wszelką wiarę w literacką pozycję Ernesta i uważa jego ostateczną klęskę w tej dziedzinie za ostateczną, właśnie dlatego, że raz w życiu udało mu się na krótko zabłysnąć.

— Jest bardzo samotny, proszę pana — ciągnął dalej wydawca — z nikim nie zawarł przymierza i narobił sobie wrogów nie tylko wśród ludzi religijnych, ale także w kołach literackich i naukowych, a w naszych czasach taką drogą nie zajdzie się daleko. Jeżeli człowiek chce utrzymać się na powierzchni, musi związać się z jakimś środowiskiem, a pan Pontifex nie należy do żadnego środowiska — ba, nawet nie jest członkiem żadnego klubu.

— Pan Pontifex — odparłem — do złudzenia przypomina Otella, ale z tą różnicą, że nienawidzi nie mądrze, lecz z całych sił. Gdyby poznał koryfeuszy naszej literatury i nauki, poczułby do nich instynktowną antypatię. Nie ma między nim a nimi nawet cienia organicznej solidarności, a więc gdyby wszedł z nimi w kontakt, znalazłby się ostatecznie w gorszej sytuacji osobistej, niż znajdował się dotąd. Tak mówi mu jego instynkt, a więc trzyma się od nich z daleka i atakuje ich, kiedy na to zasługują, w nadziei, że może wśród młodego pokolenia znajdzie więcej zrozumienia niż wśród obecnej generacji.

— Czy można sobie wyobrazić człowieka — rzekł wydawca — bardziej niepraktycznego i lekkomyślnego?

Na to wszystko Ernest odpowiedział tylko jednym słowem: „Czekajcie.”

Taką ewolucję przeszedł w ostatnich czasach mój przyjaciel. Przyznaję wprowadzić, że nie zaangażowałby teraz swych pieniędzy w taki eksperyment jak ufundowanie Akademii Patologii Duchowej, ale prosię czytelników, żeby sami odpowiedzieli sobie na pytanie, czy między obecnym Ernestem, który z takim uporem woli zwracać się do następnego pokolenia niż do ludzi

współczesnych, a Ernestem z okresu Akademii Patologii Duchowej istnieje tak silne podobieństwo, że można ich obu sklasyfikować jako osobników tej samej rodziny, czy też ' należy uznać, że obecny Ernest i dawny Ernest nie posiadają żadnych wspólnych cech rodzinnych. Święcie wierzy, jak sam powiada, że nic go nie łączy z dawnym Ernestem, i raz w roku przykładowo przyjmuje sakrament, żeby zaskarbić sobie łaski Nemezis, ponieważ liczy na to, że dzięki jej względom uda mu się do każdego zagadnienia podchodzić spokojnie i chłodno. Jest to dla niego trochę uciążliwe, lecz „nasze przekonania — jak powiada czasem — są nic niewarte, jeżeli nie potrafimy zgrabnie i z wdziękiem zaprzeć się ich w imię miłości bliźniego”. Jest konserwatystą w czasie wyborów i kiedy w grę wchodzi interesy osobiste. Pod każdym innym względem jest postępowym radykałem. Dla ojca i dziadka kategorie myślenia Ernesta byłyby prawdopodobnie tak samo niepojęte, jak kategorie myślenia Chińczyka, lecz ci, którzy znają go blisko, nie chcieliby, żeby był innym człowiekiem, niż jest.

